

DZIKOWY SKARB

KAROL BUNSCH



calibre 0.7.3

KAROL BUNSCH

DZIKOWY SKARB

Powieść z czasów Mieszka I

Śmierć Ziemomyśla

Duszny mrok dziejów wczesnego średniowiecza przeświecać zaczął od dzieł Karola Wielkiego przebłyskami nadchodzącej nowej epoki. Idea Państwa Bożego szukała swego wcielenia w zawieruchach walk ustawicznych, a podstawiona za Ottonów w jej miejsce koncepcja monarchii uniwersalnej gotować się zaczynała do walki z Kościołem o władzę nad ówczesnym światem.

Nad Odrą i Łabą, na rubieżach wschodnich tego świata, nie tkniętych prawie stopą rzymskiego najeźdźcy - organizatora, z rzadka tylko nawiedzanych przez kupca - dyplomatę lub apostoła - awanturnika, w wilgotnych mrokach odwiecznych borów zaczynały się też budzić do życia z półświadomego bytu plemiona słowiańskie.

Przebudzenie nie było łagodne. Najbliżsi ściany zachodniej Łużycanie, Weleci i Obodryci budzili się z płonącymi nad głową dachami; w łańcuchach, łamiąc kamienie na budowę kościołów i zamków, poznawali moc i wspaniałość zachodniego Boga, a pod batem, budując drogi i kręcąc kamienie cudzych żaren - korzyści nie znanej im cywilizacji Zachodu. I jak prześladowane zwierzęta nauczyli się bardziej nienawidzić symbole, z którymi szedł i narzędzia, którymi ich niszczył, niż wroga, który niósł im zagładę.

Liczniesze, lepiej zorganizowane i naturalnymi wałami Sudetów, Rudaw i Czeskiego Lasu bronione plemiona czeskie na próżno, przyjąwszy chrześcijaństwo, usiłowały wzorem Zachodu zorganizować swe państwo, a nawet wciągnąć sąsiednie plemiona lechickie. Wtłoczeni w zaraniu w kościelną organizację Zachodu, rozdarci wewnętrznymi sporami, nie zdołali się oprzeć. Chrześcijański cesarz stał się panem lennym chrześcijańskiego królestwa i chytrze korzystał z zamieszek i walk, aby posuwać swe granice coraz dalej ku wschodowi. Pozostałym plemionom - nad Odrą, Wartą i Wisłą, budzące się życie postawiło wybór: chrześcijaństwo i niewola lub pogaństwo i śmierć.

W brzemiennej losom chwili dokonywał pracowitego żywota wnuk Piastowego rodu, Ziemomysł. Stary książę bystrym umysłem rozeznawał postawione przez historię jego plemionom pytanie, lecz do rozwiązania nie czuł już siły w gasnącym ciele. Przywiązany do wiary i obyczaju przodków, nie potrafiłby pokłonić się innemu Bogu ani też nie czuł potrzeby przyswajania nowości - dla siebie. Lecz choć niejeden w życiu napad odparł zza drewnianych ostrokołów swych grodów i niejeden na Zachodzie kuty hełm rozbił odziedziczonym po przodkach młotem, synom zostawiał danie odpowiedzi na ponure pytanie, nie chcąc ograniczać ich w wyborze. Dlatego na dwór jego dostęp miał przejezdny kupiec rzemieślnik, a synów w domu nie trzymał, lecz gdy wojną zajęci nie byli, często w dalekie rozsyłał ich podróże, nie tylko do plemion sobie podległych i sąsiednich, lecz na Zachód, do grafów i rycerzy niemieckich; tych do siebie zapraszać pozwalał, a choć mu nie w smak byli, przecie się hamował, aby gości nie spłoszyć.

Rzadko też synowie na dworze siedzieli i nie było ich w domu, gdy staremu nadeszła ostatnia godzina.

Gnieźnieński gród, na górze Lecha położony, szczupły był i nieokazały, bo i miejsca po temu nie było. Od zachodu fale Świętego Jeziora obmywały podnóża wałów, ze wschodu spadzisty stok bronił przystępu, ale i przestrzeń na rozszerzenie gródka ograniczał.

Bagniste łąki, zalewane corocznie wzbierającymi wodami Srawy, chroniły gródek od północy, a tylko od południa, na łagodniejszym stoku, gdzie stała świątynia Nyi, rozrastało się coraz obszerniejsze podgrodzie. Tam poczty drużyny pańskiej stawały, gdy księżę na gród zjeżdżał, i tam stawali gospodą z ofiarami dla Nyi i po wróżbę do jego kapłanów ze wszystkich stron przybywający pielgrzymi.

W pogodne i ciepłe dni jesieni 963 roku zjazd był liczniejszy niż zwykle. Księżę ściągnął z poczem znacznym z dalekiej Wiślicy, skąd dla słabości z dawna się nie ruszał i panom z rady swej i szczerpowym księżętom przybyć kazał. Zjechali też, kogo poselstwo w domu zastało: Jaksowie, Śreniawy, Pobogi, Pałuki, Wyszkoty i inni, zatrzymywali się ze swymi w podgrodziu, a gdy tam miejsca zabrakło w osadach. Przybył też, choć nie proszony przez księcia, kapłan Dadźboga z dalekiej Retry i zamieszkał wraz z orszakem w przyległych do świątyni budynkach.

Powszechnie wiadome było, że ważne jakieś odbyć miały się narady, ale młodych panów, po których posłano, widać jeszcze nie było, a stary, tylko z konia zsiadłszy, do łoża poszedł i już się z niego nie ruszał, rzadko kogo widzieć chciał i co dzień był słabszy.

Starzy nudę oczekiwania domysłami skracali, próżno dociec usiłując, w jakich to sprawach księżę chciał zasięgnąć ich zdania; młodzi łowami czas zabijali, a kapłani odprawiali wróżby i narady, niemal co dzień do pana usiłując się sprosić. Odpowiadać im kazał, że słaby się czuje i na synów czeka, z którymi ważne omówić pragnie sprawy, a wówczas i kapłanów zawezwie. Niecierpliwili się bardzo, a zwłaszcza retycki Medobor, aż wieczoru jednego z grodu znać dano, że księżę widzieć ich pragnie. Wyszli tedy z zabudowań i drogą wzdłuż brzegu Świętego Jeziora na gródek wstępować zaczęli. Słońce co tylko zaszło i blaski zorzy leżały na jeziorze, skacząc jak płomień po falach, gorącym wiatrem z południa pędzonych. Niepokój jakiś był w powietrzu; od czarnej na tle płonącego nieba ściany przeciwległego boru pomruki szły tajemnicze a groźne - szeptały pospiesznie trzciny przybrzeżne i chlupotały kłótlive drobne fale. Kapłani szli spieszenie, w milczeniu, i minawszy bramę w częstokole, weszli do dworca.

W sieni ogromnej, mrocznej komornicy na ich widok z czcią powstali, a jeden skoczył do przyległej izby przyjście ich oznajmić i wrócił zaraz mówiąc, że księżę wejść pozwala.

Wszedłszy do izby, zrazu nic rozeznac nie mogli. Na ogromnym kominie z okapem płonął bowiem ogień, którego blask ciemniejszą jeszcze czynił mroczną głąb obszernej izby. Dopiero po chwili, gdy oczy nawykły do mroku, w kącie pod oknem zauważyli białą plamę końskiej skóry, kryjącej łożę, i bielszą jeszcze brodę starego księcia, wpatrującego się w nich płonącymi w blaskach ognia oczyma. Podeszli bliżej z pozdrowieniem i stojąc czekali na słowa pana. Po dłuższej chwili cichy i głęboki, jakby gdzieś z przestrzeni idący głos przerwał milczenie.

- Siadajcie, czcigodni, i mówcie, z czym przychodzicie.

- Wielki kniaziu - zabrał głos Medobor - od trzydziestu lat, gdym objął opiekę nad świątynią Swarozycy w Retrze, nie opuściłem jej ani na jeden dzień: A jeżeli teraz tu przybył, to z wyraźnego rozkazu bogów, których znaki są tak dziwne i złe, że wam o nich sam donieść musiałem. Wróżba nie tylko waszej osoby i waszych plemion dotyczy, lecz wszystkich nas, Słowian, którzy jedną mową jednych bogów chwalimy. Klęski zapowiada za porzucenie wiary przodków, które wieszczy.

Książę milczał czas jakiś, jakby w myśli ważył słowa kapłana, wreszcie zaczął cichym, lecz wyraźnym głosem:

Starzyśmy obaj, czcigodny Medoborze, i mówmy ze sobą jak ludzie, co świat, ile poznać można, poznali. Nie imieniem Swarożyca do mnie mówcie, bo sam się od niego niedługo dowiem, z czego już rady dla nikogo nie wyciągnę, i nie o mnie, bom ja już swoje przeżył i do oJców odchodzę.

I nie chcę wiedzieć, co wróżą, lecz co rozum wasz czynić radzi, aby dobrze było.

Zamilkł wyczerpany.

- Milczanom, Łużyczanom Obodrytom i nam, Weletom, Niemce ziemię spod nóg i dach znad głowy wydzierają, bo ich Boga znać nie chcemy. Czesi, co się mu pokłonili, słuchać ich muszą. A u was, kniaziu, słyszę, Już są świątynie zachodniej wiary, kapłani ich u was bywają, a Mieszko i Ścibor z Niemcami się zadają i rychło patrzyć, jak wiarę i obyczaj przodków dla zachodnich nowości porzuca. Zależność i niewolę przyniesie nowy Bóg a zgubę waszemu plemieniu nasi bogowie, gdy wrócą. Taka jest wróżba. A radzić co? Chwast wyplenić, póki się nie zakorzenił, a i własne pędy obciąć, jeśli się wyrodziły.

- Żyłem i umrę w wierze ojców i przekonywać mnie nie potrzeba. Ale myśli nasze, Medoborze, różnymi chodzą drogami. Wam o chram i o cześć Swarożyca chodzi, a nie o co innego, a waszym Weletom o łup, od nas czy od Niemców, zajedno im. Doprowadził wam Wichman do zguby Redarów i Stoigniewa nad Rzeknicą Geronowymi rękoma. A ninie Gero, rękoma Wichmana z waszą pomocą nas niszczy. Cóż wam zły Bóg niemiecki, jeśli wam Niemce dobre gdy z wami na nas ciągną? A i Bóg nie ma być niemiecki, bo go sami niedawno przyjęli, a przedtem był żydowski czy inny, i z południa, znad morza przyszedł. Zły czy dobry, nie wiem, bo go nie znam i nie poznam, ale Niemcom siłę dał, może i nam ją da. Jeśli bogowie sami mówią, że przyjdzie, nie nasza moc go powstrzymać, a jeśli mścić się chcą na nas, to czym są lepsi? Zemstą grozić to nie rada, a bogowie nasi w wyznawcach swoich żyją i umrą wraz z nimi. Jeśli od bogów rady czekać nie możemy, jak żyć, we własnym jej trzeba szukać rozumie a bogowie niech radzą o sobie.

Alem ja swojego dokonał i tak, jakby mnie już nie było. Mieszko rozum ma bystry i świat poznał, a młodsze oczy lepiej widzą. Jemu ufam, że nowe drogi znajdzie.

- Daliście waszemu Mieszkowi moc i prawo, by za was rządził, to cóże czyni? - rzekł Medobor. - Nie jeździł to do Geron przyjaźń z cesarzem przeciw nam zawierać?

Nie kłania się to Niemcom, by pokój uzyskawszy na nas uderzyć? Sięga po ziemię, które do naszego weleckiego związku należą, i nad ujściem Odry chciałby zapanować. Z jego poduszczenia i bracia z nim idą, miast swoich dziedzin pilnować.

Żachnął się książę gniewem na przewrotność kapłana, lecz się pohamował i odparł.

- Nie wam się będę sprawiać. Bracia - mówicie? Nie wiecie, że Leszek zginął przez waszych Redarów? I z kim poszli na nas? Z tymże Wichmanem, co już raz ich omal do zguby nie doprowadził. Ja jeszcze pamiętam śmierć waszego Stoigniewa, jeszcze bieleją nad Rzeknicą kości głupców, co ich

dla Wichmanowych sporów ze stryjem wycięto. A teraz komu uciecha? Z niemiecką pomocą i niemieckim podstępem rozbić się wam udało Mieszkowe wojsko, gotowe pomóc Milczanom i Łużyczanom, gdy zagrażała napaść Gerona. I pobił ci ich, gdy sami zostali, i mamy już wilka pod bokiem, wam dziękować. A od Odry do Wisły lechicki nasz szczep Pomorzanie mieszka i nie będziem czekać z założonymi rękoma, aż Niemce nad Odrą staną, bobyśmy ich nad Wisłą wnet zobaczyli. Wrogów sobie robicie dookoła, byle kapłani przy władzy zostali. Na wasz opór od Niemców nam nie liczyć. Radźcieżę tedy sobie, a nie nam, bo nam nasze drogi wiadome.

Na słowa księcia kapłan gnieźnieńskiego chramu, Wisław poderwał się, jakby go w bolące miejsce ugodzono. Ledwo hamując gniewny głos, powiedział:

- Książę Mieszko wróżb nie słucha i kapłanów nie szanuje, a rady mimo uszu puszcza. Jeżeli byśmy jego słuchać mieli, nie wiem, czy nie dożyjemy dnia, gdy ołtarze nasze wywróci, a nam samym obcemu Bogu kłaniać się każe.

Książę długo nic nie odpowiadał, patrząc migocącymi w blaskach płomieni oczyma na kapłana, aż przerwał napiętą ciszę szeptem prawie, lecz tak przenikliwym, że kapłanom mróz przeszedł po kościach.

- Mieszko wróżb nie szanuje, a kapłanów nie słucha, bo słuchać nie jego rzecz. Rady mimo uszu puszcza, gdy nie prosi o nie. Widzę ja, z czymście do mnie przyszli. Chciałoby się wam, bym innego następcę po sobie ustanowił, bo i między kapłanami, i plemiennymi kniaziami już o tym szeptano. Idźcie precz, Wisławie, bo mi waszych usług będzie potrzeba, gdy do ojców będę odchodził, a moglibyście i tego nie dożyć, nie tylko chwili, gdy Mieszko zachodniemu Bogu kłaniać się każe, a wy to ścierpieć będziecie musieli.

Książę oczy przymknął i już nie spojrzął ni się odezwał, gdy kapłani, złożywszy pokłony, z izby wyszli.

Po ich wyjściu Ziemomysł długo leżał dysząc ciężko; otworzył oczy, jakby zdziwione, że jeszcze na ten świat patrzą. Na twarzy odbił się wysiłek zbierania rozpierzchłych myśli, wreszcie z trudem słabo klasnął w dłoń.

Komornik u drzwi czuwający zjawił się natychmiast, pilnie czekając rozkazu.

- Po panów z rady skoczcie mi natychmiast i niech nie mieszkając tu przychodzą - ozwał się książę.

Noc już, panie, i wam spocząć by trzeba, a i burza nadciąga, że ledwo na nogach ustać od wichru można. Raccie, panie, do rana naradę odłożyć - nieśmiało, z troską w głosie rzekł komornik patrząc z niepokojem w pobladłe oblicze i wpadnięte oczy księcia.

- Nie dla mnie dzień jutrzejszy. Czyń, co każe, a prędko.

- Nie mówcie, o panie, bogowie zdrowie wam wróć - ze wzruszeniem powiedział komornik.

- Cichaj, synaczku, a jeśli mnie miłujesz, jak ja ojca twego miłowałem, Mieszkowi miłość

twoją przekazuję. Nie będzie miał jej za dużo. Niezrozumianego kochać trudno. Przy nim zostań, choćby go wszyscy opuścili. A teraz leć co tchu, bo czasu już bardzo niewiele.

Nie mieszkając komornik duchem kopnął się z izby.

Choć krzepki był, długo mocował się z wichrem, który jak fala powodzi na drzwi napierał. Wypadł wreszcie i pod prąd wichury zmierzał na podgrodzie.

Panowie spali już wszyscy, lecz obudzeni pilnie zbierać się poczęli i na gród szli ze starym Mściwojem na czele, którego dwóch pacholków wieść musiało, gdyż na nogi słabował. Gorący wicher wznagał się z każdą chwilą, przechodząc w huragan, jezioro huštało wielką falę, a w huk boru mieszały się trzaski łamanych konarów.

Dotarli do grodu i hurmem weszli w milczeniu, a komornik zaraz do pana ich prowadził. W izbie dREW na komin przyrzucono, smolne łuczywo płonęło pozatykane między szpary ścian, rozświetlając czerwonym blaskiem mroczną głąb izby, a przy łożu żółty płomyk lampy, z dalekiej Grecji przez kupca żydowskiego przywieziona, oświetlał bladą twarz z zamkniętymi oczyma i wychudłe ręce Ziemomysła, leżące bezwładnie na końskiej skórze, którą był okryty, tak że przybyli z niepokojem patrzyli, zali żyw jeszcze.

Żył jednak, bo oczy z wysiłkiem otworzył i powiódł nimi po zgromadzonych, którzy u łoża stanęli. Z trudem wydobywając słowa rzekł:

- Już nie radzić się was, ale pożegnać chciałem. Dziękuję za służby i miłość waszą. Mieszkowi państwo ostawiam. Zaufajcie mu, młody i nowe czasy lepiej rozumie. Nie obaczę go już i jego ode mnie pożegnajcie.

Stali patrząc z żalem, jak życie uciekało z twarzy księcia i oczy mu gasły. Jeszcze by zapytać o coś, coś od serca powiedzieć chcieli, lecz słów i myśli brakowało. Wreszcie Mściwój widząc, że spieszyć się trzeba, cichym głosem zapytał:

- A Ściborowi działu nie ostawicie?

- Mieszko wie, czego chce - szepnął Ziemomysł.

Ostatnie słowa ledwo usłyszeli obecni, choć stali tuż, tak słabym szeptem zostały wyrzeczone zwłaszcza że szum wichury na dworze przechodził w huk nieustający, aż drzeń zaczął budynek, choć z potężnych bali dębowych zbudowany. Książę oczy przymknął i już się nie odezwał i stali tak nie wiedząc co począć z sobą. Wtem poryw wichru potężny jak wodospad, uderzył w ściany, wybijając błony z okien, a wichura, wdarłszy się do izby, zgasła szczapy smolne i kaganek przy łożu księcia, napełniając izbę dymem. Struchleli rzucili się ławami okna zastawiać, a pacholkiwie zażegli świeże łuczywa. Gdy światło znowu zapłonęło i zbliżyli się do łoża, Ziemomysł już nie żył.

Następca

Odwieczne bory, przez które wiódł szlak z Poznania do Gniezna okryła jesienna noc dotykana niemal ciemnością. Cisza była w powietrzu zupełna. Zwierz, płoszony szelestem własnych kroków po suchym igliwiu, przyczał się chroniąc przed nadchodzącym deszczem, który wisiał nad lasem od wieczora. Po chwili w głębi błysnęło małe światło, które wzmacniając się, migotliwymi błyskami wydobywało z mroku pnie drzew i sklepienie gałęzi. W wykrocie po obalonej, prastarej sośnie zapłonęło ognisko. Wykrot głęboki i obszerny z łatwością mieścił sześciu podróżnych, którzy krzatali się rozpinając płachtę na nawistłych korzeniach obalonego drzewa, przygotowując wieczerzę. Jeden tylko siedział przed ogniskiem, wpatrując się w nie zamyślonymi oczyma, daleki widocznie od tego, co działo się dokoła. W pełni sił męskich, twarz miał suchą, jasną cerę, tym bielszą przy czarnych włosach, które spadały mu na czoło. Cienki, orli nos i z lekka ku dołowi skośne oczy nadawały twarzy wyraz stanowczy, a nawet ostry, mimo zamyślenia. Jakkolwiek siedział niemal bez ruchu, z narzuconą na ramiona futrzaną szubą, można było poznać, że wzrostu był więcej niż średniego, szczupły, ale muskularny; całą postawą zdradzał dumę i opanowanie. Strój miał pański, choć podróżny, a bogaty oręż, zachodniego pochodzenia, nie mógł należeć do byle kogo. Bo też był to Mieszko, najstarszy z synów Ziemomysła i duńskiej księżniczki.

Obok siedzący brat jego, Ścibor, w niczym nie był do niego podobny. Różowa, z lekka od słońca i wichrów przyciemniona twarz tonęła w bujnym, jasnym zaroście; prosty nos i błękitne oczy, żywe i wesołe, choć władczo patrzące, a lekkie i szybkie ruchy sprzeczały się z potężnym wzrostem i szerokimi nad miarę barami, pogrubionymi jeszcze łososiowym kaftanem i kolczugą. Oręż i hełm, normańskiego pochodzenia, czyniły go tak podobnym do Wikinga, że aż dziwnym mogło się wydać, iż słowiańskim językiem przemówił:

- Wieczera gotowa, a spieszyć nam trzeba. Źle z ojcem musi być, skoro drugiego posłańca pchnięto, byśmy nie mieszkając w Gnieźnie się stawili. Byle jeno na czas zdążyć, woli ojca wysłuchać.

Mieszko drgnął z lekka, jakby przebudzony ze snu. Sięgnąwszy do boku, dobył z pochew noża, którym odkroił kawał pieczonego udźca sarniego i glon chleba. Milcząc jeść począł. Inni też do jedzenia się wzięli. Przez chwilę ustały rozmowy, słyhać było jedynie poszum ruszających się w nadchodzącym wietrze gałęzi i uderzenia pojedynczych kropeł nadciągającego deszczu o rozpiętą nad głowami podróżnych płachtę. Milczenie przerwał znowu ścibor zwracając się do Mieszka:

- A twój czarny suchciel mięsa nie ruszy, jeno chlebem kałdun zapycha, i to niesporo. Wina też pewno nie pije ni miodu, jeno wodę. Nie dziwno, że wygląda, jakby z lochu wyszedł, bo i mówić chyba zapomniał. Gęby jeszcze nie otworzył, jakby się bał, by z niej węża nie wypuścił.

Mieszko uśmiechnął się z lekka i biegle w niemieckim języku ozwał się do siedzącego obok męża:

- Czemu mięsa nie jecie? Podróżnemu sił potrzeba, a droga jeszcze przed nami i spoczynek daleko.

W tymże języku, choć ojczystym widocznie, bo z obcym, śpiewnym akcentem, zagadnięty odpowiedział:

- Dziś piątek, dzień Męki Pańskiej, i wiara moja mięsa jeść mi zakazuje. A do tej pracy, do której

powołał mnie Pan i wy, kniaziu, nie z mięsa sił przybywa.

Ścibor, który po niemiecku rozumiał, z ciekawością, choć bez życzliwości spojrział na obcego człeka w sile już wieku, ze szpakowatą brodą i zmarszczonym przedwcześnie obliczem, którego największą ozdobą były oczy, pogodne i głębokie, i uśmiech młodzieńczy, dziecinny niemal, który zjawił się na poważnej zwykle twarzy, gdy po słowach Ścibora: "Co za robota, do której sił nie trzeba?" - rzekł do Mieszka:

- Powiedzcie, panie, bratu swemu, że ja mowę słowiańską już trochę rozumiem i kraj, ile można z opowiadań znać, znam. Nie na wiele bym się przydał nie wiedząc, czego wam trzeba, i nie rozumiejąc, co do mnie i wokoło mnie mówią. Z dawna mnie Ojciec Święty na misję do waszego kraju przeznaczył, i przygotowałem się, jak mogłem.

Ścibor pytająco spojrział na Mieszka, ale ten nie rzekł nic i znowu popadł w zamyślenie. Ścibor milczał czas jakiś, wreszcie wstał i rzekł:

- Ciemno bo ciemno, ale jechać nam trzeba.

Jakoż zbierać się poczęli, gdy nagle deszcz ustał, natomiast wiatr, który coraz był mocniejszy, uderzył z taką siłą, że poleciały konary i wśród trzasku łamanych gałęzi i wycia wichury dał się słyszeć huk walących się leśnych olbrzymów. O dalszej podróży myśleć nie było można, więc pokładli się na spoczynek, nogami ku ognisku, które przygasać zaczęło. Tylko obcy człowiek ukląkł przy ścianie wykrotu i niezrozumiale szeptać począł - kreśląc na czole i piersiach jakieś znaki.

Ścibor obok Mieszka się położył, lecz nie do snu mu widocznie było, gdyż zaraz półgłosem zagadnął:

- Co to za jeden i po co go wiesziesz do Gniezna?

- Mnich to jest chrześcijański, rzymianin. Jordan mu na imię - odparł Mieszko - a wiozę go, bo mi potrzebny.

- Widzę ci ja, że chrześcijanin, ale coraz ich więcej do nas ściąga i włóczy się kraj przepatrując, aby Niemcom drogę wskazywać. Wiarę niemiecką roznoszą, która wszystkie narody świata rzymskiemu biskupowi poddaje, aby niemiecki cesarz niby to dla niego nimi rządził.

Mieszko słuchał z niechęcią i odparł:

- Mnich mi potrzebny, bo zna pismo i świat. Zna Italię, Niemcy i Danię. A chleba nie uznasz, czy dobry, zanim z pieca nie wyjdzie, i oglądaniem go nie poprawisz.

- Ale gdy upieczony, jeść go trzeba, choć kwaśny i z zakalcem.

- Gdy piec gorący i ciasto zaczynione, nie czas się namyślać. Póki Weleci Niemcom opór stawiają, a cesarz w Italii ma zajęcie i swoich co chwila poskramiać musi, a jeno ten czy inny graf na nas napiera, którego czy zbić, czy tanio kupić można - póty nam czas skrzepnąć, aby opór dać Niemcom, gdy całą potęgą na nas się zwałą. Co ojcowie poczęli, skończyć przez ten czas musimy, by wszystkich Słowian przeciw nim postawić. A jakoż to uczynić, gdy każdy szczepowy panek z drugim za łeb się

wodzi o porwanego człeka czy konia, a każdy kapłan swego boga pilnuje i księciem chce rządzić albo mu rządzić przeszkadza, wróżby takie stawiając, jakie jemu potrzebne.

- Czesi chrześcijaństwo przyjęli, a teraz Niemcom służyć muszą.

- Bo mało ich i jeszcze się zrą między sobą i ze wszystkimi wokoło. Ani Sławnicy, ani Przemysłidzi nie umieli wszystkiego ująć w rękę, niemieckiej pomocy wzajem na siebie szukając. Nie umieli oni, to my spróbujemy. Więcej nas i mocniejsi jesteśmy, a wyboru nie ma.

Ścibor zamilkł i zadumał się. Po chwili zapytał:

- A po ojcu z dziedzictwem jakoże będzie?

- Lepiej będzie bratu kniazia wszystkich Słowian niż małemu księżątku, które byle graf przegoni.

- Mnie to zajędo, ale Leszek?

- Leszek nie żyje. U Wkrzanów siedział, gdy Wichman ich naszedł z dużą siłą. Wygubił wielu i kraj zajął nad Odrą.

Ścibor aż zerwał się z posłania, patrząc na Mieszka:

- Nic nie mówisz, przecie to brat nasz!

- Na złe wieści czas zawsze.

- Ale pomścić się trzeba.

- Na nic gniew bez siły. Brataniec starego Gerona złożył kości. Stary, ranny i złamany, do Rzymu się wybrał, kościoły buduje, ale na nasze ziemie patrzeć nie ustanie. A nie on, to jego następcy.

Zaległo milczenie. Ścibor dźwignął się i drew dorzucił do ogniska, widocznie już spać nie zamierzając.

Usiadł przed ogniem i nad czymś się zamyślił. Po chwili rzekł:

- To dwóch nas tylko zostało.

- A dwóch; na jak długo, nie wiada, bo też nie weźmiemy się do kądzieli.

Ścibor na myśl, jak by wyglądał przy kądzieli, roześmiał się, lecz zaraz spoważniał i rzekł:

- Są jeszcze po stryju Przybywój i Odylen.

Mieszko odparł niechętnie:

- Dlatego żyją, że stryjeczni. Koniec swego nosa widzą, a nam nieżyczliwi, bo na dziedzinach nie siedzą. Pilnować ich tylko trzeba, by szkody nie było. Synów nie mam, a choćbym miał po

niewolnicach, nie będą ich szanować ni plemienni książęta, ni - tym mniej - Niemiec. Z chrześcijańską księżniczką żenić się trzeba.

- Dadzą to którą za pogańskiego księcia?

Mieszko nie odrzekł nic.

Jakiś czas milczeli. Wreszcie Mieszko odezwał się:

- Wiatr nacicha. Prześpijmy się trochę, by z pierwszym brzaskiem ruszyć dalej.

Okryli się burkami i po chwili głęboki oddech Ścibora oznajmił, że śpi. Mieszko, oparty na łokciu, długo wpatrywał się bezsennie w gasnący żar ogniska. Na tle szarzejącego nieba ukazały się zarysy gałęzi. Mieszko wstał, przeciągnął zdrętwiałe członki i zawołał:

- W drogę!

Dwaj bracia

Wymijając w brzasku wstającego dnia zwały pni i wykroty sześciu jeźdźców dotarło do piaszczystego szlaku i zrazu, puściwszy konie w cwał, jechało w milczeniu.

Po kilkunastu stajaniach Mieszko, jadący na przedzie, zwolnił, a Ścibor, zrównawszy się z nim, zagadnął:

- Gdzie bywałeś?

Byłem w Lubicy i Pradze, a ninie wracam od Gerona.

Ścibor spojrzał zaciekawiony.

- Cóż tam stary?

Do Rzymu się wybrał, jako rzekłem, za grzechy pokutować, za bratańcem płacze, a co się da, urwać by rad.

Jak stary wilk, co zdychać idzie, a po drodze, co może, udusi.

- Słyszałem, Łużyce i Złepole zajął. Wnet żaden udzielny książę nie będzie miał takiego państwa.

Mieszko się zadumał, a po chwili rzekł:

- Myślałem ja o tym i stronami podszeptywałem staremu, ale teraz, gdy ostał się samotny, nic mu po koronie, i mówić szkoda.

- Chytry stary.

- Chytry jest, bo i złe na dobre obrócić sobie potrafi. Siedział u niego Wichman i spiskował przeciw cesarzowi. Staremu ciepło było, bo za niego poręczył, a żal mu wydać krewniaka. To na mnie go z Redarami puścił. Santok mi zburzyli i kraj Licykawików i Wkrzanów nad Odrą mi zajął. Niby to Gero o tym nie wiedział, ale powściągnąć obiecał, jeśli trybut cesarzowi z kraju po Wartę zapłacę i patrzeć będę spokojnie na jego nowe zdobycze.

- A ty co na to?

- Zapłaciłem i obiecałem.

Ścibor aż się na siodle przekręcił ze złości.

- Nożem bym dał staremu, miast daninę ze swego płacić!

- To moje, co w ręce trzymam, a Pomorze mi ważniejsze niż pieniądz. Wiedział stary, gdzie i kiedy mnie uderzyć, gdy zamieszek się u nas spodziewał, gdyby ojciec zmarł, a ty z wojskiem pod Wolinem stoisz i łącno mógłbyś zostać odcięty, gdyby się Sasi z Jomsborczykami zwąchali.

Ścibor roześmiał się.

- Alem ja to prędeż zrobił. Okup od Jomsborczyków wziętem w zbroi i koniach, a Sasom powiedziałem, że wraz odstąpić muszę, bo mnie ojciec wzywa. Krzywi byli, alem nie czekał i zabrawszy co swoje, tu jestem.

- Widzę ci ja, żeś za Wikinga przebrany, a i koń pod tobą niemiecki. Ciężkie to bydłę na nasze grzędzawiska, ale przynajmniej widać, że konia masz pod sobą jak rycerz, nie naszego konika, co zda się, kota dusisz między kolanami.

Ścibor poklepał karego ogiera mówiąc:

- Cały huf mam tak uzbrojony i konny. Żeby tak z dziesięć tysięcy przybrać potrafił, cesarza bym z tronu ściągnął, a sam na nim usiadł.

- Nie tylko tą siłą cesarz na tronie siedzi, dlatego niełacno nam z nim wojować. Panem go uznają wszyscy chrześcijańscy książęta, a pogańskie kraje zdobywać pomogą - niby to nawracać, a do swojego jarzma wprzęgać. A my co? Każde szczepowe książątko panem sobie chce być, do czasu, gdy mu strzechę nad głupią głową zapalą. A nawet ci, co jak Weleci związać się ze sobą potrafią, niedługo tylko opór mogą dać, bo łupić jeno myślą Niemców, Duńczyków czy nas - zajedno im. Zjednać nikogo ni kraju rozszerzyć nie potrafią, a od walki przeciwko wszystkim nie przybywa ich. Dlatego, choć bitni, nie ostoją się.

Zadumał się znowu.

- A w Pradze i Lubicy za czym byłeś?

Długo by mówić, pospieszać nam teraz trzeba.

Puścili znowu konie w skok na wychodzące zza borów słońce i po kilku stajaniach wypadli na obszerną polanę. Bór jeszcze jeden dzielił ich od Gniezna i właśnie w ścianę jego zanurzyć się mieli, gdy pędem wyjechało z niej kilku jeźdźców. Ujrzawszy Mieszka, osadzili konie i zsiadłszy odkryli głowy, czekając, aż ku nim podjedzie. Mieszko poznał dworskich starego księcia i zbliżywszy się zapytał:

- Z ojcem co słyhać?

Witamy was, panie, kniazem naszym. Ojciec wasz odszedł do przodków tej nocy.

Mieszko przybladł, lecz odrzekł spokojnie:

Witam i ja was, Drogomirze. Skoro pożegnać ojca nadażyliśmy, spieszyć się już nam nie trzeba. Wracajcie do Gniezna i zapowiedzcie, że koło południa tam staniemy. Tymczasem do pogrzebu rodzica przygotowania poczynić i stypę stawić, jak należy.

To rzekłszy, z konia zsiadł i skinąwszy na Ścibora, by szedł za nim, skręcił w las i usiadłszy na pniu, do brata, który legł przed nim na mchu, mówić począł:

- Pytałeś mnie, com czynił w Pradze i Lubicy. Żony szukać jeździłem.

Ścibor powtórzył pominięte przedtem pytanie:

- Dadzą ci to chrześcijańską księżniczkę za żonę do twoich siedmiu?

- Odprawić je przyrzekłem.

- A Miłą też?

- O Miłą nie pytali, zresztą nie żony to dla nich, jeno nałożnice, skoro nie przed chrześcijańskim kapłanem poślubione.

- A jakoż ich kapłani zaślubiny odprawia, skoroś ty niechrześcijanin?

- Chrześcijaństwo przyjąć obiecałem.

Ścibor aż usiadł na trawie, a twarz poczerwieniała mu z gniewu.

- Mów mi zaraz, coś namotał i do czego zmierzasz! Nie swoim to tylko rozporządzasz. Bacz, byś sam nie został ze swymi zamiarami, wszystkich mając przeciw sobie.

Mieszko spokojnie i przenikliwie przez dłuższą chwilę patrzył na brata, po czym zapytał:

- I ciebie też?

Ścibor ponuro się zamyślił i odparł:

- Powiem ci, gdy się rozmówimy.

- Dlatego z tobą rozmówić się chciałem, zanim do Gniezna zjedziemy. Tu sobie możemy wszystko powiedzieć ułożyć, tam ja jeden mówić będę, a słuchać wszyscy inni.

- Jeżeli ich zmusić potrafisz!

- Bylem ciebie miał za sobą, o resztę nie stoję.

- A ze mną jakoż będzie? Ojca wolę posłyszeć by trzeba.

- Wiem ci z dawna, że mnie ojciec uczynił dziedzicem.

Nie chciał rozrywać, co ojciec i dziady złączyli, boby wnuki na panków zeszy, po jednym gródku na każdego. Z braćmi ułożyć się miałem. Leszkowi już tyle ziemi potrzeba, co nad nim. A ty o sobie jak myślisz?

- A co mi tam! Juści, że gród jakowyś znaczny mieć muszę na siedzibę, bom nie kmieć ani najemnik, ale kniaź. A rządzić nie chcę, bo nie znam się na tym. Wojnę lubię i wojska mi jak najwięcej, a kogo bić, twoja rzecz.

- Wszystko będziesz miał, czego zażadasz, prócz władzy, bo tę całą muszę mieć w ręku, by swojego dokonać. I nigdy ci bracie, nie zapomnę, żeś mi w tej chwili stanął przy boku, gdy wielu przeciw mnie stanie, a już najmniej odejdzie ode mnie. Czas im najspodobniejszy, gdy się władza zmienia. I zmiana wiary nie przysporzy mi druhów wśród swoich. Za starą wiarą stoją, a kapłani, co mogą zrobić przeciw mnie, to robią. Drugi raz im się taka sposobność nie trafi.

Musisz to zaraz wiarę zmieniać? Nie lepiej by poczekać, aż się wszystko uładzi?

- Wszystko nie uładzi się nigdy. Niech lepiej zaraz runie, co słabo stoi, abym wiedział, co i z kim mam budować. Wiary zaraz nie zmienię, bo wiele przygotować trzeba, opór poznać i siłę jego policzyć, ale zaraz ją zapowiem. Niech się sprawa odstoi, to i opór sam zmaleje. Wielu, co potajemnie chrześcijaństwo wyznaje - a wiem, że i tacy są - jawnie się do tego przyzna i sprawę przeprowadzić pomoże. A rzecz się i tak nie da utrzymać w tajemnicy, skoro za Jordanem je - dzie wielu kapłanów, którzy nowej wiary uczyć tu mają. Ale największy kamień spadł mi z serca, że ciebie między wrogami nie znajdę, boby mi już może za ciężko było.

Ścibor przygarnął Mieszka do piersi i zawołał:

- Mnie nigdy, wiesz przecie! Od dzieci my zawsze razem trzymali. Na sercu mi broda nie rośnie, znajdziesz je zawsze takie same.

- Dziękuję ci, bracie - rzekł oddając uścisk Mieszko.

Wstał i mieli się ku koniom, gdy z boru wynurzać się poczęły gromady konnych.

- To twój orszak i moje hufce już nadeszły z Poznania - rzekł Ścibor. - Trzeba i nam jechać.

Dosiedli rumaków, by na czele nadjeżdżających pociągnąć do Gniezna.

Pogrzeb

Słońce miało się już z południa, gdy Mieszko z orszakiem wychylił się z lasów i drogą między jeziorami, Bielidłem i Winiarskim ku gródkowi wykręcił. Na polu, zwanym Żuławy, stary wódz Mściwój i dowódca załogi gródka, Doliwa, stali, by powitać nowego pana chlebem i solą. Tłumy wojaków i pospólstwa zaległy łąki przydrożne i pokrzykiwać na powitanie zaczęły, lecz ich Mieszko skinieniem ręki uciszył. Jechali tedy w milczeniu, Mieszko ku gródkowi z orszakiem, Ścibor wraz ze starszyzną wojskową ku zabudowaniom na wzgórku nad Bielidłem skręcił, a pospolite woje na dolinie stanęły obozem.

Podjechawszy pod wzgórze Lecha, Mieszko zsiadł z konia i pieszo szedł pod górę, w milczeniu, zamyślony, wśród witających go dworskich starego księcia. Skinąwszy na przełożonego nad dworem, Dobora, udał się do izb mieszkalnych.

Wszedłszy usiadł na zydlu zasłanym niedźwiedzią skórą i do stojącego Dobora się zwrócił:

- Przygotowania do pogrzebu ojca poczynione?
- Jak kazaliście, panie. Stos już ze wszystkim gotowy i na was tylko czekaliśmy.
- Gdzie stos ustawiony?
- Nad Świętym Jeziorem, naprzeciw gródka. Z okna go widać, panie - odrzekł Dobór.

Mieszko wstał i podszedłszy ku oknu, spoglądał czas jakiś. Po chwili, nie odwracając się, powiedział:

- Kapłani witać mnie nie wyszli!
- Wisław odjechał wraz z Medoborem retyckim, pono zaraz po rozmowie ze starym kniazem. Inni u siebie w zabudowaniach siedzą. Co kniaź mówił, nie wiada, ale widno nie wiedzą, co robić.
- Zaraz będą wiedzieć! Słać do nich, aby mi żadnego do wieczora w Gnieźnie nie było, jeśli im oczy miłe!

Niepewność i niepokój odbiły się na twarzy Dobora.

- A z pogrzebem jakoż będzie, panie?
- Sam ojcu stos zażegnę - odparł Mieszko.
- Świętego ognia kto dopilnuje?
- Do zachodu niedaleko, nie wygaśnie.
- A potem?

- Nie będzie potrzebny.

- Jak każecie, panie - rzekł Dobór.

Skłonił się i wyszedł.

Zaczęło się - szepnął Mieszko do siebie i ległszy na ławie zadumał się głęboko.

* * *

Wysokim i spokojnym płomieniem buchał ku świecącemu jeszcze zachodnią zorzą niebu stos, na którym stary Ziemomysł do ojców odchodził. Tłum ludu i starszyzna, z Mieszkiem na czele, stali dokoła w milczeniu i w ciszy spokojnego wieczoru słyhać było jedynie zawodzenie płaczek i syk płomienia. Wszystkie żony księcia wyprzedziły pana swego i w ostatnią drogę nie towarzyszyła mu żadna. Ciemniejące niebo rozżarzać się poczynąło łuną od żaru ogniska, którego odbicia grały na zmarszczonej lekkim powiewem wieczornym czarnej toni Świętego Jeziora i różowiły - przeciwległy gródek, gdzie Ziemomysł kęs życia spędził i gdzie go też dokonał.

Gdy koło północy płomienie przygasać zaczęły, rozmarzony smutek ludu, wpatzonego w ogień zabierający starego pana, do którego z dawna przywykł i przywiązał się, zmieniać się począł w szarpiący niepokój, jakby ze stosem gasła stara część własnego życia, a skradająca się coraz bliżej od czarnej ściany boru i tajemniczej toni jeziora ciemność ogarniała nie tylko ciała, ale i dusze. Coś się skończyło i odchodziło bezpowrotnie, a nadchodzące zasnute było mrokiem.

Gdy żar przygasł na tyle, że do zgliszcz można było przystąpić, pacholkiwie zapalili smolne pochodnie, a starszyzna, tlejące ognisko miodem i piwem zalawszy, nie dopalone kości księcia do wielkiej urny zebrała i na czele orszaku niosącego naczynia z jadłem i napojem skierowała się tłumnie ku leśnej polanie, gdzie mogiły dziadów i ojców Ziemomysła leżały i gdzie jemu ostatni spoczynek zgotowano.

Gdy mogiła nad szczątkami księcia stanęła, jał Mieszko starszyznę, a komornicy pospólstwo na stypę do Gniezna prosić; na gródku dla dostojników, a na dziedzińcach i na podgrodziu dla ludu stoły do uczty stawiono.

Zaroili się komnaty i dziedzińce rycerstwem, dworskimi i grodowymi i zasiadali do stołów, a pacholkiwie leli ze stągwi miód i piwo, roznosili mięsiwa i kołacze. Milczący zrazu tłum szumieć zaczął po chwili, gdy pod wpływem napoju i jadła zacierał się smutek i znużenie nie przespanej nocy.

Jedynie w świetlicy księżę ze starszyzną w ponurym milczeniu słuchali pieśni gędłka, sławiącego czyny zmarłego pana. Mieszko siedział na podwyższeniu, głowę wsparłszy na rękę, a chwilami zasypiać się zdawał, drugą już nocą nie spaną znużony. Od czasu do czasu po kubek tylko sięgał, który mu stojący za nim komornik za każdym razem napełniał.

Czas płynął, umilkł gędłek i z blaskami łuczywa szare światło świtu mieszać się zaczęło, gdy księżę jakby się przecknął i skinąwszy na stojącego za nim komornika, coś mu szepnął. Komornik

wyszedł, a po chwili dwaj pachołkowie z trudem wnieśli ciężką skrzynię i przed księciem ją postawili. Mieszko otworzył kute wieko i wyjmować zaczął łańcuchy złote, broń ozdobną, pasy, kubki oraz inne klejnoty i obecnych rycerzy obdarzał. Gdy dziękować mu poczęli, przemówił:

- Moje to dla was podziękowanie za wierne służby memu rodzicowi i służby tej pamiątka, gdy się skończyła.

Stał przed nim stary Wszebór, z łęczyckich książąt, i w rękę ważył łańcuch, a w ustach słowa. Na starym obliczu, przeorany przez usta blizną, ginącą w gęstwinie szpakowatej brody, gniew się malował, który wybuchnął:

- Sercem służyliśmy ojcu waszemu i sercem nam płacił, a pamiątki tej służby na skórkach swych nosimy. Droższe nam one niż niemieckie, choćby złote, łańcuchy. Rozumiemy to, kniaziu, że nas w łasce swej odprawiacie tak, jakście wczorajszego rana w niełasce kapłanów odprawili. Nie ślepiśmy i widzimy, że z nowym kniazem idzie nowy obyczaj i nowa wiara, a do tego wam pomagać, choćbyście chcieli, nie będziemy. Zabierzcie swój łańcuch. Milszy mi będzie, gdy go sam ściągnę z obcej wywłoki, której go dacie.

Błyskawica gniewu przeleciała przez znużone oblicze księcia i zgasła. Spokojnie spojrzął na Wszebora i rzekł:

- Nie ukarzę was za te słowa, bo może jeno śmielej mówicie, co myśli wielu. Sił mi potrzeba i żal każdego, który odejdzie, ale na opornych jeszcze ich starczy. O wiarę i posłuch wasz zabiegać nie będę ani rozumu od was nie pożyczę. Kto sercem służyć mi gotowy, zostać może, kto nie - w łasce go odprawię. Wróci, gdy się przekona. Na mojej to stypie oceniać będziecie moje dokonania. Ale kto by moim zamierzeniom w drodze stał, na tego miecz a powróż.

To rzekłszy wyszedł z komnaty.

Po wyjściu księcia zawrzało między starszyzną, lecz wkrótce stary Mściwój rozruch uspokoił i zasiadłszy na ławie, zagadnął:

- Nie zwady nam trzeba, ale rady. Piastom wiek swój przesłużyłem i patrzałem, jak z polańskich kniaziów nad innych wyrosli i siłę zgromadzili, z którą i Niemiec, i Duńczyk, i Ruś się liczy, choć nie zawsze rozumiałem, do czego prowadzą. A Mieszko pode mną pierwsze wyprawy odbywał i znam go lepiej niż wy. Juści, słuchał nikogo nie będzie, bo zawsze wiedział, kim jest, ale radę rozważy i mądrą nie pogardzi. A rozum ma bystry i patrzy daleko, dlatego widzieć może, co dla innych zakryte, i pamięta, komu co winien i kto jemu. Dlatego zdrzeć z nim niezdrowo. Ja i moi zostaniemy. Odejść zawsze czas, a wracać wstydno byłoby, gdyby się okazało, że kniaź był praw. A i wiedzieć zda się, co się gotuje, a my co wiemy? Co pospólstwo gada między sobą na domysł. Wygnał - mówicie - kapłanów? I ja bym ich wygnał. Wisław z Weletami się wachał, rad by takie jak u nich porządki wprowadzić, gdzie kapłani całą władzę mają w rękę, a książątka słuchać muszą jak wszyscy. A zbiegłszy, swoich zostawił, by mu donosili, co się dzieć i mówić będzie. Mało to Niemce mają tu takich, którzy im o wszystkim donoszą, bodaj i to, co teraz mówimy?! Dlatego nie dziw, że kniaź nierad się spowiadać, zanim czyn rozgłos uprzedzi?

Wszebór, który kilkakrotnie chciał mówcy przerwać, głosu doczekać się nie mogąc, wybuchnął teraz:

- Jedno wiemy na pewno, że wiarę chrześcijańską chce wprowadzać i po to zwłókł tych mnichów, aby ją opowiadali. A jednego nie wiemy, ale nie dowiemy się tutaj: co Ścibor o tym myśli i co mu po ojcu przypadnie. O Leszku wiadomo nam już, że zginął. W porę to Mieszkowi przyszło. Ale Ściborowi dział się należy, a nam służyć, komu wola, bo z dobrej woli Piastów postawiliśmy nad sobą i przeciw woli służyć nie musimy.

- Ścibor ku Smogorzewu wyjechał wojsko zostawiając - ozwał się ktoś.

- To u swojej Doszki pewnie ulgnie jak zwykle, gdy tu bawi. Jeśli nie wojuje, to kocha - zaśmiał się najmłodszy w gromadzie, Jaksa, zwany Miechem.

- Nam by do niego jechać - rzekł Wszebór. - I o tym, co się gotuje, więcej wie, bo mówić musiał z Mieszkiem, a i co z nim - wie albo będzie chciał wiedzieć.

- Ja tam - do Ścibora bez wiedzy kniazia nie pojedę ni swoim jechać nie dozwolę - rzekł Mściwój. - Jeśli z Mieszkiem się uładził, to jechać nie ma po co, a jeśli nie, to go przeciw bratu podżegać nie będę, skoro przy Mieszku stoję. Zajedno mi, co się zdarzy. Moja rada: nie spieszyć z postanowieniem i tu zaczekać. Książ wcześniej czy później radę zwoła, jak ojcowie jego zwoływali, a jeżeli nawet zrobi, co sam zechce, to wiedzieć przynajmniej będziemy, co.

- A ja, choćby sam, pojedę do Ścibora - wybuchnął Wszebór - a nic tam nie wskóram, to i gdzie indziej!

- Miarkujcie się, jeśli możecie. Ja nic nie słyszałem, ale i więcej słyszeć nie chcę! Z Mieszkiem wojny szukacie. By wam wrychle nie obrzydła odparł Mściwój i dźwignąwszy się z ławy, na syna skinął, by go z izby wyprowadził.

Inni też, pogwarzywszy chwilę, szli na gospody spocząć po nie spanej nocy. Tylko Wszebor ze swymi do koni zaraz ruszył i nie mieszkając z gródka wyjechał.

Siedziba Ścibora

Gródek, zwany Kozim Rogiem, nazwę zawdzięczał kształtowi wchodzącego w leśne jezioro półwyspu, na którym był położony. U podstawy od ładu odcięto go głębokim rowem, tak że wodą dookoła był oblany. Przez rów prowadziło jedyne przejście na zwodzony most w bramie kamiennego, na dębowym rusztowaniu opartego wału. Od jeziora całe obejście częstokołem było obwiedzione, miejscami schodzącym w wodę. Jedyne sam cypel, wysunięty w jezioro, otwarty był, stanowiąc przystań dla łodzi pod wierzbami, nad głębią od wschodniej strony, a łachą piaszczystą, łagodnie schodzącą w wodę, od zachodniej.

Nieobszerny ten gródek dużo miejsca w szerokim Ściborowym sercu zajmował. Sam jezioro to odnalazł w głębi borów, ścigając jako wyrostek ogromnego odyńca i ubił go na łasze, pierwszego w życiu. Własnym przemysłem gródek wystawił i obwarował, własnych nawet barów i rąk nie żałując. Tu łup co znamienitszy z wojen i łowów ściągął i tu najmiłszą z niewiast swych, Greczynkę Eudoksję, Doszką zwaną, z dwojgiem bliźniaczych dziątek osadził, pod opieką okaleczanego w obronie jego życia starego Dołęgi, który pod nieobecność pana gródkiem rządził.

Ilekcroć też wojna lub inne sprawy nie trzymały Ścibora z dala, sam lub z najbliższymi druhami tu zjeżdżał wypocząć po gwarze dworskiego czy obozowego życia i wojennych trudach, by w spokoju zapadłego kąta, żyjąc jak prosty kmieć z rodziną jeno, najmiłsze tu mieć wywczaszy.

Tak i teraz w Gnieźnie nie popasał, lecz drużynę zostawiwszy, tu ściągął, z dwoma jedynie towarzyszami, by na łowy z kim było jechać i wieczorem przy kominie pogwarzyć. Ci też, nie pierwszy raz tu będąc, swobody na własną rękę używali, na oczy mu nie wchodząc wiedzieli, że gdy zechce, sam ich zawoła. Ostatnie dni słonecznej jesieni spędzali wałęsając się po lasach za drobną zwierzyną lub barszkując za rybami na jeziorze.

Cisza też panowała na gródku w słoneczne popołudnie, podkreślona brzęczeniem pszczoł krzątających się przed zimowym spoczynkiem, a przerywana dziecinnymi głosami z łachy piaszczystej, na której Ścibor do słońca się wygrzewał. Leżąc na brzuchu, z głową wspartą na łokciach, bosy, z rozchełstaną na piersiach koszulą, popijał od czasu do czasu piwo ze srebrnego kubka, stojącego przed nim na ziemi wraz z malowanym dzbanem, z którego napoju dolewał, i wpatrywał się sennymi oczyma w blaski grające na jeziorze, marszczonym pręgami od grzbietów ryb, do słońca na płyciznę wychodzących. Czasem powlókł oczyma za stadami kaczek na przeciwległym brzegu pod borem, które ze świstem lotek zrywały się i zapadały po okrążeniu jeziora, jakby próbując mocy swych skrzydeł przed odlotem.

Zdawał się nie zważać na dzieci, które wyprawiały po nim swe harce, daremnie chcąc zwrócić na siebie uwagę i wciągnąć do zabawy, na co się jedynie z roztargnieniem uśmiechał. Dopiero gdy zapierając się nogami z całej siły, za włosy ciągnąć go poczęły, by głowę ku nim odwrócił, siadłszy na piasku, zapytał:

- Czego chcecie, skrzaty? Włosy mi powyrywacie i będę łysy jak stary Dołęga.

Dzieci parsknęły śmiechem na myśl, jak by wyglądał bez złotej jak słońce czupryny, a czupurny chłopak, pięciolatek, zawołał:

- Rzuć mnie do jeziora rybom na pożarcie!
- A jak cię naprawdę szczupak połknie? Widziałem tu takiego, co zjadłby cię na jeden kęs.
- A nieprawda. Ryby dzieci nie jedzą, a jeszcze dużych! A ja wyrosłem, kiedy was tu nie było.
- Ale smok może też być w jeziorze.

Chłopak zaczerwienił się, cokolwiek zmieszany, ale po chwili rzekł nadrabiając miną:

- Smoki w wodzie nie mieszkają!
- Skąd wiesz? - zapytał Ścibor.
- Mścisław mi opowiadał o krakowskim smoku, że w jamie mieszkał.
- Ale cię rusałka może porwać.
- Rusałki śpią we dnie.
- A to zaś skąd wiesz?
- A wiem, bo ich we dnie nigdy nie widać, a w nocy tańczą nad jeziorem.
- Któż ci to mówił?
- Widziałem, jak tańczyły, Mścisław mi pokazywał.

Wszystkie dziwa w nocy wychodzą: i skrzaty, i boginki, nawet samo Licho.

- A Licho widziałeś?
- Licha się nie da widzieć, tylko się czuje. Psy wiedzą, jak nadchodzi, może wie i Zbrozło, ale on nic nie powie.

Stary Dołęga ku nam idzie! - zawołała dziewczuszka. - Pewnie cosik nam niesie od matuchny.

Istotnie stary Dołęga włókł się na sztywnej nodze o kiju. Dzieci skoczyły naprzeciw po spodziewane łakocie. Widocznie jednak zawód je spotkał, bo Swatek za kij uchwycił usiłując wydrzeć go staremu z ręki, a Białka za kaftan ciągnąc poczęła dalej iść nie pozwalając.

Ścibor na dzieci zawołał, by dały spokój staremu, podeszły więc z ociąganiem, a Swatek prosząco rzekł:

- Po was Dołęga przyszli, bo rycerze jacyś przyjechali, ale oni poczekać mogą, aż się z nami bawić skończycie.
- Co tam, stary? - zapytał Ścibor zbliżającego się Dołęgę.

- Wszebór z Łęczycy samotrzeć przyjechał i pilno widzieć was żąda.

- Jemu pilno, nie mnie - mruknął Ścibor wstając niechętnie. Widząc jednak, że Swatek się zachmurzył, a Białce na płacz się zbiera, usiadł i rzekł:

- Pachołka mi z szatami przyslijcie, a spieszyć się nie potrzebuje.

Usłyszawszy to dzieci ścisnąć go z radości zaczęły, aż dzban z piwem legł na piasku, wylewając strugę złotego napoju.

- A niech mi tam pachol piwa świeżego przyniesie! - krzyknął Ścibor za oddalającym się Dołęgą i cała trójka śmiać się nagle zaczęła, aż srebrne dzwonki dziecinnych głosów, zmieszane z basem Ścibora, oddało echo od przeciwległej ściany boru.

Pod zachód już się miało, gdy pachol z szatami nadszedłszy, pomógł odziać się Ściborowi, który dzieci pod jego strażą ostawił, a sam szedł do dworca gości powitać. Przy furtce Dosza niespokojnie na niego czekała.

Niewiasta była w pełni rozkwitu, smukła, wysoka, olśniewająco białej i gładkiej cery. Włosy ciemne, ze złotawym połyskiem, związane były w ciężki węzeł na plecy opadający. Twarz o regularnych, prostych rysach tchnęła słodyczą, a wielkie czarne oczy patrzyły na Ścibora z czułością i niepokojem, gdy nieśmiało, ramiona na szyję mu zarzuciwszy, zapytała:

- Czy znowu po ciebie przyjechali? Dopieroś wrócił przecie, a nigdy nie wiem, czy wrócisz.

- Nie bój się, Doszko - podniósł ją jedną ręką do góry jak dziecko, przygarnął ku sobie, całując jej białe czoło. - Od Rusi spokój teraz, z Duńczykami do wiosny mamy rozejm, a cesarz z papieżem się wadzą. Gero do Rzymu pojechał, a domowe kłopoty Mieszkowi wraz z dziedzictwem ostawiłem. - Roześmiał się. - Za mój udział Kozi Róg mi starczy, skarbiec mam swój. Nie od Mieszka to zresztą posłańce. Pojadą, jak przyjechali.

- Tak rzadko cię mam dla siebie, nawet te dzieci nas dzielą!

- Starczy mnie dla wszystkich, duży jestem - zaśmiał się.

- Cały świat mi zasłoniłeś - szepnęła - i słońca bez ciebie nie widać.

- Idźże tedy na słońce, póki jeszcze świeci, a mnie do gości puszczaj, bo się już pewno pospali.

I uwolniwszy się łagodnie z jej uścisku, wraz z oczekującym go Dołęgą do gościnnej izby się udał.

Świetlica była okazała. Rzeźbione belki stropu dźwigały malowaną powałę. Ściany z gładkich pni obwieszane były dokoła skórą dzikich zwierząt - wilków, rysiów i niedźwiedzi - przez samego Ścibora pobitych. Na nich rozwieszono broń różnorodną: zbroje, tarcze, oszczepy, łuki, srebrem, złotem i kamieniami zdobione. Póły, pod powalą dokoła izby obiegające, pełne były naczyń pozłocistych lub nawet szklanych. Ogromny komin stał właśnie w blaskach promieni zachodzącego słońca, które wpadały przez okno ze szklanych gomółek, w ołów oprawnych. Ławy pod ścianami i

wielki dębowy stół zasłane były haftowanymi złotem i purpurą obrusami, a podłoga barwnymi kobiercami. W ostatnich blaskach dnia komnata grała wszystkimi barwami ściągając mimo woli uwagę siedzących za stołem mężów, tak że spostrzegli Ścibora dopiero, gdy stanął przed nimi.

Zerwali się witać, a Ścibor skinął im głową i siadać prosił.

- Nie w porę wam może goście, ale sprawa pilna - zaczął Wszebór.

- Gości bogowie przywodzą - odparł Ścibor wymijająco - a wieczerza zdrożonym pilniejsza. Dziś i tak nie wyjedziecie.

To rzekłszy, na pachołków zaklaskał, by jeść i pić podali.

Jedli i pili jakiś czas w milczeniu. Dopiero gdy pachołkowie, wodę na srebrnych misach i haftowane ręczniki podawszy, naczynia po wieczerzy wynieśli, Wszebór sprawę bez wstępu zagaił:

- Wyjechaliście, panie, nie mówiąc z nikim. Nie stało waszego ojca, nie stało i naszego. Ni ostatniej woli starego pana, ni wprowadzenia nowego nie ogłosił nikt. Ba, nie było komu, bo kapłanów wyżenięto precz. Bodaj że wszystko nowe z nowym panem nastanie, od wiary i obyczaju. Nie niewolniki my, lecz z dobrej woli Piastów za panów uznaliśmy.

- A zaś ode mnie czego chcecie? - chłodno przerwał Ścibor.

- Wiadomo, że u nas, Słowian, młodszemu dziedzina należy.

- Cóż się o mnie zastawiacie, skoro ja o to nie stoję?

- Dziedzina nie koń ni wół, którego sprzedać czy darować można. Ale nie ma wam niewoli rządzić, a nam niewoli słuchać. Skoro rządów nie bierze ten, komu z prawa należą, innego znaleźć potrafimy.

- Znaleźć pana łatwo, jeno pozbyć się trudno - rzekł Ścibor. - A wola wasza jeno między jednym a drugim panem leży, jeśli leży. Nie było wam i waszym źle z Piastami.

- Było dobrze i skończyło się! Nie chcemy nowej wiary ni niemieckiego obyczaju i nie chcemy być niewolnikami ślepo słuchać, nie widząc, do czego się zmierza lub gorzej, widząc, że do zguby własnej, do utraty tego, co najdroższe! - namiętnie wybuchnął Wszebór.

Ścibor zadumał się. Zapanowało milczenie, jeno słychać było gniewne sapanie Wszebora.

Ostatnie blaski zorzy wpadały przez okno do świetlicy i pomału obejmował ją półmrok.

Długo ważył Ścibor. Duma panujących książąt zakazywała tłumaczyć się niższemu, braterska miłość podsuwała pragnienie oszczędzenia trosk Mieszkowi. Przywiązanie do radosnej, swobodnej przeszłości czyniło Wszebora wyrozumiałym, porywczosć zaś nakłaniała zlekceważyć go nie tłumacząc niczego. Przemówił wreszcie:

- Swoi wam są Piastowie, boście ich sami obrali, ale kniaziami są - nie sługami, których zmienić

można, gdy się wam nie zdadzą. Miła sercu wiara i obyczaj, miła sercu wola, ale ich sami utrzymać nie potraficie, gdy ktokolwiek po nie sięgnie. A już sięgają. Może do was, w Łęczycy, później niż gdzie indziej, bo was ze świata, a od was świata nie widać. Pana, mówicie, zmienić? A na jakiegoż to? Nazwijcie takiego, co by was chociaż przed Mieszkiem osłonić potrafił. Juści, Niemce by wam zapłacili, gdybyście na nas poszli, bo sobie to odbiją w trójnasób, a i Waregowie za rabów by was przyjęli. Niemce z dawna to zrobili ze swymi, co Mieszko z naszymi ninie zrobić dopiero zamierza. Dlatego silniejsi są. Rozumu nam dziś i siły potrzeba, by już nie wiara i obyczaj, ale my sami nie sześli. A rozum Mieszko ma, wie, czego chce. Nie po mnie się spodziewajcie, bym ja mu w drodze stanął. Jemu zaszkodzi możecie, ale wam opór nie zda się na nic. Dobrze się namyślcie, nim co podejmiecie. Złamie was Mieszko, ani wiedzieć będziecie kiedy.

Wszebór wstał, a za nim jego druhowie.

- Żegnajcie, kniaziu, wiemy, czego się trzymać mamy.

Mamy zginąć, to zginiemy ze wszystkim, co jest w nas, a nie damy sobie odebrać tego, czego nie mamy do oddania.

Wstał i Ścibor, gniewny już i niecierpliwy:

- Gościem tu jesteście, jedliście mój chleb i sól, dlatego odjedziecie swobodni.

- Dziękujemy wam, kniaziu, i my nie zapomnimy, żeśmy tu gośćmi byli - rzekł Wszebór.

- Możecie zapomnieć - rzucił Ścibor pogardliwie.

- Nie nasz to obyczaj. Może, jak nowe porządki nastaną... - odparł Wszebór.

Stali jeszcze, patrząc na siebie prawie nienawistnie, gdy rozruch jakiś wszczął się na dworze i do izby szybkim jak na swe kalectwo krokiem wpadł Dołęga, zdyszany, wołając:

- Od kniazia Mieszka Zabój z pachołkami przyjechali po Wszebora i bramę otwierać każą!

Wszebór pobladł. Ściborowi twarz skurczyła się w zawziętym wyrazie. Spokojnie jednak wyszedł w podworec ku bramie. Wstąpił na wał i spojrzął na znajdujących się za rowem jeźdźców, na których czele stojący Zabój imieniem księcia zażądał otwarcia bramy. Ku zdziwieniu Dołęgi i 31 nadbiegłych zewsząd ludzi Ścibor kazał bramę otwierać i ozwał się do Zaboja:

- Wejdiesz z dwoma ludźmi, reszta za bramą zostanie.

W świetle zapalonych smolnych szczap, przy zapadającej nocy, wjechał Zabój z dwoma towarzyszami, po czym księżę bramę zamykać polecił. Zabój się tym nie stropił, lecz podjeżdżając do Ścibora oświadczył butnie:

- Pan mój polecił wam wydać Wszebora, a samemu jawić się nie mieszkając w Gnieźnie!

- A czy tobie, pachołku, z konia do mnie przemawiać kazał czci należnej nie oddając?! - spytał

Ścibor podchodząc do Zaboja.

- Pośpiech mi jeno nakazał i przywiedzenie Wszebora, a reszty sami się dowiecie - zuchwale odparł Zabój.

- Wszebora nie przywieziesz, bo go nie wydam, nie spiesz się więc i z konia zejź!

Stojący z tyłu Wszebór odetchnął na te słowa, Zabój jednak nie ustępował:

- Na tom siłę przywiódl, aby opór złamać, choćbym i was w pętach miał przywieść!

Nie skończył jednak, gdy Ścibor z nagła, przednie nogi koniowi poderwawszy, pięścią zdzielił go w kark tak potężnie, że rumak zwałił się na bok, przygniatając sobą jeźdźca. Zabój spod konia wydostać się usiłował, gdy Ścibor za kark go pochwycił i wywłókszy przerzucił ponad częstokół, do bagnistego rowu. Poskoczyli na podwyższenie pachołkowie patrząc, co się z nim dzieje, ale już go, przeklinającego w nieprzytomnym gniewie, własni ludzie z wody wyciągali. Ścibor zaś, nie obejrzawszy się, na Wszebora skinął i z powrotem ku dworcowi poszedł. Przeszli przez sień i obejście, za częstokół nad jezioro. Tam Ścibor do łodzi im siadać kazał i rzekł:

- Rychło wam się sprawdziło, com przepowiedział. Przenocujecie w stogach za jeziorem, rankiem pachoł konie wam sprowadzi. Lasami uchodzić musicie.

- Dziękujemy wam, kniaziu. I wam rychło Mieszko pokazał, czym będziecie.

- Moja rzecz! - mruknął Ścibor i zasiadłszy w łodzi, cichymi i długimi pociągnięciami wiosel łódź do przeciwległego brzegu skierował.

Księżyc wysoko stał już nad jeziorem, srebrząc szczyty wierzb na przystani. W cieniu ich majaczyła biała postać Doszy, która na Ścibora czekała. Usłyszała wreszcie lekki chrobot wiosel o czółno i białe błyski księżycowego światła skakać poczęły na fali, łamiącej gładką toń jeziora.

Ścibor przywiązał łódź do pieńka i szedł ku dworcowi, gdy białą postać zobaczył.

- A ty tu po co marzniesz, zamiast spać? - zapytał.

Nie odpowiedziała mu zrazu, jeno przytuliła się do niego i szli razem ku domowi. U furty czekał Dołęga i zamykając ją, zagadnął:

- Mieszkowi ognisko palą, co mamy począć?

- Straż postawić jak zwykle i spać iść - odparł Ścibor - a jutro konie dla mnie i dla czterech ludzi nagotować. Do Gniezna pojedę.

Dosza spojrzała niespokojnie i gdy do sypialnej komnaty weszli, żałośnie powiedziała:

- Znowu jedziesz, znów się będę niepokoiła o ciebie i dzieci będą płakały.

Chciała jeszcze coś mówić, lecz łyzy głos jej zdławiły. Ścibor przyciągnął ją ku sobie i rzekł żartobliwie:

- Nie zganiaj na dzieci, sama płaczesz, a nie ma o co. Pojadę i wrócę, nie za morzem Gniezno.

- Mieszko o Wszebora gniewny będzie, boję się go.

- Lubi mnie Mieszko i potrzebuje. Wszebora i tak dostanie, jeśli mu będzie potrzebny, a Zabój, głupi pachół, swój tu pewnikiem rozum chciał pokazać. Nie spróbuj drugi raz nie zdjąć przed Piastem kołpaka. Za mądry Mieszko i za dobrze mnie zna, aby mi przez sługę grozić. No, nie marudź, spać chodźmy, to ci zmartwienie przejdzie.

Przesączony przez błonę w wąskim okienku promień księżycy wędrował po podłodze znacząc nocne godziny. Cicho przesunął się po łożu, zawędrował w kąt komnaty i rozpląnął się w szarym świetle wstającego ranka.

Ścibor ostrożnie wyszedł z łoża, przeciągnął potężne gnaty i chyłkiem opuścił izbę. Za parę chwil, ubrany jak do boju, siedział już na koniu, na dom się obejrzał i bramę kazał otwierać.

Dwa światy

Po pogrzebie starego księcia od rana pospólstwo, kmiecie i rycerstwo do domów się rozjeżdżać poczęli i Gniezno codzienny przybrało wygląd. Starszyzna jedynie została czekając, czy Mieszko rozkazów jakich nie wyda, a więcej z ciekawości i niepokoju, rada dowiedzieć się, co dalej będzie.

Słońce miało się już ku zachodowi, gdy posłaniec z gródka wezwał starego Mściwoja do księcia.

Mieszko z Brońcem, starym Ziemomysłowym sługą rozmawiał w świetlicy, od północnej strony gródka, gdy przyjście Mściwoja oznajmiono. Książę odprawił Brońca i do progu podszedłszy witał Mściwoja, po czym za stołem go sadził, poczęstunek sługom przynieść polecił, a gdy sami zostali, czas jakiś wypytywał o własne sprawy starego, wreszcie na ranne wystąpienie Wszebora skierował i wprost zapytał:

- A Wszebór do Ścibora pojechał? Chce wiedzieć, czy sprzymierzeńca przeciw mnie nie znajdzie?

Mściwój spojrzał ze zdziwieniem na księcia i odparł:

- Jeżeli wiecie o tym, panie, to mnie odpowiedzi oszczędźcie. Służyć wam chcę, czym potrafię, ale do donoszenia jam nie zdały.

Wiem ci o tym i nie dlatego pytam, bym od was chciał usłyszeć, co mówiono, bo wiem, co mi wiedzieć potrzeba, ale by od was dowiedzieć się, co o tym myślicie.

- Trudno mi na to odpowiedzieć, panie, bo z bratem waszym nie mówiłem. Ale znam go na tyle, że mogę rzec: wojak to jest mężny i chytry, ale rządzić i urządzić - nie jego sprawa. I nie miarkowałem, by stał o to. A wiedzieć chyba musi, że stary kniaź was panem jedynym na całej dziedzinie ustanowił, i woli ojcowskiej pewnie się nie przeciwi. Pojechał doń Wszebór - nie pojechał, ale nic z tego nie wyjdzie.

- Tak i ja myślę, ale na wszelki wypadek Zaboja za Wszeborem posłałem i Ściborowi kazałem przybyć. Potrzebny tutaj, choćby po to, by nie snuto domysłów i nie jeżdżono do niego - zaśmiał się krótko.

- Jak uważacie, panie! Ale pewnie i lepiej, by brat od was nie odjeżdżał, nim się sprawy nie uładzą. Czekają sąsiedzi, a może i swoi, by właśnie powstały jako zwykle, gdy starego pana nie stanie. Niech żadnego pozorów nie będzie, by do napaści czy nieposłuszeństwa nie dawać zachęty.

- Nierad Ścibor z Koziego Rogu wyjeżdżać, chyba na wojnę, ale myślę, że na jutro z południa tu będzie.

- Zalibyście o wojnie jakiej zamyślali?

- Nie teraz. Spokój potrzebny, choć i płacić zań trzeba drogo.

Mieszko staremu swą podróż do Gerona opowiedział.

Zadumał się Mściwój posepnie i zapytał:

- Więc starą wiarę rzucić zamierzacie?

Kniaź pytaniem na pytanie odpowiedział:

- A wy co byście zrobili na moim miejscu?

W sercu wiara leży, nie w głowie. Gdybym sercem miał rozstrzygać, nigdy bym jej nie rzucił. Co ojcom było drogie, i nam jest. Wiara i obyczaj jak miody: im starsze, tym słodsze.

- Ale i nowe się syci, by dla dzieci starczyło. A tego, co w sercu zostanie, nie widać. I do rządzenia nie serce, ale głowa. Nie przebiję żelaznej zbroi kamiennym grotem. Od wrogów brać trzeba to, czym silniejsi. A jak słabszy silniejszemu weźmie, jeśli nie chytrą?

- Cóż za chytrą wroga w dom puszczając, aby się od niego uczyć? Oni to o nas dowiedzą się, czego im trzeba, ziemię i lud siecią swą omotają i robić będą, co im, a nie nam, potrzeba. Nie tak że z Czechami uczynili?

Mieszko uśmiechnął się.

- Nie ma mi dziś niewoli od Niemca krzyż brać. Cesarz wadzi się z papieżem i sprzymierzeńców szuka. Mnie już znalazł, nim u Gerona byłem. Potrzebny jestem, to i warunki stawić mogłem. Swego biskupa będziem mieć, co wprost od papieża będzie zależał. A że papież daleko, a biskup modlitwą nie wyżyje, ja będę nim i przez niego rządził.

- Bez Niemców i tak się nie obędzie - mruknął Mściwój. - Wielu kapłanów potrzeba, a skąd ich weźmiecie?

- Kapłani biskupa słuchać obowiązani. A wziąć ich myślę z Czech i swoich co prędzej wychować.

- Czesi sami Niemcom służyć muszą, a i nam nie przyjaciele.

- Nie są, to mogą być, a służą, bo muszą. Jeden nam ród i mowa, nie boję się ich. Sami chcieli zachodnich Słowian złączyć - nie zdążyli. Dziś wiedzą, że my jedni siłę stworzyć możemy, choć i temu nieradzi. Nie łudzę się, byśmy blisko tego byli. Jeszcze rody wieców zapomnieć nie mogą, które dobre były, gdy czas był na wszystko. Jeszcze dawni plemienni kniaziowie, każdy by rządzić chciał, jak mu się widzi, a mnie w rękawy zaglądać, co w nich chowam. A kapłani nasi - każdy swego boga pilnować rad, aby rządził za niego mną i wszystkimi, i o to krzywi, że sobie, nie im wierzę. Wojów tyłu jestem pewny na wyprawę, ilu ich przy sobie chowam, o innych nigdy nie wiem, ilu mi stanie. Wróżba zła, w domu zostają. A wróżba taka, jaka kapłanowi potrzebna, bo bóg kapłana, a nie kapłan boga słucha. Nierad mi byle plemienny kniazik, to daniny na czas nie przyśle, a pogniewa się, to jak Wszebór i do wroga przystać gotów. Nie te już czasy, gdy przez bory i bagna nikt do nas przyjść nie zdołał. Nie tak u Niemców. Wszystko tam policzone i spisane, a czymi rękami, jak nie kapłanów. Rzemiosł i uprawy uczą, murowane budowle stawiają. Siłę stworzyli, którą cesarzowi jeno ująć w ręce, a zginiemy, jeśli oporu, póki czas, nie zgotujem. Ja to uczynić potrafię, ale muszę mieć takich pomocników, jakich ma cesarz. Władzę i trud wezmę na siebie, pytać ni tłumaczyć się każdemu nie

będę. Kto się oprzeć zechce, zgniotę!

Mściwój smutno odparł:

- Stary jestem i niełatwo do nowego się nakłonić. Ale i służyć komu innemu nie pójdę, skorom wiek Piastom przesłużył. Ufam waszemu rozumowi. Czyńcie tedy, co wam każe. Ja z moimi przy was zostanę, co inni uczynią, nie wiem. Co mam rzec, kiedy pytać będą?

- To wam zostawiam. Jedno wiedzieć mają: nikt prócz mnie rządzić nie będzie. Karać i nagradzać potrafię. Kto mi wierzyć nie chce, bać się musi.

Powstał książę żegnając Mściwoja i dodał:

- Pierwszym będziecie w mojej radzie. Innych powołam, gdy ujrzę, jak służyć gotowi. Tymczasem tu niepotrzebni, mogą jechać. Niech się zwyczajają do myśli, że krzyż wprowadzę, gdy uznam, że pora. Tymczasem kapłanów ściągamy, którzy pospólstwo uczyć będą. Z żupanów i władków kto ma więcej niż jednego syna, najmłodszego przyśle. Swoich kapłanów trzeba wychować, aby się bez obcych obeszło. I w obce kraje pojedą zobaczyć, co robią inni, abym wiedział, co mi trzeba, nie przepłacając obcych za niepewne służby.

Pokłonił się Mściwój nic nie odrzekłszy i wyszedł, a książę dumał chwilę, po czym w dłonie zaklaskał polecając sprowadzić Jordana. Zjawił się też zaraz, gdyż na dworcu zamieszkał.

Mrok już był w komnacie, tak że Jordan, wszedłszy, nie dostrzegł zrazu księcia. Dopiero gdy Mieszko ozwał się, siadać prosząc i wypytywać począł, co dotychczas ujrzeń zdążył i co o tym sądzi, Jordan zamyślony odparł:

- Z okien waszego gródka niewiele widać, panie, trzeba na świat wyjść, między ludzi. Ale zda mi się, że ugór tu prawie szczery. Zbiorów pewnie oglądał nie będę, ale z Bożą i waszą pomocą rolę przygotuję swoim następcom.

- Jakiej pomocy będzie trzeba, takiej możecie żądać. Nie pożałuję niczego, by wam dzieło ułatwić, bo wy moje ułatwicie. Nie będę tań, że dla swoich zamysłów was sprowadziłem. Mnie nie nowy Bóg potrzebny, ale nowy porządek i ludzie, którzy go wprowadzić potrafią. Nieraz, gdy las goreje, nie masz innego ratunku, jak przed sobą go podpalić, by schronić się na zgliszczu przed zgubą, ale żal miłych drzew, które poświęcić się musi.

- Dziękuję wam, panie, za szczerość, bo i mnie szczerze łatwiej mówić. Moja praca Bogu służyć i Jemu drogi prostować. A jeśli po nich wy swego dojdziecie, służąc sobie, służyć będziecie Bogu. Różnymi drogami Bóg do siebie prowadzi. Ale że na ziemi mamy działać, przeto mi i ziemską pomoc potrzebna, nie tylko w ludziach i złocie. Jakże możecie się spodziewać, że maluczcy uwierzą, gdy was wierzącym nie ujrzą? A jakże wy wierzyć możecie nie wiedząc w co? I stare drzewa można przeszczepić, gdy trzeba. Ale młode od razu tam sadzić, gdzie rosnać mają. Dajcie mi dostęp do młodzieży, a wychowam wam ludzi, jakich potrzebujecie. Tymczasem kapłanów jak najwięcej sprowadzić takich, co by pokochać potrafili tych, którzy pracować mają.

- Świątynię gnieźnieńską tymczasem wam oddaję ze wszystkim, co w niej i przy niej. Przynależność ją, by waszej wierze i waszym celom służyła. Łatwiej wam ludzi przynęcić przyjdzie, bo po wróżbę i radę tam chodzić nawykli. Wasza rzecz, by ci, co przyjdą, wracali. Ludzi do służby i ochrony dostaniecie, ilu zażądacie. Dobrac możecie sami, którzy się wam zdadzą. A młodzież przysłać kazałem i rychło ją będziecie mieli. Nauczcie ich, co mnie i wam przydatne. Ze skarbca wydać każę, co potrzeba, dostęp do mnie macie każdego czasu, a młody Włost przeznaczony, by wam we wszystkim pomagał i objaśniał, póki się z nami nie zżyjecie. Ostrożnie zrazu postępować musicie, by ludzi zjednać i przywabić, a nie zrazić. Z Italii i Czech kapłanów sprowadzę, niemieckich jak najmniej, bo nieufność budzić będą. Wasza rzecz tak sprawą kierować, by prędko dojrzała i bym oporu łamać nie musiał, choć nie będzie i bez tego. Rady waszej nieraz zasięgnę. Służcie życzliwie, a nie pożałujecie. Gdy wam tu działać wypadło, naszym się stajecie i pana we mnie widzieć musicie jako inni.

Pokłonił się Jordan z uśmiechem mówiąc:

- Będzie, jak Bóg zechce i wy, panie. Ale wiedzcie, że pierwszym moim panem na ziemi jest Ojciec Święty.

Uśmiechnął się Mieszko z kolei:

- Juści, juści, w kościelne sprawy wtrącać się wam nie będę, ale nie o tym mówię. Niemce to chcieli, by nowo nawrócony kraj niemieckim arcybiskupom poddać, by przez nich zarządzili jak w Czechach. Tego tu nie będzie. Między wami a papieżem ja jeden będę pośrednikiem. Wy i każdy z wam podległych ludzi musi o tym pamiętać. Niech nikt nie próbuje ponad głowę moją z kimkolwiek się znosić. Za zdradę musiałbym to uważać. Okrutnie się u nas zdradę karze, a nie daruję, jej nikomu.

- Spokojni bądźcie, panie - poważnie odparł Jordan. - Bóg, który władców na ziemi stanowi, słuchać ich nakazał. Pracę rozpocznę zaraz. Wypoczęliśmy już z drogi, czas zacząć kłaść zręby pod nową budowę.

- Szczęścia wam życzę w pracy waszej - rzekł Mieszko.

- I ja wam, panie! - odparł Jordan.

Ścibor u Mieszka

Zadudnił pod kopytami zwodzony most i Ścibor samopięt wyjechał z Koziego Rogu. Porwali się na jego widok Zabojowi i drogę zastąpili, lecz on, jakby ich nie widział, jechał przed siebie, że zmieszani rozstąpili się drogę mu dając. Minawszy dopiero obejrzał się i pogardliwie na Zaboja skinął, który nie wiedząc, co począć, za nim jechał. Zbliżył się Zabój, wściekły, ale rad dowiedzieć się czegoś, co mu o dalszym postępowaniu postanowić pozwoli.

Istotnie Ścibor, spoglądając drwiąco na Zaboja, ozwał się:

- Jak kniaź kazał, widzisz, do Gniezna jadę, a ty możesz mnie pilnować jadąc za mną. Pęta, coś na mnie przywiózł, dobrze przechowaj. Będą pod ręką, gdy cię powieszą. A pilnuj, bym ci nie uciekł jak Wszebór; lubię prędko jeździć, a ciebie, widzę, głowa boli, boś ją mokrymi szmatami owinał. Żebyś to przedtem zrobił, zanim ci się zachciało z konia do mnie mówić, tobyś nie musiał jak głupi przed kniazem stawać.

Roześmiał się i konia popędził, a przeszedłszy zaraz w skok, leciał przez las. Za nim reszta nadażała co sił w koniach, aż wiatr świstał w uszach, a bryzgi piasku wylatywały spod kopyt końskich. Lecieli tak, aż droga w bagienny grunt schodzić zaczęła krętą i grząską ścieżyną, po której gęsiego i stępa jechać było trzeba. Ścibor, świadomy przejść po bagnach, wyprzedzał orszak.

Mglisty poranek pociemniał jeszcze od oparu z trzęsawisk wstającego, a nim z bagien na suchy kraj się wydostali, mgła przeszła zrazu w kapuśniaczek, a potem w deszcz dość rześisty. Koło południa popaśli konie, sami przekąsiwszy co nie bądź pod gęstwiną drzew, dającą jakie takie schronienie, po czym ku Gnieznu się puścili mało przetartymi szlakami przez bory, w których przy wczesnym zmierzchu chmurnego dnia ciemność panowała prawie zupełna i tylko łowieckie wyczucie pozwalało nie zbłądzić w plątaninie drzew, wykrotów, strumyków i bagien. Gdy wychynęli z lasów, mrok już był zupełny i minawszy groble na Jelonku na podgrodzie zajechali. Ścibor swoim na Żuławy dalej jechać kazał i jakby nie widząc, że Zabój za nim jedzie, na gródek wykręcił.

Przejechawszy most, zsiadł z konia i pachołkowi go oddawszy, szedł wprost do świetlicy, zleciwszy komornikom oznajmić księciu swe przybycie. Stał przed kominem, na którym płonęły kłody bukowe, i zacierając zgrabiałe na deszczu i wietrze dłonie, wyglądał Mieszka.

Zabój ze swymi wjechał również w podworzec i wojaków rozpuścił. Zmarznięty i zły czekał w obszernej i mrocznej sieni, aż pan go wezwać każe. Czekał długo, znużony i rozbity, wreszcie ruszył do swej izby, polecivszy się zawołać, gdy księżę go widzieć zażąda.

Wszedł z zamiarem, by choć nie rozbierając się na łożu lec, zastał jednak stryjecznego Mieszkowego, Odylena, który już wyczekiwał na niego i o wynik wyprawy wypytywał.

Zabój niechętnie o niepowodzeniach swych opowiedział, czym Odylena zarówno zmieszał, jak rozzłościł. Liczył on, że nad Ściborem niełaska Mieszka zawiśnie, jeśli nie gorzej, tymczasem ze Ściborowego zachowania jeno beztroskę i pewność siebie mógł wymiarkować. Że Wszebór uszedł, było mu raczej na rękę, ze Ściborem jednak na inny przebieg sprawy liczył: albo że z kniaziewymi w bitkę się wda otwarcie broniąc Wszebora, albo też, siłą przywiedziony, Mieszkowi do oczu skoczy, a

w obu przypadkach Mieszko przeciwko sobie podnieci. Nie było jeszcze pewności, czy rozmowa między braćmi nie skończy się wybuchem. Odylen dużo dałby by móc słyszeć rozmowę. Nie bardzo by jednak nienawiść swą nakarmił.

Książę, wszedłszy do świetlicy, zastał Ścibora na ławie przed kominem, na której obok siebie kozuch swój do suszenia rozłożył. Zrzucił go na ziemię, miejsce Mieszkowi czyniąc i, jakby u siebie był, siadać go prosił mówiąc ze śmiechem:

- Siadaj, miłościwy panie, bo nie uchodzi, byś stał, gdy ja siedzę, mnie zaś gnaty z drogi bolą. Jestem oto, jak kazałeś. Jeść mi każ przynieść i pić, bom zdrożony i zziębnięty.

Mieszko usiadł nie na ławie, lecz na zydlu, bokiem do komina, i na Ścibora patrzył przez chwilę, po czym ozwał się:

- Bardzoś pewny mojej łaski, jeśli nie słabości, że nawet nie sprawisz się, czemuś Wszeborowi ująć pozwolił, a sługiś moje potłukł i drwiłeś z nich w żywe oczy. Zdałoby się, byś pamiętał, że nie tylko bratem twoim jestem, ale i panem. Wszebór uszedł, bo chleb jadł pod twoim dachem, i przeciw mnie działać będzie. Mój ci jest naprzód każdy dach w tym kraju i tego od każdego żądam, by nikt wrogów moich pod nim nie przyjmował.

Ściborowi twarz zmierzchła, lecz zaraz uśmiechnął się i rzekł:

- Nie byłbym ci ja zdał się na łaskę waszą, gdybym jej pewny być nie mógł. A sprawiać się, widzę, nie potrzebuję, skoro już wieści macie, jak poszło. Chyba z tego, iż nie wiedziałem, z czym Wszebor przyjeżdża, a gościa dać złowić w swym domu - nie nasz obyczaj. Mnie, nie wam, byłby srom, dlatego do tego nie dopuścił. A że wam setnika potłukł i z niego drwiłem, to już jego albo wasza wina, skoro z konia do mnie przemawiać raczył, czci mi należnej nie okazawszy, i pętami groził, gdybym zaproszenia waszego nie usłuchał. Tom go też z gródka wyciepnął i myślę, że mu dołożycie, jeśli nie z waszej woli to czynił, i na tych pętach, którymi mi groził, powiesić każecie.

- Pętami ci groził? - spytał książę z błyskiem gniewu w oczach.

- A juści! - odparł Ścibor. - I widzę, że słusznie mniemałem, iż od siebie to mówi, a może jeszcze od kogo innego, bo i rozumowi waszemu wierzę, że taki rozkaz od was nie wyszedł.

Miast odpowiedzi Mieszko zaklaskał w dłonie. Wszedł dworski Dobrosław, a Mieszko Zaboja natychmiast sprowadzić polecił. Za wychodzącym Dobrosławem Ścibor zawołał:

- A mnie jeść i pić każcie zaraz podać, bo książę o tym zapomniał!

Mieszko, choć gniewny, uśmiechnął się i zlecenie Ścibora powtórzył, gdy jednak komornik wyszedł, odezwał się:

- Statku by ci się i powagi zdało trochę. Za zabawę życie jeno masz. Jak żrebaka, nigdy nie wiadomo, gdzie cię poniesie.

- Ale sobie z tym nie krzywduję i ty nie masz na co 41 narzekać. A jeść przecie muszę, choćby tu nie

Zabója, ale samo Licho przywieść mieli - odparł Ścibor.

Jakoż gdy pacholek wniósł misy z mięsem i kołaczem oraz stągiew miodu, Ścibor zajął się nimi tak gorliwie, że ledwo spojrział, gdy Zabój z Dobrosławem do świetlicy weszli.

Mieszko na pokłon Zabója nie odpowiedział, lecz zagadnął zimno:

- Com ci kazał, a coś sprawił? Mów!

- Kazaliście, panie, Wszebora schwytać, a kniazia Ścibora do Gniezna wezwać - zdławionym głosem rzekł Zabój.

A ty Wszeborowi ujść dałeś, a bratu memu pętamiś groził, psie! Głupiś albo zdrajca! - i do Dobrosława się zwracając rozkazał:

- Na powróż!

Zabój do kolan mu się rzucił wołając rozpaczliwie:

- Pomiłujcie, panie! Przecież kniaz Ścibor Wszebora wziąć nie dał, woli waszej się przeciwiając, i dlatego pętami groził, że nieposłuszeństwo okazał. Za cóż mnie karać chcecie?

Ścibor, który obojętnie przysłuchiwał się jedząc, przełknął kęs i ozwał się:

Pofolgujcie mu. Głupi jest, bo gdyby nie był, nie próbowałby gościa mi z domu brać ni grozić, a gdyby was znał, nie byłby tu wrócił. Oczy mu wydrzeć wystarczy. Do żaren się przyda, bo mocny, a na starość dziadem zostać może. I będzie moje miłosierdzie śpiewał. - Zaśmiał się i popił miodu:

- Do lochu go wrzucić! - rzekł Mieszko do Dobrosława. - Jutro postanowię, co z nim będzie.

I ręką skinąwszy wyprawił ich, a gdy odeszli, rzekł do Ścibora:

- Krew Piastowa święta jest, dlatego karę poniesie, by przykład był, aby nikt nawet w myśli ręki na nas podnieść się nie ważył. Dlatego ja i stryjecznych znoszę, choć nam niechętni, że na dziedzinach nie siedzą, i gdzie mogą, knują. Przy sobie ich trzymać muszę, by na oku mieć, ale i oni mnie na oku mają, a choć nie tylko swoimi oczyma patrzę, a uszyna słucham, przecie nie upilnuję wszystkiego. Zabojowi może bym i oczy darował, bo wojak dobry, gdyby nie to, że im podatny, a gdy raz kogo pewny być nie mogę, wolę usunąć. Dość mam pilnowania.

- Daj mi ich na wojnę, to ja dopilnuję.

- Bałbym się zdrady dla ciebie. Wodzami ich nie poczynię, a na prostych wojów Piastom nie lza. Zresztą i wojny teraz nie ma, i jej sobie nie życzę, póki co ważniejsze nie uładzę. Dam ci ich do orszaku w posły do Gerona, orszak okazały być musi. Tam się ich dopilnuje i przekonam się, z kim się znoszą i do czego zmierzają.

- To w posły pojedę? - zapytał Ścibor.

- Do Gerona i do Bolka czeskiego, chyba że ja sam będę mógł ruszyć.

- Gero do Rzymu przecie pojechał.

- Wieści mam, że długo nie zabawi. Nie pojedziesz zresztą zaraz, a trzeba, byś tam przed nim był. Łatwiej się porozumieć z naszymi ludźmi, których tam opłacam, gdy starego nie będzie. Chytry on jest i ostrożność wielką zachować trzeba, aby ich nie zdradzić.

- Wielka rzecz, gdy stary któremu zdrajcy łeb ukręci.

A wielka! - rzekł z pewną niecierpliwością Mieszko - bo nowych szukać i kupować trzeba.

- Z Odylenem i Przybywojem cóże tam pocznę?

- Ty nic. Będą tacy, co mi doniosą, z kim i o czym mówili.

- Na powróż bym ich wziął, jeśli z Niemcami się znoszą!

- I nie chcę, i nie trzeba - rzekł Mieszko. - Gdy raz wiem, że się znoszą, upilnować i innych łacniej. Tylko poznać im nie daj, że wiem, co myślą, bo ostrożniejsi będą.

- Trudno będzie, gdy zółć się na nich wywraca. A pozór poselstwa jaki?

- Powieziesz hołd i daninę dla cesarza z kraju Wkrzanów i Licykawików, a odbierzesz od Gerona italskich kapłanów, którzy z nim przyjechać mają. Ich także przebadać trzeba, czy stary mi swoich nie wysyła. Gdyby taki był, nie będę gniewny, jeśli go wilki po drodze ogryzą, byle cicho.

Ścibor roześmiał się drapieźnie.

Jeszcze italskiego mięsa nie kosztowały. Aby się nie struł który.

- U Gerona siedzieć możesz, jak długo się da. Mnichów jeno zaraz odeślij. Nie będziesz już tu wracał, lecz wprost do Bolka pojedziesz.

- A do niego zaś z czym?

- Po żonę dla mnie i wiano.

- Kogóż to od Bolka za żonę chcesz brać? Młada mniszką przecie i w Rzymie siedzi, a Dobrawka zamężna z Gunterem i syna z nim ma Guncelina.

- Daliby, której bym zażądał, i na zakonne śluby nie zważając. Ale wolę Dobrawkę. Wiadomo już, że płodna jest, zdrowa i krzepka, postami nie wychudzona. Już ją i Gunterowi Bolko odebrał.

- Ja bym ta nie brał kobiety po nikim.

- Nie kobiety mi trzeba, bo dość ich mam, tylko chrześcijańskiej księżniczki i spokoju z Bolkiem.

Niemieckiej brać nie mogę, bobym tylko burzę rozpętał, miast ją załagodzić, gdy krzyż wprowadzać będzie trzeba.

- Prawda jest - mruknął Ścibor i przeciągnawszy się rzekł: - Spać idę do siebie na Żuławy. Rad jestem, że nie ja chrześcijańską księżniczkę brać muszę. Życ by mnie mierziło z niewiastą, do której serca nie mam.

Mieszko uśmiechnął się i rzekł:

- Ale też i masz serce dla wielu, jedna więcej nie byłoby różnicy.

- A taki mierzi człowieka spać z rybą - rzekł Ścibor i pożegnawszy się wyszedł.

* * *

Szary świt rozjaśniać dopiero zaczął wewnątrz świątyni, gdy Jordan z gromadką swych ludzi po raz pierwszy mszę świętą odprawiać przyszedł. Wzruszony i przejęty, na tymczasowo przygotowanym ołtarzu, na którym dwa dni temu jeszcze posąg bóstwa stał, złożył przywieziony relikwiarz. Złoty kielich i patyna zabłysły jak pierwszy promyk nowej wiary w ciemnościach.

Ministrant właśnie oblec miał Jordana w szaty liturgiczne, gdy młody mniszek wpadł do świątyni wołając:

- Człowiekowi jednemu oczy za karę wydzierać mają!

- Gdzie i kiedy? - pospiesznie zapytał Jordan.

- Z lochu na tylny dziedziniec oprawcy go wiodą. Opiera się i wrzeszczy, aż serce ściska - odparł mniszek.

Jordan spiesznie wyszedł ze świątyni i na dworzec pobieżał. Na służbie będący komornik, który rozkaz miał o każdej porze Jordana puszczając do księcia, zdziwiony był jednak porą niezwykłą i tłumaczyć usiłował, że pan tylko co z łoża wstał, lecz przynaglony zgodził się zapowiedzieć odwiedziny, Jordan jednak, nie czekając, wszedł za nim.

Mieszkowi właśnie szatny odzież podawał. Księżę spojrzał na wchodzącego niecierpliwie:

- Cóż to za sprawa pilna, że zaczekać nie możecie, aż was zawołam?

- Pilna, panie, bo raz wydarte oczy chyba Bóg wrócić może!

- O Zaboja wam chodzi? A cóże wam on? Ani wiecie, za co go karzę. Ani wam brat, ani druh, a ja jedno mam słowo i com rzekł, to się stanie!

- Bratem mi jest w Bogu jako każdy, a słowo wasze ja mam pierwszy, gdyście mi, panie, pomoc wszelką i ludzi, jakich zażadam, dać obiecali. Ten mi jest potrzebny i o niego proszę, na słowo wasze się powołując.

Mieszko ważył przez chwilę, patrząc na Jordana, po czym ozwał się:

- Domyślam się, po co on wam. Weźcie go! Wierzę, że władzy, jaką nad ludźmi uzyskać chcecie, dla mojego dobra użyjecie - i polecił Zaboja duchem sprowadzić.

Za chwilę wprowadzono go, pokrwawionego i w podartej odzieży, z potarganymi włosami i brodą, gdyż bronił się jak szaleniec, ale miał jeszcze oczy, którymi z dziką trwogą na księcia spozierał. Mieszko wskazał ręką na Jordana:

- Temu oto mężowi cię podarowałem. Od niego zależy, co z tobą będzie!

Zabój niepewnie spojrział na Jordana, który rzekł:

- Spokojny bądź. Bóg, który ci cielesne oczy ocalił, da przejrzeć duchowi twemu. Pójdź za mną!

A do księcia zwrócił się ze słowami:

- Dziękuję wam, panie! Miłosierdzie samo za siebie płaci.

I wyszedł z komnaty, a za nim szedł Zabój jak pijany lub urzeczony.

Na razie jedno tylko rozumiał, że oczy ocalił. Od reszty tylko zamęt miał w głowie i głuche poczucie, że należy już do tego starego, nie znanego mu człeka, który go od nieszczęścia wybawił.

Pierwsza wigilia

Listopadowe deszcze rychło ze śniegiem mieszać się zaczęły, w pogodniejsze dni rankami mróz bieleł już gałęzie drzew i ścinał brzegi jeziora w delikatną skorupę lodu.

Na gnieźnieńskim dworcu życie zwyczajnym potoczyło się torem; książe posłów i gości przyjmował, posłańców na wszystkie strony kraju rozsyłał, a z Mściwojem i Jordanem częste odbywał narady. Jordan ze swymi zagospodarował się już w świątyni, którą coraz to piękniej zdobił, dzięki hojności Mieszkowej, a także własnemu i swych ludzi przemysłowi. Przyzwyczajili się wrychle do niego miejscowi, gdyż nie narzucał się nikomu, a proszony albo i sam widząc potrzebę, radą i czynem służył, nie skąpiąc biednym wsparcia, a chorym pomocy. Dworscy też poważać go wielce zaczęli widząc, że książe rad daje mu ucha, a spokojne i pełne godności, choć nie zawsze zrozumiałe zachowanie budziło szacunek. I z obcych nieraz ktoś po dawnym zwyczaju zapędził się do świątyni, na miejscu dopiero dowiadując się o zaszłej zmianie, i z ciekawością oglądał odmienione nie do poznania wnętrze, każdemu bowiem wstęp był dozwolony. Niewiasty zwłaszcza, choć zrazu płochliwe, przecie ciekawością wiedzione, coraz częściej przychodziły, czasem i dzieci ze sobą przywodząc, i dziwowały się światłom, ozdobnym szatom, bogatym sprzętom i śpiewom, które choć niezrozumiałe i do dawnych zgoła niepodobne, przecie za serce chwytały napawając je lubością i wzruszeniem. Często też z włądyków i żupanów, którzy dzieci swe na rozkaz Mieszka Jordanowi oddali, przyjechał któryś w odwiedziny, i z nimi Jordan przyjaźnie rozmawiał. Dzieci też, zrazu nieufne, a nawet przez domowników nowością wystraszone, lgnąc poczęły do łagodnych ludzi, którzy ich własną, choć łamaną mową opowiadali ciekawe, nigdy nie słyszane rzeczy, pokazywali księgi z pięknymi, barwnymi obrazkami, objaśniali ich treść i wtajemniczali w znaczenie obcych słów i znaków, którymi były pisane; uczyli śpiewu w obcej mowie, którą dzieci, choć niezrozumiały, rychło sobie przyswajały.

Przymrozki przeszły w mrozy, coraz silniej ściskając ziemię i wodę, a z początkiem grudnia wichry hulać zaczęły niosąc śnieżyce, które grubym kożuchem śniegu okryły wały, zasypały fosy i drogi, tak że człek z konieczności jedynie wyruszał z ciepłego domostwa, kopiąc się w zwałach, do studni lub wodopoju czy do sąsiada w pilnej jakiejś sprawie.

Dopiero w drugiej połowie miesiąca wichry nacichły i pogoda ustaliła się jasna, choć mroźna.

Dnia jednego Mieszko na łowy się zbierać zamierzał, gdy Jordan z dwoma towarzyszami zjawił się na dworcu. Mieszko, który go polubił, a od paru dni nie widział, chętnie prosić kazał i za stołem sadził. Jordan wymówił się od poczęstunku mówiąc, że na dzień jutrzejszy przypada jedno z największych świąt w roku, w którego wilię pościć do wieczora należy, natomiast księcia na wieczerzę i nocne nabożeństwo prosił.

Mieszko, zaciekawiony, przyjść obiecał i gdy jeno ściemniać się zaczęło, w towarzystwie Mściwoja, Dobrosława i kilku dworskich udał się do zabudowań świątyni.

W przedsionku mieszkalnego domu Jordan stał ze wszystkimi towarzyszami, pana witając uroczyście, i zaraz prowadził do zdobionej choinką świetlicy. Pośrodku izby ustawiono ogromny stół, sianem pachnący, zastawiony potrawami, nieraz księciu i jego towarzyszom nie znanymi.

Mieszko usiadł na podwyższeniu, mając Jordana po prawej, a Mściwoja po lewej ręce. Pozostali czekali stojąc, aż książe usiąść pozwoli. Jordan wstał i odmówiwszy w łacińskiej mowie modlitwę, do Mieszka się zwrócił:

- Miłościwy panie, który z łaski Boga władasz tą krainą, abys ją do wiary prawdziwej przywiódł! Raczyłeś nas, niegodne sługi Boże i twoje, nawiedzić pod dachem, który niedawno jeszcze był schronieniem guseł i zabobonu, a dziś zrządzeniem Bożym i z twojej woli służyć ma światłu i prawdzie. Skromna nasza uczta niegodna byłaby twej obecności, gdyby nie była upamiętnieniem narodzin Zbawiciela świata. A że w dziejach tego kraju po raz pierwszy panujący książe z nami uroczystość tę ma obchodzić, przeto dzień ten błogosławiony pamiętny będzie w wieki dalekie, a światła, jakie tu wnet zapłoną, będą iskrą, od której rozgorzeje pochodnia prawdziwej wiary, by lud twój do błogosławionej przyszłości poprowadzić.

Po czym księciu na malowanej misie podał białe opłatki prosząc, by z nim i z innymi chlebem się podzielił, bo taki jest w tym dniu zwyczaj. Mieszko z pobłażliwym uśmiechem misę z rąk Jordana wziął i z nim się przełamał, a potem z wszystkimi obecnymi. Gdy z mnichami Jordana, którzy siedzieli przy końcu stołu, chlebem się łamał, twarz jednego z nich wydała mu się z dawna znajoma. Mnich stał, w oczy księciu nie patrząc, gdy jednak Mieszko zatrzymał się przy nim mierzając go badawczo, poznał Zaboja. Cień przeleciał przez twarz Mieszka; nie rzekł nic i dalej poszedł.

Wieczera ciągnęła się blisko do północy, po czym Jordan Mieszka i obecnych na nabożeństwo prosił. Wyszli tedy po skrzypiącym śniegu, pod wyiskrzonym niebem do świątyni. Tam Mieszko zajął przygotowane dla niego miejsce naprzeciw ołtarza, starszyzna za nim w ławach, a po bokach dzieci. Prosty lud z gródka i osad tłoczył się z tyłu, oglądając z podziwem nie znane mu wspaniałości, iskrzące się w blaskach dziesiątek świec, które u ołtarza płonęły.

Za chwilę przed ołtarzem zjawił się Jordan w pozłocistych szatach pontyfikalnych. Mnisi służyli do mszy, uroczyście ze śpiewami i kadzidłem celebrowanej. Wyuczeni chłopcy dziecinnymi głosami odśpiewali kilka pieśni.

Mieszko słuchał, patrzył i poczęło go ogarniać nie znane jego dumnej, twardej naturze uczucie, którego nawet nazwać nie umiał, a które było rozrzewnieniem. Nieswojo mu z nim było i zapragnął samotności. Toteż gdy Jordan skończył śpiewać pierwszą mszę, wstał i pożegnawszy się z nim, wyszedł wraz z orszakiem. Przed świątynią zauważył tłum ciekawych, którzy, do wnętrza docisnąć się nie mogąc, przez otwarte drzwi zaglądali, a przynajmniej nasłuchiwali śpiewów. Rozstąpili się z czią, a gdy przeszedł, tłoczyć się jeszcze bardziej do wnętrza poczęli, tak że świątynię wypełnili szczelnie po brzegi i odeszli dopiero, gdy ostatnie świece pogaszono.

Idąc do domów z ożywieniem omawiali nabożeństwo, a ten i ów próbował podchwycić zasłyszane melodie. Obce było to wszystko, ale nie raziło ich nic, a pociągała wspaniałość i nowość. Nie mogli jedynie zrozumieć, co by szkodziło, gdyby w świątyni pozostał Nyja, choćby i nie na ołtarzu, aby i on tym wspaniałościom mógł się przypatrzeć i któremu by się przy sposobności pokłonić mogli.

Długo jeszcze w noc gwarzyli po domach o tym, co widzieli, po czym spać poszli rozmyślając, co też to jest za wiara, którą tak pięknie się święci.

Druhowie Ścibora

Ścibor, po powrocie z Gniezna, czas jakiś, ku radości Doszy i dzieci, spokojnie w domu siedział zabawiając się z towarzyszami lub baraszując i doglądając psów i koni. Gdy jednak zima się uczyniła i śniegi zasłyły puszcze, na łowy wybierać się począł.

Dosza znów niespokojna chodziła, gdyż zazwyczaj na łowy się wyrwawszy Ścibor nie wracał po kilka tygodni, a czasem aż z wiosną. Choć zwierza pod dostatkiem było w pobliżu, Ścibor nie lubił polować w znanych już puszczech, lecz coraz gdzie indziej się zapędzał, nocując gdzie popadło, często w naprędce skleconym szałasie. Czasem, ulgnawszy gdzieś w gościnie, zabawiał się z towarzyszami po leśnych osadach i gródkach.

Gdy dzień począł się przedłużać i ustaliła się pogoda, pewnego wieczora oznajmił, że nazajutrz przed świtem wyruszy. Wieczorem w świetlicy czynił ostatnie przygotowania przy pomocy Mścisława i Zbrozły, którzy towarzyszyć mu mieli. Prócz nich zabierał kilku pachołków, którzy, konie i psy opatrzwszy, wcześniej spać poszli.

Doszka w mówiła się do świetlicy i choć mężowie o łowach jeno gwarzyli, mało na nią zwracając uwagi, siedziała przędąc w świetle płonącego na kominie ognia. Słuchając opowiadań wodziła czasem oczyma po twarzach lub z zadumą patrzyła w ogień. Zazdrościła towarzyszom małżonka, że z nim pojadą, gdy tymczasem ona znowu czekać będzie w długie, jednostajne wieczory, marzeniem jeno goniąc za Ściborem. Z opowiadań też starała się poznać to nie znane jej życie, w którym myślą tylko udział brać mogła.

Jednym z towarzyszy Ścibora był Mścisław. Choć młody jeszcze bardzo, od lat już żył się ze Ściborem. Przybył swego czasu wyrostkiem, z ojcem swym - Nawojem, chrobackim władką, który ze Ściborem na Pomorze pociągnął i z wojny nie wrócił. Czy się do niewoli dostał, czy poległ, nie wiedział nikt, bo zaginął w nocnym starciu, jak kamień w wodzie. Ścibor zabrał chłopca do siebie i już się nie rozstawali. Mścisław za niego w ogień i wodę by skoczył, a Ścibor lubił go niezmiernie, bo przypadł mu jak mało kto. Zawsze wesoły, choć spokojny, zręczny był do wszystkiego.

Co zasłyszał, tego nigdy nie zapomniał, nie dbał o bogactwa i zaszczyty i nie zatroszczył się nawet o obszerne włości, które mu po ojcu w krakowskiej ziemi przypadły. Wzrostu był nawet prawie tak wysokiego jak Ścibor, jeno smukły i giętki, z twarzą dziecinną jeszcze i orzechowymi, słodkimi oczyma. Ściborowe dzieci przepadały za nim, bo nikt tak jak on zabawić ich nie umiał opowiadaniem bajek, śpiewem czy igraszkami, do których nigdy mu nie brakło pomysłu. Lubiła go i Dosza, choć zazdrosna o jego życie się ze Ściborem. Mścisław wiedział o tym i nieraz, śmiejąc się, obiecywał jej odjechać, gdy jeno Białka dorośnie, bo na nią czeka, a wtedy pojedzie w Krakowskie o swoje się upomnieć. Ścibor na to jeno się uśmiechał, rad byłby zapewne, gdyby żart ten prawdą się stał. Białka zaś brała go poważnie i nieraz uradzali, jak to razem będą gospodarować.

Całkiem odmienny był drugi Ścibora druh - Zbrozło. Wzrostu raczej niewielkiego, chudy i żyłasty, z pomarszczoną twarzą, krótką, rozwichrzoną, czarną brodą i takimiż na oczy opadającymi brwiami. Spod brwi patrzyły głęboko osadzone, jasne, jakby wyblakłe oczy, o przenikliwym spojrzeniu, które mało kto mógł wytrzymać. Małomówny, czasem jeno ze Ściborem w cztery oczy się rozgadał. On też może jeden wiedział, kim był Zbrozło, którego ongiś przywiózł do domu na pół żywego, z rozłupaną

głową. Zbrozło posiedział, póki się nie wyleczył, po czym zniknął. Wrócił po kilku latach, pobyl z Ściborem i znów go nie było. Zrazu ciekawi próbowali, dochodzić, gdzie bywał, lecz daremnie. Potem przyzwyczajono się, że znika i wraca, i nikt już o nic nie pytał, jedynie snuto między sobą różne domysły. I teraz, przed paroma miesiącami, wrócił nie wiadomo skąd, jeno koń poraniony pozwalał domyślać się, że z wojny, ale jakiej, nie mówił.

Ludzie bali się go, choć nikt nie wiedział, dlaczego, bo nikomu zła nie czynił, a wielu dobro. Leczyć umiał ludzi i zwierzęta, a pogodę przepowiadał nieomylnie. Zarówno na wojnie, jak i łowach nieoceniony był, bo lepiej niż pies węchem - zwierza czy nieprzyjaciela mógł odnaleźć. Nie było kraju, o którym by nie wiedział, jacy ludzie w nim mieszkają, jak żyją i wojują. Brano go za niesamowitego, bo wszystko w nim było inne niż u zwykłych ludzi. Lat nie wiadomo ile liczył, gdyż od czasu, jak wstał po wyleczeniu z ran, zmienił się niewiele, tak, jakby czas obok niego płynął. Gdy studnię kopać chciano, on umiał pokazać, gdzie i jak głęboko woda będzie, a zwierzęta, nawet dzikie, lgnęły do niego, jak gdyby mówić umiał ich językiem. Niechętnie też zwierza zabijał, z czego się czasem Mścisław natrząsał, on jedynie, poza Ściborem, dość ze Zbrozłą poufały. Ludzi natomiast mordować mógł bez zmrużenia powiek i mówiono, że nie tylko w boju i nie tylko bronią to czynił; skąd się jednak wzięły te opowieści - nie wiadomo. Z niewiastami się nie zadawał. Czasem jedynie widywano go w leśnej chacie opodal dworca, gdzie od wielu lat samotnie mieszkała wdowa po bartniku, uważana za wiedźmę.

Gadali ludzie o Zbrozle, że nigdy nie śpi, jeno drzemie, bo na najśłabszy ruch czy odgłos otwierała natychmiast trzeźwe, przenikliwe oczy.

Ścibor cenił go sobie bardzo i nieraz go chciał ziemią i ludźmi obdarować. Zbrozło jednak niczego nie przyjmował; jednego starego pachółka miał do posługi, który sam wiedział, co i kiedy ma robić, i rzadko słowo jakie od swego pana posłyszał.

Przygotowania do łowów skończyli i rozmowa rwać się poczyniała. Nie podsycany ogień przygasał na kominie i Ścibor wstał do snu się zbierając, gdy Zbrozło rękę podniósł nasłuchując. Za chwilę i psy się odezwały.

Ścibor spojrział na Zbrozłą i spytał:

- Zwierz czy ludzie?

- Ludzie! - mruknął Zbrozło. - Obcy - dodał po chwili. Ścibor Mścisławowi polecił zobaczyć, co by za jedni byli, sam zaś odszedł, Doszę objąwszy ramieniem.

Mścisław zarzucił kozuch i skierował się na podworec. Rozszczekane psy przypadły do niego, więc je uspokoić usiłował i ku bramie zmierzał skrzypiąc ciżmami po zmarzłym śniegu.

Księżyc tylko co zaszedł za las, noc pogodna była i gwiazdzista. Mścisław z podwyższenia przy bramie spojrział ku lasowi, zrazu jednak nic nie mógł odróżnić na ciemnym tle boru. Gdy jednak psy ścichły na chwilę, posłyszał skrzypienie śniegu pod kopytami końskimi i idąc wzrokiem za głosem, dostrzegł trzy cienie konnych, którzy zbliżali się ku gródkowi. Nie ukrywali się jednak, gdyż po chwili ze zdziwieniem poznał niemiecką mowę. Słuchał czujnie, by wywnioskować, po co

przybywają. Rozmawiali obojętnie o zmęczeniu i noclegu. Gdy podjechali bliżej, nie ukazując się im, zapytał, co by za jedni byli, z czym i do kogo jechali.

Stojący na przedzie, widocznie starszy, łamaną mową słowiańską oznajmił, że jedzie do Ścibora, a kim jest i po co jedzie, jemu samemu oznajmi.

- Książ spać już poszedł - rzekł Mścislaw.

- To się rano rozmówimy - odparł obcy.

- Przed świtem wyjeżdża.

- To go zbudźcie ninie. Rzecz ważna jest.

- Nie wiem, czy ważna, skoro nie wiem, jaka.

Chętnie bym nawet sosnom w lesie poselstwo oznajmił, byle się dostać do waszego zamku - niecierpliwie i drwiąco rzekł Niemiec - ale mi nie lza.

- To zaczekajcie, aż się książ obudzi. Bez jego nakazu nie puszczamy do gródka nikogo.

- Nie będziem tu stać na mrozie! - huknął obcy.

- Nie moja rzecz - kpiąco odparł Mścislaw. - Możecie siadać. I ognia napalić możecie, drzewa w boru nie brak.

- Zdrożeni jesteśmy i głodni - hamując się rzekł obcy, zrozumiałwszy widocznie, że złością nic nie wskóra. Taką to u was gościna?

- Gościem będziecie, gdy próg przestąpicie, tymczasem na was nie czekaliśmy.

Niemiec nie wiedział już, co począć i stał namyślając się, gdy od dworca pachoł nadbieżał z zapytaniem od księcia, co zaszło. Mścislaw polecił przybycie Niemców oznajmić i o rozkaz zapytać. Po chwili pachoł wrócił z poleceniem, by ich wpuścić.

Po zwodzonym moście trzech rycerze wjechali na podworec, gdzie zsiadli z koni. Przyjezdnych Mścislaw powiódł do dworca i umieściwszy w gościnnej izbie, ognia naniecić i wieczerzę przynieść kazał. Siedział milcząc, gdy zaspokajali pierwszy głód, dopiero gdy podjedli i do miodu się wzięli, zapytał, kogo ma oznajmić.

- Rycerz Udo jestem, z polecenia panującego kniazia wieści mam do kniazia Ścibora.

Mścislaw wyszedł i po dłuższej chwili wrócił w towarzystwie Ścibora, który, skinąwszy obcym głową na ich pokłony, przy kominie na zydlu usiadł i zapytał Udoną, z czym był posłany.

Udo spojrzał na Mścislawa i zapytał:

- Nie wiem, czy mam mówić przy wszystkich?

Ścibor odparł:

- Towarzysze wasi pewno zdrożeni, spać mogą iść.

Mściławowi polecił ich na nocleg odprowadzić, a samemu wracać. Następnie do Udon zwrócił się zapytaniem, dlaczego nie do Gniezna, lecz do niego zajechał i co mu ma oznajmić.

Udo wyjaśnił, że w Gnieźnie był i Mieszko go posłał, by Ściborowi dał się poznać i oznajmił wieści, które poselstwa do Gerona dotyczą. Gero już z Rzymu po otrzymaniu odpustu wyjechał i wczesną wiosną spodziewany jest w Magdeburgu. W orszaku jego znajdują się kapłani z Rzymu, do misji w Polsce wyznaczeni.

- Imiona ich wam wymienię, gdyż oprócz nich Gero swoich wyznaczył, którzy jego i magdeburckiego arcybiskupa spraw pilnować mają zleczone.

Ścibor polecił mu poczekać na powrót Mściława, którego pamięci ufał najbardziej, a gdy ten wszedł po chwili, Udo rzekł:

- Jadą tu z Italczyków: Prochor, Lucidus, Angelottus, Oktawianus, Godfryd i Julian i Francuz Willibald, prócz młodszych i służby, Hugo, Bernard i Lotar przez Gerona są wyznaczeni, by dopilnować, aby nowy Kościół wasz nie umknął władzy magdeburskiego arcybiskupa. Nie bez tego, że Gero od siebie im zleci, by mu donosili, co się u was dzieć będzie. Wasza rzecz, jak z tej wieści skorzystacie. Ja zaś ułatwić wam na Geronowym dworze winienem, czego będzie potrzeba, i dlatego poznać się przyjechałem.

Ścibor głową skinął i odparł:

- Wielcem wdzięczny, a myślę, że brat mój już wam wdzięczność okazał.

Czas jakiś jeszcze rozmawiali o Geronowym dworze, stosunkach i zwyczajach tam panujących, po czym Ścibor z Mściławem wyszli, a rycerz Udo, rzuciwszy się na ławę skórami zasłaną, wnet chrapać począł. Ogień na kominie przygasł i ciemność zaległa komnatę, jeno żar czerwieniał w mroku, lecz wkrótce i on szerniał i zgasł. Cisza zapanowała w dworcu, lecz jeszcze nie szarzało, gdy ruch się zaczął. Nie zbudził on zdrożonego Udon i wyrwał go ze snu dopiero przedzierający się przez błony okien jasny blask późnego, zimowego dnia. Usiadł na ławie, zbierając myśli, niepewny jeszcze, gdzie się znajduje, gdy zapukano do drzwi i wszedł stary Dołęga. Patrząc lekceważąco na zaspanego Niemca, odezwał się:

- Książ już na łowy wyjechał. Pożegnać was, ugościć i na drogę zaopatrzyć polecił. Za jakiś miesiąc na dworze Geronowym zobaczyć się was spodziewa. Bądźcie sobie radzi w jego domu, byleście przed nim u Gerona stanęli. Do posługi pacholka wam daję. Gdybyście czego sobie życzyli, kaźcie przez niego oznajmić. Ostajcie w zdrowiu!

Dzik

Ścibor z Mścislawem, o pierwszym brzasku pogodnego, zimowego dnia z gródka wyruszywszy, parli zrazu przed siebie na wschód, do puszczy nad górną Notecią, ku Kruszwicy się przebrać zamierzając. Parli tak ostro, że konie, mimo silnego mrozu, dymiły, a pachołkowie z podwodnymi ledwo za nimi mogli nadążyć, często gubiąc ich z oczu i śladami jedynie za nimi się kierując.

Zbrozło zaś z dwoma ludźmi do Gniezna został wysłany, by odebrać zlecenia i omówić szczegóły poselstwa, które miał przygotować i wysłać do Poznania, aby tam oczekiwało na Ścibora, nie zamierzającego już wracać do Koziego Rogu. Sam zaś po spełnieniu zleceń podążyć miał na spotkanie Ścibora w miejscu, gdzie Warta Łęczycki trakt przecina, po czym borami nad Wartą mieli się przebrać do Poznania.

Ścibor na razie o łowach nie myślał upajając się pędem i świeżym, czerstwym powietrzem zimowego dnia i nie zważał na pierzchającą tu i ówdzie zwierzynę. Dopiero gdy słońce wzniosło się ponad lasy, zwolnił biegu i zrównawszy się z Mścislawem jechał z nim strzemię w strzemię, rozmawiając o minionych sprawach i przyszłym poselstwie.

Koło południa trafili na szlak wiodący ku bartniczej osadzie, gdzie obiadowali, konie napoili i nakarmili, po czym ruszyli dalej.

Słońce miało się już ku wczesnemu zachodowi, gdy drogę przeciął ślad samotnika odyńca, tak ogromny, że zaciekawiał i zbudził żyłkę myśliwską Ścibora. Zatrzymawszy się, psy spuścić kazał, a pachołkom luzakom rozciągnąć się na skrzydła, by znaczną połać boru objawwszy, na niego zwierza naganiali, sam zaś z Mścislawem ruszył za psami, które szybko tropem pobiegły.

Słońce zapadło już za bór, rozżarzając już czerwonym światłem pnie sosen nad poszyciem, i brał ostry mróz, który wierzchnią warstwę podtającego w ciągu słonecznego dnia śniegu ścinał w skorupę, co uniemożliwiała szybką jazdę, jednak psy jako lżejsze nie zapadały się, wyrwały naprzód, że słyhać ich nie było. Ślady dzika zdradzały, że ruszył ostro, zwietrywszy widocznie niebezpieczeństwo. Wkrótce ściemniać się poczęło i tropy coraz trudniej było rozpoznać, w dodatku gęste poszycie boru pochód hamowało. Ścibor zatrąbił w róg na ludzi, nocować zamierzając i jechał pomału dalej, gdy bór zniecka zaczął rzednąć, natomiast zjawiała się mgła i pocieplało znacznie.

Ścibor z konia zsiadł, aby lepiej ślad widzieć, i postępował za nim czas jakiś. Wtem las skończył się, jak uciął i w mroku ujrzeni polanę, tu i ówdzie jeno chaszczami porosłą. Krańce polany ginęły jednak we mgle, wstającej z bliskich oparzelisk, które zdradzały ciemniejsze plamy na białej płaszczyźnie śniegu. Mgła gęstniała coraz bardziej przechodząc w mleczny tuman, w którym omackiem prawie trzeba było szukać śladów, i Ścibor ostatecznie zamierzał już ku lasowi na nocleg zawrócić, gdy nagle podniósł się psi harmider bardzo blisko, jakkolwiek nic widać nie było. Ścibor z towarzyszem podążyli na głos, konie zostawiwszy. Gdy zapadając się w śniegu ubiegli kilkadziesiąt kroków, zaczerniła się przed nimi kępa drzew podszytych krzakami, z której wyraźnie psi jazgot i dzicze charkotanie dochodziło.

Przedzierali się co tchu przez zbity gąszcz, gdy tuż przed sobą posłyszeli męski głos i w tejże chwili śmiertelny kwik, a potem chrapanie konającego dzika. Wypadli z krzaków na udeptaną połać śniegu,

na której o kilkanaście kroków majaczyła we mgle kurna chata z jednym otworem, za drzwi, okna i komin widocznie służącym, i wdepnęli prawie na kłębowisko psów, szarpiących przebitego oszczepem na wylot odyńca, nad którym stał mąż potężnego wzrostu, twarzą ku nim zwrócony.

Choć spotkanie niespodziane było dla obu stron, zajętych jedynie myślą o dziku, nawykły widać do niebezpieczeństwa obcy mruknął flegmatycznie: - Gruby zwierz ciągnie jeden za drugim - i nagle gwizdnął przeraźliwie, a równocześnie jednym ruchem, bez wysiłku, wyrwał oszczep z dziczego cielska i pchnął błyskawicznie w kierunku bliżej stojącego Ścibora.

Lecz Ścibor równie szybko w bok się uchylił, chwyciwszy jednocześnie za drzewce, i szarpnął nim, chcąc obalić przeciwnika. Nie docenił go jednak, gdyż nieznajomy trzymał drzewce tak mocno, że choć tęgie było, pękło jak trzcina, a Ścibor od zamachu zwałił się na ziemię, obcy zaś runął na niego, starając się go przygnieść.

Przeliczył się jednak i on, gdyż Ścibor jak wąż się wywinął, tak że obcy padł obok, a Ścibor w tej chwili znalazł się nad nim i ręce pod ramiona mu przerzuciwszy na kark założył, złamać go usiłując, a jednocześnie, opasawszy nogami, dusić zaczął. Mimo olbrzymiej siły, jednak nie mógł tego dokonać, z trudem jedynie trzymając szamocącego się jak szczupak w matni przeciwnika.

Tymczasem na gwizd obcego dwóch innych z chaty wypadło, z mieczami w rękach, ponieważ jednak wyjście było wąskie, wypadli jeden za drugim. Pierwszy ni kroku nie zdążył uczynić, gdy przez Mścislawa oszczepem do ściany przygwożdżony został. Drugi rzucił się na Mścislawa z mieczem, lecz dwa psy skoczyły mu na piersi, iż omal nie upadł. Mścisław zaś, porwawszy z ziemi złamane ratyszczę, w kark go grzmotnął, tak że legł na śniegu bez ruchu, z przetrąconym szpikiem, a w tejże chwili na odgłos walki nadbiegli pachołkowie i na pomoc rzucili się Ściborowi, który jeszcze szamotał się z przeciwnikiem.

Mścisław mieczem chciał przebić trzymanego, lecz Ścibor krzyknął: "żywym brać!" - i pachołkowie do powrozów się wzięli, lecz dopiero po ciężkiej walce, poturbowani, związać zdołali osiłka, po czym jak wór go wzięwszy, do chaty zanieśli, gdzie na kamiennym podmurowaniu ogień płonął, i tam w kącie rzucili pod ścianę.

Ścibor dźwignął się drżąc z wysiłku, z Mścislawem wszedł do chaty i zasiedli na pniakach przy ognisku. Dyszał przez chwilę, po czym rozejrzał się dokoła.

Chata była obszerna, lecz nędzna. Miast podłogi miała klepisko, zasłane igliwem i szuwarem, a pod ścianami kilka legowisk z mchu i choiny, skórami okrytych. Prócz paru pieńków, które za siedzenia służyły, nie było w niej żadnych sprzętów. Kilka naczyń glinianych różnych kształtów i rozmiarów stało pod ścianą; w jednym kącie, zwalona na kupę, leżała broń różnorodna, od dębowych maczug do żelaznych mieczy, w drugim zaś stos przedmiotów, których w niepewnym świetle ogniska z dala nie można było rozeznąć. Nad jedną połową izby zwisał niski strop z belek, drugą nakrywał jeno dach z sitowia, przez który przesączał się dym.

Ścibor zawołał pachołka Krzona i polecił mu zbadać obejście, a dzika oprawić, wieczerzę przygotować, konie opatrzyć i urządzić się na nocleg. Potem zamilkł i siedział wypoczywając po trudach dnia i wysiłku walki, nie zwracając na brańca uwagi.

Ten leżał cicho i zdawał się nie przejmować swoim położeniem, od czasu do czasu rzucając jedynie raczej ciekawe niż niespokojne spojrzenia na swych zwycięzców. Gdy jednak po dłuższym czasie wszedł pachołek Czelej z wieczerzą, jeniec ozwał się:

- Mój jest dzik, bo go ubiłem, to mi się mięso jeść należy.

Ścibor nie rzekł nic, jeno pachołkowi dał znak, by jeńca nakarmił. Pachoł podszedł do leżącego i kawał mięsa cisnął mu pod nos, mruknąwszy:

- Masz wilcze ścierwo, nażrej się przed zdechnięciem!

W tej chwili jednak, kopnięty związanymi nogami jeńca, potoczył się do ogniska, z którego porwawszy się, poparzony, z wściekłością ku niemu skoczył, nóż zza pasa wyciągając. Ścibor jednak krzyknął na pachołka i wyjść mu kazał, po czym jadł dalej spokojnie.

Jeniec po chwili milczenia odezwał się:

- Nie będę z ziemi jadł jak pies!

- Kazałbym ci pęta zdjąć - rzekł Ścibor - ale zmęczony jestem i dziś nie chce mi się drugi raz z tobą siłować.

Jeniec namyślał się widocznie, po czym odparł:

- A jak wam przyrzekę, że nie ucieknę i nie tknę nikogo?

- A jak nie dotrzymasz? - zapytał Ścibor:

- Jak to nie dotrzymam, kiedy obiecuję! - rzucił gniewnie olbrzym.

Ścibor zaśmiał się.

- Prawda jest!

I wstawszy sam podszedł do leżącego.

- Więc przyrzekasz zostać przy mnie, póki sam cię nie zwolnię?

- A juści - odparł jeniec.

Ścibor rozwiązał leżącego, który zaraz usiadł i czas jakiś ręce i nogi zdrętwiałe od więzów rozcierał, po czym wstał, - leżący kawał mięsa nogą kopnął i usiadłszy na pniaku naprzeciw Ścibora, wziął się do wieczerzy, jakby go na nią proszono. Ścibor patrzył uśmiechając się pod wąsem, teraz dopiero w blasku ognia mógł się przyjrzeć dokładnie olbrzymowi, który omal go życia nie pozbawił.

Chłop był wzrostu ogromnego, lecz siedząc zdawał się niemal kwadratowy. Lat około trzydziestu lub niewiele ponad to, cokolwiek otyły, na byczym karku osadzona niewielka głowa tonęła w bujnym,

kasztanowatym ze złotym odcieniem zaroście. Zęby miał niezwykle białe i gruchotał nimi kości dzicze, jakim nie każdy pies dałby rady, wysysając z widocznym smakiem szpik. Zachowywał się tak, jakby wszystko, co się działo, było czymś zwykłym. Jedząc rzucał na Ścibora zaciekawione spojrzenia. Nasycił się wreszcie, otarł brodę rękawem i uśmiechając się powiedział:

- Takiego jak wy chciałbym mieć w swojej kupie.
- Przecie chciałeś mnie zabić! - zaśmiał się Ścibor.
- Tylko tak z prędkości - z pewnym zawstydzeniem mruknął olbrzym. - Nie gniewacie się? - zapytał.
- Nie ma o co, przecie żyję - rzekł Ścibor.
- Bo i pewnie! Nawet szkoda by mi was było. Takiego jak wy jeszcze nie spotkał.
- Niby jakiego?
- Takiego, co by mi spod ręki uszedł - naiwnie odparł jeńiec.

Ścibora bawiła widocznie rozmowa z jeńcem, który mu się podobał. Ważył w sobie jakiś zamiar co do niego. Poczęstował go miodem i począł wypytywać. Olbrzym chętnie, choć krótko odpowiadał. Pochodził znad pruskiej czy jaćwieskiej granicy; miejsca podać nie umiał. Ojciec, widocznie władca, na gródku siedział. Gródek w napadzie spalony został, a mieszkańców pobrano lub wycięto. On sam wyrostkiem ocalał, bo w chwili napadu po lesie się wałęsał za ptactwem. Gdy powrócił, z gródka już zgliszcza jeno tłały.

Posiedział na nich i poszedł z powrotem w las, bo nie miał dokąd. Jakiś czas żywił się Własnym przemysłem, aż natrafił na zgraję, która na kupców po szlakach polowała. Przyjęli go, bo silny był, a jemu udały się te łowy. Z czasem sam starszym został. Od lat siedział w tej chacie na kępie wśród bagien, przez które jedno tylko, a i to letnią porą niezbyt bezpieczne przejście było. Innego życia, jak z łowów i rozboju, już sobie nie wyobrażał i nie pamiętał, i troskał się, co teraz pocnie. Jesienią szczęło mu kilku ludzi na jakąś chorobę, przed kilku dniami stracił znowu paru w nieudanym napadzie, dziś postradał dwóch ostatnich. Nie mogąc się połapać, kto zacz Ścibor jest, usiłował z naiwną chytrą wybadać, czyby do niego nie przystał. Chcąc go zachęcić, wskazał na zwalone pod ścianą bezładną stertą przedmioty i rzekł:

- Dużo mam wszelkiego bogactwa. Jeszcze parę razy tyle zakopane.

Rozbawiony i zaciekawiony Ścibor wstał i wyjąwszy głównię z ogniska podszedł do stosu. Istotnie, można to było bogactwem nazwać, choć sposób przechowania mu urągał. Na pół przysypane ziemią i igliwem, powalane błotem leżały materie złotem tkane, szaty, ozdoby i broń kosztowna; gdy zaś Ścibor przeglądając te skarby odsłonił polepę, wdeptana w glinę leżała sterta bizantyjskich, rzymskich, czeskich, arabskich, niemieckich, angielskich i Bóg wie jakich, złotych i srebrnych pieniędzy, całych i pokrajanych na połówki, ćwiartki i jeszcze drobniejsze części.

To z ostatnich dwóch lat - powiedział z dumą.

- A cóże z tym robicie? - spytał Ścibor.

- A nic. Jak się dużo uzbierało, to my zakopywali. Za szopą, nawet pamiętam miejsce, gdzie. Dawniejsze zapomniałem, bo chaszczami zarosło.

To po cóż było rabować?

- Przecie trudno na gościńcu zostawić, gdy się kupców pobije.

- Po cóż kupców bić, kiedy wam to niepotrzebne?

Olbrzym wzruszył ramionami i chwilę milczał, po czym odparł:

- A cóże mam robić? Zawsześmy ich bijali. I zawsze kupcy jeździli, widno tak ma być! Wilcy też się przy nas pożywili - roześmiał się.

- Jedź ze mną! - rzucił po chwili Ścibor. Cóż tu sam poczniesz?

- Juści w pojedynkę nie da się zdziałać nic - rzekł olbrzym skrobiąc się w głowę, zatroskany. - A u was cóże będę robił?

- Różnie! Jak się wojna trafi, to będziesz wojował. Nie, to na łowy jeździć będziesz, do obcych krajów i co inne. Sam zobaczysz. Ludzi nowych poznasz, miasta i grody. A jak cię zowią? - zapytał.

- Gniady. - Gniady.

- To zbóje, ale w domu?

Olbrzym głowił się chwilę, zanim odpowiedział:

- Wypadło mi z pamięci, to już tak dawno.

- To będę cię zwał Dzikim, skorośmy cię zamiast dzika ułowili - rzekł Ścibor.

- Może być Dzik - mruknął olbrzym obojętnie. - A na tej wojnie co będę robił?

- Wojska tam na siebie uderzają albo w polu, albo jedni miast i grodów bronią, a drudzy dobywają.

- To niby biją się tak jak my z kupcami. A o cóże? - zapytał.

- Różnie - odparł Ścibor. - Królowie i kniazie wadzą się między sobą; zbiorą co najwięcej luda i jeden drugiego przemóc usiłuje.

- A cóż mi do tego, że się jacyś tam królowie wadzą. O co zaś?

- Najczęściej o ziemię.

- To ziemi nie mają?

- Mają, ale każdy chciałby jak najwięcej, a drugiego wyżenąć.

Olbrzym kiwał głową, ale widocznie nie rozumiał, bo rzekł:

- Przecie ziemi wszędzie zadość, co komu po tym. Ani jej nie zje, ani nie schowa. A jak zdobędą gród czy miasto, to co z nim robią?

- Jeńca i łupy pobiorą, a same spalą, albo załogę swoją zostawią, by dla nich dzierżyła.

- To zaś drudzy gród potem zdobywają?

- A zdobywają.

- I dokąd to tak?

Ścibor nie wiedział już, jak jeńcowi sprawę wyjaśnić. Spróbował z innej strony i zapytał:

- A Niemców lubisz?

Jeniec namyślał się przez chwilę, jakby sobie coś przypominał, i odrzekł:

- Lubię.

Cokolwiek zdziwiony Ścibor zapytał:

- Za co ich lubisz?

Bo zawzięci w bitwie i dobre towary wożą.

Ścibor zaśmiał się.

- To niby lubisz ich jak wilk zająca! A na wojnę przeciw nim poszedłbyś?

Bo ja wiem - zawahał się Dzik.

Ścibora niecierpliwie zaczęła niemożność wyjaśnienia rzeczy temu dzikiemu człowiekowi.

- Nie da się wszystkiego opowiedzieć - rzekł. - Jedź ze mną, sam zobaczysz. Zechcesz - zostaniesz, nie - to odejdziesz. Silny jesteś, bić się umiesz, a za swoje bogactwa możesz władzką zostać - jak twój ojciec na gródku siedzieć.

- Jutro wam odpowiem - rzekł olbrzym wymijająco. - Dziś mi się już spać chce.

To rzekłszy, wstał z pieńka i pod ścianą na legowisko się zwałił, a za chwilę głęboki oddech zdradził, że śpi.

Ścibor z Mścisławem, też znużeni, spać się pokładli. Cisza, przerywana tylko oddechami śpiących, ogarnęła chatę.

Poselstwo do Gerona

Zbrozło, wyjechawszy z Koziego Rogu równo ze Ściborem, późnym popołudniem w Gnieźnie stanął i zaraz księciu kazał się oznajmić. Mieszko z Jordanem i dworem wybierał się do Sieradza sądy odprawować i budowy grodu doglądać, przyjął jednak zaraz Zbrozłę, którego znał z dawna i miał w cenie.

Zbrozło zastał księcia na naradzie z Jordanem, Mściwojem, Dołęgą i kilkoma starszyny. Pokłoniwszy się, zasiadł z innymi, wysłuchał w milczeniu, co mówiono, po czym wstał o zezwolenie odejścia prosząc. Mieszko, nieco zdziwiony, zezwolił, lecz ledwie Zbrozło wyszedł, odprawił panów i posłał za nim pachołka, który go jeszcze przed dojściem do Ściborowego domu na Żuławach doścignął.

Ciemno już było i jeno żar na kominie rozświetlał komnatę, gdy Zbrozło wrócił. Mieszko, siedzący przed kominem, zabawiał się z młodym niedźwiadkiem, którego karmił przysmakami, przekomarzając się i śmiejąc z łakomstwa swego - jak mówił - imiennika. Gdy Zbrozło wszedł, niedźwiadek natychmiast przerwał zabawę i zbliżył się do niego, kładąc mu puszysty łeb na kolanach. Mieszko kazał pachołkom zabrać zwierzaka, lecz ten kwilić począł jak dziecko i czepiał się Zbrozły, zabrać się nie dając. Książę się zniecierpliwił, lecz Zbrozło rzekł:

- Pozostawcie go, panie, zaraz zaśnie i nie będzie przeszkadzał.

Istotnie, pogładził kilkakrotnie zwierzaka po głowie, a ten legł u jego nóg i usnął natychmiast.

Mieszko patrzył zaciekawiony i cokolwiek zaniepokojony. Gdy pachołek wyszedł, zapytał:

- Czarujecie?

- Jak i wy, panie - odparł Zbrozło.

- Jakże ja? - spytał Mieszko.

- Was słuchają ludzie, a mnie zwierzęta.

- Słuchają, bo jestem panem!

- Panem jesteście, bo słuchają.

Mieszko zastanowił się i rzekł:

- Słuchają, bo ich znam, bo wiem, co myślą, czego chcą i czego się boją.

- Trafnieście rzekli, panie. I mnie dlatego słuchają zwierzęta.

Mieszko zaśmiał się:

- Prawiście, czarujemy obaj. Ale ludzi łatwiej poznać.

- Jak kogo. I jak komu. Zwierzęta nie kłamią!
- Ale nie mówią. I w tym wasze czary, że je rozumiecie.
- Czy niemowlę mówi do matki? A ona przecie wie, czego chce i czego mu potrzeba.
- Bo je miłuje.
- I ja miłuję zwierzęta.

Mieszko na chwilę zamilkł, po czym zapytał:

- A ludzi?
- Brata waszego, panie.
- Nikogo więcej?

Zbrozło nie odrzekł nic.

Mieszko, nie doczekawszy się odpowiedzi, rzekł cokolwiek oschle:

- Mniejsza z tym. Dlaczego nie zabieraliście głosu, gdy o poselstwie była mowa? Wiem, że człek z was doświadczony i bywały, rady wam nie brak. Nie chcecie nam jej udzielić?
- Wam, panie, chętnie, ale nie przy obcych. Nie należy puszczać wydry przed niewód.
- Nijakich tu obcych nie było.
- Dla mnie obcy, bo ich nie znam.
- Widziałem ci ja, że przy nich mówić nie chcecie, dlatego ich odesłał. Wiem, kogo macie na myśli. Jordana?
- Tak, panie. Nie wiem, czy Bogu służy, czy Bogiem tarży.
- Patrzę na niego pilnie, zdrady się nie boję. Człowiek to zacny i prawy.
- Tedy może bym go zgorszył moimi radami - Zbrozło uśmiechnął się gorzko.

Może i słusznie - rzekł Mieszko. - Juści nie to on głosi za prawe, co nam często czynić wypada. Ale ja muszę wiedzieć, co czynić zamierzacie, bo na mój rachunek to idzie. Wiecie, czego od poselstwa czekam. Często człowiek wilkom ścierwo rzucić musi, by mu się pod stajnię nie podkopały, gdy go w domu nie ma.

- Wiem, panie, do czego zmierzacie. To, co uczynię, pójdzie na wasz rachunek, ale nie obciążę waszego sumienia.

- Dziwnie mówicie. Skąd znacie chrześcijan?

- Sam byłem chrześcijaninem.

- Jak to byliście? Jordan głosi, że kto raz ochrzczony, na wieczność nim pozostaje.

- Ale mnie wykleto i z Kościoła wyłączono.

- Za co?

- Dużo by mówić.

Mieszko coś bliższego o dziejach Zbrozły pragnął się dowiedzieć, ten jednak wręcz odmówił.

- Wiecie już o mnie, panie, więcej niż inni. Nieradem się spowiadać i wam to niepotrzebne. Wiecie, że służę wam dobrze i wiernie. Gdybym jednak miał spostrzec, że do tego zmierzacie, by nas Niemcom oddać, kaźcie mnie wcześniej zgładzić, by was zły koniec nie spotkał. Jedno piekło tylko mnie czeka, nie cofnę się przed niczym.

Mieszko patrzył na Zbrozłę przenikliwie. Po chwili rzekł:

- Jordan strasznie piekło przedstawia, a mówi, że Kościół winy wybaczać jest mocny.

- Tym, którzy żałują i pokutują. A ja jeśli żałuję, to chyba tego, że za późno zrobiłem to, co wcześniej zrobić należało. Ale uwierzyłem, że, jak głosili, z krzyżem miłość niosą, a przyszedłszy ściganego zwierza na własnej ziemi z nas uczynili. Pokutować pójdę chyba razem z tymi, co nas mordują i gnębią. Gorzej, bo brata na brata szczują, jakby mało mieli własnej nienawiści. To i razem z nimi chcę być, czy w niebie, by im je obrzydzić, czy w piekle, by je cięższym uczynić.

Martwy uśmiech przeleciał przez jego nieruchomą twarz, a oczy zapłonęły taką nienawiścią, że Mieszkowi, choć trwogi nie znał, uczyniło się nieswojo. Zapadło milczenie, tylko syczały smolne szczapy w kominie i niedźwiadek pojękiwał przez sen.

Mieszko milczenie przerwał.

- Wiecie, z czym Ścibor do Gerona jedzie. Daninę ode mnie złoży, ale jeno z kraju po Wartę. Do czasu tam cesarska, nie króla niemieckiego zwierzchność, od reszty wara. - Pokój mi teraz potrzebny, bo na wschodzie z Mazowszem i Czerwienią skończyć trzeba, nim się krzyż wprowadzi. Prusaków i Jaćwież przepuszczają, zresztą samych łatwiej teraz przyswoić będzie. Potem mogą i przeciw nowościom powstawać jak Wszebór. Gero krzyw będzie, gdy im się nowy Kościół z ręki wymknie, na wszystko gotowy być muszę.

Nie po to nową wiarę chcę wprowadzić, by im ułatwić wciśnięcie się do nas, ale by temu zapobiec. Toteż i kapłanów, których Gero przywiezie, przewąchać, co za jedni, by mi tu swoich nie nasłał. Pieniądzy weźmiecie dość, by opłacić ludzi, którzy nam służą, albo i nowych kupić. Wichmana, jeśli zastaniecie, załadzić, by mi nie sterczał nad granicą. Wiatr on goni po świecie. Może będzie u Gerona korzystając, że cesarz w Italii, a Geron się może zasłonić, iż pod jego

nieobecność bez jego wiedzy tam siedzi. Chytrą tak pokierować, by go gdzie indziej poniosło. Przybywój i Odylen pojedą z wami. Pilnie baczyć, co będą robić i z kim się znosić; raz chcę mieć pewność, czego od nich czekać. Ale czasu na to wszystko potrzeba, dlatego jechać tak, by dobrze przed Geronem stanąć. Gdy stary będzie, trudniejsza robota.

- Stary już się ze swej rany nie wyleczy - rzekł Zbrozło.

- Skąd wiecie? - zapytał Mieszko zdziwiony, a gdy Zbrozło nie odpowiadał, dorzucił:

- Nie pytam z ciekawości. Potrzebuję wiedzieć, bo moje plany od tego zawisły.

- Strzała była zatruta - odparł Zbrozło.

- Pewni jesteście?

Pewnym.

Mieszko milczał chwilę, po czym zapytał:

- A Ścibor gdzie teraz? Chciałbym go jeszcze widzieć przed wyjazdem.

- Na łowy nad Noteć wyjechał, a spotkać się mamy na łęczyckim szlaku, u Warty. Potem wprost na Poznań ma pociągnąć.

- Ja do Sieradza jadę. Niech tam do mnie skoczy, nie bardzo z drogi mu będzie.

- Jak każecie, panie!

Mieszko na Udonę skierował rozmowę i wiadomości przez niego przywiezione. Późna już noc była, gdy Zbrozło na Żuławy odszedł. Świt zimy zastał go już jednak na koniu, w drodze na umówione miejsce spotkania ze Ściborem.

W Szreńsku

Dzieliło się w tym czasie Mazowsze na liczne księstwa, których położenie różne było. Ci, co siedzieli od pruskiej i jaćwieskiej granicy, cierpiąc od nieustannych napadów, na cudzą pomoc oglądać się byli zmuszeni, choć lud do wojny był włożony, a władza kniaziów, jako to czasu wojennego, silniejsza. W spokojniejszym kraju, od Czerska, Radomia, Żarnowa i Skrzynna, jeszcze wciąż starym obyczajem słowiańskim wiece radziły, a gdy ich nikt nie napastował, radzi byli stan dawny zachować, z którym im dobrze było. Nad kniaziami górę miały tam rody, które żarły się między sobą, o wpływy zazdrosne, napastowanym sąsiadom w pomoc iść nieskore, wbrew usiłowaniom kniaziów, którzy na wyprawach całą władzę ujmowali i łącznie jej mogli nie chcieć wypuścić z ręki.

Toteż gdy sąsiadujące z Polanami plemiona, mające przy tym często swe sąsiedzkie z nimi porachunki i patrzące z zazdrością na rosnącą moc polańskich książąt, przeciw nim się nastrajały - siedzący na rubieżach chętni byli, choćby kosztem swej niezależności, przez związek z Polanami uzyskać pomoc i ochronę przeciw napaściom, które kraj pustoszyły, zagospodarować się nie dając.

Mieszko, który pilnie baczył na bieg spraw mazowieckich, na tym układzie stosunków zbudował plan swój opanowania Mazowsza, licząc się z oporem jedynie sąsiadujących, gdy od Wizny i innych, nad jaćwieską i ruską granicą położonych, nawet pomocy mógł się spodziewać. Uspokojony od zachodu nieobecnością Gerona, postanowił też rozpocząć wyprawę jeszcze w pełni zimy, gdy skute mrozem wody nie hamowały pochodu - wysyłając wojska od Drwęcy aż do Wizny wzdłuż pruskiej granicy, stamtąd zaś na południe, na Łęczycę i Płock i wzdłuż jaćwieskiej granicy. Równocześnie wkroczyć miał sam od zachodu. Przy tym mniemał, że w razie powodzenia Radomskie i Czerskie bez walki już dostanie, gdy opór będą widzieli daremny.

By się z planami przedwcześnie nie zdradzić, sam jawnie do Sieradza wybierał się, budowy gródka niby doglądać, a i roki tam naznaczył, by zjazd upozorować. Równocześnie wojska, które pierwsze wkroczyć miały, gromadziły się już w puszczech na północ od Kruszwicy, przy gdańskim szlaku nad Wisłą, powyżej ujścia Drwęcy. Te wojska powieść miał w zastępstwie Ścibora Sobiesław, z Piastami spowinowacony, a dziewierz wiźniańskiego Przedpełki, co Mieszko również brał w rachubę. Trzon siły stanowić miała Ściborowa drużyna. Z kmieciów i żupańskich pachołków tyle tylko dobrać wojów mieli, na ile szybkość zamierzonego pochodu pozwalała i ile konieczne było, by załogi po zajętych grodach pozostawiać.

Sobiesław był młodzieńcem niewiele ponad dwadzieścia lat liczącym, ale miał duże doświadczenie, gdyż na wojnie prawie się wychował. Mieszko ufał mu wielce, iż powierzone zadanie wykona, wiedząc, że jeśli kiedy zgrzeszył, to chyba nadmiernym zuchwalstwem. W drużynie też cieszył się miernym, gdyż twardy był jako dowódca, głowy nigdy nie tracił, niebezpieczeństwo za nic sobie mając, dufny w swoje szczęście, które mu nad podziw służyło. Towarzyszem zaś był wesołym i hojnym.

Shczęście sprzyjało mu i tym razem. Wyruszywszy pod koniec stycznia po lodzie przez Wisłę, dwa dni szedł puszciami po prawym brzegu Drwęcy, osad i grodów unikając. Trzeciego dnia, gdy na obóz wieczorem stawać się zabierał, strażę doniosły mu, że przeważna siła Prusaków Szreńsk obległa, a zamknięci w nim Mazurzy, choć bronią się tego, nie mogą żadnej żywić nadziei, gdyż nieprzyjaciel już częstokoły łamie i gródek następnego dnia przetrzymać nie obiecuje. Wieści mieli od Mazura,

który po pomoc wysłany w ucieczce poraniony został.

Sobiesław wojsku ognie zaraz pogasić kazał i w pogotowiu być do pochodu, a starszyznę zwołał na naradę. Były głosy, by zdobycia gródka doczekać i napaść na upewnionych Prusaków, lecz Sobiesław nie chciał słyszeć o tym słusznie mniemając, że ocaliwszy gródek, zostawi w nim załogę bez sprzeciwu, a będzie mógł liczyć na wdzięczność i pomoc Szrenian w dalszym pochodzie.

Zaraz też rozkazy do bitwy wydano. Żupan Deszko powieść miał piesze wojsko i od północy zająć oblegających, by drogę ucieczki zastawić, sam zaś Sobiesław z jazdą uderzyć postanowił od południowego wschodu.

Ledwo ludzie zimnej stawy przekąsili i z ręki nakarmili konie, dano znak do pochodu. Rozdzielili się zaraz i każdy oddział podążył w swoją stronę, by o zmroku zająć stanowiska, uderzyć zaś mieli przed świtem, nim pierwszy ruch zacznie się w pruskim obozie.

Deszko szedł ostrożnie, straż naprzód i na boki wysyłając, gdyż liczyć się mógł ze spotkaniem oddziałów lub pojedynczych wojaków od Prus lub ku Prusom zdążających. Sobiesław natomiast, mając drogę dalszą, lecz bezpieczną, szybko szedł, łuk tylko z ostrożności dalej ku południowi zataczając, by wszelkiego spotkania uniknąć. Dopiero przebywszy Wkrę poniżej Gorzna wydał ostatnie rozkazy, sprawił szyk i ostrożnie półkolem podsuwał się ku gródkowi, spieszone straż naprzód wysyłając.

Od południowej strony gródka bór dosyć daleko był wycięty, ścielił się natomiast obszerny łąg, z rzadka krzami porosły, za którymi czerniły się namioty i szałas oblegających. Przy rozpalonych ogniskach straż stały, bacząc jedynie ku gródkowi, ledwo widocznemu w powstającej lekkiej mgielce przedświtu.

Sobiesław obejrzał jeszcze ustawioną już do uderzenia drużynę i sprawdzwszy, że wszystko gotowe, wyjechał kłusem z boru na łąg, a za nim wysypali się jeźdźcy, ciszę jeszcze zachowując. Dopiero gdy ujechali kilkaset kroków i obóz odległy jeszcze o dwa stajania dobrze już był widoczny, ruch jakiś i głosy podniosły się w nieprzyjacielskim obozie, a płomień podsyconych ognisk buchnęły ku górze. W tejże chwili i na gródku krzyk się wszczął, tak że nie było wątpliwości, iż i tam nadciągającą odsiecz zauważono.

Wówczas Sobiesław uderzył w róg, a ława jezdnych, odpowiedziawszy mu okrzykiem, aż echo oddało z boru, runęła naprzód na pruskie obozowisko. Uderzyli w zamęt, gdyż niejeden ze snu się dopiero zrywał, a koni, zbędnych przy oblężeniu, nikt nie miał pod ręką.

Sobiesław z czołową setnią, tratując ludzi, wywracając namioty, dotarł aż pod wał i częstokoły, oporu prawie nie spotykając, po czym oddział na dwie części rozdzieliwszy, przeciw począł ku skrzydłom wzdłuż wałów, gęsto ścieląc wroga, bo i Mazurzy z łuków szyc zaczęli lub przeskakując rowy zastępowali uciekającym drogę.

Prusacy jednak, po pierwszym zamęcie, zbili się w gromadę i ku borom na północy przedzierać się jęli skutecznie, a dotarłszy do nich, pod osłoną gęstwiny zaczęli szybko uchodzić.

Sobiesław wpadł za nimi w bór, boków pilnując, pewny że lada chwila natkną się na zaczajony w gęstwinie oddział Deszki a wówczas otoczy ich i wytnie lub pobierze. Jakoż zaraz krzyki w przedzie dały znać, że na Deszkę trafili, w tejże chwili jednak jak na rozkaz Prusacy zawrócili wymykając się z kleszczy i uderzywszy na nadbiegających pieszo, w rozproszeniu, Mazurów, przebili się przez nich bez trudu, wielu obalając, po czym zawróciwszy ku wschodowi, pomknęli wichrem po błoni, przygotowany potrzask prawie pustym zostawując. Zanim jazda Sobiesława z lasu na błonie wyległa, spory kawał już się odsadzili i w bory wpadli.

Rzucili się jeźdźcy w pogoń, Sobiesław jednak ich wstrzymał. Nie zapomniał, że nie wojnę z Prusami, lecz zdobycie Mazowsza miał za zadanie. W bitwie już stracił kilkudziesięciu ludzi, bądź zabitych, bądź niezdolnych do dalszej walki, a cel swój osiągnął, gdy jako zbawca Szreńsk zajmie. W wojnę z Prusakami mógłby się wdać jedynie na czele mazurskich zastępów i za cenę uznania Mieszkowego zwierzchnictwa. Toteż sprawiwszy szyki, sam na czele starszyny zawrócił ku głównej bramie gródka.

Wjechał witany okrzykami wdzięczności, chleb i sól od starszyny przy wejściu przyjmawszy, po czym udał się do dworca, gdy żupan Żelisław, w obie nogi zraniony, wyjść nie mógł naprzeciw. Czekał na Sobiesława na podcieniu, w otoczeniu starszyny, na noszach leżąc. Dźwignął się jednak i ujmując jego dłoń, patrzył mu w oczy przez chwilę, po czym rzekł:

- Gdyby syn mój, Zbylut, żył, w waszym byłby wieku. Jemu bym władzę i dziedzinę oddał, gdy sam już bronić jej jestem za stary. Wam ją ninie oddaję, choć nie wiem, kto jesteście i jakie wasze imię, a tyle jeno, żeście nas i nasze dzieci od śmierci lub pruskiej niewoli ocalili. Kto bronić umie, i rządzić potrafi.

Sobiesław odparł z powagą:

Przyjmuję wdzięczność i dań, ale nie dla siebie. Imię me Sobiesław, syn Imbrama, a wysłał mnie Mieszko polański, i bogom dzięki, że lepiej niż słowami i siłą przekonać was zdołałem, iż nie żyć nam w rozproszeniu. Mową i obyczajem do nas należycie i razem nam bronić swojego, póki czas.

Wystąpił na to starzec, może stuletni:

- Mądrze mówisz, choć młodyś! Pamiętam ja, gdy nasi kniazie potężni byli, a ziemie ludniejsze niż ninie. Na północ od Drwęcy gródków i osad niemało było, na których bór teraz porasta. W moich oczach Piastowice wyrosły, bo szerzej patrzą niż nasi, co im drzewa las zasłaniają. Silnemu władać, słabemu słuchać. Niech Mieszko panuje, byle kraj od zniszczenia zasłonił.

Uczta przygotowana dla zwycięzców przeciągnęła się do południa. Po niej starszyna udała się na naradę. Postanowiono do Mieszka zaraz poselstwo wysłać z hołdem i darami, zaś do pogranicznych grodów, aż po Wiznę, wici na zamierzoną wyprawę przeciw prusactwu, którą Sobiesław przyrzekł poprowadzić. Zaraz też Mazurzy za uchodzącymi Prusakami wysłali podjazd, by dalsze ich zamiary wy badać.

Przed wieczorem od Grzebska nadciągnął spory oddział, który Dersław, stryjeczny Żelisława, na pomoc gródkowi prowadził, niespokojny, czy na czas zdąży. Rad był, że na uciechę miast na rzeź

trafił i zaraz gotowość uznania Mieszkowej zwierzchności i udział w wyprawie pruskiej oświadczył. Zapewniał też, że od pruskiej granicy wszyscy chętnie przystaną do Polan, byle raz spokój i ochronę uzyskać od ciągłych napaści, którym się w rozproszeniu oprzeć nie umieli, a nie było komu na walną wyprawę ich zebrać, zwłaszcza iż sąsiedzi z południa, bezpiecznie za ich plecyma siedzący, nie kwapili się na wojnę od domowych sporów. O to jednak Sobiesław nie dbał wiedząc, że tych sił, które z północy zbierze, na pruską wyprawę wystarczy, a gdy raz ramię Mieszka sięgnie po Wiznę, resztę kraju bez trudu zajmie siłą czy układami. Zaraz też plan wyprawy ułożyli i wyczekawszy jeno parę dni, by dalej siedzących o zamierzonym przebiegu działań zawiadomić, ruszyli w pruski kraj, wzdłuż granicy na wschód, paląc i niszcząc pograniczne gniazda napastników i roznosząc postrach.

Jakoż marcowe odwilże nie złamały jeszcze lodów na rzekach i bagnach, gdy Sobiesław na czele swoich i mazurskich zastępów u Przedpełki stanął, nader pomyślnie pruską wyprawę ukończywszy. Tam wojska sterane zimą i walkami rozłożył na wypoczynek i wypełniwszy szczyby w drużynie chętnymi Mazurami, wyczekiwał dalszych rozkazów Mieszka, rad, że powierzoną mu część zadania ponad spodziewanie wykonał.

Pojmanie i uwolnienie

Szare światło przedświt zaczynało przesączać się przez szpary w ścianach gdy z głębokiego snu zbudził Ścibora przeraźliwy wrzask. Zerwał się na nogi, skóry, którymi był okryty, odrzuciwszy. Pierwsze spojrzenie rzucił na miejsce, gdzie spał Dzik. Było puste. Chwyciwszy za oręż, wypadł na pole w samą porę, by charczącego już pachołka z rąk Dzika wyszarpnąć po czym mieczem się na niego zamierzył. Gdy jednak Dzik żadnego ruchu nie uczynił ku obronie lub ucieczce nie uderzył, lecz z gniewem wykrzyknął:

- Takie to twoje słowo? Przyrzekłeś nie uciekać i nie tknąć nikogo!

Olbrzym spojrzał na niego ponuro i mruknął:

- Przecie nie uciekam, tniście.

- Ale pachołkaś napadł.

- On mnie, nie ja jego.

Ścibor z Mścisławem, który wyskoczył zaraz za nim z chaty, dźwignęli omdlałego pachołka, zaniósłszy go do chaty, cucić poczęli. Długo trwało, nim oczy otworzył chwytając się z jękiem za złamaną rękę. Przez ten czas Dzik stał nad nimi, zły i zawstydzony, patrząc na pachołka z lekceważeniem i pogardą. Gdy Ścibor, opatrzywszy rannego, ku Dzikowi z wyrzutem się zwrócił, olbrzym ze złością odpowiedział:

- Nie przyrzekałem, że się byle wywłoce poniewierać pozwolę.

- Po coś z chaty wychodził? Musiał myśleć, że chcesz uciekać.

- Przecie nie będę w chacie lał jak szczeniak - odparł zagadnięty - a że mu rękę złamałem, też nie moja wina. Gdybym takie ręce miał, tobym doma siedział, bo od wiatru się mogą połamać.

- Licho z tobą - odparł Ścibor. - Winienesz czy nie, a pachołka z powrotem muszę odesłać, i to z drugim, bo sam nie zajędzie.

Podniecenie uspokoiło się po chwili i zakrzątnięto się koło śniadania, aby przed wschodem słońca wyruszyć. Ścibor podczas jedzenia zagadnął Dzika:

- Namysłileś się? Z nami jedziesz czy zostajesz?

Przypuszczał, że Dzik, który siedział zły i do jedzenia nie brał się nawet, odmówi. Zdziwił się, gdy ten mrukliwie odparł, że jedzie.

Widząc, że nie zdradza ochoty do rozmowy, Ścibor urwał i Mścisławowi polecił pachołków zawołać, by skarby Dzika zawinęli w toboły. Okazało się, że dwa konie ciężko objuczyć trzeba tym, co w samej chacie było. Ponieważ Dzik jechać na czymś musiał, zakłopotał się Ścibor, skąd mu konia weźmie, gdyż inaczej albo do domu wracać, albo na miejscu na powrót pachołka z końmi

czekać należało. Dzik jednak burknął, że ma swego konia. Obejrzał się Ścibor, zdziwiony, gdyż konia ani stajni nigdzie nie widział, Dzik jednak wstał i podszedłszy w chaszczce za domem, odwalił stertę chrustu i gałęzi, pod którą była ziemianka. Wyprowadził konia, grubokościstego, kudłatego, cisawej maści, po czym wyniósł siodło i okulbaczywszy go, zostawił na polu i sam wszedł do chaty.

Pachołek z podwodnymi końmi i rannym wyruszyli w powrotną drogę, a zaraz po nich Ścibor i jego ludzie wraz z Dzikim podążyli w lasy, by polując ku łączyckiemu traktowi się przebrać, gdzie miał na nich Zbrozło oczekiwać.

* * *

Wschodzący dzień zastał Zbrozłą z ludźmi na łączyckim gościńcu, miejscami zawianym. Jechali niezbyt sporo, bo powodu do pośpiechu nie było, gdyż Ścibora nie spodziewał się jeszcze zastać na miejscu. Wcześniej też na nocleg stanęli w osadzie bartnika, rankiem zaś wyruszywszy dalej, dotarli koło południa do brodu nad Wartą, gdzie czekać mieli na Ścibora. Zatrzymali się w opuszczonej na zimę szopie rybaczej. Pachołkowie ruszyli nad rzekę, znalezionej siecią ryb w przerębli nałowić na wieczrę, dnia następnego zaś wyprosilili się w las, by postarać się o zwierzynę, i zaraz rankiem z psami wyruszyli, na południe wrócić obiecując.

Minęło jednak południe i słońce ku zachodowi chylić się poczyniło, a widać ich jeszcze nie było. Zbrozło cokolwiek zaniepokojony, huknął kilkakrotnie w stronę, w którą odeszli, a gdy nikt mu się nie odezwał, za śladami ich w las podążył. Szedł aż do zmierzchu, i już miał zawrócić, bowiem ślady stały się trudne do rozpoznania, gdy zauważył, że trop koni, na których jechali, zmieszał się ze śladami większej gromady, która widocznie posuwała się za nimi. Po ciemku już prawie zdołał zauważyć, że obcy rozjechali się w ławę, jakby ściganych obstąpić chcieli. Nie było co robić samemu jak zawrócić i czekać na Ścibora.

Wróciwszy rozniecił ogień w szopie na klepisku, by blasku nie czynić, i ku puszczy nastawiał ucha, czy nadjeżdżających nie usłyszy. Wiatr, który poderwał się z wieczora, ucichł trochę, natomiast śnieg począł sypać gęsty, ślady zacierając. Zbrozło czuwał, wpatrując się w żar ogniska i dorzucał od czasu do czasu drew. Z północy już było, gdy postyszał stłumione stąpanie koni i głosy ludzkie, w których poznał Ścibora z towarzyszami.

Wybiegł naprzeciw, ciszę zalecając, i gdy do chaty weszli, o przygodzie pachołków opowiedział. Ścibor głowił się, co by za jedni byli, którzy pachołków napadli, zbroje bowiem na nie mających widocznie nic przy sobie ludzi nie byliby się kusili. Tak czy inaczej, czekać należało do ranka, by coś przedsięwziąć. Zjadłszy tedy wieczrę, owinęli się w skóry bo mróz brał, i łowami znużeni posnęli.

Noc jeszcze była, gdy Zbrozło zbudził się i jął nasłuchiwać. Wstał, by wyjść na pole, a w tejże chwili i psy warczeć poczęły jeżąc grzbiety. Bezszelestnie uchylił drzwi i nasłuchiwał, lecz słyhać było jeno cichy szelest padającego śniegu, który białą zasłoną okrył okolicę, iż na kilkanaście kroków nic widać nie było.

Zbrozło jednak wszedł do szopy, by ludzi pobudzić. Trudno szło, gdyż zmożeni pierwszym snem po zmęczeniu otrzeźwieć nie mogli. Jeszcze się tym zabawiał, gdy psy rzuciły się na dwór,

gwałtownie ujadając, a równocześnie z odległości kilkunastu kroków odezwał się głos:

- Cześć wam, kniaziu Ściborze!

Ścibor, za broń chwyciwszy, na pole wyskoczył rozeznąć, co za jedni, gdyż głos mu się wydał znajomy, i zawołał:

- Kto zaś?!

- Wszebór z Łęczycy i Pakosław z Łowicza. Rychło się spotykamy!

Drugi głos dodał:

- Jeńcami jesteście, chata otoczona. Oddajcie broń lub nikt nie wyjdzie z życiem!

Ścibor cofnął się namyślając się, czy oporu nie stawić. Chciał się ze Zbrozłą naradzić, lecz ten zniknął. W tejże chwili zaś Wszebór zawołał:

- Zaniechajcie oporu, panie, na każdego z waszych więcej niż stu nas jest!

Istotnie słyhać było ze wszystkich stron liczne stapania i Wszebór z Pakosławem weszli do chaty, za nimi zaś tłoczyła się ciżba wojaków czekając jeno hasła, by na Ściborowych się rzucić.

Ścibor pogardliwie zwrócił się do Wszebora:

- Dobrze płacicie za pomoc i gościnę!

Wszebór poczerwieniał i chciał coś odrzec, lecz uprzedził go Pakosław:

Moim jesteście jeńcem i nic Wszeborowi do was. Ja zaś dopiero idę do was w gościnę.

- Mile was przyjmą, byleście ino pośpieli - drwiąco odparł Ścibor.

- Tymczasem wy do nas w gościnę pójdziecie, a myślę, że i Mieszko za wami. Wolę nie czekać, aż nie proszony przyjdzie.

- Może, jak go samopięt w lesie dopadniecie - odparł Ścibor i widząc, że opór istotnie byłby daremny, rzucił miecz, a za nim to samo uczynili Mścisław i Dzik. Pachołków też rozbrojono i wiązano.

Wszebór nieswój, ozwał się:

- Jeśli przyrzeczecie, że nie będziecie uciekać, nie każę was wiązać.

Pakosław chciał się sprzeciwić, lecz Ścibor odparł:

- Ucieknę, gdy się jeno da, możecie mnie wiązać.

Stał spokojnie, gdy mu więzy na ręce zakładano. Dzik, jakby rozbawiony, mruknął:

- Zaś mnie kto inny wiąże.

I on oporu nie stawiał.

Ludzie Pakosława wyszli z chaty, zabierając z sobą pachołków. Pozostali jeno Ścibor z towarzyszami i Pakosław z Wszeborem. Pakosław zasiadł przed roznieconym ogniem i ozwał się:

- Rozgoście się, do rana tu posiedzimy. Rano do Łowicza pojedziecie, ja zaś do Sieradza z wojskiem. Mieszkowi naprzeciw, by się do nas trudzić nie potrzebował po wiadomość, że ni wiary niemieckiej nie pragniemy, ni na Piastów nie czekamy.

Gdy Ścibor milczał pogardliwie, ciągnął dalej:

- Myślę, że radzi się z bratem spotkacie w Łowiczu.

- Spać mi się chce - mruknął Ścibor i ległszy, plecami odwrócił się do Pakosława.

Pakosław, rozdrażniony pogardliwym zachowaniem Ścibora, rzucił kilka pogróżek, lecz gdy Ścibor zbył je milczeniem, ułożył się również do snu. Za nim pokładli się i inni i izbę zaległa cisza. Wkrótce ogień zaczął przygasać i tylko oddechy śpiących czy udających sen słychać było. W obozie też cisza zapanowała, lecz nie na długo. Jeszcze nie dniało, gdy skrzęt się zaczął i Pakosław z Wszeborem wyszli. Przed świtem jeszcze na czele wojsk pociągnęli ku Sieradzowi. Sześciu konnej straży zaś powiodło związanych jeńców lasami, kopiąc się w obfitym śniegu.

Zaledwie umilkły ostatnie odgłosy odjeżdżających, gdy rozchyliło się sitowie na dachu i jakaś głowa wyjrzała na świat. Po chwili znikła. Z podstrzesza opuszczonej chaty zsunął się Zbrozło. Przy wyjściu jeszcze raz obejrzał się ostrożnie po okolicy i ruszył w trop za Ściborem.

Przetartym przez konie szlakiem posuwał się szybko. Po nocnym opadzie pogoda uczyniła się cudna. Wschodzące słońce grało tysiącnymi blaskami w obfitej okiści, która okryła drzewa, przycinając swym ciężarem aż do ziemi gałęzie młodych świerków, którymi las był podszyty.

Uszedłszy spory kawał Zbrozło zaczął się posuwać ostrożniej, gdyż miejscami przez zaśnieżone gałęzie i na kilka kroków widać nie było, a głęboki śnieg głużył stąpanie; powodzenie zaś jego zamiarów od tego zawisło, by nie dać się zauważyć. Chwilami bystrym uchem rozróżniał dalekie trzaski, gdy idący przed nim oddział przedzierał się przez gęstwinę. Gdy tylko większa widoczność pozwalała, przyspieszał kroku, a nawet biegł, w obawie, że oddział, trafiwszy na twardszy szlak, ruszył kłusem, a wówczas dosięgnięcie go będzie niemożliwe.

W pewnym miejscu poszycie zaczęło rzednąć i przez wysokopienny las Zbrozło ujrzał z dala migające między pniami konie idącego w przedzie oddziału. Teraz już posuwał się od drzewa - do drzewa, by nie zostać zauważonym. Wkrótce znowu zaczął się podszyt, w którym jadący zniknęli mu z oczu, spostrzegł jednak, że jeden z jeźdźców skręcił i zatrzymawszy się zsiadł z konia. Zbrozło od pnia do pnia ostrożnie, lecz szybko podsuwał się i łuk ściągawszy z pleców, zakładał strzałę na cięciwę. Gdy zbliżył się na kilkanaście kroków do stojącego konia, jeździec, którego widać nie było,

wyszedł z krzaków i przystąpiwszy do konia, tyłem do Zbrozły zwrócony, coś przy uprzęży poprawiał. Zbrozło naciągnął łuk, i chwilę mierzył starannie. Bzyknęła cięciwa i człowiek z wolna, bez wydania głosu, zwałił się na twarz. Zniknął prawie w głębokim śniegu, tylko tkwiąca w karku strzała sterczała w górę.

Zbrozło doskoczył do konia, który zaniepokojony ruszyć chciał za innymi, co mogło zamiar Zbrozły udaremnić. Przywiązawszy go za uzdę do pnia, szybko ściągnął szaty zabitego i przebrawszy się w nie, skoczył w siodło, pewny już swego, nie ukrywając się, za oddziałem podążył. Minawszy chaszczę, ujrzał dojeżdżających do drugiego młodnika, pognął więc konia, by ich dopaść w gęstwinie, nim zauważą, że nie swój jedzie za nimi. W drodze już nową strzałę założył i dotarłszy do gęstwiny usłyszał przedzieranie się konnych w bezpośredniej już bliskości, lecz gałęzie ich przesłaniały. Dopiero gdy otwarła się przed nim maleńka polanka wśród krzów, ujrzał ostatniego jeźdźca i szybko naciągnął cięciwę. Ten jednak, jakby przecuciem wiedziony, obejrzał się i widząc wymierzony przeciw sobie grot, krzyknął przeraźliwie, nim strzałą został przeszyty. Zbrozło skoczył w gąszcz, za miecz chwytając. Wpadł na Dzika, który jechał ostatni, a poznawszy Zbrozłę, jednym szarpnięciem zerwał więzy i konia piętami trąciwszy, naprzód skoczył.

Na przedzie zakłębiło się w gąszczu i zabrzmiało kilka okrzyków. Doskoczyli, gdy Ścibor, również więzy zerwawszy, jednego z Mazurów ułapił, z konia go zwlekłszy, a dwóch innych zwałiło się na Mścislawa, który daremnie usiłował zerwać pęta. Jeden z nich pchnął go mieczem w pierś, ciąć nie mogąc w ciasnocie. Dzik pięścią w twarz Mazura uderzył i na ziemię zwałił, co widząc drugi spiął konia i popędził, że słychać było jeno trzask łamanych chaszczów.

- W skok za nimi! - krzyknął Ścibor na Zbrozłę i Dzika.

Sam zaś, z konia zeskoczywszy, do leżącego Mścislawa przystąpił, więzy mu naprzód z rąk zdjął i natarł śniegiem zbielełą jego twarz. Mścisław otworzył oczy po chwili i odetchnął, jęknął jednak z bólu i różowa piana ukazała mu się na ustach. Ścibor rozbierał go, by ranę opatrzyć, żałując, że nie ma Zbrozły, który lepiej znał się na tym, lecz w tej chwili posłyszał stapanie koni i Zbrozło z Dzikim wrócili. Jednego z uciekających Mazurów dopadli i ubili, drugi jednak, który na czele jechał jako dowódca, uszedł.

Ścibor, zajęty rannym, nawet o to nie pytał. Rozniecili ogień i rozebrawszy Mścislawa z szuby, kaftana i giezła, ujrzeni ranę w prawym boku, między żebrami. Niewiele jasnej krwi z niej wypływało, natomiast przy oddechu bańkami wychodziło powietrze. Zbrozło głową pokiwał, a zapytany przez Ścibora, nie ręczył za życie rannego. Gdyby go spokojnie zostawić, może i wyżyłby, ale wieść go trzeba było na noszach między końmi i Zbrozło obawiał się, że zadusi go krew, którą wypluwał krztusząc się i pokaszłując gęsto. Opatrzono ranę hubą i mchem, po czym sporządzone nosze między konie uwiązali i jęli się głowić, co dalej. Mścisław słuchał przytomnie, szeptem prosił, by go wieść do Koziego Rogu, choćby miał umrzeć po drodze.

Na tym stanęło gdyż tam najlepszy mógł mieć starunek, Ścibor jednak do Sieradza ruszać musiał nie mieszkając. Niezbyt się bał, by Mieszka znienacka zaskoczono, niemniej chciał uprzedzić nadejście Pakosława i Wszebora - wolniej, bo z wojskiem idących aby pewne i tanie zapewnić Mieszkowi zwycięstwo. Zbrozło zaś z Dzikim Mścislawa lasami wolno wieść musieli, by nie natknąć się na Mazurów, po czym mieli stawić się bez zwłoki w Poznaniu, by na czas z poselstwem

się połączyć.

Ścibor też, zapasowego konia wzięwszy, ruszył co tchu. Jechał własnymi śladami, gdyż po przetartym szlaku konie szły bystrzej. Koło południa minął chatę, w której go nocą pojmano, i za tropem Pakosława podążył. Pakosław, idąc szybko jazdą, mógł jednym dniem stanąć w Sieradzu, Ścibor nie wątpił, że nie uderzy przed następnym rankiem, na nocleg przeto kawał drogi od Sieradza musi stanąć, by go przypadek nie zdradził. Dlatego przed zachodem słońca Ścibor porzucił szlak wojska i lasami podążył ku Sieradzowi, gdzie stanął późną już nocą.

Gródek był w budowie, lecz obszerne wały i częstokół już zatoczono. Budynki jeszcze nie były gotowe, a zgromadzone wojska stały obozem w szałasach i namiotach. Drużyna jeno pańska i dwór zamieszkali w tymczasowo zbitych szopach wewnątrz wałów, sam zaś Mieszko w starym dworcu. Ścibor opowiedział się strażom, kto jest, i zaraz szedł do Mieszka, by mu nowiny oznajmić.

Mieszko powitał Ścibora z widoczną ulgą i zadowoleniem. Jak się okazało, zarówno o pojmaniu brata, jak i zamierzonym napadzie był już powiadomiony przez jednego z pachółków Ścibora, który zdołał zbiec wieczorem z leżącego opodal obozu Pakosława. Przygotowania do odparcia napadu już poczyniono i oddział, który na Pakosława od tyłu miał uderzyć, już wyszedł.

Mieszko odprawił starszyznę i zostawszy sam ze Ściborem, wysłuchał opowiadania i rzekł:

- Teraz już się za Wszeborem wstawiać nie będziesz?

- Nic mi do niego, a za Mścisława zapłacić muszę! Ostrzegalem go, nie słuchał. Nie czas nam każdego panka przekonywać.

- Tak i ja myślę - rzekł Mieszko. - Przykład potrzebny, że mi woli swej byle władcyka narzucać nie będzie.

Zaczęli rozmawiać o innych sprawach, a wkrótce świt bielić zaczął pas nieba nad borami. Włożyli wówczas kolczugi i wzięwszy broń, wyszli do wojsk, dopilnować, by zarządzenia zostały wykonane, bo napadu należało lada chwila oczekiwać.

Jakoż mrok jeszcze nie ustąpił, gdy strażę doniosły, że Pakosław nadciąga.

W obozie i gródku zaległa cisza, jakby wszystko we śnie było pogrążone. Na jasnym tle śniegu wkrótce rozróżnić już można było ciemne zarysy jeźdźców, wysuwających się z lasu. Szli wolno, w milczeniu, by jak najbliżej podejść niepostrzeżenie. Po chwili jednak na skrzydłach dały się słyszeć krzyki i szczęk broni. Wówczas wypuścili konie w skok, by Polanom nie dać czasu na obronę. Stojący w obozie za wałami woje wyroili się z namiotów i bezładnymi kupami zaczęli uciekać ku grodowi, przelaząc przez wał i częstokoły i tłumnie wlewając się przez otwarte bramy, tak że Mazurzy prawie na ich karkach do grodu wpadli, część konno przez bramy, ci zaś, którzy dotłoczyć się nie mogli, pieszo na wały drzeć się poczęli. Pakosław, który wtargnął do gródka na czele jazdy, zamiast na uciekających jednak, natknął się na ławę jeźdźców, zza węgłów zaś i stosów drzewa posypał się na Mazurów grad pocisków. Także i dobywający wałów natrafili na przemożny opór i cofać się byli zmuszeni, a gdy ku lasom zawrócili, ujrzeli tłumy jazdy, która, zastąpiwszy im drogę

odwrotu, pędem szła na nich. Poznali Mazurzy, że dostali się w przygotowaną pułapkę i wielu broń cisnęło. Zaraz też ich wiązać poczęto.

Pakosław jednak z Wszeborem ku zachodniej bramie grodu pognali, na czele kilkudziesięciu jeźdźców, widząc ją otwartą. Zaledwie wszakże wydostali się na wolne pole, ujrzeli idący na nich w skok oddział jazdy ze Ściborem na czele. Pakosław poznał, że nie ujdzie, i z konia zeskoczył wołając, iż się poddaje. Wszebor jednak ze swymi, chcąc za wszelką cenę uniknąć niewoli, uderzył na nadchodzących. Starli się, lecz opór garstki przeciw masie nie trwał długo, a gdy cięty mieczem w twarz Wszebór zwałił się z konia, poddała się i reszta.

Zamęt bitewny przygasał pomału oddziały wracały do obozu i zabudowań. Jeńców wzięto do obozu pod straż, a Pakosława i starszyznę powiedziano do dworca przed Mieszka.

Czekał na podniesieniu, patrząc dumnie na tych, którzy zamiary jego pokrzyżować chcieli, a teraz pokorni, zdani byli na jego łaskę. Obok Mieszka stał Ścibor, znużony walką i nie spaną nocą, ale uśmiechając się z zadowoleniem zarówno z walki samej, jak i z jej wyniku.

Dwóch ludzi nadeszło dźwigając na noszach Wszebora. Ranny był ciężko i chwilami jedynie odzyskiwał przytomność.

Mieszko podszedł do niego, co widząc Ścibor zbliżył się również. Twarz Wszebora była sinoblada, pokryta zakrzepłą już krwią, oczy miał zamknięte. Po chwili otworzył je i powiódłszy nimi po obecnych, zatrzymał je na Ściborze. Przytomność wracała mu widocznie, gdyż zaledwie dosłyszalnie wyszeptał:

- Cieszę się, że was widzę wolnym.

Ścibor obojętnie wzruszył ramionami. Rozpaczliwym wysiłkiem Wszebór dźwignął się i zawołał:

- Na prochy ojców moich, nie jestem niewdzięcznikiem! Nic od was nie chcę, jeno wierzcie mi!

Zmożony wysiłkiem opadł na nosze.

Na to Pakosław ozwał się:

- Choć przeciw sobie świadczę, prawdę mówię! Żądał waszej wolności, ale jam nie zgodził się na to, by nie zdradzić wyprawy, jenom mu uwolnienie wasze po jej ukończeniu przyrzekł. Bogowie inaczej zrzędzili, ale nimi się świadczę, że tak było, a Wszebór czestny człowiek, prawom gościnności nie uchybił.

- Na cześć jego nie nastaję, a wdzięczności mi nie trzeba. Wolę sobie, a nie jemu czy wam oswobodzenie zawdzięczać. A co z wami będzie, brat mój postanowi i mówić wam z nim nie przeszkadzam.

Mieszko przysłuchiwał się rozmowie, nie rzekł jednak nic i polecivszy brańców w budynku

zamknąć, odszedł.

* * *

Choć małe było niebezpieczeństwo spotkania z Mazurami, Zbrozło przecie wolał chatę rybacką ominąć i lasami ku północnemu zachodowi pociągnął; na wypadek bowiem pościgu, gdyby nawet ujść zdołali, ciężko ranny Mścisław nie wytrzymałby ucieczki. Jakkolwiek bowiem wolno, niemal krok za krokiem jechali, nie przestawał pokaszliwać spluwając krwią i od wstrząsów cierpiał widocznie. Pod wieczór począł tracić przytomność i majaczyć, tak że w szczerym borze, nie szukając już ludzkiej siedziby, na nocleg stanąć byli zmuszeni, wyszukawszy wykrot jeno dla ochrony od wiatru i zimna, ognia w nim naniecili. Dzik, mruczając swym obyczajem do siebie, spać się położył, Zbrozło jednak czuwał przy rannym, podtrzymując ogień, uspokajając go, gdy rzucać się począł w gorączce, i pojąc od czasu do czasu, gdyż widocznie rannego dręczyło pragnienie. Doczekali tak wschodu słońca, po czym ruszyli dalej. Mścisław uspokoił się nad ranem i spał nawet, przytomny widocznie, lecz bardzo osłabły, na zadawane pytania ledwo skinieniem głowy mógł odpowiadać i zadrzemywał co chwilę. Zbrozło postanowił w najbliższej spotkanej siedzibie ludzkiej stanąć na dni parę, gdyż widoczne było, że inaczej nie dowiezie rannego do Koziego Rogu. Słońce jednak dobrze już było z południa, a żadnej osady nie spotkali. Dopiero pod wieczór psy, których dwa za swoimi się przywlokło, popędziły naprzód ze szczekaniem, i Zbrozło, skoczywszy za nimi, ujrzał młodego chłopca, który zastawiał w lesie wnyki na drobną zwierzynę. Chłopak wystraszył się i oganiając się psom, rzucił się do ucieczki. Zbrozło jednak, dojechawszy go, uspokoił, że nie zbóje są żadni, lecz rannego wiozą, któremu staranie zapewnić trzeba. Wyrostek powiódł ich leśną ścieżką i przed zmrokiem stanęli w dużej, kmiecej osadzie, na kraju obszernej polany.

Gdy się zbliżyli, psy z dworca zaczęły ujadać, a odpowiedziały im Zbrozłowe. Chłopak naprzód skoczył, by psy powiązać, i gdy Zbrozło z towarzyszami wjeżdżał przez bramę w częstokole, stał tam już dziedzic witając gości pozdrowieniem, a kilkoro niewiast i parobków wyszło patrzeć na przyjezdnych.

Mścisław, zaniesiony do izby, spoczął na pościeli z miękkich skór. Gospodarz zaraz na wieczerzę prosił zapewniając że niewiasty zajmą się rannym. Zbrozło jednak sam wolał dojrzeć opatrunku i dopiero gdy Mścisław usnął, zarządził, co potrzeba, i udał się na wieczerzę. Dzik, wygłodzony wielce, dojadał już resztek, czemu gospodarz przyglądał się w milczącym zdumieniu i dla Zbrozły na nowo wieczerzę przygotować polecił. Czekać na nią Zbrozło opowiedział gospodarzowi, który sam wedle zwyczaju, gości nie wypytywał, o przygodzie Mścisława i prosił dlań o gościnę, póki do drogi zdolny nie będzie.

- Niech ostanie - rzekł gospodarz. - Miejsca nie brak ni bab do starunku. Nawet rade będą, że raz obcego obaczą, bo nas na uboczu rzadko kto nawiedzi, nawet sąsiadów bliskich nie ma.

Dzik tymczasem skończył wreszcie jeść i do miodu się przypiął zachwalając dom, jadło i napój. Podchmieliwszy sobie wkrótce, wypytywał, czy za swoje skarby nie mógłby dostać dworca, w którym usługiwałyby mu niewiasty. Gospodarz trochę zdziwiony odparł, że dworzec nie na sprzedaż, ale że Dzik za swoje pieniądze i klejnoty ziemię nabyć może i pobudować. Zbrozło z trudem podchmielonego do snu ułożył przyrzekając, że skoro tylko do księcia zajadą, wnet postara się mu o dworzec. Dzik bowiem zaraz chciał jechać po swoje skarby, jeno przypomniał sobie, że

drogi nie zna, i spać się wreszcie położył.

Układ z Pakosławem

Z południa już było, gdy Mieszko do łaźni się udał parzyć, by trud z kości wygnąć. Odziawszy się posłał do Mściwoja, a gdy ten nadszedł, Pakosława przed sobą stawić polecił.

Sprowadzono go wkrótce ze związanymi rękami, nie obmytego po znoju bitewnym, ze zmierzwioną brodą i włosami. Mieszko spojrział na niego i polecił zaprowadzić go do łaźni, odziać przystojnie i nakarmionego dostawić. Czekając naradzał się z Mściwojem nad dalszymi planami mazowieckiej wyprawy.

Gdy po dłuższej chwili nadszedł Pakosław, Mieszko siadać mu polecił, po czym zagadnął:

- Krótka, widzicie, wojna między nami była i więcej w niej powrozów niż oręza potrzebowalem. A teraz, jakoże myślicie, co ma być?

Pakosław, zmieszany, milczał nie wiedząc, do czego Mieszko zmierza, gdy ksiązę podjął:

- Niech wam się przez chwilę zdaje, że żadnej bitwy nie było i żeście w gościnę do mnie zajechali przyjaźnie uradzać, jak Mazurów z Polany złączyć, aby jednym i drugim korzyść była.

- Nie w gościnę tu jechałem - odparł Pakosław - i nie nad tym, co mówicie, radzić, dlatego odpowiedzieć wam niegotów.

- Dobrze - rzekł Mieszko. - Ale w takim razie musicie wiedzieć, co byście zrobili, gdyby wasze zamiary nie chybiły i wy na moim, a ja na waszym miejscu siedział?

- Okup byście musieli dać i zakładnika, że Mazowsze w spokoju zostawicie. Do wolności my nawykli, a wiary niemieckiej nie chcemy.

- A myślicie, że sami wolność i wiarę potrafilibyście utrzymać?

Gdy Pakosław nie odrzekł nic, dodał:

- Tak długo jeno, póki my siłę mamy, za naszymi plecami bezpieczni się czujecie. Dlatego jednako mi żal moich i waszych wojów, co dzisiaj legli. Bijmyż się dalej! Was ja bez trudu pokonam, jako widzicie. Ale siły mi od tego nie rosną ani wam. Korzyść jeno wspólnemu wrogowi.

Pakosław milczał nadal zmieszany. Odparł wreszcie:

- Zwierzchnictwo wasze wreszcie byśmy uznali, ale wiary ni obyczaju zmieniać nie chcemy!

- A mniemacie, że ja chcę?

- Jakoże nie? - spytał Pakosław zdumiony. - Wszyscy o tym prawią i Wszebór by nie zełgał.

- Nie! Jeno on nie wierzy, że nie chcę, lecz muszę, bo minął czas, gdyśmy sobie żyli na uboczu, jak nam serce kazało, a dziś nie możemy odrzucić tego, co innym dało siłę. Jedno, co jeszcze dziś leży w

mojej mocy, to przyjąć krzyż Niemcom ponad głową, by w zależność od nich nie popaść. Jutro może być za późno, dlatego nie czas każdemu tłumaczyć. I nie potrzebuję - dodał dumnie.

- Nie mogę tego zrozumieć, panie - rzekł Pakosław.

- Ja zaś czekać nie mogę, aż zrozumiecie.

- Do czego zmierzacie?

- Chcę, byście mi ufali, że szukam wspólnego dobra i nie niewolników zrobić z was zamierzam, ale połączyć bratnie plemiona, by w siły urósł. Nie na was, bo te, co mam, by starczyły i mógłbym uczyńić, co zechcę, a pytam: chcecie z dobrej woli do nas się przyłączyć?

- Rody u nas, panie, na wiecach stanowią.

- Ale czasu wojny cała władza w ręku kniazia, a my przecie jeszcze w wojnie jesteśmy - uśmiechnął się Mieszko. - Macie tu swoje rody w pętach u mnie, sprzedać je mógłbym jak trzodę, a pytam: będziecie z dobrą wiarą mnie służyć? Tymczasem za siebie mi odpowiedzcie!

- Będę, panie! - oświadczył po namyśle Pakosław.

- Na prochy przodków i cześć?

- Przrzekam!

- Tedy wieców możecie nie pytać, jeno moją i swoją wolę im oznajmić. Jeden pan musi być na ziemiach, które naszym słowem mówią, i ja nim będę. Z każdego rodu najmłodszy syn ma być mi odesłany. U Jordana uczyć się będzie, a mnie będzie zakładnikiem. Stu konnych wojów wybiorę do swojej drużyny i z każdej włości jednego pachółka do straży po grodach. Daniny płacić będziecie jak Polanie.

Wy z mego dziś ramienia rządzić będziecie w Łowiczu, z wiosną na roki macie stawać w Gnieźnie z innymi. Gdy uznam, że czas, wprowadzę chrześcijaństwo. Tymczasem mnichów wam przyślę, którym pomoc i opiekę zapewnicie, a lud się z nimi oswoi. Od Rusi i Jaćwieży też was uchronię, jeno skończę z resztą Mazowsza. Lepiej nam razem na nich pociągnąć, niż bić się między sobą. Lepiej łupy i ziemię zabrać, niż ziemię gryźć lub iść w pętach na targowisko jak bydłę.

- Co mam teraz czynić? - zapytał Pakosław.

- Zabierzcie swoich i do dom jedźcie. Zawołajcie mazowieckich panów, przedstawcie im, co wam mówiłem. Na wojnę się muszą gotować. Ze mną lub przeciw mnie. Co wybiorą.

Przed wieczorem jeszcze Mazurzy, nakarmieni, broń z powrotem otrzymawszy, z Pakosławem pociągnęli do Łowicza. Mieszko zaś pożegnawszy Ścibora, który na Poznań ruszył, do Wielunia się zbierać począł, by tam na dalszy rozwój mazowieckich spraw wyczekiwać.

Dzik w Kozim Rogu

Po kilku dniach stan rannego Mścislawa, otoczonego staraniami, poprawił się na tyle, że przytomności już nie tracił i jeść począł. Tak jednak był słaby, że karmić go było trzeba i widoczne było, że nieprędko siły zbierze do dalszej podróży. Zbrozło postanowił tedy jechać z Dzikim do Koziego Rogu i ludzi po Mścislawa przysłać, a potem ze Ściborem ruszyć do Poznania, aby do poselstwa nadażyć.

Gdy jednak z kmieciem Brodą sprawę pozostawienia Mścislawa omawiał, dziękując mu za gościnę, napotkał niespodziewaną przeszkodę. Dzik zdążył zadomowić się w dworcu, który całymi dniami obchodził wszędzie zaglądając i wszystkiemu się dziwując, zwłaszcza niewiastom; wieczorami zaś pił z gospodarzem a podchmielony rozgadywał się tak, że kończył dopiero, gdy Broda znużony zasnął na ławie.

Wszelkie rozkazy i namowy natrafiały na milczący opór Dzika i Zbrozło już zamyślał sam jechać, Dzika zostawiając, aż dopiero obietnicą pokazania nie takich dworców jak ten, zdołał go wreszcie przekonać. Dzik co prawda niezbyt ufał, czy go Zbrozło nie zwodzi, lecz ciekawość przemogła.

Wyjechali wreszcie, ale nie rankiem, jak zamierzali, lecz w południe, bo jeszcze na koniu siedząc Zbrozło dłuższy czas czekać musiał, aż się Dzik ze wszystkimi pożegna.

W drodze za to Zbrozło naglił i jechali tak ostro, że czwartego dnia wieczorem stanęli w Kozim Rogu.

Gdy wjechali do dworca i oddawszy konie pachołkom, weszli do świetlicy, zastali tam starego Dołęgę, a po chwili Dosza z dziećmi nadbieżała, zaniepokojona, czy się co złego Ściborowi nie stało. Zbrozło uspokoił ją, a przy wieczery o przygodach opowiadał. Gdy mówił, jak pojmano Dzika, Dosza spojrzała na olbrzyma, który, wpatrując się w nią, nawet o jedzeniu zapomniał.

Doszy nieswojo się zrobiło, jak gdyby zwierz jakiś nieznaną patrzył na nią, tak że słowa rwać się jej poczęły. Dopiero gdy stary Dołęga ze złością trącił Dzika, mówiąc mu, by jadł lub, jeśli śpiący, spać poszedł, zawstydzony Dzik wziął się do jedzenia, tylko ukradkiem, od czasu do czasu, na Doszę rzucając spojrzenie, przy czym wzdychał ciężko jak żubr.

Gdy Zbrozło opowiadał o zranieniu Mścislawa, Swatek zaczął popłakiwać starając się to ukryć, Białka zaś pobladła i utkwiała w Zbrozle przerażone oczy, z których łzy jak groch się posypały.

Dosza, też zaniepokojona, dzieci przytuliła dopytując, gdzie Mścislawa zostawił. Swatek uparł się, że pojedzie po niego tak że Dosza musiała zezwolić. Wymógł też na Dołędze by rankiem ludziom jechać kazał.

Dosza zabrała dzieci na spoczynek i odeszła, a Dołęga, pogawędziwszy jeszcze chwilę, Zbrozłą z Dzikim samych zostawił.

Zbrozło do spoczynku począł się rozdziewać, Dzik jednak dalej siedział na ławie wsparłszy kudłatą głowę na obu rękach, zadumany tak że Zbrozło, kilka razy bez odpowiedzi zagadnąwszy, trącił go

wreszcie, na spoczynek iść polecając, gdyż mieli zaraz do Poznania jechać, by Ścibor nie czekał tam na nich.

Dzik drgnął, jakby go ze snu zbudzono, i jął się rozbierać, głęboka jednak zmarszczka na czole świadczyła, że dręczy go jakaś myśl, której wypowiedzieć nie umie.

Pokładli się wreszcie na zasłanych skórami ławach, Dzik jednak kręcił się nie mogąc usnąć.

Zbrozło w ciemności usłyszał, jak Dzik siadł na posłaniu, a po chwili chodzić zaczął po izbie, jak zwierz po klatce, mruczając coś do siebie. Gnębiło go coś widocznie.

Zbrozło poruszył się i chrząknął, aby dać poznać, że nie śpi. Dzik jakby czekał na to, zapytał:

- Nie śpicie?

- Nie śpię - odparł Zbrozło.

Wstał i podszedłszy do komina, w którym resztki żaru, pokryte siwym popiołem, ledwo już przeświecały, rozgrzebał je i przyrzuciwszy świeżych trzasek ogień rozdmuchiwał. Po chwili wyskoczył płomyk liżąc szczapy i blask ognia rozświecił izbę.

Zbrozło usiadł na zydlu przed kominem i wpatrzony w ogień, cicho zapytał:

- Co ci jest? Mów.

Dzik zbliżył się, postać chwilę, po czym usiadł na rozpostartej przed kominem skórze niedźwiedziej i objąwszy kolana rękoma, w ogień się zapatrzył. Na twarzy jego malował się wysiłek, widocznie słów nie mógł dobrać. Zbrozło czekał nie odzywając się i długą chwilę słychać było jedynie trzask płomienia.

Wreszcie Dzik przerywanym głosem przemówił:

- Bo nie śmiecie się ze mnie. Jakem wczoraj tę niewiastę zobaczył, to mi się zdało, że ją kiedyś dobrze znałem, i szukam w głowie, aż boli, i przypomnieć sobie nie mogę.

Zamilkł, lecz widocznie coś jeszcze chciał powiedzieć, bo niepokój, wysiłek i jakby zawstydenie malowało się w jego twarzy, wreszcie szeptem przemówił:

- A jak te dzieci przytuliła do siebie, to mi się zdało, że sam jestem taki mały, a do mnie nikt tak nie mówi ani nie przytuli. I tak mnie coś za gardło dusiło i oczy piekły. Może ja chory jestem, nie wiecie?

Głowę oparł na kolanach i zamilkł.

Zbrozło mu rękę oparł na głowie, a po chwili łagodnie gładzić go począł po kasztanowatych włosach i pół do niego, pół do siebie przemówił:

- Po co to z lasu zabierać było? Nie przesadza się starych drzew. Nie łam się, nie przypominaj. Pójdiesz z nami w świat, zobaczysz dwory wspaniałe i zamki, i kościoły całe z kamienia, i niewiasty piękne, i szaty ozdobne, i wojska potężne. Swoje skarby ludziom rozrzucisz i będą ci się kłaniali. A kiedyś wrócisz do swojej dziczy, do zwierza, do boru, bo tam twoje miejsce. Tam przyjdzie do ciebie ta, której teraz sobie przypomnieć nie możesz, i utuli cię, i oczy ci zamknie, i zaśniesz tak jak teraz, tylko nie ockniesz się więcej.

Dzik spał już, jak siedział skurczony. Po chwili, nie budząc się, na skórze się rozciągnął, westchnienie ulgi poruszyło jego ogromną, kosmatą pierś. Zbrozło patrzył na niego czas jakiś, po czym wstał i na ławie się położył.

Jasno już było w izbie i ruch wszczął się na dworcu, gdy Dzik obudził się, jakiś czas zdziwionym wzrokiem rozglądał się po izbie. Wstał, przeciągnął gnaty i trącił Zbrozłę.

- Nie wiecie, skąd się pod kominem wzięłem? Przecie na ławie spać się układałem.

- Nie wiem - rzekł Zbrozło. - Pewnikiem źle ci było na ławie i przez sen poszedłeś na skórę.

Ubierali się, gdy pacholek przyniósł polewkę i kołaczki. Dzik, jedząc, nad czymś się namyślał, po czym powiedział:

- Coś mi się śniło, ale nijak przypomnieć sobie nie mogę.

- Kto by tam sny wspominał? Lepiej pospiesz się, bo wnet ruszamy do Poznania - rzekł Zbrozło.

Jakoż słońce nie dobiegło jeszcze połowy swej dziennej drogi, gdy Zbrozło z Dzikim, na czele kilku pacholek z podwodnymi końmi, wyjeżdżali z bramy gródka. Dzik zdążył jeszcze obejść gródek ze wszystkich stron i taki sam wybudować sobie obiecywał. O Doszy jakby zapomniał, a i ona żegnać ich nie wyszła, jeno stary Dołęga u bramy życzył szczęśliwej podróży.

Zbrozło i Dzik przybrani byli okazale, by poselstwu wstydu nie czynić. Dużo trudu zużyły niewiasty, by głowę Dzika mniej do strzechy uczynić podobną, a więcej jeszcze Zbrozło, by powstrzymać go, aby nie kładł na siebie złocistej kapy, która do kościoła gdzieś przeznaczona, trafiła zbójckim szlakiem do Dzikowego skarbu. I tak obwieszony był kosztowną bronią, a szubę na brzuchu wypychał mu łosiowy pas, naładowany złotem. Dwa konie wiozły resztę jego skarbu, który za radą Zbrozły zamierzał zostawić u księcia w Poznaniu.

Jechali na południowy zachód i późnym już wieczorem dobiwszy do poznańskiego gościńca, przenocowali w osadzie. Wczesnym rankiem po przetartej drodze szparko poniosły ich konie do Poznania i sporo jeszcze przed wieczorem wyjechawszy z borów, ujrzeli z dala świecące w słońcu budowle obszernego grodu, których drewno nie zdążyło jeszcze poczerpieć. Poznań, położony na otwartej równinie, rozbudowywał się szybko. Zawsze też kupców zastać tu można było, z Niemiec czy z Rusi, z Węgier czy z miast bałtyckich, których szlaki tu się krzyżowały, gości też prawie nigdy nie brakło i obyczaj był nowszy. W obszernych izbach książęcego dworu uczyły bywały gwarniejsze i niewiasty udział w nich brały, czemu młodzież rada była.

Zbrozło, Dzika z ludźmi i konie w budynkach Ściborowych zostawiwszy, szedł na dworzec księciu się oznajmić. Nie zastał go, gdyż na błonia nad Wartą pojechał, ćwiczeniom wojsk się przyglądać, lecz lada chwila go się spodziewano.

We dworcu rojno było i znajomkowie wnet obstąpili Zbrozłę, dopytując się o nowiny, a zwłaszcza o Mścislawa, o którego przygodzie już wiadano. Zbrozło zbywał ciekawych i za Ściborem nad Wartę się wybierał, lecz już pachołek z oznajmieniem o jego przyjeździe pojechał, księżę bowiem, który przybył przed dwoma dniami, o Zbrozłę się dopytywał i z wyjazdem czekał tylko na jego przyjazd. Zdrożony Zbrozło pozostał więc w dworcu, w którym do uczy przed podróżą czyniono przygotowania. Roilo się na dworcu od rycerstwa i urzędników, którzy jeno na powrót Ścibora oczekiwali, by do uczy zasiąść, a tymczasem skracali sobie czas pogwarkami o wieściach z Mazowsza, zamierzonym poselstwie i spodziewanych zmianach, a młodzież gwarzyła o koniach, łowach i niewiastach, których tu też kilka z mężami lub ojcami przybyło.

W podworcach służba czyniła ostatnie do drogi przygotowania pod nadzorem koniuszych, przeglądając i czyszcząc konie. Niejeden też z rycerzy i dworzan, którzy Ściborowi towarzyszyć mieli, sam doglądał przygotowań, ładowania szat i sprzętu podróznego. Droga bowiem przed nimi była daleka, a orszak liczny i świetny zarówno dla bezpieczeństwa, jak i dla okazałości.

Zbrozło usiadł w kącie bocznej komnaty, przyległej do świetlicy, nie mając ochoty do rozmów, i na Ścibora czekał.

Zapadał wieczór i światła w świetlicy zapalano, w komnacie jednak panował mrok i Zbrozło, znużony drogą i rozmarzony ciepłem po przemarznięciu, zadrzemywał. Przecknęły go głosy dwóch mężów, którzy, wszedłszy do komnaty, wszczęli przyciszoną rozmowę, obecności świadka nie zauważywszy. Mimo mroku Zbrozło poznał stryjecznych Mieszka, Przybywoja i Odylena, którzy z poselstwem jechać mieli z Mieszkowego rozkazania i wraz z innymi czekali na wyjazd.

Zrazu poczęli mówić o podróży, krzywiąc się na podrzędną rolę, jaką im Mieszko nawet w poselstwie wyznaczył.

- Mało co, za pachołków nas Mieszko używać będzie! - rzekł Odylen. - Myślałby kto, że taką cześć cesarzowi chce wyrządzić, aż trzech krewniaków z daniną i pokłonem wysyłając.

- Pozbyć nas się stąd chce. Nie jesteśmy mu wygodni teraz, gdy niechętnych mu nie braknie, a ludzie pamiętają jeszcze, że ojcu naszemu, a nam po nim, dziedzina się patrzyła. Ścibora już podobno próbowali, ale nie mędrszy on od naszego rodzica. Wojna mu tylko smakuje i niewiasty, a nie baczy, że na łaskę Mieszkową się zdaje - mówił Przybywój.

- On przynajmniej na łaskę, ale nas na niełaskę zdano. Ni do wojny nas Mieszko dopuści, ni do swojej osoby. Tyle że jeść co mamy.

- Mieszko wie, co robi - szorstko zaśmiał się Odylen. - Siły nam nie da do ręki, by się przeciw niemu nie zwróciła.

- Nie wiem tylko, czy nie przechytrzył wysyłając nas do Gerona. Wie ci Gero, kto jesteśmy i na co

się przydać możemy, a i ja takiej sposobności nie przepuszczę.

- Niełatwa to gra. Tutaj, chcąc coś przeciwko Mieszkowi działać, za dawną wiarą opowiedzieć by się trzeba, tam za przyłączeniem do niemieckiego Kościoła!

- Tu nie działamy nic. Mieszko dość ma siły, by w kraju się oprzeć. Tylko z niemiecką pomocą co wskórać możemy, a poparcie Gerona pewne, byle trafiła się sposobność.

- Teraz sposobność najlepsza. Mieszko się jeszcze w kraju nie rozsiadł na dobre. Zapowiedzią wprowadzenia chrześcijaństwa swoich sobie zraził, a czyniąc to ponad głowę cesarza - Niemców. Z Mazowszem też nie skończy prędko. Po to on i daninę płacić się zgodził, by spokój od tej strony kupić. Chytry jest Mieszko, ale i Gero nie głupi. Dobrze on wie o tym, że Mieszko póty jeno będzie płacić, póki mu spokój potrzebny.

Przybycie Ścibora przerwało rozmowę, ruch się począł w świetlicy i zaczęto siadać do stołów. Przybywój i Odylen wyszli, a za chwilę i Zbrozło wysunął się z komnaty i szedł Ścibora powitać. Ścibor wskazał na miejsce koło siebie, o Mścisława, dzieci i podróż wypytujac. Zapytał też o Dzika i chciał słać po niego, by na ucztę przyszedł. Zbrozło rzekł niechętnie:

- Zostawcie go, gdzie jest. A jeśli radzić wolno, nie bierzcie ze sobą, jak się dziecka ni dzikiego zwierza nie bierze między ludzi. Nam będzie zawadą, a jemu nic z tego nie przyjdzie. Gdzieś na granicy w gródku go osadzić, na wojnę czy łowy brać, ale w poselstwie, w obcym kraju, tylko kłopot być może.

- Oswoi się - lekko odparł Ścibor. - Niech ujrzy coś więcej niż puszcę, zresztą tu go samego nie zostawię. Zobaczymy po powrocie, co dalej.

- Jak uważacie, panie! - odparł Zbrozło wstając. - Pozwolicie, że odejdę do drogi się sposobić. Jeśli Dzik nie śpi, to go tu przyślę.

Przygoda za bramą

Poznań pradawną był osadą, żywszy jednak jego rozwój dopiero za Ziemomysła się począł. Póki książęta wiecom jeno przewodzili, a istotną władzę mieli tylko czasu wojny, na czele wojska, wiciami zwoływanego, szczupłe Gniezno starczyło im za stolicę, w której nieczęsto zresztą przebywali, prawie bez przerwy kraj objeżdżając, jeśli nie byli na wyprawach. Ludność, przeważnie z dworskich, służby i niewolników złożona, mało ponad setkę głów liczyła.

Gdy jednak, wzorem sąsiednich państw, książę stałą począł trzymać drużynę, o której liczebność i jakość dbał wielce, gdyż siłę jego na zewnątrz, a powagę wewnątrz zapewniała, szczupły gnieźnieński dworzec tracić zaczął na znaczeniu. Drużyna, do paru tysięcy wojów licząca, choć rzadko była w całości na miejscu, przecie osiedla i domy swe mieć musiała w grodzie lub w jego bezpośredniej bliskości, gdzie przebywały rodziny, pod nieobecność drużynników pozostające pod książęcą opieką, gdy oni sami długie nieraz miesiące na wyprawach bywali czy z książętami na objazdach, czy też strażę pełnili w pogranicznych grodach. Nadania też książę dla nich w bliskości grodu czynił, gdzie osadzano niewolników, z wypraw przywiedzionych lub kupionych, kraj zaludniając i nieprzebyte za pierwszych Piastów puszcze przeświecać poczęły tu i ówdzie polanami, na których i rolę parać się poczynano.

W samym zaś grodzie stołecznym i osadach, które przy nim powstawały teraz jak grzyby, osiadali biegli w rozmaitych rzemiosłach, siłą przywiedzeni lub znęcani zyskiem, którzy potrzeby dworu i drużyny mieli zaspokajać. Leśne szlaki przecierały się w drogi, o które książę dbać nakazywał, a tu i ówdzie zjawiał się most na strumieniu, gdzie dawniej jedynie suchą porą miejscowi bród znali. Choć przeto daleko jeszcze było Poznaniowi do świetności murowanych miast Zachodu, przecie już i dla swego obszaru i zaludnienia miastem mógł być nazwany, które swą ruchliwością zadziwiała przybywających tu z woskiem, rybą i skórami leśnych osadników. Zakładano też dla nich gospody, gdzie stanąć, zjeść i wypić można było i kupców spotkać z towarem, nieznanym jeszcze nieraz, ale zawsze pożądanym.

W ruchliwym tym skupisku nie brakło też łotrzyków, którzy na lekki chleb polowali, a choć kary były okrutne, nie często jednak sprawiedliwość dostała łotrzyka w swoje ręce, by pokaleczone ścierwo jego na pokaz ludziom i postrach dla innych za wałem grodu wywiesić. Nabroiwszy bowiem, łatwo znikał w lasach, w których chyba pogoń, przekazywana od osady do osady, po gorącym śladzie doścignąć go mogła, o ile nie zdążył się skryć za niemiecką granicą, gdzie już było niebezpiecznie go ścigać.

Zbrozło, wróciwszy z uczty, nie zastał Dzika w domu, a od sług dowiedział się, że znużony czekaniem na niego wyszedł miastu się przyglądać, które już przy wjeździe niepokoiło i ciekawiło go widocznie.

Noc już była zapadła, rozdeptany licznymi nogami śnieg przy panującej odwilży zmienił się w błoto, ciemność zaległa zupełna. Jeno wątle światelka, tu i ówdzie przesączaające się z domów, pozwalały w kierunku ulic się wyznawać. Zbrozło zaniepokoił się. Dzik bowiem nie miał co oglądać w ciemnościach, a chociaż pierwszy raz był w mieście, przecie trafiłby na miejsce, a w ostatku dopytać się potrafił.

Zbrozło, trochę wyczuciem, a trochę na domysł, skierował się ku międzyrzeckiej bramie, przypuszczał bowiem, że ciekawy Dzik poszedł w tę część miasta, której z przejazdu nie widzieli, wiedział zaś, że koło bramy była gospoda, gdzie piwo i miód dawano, a znał słabość Dzika do tych napojów.

Jakoż przyszedłszy do gospody, którą właśnie zamykano, dowiedział się bez trudności, że człowiek opisanego przezeń wyglądu pił z jakimiś obcymi ludźmi, którzy podawali się za kupców, tylko że towarów nijakich nie mieli, zostawiwszy je rzekomo w chacie za wałami nad Wartą - po czym razem z Dzikim wyszli, gospodarz jednak kierunku podać nie umiał. Mówił natomiast, że Dzik jakieś towary na niewidzianego targował i z tej okazji litkup pili, za który Dzik płacił złotem, z pasa wysupłanym, przechwalając się przy tym, jakie to skarby posiada.

Zbrozło dla pośpiechu, by czasu na opowiadanie się straży przy bramie nie tracić, przesadził częstokół i wały i szybkim krokiem podążył ku Warcie. Za wałami jaśniej było, bo nie rozdeptany śnieg jeszcze leżał, tak że widać było ciemniejszą smugę brzegów i pas międzyrzeckiego szlaku oraz kępy drzew i domków rybackich nad rzeką.

Zbliżywszy się do nich, Zbrozło rozglądał się wokoło, starając się głos jakiś podchwycić. Chaty nie zamieszkałe były zimą i nic nie zdradzało ludzkiej obecności. Przeszedł nasłuchując koło trzech bliższych, nic nie zauważywszy. Skierował się przeto ku stojącej opodal samotnej chacie i gdy ostrożnie podchodził, zdało mu się, że jakieś odgłosy usłyszał. Podeszedłszy jednak, chwilę nasłuchiwał na próżno. Już miał się skierować ku ostatnim, majaczącym w ciemnościach opodal budynkom, gdy znowu usłyszał, wyraźny już, ludzki głos, a nawet rozróżnił słowa.

Podsunał się bezszelestnie pod samo wejście i nastawił ucha.

- Czyś go aby nie ubił, że się tyle czasu nie rusza? - zapytał szorstki głos.
- Nie czułem, by kość chrupnęła, łeb musi być cały - odpowiedział drugi.
- Ale śpik mogłeś mu przetrącić.
- Takiemu bykowi i śpik przetrącić niełatwo, w łeb go zresztą zdzieliłem, nie w kark.
- Przecie oddycha, choć słabo. Żyw musi być, tylko zamroczony - ozwał się trzeci głos.
- To wodą łeb mu zlać, a wytrzeźwieje!
- Skąd tu wody wziąć, kiedy rzeka jeszcze nie puściła, i do czego?
- To śniegiem łeb natrzeć.
- Juści, prawda.

Zbrozło usłyszał kroki na klepisku, ku wyjściu zmierzające. Przyłgnął do ściany za węglem, gotowy na wszystko.

Na obejście wyszedł człowiek tęgi, w kożuchu, z gołą głową. Nie rozglądając się nagarnął śniegu w garście i do chaty wrócił drzwi za sobą nie zamykając. Zbrozło cichcem podskoczył za nim i zauważył, że sień oddziela wnętrze od pola. Przez szpary w wewnętrznych drzwiach przebłyskiwało słabe światło. Zbrozło bezgłośnie podsunął się i zajrzał do środka.

Przy blasku ogarka, ustawionego na ławie, zauważył cztery postacie nachylone nad kimś leżącym na podłodze. Zbrozło widział jeno nogi, lecz wystarczyło to, by poznać Dziką. Coś przy nim robiono, widocznie nacierano twarz śniegiem, i ze skutkiem, gdyż nogi poruszyły się, jakby leżący usiłował usiąść. Nie zdołał widocznie, gdyż nogi opadły z powrotem, a jeden z nachylonych nad nim odezwał się:

- Zbudziłeś się, to poleż, wstaniesz, jak pogadamy.

- Śniegu mi dajcie do gęby - ozwał się Dzik.

Jeden z obecnych nachylił się, widocznie spełniając życzenie. Zaległo milczenie. Po chwili szorstki głos odezwał się znowu:

- Gdzie masz skarby, o których mówiłeś?

- U kniazia Ścibora idź do niego, to ci da!

- Może i da, jak się dowie, że cię ze skóry obedrę, jak ich nie dostanę.

- Idź mu to powiedz, ucieszy się.

- Znajdzie się taki, co pójdzie.

W rozmowę wpadł gwałtowny, sepleniący bas drugiego łotrzyka:

- Nie o tym nam praw, co tu masz, ale co w lesie zakopane. Pamiętam ci ja, co mówiłeś, nie wywiniesz się!

- Mówiłem? - rzekł Dzik. - Musi być, ale nie pamiętam.

- Tak, mówiłeś i to miejsce nam pokażesz!

- Może i pokażę, namyślę się, jak z podróży wrócę.

- Pojedziesz, ale pod lód, jeśli nie pokażesz. Szkoda czasu na gadanie. Szmatka! po konie skocz i zaraz jedziemy. Na rano ptaszka szukać zaczną, musimy już być daleko, a w drodze pogadamy.

Osobnik Szmatką zwany ku drzwiom się skierował. Zbrozło dech przytępił w ciemności. Odczekał chwilę po odejściu łotrzyka i zaglądnął znów do wnętrza. Dzik siedział na ziemi, oglądając sznury na rękach, i zerkał ku gromadce ludzi, którzy półgłosem w kącie rozmawiali. Kaganek postawili na ziemi i nad czymś nachyleni sprzeczać się po chwili poczęli. Zbrozło z kilku słów wywnioskował że dzielą Dzikowe złoto a osobnik o szorstkim głosie, widocznie herszt, żadnego udziału Szmatce dać

nie chce, żądając go dla siebie, gdyż Szmatka jest jego niewolnikiem. Sprzeczka poczęła przybierać gwałtowniejszy obrót, a Zbrozło zauważył, że Dzik po cichu dźwiga się na kolana i więzy rozerwać usiłuje. Wyciągnąwszy zza pasa nóż, Zbrozło bez szelestu uchylił drzwi i przez szparę wcisnął się do izby. Dzik, który klęczał twarzą do drzwi, poznał go natychmiast i bez wahania wyciągnął ku niemu związane ręce, które Zbrozło jednym cięciem od sznurów uwolnił. W tejże chwili jednak jeden z łotrzyków czy odgłos jakiś usłyszawszy, czy tknięty przeczuciem, obejrzał się i widząc stojącego Dzika, a przy nim obcego, krzyknął przeraźliwie i na Zbrozłę skoczył. Uderzony jednak przez Dzika pięścią w brzuch, zwałił się zwinięty w kłębek na ziemię i charcząc począł. Struga krwi pociekła mu z ust, po chwili wyprężył się i umilkł.

Dwaj inni stali oniemiałymi z zaskoczenia, wpatrując się w stojącego przed nimi w blasku kaganka Zbrozłę. Wtem tętent z pola dał się słyszeć. Jeden z nich oprzytomniał i nogą kaganek kopnął, który, potoczywszy się w kąt, błysnął i zgasł. Zanim jednak ciemność zakryła przeciwników, Dzik, ławę oburącz chwyciwszy, zamachnął się nią na odlew. Cios w ciemności już dosięgnął widocznie celu, po głuchym bowiem uderzeniu słychać było stuk upadających ciał i przeraźliwy krzyk bólu napełnił izbę.

Zbrozło, gdy tylko tętent usłyszał, do drzwi skoczył i przy nich się zaczął. Rozległy się szybkie kroki w sieni i Szmatka wpadł wprost na Zbrozłę, który na ziemię go obalił i przycisnąwszy grzbiet kolanem, na Dzika krzyknął, by ogień krzesał.

Po chwili rozległ się stuk krzesiwa i z ciemności wyłoniła się twarz Dzika dmuchającego w hubę. Wyciągnął wiecheć słomy z posłania i wnet ukazał się płomyk wydobywając z ciemności pobojuwisko.

Dzik odszukał ogarek, zapalił go i podszedł do Zbrozły, który wciąż trzymał łotrzyka. Związawszy go zostawili na polepie i zbliżyli się do leżących w kącie dwóch innych. Jeden leżał twarzą ku ziemi bez ruchu. Dzik obrócił go i splunął. W miejscu twarzy była jedna miazga z krwi, kości mózgu i włosów.

Drugi łotrzyk współsiedział, nienaturalnie złamany, pod ścianą. Złana potem twarz błyszczała w blasku kaganka, oczy miał przymknięte i jakby w uśmiechu wyszczerzone zęby. Od czasu do czasu pierś jego podnosiła się jeszcze coraz słabszym oddechem, konał widocznie.

- Grzbiet ma złamany, dojdzie za chwilę - rzekł Zbrozło obojętnie i zwrócił się do związanego łotrzyka: - A ty do kniazia pod sąd pójdziesz!

Na te słowa Dzik, który zbierał pod ścianą rozsypane z pasa złoto, podszedł i zaświecił kagankiem w twarz leżącego.

- To musi ten, co mnie w łeb zdzielił, zaraz go sam sprawię - ozwał się z gniewnym błyskiem oczu, nachylając się nad brańcem.

- Zostaw! - rzekł Zbrozło. - Karę mu żupan wymierzy.

- Jaki zaś żupan? - spytał Dzik niechętnie.

- Ten, który w grodzie władzę z ramienia księcia sprawuje i karać moc ma.
- Moc to i ja mam, a żupanowi cóże do niego, kiedy on mnie, nie jego w łeb dzielił, aż mnie zamroczyło i dotąd huczy mi jak w boru.
- Takie prawo - odparł Zbrozło. - Za rabunek odpowiadać będzie.
- Złoto przecie odebrałem, a i o dzielenie w łeb nie byłbym gniewny, gdyby nie to, że piłem z nimi i z tyłu mnie, zniecka, ścierwo, ugodził, gdy inni zagadywali.
- Gniewnyś czy nie, a kniaź o sprawie wiedzieć musi, żeby niewinni ludzie za śmierć tych trzech nie płacili, gdyby zabójca wiadomy nie był - rzekł Zbrozło. - Prawo wykonać trzeba. Kniaź gniewałby się słusznie, gdybyś spod jego ręki łotrzyka usunął.

Szmatka, który z przerażeniem przysłuchiwał się rozmowie, zawołał:

- Pomilujcie, panie, umęczą i stracą!

Zbrozło wzruszył ramionami, Dzik jednak odezwał się:

- Sam cię tu sprawię, szczeniaku zatracony! Żebyś mi do oczu stanął, nic bym nie rzekł, aleś mnie zdradą z tyłu obalił.
- Bałem się z przodu was uderzyć.
- Jakaś się bał, trza było nie tykać. Kto chce na zbój chodzić, nie śmie się bać.
- Kiedy ja nie chciałem, ino mi kazali!
- Kto ci kazał?
- A ten! - wskazał głową na leżącego obok, skurzonego trupa.
- Co za jeden był?
- Licho go wie. Włóczył się wszędzie, czasem z towarem jak zrabował, a czasem bez. Do Niemców i do naszych, i na Ruś też jeździł, ale skąd by był, nie wiem.
- A ty skąd jesteś i skąd się wzięłaś u niego?
- Od Ślęza jestem, wyrostkiem mnie Niemcy pojмали, a on mnie kupił i ze sobą włóczył, bo znam niemiecki kraj i dogadać się z nimi potrafię.

Zbrozło zamyślił się, a Dzik patrzył na niego, co posta - nowi. Wreszcie rzekł:

- Ja bym go sobie zabrał!

- A na cóż ci on?

- Do posługi. Przecie muszę w moim dworcu mieć ludzi.

- Dworca jeszcze nie masz, a z gościńca łotrzyków zbierać będziesz?

- Albo to gościniec zły?! A mnie skąd kniaź zabrał?

Szmatka, widząc nadzieję, wykrzyknął:

- Weźcie mnie, panie! Służyć wam będę wiernie do śmierci, jeno mnie żupanowi nie wydajcie. Widziałem, jak strasznie ludzi męczyli.

- Miękki jesteś - rzekł Dzik - ale konie czyścić możesz. Na gościniec bym cię nie wziął.

- Chcesz, to go bierz, ale przed kniazem zamilczeć musimy, a trupy gdzieś schować - rzucił Zbrozło.

Szmatka odetchnął głęboko i zawołał:

- Pod lód się ich splewi, nie najdzie nikt ani pytać nie będzie, bo nietutejsi. Na prądzie jest odtajale miejsce niedaleko.

- To splewić ścierwa, a prędko, bo wracać nam trzeba. Bramy niedługo otworzą, a rankiem jazda nas czeka.

- Ty weź tego rozpaskudzonego, a ja resztę - rzekł Dzik do Szmatki. Wziął pod pachy skurzonego trupa łotrzyka, który już zdążył ostygnąć, i drugiego - ciepłego jeszcze, ze złamanym grzbietem, i kopnąwszy drzwi wyszedł, a za nim Szmatka z trzecim na plecach. Istotnie, szarzało już i mróz brał. Dzień zapowiadał się pogodny.

Słońce lada chwila wychylić się już miało, gdy zaskrzypiał śnieg pod stopami wracających. Zbrozło wyszedł, dosiedli zbójceckich koni i pomknęli do Poznania.

W samotnej chacie pozostawiony kaganek mrugnął parę razy i zgasł. Za chwilę pierwsze promienie słońca oświetliły miejsce nocnej przygody, po której pozostały jeno dwie kałuże krwi na polepie, już poczerniałe, i świecąca pod ścianą już zapomniana sztuka złota.

Lubor

Mieszko w Wieluniu siedział, czas na sądach, łowach i objazdach trawiąc i przyjmując wieści ze wszystkich stron, w wyczekiwaniu na dalszy rozwój mazowieckiej sprawy.

Wieści od Sobiesława były korzystne. Załogi Mieszkowe wszędzie już po gródkach stały, młodzież mazurska garnęła się kupą pod Mieszkowe znaki, a bitna z natury i do wojny z prusactwem nawykła - poważnie wzmogła siły księcia.

Natomiast gońcy Pakosława donosili, że między resztą Mazurów nie ma zgody. Książęta ku Mieszkowi się przechylali, wiece przeciw połączeniu z Polanami stały. Rozpoczęte spory ciągnęły się tygodnie i miesiące i nie było widać ich końca.

Lody już puściły na rzekach, skowronki dzwonić już zaczęły nad polami, a Mazurzy wciąż w Czersku stali nie mogąc dojść do żadnego postanowienia. Pomału rozjeżdżać się zaczęli i wreszcie przybył od Pakosława goniec z oznajmieniem, że nie widząc możliwości zgodnego przeprowadzenia sprawy, wraca ze swymi do Łowicza, by tam czekać dalszych rozkazów.

Mieszko panów na radę zwołać kazał, by wysłuchać ich zdania, zanim dalsze poweźmie postanowienie. Zeszli się, po kolei na rozkaz księcia głos zabierając.

Młodszy, niecierpliwi, którym sprzykrzyła się beczynność, a nęciła wojaczka i łupy, radzili nie mieszkając wejść na Mazowsze i korzystając, że większość jeszcze w Czersku wadzi się między sobą, jednym zamachem wojnę skończyć. Starsi doradzali cierpliwość uważając, że czas trzeba dać Mazurom: albo się jeszcze na Mieszkową stronę sami przechylą, albo też, wyklóciwszy się, do domów rozjadą, a w rozproszeniu bez trudu i strat wielkich pokonać ich będzie można.

Stary Mściwój milczał, na Mieszka spoglądając, czy go do głosu nie wezwie, lecz ten, wysłuchawszy, co inni mówili, odprawił ich polecając jedynie zostać Mściwojowi i sprowadzić Lubora, który tego rana powrócił skądś z daleka.

Mieszko chwilę chodził po izbie zamyślony, wreszcie, stanąwszy przed Mściwojem, zapytał:

- A wy co sądzicie o tym?

- Tak sądzę, że żaden w waszą myśl nie utrafił.

- Słusznie mówicie, ale co wy byście radzili?

- Widzę, panie, że sąd macie już gotowy.

- Juści, mam, ale waszego rad wysłucham. Moje zamiary i troski znacie, lepiej niż inni doradzić możecie.

- Pustej ziemi dość mamy, łupy bogatsze niż na Mazowszu znaleźć można gdzie indziej, a niewolnik gorzej służy od wolnego człeka - mruknął stary.

- Tak i ja myślę - rzekł Mieszko - ale Mazowsze moje musi być, a skończyć należy prędko, póki kupiony, spokój mam.

- Trzeba, by to zrozumieli, jak na północy, że się sami nie utrzymają.

Rozmowę przerwał komornik oznajmiając przyjście Lubora. Mieszko wprowadzić go polecił i rzekł do Mściwoja:

- Myślę, że ten nam postanowić pomoże. Znaćcie go?

- Juści znam. I wasz rodzic rad go używał.

Wszedł Lubor, mąż w sile wieku, pięknej postawy, choć niewysoki, prosty, szeroki w barach, wiotki w pasie. Smagława, pociągła twarz, okolona kruczym zarostem, z lekka już szpakowatym, proste, czarne i wąskie brwi, zarośnięte nad lekko orlim nosem, oczy czarne jak węgiel, głębokie i nieprzeniknione.

Pochodził z Rusi, pono z kniaziów, młodym człowiekiem do Ziemomysła na służbę nastał. Choć na stałe u Polan osiadł, przecie na Ruś go ciągnęło, tam też używano go jedynie, bo znał kraj i ludzi i miał swojaków, z którymi nie zerwał stosunków, choć nie lubił Rusinów i szkodził im, gdzie mógł, mszcząc się pono za jakieś krzywdy doznane. Nie przyjaźnił się ani poufalił z nikim i nie miał też przyjaciół, a nawet nie lubiano go, bo choć nie szukał z nikim za - n czepli i gładki był w obejściu, z zachowania widoczne było, że nie zależy mu na nikim i za lepszego od innych się uważa.

Ziemomysłowi służył wiernie i niezawodnie i jemu jednemu okazywał pewne przywiązanie, nie gardząc jednak nagrodami i nadaniami, a zazdrośni mówili, że razem z łupami z wypraw zebrał ogromne bogactwa. Gdy nie był na wojnie, lub na jednym ze swych tajemniczych wyjazdów, siedział w Bieczu, gdzie wystawił z kamienia dworzec, któremu się też dziwowano. Z Mieszkiem dość zżyty, gdyż parę wypraw razem odbywali, a Mieszko, który umiał dobierać ludzi, cenił go dla ogromnej znajomości ruskich stosunków i biegłości w wojaczce, w czym, jeśli o Ruś chodziło, nie miał współzawodnika.

I teraz z Rusi wracał, dokąd wysłany był przez Mieszka ze zleceniami od których wypełnienia w dużej mierze zawisła sprawa Mazowsza. Mieszko z niecierpliwym zaciekawieniem wypytywał go o wyniki podróży. Lubor odpowiadał krótko, z widocznym z siebie zadowoleniem. W końcu zapytał, czy ma swoje plany przedstawić, a gdy Mieszko skinął przyzwalająco, rzekł:

- W Czerwieni, Bełzie i Przemyślu czekają jeno byście na Mazowsze uderzyli, by na was z drugiej strony uderzyć. Nie bez tego, że i niektórzy z Mazurów sami ich przyjąć gotowi byle wam się umknąć, a i z waszych Sandomierzan wachają się niektórzy z Czerwieńcami. Od radomskiego Skarbimierza były posły w Czerwieni. Niecierpliwą się tam już że nie uderzacie, by na siebie mazurskie siły ściągnąć, a im, łatwą zdobycz wpędzić w ręce. Wieści z północy trochę ich pomieszały, bo im od Pieczyngów grozi burza i czasu nie mają wiele. Przed latem chcieliby na Mazowszu sprawę skończyć, by się w drugą stronę w porę obrócić. Dlatego czekać trzeba, póki pierwsi nie uderzą. Może się wówczas Mazurzy sami do was przyłączą.

- A jeśli nie uderzą? - spytał Mieszko.

- To nie stracimy nic, na gorsze się nie zmieni.

- Stracimy czas - rzekł Mieszko - a nie mam go za dużo. Nie na długo spokój od Niemiec. Płacę i kłaniam się, ale Gero póty słowo zdzierzy póki jemu, nie mnie dogodnie. A nie ruszy sam, to znajdzie takiego, co uczyni to za niego; nierazże już tak było.

- Na tamtych sprawach się nie znam, to i głosu nie zabieram. Ale tutaj wiem co mówię. Rok czasu nam trzeba, a nie tylko Mazowsze będzie nasze, ale i Czerwieńskie Grody.

Mieszkowi oczy zabłyśły, ale nie rzekł nic i zadumał się. Mściwój natomiast zapytał:

- Jakżeście to pomyśleli?

- Niech Sobiesław posunie się ku Bugowi, pod Brześć. I dla spokoju, i dla niepoznaki po Jaćwieży może się wzdłuż granicy przejechać: umocni to wasze panowanie na północy i Mazurów usposobi przychylnie. Pakosław koło Pułtuska niech swoich pod bronią trzyma. Wy, panie, Radomską Puszcza pod Kielce i Sandomierz dojsć możecie niepostrzeżenie. Ja stanę w lasach pod Żmigrodem. Dacie mi wolną rękę, to z Pieczyngami uładzę, by teraz przestali grozić. Poczują się Czerwieńcy bezpieczni, to pierwsi uderzą, znajdą się tacy, co im doradzą. Puścić ich zrazu, niech Mazowsze zajmują. Będą Mazurzy widzieli, że nie ostoją się - sami, to przynajmniej oporu od nich nie spotkacie, jeśli już prosić nie będą, byście ich wziąć raczyli.

- No, to wiem już i resztę - rzekł Mieszko. - My Czerwieńców na Mazowszu odetniemy, a wy pójdziecie grody ich zajmować.

- Pójdę i dalej wzdłuż Dniestru, aż do Czerwonogrodu. Skończycie, panie, na Mazowszu, to pójdziecie ku mnie lewym pobrzeżem. Liczę, że się pod Bełzem spotkamy.

- Wiem też, czego wy chcecie - rzekł uśmiechając się Mieszko.

Mściwój i Lubor spojrzeli pytająco.

- Chcecie rządzić na Czerwieni i będziecie z mojego ramienia.

- Dziękuję wam, panie! - ozwał się Lubor, po czym księcia pożegnał, gdyż znużony był drogą.

Po jego wyjściu jakiś czas panowało milczenie. Mieszko chodził po komnacie, głęboko zadumany. Czasami przystawał spoglądając w zamyśleniu na Mściwoja jakby coś mówić zamierzał, i znów ruszał dalej. Zaklaskał wreszcie w dłonie i komornikowi wieczernę podać i ognia naniecić polecił gdyż chłód marcowy z wiatrem sączył się do komnaty. Czekaając usiadł naprzeciw Mściwoja, jakby do rozmowy zachęcając.

- Ufacie wy Luborowi, panie? - spytał Mściwój.

- Gdyby był młodszy i synów miał, tobym mu może nie ufał. Znam go dobrze i znał go rodzic mój, od czasu, gdyśmy pierwszy raz na Czerwieni bywali. Ma on tam swoje porachunki, twardą ręką rządzić będzie. Człek jest dufny w sobie i pyszny, ale przebiegły i mądry. Wie, że już nie czas i nie lata mu

swoje państwo budować, jak sędzę, że z młodu zamyślał. A mnie Czerwień po to potrzebna, by spokój mieć od wschodu. Lud tam obyczajem i mową od naszego nie różny, jeno kniazie a władcy obcej krwi, na Nowogród i Bizancjum się oglądają. Tych on przetrzebi, a od napaści potrafi się obronić. Spokój będę miał, by na północ i zachód oczy trzymać obrócone, bo tam będzie się nasz los rozstrzygał.

Mściwój kiwał siwą brodą, po czym rzekł w zamyśleniu:

- Dziedzica by wam, panie, jak najprędzej trzeba, co by dzieło wasze zrozumiał i dalej wydoił prowadzić.
- Niech się jeno z tą wojną uładzę, a pokój od zachodu utrzymam, nie mieszkając do Pragi jadę.
- Chrześcijańską panią nam przywieźć?!
- To postanowione i z tym pogodzić się musicie.
- Żal tego, co minęło - westchnął Mściwój.

Powrót Mścislawa

Marcowe słońce dogrzewało już nieźle, topiąc śniegi południową porą. Strumień zbudził się z zimowego snu, niosąc wodę do jeziora i rozlewając ją po zamarznętej jeszcze tafli, na której zasiadały stadami ściągające z oparzelisk kaczki i rajcowały w ciepłe słonecznym o nadchodzącej wiosnie. Wieczorami jeszcze mróz ścinał rozlewisko cienką skorupą, ale widoczne już było, że zima się przesiliła i nie strzyma długo.

Ludzie którzy ze Swatkiem po Mścislawa pojechali, nie wracali i Dosza niepokoiła się, że wrócić przed roztopami nie zdążą, a powrót w roztopy, i to z rannym, nie był możliwy.

Dołęga zrazu uspokajał ją, potem sam niepokoić się zaczął, wreszcie, mimo kalectwa, postanowił w drogę wyruszyć i właśnie miał nazajutrz wczesnym rankiem wyjechać, gdy wieczorem psy radosnym szczekaniem oznajmiły swoich i w las pobiegły, a po chwili dało się słyszeć skrzypienie płozów, łamiących skorupę szreni.

Na psi harmider Dosza wybiegła, właśnie gdy Dołęga spuszczać kazał most przy bramie, a nadjeżdżający z lasu wychynęli i mimo zmroku poznać ich już można było. Za chwilę wśród psiego hałasu I gwaru wjeżdżali w podwórze.

Sanie zajechały przed dworzec, Swatek, zeskoczywszy z nich biegł matkę witać. Na ręce go wzięła tuląc do siebie i do Mścislawa podeszła. Pachołkowie wybiegli z łuczywem przyświecać, a dwóch Mścislawowi z sań wysiąść pomagało. Dosza, ujrawszy go w migotliwym świetle łuczywa, przeraziła się. Miał kwitnącej twarzy młodzieńca, którego żegnała przed kilku tygodniami, zobaczyła oblicze obciążone woskową skórą, niemal martwe, gdyby nie płonące gorączkowym blaskiem oczy. Patrzyli na siebie przez chwilę bez słowa nie wiedząc, co rzec. Po chwili dopiero Mścislaw odezwał się obcym, zdyszonym głosem:

- Przecie was jeszcze widzę, nie spodziewałem się już. Lżej będzie umrzeć między wami. Śmierć tak wyraźnie wybiła na nim piętno, że Dosza nie potrafiła zaprzeczyć i stała zmieszana. Dopiero stary Dołęga szorstkim, choć wzruszonym głosem ozwał się:

- Nie pomoże stać na mrozie, do łoża teraz idźcie. Wypoczniecie z podróży, to wam czarne myśli przejdą.

I powiódł Mścislawa do dworca, gdzie ten zaraz w łożu legł. Czas jakiś wodził po izbie oczyma z bolesnym uśmiechem. Dosza sama poiła go miodem, gdyż osłabły był tak, że kubka nie mógł w rękę utrzymać. Usiłował wypytywać, lecz Dosza mówić mu zakazała, gdyż męczyło go to widocznie. Po chwili zaczął usypiać, więc wyszli z izby, staruchę jeno, gdyby czego potrzebował, zostawiając do posługi.

Noc jednak spędził spokojnie i rankiem zbudził się jakby silniejszy, nawet lekki rumieniec okraślił wychudłą twarz. Dzieci, które od dawna na jego przebudzenie oczekiwały, wbiegły zaraz witać i choć je starucha odganiała, pozbyć się nie dały. Białka, w pierwszej chwili jakby zmianą w jego twarzy onieśmielona, oswoiła się wrychle i znosząc mu swe zabawki usiłowała go rozweselić gwarząc o swych dziecinnych radościach i troskach. Mścislaw słuchał rozrzuwniony, mało się

odzywając, gdyż mówienie sprawiało mu trudność, szczebiot dziecinny weselił go jednak widocznie. Dopiero gdy plany wiosennych zabaw jąta snuć przed nim, ręką po zamglonych oczach przeciągnął i posmutniał wyraźnie. Gdy o powód zaczęła wypytywać, rzekł:

- Wiosna daleko. Nie wiem, czy się razem bawić będziemy.

- Gdzie zaś daleko! Słoneczko grzeje już, wierzby nad wodą bażki puszczaają, a chłopaki Marzannę topiły. Za rybami się brodzić po rzeczce wybierali, jeno matuś nie pozwoliła, bo Wodnik zły, kiedy go budzić przed czasem, wciągnąć może. Dopiero gdy grom zbudzi, można łowić bezpiecznie. Słyszałam, jak dziewczki mówiły, że i Stado już niedaleko, i zgadywały, kto je porwie. Ale ty mnie musisz porwać, prawda?

Mścisław nic nie odrzekł, jeno się smutno uśmiechnął, ale dziewczynka naprzykrzała się tak, że przyrzec musiał, by ją uspokoić. Nuąc dziecinnym głosem świąteczną pieśń: Jesse Łado ileli - wybiegła, jakby przed nim uciekając, bawić się ze Swatkiem.

Mścisław pozostał sam i smutno się zadumał.

Przeprawa przez Odrę

Wczesne roztopy hamowały pochód Ściborowego orszaku, tak że choć nie żałował koni, przecie trzech dni potrzeba było na przebycie dwunastu mil, dzielących Poznań od Międzyrzecza.

Nad Odrę, za którą leżał gród, przybyli pod wieczór. Wezbrane od tających śniegów wody przelewały się pieniać przez drewniany most, który trzeszczał i chwiał się pod ich naporem. Choć znużonym ludziom i koniom patrzyłby się wygodniejszy nocleg w gródku, Ścibor postanowił nie ryzykować przeprawy, zwłaszcza że ciemność już zapadła, a konie chrapały trwożnie, gdy je usiłowano wprowadzić w mętłą, wirującą na przyczółkach wodę. Liczył przy tym Ścibor, że nocny przymrozek, na który się miało, zetnie dopływ wód i poziom rzeki obniży do rana. Nie chciał jednak uzależniać od tego dalszej podróży, postanowił przeto wysłać wiadomość do grodu o swym przybyciu, z rozkazem, by na rano przysposobić przeprawę na tratwach, gdyby nie dało się przejść mostem.

Gdy podjechali ze Zbrozłą do mostu, jeno kłębiące się piany i wiry przelewającej się przez most fali zdradzały, że trzyma się jeszcze, gdyż widać go prawie nie było i trudno było przypuścić, że utrzyma się do rana, jeśli napór wkrótce nie zmaleje.

Niemожność posłania wiadomości oznaczała zwłokę w podróży, czego Ścibor pragnął uniknąć. Toteż zasępił się mówiąc do Zbrozły:

- Most lada chwila lichy weźmie, a nim nas rano z gródka spostrzegą i tratwy nagotują, dzień stracimy. A posłać kogo, nie wiada, czy przejdzie.

Bać się będzie każdy, a i koń nie wejdzie w taką wodę - odrzekł Zbrozło.

- Mój ta wejdzie! - ozwał się stojący obok Dzik, którego ciekawość paliła, jaki zaś gród obaczy, i rad był co prędzej się dostać na drugą stronę.

Zbrozło wzruszył ramionami, lecz Ścibor powiedział:

- Chcesz, to próbuj. Nie uda się, to raki ciebie spróbują. Zdążysz odmięknąć w wodzie, nim się zbudzą.

- Owa! - mruknął Dzik i trąciwszy piętami konia, w wodę wjechał, przez odmęt na przyczółku ku mostowi zmierzając. Koń chrapał i boczył się, lecz Dzik ścisnął go kolanami, aż zebra się gięły, i do chodu zmusił. Za chwilę dotarli do mostu. Koń jeszcze raz cofnąć się usiłował, lecz trzymany żelazną ręką wszedł stękając na most. Posuwał się powoli, próbując trwożnie belek, zanim nogę postawił, lecz oddalali się od brzegu, tak że w zapadającym mroku jeno ciemniejszy cień na białych pianach fali rozróżnić można było. Woda, bijąca dotychczas o nogi konia, poczęła go widocznie uderzać w bok, gdy dotarli do głównego nurtu, gdyż zachwiał się, a Dzik zeskoczył w wodę, nie puszczając wodzy.

Koń jeszcze raz nawrócić usiłował, lecz Dzik ciągnąć go począł. Patrzącym z brzegu zdało się, że Dzik najgorsze minął, gdyż szybciej się posuwał. Ścibor odetchnął. Nagle wśród szumu fali głuchy

trzask dał się słyszeć i zakłębiło się w mroku. Parę belek, jak ramiona tonącego, wychyły nad wodę i pograżyły się w mrocznej głębi. Nurt wyrównał się i nic nie zdradzało miejsca, gdzie przed chwilą stał most.

Stojący na brzegu krzyknęli, po czym zapadła cisza i trwali w milczeniu. Szmątka jedynie puścił konia cwałem wzdłuż brzegu, ulgnał jednak w pierwszej zalanej wodą jamie i musiał zawrócić. Ścibor spojrział na Zbrozłę, mówiąc niechętnie:

- Głupi chciał i głupi pozwolił. Mostu nie ma, wiadomość nie przesłana, a Dzika za darmo straciłem. Jeszcze na brzuchu złoto swoje woził, żeby cięższy był. Posażnego chłopca ruszałki dostały. Jeśli go belki nie przywaliły, to go pewnie jutro znajdziemy. Za nurtem już byli, a tamten brzeg płaski. Ale nic tu więcej nie wystoimy, zanocować trzeba, a rano zobaczymy, co będzie.

Zasepiony Ścibor zawrócić kazał orszakowi ku osadzie, którą niedawno minęli, i tam, jak się da, na nocleg rozłożyć. Pod dachem jeno Ścibor ze starszyzną znaleźli pomieszczenie, pozostali, z końmi, jak mogli, szalasy byle jakie naprędce pokleciwszy i rozpaliwszy ogień, bezzwłocznie spać się pokładli, o wieczery nawet ze zmęczenia niewiele myśląc.

Pogodne niebo lekko dopiero zielenieć poczynało na wschodzie, gdy Ścibor zerwał się z posłania i kazał pachołkowi Zbrozłę zawezwać i ludzi budzić. Pachołek po chwili wrócił mówiąc, że Zbrozło ku rzece pojechał za ciemna jeszcze, zabrawszy ze sobą Szmatkę. Ścibor kazał przeto wezwać setnika Bogusza i z kilku ludźmi tratwę, jak się da, przygotować, by jak najprędzej dać znać do gródka, aby przeprawę przygotowali.

Bogusz, wzięwszy pachołków z siekierami, ruszył ku rzece. Nie uszli jednak i stu kroków, gdy ujrzeli jakichś ludzi, od rzeki nadciągających, wśród których rozeznali Zbrozłę. Zbrozło polecił im zawrócić mówiąc, że przeprawa już przygotowana, co idący z nim wojak o wesołej twarzy i żywych, orzechowych oczach potwierdził.

Zawrócili tedy ku obozowi i zaraz weszli do Ścibora, gdzie młody człowiek, towarzyszący Zbrozle, pokłonił się witając jako dowódca załogi gródka i oznajmił, że przeprawa gotowa. Ścibor uradował się widocznie.

- Toście, widzę, mojego Dzika wyłowili? - zapytał.

- Zaś tam wyłowili, panie! Sam do nas do gródka trafił po nocy i takiego warchołu narobił, że myślałem, iż napad jakowy, i do rana oka nie zmrużył - rzekł żupan, zwany Sulkiem.

- Czemu zaś nie przyjechał z wami?

- Nijak nie chciał. Mówił, że ziąb wszedł mu w kości od wody. Jak się rozgrzewać zaczął miodem i dziewczkami, takim go przy tym zostawił - rzekł śmiejąc się. Sulek opowiedział, jak Dzik zjawił się w gródku.

Niewiele przed północą usłyszał Sulek hałas przy bramie, i krzyki, więc wybiegł na wały, by zbadać przyczynę. Okazało się, że nieznany jakiś człowiek żąda wpuszczenia, a gdy straż puścić nie chciała,

głazami jął w bramę prac. Setnik ze straży posłał dwóch wojaków, by napastnika do lochu zamknąć i rankiem stawić do ukarania, lecz ten obydwu w przykopę do wody prasnął, a sam przez otwartą bramę do gródka się wdarł ciągnąc za sobą konia. Skoczyli na niego, kto żył, wiązać, ale się nie dał i nie wiadomo, jak by się skończyło, gdyby nie nadejście Sulka, który polecił go puścić i co za jeden wypytał. Kiedy się dowiedział, że od Ścibora wysłany, zaraz kazał do przeprawy czynić przygotowania, a Dzika zabrał na dworzec i widząc ociekającego wodą polecił nakarmić i napić. Póki jadł, dobrze było, choć schodzili się dziwować, ile zdołał pochłonąć, gdy jednak począł pić, a podpiwszy opowiadać, połamał dębowy stół i ławy pokazując, jak walczył z Wodnikiem, który wraz z koniem do wody go wciągnął i na brzeg nie chciał puścić. Woda go niosła aż do brodu i tam na brzeg wylazł, konia na wpół utopionego ciągnąc za sobą i psim węchem na dworzec trafił.

Sulek opowiadał wesoło i tak obrazowo, że Dzika jak żywego widzieli, i Ścibor zaśmiewał się głośno. Zbrozło jednak rzekł:

- Dobrze, że w swoim kraju swoi ludzie śmiać się z tego potrafią. Ale on taki sam będzie zawsze i siebie zgubić, a nam trosk napytać może.

- Co tam się martwić na zapas. Dobrze, że Dzik się znalazł i przeprawa gotowa - odparł Ścibor i ruszać kazał.

Migiem zwinięto obóz i w świetle powstającego dnia konie na tratwach, linami ciągnionych, a ludzi łodziami przeprowiono i na gródek wjechali. W obszernych izbach jadło podano drużynie, a Ścibor ze Zbrozłą i Sulkiem udali się do jego gospody, by się również posilić przed dalszą podróżą i ocalonego Dzika powitać. Nie zdało się to jednak na nic, gdyż zmorzony kąpielą nocną i napitkiem zasnął i nijak dobudzić go nie było można. Leżał półnagi przed kominem, na brzuchu miał swój pas ze złotem. Kasztanowate włosy zmoczone, a potem wyschłe przy ogniu, nastroszyły się jak strzecha. Mruczał coś przez sen niezrozumiale.

Zbrozło kazał go zanieść do łóża, mówiąc do Ścibora:

- Dziś z nami nie pojedzie. Ja bym go zgoła pozostawił. Nam kłopotów, a sobie guzów jeno napyta.

- Ale i pożytek z niego jest, i pośmiać się czasem można - odparł Ścibor. - Szmatkę przy nim zostawimy, to za nami nadciągną, jak się wyśpi. W Lubuszy i tak dzień popasujemy, a tymczasem w drogę nam.

Wyszli do orszaku, który oczekiwał na nich, gotów już do dalszej drogi, a zleciwszy Sulkowi wyprawienie Dzika, gdy jeno wytrzeźwieje, ruszyli ku Lubuszy.

Ongiś obóz rzymski, potem gród plemienia, które od niego wzięło nazwę, przed niedawnym czasem zburzony przez cesarza Henryka, była Lubusza ostatnim znacznie - szym grodem na zachodniej granicy Mieszkowych ziem. Dalej mieli już wjechać w granice Łużyc, niedawno zhołdowanych przez Gerona, gdzie większą ostrożność w pochodzie trzeba było zachować.

W Lubuszy rządził w grodzie, z Mieszkowego ramienia, stary Jaksa, zwany Gawronem, gdyż za młodu miał czarny, w granat przechodzący zarost. Teraz biały już był jak mleko, trochę pochylony,

ale krzepki i czujny. Drużynę i załogę trzymał twardą ręką jak na wojnie, zgnuszyć im nie dając. Bez przerwy mniejsze oddziały zapuszczały się w sąsiednie Łużyce, Miłsko lub do Lutyków. Niemieckich, czeskich i obodryckich napastników nierzadko u siebie widywano i spokoju nie było nigdy. W samym grodzie też nie próżnowali, gdyż zawsze robota była przy podwyższaniu wałów, pogłębianiu rowów i poprawianiu częstokołów, tak że z natury obronny gródek, na wysokim wzniesieniu położony, z Odrą za plecami, trudny był do zdobycia. Dbano też wielce o zabezpieczenie przeprawy, tak że Ścibor, przybywszy w południe, trzeciego dnia po wyruszeniu z Międzyrzecza, zastał most twardo stojący wśród wezbranych wód Odry i wjechał bezzwłocznie do grodu. Gawron, już uwiadomiony przez strażę o jego przybyciu, zaraz witać wyszedł i do zabudowań wprowadził.

Przed wieczerzą jeszcze Ścibor obszedł umocnienia, przy których jeńcy pracowali, po czym jeno w Zbrozły towarzystwie do stołu zasiedli. Ścibor wypytywał o nowiny od granicy, a gdy służba opuściła świetlicę, zaczął mówić o poselstwie.

Jaksa miał wiadomość, że Gero w powrotnej drodze przekroczył już Alpy, chorzał jednak dalej, przez co należało się spodziewać znacznej zwłoki w powrocie. Wichman zjawił się u siostry na Geronowym dworze, ale co zamierzał, nie było wiadome. Może i sam nie wiedział, dokąd go poniesie burzliwa natura, tymczasem zabawiał się łowami lub napadami na pograniczu, jeśli nie pił lub nie wadził się.

Ścibor rad był z wiadomości, że pospieszać nie było powodu i że się zetknie z Wichmanem pod nieobecność Gerona, mając nadzieję, że go gdzieś wyprawić potrafi, by Geronowi wygodne narzędzie napaści, na czas Mieszkowi potrzebny, spod ręki usunąć.

Gawron zamiarowi przytakiwał, choć miał wątpliwości, czy się uda.

- Wichmana na kogoś napuścić nie sztuka. Wadził się i wadzi ze wszystkimi, od krewniaka swego, cesarza, i stryja duka Hermana, począwszy. Na nas napuszczać go nie trzeba, bo nas jak zarazy nienawidzi. Nie będzie od niego spokoju: chyba że go ziemia pokryje. A że wojak jest mężny i obrotny a chytry, niełacno go do Welesa posłać. Przecież już, pomnę, dziesięć lat rozbija się po świecie, spokojnie nigdzie nie siedząc, i na wszystko się waży, a zawsze cało wychodzi, gdzie stu innych nałożyłoby głowy. Pilnować też umie swojej głowy lepiej, niżby przystało.

- Widzę, że bliżej go znacie. Mówcie, co wiecie, bo dobrze znając wroga - zwalczyć go łatwiej!

- Spotkałem się z nim raz jeno, ale słyszałem dużo. Rodu jest niemałego, a spory ze stryjem i bunty przeciw cesarzowi znane są chyba każdemu po obu stronach Łaby.

Ojciec jego, też Wichman, był małym komesem, ale siostra matki, Matyllda, wyszła za cesarza Henryka i cesarz Otto bratem mu przypada ciotecznym. Stryj Herman, co teraz jest północnym margrafem, siedział w Luneburgu, gdzie stary Wichman umarł, będzie lat temu dwadzieścia. Wichmana, co miał około dziesięciu lat, wraz z młodszym bratem, Egbertem, wzięła ciotka na cesarski dwór, bo i matce się zmarło. Stryj objął nad mieniem opiekę, choć z bratem nie żyli w zgodzie, bo starszy zazdrościł Hermanowi, że go cesarz legatem zrobił w północnej marchii. Chłopaki były bitne a niesforne. Pamiętacie, jako się cesarzowi syn Ludolf zbuntował do spółki z zięciem Konradem, lotaryńskim dukiem? Cesarz wyruszył pod Moguncję, poleciwszy Hermanowi

posiłki sobie wysłać do Frankonii, gdyż sił miał mało. Zebrał ci Herman wojsko i wysłał pod Tiadrykiem i Wichmanem cesarzowi na pomoc. Aliści - Egbert do Ludolfa uciekł, z zjadłości za skarcenie. Ludolf tymczasem, by odciąć pomoc, przeciw Tiadrykowi ruszył i otoczył ich w jakimś zameczku. Jak było - nie wiadomo, ale Wichman zbiegł i przyłączył się do buntu, rzekomo mszcząc się na stryju, który jakoby wyzuł go z majątku. Mówili, że go Ludolf przekupił, a pono jednak dlatego, że nie znosi zwierzchności żadnej i żyć jak drudzy nie umie. Złapał jednak Herman obu bratanków i cesarzowi pod sąd odstawił, doradzając niesfornych młodzików bukiem posłuszeństwa nauczyć. Cesarz jednak zlitował się nad krewniakami i Egberta całkiem puścił, a Wichmana jeno pod dozór oddał. Wkrótce wypadła cesarzowi wyprawa do Bawarii, na którą Wichmana chciał zabrać, by pod jego okiem mógł się zasłużyć i do posłuszeństwa wdrożyć. Wichman jednak, dziwną zawziętość żywiąc, choć mu cesarz darował po ojcowsku winy, chorobą się wymówił. Jeno cesarz wyjechał, wyprosił się na łowy. Egbert, już z nim zmówiony, wraz się przyłączył i dobrawszy takich jak sami - a nie brak ich w Niemczech - kilka zamków nad Łabą zajęli. Wyparł ci ich Herman, to schronili się do obodryckich Nakona i Stoigniewa, którzy z Sasami wojowali, zachęcając ich do wystąpienia przeciw Hermanowi. Aliści Herman nie czekał, lecz pierwszy uderzył i zajął Świątłą Stranę, załogę w niej zostawując. Z nagła ich jednak Obodrycy obstąpili i choć przestrzegł ktoś Niemców, kupę ich u bram wycięto, a wojna się rozszerzyła na wszystkich północnych Słowian, którzy szli mścić się krzywd swoich. Dopadli też Sasów w jakimś grodzie pod Magdeburgiem w przewadze znacznej, tak że Herman kazał poddać się, by ludzi nie gubić. Ułożyli się tedy, że wyjdą z żonami i dziećmi, resztę na łup wydając. Gdy wychodzili jednak, poznał jeden z Obodrytów swą niewolnicę, którą Sas jako żonę chciał wyprowadzić. Sas, miasto uznać, że złamać chciał umowę, ubił go, ale na złe im wyszło, bo się Obodrycy zgniewali i wycięli do nogi mężów, a żony i dzieci pobrali.

Tymczasem Otto Węgrów rozbił, co aż do Szwabii wtargnęli, i wojska mając wolne, nie przyjął daniny, którą Słowianie płacić chcieli, byle im się do ich spraw nie wtrącał, lecz pomsty zażądał za wycięcie Sasów.

Stary Gawron przerwał, jakby w pamięci coś grzebał. Po chwili podjął:

- Póki z Hermanem szło, dowodził Wichman, gdy jednak cesarz wystąpił, Stoigniew objął dowództwo i znaczne wojska zebrać zdołał, bo i Weleci, i Daleńcy, i Czerezpienianie przyłączyli się do Obodrytów. Tylko Ranowie swoich zdradzili i połączyli się z cesarzem, i Bolko czeski go wspomagał, zhołdowany przed paru laty. Nawrócony Ludolf też stał przy cesarzu i dwie potęgi stanęły przeciw sobie.

Tymczasem jesień uczyniła się słotna. Doszli cesarscy do Rzeknicy u Chyżan i przez bagna przejść nie mogli, bo Stoigniew pilnował przeprawy, a odwrót odciął przesieką. Złe było z cesarzem, bo mu ludzie zaczęli chorować, a walki stoczyć nie było sposobu, bo Stoigniew w nią się nie wdawał widząc, że sami wyzdychają. Próbował go Gero zmamić, by pole dał i męstwo swe okazał, ale go wyśmiał Stoigniew widząc, że źle z Niemcami. Za pewny jednak był swego, bo chytry Gero nocą wysłał wojska poniżej i trzy mosty postawił. Gdy spostrzegli się rano, że wojska przeciw nim nie ma, i podstęp odkryli, nie zdążyli już dobiec do mostów, gdy cesarscy, na koniach będąc przeciw pieszym, przeszli i rozbili nadbiegających. Zaraz też na obóz uderzyli i zdobyli. Stoigniew, ranny w walce i broń utraciwszy, ucieczką chciał się ratować, ale go rycerz Hosed dognał i ściał. Głowę zatknęli na palu i do północy rznąli jeńców, a pojmwawszy towarzysza Stoigniewowego, Suchosława,

wyłupili mu oczy, język odcięli i na kupę trupów rzucili, by żywcemgnił z innymi.

Stary urwał i sapał gniewnie. Zbrozło siedział z nieporuszoną twarzą, jeno drgały mu powieki zamkniętych oczu. Ścibor ocknął się pierwszy z zadumy i powiedział:

- Prawcie dalej! - Zapłacili Słowianie za rozbudzone przez Wichmana nadzieje, ale nie zapłacili Wichman. Gdzie był w czasie bitwy - nie wiadomo, ale znalazł się wraz z bratem u hrabiego Paryża, gdzie go Konrad Lotaryński poparł. Hugo zmarł jednak na drugi rok i wracać musieli. Egbertowi cesarz darował, za wstawiennictwem Brunona, kolońskiego biskupa, ale Wichman do Redarów uszedł i do wojny z cesarzem ich podniósł. Znowu Gero wdał się w sprawę i Wichmanowi, którego siostra, Hedwiga, za synem jego Zygfydem była, łaskę cesarską obiecał za zdradę Redarów. Odzyskał też Wichman łaskę cesarską i utracone dobra, a zapłacili Redarowie. Ożenił się Wichman i siedział spokojnie nad podziw przez trzy lata. Gdy jednak Otto, jakoś z półtora roku temu, do Rzymu wyjechał po koronę cesarską, znudziło się Wichmanowi spokojne życie i udał się do Haralda Sinozębego, by go przeciw cesarzowi napuścić. Sinozęby niegłupi jednak, wiedział, że Wichmanowe mielenie na nim się skrupi, jako na Redarach, i choć rad by wystąpił, zażądał przecie, by Wichman zamordował Hermana, wiedząc, że tego już by mu cesarz nie darował. Pono Wichman podjął się i tego, ale nic nie wyszło i miasto ubić Hermana, po drogach zaczął rabować, kogo popadło, swoich i nie swoich. Zdał go jednak kupiec jeden, co go znał, i Herman rozbił mu zgraję, ale Wichman z Egbertem znów uszli dziwnym trafem, a inni dali szyje. Schronił się do Gerona i tam siedział, ale Geronowi trudno było przechowywać ściganego zdrajcę i zbrojca, choć obstawała za nim Hedwiga, siostra jego, co po śmierci męża ksienią w Gernrode ostała. Że zaś sam na Łużyczan uderzyć zamierzał, a książę Mieszko stał za nimi, więc go do Redarów znowu wysłał, by na nas napadli. Resztę wiecie. Łużyczan książę odstąpił, których zbił Gero, a Licykawików i Wkrzanów uchronić nie zdołał, bo z samą jazdą jeno nadażał dla pośpiechu i w zasadzkę wpadli, gdzie brat wasz legł.

Zapadło milczenie, które przerwał Ścibor:

- Na każdego czas przyjdzie. Wichman nie umrze w łóżu, bo to nie dla niego miejsce. Ale tymczasem trzeba, by gdzie indziej szczęścia poszukał, póki Mieszko na wschodzie zajęty.

- Bez Gerona niegroźny on, choć szkody może narobić. A Gero w drodze teraz i pono rany, którą w łuzyckiej wyprawie odniósł, wyleczyć nie może. Z nim by skończyć trzeba.

- Nie ramieniem on groźny, ale tym, że zna naszych jak nikt inny i naszymi rękoma nasze gardło dusi. Nie pamiętam ja takiej przeciw nam wyprawy, by po jego stronie Słowianie nie walczyli. Jak oścień w ciele naszym siedzi i jątrzy. Za młodych lat nad Łabą wśród swoich siedziałem, gdzie krewni moi książkami byli. Gdybym pożył drugie tyle, nie wiem, gdzie bym siedział, za Wisłą chyba! - rzekł Gawron z goryczą.

- Zda mi się, że za czarno na rzeczy patrzycie. Mieszka z Polany nieprędko zgryzą. Gdzie siły nie ma, chytrą podjeżdżie.

- W nim też nasza nadzieja. Gdybyż potrafił wszystkich Słowian pod siebie zagarnąć. Ale zda mi się, daleko do tego, a Mieszko już nie młodzik i dziedzica, co by objął to dzieło po nim, nie widać.

Rozmowa potoczyła się o zamierzonym Mieszkowym małżeństwie.

Na dworze Gerona

Mało dworów panujących książąt, a nawet królów, równać się mogło z Geronowym. Nie było kto też władał tak obszernymi ziemiami jak marchia, którą pracowitym i czynnym swym żywotem ze słowiańskich ziem, od Sali i środkowej Łaby aż do Odry, sklecił. Podejrzany był nawet, że pragnie dla syna korony, gdy go stracił jednak, bez obawy dano mu już przodować germańskiemu zalewowi.

Prócz stałych gotowych wojsk, które utrzymywał, garnęły się do niego tłumy awanturników z całych Niemiec, gdyż na granicy zawsze robota była. Wojna, na której łupami pożywić się było można, niewolnika nabrać i ziemie obszerne w świeżo zdobytych krajach lennem otrzymać, nie wygasła właściwie nigdy.

Dwór niewieści też liczny był i świetny, choć stary wdowcem był dawno. Wdowa jednak po bratanku Fryderyku, Rejnilda, lubiła życie wystawne i wesołe. Owdowiawszy, czas jakiś dla oka jeno zabaw i uczt zgodziła się poniechać, po czym mimo niechęci Gerona, który bratanka i w nim pokładanych nadziei żałować nie przestał i do zakonnego życia w założonym przez siebie klasztorze w Gernrode nakłonić ją usiłował, wróciła do dawnych nawyków, nie myśląc młodości swej dla cudzej żałoby marnować.

Także i duchownych wielu kręciło się przy dworze, czekając na beneficja w nawróconych mieczem krajach. Radzi byli strzyc pozyskane siłą owieczki.

Nieobecność margrafa niewiele zmieniła tryb życia na dworze, którym pod ten czas rządzić miał burgraf Willigiz a w istocie rządził Wichman, choć przybył chyłkiem, by się stryj Herman nie dowiedział. Gwałtowności Wichmana i jego samowoli oprzeć się nie było sposobu.

Rycerska młodzież patrzyła w sławnego awanturnika jak w tęczę, a i niewiasty, choć żonaty już był, względami go darzyły, nie wyłączając synowcowej margrafa, Rejnildy. Jedynie z duchowieństwem w ustawicznych był zatargach, przy każdej sposobności i na każdym miejscu pogardę mu swą okazując krukami, co na ścierwo lecą, przezywając i nie darząc żadnym szacunkiem, nawet samego najdostojniejszego arcybiskupa. Ustępował Wichmanowi każdy, gdyż gniewem wybuchał z byle powodu, a był w nim równie nieumiarkowany jak we wszystkim. Ogromnego wzrostu i potężnej siły, nie bał się nikogo i niczego, z nikim i z niczym się nie liczył.

Póki zimy, lżej z nim było wytrzymać, gdyż jeździł na łowy tygodnie całe na włóczęgach spędzając, z których nierzadko prócz zwierza przywoził jeńców słowiańskich, gdzieś w pogranicznych napadach porwanych; tych rozdawał lub sprzedawał albo, jak mu zachcianka przyszła, wieszał lub nawet mękami morzył, jeśli z guzami z wyprawy powrócił lub - co też zdarzało się nierzadko - w uszczuplonej liczbie.

Wczesne roztopy zakończyły jednak te rozrywki, siedział przeto na zamku, ucztami po nocach, a gonitwami i swarami w dzień czas zabijając. Nudzić się jednak zaczynał i uradował się wielce, gdy pewnego dnia gońce donieśli, że Mieszkowe poselstwo lada dzień stanie, z czego rozrywkę obiecywał sobie.

Willigiz, który zleczone miał od Gerona godnie poselstwo przyjąć, przybiegł zaraz zaniepokojony

blągając, by czego nie uczynił co by księcia polańskiego obrazić mogło. Wichman jednak zbył go mówiąc, że owszem, sam cieszy się iż przyjeżdżają, gdyż mniej nudno będzie.

Jakoż nazajutrz dano znać, że poselstwo nadciąga i tłumy ciekawych wyległy na wały i mury. Z daleka już widać było orszak, świetnie błyszczący bromą i strojem w świetle kwietniowego poranka. Zaraz jednak rozległy się szepty i prześmiechy i pokazywano na bramę, którą miało wjechać poselstwo.

Nadbieżał Willigiz, uroczyście przystrojony na powitanie, i z przerażeniem ujrzał kołyszące się nad bramą trzy trupy wisielców. Za późno już było, by je usunąć, zbiegł więc prędko, by powitaniem uwagę od widoku odwrócić.

Ścibor, mający po obu stronach Przybywoja i Odylena, w bramę wjechał nie spojrzawszy, jadący za nimi Zbrozło popatrzył na trupy i jeno oczy mu zabłyśły. Jedyne Dzik powstrzymał konia i spojrzął w górę, po czym za Zbrozłą podążył. W orszaku rozległy się szepty, jednak już Willigiz witał Ścibora imieniem Geronowym i poselstwo z koni zsiadło. Ścibora sam Willigiz prowadził do przeznaczonych mu w skrzydle zamku komnat. Wraz z nim udali się bracia stryjeczni, Zbrozło, Dzik i kilkoro służby. Pozostali na podzamczu znaleźli pomieszczenie, gdyż wielkanocny zjazd już się był rozpoczął i jeno dla dostojniejszych na zamku miejsca starczyło. Spośród służby pozostali przy Ściborze Szmątka i stary Radoch, którzy znając język baczyć mieli, co się mówi, a szczególnie z kim przestawać będą Przybywój i Odylen, od których też Wichman dowiedział się o Mieszkowej wyprawie na Mazowsze. Żadnych jednak szczegółów podać nie umieli ani przyszłych Mieszka zamiarów. Wiedzieli jedynie, że na północy Sobiesław zajął już kraj bez oporu.

Wichmana zezłościła zarówno ta wiadomość, jak i że siedząc przy Mieszku, nic bliższego dowiedzieć się nie umieli, niemniej swoim i Geronowym imieniem pomoc przyrzekł, gdyby sposobność się trafiła przeciw Mieszkowi wystąpić. Przed przybyciem Gerona nic jednak stanowczego nie mogli uradzić i dalsze narady odłożyli do jego przyjazdu. Należało się go już za kilka dni spodziewać, gdyż szybko podążał chcąc przed świętami na doroczny zjazd stanąć.

Szmątka wiadomości te wyciągnął od giermka Wichmanowego; z którym popił w gospodzie, cuda mu przy tym o Dziku opowiadając.

Czas do przybycia Gerona należało wykorzystać, by ze swoimi ludźmi na dworze się rozmówić, jak również z Wichmanem. W tym celu Zbrozło kręcił się po zamku i mieście, ciekawego Dzika zabierając ze sobą, gdyż za bezpieczniejsze uważał mieć go na oku by nie napytał nowych kłopotów. Dzik też, z początku onieśmielony tłumem ludzi i ogromem nigdy nie widzianych budowli kamiennych, nieustannie wyciągał Zbrozłę na włóczęgi, z których nieraz z trudem dopiero na noc do zamku dawał się ściągnąć. Po kramach kupieckich, u płatnerzy i innych rzemieślników zakupywał, co mu w oczy wpadło, od broni, szat, tkanin do niewolników. Bawił się Dzik widocznie tym kupowaniem, gdyż często, przyniósłszy zakupy do swej izby, Szmątce je darowywał, gdy przestały go cieszyć. Szmątka w tajemnicy przed Zbrozłą opowiadał mu, gdzie i jakie cuda dostać można, gdyż wszędzie już zdążył zaglądnąć i wszystko przewąchać, a pewny był, że prędzej czy później jemu przypadną zakupione przedmioty gdyż Dzik nie dbał o nie zupełnie. Z gospód, do których też wstępowali, Dzik mniej był zadowolony, gdyż miodu nie mógł dostać, a wino mu nie smakowało. Piwo też przeważnie zapijał, z czego znów Zbrozło był rad, gdyż mniej było niebezpieczeństwa

rozpicia i zajść, które pijany Dzik mógł wywołać. Choć też miodu spory zapas mieli ze sobą przecie mu wydawać zakazał i ten jedynie brak dręczył Dzika, gdyż poza tym rad był z pobytu.

I bez tego jednak zaraz na trzeci dzień omal nie doszło do zajścia, które zaszkodzić mogło Mieszkowym zamierzeniom.

Zbrozło z Dzikim siedzieli w gospodzie na przedmieściu w paradniejszej izbie, przeznaczonej dla rycerskich gości. Dzień był wyjątkowo ciepły, uchodzili się dużo i piwem gasili pragnienie, na które Dzik narzekał swym zwyczajem, że nim tyle wypije, by mu do głowy doszło już je z pęcherza wypuścić musi. Prócz nich dwu jeno obcych mężów siedziało, którzy wyszli wkrótce. W tejsze chwili jednak gwar uczynił się i Zbrozło, wyjrawszy oknem, spostrzegł, że Wichman z konia zsiadł i do gospody wchodzi. Zbrozło rad byłby spotkaniu, gdyby nie Dzik, któremu piwo zdążyło jednak dojść do głowy, a Wichman z kompanią, z młodych zabijaków złożoną, widocznie nie suszyli od rana, gdyż nader byli weseli. Wstawszy też Zbrozło chciał wyjść, Dzik jednak jął sprzeciwiać się mówiąc, że piwa nie dopił, a za chwilę za późno już było, gdy weszli nowi goście i Zbrozle nie zdało się stosownie wychodzić bez powitania, po czym Wichman z towarzyszami przysiadł się do stołu. Jedynie Henryk, syn grafa Tiadryka, czy to więcej mając w głowie niż inni, czy też pragnąc się przed towarzyszami popisać, usiadł osobno mówiąc, że nie nawykł z psami siadać do stołu. Inni roześmiali się a jeden rzucił uwagę; że u niego psy pod stołem siadają. Dzik patrzył na nich obojętnie, nie rozumiał bowiem, z czego się śmieją, gdyż mówili po niemiecku. Zbrozło jednak zmierzył roześmianych zimnym wzrokiem, tak że śmiech umilkł, i rzekł:

- Szczeniakom z psami istotnie nie towarzystwo, a pod stołem wkrótce się znajdziecie, jeśli dolejecie jeszcze piwa do pustych głów.

Henryk za kord chwycił, pobladłszy z wściekłości, lecz Wichman dłonią trzepnął w stół, mówiąc:

- Pić my tu przyszli, nie wadzić się. Nie umiesz się odgryźć, to siedź cicho! - Do Zbrozły zwracając się zaś i patrząc ciekawie na olbrzymią postać Dzika, zapytał: - A to co za jeden?

- Drużynnik kniazia Ścibora, z nami przyjechał.

Wichman przypatrywał się Dzikowi przez chwilę, jakby go chciał ocenić, po czym po słowiańsku zapytał:

- A ty po niemiecku nie rozumiesz?

- Nie - rzekł Dzik obojętnie i dopił piwa, gospodarzowi na migi pokazując, by napełnił dzban, po czym dodał:

- I bez tego piwa dostanę.

- Ale drożej płacić musisz, gdy nie potrafisz się dogadać - zaśmiał się Wichman.

- Owa - rzekł Dzik - wszystkich was bym kupił i jeszcze by mi zostało.

- Takież bogaty? A skąd?

Zbrozło trącił Dzika pod stołem, obawiając się odpowiedzi, lecz Dzik spojrział na niego przekornie i odparł:

- Niemce mi podawali na gościńcach. Poproszę, to jeszcze dadzą.

I patrzył z zuchwałą poufałością na grafa.

Wichman się zasepił. Młodzi dopytywać się zaczęli, co Dzik powiedział, a usłyszawszy burzyć się jęli, zaś Wichman ozwał się:

- Toście się źle tu wybrali z waszymi bogactwy, bo was o oddanie mogą poprosić.

- Prosić można, czemu nie. Niedawno mnie czterech prosiło, ino kości mieli za miękkie - i roześmiał się rubasznie, a ziewnąwszy, łokciami ku tyłowi się rozprężył strącając z ławy dwóch siedzących przy nim młodzików.

Pozostali zerwali się stając groźnie nad Dzikim, który uśmiechał się zadowolony. Zbrozło jednak rzekł do Wichmana:

- Każcie im siadać, podpici są. A pobije szczeniaków i żale będą. Nie takich jak oni trzeba na tego zwierza.

Wichman na swoich krzyknął, siadać każąc; i zwrócił się do Dzika:

- Taki z ciebie osiłek?! Uważaj, byś na lepszego nie trafił.

- Gdzie mi go tam szukać. I z wami bym się nie bawił, choć pono mocarny z was chłop.

- Żebyś nie był w poselstwie, wnet bym ci pokazał, ale i tak cię znajdę - odparł Wichman gniewnie i wstawszy pożegnał Zbrozłą skinieniem, po czym wraz z towarzyszami, groźnie spoglądającymi na uśmiechniętego Dzika, opuścił gospodę.

- Słuchaj chcesz szukać guza na głupim łbie, twoja rzecz. Ale Wichmanaś rozsierdził, z którym kniaź dogadać się chce. Mówiłem, by cię nie brał, teraz pewnie usłucha i do dom odeśle, jeśli czego nie dołoży - rozstrozył się Zbrozło.

Dzik z zakłopotaniem poskrobał się po głowie:

- Cóżem winowaty, przecie go nie szukałem anim rozmowy nie wszczynał, jeno piwo sobie piłem i myślałem.

- I tyleś wymyślił, by mu powiedzieć, żeś Niemców po gościńcach rabował, chociem cię trącał. A gorzej jeszcze, żeś mu przyrzekł, iż bawić się z nim nie będziesz. Człek zarozumiały jest i dufny w sobie, rozsierdziłeś go.

- A niechże się sierdzi!

- Aleśmy tu w poselstwie i między Niemcami, a nie w lesie. Przyjedziesz sam, to będziesz robił, co zechcesz.

- Juści, muszę tu przyjechać, tylko kupę zbiorę. Kamienny dworzec udał mi się bardzo. Nawet bym pewnie takiego za swoje skarby nie kupił.

- Głupiś! - rzekł Zbrozło niecierpliwie. - Szkoda, żeśmy nie zajechali na cesarski dwór, ten by ci się pewnikiem jeszcze lepiej udał.

- Może i prawdę mówicie - rzekł z namysłem Dzik. - Co nowy dworzec zobaczę, to mi się lepiej podoba.

- Nie zobaczysz nic więcej - rzekł Zbrozło - bo się z izby nie ruszysz; nie o twój zabity łeb, lecz o zamierzenia kniazia chodzi. Dość gadania, wracamy na zamek.

I rzuciwszy parę srebrnych pieniążków gospodarzowi, wyszedł, a za nim Dzik skrobiąc się z zakłopotaniem po głowie.

Zbrozło szedł szybko przodem, nie oglądając się na towarzysza, który podążał za nim, mrużąc pół do niego, pół do siebie: "O co to się sierzdzą? Chcą się pozbyć Wichmana, raz bym go oto bez łeb zdzielił i byłoby po kłopotcie".

Zbrozło nie odpowiadał i szedł dalej, a Dzik po chwili zaczął znowu: "Albo i o ten dworzec: cesarski, nie cesarski, jak go wezmę, mój będzie. Byle dosyć dużą kupę zebrać. Nie mówiłże sam kniaz, że panowie jeden drugiemu ziemię i miasta wydzierają i to jest wojna. A chcę ja wojnę robić, to mówicie, że mój głupi. Chyba i oni głupi są czy co?"

Zbrozło zniecierpliwiony odwrócił się ze słowami:

- Szkoda gadać, nie zrozumiesz. Rozumu nie masz, to nim nie wojuj, albo wracaj tam, gdzie twój rozum, co go w pięści masz, wystarczy.

Dzik zamarkocił się i zamilkł. Po chwili odezwał się:

- Nie sierzdźcie się już, będę was słuchał we wszystkim. Nie chcę wracać do lasu. Ani niewiast tam nie ma, ani miodu, ani murowanych dworców. Ciekawość bierze wszystko ujrzyć.

- Czy powiem kniazowi, czy nie, jeszcze zobaczę. Ale robić będziesz wszystko, co każe, nie pytając. Pierwsze, póki ci sam nie powiem, w izbie masz siedzieć, to nie będę mówił kniazowi, by cię odsyłał, póki niekonieczne.

Weszli na zamek i Zbrozło udał się wprost do Ścibora, a Dzik do swej komnaty, gdzie, zawoławszy Szmatkę, kazał mu miodu jakoś od Radocha wykręcić i wziął się ponuro do picia, po czym uwaliwszy się usnął.

Spał długo i dzień miał się już ku schyłkowi, gdy Szmątka począł nim potrząsać. Dzik wstał mrukiwy i rozespany, pytając:

- Czego?

- Wstawajcie i przybierzcie się pięknie. Książ was wzywa, z Wichmanem uczują i ten widzieć was żąda.

- Chce mnie widzieć, to niech tu przyjdzie. Widział ci mnie przecie i nie podobałem się mu. Spać mi się chce.

- Byle co gadacie. Mówię przecie, że książ wam przyjść kazał. Szaty wam godne przygotowałem, bo niewiasta tam jedna jest, że cud. Jeno wam łeb oporządę, bo pomierzwiły się wam kudły.

To rzekłszy wyjął z łubów grzebień, nabyty przez Dzika, i strzechę rozczesywać począł, czemu Dzik poddawał się biernie, mrużąc z niezadowolenia. Przy pomocy Szmatki przybrał się wreszcie, do skórzni kazał sobie przypiąć pozłociste ostrogi i wyszedł prowadzony przez Szmatkę.

Szli kruzgankiem o licznych zaskokach, gdzie mrok już panował, aż na końcu długiego korytarza ujrzeni światło i posłyszeli gwar uczujących, który rósł, w miarę jak się zbliżali. Weszli do obszernej komnaty, o sklepieniu opartym na dwóch palczastych słupach, między którymi biegł długi stół dębowy, zastawiony wszelakim naczyniem. Przy stole siedzieli biesiadnicy i gwarno było jak w ulu.

Na jednym końcu stołu na podwyższeniu stały krzesła z wysokimi oparciami. Na środkowym siedziała młoda niewiasta o jasnych jak len, ze złotawym połyskiem włosów i białej cerze. Ciemnoczerwona szata ze złotymi obszyciami uwydatniała kształty jej smukłej, lecz pełnej kibici. Twarz o drobnych rysach prawie dziecinną wydać się mogła, gdyby nie jasnoniebieskie, ogromne i lśniące oczy, o zimnym, drapieżnym wyrazie. Złoty łańcuch rzucał czerwone blaski na twarz, a drobne ręce lśniły od klejnotów.

Po obu stronach niewiasty siedzieli Ścibor i Wichman żywo rozprawiając. Szmatka powiódł Dzika do Ścibora, który, ujrawszy go, powiedział coś do siedzącej niewiasty, a ta z zaciekawionym uśmiechem patrzyła na zbliżającego się olbrzyma, zwracając się zaś do Wichmana rzekła przekornie:

- Widzę, że ten człowiek iście z nikim nie bawiłby się długo.

Gniew mignął w oczach Wichmana, lecz odparł z uśmiechem:

- Nie silniejszy on od niedźwiedzia, a przecie niejednego ubiłem. Ciężki ci on jest i nieobrotny. Nie sama siła, ale zręczność i ćwiczenie o przewadze stanowi.

- Mylicie się, grafie - rzekł Ścibor. - Ja go próbowałem, a gdyby i wam spotkać się z nim przyszło, radzę, nie liczcie na to.

- Próbowaliście a żyjecie?

- Tyle, że go przytrzymać zdołał, nim związali go inni. Ale ja konia nogami zaduszę, a rękami kark mu złamać potrafię - rzekł Ścibor nie bez złośliwości. - Z ludzi jego pierwszego spotkałem któremu bym rady nie dał.

- Dużo ludzi widziałem - ozwał się siedzący obok Zbrozła - ale takiego, co by był ciężki jak odyniec, a zwinny jak żbik, jego jednego.

Siedzący obok gość od Anglów, Hugo, ozwał się:

- Dawniej trafiali się mocarni ludzie, co nie bali się ni czarów, ni potworów, jako jest u nas saga o królewiczu duńskim Biwulfie.

- Co zaś za Biwulf? - spytała z zaciekawieniem Rejnilda.

- Jeśliście ciekawa, pani, opowiedzieć wam mogę. Krótko opowiem, może was to nie znudzi.

- Nic mnie tak nie pociąga jak dzielność mężów.

Choćby całą noc słuchać mogę.

Hugo rozpoczął opowieść.

Dawno już temu, że i najstarsi ludzie nie pamiętają tych czasów, żył w Danii król Hrotgar. Bali się go wrogowie i zostawiali w pokoju, a kochali przyjaciele i żył szczęśliwy ze swymi tanami, ucztę wspaniałą na zamku swym murowanym, Hirot zwanym, wyprawując. Minstrele sławę jego i szczęście śpiewali, miody stare spijano i nikt nie widział nieszczęścia, które nadciągało. Z bagnistej jaskini nad brzegiem morza wyszedł potwór ogromny, ni to człowiek, ni zwierz. Wysoki na dwa chłopy, ciało łuską okryte, a łeb olbrzymi jak spora beczka, z paszczą od ucha do ucha, z której sterczały długie i ostre jak noże zęby. Rozejrzał się po świetle i gwar ucztę idący z pałacu posłyszał. Zwrócił tam swe kroki, od których drżała ziemia, tylko miodem i pieśnią zajęci biesiadnicy ich nie słyszeli. Dopiero gdy runęły dębowe, żelazem kute podwoje i potwór stanął między nimi, umilkli zdjęci grozą. Potwór najbliższej stojącego jedną łapą uchwycił jak królika i żywcem w pysk paskudny wsadził, a jeszcze nie umilkły jęki nieszczęśliwego, beczkę miodu do paszczy przytknął i wychyliwszy do dna, na stół nią prasnął tłukąc naczynia, ryknął śmiechem, od którego światła pogasty, i wyszedł. Dopieroż ocknięci, za broń porwał kto mógł i za potworem pobiegli, ale i koń jego olbrzymim krokom nie byłby nadażył. Zniknął w jamie, a biesiadnikom niektórym się zdało, że jeno zły sen po przepiciu mieli, gdyby nie puste miejsce, które po pożartym zostało. Trwało czas jakiś, minął strach i żałoba i nic o potworze słyszeć nie było. Zaczęło się królowi za śpiewem i towarzyszami i na ucztę ich zaprosił. Weselili się tedy i ucztowali w najlepsze, gdy jeden drzenie ziemi posłyszał. Ucichł gwar ucztę i wszyscy nasłuchiwali coraz to bliższych kroków Grendla - olbrzyma. Zatrzymały się przed wrotami. W ciszy przerażenia zabrzmiał głos Hrotgara: "Za broń!" Ale w tej chwili runęły odrzwia i potwór stanął między nimi. Tłumem wpadli na niego, siekąc i kłując, lecz broń bezsilnie odskakiwała od łusek na ciele olbrzyma. On zaś jednego, jak przódy, w łapę pochwycił i pożarł, miodem popił i wyszedł. Nie ściagał go już nikt, bo wszystkim opadły ręce. I tak zaczęła się klęska, która trwała dwanaście lat. Nikt już ucztę nie sprawiał, ale i to nie pomogło. Potwór wychodził, kiedy chciał zjeść i zjadał, kogo chwycił, a tak już serca upadły, że nawet ten, kogo porwał, nie bronił się. Tyle jeno, że wierni tanowie siedzieli z królem w ponurym i opuszczonym pałacu, swoje życie wiernie stawiając, byle królewskie jak najdłużej oszczędzić. A miał król siostrzeńca, gockiego królewicza, Biwulfa, który pod ten czas dorodnym się stał młodzianem. Siły miał olbrzymie, jeno ich zmierzyć nie miał gdzie, bo nie było godnego dla niego przeciwnika.

Ten, o nieszczęściu wuja usłyszawszy, zaraz zbierać się począł, choć matka błagała, by zaniechał zamiaru, bo nie człowiekowi mierzyć się z potworem. Lecz on o zwłoce słyszeć nie chciał i śmiałków czterdziestu zebrawszy, morze przepłynął i zjawił się u Hrotgara. Hrotgar, do którego pałacu drogi trawą zarosły, prócz tej, którą Grendel chadzał, ucieszył się i przeraził, gości ujrzawszy. Biwulf go powitał z uśmiechem i wraz zapytał, czy uczy na jego cześć, jako jest zwyczaj, wuj wydać nie zamyśla. "Nie wiesz chyba, czego chcesz, ani jak straszego mielibyśmy gościa" - odparł król. "Wiem ci ja dobrze, czego chcę, bom po to przyjechał, by się z tym gościem zabawić" - odparł Biwulf. I uparł się, choć król błagał, by wracał do domu, matce swej a jego siostrze żaloby oszczędzając.

Tedy król ucztę stawić kazał, na której wraz ze swymi tanami siedział ponury i smutny, nie pijąc i nie jedząc, a jeno nastawiając ucha, kiedy kroki Grendla posłyszeli. A goście pili i śpiewali, aż się królowi czasem zdało, że dawne czasy wróciły, i jakoś raźniej robić się poczynano na sercu. Aliści, gdy północ nadeszła, szczerka zaczęły naczynia i już król i jego tanowie poznali, że zbliża się Grendel. Zakrzyknęli z przerażenia i umilkli. Zaś Biwulf odrzwia otworzyć kazał i stanawszy koło nich czekał, a za nim stanęli jego towarzysze. Ukazał się Grendel w drzwiach i ze zdziwieniem powiódł po sali żabimi oczyma, po czym zatrzymał je na Biwulfie, który patrzył na niego zuchwale. Zezłoszczony sięgnął po Biwulfa, lecz ten za łapę go uchwycił i z całych sił przekręcił, aż chrupnęło w stawach. Grendel, który nigdy jeszcze nie spotkał oporu, przeraził się i ku wyjściu poskoczył ując pragnąc. Lecz Biwulf nogami zaparł się o odrzwia, łapy wykręcać nie przestając. Rozległ się ryk olbrzyma, aż popadali na ziemię niektórzy, lecz Biwulf łapy nie puścił. I tak trwało zmaganie; Hrotgarowi zdawało się, że wieki przechodzą nad jego głową. Aż skręcona skóra i wydarte ze stawów ścięgna nie wytrzymały szarpnięcia i potwór wypadł w ciemność z rykiem, łapę swą w rękach Biwulfa aż po ramię zostawiając, a ten runął w tył, nagle opór straciwszy. Król, widząc upadek a nie znając przyczyny, krzyknął przerażony, lecz Biwulf wstał zaraz i wlokąc za sobą łapę potwora, podszedł do króla i rzekł: "Ten już chyba na ucztę nie przyjdzie, możemy się teraz weselić". Jakoż radość powstała nieopisana, posłano po minstreli, by śpiewali chwałę Biwulfa i ucztowali do rana, po raz pierwszy od wielu lat bez trwogi. Dzień przespali po uczcie, a wieczorem znów światła zabłyśły i gwar ucztujących odbijało echo od skał przybrzeżnych. Gdy północ nadeszła, radość wzmogła się do szczytu, iż nie ujrzą już potwora, który dwanaście lat życia zmienił im w zmorę. Toteż jak grom z jasnego nieba zabrzmiał w uszach biesiadników huk wywalanych podwoi drzwiowych w których z przerażeniem ujrzeli potwora. Do Grendla był podobny, jeno zwisające na wzdęty brzuch sześcioro sutek pozwalało rozpoznać, iż był płci niewieściej. Siedzącego najbliżej drzwi szlachetnego Eszera schwyciwszy w łapy, nim zerwać się zdołali, porwała i do jaskini zawróciła. Zerwał się Biwulf, za broń chwyciwszy, ratować towarzysza i choć go inni wstrzymywali, iż dognać jej nie zdoła szybciej niż koń za uchodzącą pobiegł. Dopaść jej nie zdążył przed wejściem do jaskini, więc skoczył za nią bez namysłu. Ciemność podziemnego korytarza do jamy wiodącego zmusiła go, by stapał ostrożnie, aż ujrzał przed sobą majaczące zielonkawe światło i za chwilę znalazł się u wejścia do Jamy potworów. Stanął i spostrzegł, jak poczwara z płaczem przyklęka przy ścierwie martwego już Grendla, składając przy nim zwłoki Eszera. Jak żbik bez namysłu skoczył Biwulf pomścić towarzysza i ciał mieczem w łeb, guzami rogowymi nasiany. Lecz miecz prysnął w kawałki, jakby o skałę uderzył, a poczwara runęła na niego. Zręczny i nieuchwytny jak płomień był Biwulf i walka trwała, a ryk poczwary słyszeć było aż w pałacu. Lecz, cofając się, potknął się Biwulf o miecz olbrzymi, na ziemi leżący, i padł na grzbiet a nim zerwać się zdołał, poczwara okrakiem usiadła mu na brzuchu i nożem przez pierś wpół go przekroić chciała.

Szczeńciem Biwulf miał na sobie kolczugę, która ocaliła mu życie. Choć poczwara ciężka była jak skała, najwyższym wysiłkiem kolanami podrzucił ją, iż przez niego na przednie łapy upadła, sam zaś, zerwawszy się, miecz olbrzymi pochwycił i ciął ją w kark, gdzie na miękkiej skórze łusek nie było. Potoczył się olbrzymi łeb i plugawa krew chlusnęła strugą, dymiąc smrodliwie. Stał nad ścierwem Biwulf i znużony po walce na mieczu chciał się wesprzeć. Aliści spostrzegł, że rękojeść jeno z kawałkiem klingi w ręku trzyma; resztę stopiła, jak ogień, jadowita krew. Chwilę jeno spoczywał bo zaduch trujący zmuszał do wyjścia. Wziął więc na ręce zwłoki Eszera, rękojeść za pas zatknął i tocząc nogą łeb poczwary, ku wyjściu podążył. W sali pałacu, jak ich zostawił, biesiadnicy w milczeniu czekali, radość im czy żalobę chwila najbliższa przyniesie. Świt już pobiełać zaczął niebo, gasły pochodnie i Hrotgar wstał i rzekł: "Widno już czekać nam nie trzeba; krótka była radość, a długa żaloba. Miast Grendla mamy mieć jego, a za Biwulfa nikt nie stanie". "Sam stanie!" - rozległ się okrzyk pod drzwiami - "jeno podwoje otwórzcie!" Porwali się najbliżsi i na tle wschodzącego słońca ujrzeli postać Biwulfa z Eszerem na ręku, a głową poczwary pod nogami. Powiedli go przed króla, który zaniemówił od niespodzianej radości, a czterech ludzi z trudem dźwigało głowę potwora pod stopy królewskie. Kraj cały jedną ucztą huczał przez miesiąc, po czym łodzie, darami wypełnione po brzegi, powiozły Biwulfa i jego drużynę do kraju, w ślad za sławą, która na skrzydłach wiatru ich uprzedziła.

Skończył Hugo, a Rejnilda westchnęła:

- Szczęśliwe niewiasty, które na własne oczy widziały takich siłaczów, a nam jeno opowiadaniem sycić się trzeba.

Wichman spochmurniał jeszcze, a Zbrozło rzekł zimno:

- Siłę większą niż człowiek zwierz posiada, a przecież człowiekowi niestraszny. Nasz Krakus gorszego położył potwora, głową jeno, nie rękoma.

Dzik, który, rozepchnąwszy biesiadników, usadowił się koło Zbrozły, nic nie rozumiejąc ziewał. Wsparłszy głowę na rękę, wodził oczyma spode łba po biesiadnikach; po chwili sięgnął do misy leniwym ruchem i wzięwszy kawał mięsa z kością, ogryzał ją. Towarzysze Wichmana z gospody, hamując się przy panach, rzucali na niego złe spojrzenia, na które odpowiadał wzrokiem tak obojętnym, jakby nie ludzi, ale wróble miał przed sobą.

Zjadłszy, wyprostował się i rozejrzał po sali, a napotkawszy wzrok niewiasty, stropił się i oczy opuścił. Po chwili trącił Zbrozłę i zapytał:

- Po coście mnie wzywali, skoroście mi kazali w komnacie siedzieć?

- Pani Rejnilda widzieć cię chciała, bo jej graf Wichman opowiadał o tobie.

- Aha! - mruknął Dzik i zerknął na niewiastę, która patrzyła w niego z ciekawionymi oczyma. Tym razem nie spuścił oczu, ręką podgarnął włosy i rzekł do Zbrozły:

- Wiecie, wdała niewiasta!

- Cichaj! - rzekł Zbrozło. - Rozumie ona słowiańską mowę, jak i wielu tu innych, dlatego nie mów nic, a jak zapytają, to mało, bo znów zła narobisz.

W tej chwili niewiasta, czy usłyszawszy uwagę Dzika, czy też ciekawością wiedziona, odezwała się do niego łamaną mową słowiańską:

- Nieradziście, żeście tu przyszli?

Dzik się zarumienił i milczał, aż Zbrozło trącił go, mówiąc:

- Odpowiedz.

Spać mi się chce, głodny nie jestem, a wina nie lubię - odparł.

Niewiasta zaśmiała się, a za nią i Wichman, który zapytał:

- Czemu wina nie lubisz?

- Bo kwaśne - odrzekł Dzik i otrząsnął się.

- Czekaj, to ci słodkiego dać każę, że i miód niczym przy nim.

I skinąwszy na pachółka, wydał mu rozkaz, a po chwili dzbanek wina i kusztyczek stały przed Dzikiem: Dzik podejrzliwie naprzód powąchał napój, po czym nalał i ostrożnie spróbował. Skosztowawszy, wychylił kubek i oczy mu się zaśmiały.

- Myślałem, że łżecie - rzekł do Wichmana - ale szczerą prawdą jest.

Niewiasta, która śmiała się cały czas patrząc na Dzika, zwróciła się znów do niego:

- To już zostaniecie z nami?

- Juści, zostanę - rzekł Dzik.

- Ale bez wina, dla mnie, byście nie zostali?

Wichman zasępił się znowu, a Dzik spojrzał niepewnie i rzekł:

- Strasznie dobre to wino!

Rejnilda zaśmiała się znowu.

- A niewiast nie lubisz? - spytała.

- Nie igrajcie z nim, to nie dworak! - rzekł Zbrozło po niemiecku.

- Lubię dzikich ludzi - odpowiedziała po słowiańsku, patrząc wyzywająco na Wichmana, a zwracając się do Dzika, dodała:

- Słyszałam, że wielki z was osilek, pokażcie mi jaką próbę.

Wichman zmarszczył się niechętnie: Dzik przez chwilę jakby się namyślał, po czym błyskawicznym ruchem sięgnął przez stół do pasa jednego z młodych biesiadników i wyszarpnąwszy długi na półtorej stopy mieczyk, wbił go z rozmachem w stół aż huk się rozległ po sali i zadźwięczały naczynia, a gwar biesiady umilkł niespodzianie, jakby go mieczem przygwoździł. Wbity do połowy długości w kilkucalową, dębową deskę sterczał mieczyk pośrodku stołu, a oczy wszystkich spoczęły na nim przez chwilę. Zaraz jednak gwar wybuchł z nową siłą i ten i ów podbiegał dopytując bliżej siedzących, co zaszło.

Rejnilda, zaskoczona na równi z innymi gwałtownością nieoczekiwanego zajścia pierwsza się uspokoiła i spojrzała dziwnym wzrokiem na Dzika, a zwracając się do biesiadników i zdejmując z szyi złoty łańcuch rzekła:

- Kto ten mieczyk wyciągnąć zdoła, łańcuch ode mnie weźmie nagrodą!

Bokiem zerknęła na Wichmana, który chmurno patrzył przed siebie i nie ruszył się. Zbrozło siedział z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Po chwili szeptać coś począł do Ścibora, który uśmiechnął się pod wąsem.

Wśród biesiadników panowało zamieszanie i podniecenie, ten i ów podchodził bez przekonania do mieczyka i próbował wyrwać go ze stołu, a Dzik, korzystając z zamętu, ujął dzban oburącz i opróżniał go pospiesznie. Po chwili biesiadnicy odstępować poczęli, a nawet bliżej siedzący odsunęli się wstydliwie, jakby urągał im mieczyk tkwiący w stole wśród poroztrącanych naczyń.

Wówczas Rejnilda zwróciła się z uśmiechem do Dzika:

- Myślę, że wy sami mieczyk wyciągnąć potraficie. Trzeba by go zwrócić temu młodzianowi, który tak źle strzegł swej broni.

Młodzik, siedzący jak na węglach, zarumienił się po białka oczu. Dzik zamierzał sięgnąć do głowni, lecz Ścibor ozwał się:

- Zostaw!

Rejnilda spojrzała na niego pytająco, a Ścibor wstał i podszedł do mieczyka. Jednym ruchem złamał tkwiący w stole miecz i rzucił rękojeść młodzieńcowi, mówiąc pogardliwie:

- Do noszenia na uczyty jeszcze się może przydać, a drugi raz już się wam to, co dzisiaj, nie przydarzy. W pochwie nie widać, że złamany, a dojrzy kto, nie rozpozna, czy stopniał od smoczej krwi, czy od wina.

Zaś do Rejnildy, która patrzyła na niego złym okiem, dodał:

- Teraz już nieprędko łańcuch waszej krasie służyć przestanie. Szkoda by było niedźwiedzia na nim wodzić.

- Dziękuję wam, kniazi, że dbacie o moją urodę i klejnoty - odparła zimno.

Wstawszy, skinęła na swe niewiasty i nie żegnając się wyszła z komnaty.

Dzik poderwał się do wyjścia, jakby wezwany spojrzeniem, które odchodząc rzuciła na niego, lecz Zbrozło szepnął ostro:

- Siedź!

Usiadł z westchnieniem, zajrzał do dzbana, w którym dno już przezierało, jeszcze raz westchnął i oparłszy głowę na rękę, sennie się zadumał. Gwar biesiady, przycichł, natomiast słychać było podniecone, choć stłumione szepty. Wichman siedział ponury, patrząc przed siebie, jakby coś gorzkiego przeżuwał. Ścibor zamienił ze Zbrozłą parę przyciszonych słów, po czym, pokrywając uśmiech, zwrócił się do grafa:

- Na ucztę prosiliście, a nie przypijacie do nas.: Chyba nie o toście krzywi, że ten ciołek stół rozłupał?

Wichman mruknął coś w odpowiedzi i przypił do Ścibora. Wychylili parę kubków i Wichman ożywił się widocznie. Zbrozło który siedział z nieprzeniknioną twarzą, ozwał się:

- Dziwny twór niewiasta. Byle coś nowego, to leci jak ćma do ognia, by jutro zapomnieć nowej zabawki!

- Myślicie? - spytał w zamyśleniu Wichman.

Wciąż się im przypominać trzeba. Najważniejsze, by ludzie o kimś wciąż coś mówili nowego, bo tego, co było, drugi raz słuchać nie chcą. Znudzi się jak bajka dziecku. Dla mężów sława na wieki, dla niewiast na dzień!

- Na gościńcu sławy nie znajdzie - rzekł Wichman ponuro. Ludzi mam za mało, by sam coś poczynać, a łupy, com na Mieszku zebrał, już się rozeszły - mówił śmiejąc się złośliwie a gorzko. - U Sinozębego nic nie zyskam, a zresztą słyszę, że Harald chrzest ma przyjąć. Nijak go będzie napadać, gdy poświęconą koronę z cesarskich rąk otrzyma, a i sam nie wystąpi przeciw Hermanowi, by się cesarzowi nie narazić. Na wyprawę pieniędzy potrzeba!

- Znajdą się po dobrej przyjaźni!

- Taka tam i przyjaźń. Wczoraj was biłem, dzisiaj piję z wami, a zechce mi się, to jutro znowu bić będę.

- Pieniądzy trzeba na wyprawę - drwiąco powtórzył Zbrozło.

- Wiem ci ja, że spokój wam ode mnie potrzebny.

- A wam od nas pieniądze!

- Pogadamy jutro. Pijmy teraz, kiedyśmy zaczęli - niechętnie rzekł Wichman.

- Jeno Dzikowi już pić nie dajcie. Wypił dość, może iść spać.

- A niech idzie, nic mi po nim! - mruknął Wichman.

Zbrozło na Szmatkę skinął i sennego Dzika trącił, by wyszedł. Dzik dźwignął się leniwie, spojrzął obojętnie na biesiadników i skierował się ku wyjściu, roztrącając stojących po drodze, za nim zaś szedł Szmątka z miną niedźwiednika, którego zwierz sztukami potrafił zaciekawić gapiów na jarmarku.

Ścibor tymczasem z Wichmanem mówić począł o italskiej wyprawie cesarza i powrocie Gerona. Zbrozło zaś bystrym uchem chwycił urywki rozmów, jakie ruszyły się po wyjściu Dzika. Najwięcej słychać było Henryka, który, roznamiętniając się, głos podnosił. Czuć było nadciągającą burzę. Zbrozło wstał i szepnąwszy coś Ściborowi, zbierał się ku wyjściu. Nim jednak salę opuścił, nadbiegł Szmątka i coś do niego mówił z pośpiechem, po czym wyszli szybko.

Ścibor zauważył powrót Szmátky. Dokończywszy rozmowy z Wichmanem, skinął na swoich i poprzedzany przez burgrafa, który go pożegnał u progu, odszedł do siebie.

W komnacie zastał Zbrozłę stojącego u okna, przez które wpadało światło księżyca. Kazał naniecić ognia, a odprawivszy pachółka, do Zbrozły się zwrócił:

- Co się stało?

- Nie wiem jeszcze. Szmątka poszedł się wywiedzieć.

Powtórzył Ściborowi, co wiedział od Szmátky. Gdy ten wrócił z Dzikim, czekała już jakaś niewiasta, która żądała, by Dzik szedł z nią, nie chciała jednak wyjawić dokąd. Szmątka powstrzymywał Dzika, ale bezskutecznie, pobiegł przeto po Zbrozłę, a na jego zlecenie poszedł zasięgnąć wieści, kto i gdzie wzywał Dzika.

- Dobrego nic z tego nie wyniknie - mówił Zbrozło. - Albo Rejnilda zapomniała się tak, że prawie na ludzkich oczach upatrzyła sobie Dzika, albo go w zasadzkę wciągnięto. W każdym razie, gdy wróci, odesłać go trzeba niezwłocznie. Jeśli nie wróci, sprawa gorsza. Otwarcie się o niego upomnieć nie można. Trzeba by działać przez przekupionych ludzi, i to dopiero po ukończeniu poselstwa, bo się może nie obyć, by kogo nie zgładzić; a domyślić się łatwo będzie, kto to uczynił.

Ścibor słuchał z namarszczoną brwią, namyślając się, po czym rzekł:

- Praw byłeś, by go nie brać. No, stało się. Myślę, że się jako zwykle wykręci. Tymczasem może jeszcze wrócić. Troszczyć się będzie czas. Jeśli wróci, niech wyjeżdża chyłkiem ze Szmatką, rana nie czekając. Zbudź mnie, gdy będzie potrzeba.

Zbrozło udał się do swojej komnaty i czekał na powrót Szmátky. Nieprzenikniona zazwyczaj jego twarz zdradzała troskę i niepokój. Od czasu do czasu wstawał i podchodził do drzwi nasłuchując, czy na kamiennych płytach krużganka nie rozlegnie się krok Dzika. Świt jednak pobielać już począł

pogodne niebo, gdy posłyszał szelest ostrożnych kroków i ktoś zaskrobał do drzwi. Zbrozło wstał i otwarłszy je wpuścił Szmatkę. Spojrzał na niego pytająco, a ten rzekł:

- Nie znalazłem Dzika nigdzie.

Rejnilda

Przy wejściu do komnaty Dzik w ciemnym kącie spostrzegł niewieścią postać, która, uchwyciwszy go za rękaw, mówiąc coś po niemiecku, ciągnąc go jęła za sobą. Dzik obejrzał się za Szmatką, wahając się, iść czy nie, i ozwał się:

- Gadaj mi, czego ona chce?
- Nie idźcie, panie - rzekł Szmątka.
- Będziesz gadał, bo cię... - i zrobił wymowny ruch ręką, aż Szmątka przerażony odskoczył.
- Ady nie mówi gdzie, ino chce, byście z nią szli.
- Chyba nie do siebie mnie ciągnie - zastanawiał się Dzik - pewnie pani Rejnilda ją przysłała.
- Nie wiem, panie.
- To zapytaj! - wrzasnął Dzik, chwytając Szmatkę za rękę, aż ten syknął z bólu.
- Puśćcie, to zapytam - stęknął i zwracając się do dziewczki po niemiecku rzekł:
- Pan mój chce wiedzieć, gdzie go wiedziesz?
- Nie wolno mi powiedzieć.
- Mów! - krzyknął Szmątka - bo jak nie, to on mnie, a ja tobie łeb rozbiję.

Dziewka zaśmiała się i rzekła przekornie:

- Jak on tobie łeb rozbije, to ty mnie nie zdążysz.
- Nie chce mówić, panie - rzekł Szmątka żałośnie - co mam robić?

Dzik poskrobał się po głowie i widocznie powziął postanowienie, bo rzekł:

- Spać idź, rozumiesz! A jak powiesz Zbroźle, to ci pokażę. - I nadąwszy się, rzekł do dziewczki:
- Prowadź!

Dziewka zrozumiała widocznie, gdyż ruszyła w głąb korytarza, a Dzik za nią, zostawiając Szmatkę stojącego w niepewności i pocierającego obolałą rękę. Gdy zniknęli, Szmątka pędem kopnął się po Zbroźlę.

Dziewka wiodła Dzika po ciemnych zakamarkach i schodach, aż wyszli na podwórzec, dwoma bokami przytykający do budynków, dwoma zaś do muru, otaczającego jakiś ogród.

W księżycowej poświacie Dzik z ciekawością spojrzął na towarzyszkę i rzekł:

- Z ciebie też krasna dziewczka. Żeby mi czasu nie było szkoda, to hej!

I objąwszy ją za plecy, podniósł ku sobie. Dziewka, śmiejąc się z cicha, wyrwała mu się zrećźnie i szepcząc coś pospiesznie ciągnąć go jęła za sobą.

- Licho cię rozumie, do gadania byś się nie zdała mruknął Dzik i poszedł za nią ku furcie w murze, w którą zapukała z cicha. Furta uchyliła się i weszli do ogrodu, w którego głębi stał samotny budynek. Przez ciemną sień dziewczka wiodła go za rękę i pchnąwszy jakieś drzwi, zniknęła.

Dzik znalazł się w komnacie dość przestronnej, pełnej jednak sprzętów innych niż znane mu dotychczas, całej wysłanej miękkimi kobiercami. Większą część komnaty zajmowało olbrzymie łóżko pod wspaniałym baldachimem z pozłocistej materii. Obok łóżka stał klęcznik z rozłożonym na pulpicie modlitewnikiem, a nad nim wisiał krzyż z czarnego drzewa, z rozpiętą na nim postacią, w kości słoniowej rzeźbioną. W stojącym na stole świeczniku płonęły świece rzucając chwiejne światło, w którym postać nabierała pozorów życia, przykuwając wzrok Dzika, tak że przybliżył się, by ją obejrzeć.

Dzik stał chwilę, po czym ostrożnie wyciągnął rękę i dotknął postaci. Pokiwał głową z zadziwieniem, lecz nagle bystre jego ucho uchwyciło jakiś szelest i obejrzwawszy się ujrzał Rejnildę. Stała przy wejściu zasłoniętym kotarą, która chwiała się jeszcze. Ubrana była w powłóczyście giezło; rozpuszczone, złociste włosy miękką falą opadały na ramiona i plecy.

Przez chwilę patrzyli na siebie, po czym Rejnilda przerwała milczenie:

- Nic ciekawszego tu nie obaczyłeś? - rzekła z niezadowoleniem w głosie i podszedłszy, spuściła czarną zasłonę na krucyfiks. Jasna plama, którą odcinała się postać na krzyżu, zgasła.

Dzik zaśmiał się:

- Przecie to martwe, patrzeć na nas nie będzie. A ciekawi mnie to wszystko. Jeszczem też u takiej pani nie bywał.

- Tak mniemam - rzekła dumnie Rejnilda - a krzyż zasłoniłam, boś poganin.

- Poganin?

- Przecie nie wierzysz w prawdziwego Boga?

- W nijakiego ja tam boga nie wierzę. Widziałem, że kniazie mają bogów, którym kąciny stawiają, choć nie tak piękne jak wasze, ale co mi do nich.

- To w nic nie wierzysz, co się do ręki ująć nie da?

Dzik skrobał się po głowie, rozmyślając; i odparł:

- Juści wiem, że wszystkiego nie da się do ręki ująć, ale po co mi wierzyć, kiedy wiem, że jest.

Widziałem, jak Złe tańczyło na bagnach, są skrzaty w chałupach, krasnoludki w lesie, wodnice i brzeginie po wodach. Są, to są, w co tam wierzyć.

Rejnilda z wnęki w ścianie wyjęła dzban z winem i dwa kusztyczki postawiła na stole, mówiąc:

- Pewnie! Możesz i mądrzejszy; chcesz głupi. Żyjesz swobodnie, jak chcesz, nie boisz się niczego.

- A juści, że się nie boję.

- I śmierci się nie boisz?

- Śmierci? - spytał Dzik wychylając kubek. - Jeszcze o tym nie myślałem.

- Ani tego, co po śmierci?

- A co ma być po śmierci! Nie ma człowieka i tyła. Czego się bać?

Rejnilda westchnęła.

- Żeby tak było! Ale tam rachunek zdawać trzeba z tego, co człek za życia robił. A nic robić nie wolno, co człeku przyjemne, jeno wciąż myśleć o tym, co po śmierci. I strach człeka zbiera, i bunt. Nigdzie przed tym uciec nie można. Zapomnieć się uda czasem, ale tym gorzej potem, jak gdy człek wina za dużo wypije.

- A skądże wiecie, jak tam jest, skoro nikt stamtąd nie wrócił?

- Księża wiedzą i grożą. Z dawna mi każą wkładać włosiennicę, by duszę zbawić, a ja nie chcę, nie mogę! Młoda jestem, krasę mam, mogę i chcę żyć! - z żalem, namiętnością i gniewem wybuchła Rejnilda.

Dzik patrzył na nią zdziwiony i skrobał się w głowę, nie mogąc nic zrozumieć. Bezmyślnie nalał wina, wychylił kubek i zadumał się.

Wreszcie zapytał:

- Po cóżeście mnie wzywali? Boicie się, to sobie pójdę. Inne mnie kochały i nie mówiły nic, jeno aż piszczwały z uciechy. Chcecie spać ze mną, dobrze, a nie, to do gadania kogo innego sobie sprowadźcie, co się zna na tym.

Płomień gniewu i namiętności wstrząsnął Rejnildą. Beztroska zwierzęcość tego dzikiego człowieka pociągała ją i odpychała zarazem. Opanowała się jeszcze, w dumie szukając oparcia, i ochryłym głosem zapytała:

- Czy wiesz, do kogo mówisz? Książęta zebrali o to, co ty, psie słowiański, bez prośby otrzymać myślisz.

- Za psa mi wasi książęta, co zebrać muszą o to, czego ja mam do woli. Tacy pewnie, co dwóch bym

zgniół w jednej garści, ażeby z nich serwatka wyszła. Pies suce potrzebny, a wy, księżniczko, po księcia sobie poślijcie; będziecie z nim mogli gadać do rana. Mnie się już zecniło.

To rzekłszy wstał i zabierał się ku wyjściu. Rejnilda patrzyła płonącymi oczyma i gdy za drzwi imął, krzyknęła nieswoim głosem:

- Zostań!

Dzik obejrzał się, chwilę się zastanowił, po czym podszedłszy do Rejnildy, rzucił ją na łoże jak kotkę.

Zbrozło i Wichman

Zbrozło zmartwionemu zniknięciem swego pana Szmatac spać się kazał położyć, sam zaś usiadł i głowę wsparłszy na dłoniach, siedział bez ruchu, aż poranny skrzęt dał się słyszeć na zamku.

Wstał wówczas i udał się do Ścibora, by sprawę Dzika omówić. Czuł wyraźnie, że Dzik żyje, nie było już jednak wątpliwości, że spotkać go musiała jakaś przygoda.

Wszedłszy, zastał u Ścibora Mieszkowego posłańca, Dobrosława, który nakaz i przypomnienie przywiózł, by nie bacząc na cenę, zabezpieczyć spokój na zachodniej granicy, a szczególnie zalecał załagodzenie Wichmana. Mieszko donosił, że rusza na Mazowsze i Czerwień i przed jesienią skończyć sprawy się nie spodziewa. Ściborowi kazał zaraz po ukończeniu poselstwa wracać i straż objąć na zachodniej granicy, poselstwa zaś do Pragi zaniechać, póki by nie otrzymał innego rozkazu.

Po odejściu Dobrosława Ścibor zapytał o Dzika, a dowiedziawszy się, że nie wrócił i Szmataka żadnych wieści nie przyniósł, zniecierpliwiony rzekł:

- To i nic nie poradzimy. Gero dziś jutro wróci, poselstwo sprawię i wracać będziemy. Udonowi zalecić trzeba i nagrodę obiecać, jeśli Dzika wydostanie, ale niewiele się po tym spodziewam. Szukał Dzik guza, niech go znajdzie. Ja go odbijać nie będę, choćbym wiedział, gdzie jest, bo ni z Geronem, ni z Wichmanem zdrzeć teraz nie mogę.

- Dowiedzieć się nam naprzód trzeba, kto go schwytał i gdzie jest. Potem radzić będzie można, co robić. Skorośmy dzikiego zwierza między ogary przywiedli, wstydno by nam było dać go poszarpać.

Ścibor zrozumiał wymówkę i rzekł niecierpliwie:

- Skądże się dowiesz, kto go porwał i gdzie jest? Wichman nie powie, tym mniej Rejnilda, Willigiza spytać nie można. Jeśli nie wie, to i wiedzieć nie powinien, bo Geronowi powie, a Gero nie daruje hańby, uczynionej zmarłemu synowcowi, i wielce zaszkodzić moglibyśmy Mieszkowym zamiarom o Dzika się upominając.

- Wichman czy Rejnilda nie powiedzą, gdy ich wprost zapytać. Ale byłem z nimi mówił, dowiedzieć się potrafię. Z Wichmanem i tak mam mówić o wyprawie. Pilno trzeba to załatwić, jeśli zaraz wracać mamy. A i do Rejnildy pozór znajdę. Jeśli nie dowiem się z tego, co powiedzą, to z tego, czego nie powiedzą. Czas nagli z każdej strony. Do Wichmana idę nie mieszkając.

I wyszedł; a obudziwszy Szmatkę, polecił mu swe przybycie oznajmić Wichmanowi i zapytać, gdzie i kiedy widzieć go może.

Czekał długo, zadrzemując co chwilę, budząc się i nasłuchując, czy Szmataka nie nadchodzi. Wreszcie usłyszał kroki w krużganku i Szmataka wsunął się do komnaty.

- Gdzieżeś tyle czasu zmitrężył i co przynosisz? - spytał Zbrozło.

- Z Wichmanem się widziałem, panie. Czekać musiałem, bo byli u niego stryjeczni kniazia, co mi

pachołek powiedział. Usunąłem się, póki nie wyszli, bo po co mieli mnie widzieć?! Ale się opłaciło czekanie, bo dziewczkę widziałem, która wczoraj przyszła po Dzika. Zrazu nic mówić nie chciała, alem ją wycalował i wyściskał. Całkiem do rzeczy dziewczucha, mam się z nią jeszcze wieczorem widzieć. Nie chciała przystać, ale jakem jej powiedział, że może mój pan chodzić do jej pani, to mogę ja do niej, zapytała, skąd wiem, że Dzik tam był. Tedym jej powiedział, że wróciwszy opowiadał. Dziwowała się i rzekła, że jej pani tego nie daruje. Więcem jej kolce piękne przyobiecał, żeby nie mówiła, i wieczorem się spotkać mamy przy zachodniej bramie i za wały pójdziemy na rozmowę!

Zaśmiał się swawolnie.

- Wiemy tedy, że był u Rejnildy i że nie tam go schwytali, bo dziewczka by pewnie wiedziała. Przemyślnyś jest, może co więcej od niej wyciągnąć potrafisz. Kolce dla niej zaraz dostaniesz, a pieniądze weź, może się przydadzą. Ciebie też nagroda nie minie.

- Muszę ci ja go wyciągnąć. Dobry pan jest, bo hojny a głupi. Za mocny jeno trochę. Jak mnie wczoraj za rękę ścisnął, to mi na dziś poczerniała.

Okazał rękę siną i spuchniętą.

- Już dobrze - rzekł Zbrozło. - A Wichman gdzie mi spotkanie wyznaczył?

- O południu, w tej samej gospodzie, co wczoraj - odparł Szmotka.

- To nie czas marudzić. Worek z grzywnami poniesiesz i pójdiesz ze mną.

Wyszli.

Wichman tymczasem niecierpliwie chodził po izbie w umówionej gospodzie, ponury i zły. Wczorajsze zajście z Dzikim, zachowanie się Rejnildy na ucztie i dzisiejsze targi przypominały mu przykre jego położenie. Harda i nieokiełznana dusza zgodzić się z tym nie mogła, a innego żywota prowadzić już by nie umiał. Gorzko rozmyślał nad tym, że lepiej już nie będzie, i żywot brzydł mu do reszty. Złość go też ogarniała, że na Zbrozłę czekać musi, bo pieniądze koniecznie mu są potrzebne. Gdyby nie to, pokazałby zuchwałym Słowianom, że spieszyć się trzeba, gdy kupić go jest sposobność. Toteż gdy Zbrozło wszedł do izby, nie witając się wybuchnął:

- Myślicie, że tańszy będę, gdy poczekam? Mylicie się! Czas mój, choć mnie niepotrzebny, dla was drogi jest!

Zaśmiał się zgryźliwie.

- Nie targować przychodzę się, jeno warunki omówić. Pan mój wie, że z kijami samoczwart nie pójdziecie na nikogo, tak jak i na nas z kijami byście nie poszli. Dlatego czas wasz tani, bo bez naszych pieniędzy nie macie z nim co robić; ale i o to nie będziem się targować ani nie dlatego czekać wam dałem.

- Mówcie, czego chcecie i co dajecie - spokojniej rzekł Wichman.

- Chcemy wam pomóc w wyprawie. Damy, ile potrzeba, aby do skutku doszła. Jeśli wyprawę podejmiecie, chcemy wiedzieć, kiedy i jaką siłą, a wedle tego zapłacimy.

- Obmierzło mi już siedzenie tutaj. Mogę iść choćby zaraz, gdy tylko przygotowania pokończę. Nie mogę iść na was, to pójdę gdzie indziej. Prosił mnie węgryjski Żelibór o pomoc przeciw obodryckiemu Mściślawowi, co mu stryj mój, Herman, w sporze słuszność przysądził i jeszcze piętnaście grzywien srebra kazał zapłacić. Konnych rycerzy muszę mieć z pięćdziesięciu. Sto grzywien srebra mi potrzeba.

- Sto grzywien? - obojętnie powtórzył Zbrozło. - Wysoko się cenicie. Ale nic to dla mojego pana. Jenemu że tyle nie będziemy mieli ze sobą, bo i dań płacić mamy, i Geronowi podarek uścić trzeba, więc dla was nie starczy i poczekać będziecie musieli.

- Ale ja nie chcę czekać! Albo zaraz wszystko dostanę, albo nic z umowy! - wybuchnął Wichman.

- Jak chcecie - rzekł Zbrozło.

Wichman biegać zaczął po izbie wzburzony: Usiedzieć nie mógł na miejscu. Oswoił się już z myślą o wyprawie. Gero mu nie pomoże, nie darmo go Mieszko płaci. Zresztą nie będzie chciał się narazić cesarzowi. W Niemczech na razie pokazać się nie śmie. Pozostały chyba pograniczne napaści, ale ni sławy, ni pieniędzy tam nie zdobyć. Ot zabawa, która go znudziła w dodatku.

Gdyby Zbrozło się targował lub usiłował przekonywać, Wichman wyładowałby przynajmniej złość i zniecierpliwienie, które go dusiły. Ale Zbrozło patrzył obojętnie w okno z twarzą nieprzenikną, iż nie wiadomo było, czy bardziej się interesuje wyprawą Wichmana, czy wróblami, które z ćwierkaniem i piskiem biły się na krzaczach przed gospodą.

Wichman opanował się wreszcie i zapytał:

- Ile zaraz dać możecie i jak długo na resztę mam poczekać?

Zbrozło czas jakiś nie odpowiadał, jakby nie dosłyszał pytania. Po chwili ocknął się i rzekł:

- Zaraz tutaj mogę wam wyliczyć dziesięć grzywien. Po przyjeździe Gerona obliczymy się. Myślę, że damy jeszcze drugie tyle. A resztę do półtora miesiąca możemy przysłać.

- W półtora miesiąca albo będę u Żelibora, albo wcale tam nie jadę! - krzyknął Wichman.

Zbrozło nie odrzekł nic i zaległo milczenie. Wichman usiadł na ławie i głowę wsparł na rękę. Nie przywykł krępować swej woli, i to za pieniądze. Okoliczności zmusiły go próbować i oto miał w zysku jeno upokorzenie. Zapytał wreszcie przygaszonym głosem:

- A kto mi zaręczy, że w przyrzeczonej z roku dostarczycie pieniądze?

Zbrozło wzruszył ramionami. Po chwili rzekł drwiąco:

- Ten sam, co nam poręczy, że wzięwszy pieniądze, pójdziecie sobie do Żelibora.

- Wiecie, że pójdę, bo nie mogę gdzie indziej, a wam zwłoka wystarczy, by się mnie z głowy pozbyć.

- Za półtora miesiąca i dwudziestu grzywien szkoda, a wiemy już, że na nas nie pójdziecie i moglibyśmy nic nie dać. Ale widocznie przysługą chcemy zdobyć przyjaciela - drwiąco rzekł Zbrozło.

- Takim ja wam przyjaciół, jak wy mnie!

Zbrozło z powagą skinął głową. Zamilkli znowu.

Wichman łamać się począł. Przyjmie narzucone mu, niepewne warunki; pojedzie, choćby z byle jaką siłą. Nie uda się wyprawa, niechby i zginął. Mierzi go już to życie. Już miał Zbrozle oświadczyć, że się godzi, gdy ten niespodzianie rzekł:

- Byłby sposób, by wam zaraz wszystko wypłacić.

Wichman poderwał się:

- Jaki? - zakrzyknął.

- Dzik ze sobą bogactwa znaczne w złocie przywiózł. Można by wziąć od niego.

- To weźcie.

- Ba, kiedy go nie ma. Dzik zniknął - rzekł Zbrozło i badawczo spojrzął na Wichmana, ten jednak z miejsca zapytał:

- Gdzie? Kiedy?

Zbrozło wiedział już, co chciał, i odparł:

- Znajdziemy go. Myślałem, że wyście się go pozbyli cudzymi rękoma, bo wam w drogę wchodził.

- Nie cudzymi rękoma go ubiję.

- Dobrze. A tymczasem pomóżcie go znaleźć, bo pieniądze dla was potrzebne.

- Pomogę, choćby dlatego, byście o mnie takich rzeczy nie myśleli i by go dla siebie zachować. I wam też obiecuję - dodał.

- Dobrze! - rzekł Zbrozło obojętnie - a tymczasem dowiedzcie się, gdzie jest, a pieniądze będą zaraz. Dziesięć grzywien każę wam już wypłacić, by umowy, choć bez litkupu, dobić.

I zawoławszy pachółka, odliczył Wichmanowi pieniądze, po czym skinął głową i wyszedł.

Dzik w lochu

Kwietniowe słońce zdołało się wzbić tak wysoko, że jeden jego promień przecisnął się przez wąskie okienko, a raczej szparę w murze, tuż pod sklepieniem, i na chwilę rozjaśnił ciemność głębokiego lochu, po którym rozglądał się Dzik, daremnie szukając w obolałej głowie wspomnienia, jak się tu znalazł. W świetle słonecznego promyka spostrzegł obok siebie dzban z wodą, więc sięgnął po niego, by się napić. Dopiero przy tym ruchu zauważył, że ręce i nogi skute ma kajdanami, połączonymi łańcuchem przytwierdzonym do muru.

Dzik napił się wody, po czym zwilżył sobie głowę i na nowo popadł w zadumę. Ostatnie, co zdołał sobie przypomnieć, to zielonkawe niebo przedświtu, gdy wychodził od Rejnildy, i na tym kończyło się wszystko.

Zrezygowany położył się i śledził pochód słonecznego promyka; ten jednak zniknął wkrótce i ciemność znowu zaległa loch, jeno jasna plama okienka widniała w mroku. Dzik znużony zasnął.

Jak długo spał, nie zdawał sobie sprawy, lecz gdy się zbudził, przez okienko pod sklepieniem przenikało już światło księżyca. Głód zaczynał dręczyć Dzika, lecz ból głowy przygasł i sen przywrócił mu siły, jeno w karku czuł jeszcze odrętwienie. Omackiem począł szukać, czy nie znajdzie czegoś do zjedzenia. Przeszukał jednak bez skutku całą przestrzeń na długość łańcucha, obmacał osadzenie go w murze, po czym usiadł i znowu rozmyślać począł.

Jeść mi chyba dadzą i pewnie do mnie ktoś przyjdzie, to się dowiem, kto mnie tu zamknął. I Zbrozło też pewno mnie poszuka.

Tu przypomniał sobie zakaz Zbrozły i ze zmartwienia zaczął się swym zwyczajem drapać po głowie. Łańcuchy zadźwięczały przy tym więc znowu macać je począł, czy nie dadzą się zerwać. Gdyby się, od nich uwolnić, mógłby obszukać cały loch. Jakieś wyjście musi być przecie.

By rozstrzygnąć wątpliwości, wstał i całą siłą szarpał łańcuchami lecz na darmo. Skórę jeno poprzecierał i ręce pokrwawił. Usiadł przeto i liżąc zadrapania, mrucał do siebie:

- Żebym sobie pojadł, tobym pewnie zerwał. Po licha mi była ta białka. Ino siłę wyssie z człeka, a chce nie wiadomo czego. Nie taka jak inne, co ino sen lepszy dają - otrząsnął się z obrzydzeniem.

Siedział osowiały, nie licząc płynącego czasu. Z zadumy obudziły go jakieś głosy z zewnątrz, ledwo dosłyszalne, nawet dla jego czujnego i przywykłego już do głuchej ciszy ucha. Głos zdawał mu się ludzki i coś jakby znajomego w nim chwycił.

Nim jednak zdołał sobie to uświadomić, uwagę jego odwróciła jakaś jaśniejsza od smolnej ciemności lochu kreska, która ukazała się przechodząc stopniowo w światło, a jednocześnie posłyszał stapania nóg po kamiennej posadzce, za chwilę zaś rygle niewidzialnych drzwi zaszczękały. Rozległ się dźwięk opadającej sztaby żelaznej, drzwi się otwarły i jaskrawe, dla zwykłych do ciemności oczu Dzika, światło wdarło się do lochu, a za nim wkroczyło czterech ludzi.

Idący na przedzie, odziany w skórzany kaftan, niósł płonący kaganek, za nim zaś szło trzech ludzi

czarno ubranych w powłóczyście suknie, którzy, zbliżywszy się, stanęli nad Dzikim. Jeden z nich wyciągnął z rękawa pergamin i w nie znanym Dzikowi języku coś czytać począł, czemu Dzik przysłuchiwał się nie wiedząc, o co chodzi. Skończywszy czytać, nieznajomy zwinął pergamin i trzech czarni z powagą wyszli, poprzedzani przez dozorcę, który stanąwszy w drzwiach podniósł kaganek w górę oświetlając im drogę. Gdy umilkły kroki wrócił i postawiwszy kaganek na ziemi, przykucnął obok Dzika i odezwał się po słowiańsku:

- He! He! Z pergaminu takiemu wyrok czytają.

- Co zaś za wyrok?

- A sąd nad tobą czynili. Dużoś też mądry z tego?

- Nic nie wyrozumiałem. A ty?

- Też nie, bo to po łacinie. Ale wiem, bo mi pisarz mówił.

- Cóż ci mówił?

- Ucieszysz się. Worek ci wytną, oczy wyłupią i obetną rękę. A przeżyjesz, to spalą.

- A za cóż to?

- Rękę ci obetną za to, żeś kupców rabował; oczy, że uroki na szlachetne panie rzucasz, zaś worek, że na ich cześć godzisz. A wytrzymasz, znaczy, żeś czarownik. A takich się pali.

- Dużo chyba takich, co uroki na waszą panią rzucało - mruknął Dzik.

- Po prawdzie to nie ty pierwszy. Ciągle ktoś na nią uroki rzuca. Jeno stary pan nie wie, a boją się mu powiedzieć. Już się całkiem zwłóczyła od tych uroków, jak młodego Fryderyka nie stało. Jeno że jak dostojniejsi panowie je rzucają, to odczyniają, jak wydolą. Ale z tobą, słowiański psie, nie będą się bawili.

- A ty cóż za jeden?

- Niemiec jestem, a że waszą mową szczebrać umiem, to przez to, że w niewoli u was siedziałem. Ale od was uciec łatwo, a myjak kogo schwyta, to i na Sąd Ostateczny nie wyjdzie.

Dzik pominął milczeniem niezrozumiałe mu określenie, a po chwili ozwał się:

- To aże trzech ten tam wyrok musiało przynieść? Ilu też was będzie trzeba, żeby mnie sprawić?

- Ja sam z pomocnikiem wystarczę. Teraz Wielki Tydzień, to i kaźń odłożona. Jak nie pojedz parę dni, nie będziesz taki mocny.

- Tymczasem przynieś mi jeść, to ci złotem zapłacę.

- Ba! ba! zapłacisz! Wszystko, co przy tobie się znajdzie, moje będzie po kaźni, to i trzymaj sobie tymczasem, jeśli masz.

- Juści, że jak mnie głodem zmorzycie, to mnie byle pies, choćby taki jak ty, ogryzie. A do swojej baby też pomocnika potrzebujesz?

Dzik przypadkowo trafił w słabą stronę klucznika. Ten poderwał się wściekły, kopnął Dzika z całej siły i wrzasnął:

- Pogański psie, jeszcze i pyskiem chrześcijańskie niewiasty byś kalał!

Dzik błyskawicznym ruchem skoczył ku dozorczy, lecz ten widocznie nieraz już poczęstował tak więźnia i był przygotowany. Nie ruszył się nawet z miejsca, tak że Dzik omal nie otarł się o niego, lecz łańcuch nie puścił i Dzik przewrócił się pod nogi dozorczy, a ten zaśmiał się i rzekł:

- Wiem ci ja, jak blisko stać. Łańcuchy mamy mocne. Nie takiego byka utrzymają!

To rzekłszy, kopnął dzban z wodą i dodał:

- Pić też nie musisz. Za dwa dni ślinę będziesz zlizywał gdy ci w pysk plunę.

To rzekłszy, podniósł kaganek i ku drzwiom zmierzał, a Dzik niemal błagalnie zawołał:

- Podejdz mi pod rękę! Ani nie poczujesz, jak skonasz. A jak cię sam dopadnę, to ci żywcem kości z ciała wyduszę!

Stróż zaśmiał się drwiąco i zatrzaskał za sobą drzwi.

Znowu ciemność zaległa loch. Oczy Dzika przez chwilę starały się uchwycić poblask oddalającego się światła w szparze pod drzwiami, po czym skierował je ku okienku. Ku swemu zdziwieniu nie mógł go dojrzeć. Mrugał przez chwilę myśląc, że jeszcze po blasku kaganka niedowidzi w ciemnościach, i podsunął się, jak mógł najbliżej, pod okienko. W tej chwili usłyszał szept:

- Panie! panie!

- Szmatka! Tyś to, pętaku?

- A juści, ja!

- Jakżeś mnie znalazł?

- A z dziewczką tu legałem na wałach, z tą, co was wczoraj wywiodła, i usłyszałem głosy więcem ją puścił i szukałem, skąd idą. Dobrze że światło było; inaczej nikt by tej dziury nie znalazł. Skała stroma i pełno pokrzyw pod murem, że i wiedząc znaleźć trudno. Przez rów też nie każdy przelezie chyba taki jak ja.

- Słuchaj, bo mi tu zreć nie dają, a mnie aż w brzuchu ściska z głodu. Przeleziesz jako w nocy do

zamku, kiedy bramy zamknięte?

- Dziewka mi pokazała, którędy łązi, kiedy na noc wyjść ma potrzebę. Póki jałowa, to się zmieści - zaśmiał się Szmatka.

- Nie gadaj tyle, ino duchem skocz po żarcie.

- A wy jakoże się stąd wydostaniecie? - zapytał rozsądnie Szmatka.

- Łańcuchami mnie do muru przykuli, ale jak pojem, to może potargam. Byłem się urwał to stróża sprawię, jak przyjdzie, bom mu obiecał, i wyjdę drzwiami.

- To was znowu złapią. Przecie drzwi nie do lasu prowadzą.

- Zaś tam złapią! - rzekł Dzik beztrosko.

- Wolę ja Zbroźle powiedzieć, niech co obmyśli. A łańcuchy po co macie targać? Przyniosę wam łom i młot, to porozbijacie.

- Ady tu ciemno, że własnej ręki nie widzę. Jeszcze sobie gnaty poprzetrącam i co wtedy?

- Wybijcie jeno łańcuch ze ściany, to se za drzwiami siedniecie. Przyjdzie dozorca, to wam poświeci i zrobicie resztę.

- Niegłupi pachół z ciebie! - rzekł z uznaniem Dzik, po czym zastanowił się.

- Ba! ale z czym przyjdzie, kiedy mi obiecał jeść nie dawać. Ruszaj po żarcie! - wrzasnął nagle, aż pachółek z nawyku odskoczył od okienka. Lecz zaraz ochłonął i przysunąwszy się, rzekł:

- Tak się ciskacie, jakbyście już wolni byli.

Poszedł jednak widocznie, bo jasna plama okienka zaświeciła znowu w ciemnościach.

Dzik usiadł i czekał, ale czas dłużył mu się okrutnie. Już zwątpił, czy Szmatka przyjdzie, gdy posłyszał szelest kroków i pociemniało w otworze.

- Jesteś, Szmatka? - zawołał. - Gdzieżeś siedział tyle czasu?

- A jestem! Noc przecie i niełatwo wszystkiego dostać.

- Żarcie przyniosłeś? Dawaj.

- Zaraz! Zaraz! Naprzód tu łom macie i młot.

I rzucił młot i łom wprost na głowę stojącego pod okienkiem Dzika, który zaklął szpetnie.

- Żarcie dawaj! - wrzasnął.

- Dam, ino wam muszę coś powiedzieć, póki tam siedzicie. Jak mi nie przyrzeciecie, że nie będziecie na mnie wrzeszczyć, to nie dam. Strasznie tego nie lubię, nieraz aż się spocę, jak z nagła wrzaśnicie.

Dzik już miał wrzasnąć znowu, lecz aż go w brzuchu zakłuło z głodu i oskomy.

- Dawaj, jucho. Nie będę wrzeszczał na ciebie.

- No to macie, ale pamiętajcie!

Dzik pochwycił zawiniątko i wziął się zaraz do pożerania zawartości, mrużąc do siebie:

- Czekaj, ścierwo, jak wyjdę, to cię tak spiorę, że cię matka nie pozna, a ni słóweczka nie powiem.

- Co zaś mówicie? - spytał Szmata. - Nic nie rozumiem.

- Cicho mówię, byś zaś się nie spocił - rzekł Dzik połykając strawę.

- Idę teraz, bo i świt już niedługo. Przyjdę, jak ze Zbrozłą co uradzimy. Wiecie, głową to nie tak jak pięścią, ino machnąć i dobrze!

Nie czekając na odpowiedź, oddalił się. Dzik, nasycony, posiedział chwilę, po czym wstał, by łańcuch ze ściany wylupać. Obmacując w ciemności hak, do którego łańcuch był przytwierdzony, mrużąc do siebie:

- Dobry pachół z tego Szmataki, ale się uzuchwalił bez to, że mnie tu zamkli. Sprać go muszę, kiedy wyjdę, boby mnie wnet za kudły wodzić począł.

Ujął młot i kilkoma uderzeniami obluźnił hak, tkwiący między dwoma gładzami, po czym włożywszy łom w szczelinę, wbił go między kamienie. Szarpnął i hak z dźwiękiem wyleciał ze ściany. Pierwszy krok ku wolności został zrobiony.

Zachęcony powodzeniem Dzik pomyślał, czy nie dałoby się rozbić kajdan, lecz zaraz pierwszym uderzeniem zdzielił się w kostkę, aż syknął i pocierając bolące miejsce mrużąc:

- Taki muszę poczekać, aż mi sukinsyn poświeci.

Ruszył prosto ku drzwiom, niosąc narzędzia, a łańcuch ciągnąc za sobą. Pod drzwiami usiadł i czekał.

Czas mijał nieznośnie wolno. W okienku znowu pojaśniało i za chwilę promyk się ukazał; przewędrował po podłodze i zgasł. Senność poczęła ogarniać Dzika. Opierał się czas jakiś, wreszcie wstał i mruknął:

- Jak tu zasnę, to mnie jeszcze na śpiątku najdzie, ani będę wiedział kiedy. Wolę hak wsadzić z powrotem. Nie obaczy, zem się urwał, i sam pewnie obudzi, choćbym spał.

Przygotowania do ucieczki

Posłaniec Gerona przybył z wieścią, że margraf na drugi dzień stanie, i wiadomość zaraz rozniosła się po dworze. Przygotowano uroczyste przyjęcie. Gero jak prawy monarcha rządził i przestrzegał, by cześć mu oddawano niemal monarszą, toteż ruch wszczął się na zamku i w mieście.

Zbrozło usłyszawszy nowinę, udał się zaraz z wieścią do Ścibora, by omówić odprawienie poselstwa i sprawę Dzika. Ostatnią uważał za pilniejszą, gdyż skoro każn tylko przez święta odłożona została, czasu do uwolnienia pozostało już bardzo niewiele, a zamieszanie z powodu przyjazdu Gerona i uroczystości świątecznych najlepszą dawały sposobność. Obawiał się też Zbrozło, by Dzik, zniecierpliwiony, nie uczynił czegoś, co by mogło sprawę udaremnić, a nawet poselstwo narazić.

Ścibor też uważał, że nie mieszkając Dzika uwolnić trzeba, gdyż zaraz po świętach wyjechać zamierzał.

Po wyjściu od Ścibora Zbrozło zawołać kazał Szmatkę. Długo trwało, nim nadszedł, i Zbrozło gniewnie zagadnął go, gdzie się włóczy.

Szmatka tłumaczył się, że szukał i znalazł wyjście z więzienia. Prowadziło na wewnętrzny dziedziniec koło stajen, co nie było korzystne. Głównie obawiał się przejścia koło izby dozorczy, w której zawsze ktoś przebywał. Szmatka zawarł znajomość z żoną dozorczy, był w izbie i zachwalał urodę katowskiej baby, do której się zalecał.

- Cóż mi o tym prawisz - rzekł Zbrozło.

- Przecie ważna rzecz jest, bo inaczej bym się tam nie dostał - rzekł Szmatka - zawdy znajomość się przyda.

- Na co zaś? - spytał Zbrozło.

- Dzikowi jeść ni pić nie dają, to i nikt do niego nie chodzi. Okienkiem nie wyjdzie, ino drzwiami, to i musi mu ktoś otworzyć. Już z nią umówiłem, że staremu każe, by strawę zaniósł Dzikowi, to z resztą Dzik sam poradzi.

- Nie rób nic beze mnie - rzekł Zbrozło gniewnie. - Nie wolno ci było zdradzić, że wiemy, kto i gdzie go zamknął, bo jego uwolnienie na nasz karb by poszło. I tak podejrzewać nas będą.

- Bądźcie, panie, spokojni. Mam ja swój rozum. Za Niemca się babie podałem, a o Dzikowi nie mówiłem nic, jeno że za pokutę wszystkich więźniów nakarmić mi kazano. Więc nie wie, o którego chodzi.

- Słusznie prawisz i niegłupi z ciebie pacholek. A jak dozorca jednak jadła Dzikowi nie zanieśie? - zapytał.

- To już nie będzie innej rady, jeno dozorczy i babie łeb ukrećić. Szkoda by mi jej było, bo urodna

jest. Tylko wtedy musicie mi kogoś dodać do roboty, sam baby nie będę mordował, jakoś po tym...

- Rozumiem - rzekł Zbrozło - ale myślę, że do tego nie dojdzie. Tedy słuchaj, co mówię! Kiedy Dzik wyjdzie, wyprowadzić go musisz z zamku niepostrzeżenie, a konie na was czekać będą. Siadać zaraz i jechać, i oprzeć się aż w Lubuszy. A wieszli już, którędy z zamku się wymknąć?

- Ady tamtędy, gdzie sam chodzę za wały. Od tej strony stok stromy i zarośnięty, a potem łąg i las. Nie увидzi nas nikt.

- To i dobrze! Konie Wisz przywiedzie i z nim się umów, gdzie będzie na was czekać. Musisz je kupić, bo z naszych ubytek by zauważyli. Kiedy dozorca jedzenie ma więźniom zanieść?

- Jutro na odwieczarz, bo dziś Wielki Piątek, to pościć muszą. Baba tak mówiła, więc się nie upierałem, bo i z wami chciałem się naradzić.

- Idźże tedy dziś do Dzika, jeść i pić mu zanieś i powiedz, cośmy uradzili.

- Juści pójdę, panie, jeno się ściemni.

Porachunek

Dzikowi czas się dłużył nieznośnie, a dokuczał głód i pragnienie. Koło południa zaczął przypuszczać, że musiało coś zajść, co jego uwolnienie odwlekło albo nawet udaremniło. Toteż gdy promyk słońca zaświtał w otworze, wziął się do rozbijania łańcucha na nogach. Jeden rozbił, niewiele co nogę potłukłszy, lecz tymczasem pociemniało i dalszej roboty musiał zaniechać. Siedział tedy w ciemnościach i zniecierpliwienie jego zmieniać się zaczęło w złość przeciw Szmatce, którego o zaniechanie posądzał.

- Ścierwo! - mrucał. - Życiem mu darowałem, żreć ma, ile zdzierzy, szmat kolorowych mu nadawałem, a on mnie o głodzie trzyma. Jeszcze mu się nie podoba, że krzyczę na niego. Czekał, sukinsynu, niech ino wyjdę!

W tej chwili szelest posłyszał i pociemniało w otworze. Dzik skoczył na nogi i zawołał:

- To ty, Szmatka?

- Juści, że nie Rejnilda ani arcybiskup, jeno ja!

- Gdzie zaś się wałęsasz? Za dziewczkami pewnie, a mnie tu w głodzie zostawujesz!

- Żebym ja się za dziewczkami nie wałęsał, tobym was nie znalazł, ani byście nie wyszli. Dla was jeno to robię, bo to i grzech ciężki, zwłaszcza w poście.

- Co zaś mi tu głupstwa prawisz? Jeść dawaj i pić: I gadaj, coście uradzili.

- Pomału, przecie czas jest. A pamiętajcie nie krzyczeć. Jeść i pić przyniosłem, jeno się wagiuję, czy wam dać, bo to największy post w roku. Nawet sam margraf mięsa nie powącha. Pachnie wędzeniem, aż w nosie kręci: Sam bym zjadł, ale nie jem, by duszy grzechem nie obciążać.

Dzik porwał młot i cisnął w kierunku otworu, aż iskry posypały się w ciemności. Pachoł odskoczył, ale zaśmiał się i rzekł:

No, macie już, kiedy prosicie, ino młotem nie praskajcie, bo pęknać gotów, a skąd wam wezmę drugi?

To rzekłszy, cisnął Dzikowi kawał wędzonego mięsa i kołacz. Dzik rzucił się na jadło z wściekłością i gruchotał kości zębami. Żeby miał pachołka pod ręką, jego by zagryzł. Pomału jednak, nasycając głód, uspokajał się, a gdy skończył, Szmatka zapytał:

- Co byście myśleli, gdyby tak wieprzowinę miodem popić? - i spuścił mu na sznurku spory gąsiorek.

- Nie takie z ciebie ścierwo, jak myślałem - rzekł Dzik z uznaniem i popiwszy udobruchał się zupełnie.

Szmatka zadowolony z pochwały, nadął się i rzekł:

- Słuchajcie pilnie, co powiem, bo ważne jest. Kat przyjdzie przed zachodem jedzenie wam przynieść. Jak go sprawicie, wychodźcie nie mieszkając. Koło dźwierzy na podwórzec jest izba, w której mieszka razem z babą. Będę tam siedział i zabawiał młodą wdowę, żeby waszego wyjścia nie słyszała. Wyszędłszy na podwórze, skróćcie za stajnie, ku murom. Zaraz ja tam nadejdę i do koni was zaprowadzę. Teraz możecie się przespać, bo kniaź przykazał jechać całą noc, by nas nie naścigli. A daliby nam, gdyby nas złapali! - zaśmiał się. - No, to wynoś się, kiedy mam spać! Jeno gąsiorek jeszcze zabierz, żeby nie znaleźli.

Wychylił duszkiem resztę miodu i zręcznie koniec sznura zarzucił w otwór.

- A nie zapomnij wziąć jeść i pić na drogę! - krzyknął jeszcze. - Zmorzyło mnie - mruknął i z miejsca usnął głęboko.

Spał tak twardo, że nie słyszał kroków ni szczękania wrzeczadzy i zbudziło go dopiero kopnięcie. Otworzył oczy i ujrzał pochylonego nad sobą dozorcę, który, postawiwszy na ziemi kaganek, uśmiechał się złośliwie.

Dzik oprzytomniał zaraz i usiadł. Dozorca rzekł:

- Jeden tu pobożny pan wszystkich więźniów nakarmić ślubował. Przyniosłem też i tobie. Pościłeś, jak należy, pewnie zjadłbyś coś?

Dzik nie odezwał się, a dozorca ciągnął:

- Obiecałem przynieść, więc przyniosłem. A jak łańcuch będzie za krótki, żebyś dosięgnął, nie moja wina.

To rzekłszy, postawił jedzenie tak, że Dzik je miał niemal pod ręką, lecz dostać go nie mógł, zważywszy krótkość łańcucha. Dozorca drwiąco zapytał:

- Może spróbujesz dosięgnąć? Należałeś się, dobrze ci zrobi poskakać jak wróblowi na nitce.

- Może spróbuję! - rzekł Dzik dźwigając się leniwie. Nie wyprostował się jeszcze, gdy skoczył. Szczęknął łańcuch upadając na ziemię wraz z wyrwanym hakiem i Dzik miał dozorcę pod sobą. Ten oniemiał z przerażenia i leżał mrugając oczyma, jakby uwierzyć nie mógł temu, co się stało.

- Poleż teraz cicho - rzekł Dzik. - Com ci obiecał, to cię nie minie. Nawrzeszczysz się jeszcze dość.

Wydobył przygrzebany piaskiem łom i młot, przysunął kaganek i usiadłszy na dozorcę, rzekł:

- Lepiej choć na takim gnoju siedzieć niż na ziemi. Nie rusz się tylko, byś mi nie przeszkadzał.

Po czym wziął się do rozbijania żelaza. Gdy skończył, wstał i biorąc do ręki łańcuch, powiedział:

- A teraz na ciebie przyszło!

Dozorca zerwał się i chciał skoczyć ku drzwiom, lecz ni kroku nie zrobił, gdy Dzik łańcuchem

zdzielił go w krzyże. Dozorca padł na twarz, wyjął przeraźliwie i na rękach czołgał się wlokąc za sobą bezwładne nogi. Dzik bez pośpiechu podszedł i przydepnął katowi kark nogą. Wycie przycichło przechodząc w rżenie. Dzik rzekł:

- Namordowałeś ludzi dość, więcej już nie będziesz. Czasu nie mam wiele, więc ci jeszcze tylko rękę wyłamię i oczy wykapię. A przeżyjesz, to niech cię spalą. Znaczy, żeś czarownik.

To rzekłszy, drugą nogą przydepnął mu rękę w łokciu, zakręcił jeszcze i puścił. Podszedłszy do kaganka i przyniósłszy go postawił obok dozorca na ziemi, po czym obrócił go na plecy i przysiadł na brzuchu. Spojrzał w wyciągniętą twarz z wpółotwartymi ustami i zawalane piaskiem, szkliste, martwe oczy i rzekł ze zdziwieniem:

- Zdechł już, a szkoda, bo nie zdążył pokosztować, jak smakuje wypalanie oczu.

Wstał, kopnął trupa z pogardą i zwrócił się ku wyjściu.

* * *

Wczesnym rankiem huk kotłów i dźwięki rogów oznajmiły przybycie Gerona. Po uroczystym powitaniu przez duchowieństwo i rycerstwo Gero, którego zdrowie wciąż było słabe, udał się na spoczynek, by sił nabrać do czekających go przyjęć i nabożeństw. Ścibor polecił zawiadomić się, kiedy Gero przyjmie go będzie mógł i nie wydalając się ze swych komnat, czekał niespokojny o przebieg sprawy Dzika, o którego ucieczce Wisz miał przynieść wiadomość.

Zanim jednak doczekał się Wisza, nadszedł Willigiz w towarzystwie kilku dworzan i oznajmił, że Gero oczekuje Ścibora w głównej sali zamku.

Zabrawszy tedy braci stryjecznych, Zbrozłę i kilku wojów, wszystkich wspaniale przystrojonych, Ścibor, poprzedzany przez Willigiza, udał się do Gerona.

W ogromnej, sklepionej sali, o wysokich oknach, zebrany był tłum dworzan, rycerstwa, duchowieństwa i gości z obcych stron. Przed wchodzącymi heroldowie torowali przejście do podwyższenia, na którym spoczywał Gero rozmawiając z biskupem.

Gdy wejście Ścibora oznajmiono, biskup wstał i krótko się pożegnawszy, wyszedł wraz ze swiątą. Ścibor zbliżył się, a Gero z trudem dźwignął się na jego powitanie, przemawiając kilka słów po niemiecku, choć mowę słowiańską znał dobrze. Ścibor po słowiańsku równie krótko odpowiedział oświadczając, że z powodu niedostatecznej znajomości języka Zbrozle zlecił oznajmienie Mieszkowego posłannictwa. Potem usiadł obok margrafa i na Zbrozłę skinął, który, przystąpiwszy, chwilę swymi przenikliwymi oczyma wpatrywał się w wychudzone chorobą oblicze Gerona.

Nikt z obecnych, prócz może Ścibora jedynie, nie domyślał się, że stoją naprzeciw siebie dwaj wrogowie, z których każdy drugiemu wyrządził największe krzywdy, jakich człowiek zaznać może. Nie wiedział i sam Gero, że broń zwycięską, którą złożył w Rzymie u grobu księcia apostołów, ten oto niepozorny człowiek wytrącił mu z ręki, słabnącej z dniem każdym od rany, której jad drażył

rzeńskie do niedawna jego ciało i do zniszczenia miał je doprowadzić. Nie wiedział, że trując Zygryda i zabijając z zasadzki Fryderyka, ten człowiek sprawił, że nie ma mienia komu zostawić. Nie wiedział, że ni rok nie upłynie, a własne jego ciało, wyschłe do kości, spocznie w krypcie ufundowanego przez niego klasztoru w Gernrode. Ten zaś, który złamał bujne i pełne nadziei życie, a teraz stoi przed nim, patrząc nań głęboko osadzonymi, nieprzeniknionymi oczyma - jako trup przed piętnastu laty, z rozbitą toporem zdrajcy, na rozkaz Gerona, głową, do Haweli był wrzucony - upiorem zawisł i nad jego życiem i trwać będzie przeciw germańskiemu zalewowi, jako skała w głębi rzecznej koryta.

Topór, który otworzył czaszkę Zbrozły, odebrał mu wiarę w ludzi, pozbawił rodziny, mienia i bliższej ojczyzny. Ale dał mu siłę, jaką ma ten, co już nic nie posiada, niczego się nie boi i niczego dla siebie nie chce. Rozbita czaszka jakby przepuściła światło innym nie znane, oświetlając rzeczy innym niewidoczne. Patrząc na Gerona, widział trupa, do którego już mówić nie warto, ale dla ludzi trzeba, i zaczął:

- Pan nasz, Mieszko, syn Ziemomyśla, dziedziczny książę Polan, samowładca Pomorzan, Wiślan, Chrobatów, Mazowszan i innych, śle, jako stoi umowa, na wasze ręce panu waszemu, rzymskiemu cesarzowi, dań i hołd z kraju swego Licykawików i Wkrzanów, który odtąd z cesarską zgodą dzierżyć będzie. Dufa też, że wy, panie, którzy na naszej zachodniej granicy władzę dzierzycie z cesarskiego zlecenia, na równi z nim dbać będziecie o to, by cesarskiemu słowu ujma się nie stała i by pan mój w prawowitym swym posiadaniu tych ziem zakłócany nie był.

Wyraz zaskoczenia i niezadowolenia pojawił się na twarzy Gerona. Nim jednak zebrał się na odpowiedź, Zbrozło na stojących za nim rycerzy skinął, którzy miech z pieniędzmi złożyli przed Geronem.

Zbrozło zaś ciągnął dalej:

- Gdy zaś dopilnowanie, by układy były dotrzymane, od waszej przede wszystkim dobrej zależy woli i w waszej jest mocy powstrzymać i ukarać tych; co by je samowolnie naruszać chcieli, pan mój, by dowód dać, że i wdzięczny być potrafi oraz z sąsiedzkiej przyjaźni zlecił złożyć wam podarki, o których przyjęcie prosi.

Tu Ścibor skinął, a dziesięciu pachołków podeszło z tobołami, wydobywając i składając przed Geronem błamy futer rzadkich, tkaniny pozłociste z Dalekiego Wschodu, broń bogato zdobioną, złote i srebrne naczynia i inne kosztowności.

Dary były tak bogate, że zdumiały obecnych, a dawna chciwość zaświeciła w przygasłych oczach margrafa i rozjaśniło się wychudzone, surowe oblicze. Przygasło jednak zaraz, gdy wspomniał, że bogactw i potęgi nie ma kto po nim dziedziczyć, i na twarzy zjawił się wyraz smutku i zniechęcenia. Trudem całego życia, mądrością, sprytem, wytrzymałością, chytryością i okrucieństwem zebrał obszerne ziemie, które z imienia jeno należały do cesarza. A teraz, gdy słabnie mu dłoń i myśl, nie ma już syna, który by owoce pracy jego mógł pożywać, dzieło jego nadal prowadząc, i nie ma bratanka, który miał syna zastąpić. Wiedział, że cesarz jeno śmierci jego czeka, aby ulubieńców spadkiem po nim obdarować. Obcy rozdrapią, co zebrał.

Obojętnie też na ręce Ścibora złożył podziękowanie Mieszkowi za wspaniałe dary, zapewniając cesarskim i swoim imieniem, że umowy będą dotrzymane, po czym zaprosił Ścibora z orszakiem na rezurekcyjne nabożeństwo do katedry oraz na jutrzejszą ucztę, która zarazem pożegnalną być miała. Ścibor bowiem wyjazd swój już zapowiedział, a i wielu panów lennych do domów już zamierzało się rozjeżdżać.

Ścibor udał się do swych komnat, a Zbrozło do siebie. Usiadłszy, nad sprawą Dzika się zadumał.

Rozmyślania przerwał mu odgłos szybkich kroków i pachołek zapukał do drzwi, oznajmiając przyście burgrafa w pilnej sprawie.

Mówił, że Willigiz zgłosił się bardzo wzburzony do Ścibora; książę jednak, nie chcąc mówić z nim, skierował go do Zbrozły. Nim Zbrozło prosić kazał, wszedł, a raczej wpadł Willigiz i ledwo za pachołkiem drzwi się zamknęły, wybuchnął:

- Myślicie, że posłowanie od gniewu pana mego was uchroni, że w jego zamku, przy białym dniu, ludzi jego możecie mordować?!

- Wielce dbamy z kniaziewego przykazania o dobrą przyjaźń z waszym panem, ale nie wiem, do czego pijecie - rzekł Zbrozło drwiąco, choć domyślił się, co się stało.

Patrzył zimno i przenikliwie na burgrafa.

- Wasz to był człowiek, którego Dzikiem zwali?

- Nasz był, póki nie zniknął przed trzema dniami, i tak mi się widzi, że nie z dobrej woli; ale nam nie zdało się przystojnym was o naruszenie praw poselskich posądzić.

- Sądem był skazany za rzucanie uroków i rabunek na naszych kupcach.

- Nie wasz był sąd nad nim, a o urokach obaj wiemy, co myśleć, więc lepiej nie mówić. Zresztą skazaliście go, kniazia nawet nie uwiadomiwszy, to trzeba było więźnia pilnować. A teraz do nas zgłaszać się, powiem - głupio.

Nie mógł się on bez pomocy stamtąd, gdzie siedział, wydostać! - krzyknął Willigiz nie panując nad sobą. - Zajedno mi, powiem margrafowi, niech się sam o swoje upomni.

Zbrozło nie odrzekł nic, jeno błyszczące zimne oczy wbijał w niego aż trwoga jakaś jęła ogarniać burgrafa. Cofać się począł ku drzwiom, nie mogąc wzroku oderwać od Zbrozły, który posuwał się za nim. Willigiz, starając się opanować, ozwał się przyduszonym głosem:

- Czy i mnie zamordować chcecie?!

- Nic nie powiesz margrafowi, bo go nie zobaczysz więcej, choć cię palcem nikt nie tknie!

Willigiz słabość jakąś nieznaną poczuł, jakby miał szpiku powietrze miał w kościach. Bronił

się rozpaczliwie przed tym uczuciem, lecz w oczach mu ciemniało, wciąż jeno widział zimne i okrutne oczy Zbrozły, przed którymi ujść nie mógł. Jakby z oddali usłyszał głos:

- Byś wiedział, że prawdę mówię, na progu się wywrócisz.

Willigiz obejrzał się i w przerażeniu skoczył przed siebie ku drzwiom. Na progu potknął się i runął jak długi. Zerwał się i z krzykiem przerażenia pobiegł w głąb ciemnego korytarza ku schodom. Zbrozło, ze złym uśmiechem na swej martwej twarzy, wychylił się za nim i słuchał. Burgraf, dopadłszy kamiennych schodów, runął przed siebie i słychać było łoskot ciała objającego się po kamieniach; potem zaległa cisza. Zbrozło wyszedł i udał się do Ścibora.

Ścibor siedział zasępiony i wchodzącego zapytał:

- O Dzika burgraf przychodził? Wolałem, byście wy z nim mówili, bo wykręcać mi się przed Niemcem nie chciało, a prawdy rzecz nie można. Załatwiliście sprawę? Nie chciałem, by się o Gerona oparło.

- Załatwiłem sprawę - rzekł krótko Zbrozło. - Willigiz nic nie powie.

Ucieczka

Wietrzna noc zaległa nad prastarym borem. Pogwizd leciał z północy, gnając przed sobą chmury, które ciężkimi kłębami przewalały się siekąc zimnym deszczem, to rwane w strzępy odsłaniały księżyc, przeskakując z zawrotną szybkością przez szczeliny, jakby się skryć chciał przed pościgiem. Wypłynął wreszcie na czyste niebo, uspokoił się i zalał światłem bór, przenikając przez bezlistne jeszcze gałęzie aż do poszycia.

Coś się poruszyło w leszczynowej kępie i ozwał się ktoś:

- Wstawajcie, przejaśniło się. Pojedziemy dalej.

W odpowiedzi rozległo się mruczenie, po czym zaspany głos odpowiedział:

- Nie ma pośpiechu. Jeść oto lepiej dawaj i pić, bom głodny.

- Książ kazał jechać całą noc.

- Niechby koniom kazał; mój już ledwo się włókł.

- To siadajcie na mojego.

- Jeść dawaj, mówię!

- Przecie jeszcze nie u siebie jesteśmy, na parę dni starczyć musi.

- Dawaj! - wrzasnął Dzik.

Szmatka odskoczył, lecz opanował się zaraz i rzekł:

- Obiecaliście nie krzyczeć.

- Juści, prawda - przyznał Dzik. - Dobrze, żeś przypomniał, bom i sobie obiecał, że cię spiorę za to, coś ze mną wyrabiał, gdy w lochu siedziałem.

To rzekłszy pochwycił pachołka i nim ten zdążył się połapać, przełożył go przez kolano i szeroką jak łopata a ciężką jak ołów ręką wymierzył mu błyskawicznie parę uderzeń i puścił. Szmatka usiadł na ziemi, lecz syknął i obróciwszy się na bok, pocierał bolące miejsce, nic nie mówiąc. Dzik zaś przystąpił do koni, z tobołu wziął mięso i kołacz i wziął się do jedzenia.

Gdy skończył, obtarł gębę i rzekł:

- Wstawaj, pojedziemy.

- A jedźcie, ale beze mnie.

- Co zaś prawisz? - spytał Dzik zbliżając się.

Pachołek skurczył się ze strachu, ale wytrzymał i rzekł:

- Skoro mnie bijecie za to, com dla was uczynił, służyć wam nie będę.

- Głupiś! Przecieżś mój! A nie nadawałem ci to wszystkiego? I nie ja ci życie darowałem?

- Kniaziów jestem, nie wasz. Coście dali, możecie se odebrać. Cóż moje życie za takiego, jak wy, gardzinę? A taka wasza wdzięczność, że mnie bijecie, to nie jadę z wami, choćbyście mnie ubili.

I na znak postanowienia pachoł wyciągnął się na ziemi i podparł głowę na łokciu.

Dzik chciał wrzasnąć, lecz wstrzymał się i stał nad Szmatką, niepewny, skrobiąc się po głowie i szukając, czym by go przekonać.

- Nie bądź głupi! - rzekł pojednawczo. - Ani wiesz, co to prawdziwe bicie.

Szmatka milczał, więc Dzik ciągnął dalej:

- Przecie cię wynagrodzę za to, coś uczynił.

- Rzetelniesze wasze bicie niż wasze nagrody. Nie pojedę!

Dzik namyślał się, co by rzec, wreszcie powiedział:

- Zrobię cię burgrafem, ino dworzec wybuduję.

- Owa! - rzekł Szmatka. - Z piasku wy zamki budujecie, to se burgrafa ze słomy możecie zrobić. Będziecie go mogli prać, ile wola.

- A taki dworzec wybuduję!

- Widzieliście to, by kto Willigiza prał? Nie chcę ja być u was, choćby w prawdziwym zamku, burgrafem, kiedy mnie macie bić.

- Nie będę cię bił - przyrzekał Dzik zawstydzony.

- Kiedy nie wierzę wam!

- Co, nie wierzysz? - ryknął Dzik.

Pachołek skurczył się, lecz odparł trochę drżącym głosem:

- Jakże mam wierzyć? Obiecaliście nie krzyczeć, a ryczycie, że aż z boru oddaje.

- Boś mnie zgniewał - mruknął Dzik strapiony. - Przypomnij mi jeno zawsze w porę, to nie będę.

- To dobrze jeszcze z krzyczeniem, ale jak zabędziecie mnie nie bić, to co mi z przypomnienia.

Dzik skrobał się po głowie, a po chwili rzekł:

- Będę pamiętał.

Ale pachol widząc, że już uzyskał przewagę, postawił się butnie:

- Zakład się musicie na Jessę i Nyję, że nie będziecie bić ani krzyczeć.

- A zaś to co za jedni i cóże im do nas?

- Z wami to można się dogadać? Przecie to bogi są. Jesse jakby kniaź nad innymi, a Nyja w podziemiu siedzi i każdy do niego po śmierci przyjść musi, gdzie go sądzą, praw był czy nie.

- Słuchaj! - rzekł Dzik zniecierpliwiony. - Nie gadaj mi tu o żadnych bogach, bo nie wiem, co im do tego, czy ja na ciebie krzyczę, czy nie. Wierzysz, co mówię, siadaj na koń i jedźmy, bo do świtu niedaleko; a nie wierzysz, to cię tak spiorę, że nie pojedziesz, choćbyś chciał.

- Wierzę wam! - rzekł Szmatka dostojnie, choć z drzeniem w głosie, i wstał.

Siadając na koń syknął i dodał:

- Co dzień wam będę przypominał. A najlepiej, jakbyście mnie we wszystkim słuchali. Ja mam rozum, a wy siłę, to razem do czegoś dojdziemy. A puścić was samopas między ludzi, to prędzej czy później głupi łeb rozwalicie.

Dzik wyprostował się w strzemionach, lecz opuścił się zaraz i rzekł:

- No! jedźmy, bo znów zapomnę i nie pojedziemy.

Tracili konie piętami i pomknęli ku wstającej za borami zorzy.

Obóz na Łysej Górze

Wyruszywszy z Wielunia, Mieszko przeszedł Wartę i wraz z wojskiem utonął w Radomskiej Puszczy. Posuwał się jej południowym krańcem, górskie pasmo zostawiając po lewej ręce. Szli wolno, bo bezdrożem i bezludziem zupełnym, puszcza bowiem, od swego urodzenia przed wiekami, nie znała ludzkiej istoty i żadne szlaki przez nią nie wiodły. Wiosenne słońce osuszyło już południowe stoki, strumienie wróciły do swych łożysk. Mimo to nieraz kilka jeno stajań w dniu zdołało wojsko zrobić, przebijając się siekierą przez płataninę korzeni obalonych pradziadów leśnych i żerującego na zwłokach olbrzymów drobnego, ale uporczywego ludu krzów, pnączy i pasożytów. Szczęściem pogoda sprzyjała, zwierza i miodu obfitość była nienaruszona, a spieszyć się nie było potrzeby. W lasach pod Kielcami Mieszko zostawił spory oddział ludu, który pod wodzą Dobiesława miał uderzyć na Radom, by Skarbimierza ukarać i połączeniu z Czerwieńcami przeszkodzić. I szli dalej, aż jednego dnia przeświecać zaczęła mroczna zazwyczaj głębia puszczy, stok pochyłony dotychczas ku południowi skłonił się na wschód i jadący na czele Mieszko wysunął się z lasu na porośłą maliniakiem łagodną pochyłość, u której stóp zaczynał się kraj szeroki i otwarty, zaś na krańcach widnokrzęgu w południowym słońcu błyszczała i mieniła się wstęga Wisły.

Tymczasem byli u celu i Mieszko kazał wojsku obóz na dłuższy pobyt założyć.

Dla księcia wybudowano chatę na skraju, obóz zaś stanął w głębi lasu, by nie zdradzać obecności wojska. Mieszko czekał na wieści od Pakosława, Lubora i Sobiesława, by ruszyć na Mazowsze, a spodziewał się ich też od Ścibora, by od zachodu się upewnić.

Wiosna już była w całej pełni. Puszcza wrzała życiem, a otwarty kraj grał barwami. Nad wilgotnymi łąkami i po rozlewiskach bębniły pod błękitnym niebem kszyki, tysiące kaczek rajcowało po szuwarach, wieczorami chrapanie i cichy a przenikliwy pisk słonek niósł się wzdłuż leśnej granicy. O przedświcie na drzewach rozlegały się złe syki budzących się cietrzewi, a od pierwszego brzasku nieustanne a zalotne ich gulgotanie głużyło wszelkie inne odgłosy łąk, bagien i lasu.

Mieszko, dawszy wojsku wypoczynek po uciążliwym pochodzie, sam też z niego po raz pierwszy od dawna korzystał. Dniami całymi przesiadywał w słońcu przed chatą lub samotnie wałęsał się po łąkach i maliniakach albo konno puszczał się po kraju w różne strony, nieraz aż nocą do dom wracając. Młody się czuł i beztroski, jeno gdy z dala od ludzkich oczu śledził zaloty kaczorów lub podniebne harce bekasów, tęsknota go zbierała za Ściborem, z którym za dziecinnych lat razem się włóczyli. Myślał też o nim, czy wrócił już od Gerona i jak sprawy pokierował, a wreszcie postanowił gońców wysłać do brata.

Szedł właśnie wieczorem wolno wzdłuż lasu, patrząc na daleką wstęgę Wisły błyszczącą w zorzy wieczornej, gdy posłyszał głosy obce dochodzące od chaty i przyspieszywszy kroku, zauważył w mroku kilka postaci stojących przed chatą w rozmowie. Poznał po głosie Zbrozłę, który też zauważył zbliżającego się księcia i powitał go.

Mieszko wiódł go do chaty, wojewodzie Włastowi również wejść polecając. Po drodze rzucił okiem na towarzyszy Zbrozły, którzy nie znani mu się wydali, a zwłaszcza olbrzymia postać jednego z nich.

Mieszko zasiadł do wieczerzy, zapraszając i gości, a jedząc z ciekawością o Ścibora i poselstwo

wypytywał. Opowiadał Zbrozło. Mieszko słuchał uważnie i z zadowoleniem.

Zbrozło pożegnał w Lubuszy Ścibora, który tam na czas dłuższy pozostać zamierzał, by od zachodniej granicy dawać baczenie. Mnichów, przywiezionych od Gerona, Zbrozło do Gniezna odstawił Jordanowi, który ich po kraju miał porozsadzać wedle swego uznania, samoczwart zaś z Dzikim - o którym pokrótce opowiedział - Szmatką i pachółkiem Bielejem, na krótsze drogi przez Sieradz, wzdłuż mazowieckiej granicy przybył tu, by przed rozpoczęciem wyprawy nadażyć. Po drodze słyszał, że Czerwieńcy wtargnęli na Mazowsze, ale wieści za pewną nie uważał, gdyż pochodziła od osadników, którzy sami pewni jej nie byli.

- A nadesłał mi tam Gero swoich ludzi między mnichami? - zapytał Mieszko.

- Nie ma ich już - rzekł Zbrozło.

- Myślę, żeście zręcznie załatwili i hałasu nie będzie?

- Dzik ich sprawiał. Zawziął się bardzo na Niemców, że go w lochu trzymali. Rękę ma ciężką, to i śmierć lekką im była.

- A pokażcie mi tego Dzika; chcę widzieć takiego, co mu Ścibor nie dał rady i który Wichmanowi obiecał.

Zbrozło polecił zawołać Dzika, który wtoczył za chwilę swą ogromną postać przez niskie drzwi i stanął w świetle łuczywa, wypełniając niemal szczupłą izbę, a za nim, choć nie wołany, wsunął się Szmątka. Dzik stał trochę onieśmielony, a trochę jakby rozczarowany, wpatrując się w księcia, który też z ciekawością na niego spoglądał, po czym zapytał:

- Cóż tak patrzysz na mnie, jakbyś się kogoś innego zobaczyć spodziewał?

- Nie, ino myślałem, że jak stoicie nad kniazem Ściborem, to musicie być od niego silniejsi.

Mieszko zaśmiał się rozbawiony i odparł:

- To już ciebie chyba kniazem by uczynić potrzeba, bo słyszę, że wielki z ciebie osiłek.

Dzik mruknął coś niezrozumiale, ale Mieszko ozwał się do Szmatki, który z za Dzika ciekawie przypatrywał się księciu.

- A ty coś za jeden?

- Ja burgrafem jestem u tego witezia - odparł ze śmieszną powagą. - Pilnuję, by nie szezł gdzie marnie.

Dzik podniósł rękę, lecz opamiętał się i poskrobał się tylko ze złością po głowie, Mieszko zaś zapytał z uśmiechem:

- A zamek gdzie macie?

- Jeszcześmy sobie nie wybrali. Cesarskiego nie starczyło czasu obejrzeć, a Geronowy nam się nie udał, bo lochy ma za ciemne - odparł pacholek.

Dzik poczerwieniał, lecz się nie odezwał, zaś Mieszko rzekł:

- No, dość zabawy: Spać teraz idźcie - i odprawił ich skinieniem ręki.

Tejże nocy przybyli posłańce z sandomierskiego grodu. Choć księżę dopiero niedawno się układał, obudzono go, gdyż wieści były pilne. Mieszko polecił zaraz posłów przed sobą stawić, a gdy weszli, zapytał, z czym przyjechali.

Sandomierski żupan donosił, że wojska, które od Krakowa na tratwach i łodziach przybyć miały, już nadciągnęły i wyżej grodu się zatrzymawszy, czekają na dalsze rozkazy. Wraz z nimi przybył posłaniec od Lubora i nie wychnawszy nawet, z kniazem widzieć się żądał.

Mieszko zaraz go wprowadzić polecił i wezwał Własta i Zbrozłę, którzy opodal w szałasach spali.

Wprowadzono Luborowego posłańca, który, wszedłszy, skłonił się w pas Mieszkowi i starszyźnie i czekał na zapytania. - Skąd cię Lubor wysłał? - zapytał Mieszko.

- Ze Sanoka - odparł posłaniec.

- To Sanok wzięty?

- Będzie dziesięć dni temu.

- Z czym cię przysłał?

- Kazał mi oznajmić, że otrzymał wieści, iż Czerwieńcy weszli na Mazowsze, zajmując kraj między Wieprzem a Bugiem. Lublin wzięli, ku Czerskowi się posuwają.

- To się sprawdza, coście od osadników słyszeli - rzekł Mieszko do Zbrozły.

Po czym, zwracając się do posłańca, pytał dalej:

- A Lubor gdzie jest i co zamierza?

- Jako rzekłem, Sanok zaraz po otrzymaniu wieści zajął i załogę wyciął lub pobrał. Ninie daleko już musi być, bo z przedwiośnia jeszcze porozstawiał wojska w puszczech po górach. Stomir z częścią na Sambor miał uderzyć, nim dojdzie wieść o napadzie. Lubor tam zaraz pociągnął i tak myślę, że już za Samborem, połączeni, razem w dół Dniestru ciągną, jako było powiedziane. Załóg po grodach nie ma zostawiać, by sił nie uszczuplać, jeno wzięte wycina, a starszyznę morzy okrutnie, gwoli postrachu. Osadników spokojnych jeno szanować kazał, by przeciw sobie kraju nie podnieść. Pamiętają tam jeszcze Ziemomysłowe panowanie, tym samym językiem mówią, a o kniazów nikt nie stoi. Niewiele tam zresztą tego ludu po prawej stronie Dniestru, bo puszcza niemal do rzeki dochodzi, jeno nad wodami, i to w nizinie, trafiają się osady. Grodów też niewiele, bo od Węgier sama puszcza i góry bronią, że i przesiek nie trzeba. Szybko myślę, Lubor pójdzie i, jako rzekł, w

Czerwonogrodzie na wieści czekał będzie i sam wyśle je stamtąd.

- To i nam ruszać trzeba! - rzekł Mieszko. - Idźcie się wywczasować po drodze. Świtać już będzie niedługo a na wieczór ruszamy.

Posłaniec odszedł, a Mieszko, pozostawszy z Włastem i Zbrozłą, powiedział:

- Do Dźwigora śłać zaraz, niech wojsko, co od Krakowa nadeszło, i sandomierska załoga przeprowią się zaraz za Wisłę i ku Wieprzowi na Opole ciągną. Tratwy i łodzie wysłać mi do ujścia Kamiennej, tyle załogi zostawując, ile dla ich obrony trzeba. Niech stoją nad Wieprzem, czekając na mnie lub na rozkazy. My pociągniemy na Radomsk i Czersk. Pakosław już wieści musi mieć o napadzie; jeno Sobiesława zawiadomić by należało i od niego wiadomości otrzymać. Powinien być u Bugu koło Brześcia i stamtąd w górę rzeki ruszyć, jeśli ma na czas zdążyć. Macieli kogo, co by do niego ruszył, a dojechać potrafił, bo przez nieprzyjaciół przejść trzeba?

- Ja pójdę - ofiarował się Zbrozło. Mieszko zastanowił się:

- Jedźcie! - powiedział.

Tarlo

Nie dniało jeszcze, gdy ze wzgórza zjechali czterej jezdni. Zanurzyli się w stojącą nad łąkami srebrną mgłą przedświt i zniknęli w tumanie że jeno kwilenie płoszonych z gniazd czajek znaczyło szlak ich pochodu.

Posuwali się wolno, gdyż grunt rozmokły był jeszcze po niedawnym wylewie. Mgła nasyciała się coraz bardziej światłem, wreszcie wzeszło słońce i przygniatać ją zaczęło swymi promieniami, tak że opuszczała się coraz niżej, wreszcie zniknęła i jeno strzępki jej czepiały się szuwarów i kęp nad jeziorami i mokrymi łąkami. Wreszcie i one rozpląnęły się w ciepłe pogodnego dnia i w czystym powietrzu otworzył się widok na kraj grający barwami wiosennego kwiecia i zieleni aż po krańce widnokregu.

Wyjechawszy na suchszy płat ziemi, popędzili konie i jechali bez wypoczynku aż do południa. Gdy dotarli do osady, opodal traktu wiodącego z Sandomierza na Opole, pozwolili spocząć koniom i pożywili się, po czym pociągnęli na północ, mając Wisłę przed oczyma do wieczora, o ile nie zasłaniały jej kępy olch i wierzb lub szerokie płaty szuwarów i trzciny, na płaskich brzegach zaległe.

Miejscami, gdzie szlak był suchy, popędzali konie, miejscami zaś grzęzli, że z trudem kopyta wyciągały one z błota. Czasami strumień, zmierzający ku Wiśle, zastępował drogę, mało gdzie przerzucony mostkiem na kilku zwalonych pniach z gałęzi i darni skleconym, gdyż droga niezbyt była uczęszczana, a kraj, jako przy granicy, niezbyt osiadły. Słońce stało już rumieniąc się nad Łysą Górą, gdy zauważyli większą osadę. Postanowili zanocować. Obejść było kilka, opodal siebie w kępach lipowych na niewielkich wzniesieniach rozsianych.

Zajechawszy do leżącego najbliżej traktu obejścia, zsiadli z koni, gdy na podcień wyszedł mąż w sile wieku, widocznie gospodarz, i do chaty prosił.

Postawy był rosłej, prosty i śmigły, lniane włosy przystrzyżone równo nad brwiami, z tyłu opadały mu na barki. W suchej, lekko smagłej od wiatrów twarzy świeciły jasne, niebieskie oczy. Brodę miał zgoloną, jeno długi wąs twarz zdobił. Choć ubrany był po domowemu, w ciemną sukmanę, z zachowania widać było, że nawykł do rozkazywania i panem się czuje u siebie.

Przez podcień weszli do obszernej sieni z kominem, obwieszanej skórami dzikiego zwierza i pękami łupieży wydr, tchórzów, wiewiórek i innych drobnych stworzeń. W świetlicy - nie pierwszej już młodości, lecz hoża i rosła niewiasta uśmiechnęła się do gości i zabrawszy najmłodsze z dzieci na rękę, a pozostałą dwójkę zagarniając jak drób przed sobą, wyszła z izby, a powróciwszy po chwili zaślala stół białym, haftowanym ręcznikiem i zastawiwszy cynowe misy i kubki, zapraszała do wieczery. Pozostało przy stole czterech dorodnych chłopaków, najstarszy już pod wąsem, którzy, wstawszy i pozdrowiwszy gości, czekali, aż ci usiądą, przypatrując się im z milczącym zaciekawieniem, a zwłaszcza, ogromnej postaci Dzika.

Gospodyni nie zasiadła już do stołu, lecz krzątała się po świetlicy, zachęcając gości do jedzenia i picia. Nasycili się wkrótce, jeno Dzik na zachęty gospodyni nie przestawał dobierać, nie mieszając się do rozmowy, jaką rozpoczął Zbrozło z gospodarzem.

Był to człek bywały, bo przy gościńcu siedząc, nierządno widywał ludzi, którzy tędy na Mazowsze i dalej za Wisłę wozili sól i żelazo od Krakowa i z dalsza, od Węgier, zabierając łupieżę zwierząt i soloną lub wędzoną rybę; niezmierna obfitość jej w Wiśle i tuż do niej wpadającej Kamiennej stanowiła główne bogactwo okolicy i przedmiot handlu. Gospodarz zwał się Tarło. Za młodu pod Ziemomysłem chodził na wyprawy, a teraz, choć na gródku nie siedział, od Dźwigora, wraz z rodem swym kilkadziesiąt głów liczącym, zlecone miał oko na mazowiecką granicę, która rzeką przebiegała.

- Taka to i granica, Kamienna. Swojacy Sandomierzanie aż za Iłżą siedzą, choć i z Mazurami zmieszani. Lud to zresztą od naszego nie różny, jeno że nie stykając się z obcymi, boi się wszelkiej nowości i dlatego z nikim łączyć się nierad.

Zbrozło widząc, że z pewnym człowiekiem ma do czynienia, zwierzył mu, że ku Brześciowi ciągnie, i prosił o radę. Tarło zamyslił się i odparł:

- W spokojnym czasie nie byłoby większych trudności, bo choć za Wisłę mniej chadzamy, przecież i tam ku Opolu mamy powinowatych, którym byście zawierzyć mogli, że przeprowadzą was bezpiecznie. Ale ninie wiecie, że zamęt jest na Mazowszu. W wojennym czasie i z Mazurami spotkać się niebezpiecznie.

- Bezpiecznie czy nie, jechać musimy - odparł Zbrozło. - Ważne jeno to, by zajechać, bo pilne wieści wieziemy, od których w dużej mierze zawisło wykonanie zamiarów kniazia Mieszka.

Tarło zadumał się:

- Każdy z nas służyć winien, jak może, i ja bym rad się przyczynił. Syna oto mam dorastającego, który mi się z domu rwie, bo mu już za rybą i zwierzem chodzić mało. Wojaczka mu się uśmiecha, jako to młodemu. Byłbym go już i puścił jeno mać się spraszała, że czas jeszcze. No, ja młodszym byłem, gdym wyfrunął z gniazda; dam go wam, na Mazowszu bywał niech was powiedzie.

Matka ręce załamała, lecz Tarło spojrział na nią surowo, a Szmatka ozwał się:

- Nie bójcie się nic. Pod moją opieką pojedzie, to i wróci szczęśliwie. Zapytajcie tego oto witezia, co jeszcze wciąż zajada, z jakich to przygód cało go wyprowadziłem.

Dzik spojrział gniewnie na Szmatkę, ale nie odrzekł nic, bo miał pełną gębę, natomiast Zbrozło ozwał się:

- Nie wolno nam zginąć to i wrócimy, a przysługa oddana kniaziowi - nie przepadnie. Nie bójcie się, matko, syna wam wrócę, choćby pokazać, że cały, bo już pewno nie zostanie w domu. Ale go na drogę przygotować trzeba, a późno już i my wypocząć radzi bo od świtu jedziemy. Pokażcie nam, gdzie spać mamy, bo równo ze słońcem ruszyć trzeba.

Zdobycie Brześcia

Pierwsze dni wiosenne zastały Sobiesława na ostatnich przygotowaniach do dalszego pochodu, z którym zwlekał czekając jedynie na rozkazy księcia. Otrzymałszy je, zaraz przeprowadził wojsko przez silnie jeszcze wezbraną wiosennymi wodami Narew. Wielką w tym pomoc znalazł u Przedpełki, która na rękę mu była, by z miejsca niepotrzebnym trudem nie musiał ludzi marnować.

Wychynawszy w suchy kraj, szedł ziemiami Przedpełki wzdłuż Narwi na Złotorię, za którą ponownie rzekę przeszedł, i stanął już w kraju Jaćwingów. Zapadł w lasy, wojskom dał wypoczynek, a drobne oddziały w głąb kraju wypuścił, by wybadać, gdzie i z jakim nieprzyjacielem spotkania może się spodziewać.

Zwiady wróciły po kilku dniach, te jeno przynosząc wieści, że kraj, sam przez się niezbyt ludny, pustym zastały zupełnie. Gródki i osady, a nawet samotne chaty rybacze i bartnicze zastali niedawno widać opuszczone, z czego Sobiesław zmiarkował, że wieści o jego wyprawie uprzedzić musiały pochód, i nie wątpił, że jakiś opór się gotuje: Z całą też ostrożnością ruszył w górę Narwi, trzymając się możliwie otwartych i suchych okolic, choć nie zawsze się dało, gdyż kraj, z natury mokry, nasiąknięty był wiosennymi wodami, a mało gdzie puszcza nie okryty. Sobiesław spotkane osady palił, umocnienia niszczył i posuwał się z wolna na południe, w przedniej i tylnej straży zostawiając pieszy lud, jako w bagnistym kraju bardziej obrotny i mniej narażony na niebezpieczeństwo nagłego napadu.

Przeszedłszy po raz trzeci Narew u Suraza, przez nikogo nie napastowany, zwrócił się cokolwiek ku wschodowi, raźniej się poruszając. Jednocześnie wysłał do Pakosława wiadomość o swoim pochodzie z prośbą wzajemną o wieści. Kilku ludzi z podjazdu po dwóch dniach zawróciło z drogi donosząc, że Czerwieńcy weszli na Mazowsze i w górę kraju idą. Jakimi szlakami, nie umieli jednak podać.

Sobiesław ruszył zaraz wojska, rozumiejąc, że spieszyć się trzeba. Bug zamierzał przejść pod Brześciem i jeśli by się dało, zniszczyć mimochodem tę warownię. Doszedłszy do Leśnej zapadł obozem, a podjazdy przeprowadził, by wybadać, jaki jest stan grodu i czy o wzięcie go od jednego uderzenia można się pokusić. Korzystając, że długi już dzień zostawił jeszcze parę godzin do wieczora, zarządził łowy, by mięsa świeżego dostać, którego brak dawał się wojsku odczuć; a skończyło się już i wędzone. Inne oddziały wysłał w okolicę, by w ludniejszym już kraju w żywność wojsko zaopatrzyć.

Sam pozostał w obozie, gdzie tratwy zbijać kazał do przeprawy. Pracowali do zachodu po czym gotując strawę wypoczywali, gdy o zmierzchu nadbiegły straże od rzeki oznajmiając, że podjazd od strony Brześcia wraca jakby ścigany. Sobiesław udał się natychmiast nad brzeg i zauważył nadciągających, istotnie w rozproszeniu i mniejszej liczbie. Bagno nad rzeką wstrzymywało pochód, lecz widać było, że pospieszają, ile mogą.

Sobiesław natychmiast tratwy, jakie były pod ręką, do przeprawy kazał gotować i czekał nadciągających, gdy od obozu nadbiegł posłaniec z oznajmieniem, że ludzie z łowów wrócili poszarpani i o nadciąganiu wroga donoszą. Sobiesław zrozumiał, że go w sak biorą, lecz się tym bynajmniej nie stropił. Tratwy co prędzej kazał wykańczać, ile jeno rąk do pracy mógł zebrać, a

gotowe przesunąć w dół rzeki o parę stają, pod rosnący na wilgotnym brzegu olszowy zagajnik, gdzie też po zapadnięciu ciemności cichaczem ściągnął ludzi. Poruczywszy tymczasem obronę Deszce, sam wziął dwie setnie jazdy i na drugi brzeg się przeprawił, gdzie wracający z podjazdu już na tratwy czekali. Dowódca podjazdu Nawój, poskoczył zaraz ku niemu zdać sprawę.

- Gdzie was dopadli? - zagadnął Sobiesław.

- Na brzeskim gościńcu zasadzka była.

- Siła wojska i Jakiego?

- Zliczyć trudno, bo z nagłą napadli nas w lesie. Miarkuję jednak, że do tysiąca luda, w tym jazdy ze trzy setnie. Byli tam Czerwieńcy i Jaćwież, zwąchali się widno.

- Ludzi dużo straciliście? - spytał Sobiesław rozglądając się dokoła.

- I połowy doliczyć się nie mogę: Co w straży szło, pewnikiem przepadło. Z innych, myślę, jeszcze coś nadciągnie, bo ci, którym konie pobito lub przebić się z nami nie zdołali, uskakiwali w las i ani chybi ocali się poniektóry.

- Ścigali was?

- Aż do kraju suchego lasu. Potem przestali i ściągnęli się, ale w mroku nie rozeznac było - wrócili czy na pieszych czekają.

- Tak myślę, bo i po naszej stronie nadchodzą. Pewnikiem o świcie zamierzają na obóz uderzyć. Postójcie tu do północy. Może poniektóry jeszcze nadciągnie. Potem spuścić tratwy niżej, naprzeciw olszowego zagajnika. Ja pojedę wymiarkować, co należy poczynać. Deszkę zawiadomić: po północy niech załaduje wojsko i cichcem odpłynie. Czekać ma do świtu - u ujścia Leśnej - na mnie lub na wiadomość.

To rzekłszy, Sobiesław kazał swoim siadać na koń i ruszyli w ciemność ku lasowi, zwiady wysyłając naprzód.

Posuwali się wolno i ostrożnie. Dotarłszy do suchego lasu, zanurzyli się w gęstwinie i przystanęli, konie przy pyskach trzymając, by nie rżały. Sobiesław zaś, wzięwszy dwóch najsprawniejszych ludzi, Bogła i Mojka, którym ufał jak sobie, ruszył jak najciszej, ostrożnie, wzdłuż kraju lasu ku południowi, nasłuchując, czy nie posłyszycy jakichś głosów.

Zatrzymali się właśnie za kępą krzów, gdy po podściółce rozległ się tętent sarnich badyli. Trójka kóz minęła ich i pobiegła na łęg, między krze.

- Spłoszone - mruknął Bogiel.

- Czekać i słuchać - szepnął Sobiesław.

Wytężyli uszy i po chwili istotnie zaszeleściły kroki po chruście, zmierzając prawie wprost ku nim.

- Jeden człowiek idzie - szepnął Mojek.

Czekali wstrzymując oddech. Nadchodzący szedł ostrożnie i też chwilami przystawał, widocznie nasłuchując. Minął ich o parę kroków i wówczas na jaśniejszym tle łągu spostrzegli jego cień. Sobiesław ręką wskazał, by czekali, a sam bezszelestnie ruszył ku nieznanemu. Skoczył z nienacka i z tyłu za rękę go uchwycił. Wojak syknął z bólu, ale nie stawiał oporu.

- Co za jeden? - cicho spytał Sobiesław.

- Swój - odparł schwyty. - Żegota z oddziału Nawoja. Puśćcie, bom ranny w rękę.

Sobiesław puścił go, a ten, poznając widocznie wodza po głosie, dodał:

- Z przedniej straży jestem, z samego Brześcia uciekłem. Napaść się gotuje tej nocy, więc pospieszałem ostro!

Bogiel i Mojek zbliżyli się słysząc rozmowę. Sobiesław kazał rannego opatrzyć.

- Siła was opadła? - zagadnął.

- Nie miarkowałem. Tyle jeno, że jazdy mało, bo ta za Leśną nas obchodzi. Piesze wojska wyszły w górę rzeki i spłynąć mają niepostrzeżenie pod obóz. Gdzieści jeszcze wojsko wychodziło, ale nie mogłem zmiarkować.

- W sak nas biorą, jak myślałem. A w grodzie siła zostało?

- Jeno straże. Liczą, że zgniotą nas bez ochyby, bo samej Jaćwieży ma być na parę tysięcy.

- To im zamieszamy sprawę - rzucił Sobiesław. - A ty zdołałbyś jechać do Brześcia i drogę pokazać?

- Bym jeno co zjadł, bo od południa zgłodniałem i krew mi uszła.

Sobiesław wyjął z torby kołacz i rybę i dał je Żegocie, a zwracając się do Mojka rzekł:

- Wrócisz do obozu. Niech Deszko z pieszymi zaraz w dół płynie, tratwy dobrze ogaciwszy gałęzmi dla niepoznaki. Nim się zacznie przejaśniać, niech się nieco poniżej grodu zatrzyma i w gotowości będzie. Krzesław przeprawi jezdnych i, ile się da, pod las podsunie. Gdy bitwę usłyszysz, co sił ruszyć ma na głos. Ja od tyłu napadnę stojących naprzeciw nas i na Brześć się będę wycofywał, by jazdę od pieszych oddzielić. Krzesław na nich uderzy i na ich karkach winien do grodu wjechać.

To rzekłszy, z Żegotą i Bogiem ruszył ku swoim, Mojek zaś przez łąki podążył do obozu.

Dotarłszy do swego oddziału, Sobiesław na koń kazał siadać i z Żegotą na czele jadąc, pospieszał, ile się jeno dało w leśnych ciemnościach, w stronę Brześcia, wypytując go po drodze o położenie i dostęp do grodu oraz jak i którędy wydostał się z niewoli.

Opodal gościńca zsiadli z koni i posuwali się lasem wzdłuż drogi, zwiady przodem wysyłając. Uszli

tak parę stajań, gdy strażę wróciły mówiąc, że obóz słychać.

Sobiesław wydał rozkaz by po pierwszym uderzeniu, gdy opór się wzmoże, uchodzić na Brześć, a przed grodem skręcić ku Bugowi. Potem, nie ukrywając się już, oddział wprowadził na gościniec.

Nie ujechali i dwóch stajań, gdy na jaśniejszym, bo suchym i piaszczystym tle zauważyli ludzi i posłyszeli odgłosy koni stojących w przydrożnych krzaczach. Ich też zauważono widocznie, gdyż wysypywali się z lasu patrząc, kto od grodu nadjeżdża. Gdy zbliżyli się o pół strzelenia z łuku, jakiś głos zawołał:

- Kto idzie?

Miast odpowiedzi Sobiesław ręką dał znak i z miejsca puścił konie w skok. Stojący na drodze zawahali się zmieszani, po czym uskoczyli w las, wyrzucając kilka strzał. Kogo dopadnięto na gościńcu, po tym jezdni przeszli, po czym oddział Sobiesława rozdzielił się i wparł konie w gęstwinę po obu stronach drogi, skąd zaraz rozległy się krzyki i odgłosy walki.

Zagotowało się w ciemnościach. Polanie, by swoich nie razić, szli kupą, przez co wolno posuwać się jeno mogli. Z łuków w lesie i w ciemnościach mały był pożytek, jeno miecze i oszczepy zakrwawiono. Zrazu nieprzyjaciel rozproszony ustępował, tak że mało kogo dopaść było można. Dopiero gdy dotarli na niewielką polanę, posypał się grad strzał, które dosięgły kilku ludzi, z przodu zaś między krzaczami zaczęły gromady pieszych.

Wówczas rozległ się głos rogu dający Polanom znak do odwrotu. Zawrócili z miejsca i ścigani przez pieszy lud co prędzej wypadli na drogę i puścili się w stronę grodu, z dala już słysząc odgłosy walki na gościńcu, na którym w szarzejącym już mroku spostrzegli za sobą kupy jezdnych.

Wypuścili tedy konie i pognali, tarcze na plecy zarzuciwszy, bo strzały gęsto już świstały nad nimi. Las zaczął odstępować od gościńca i wypadłszy za zakręt, ujrzeli przed sobą mgliste zarysy grodu na tle jaśniejącego już wschodniego nieba, w prawo zaś tuman wstający nad rzeką.

Co słabsze z polańskich koni ustawać zaczynały, tak że na tyłach oddziału wywiązała się bitwa. Sobiesław, który, jadąc z Bogłem przy boku, wrogom się odcinał, krzyknął do towarzysza, by gnał ku rzece do Deszki z rozkazem uderzenia na gród, sam zaś zadał w róg, znak dając do walki. Polanie zatoczyli krótki łuk po błoni i z boku uderzyli na wroga, który rozpedzony szedł dalej. Siły były prawie równe, lecz jazda czerwieńska rozciągnęła się w czasie pogoni, i niespodziewane uderzenie zaskoczyło ścigających. Walka jednak zawrzała zacięta, choć bezładna, bo mieszały się ścigający z uciekającymi, a w samym środku tego wiru znalazł się Sobiesław.

Tarczę zarzuciwszy na plecy, by się od ciosu z tyłu uchronić, na zwrotnym, karym koniu ciskał się jak sokół w klatce, z zadziwiającą zręcznością unikając ciosów, sam zaś co chwila strącał kogoś na ziemię, tak iż miejsca przybywało dookoła. Polanie zaś, widząc wodza w kręgu nieprzyjaciół, cisnąć jęli spychając ławę jeźdźców pod ścianę lasu.

Z wolna lepiej zbrojni i sprawniejsi Polanie górę uzyskiwali nad przeciwnikami, z których ten i ów, czy ranny, czy straciwszy serce do walki, chronił się w las. Gromada malała szybko, jakby tając w

promieniach coraz wyżej wzbijającego się majowego słońca, wreszcie czerwieńskie rogi zagrały do odwrotu.

Lecz był to również znak ostatecznej klęski, niełatwo bowiem było wycofać się ze skrzyżtu. Gdy jeno odwrócili konie, Polanie już na ich plecach siedzieli. Zegnane rumaki ustawały, tak że wielu zeskakiwało na ziemię w las umykając. Część jeno pognąła z powrotem i dopadłszy drogi, czy na rozkaz, czy samowolnie rozdzieliła się na dwie części, z których jedna wpadła na drogę ku obozowi polańskiemu, druga pognąła do pobliskiego już grodu.

Za tymi skoczył Sobiesław na czele kilkudziesięciu jezdnych i gród rósł im w oczach, a na wałach widać już było czerniejące mrowie ludzi, których ściągnęły tam odgłosy walki.

Sobiesław, na nic nie bacząc, wziął największy pęd, a gdy otwarto bramę, by wpuścić uciekających, wjechał razem z nimi. Zaraz za bramą jednak zdarł konia i gdy tłum na boki przed jazdą się rozskoczył, i wahał się jeszcze, zdumiony zuchwalstwem, Sobiesław chwycił za topór i bramę począł rąbać, a za nim inni.

Posypały się na nich strzały i grodzianie, ochłonawszy, gotowali się do natarcia, nim jednak w zamieszaniu rozeszły się rozkazy, Sobiesław dosiadł konia i krzyknawszy na swoich, zawrócił. Chmara pocisków posypała się na uciekających, kilku wojów spadło z koni, lecz pozostali już znaleźli się poza zasięgiem strzał. Sobiesław zatrzymał oddział i zsiadłszy z konia, przez chwilę patrzył z uśmiechem na tłumy kłębiące się przy częstokole i krzyczące w bezsilnej wściekłości.

Sobiesław, odsapnąwszy, wyjął z łubów przy siodle grecki, rogowy łuk, znacznie silniejszy od cisowych, jakimi posługiwali się Jaćwingowie i Czerwieńcy. Nałożywszy strzałę na cięciwę, puścił ją w ciżbę przy bramie.

Strzała zaświeciła pod słońcem białym bełtem i zniknęła, ale przy bramie krzyk się podniósł i tłum rozbiegł się pozostawiając leżącego człowieka. Przez chwilę spokój był, zaraz jednak wyszli znowu i poczęli pracować pod osłoną tarcic. Wówczas Sobiesław puścił strzałę w tłum gapiów na wałach. Skutku widać nie było, tyle że ciżba rozpierzchnęła się zaraz. Sobiesław zaśmiał się rozweselony i usiadłszy na ziemi spokojnie pożywiał się, coraz spoglądając ku lasowi.

Zrazu nic widać nie było i Sobiesław głowił się, co by się z Krzesławem stało, gdy u wyjścia na równicę zjawili się pojedynczy jeźdźcy, a jednocześnie z lasu wysunęły się gromady pieszych i wszystko z krzykiem gnało do grodu. Na spokojnej przed chwilą równinie zakotłowało się. Jezdni uwijali się wśród pieszych, tnąc ich prawie bez oporu. Wówczas i Sobiesław ze swymi skoczył i uderzył w zamęt, rozproszone jednak gromady skierowały się ku północnej bramie, a pole pod lasem opustoszało, jeno czerniły się na nim tu i ówdzie leżące ciała.

Resztki nieprzyjaciół dotarły do wałów, ale z Polanami na karkach, którzy w ślad za nimi wpadli do grodu, gdzie już oporu prawie nie było, bo załoga i kto jeno zdolny był do broni - wyszli. Polanie rozbiegli się na wszystkie strony, ścigając pojedynczych wojów, którzy kryli się po domach i obejściach, i coraz wzmagający się wrzask bił w pogodne niebo.

Sobiesław zatrzymał się przy bramie, i polecił wezwać Deszkę i Krzesława, zaś setnikowi

Dobrogostowi kazał rannych pozbierać z pola bitwy: Gdy wezwani nadeszli, zwrócił się do nich:

- Zdobyliśmy gród, bo nas lekko wazyli. Ale nie ceńmy ich lekko. Ino patrzeć, jak wrócą ci, co nas napaść mieli u Leśnej. Mało nas, a na pomoc liczyć nie ma czyją. Ściągnąć wojska bez zwłoki do przeprawy, łodzie i promy, jakie są, pobrać wszystkie, gród spalić, mężów wyciąć i za Bug! Tam wypoczniemy.

Z westchnieniem utrudzenia dosiadł konia i z Deszką ruszył kłusem ku zachodniej bramie, która na przystań wychodziła, by dopilnować przeprawy. Deszko załadował się pierwszy, by na drugim brzegu objąć dowództwo. Krzesław pozostał w grodzie, by wykonania rozkazów dopilnować, sam zaś Sobiesław nadzorował, by sprawnie szło ładowanie.

W grodzie tymczasem wrzaski już cichły, natomiast podniosły się dymy, których kłębiaste zwały jęły się dźwigać w spokojnym powietrzu żarem ku górze podbijane. Wkrótce pożoga ogarnęła gród od krańca do krańca i słychać już było tylko szum ognia, który wzmagając się w huk przechodził.

Przeprawa szła składnie i słońce dopiero chyliło się za bory, gdy wojsko znalazło się w całości na zachodnim brzegu. Sobiesław kazał rozbić tratwy i czółna, sprawił wojsko do pochodu i ruszył na zachód w mazowieckie ziemie.

Szli aż do zupełnej ciemności. Dopiero dotarłszy nad Krznię, w zakręcie rzeki, na piaszczystym, z rzadka zalesionym wzgórzu wśród bagien rozłożyli obóz. Woje, od doby prawie bez przerwy w pochodzie i walce zostający, gdy ognisk palić nie pozwolono, mało co o wieczery pomyślawszy, walili się pokotem i cisza zaległa obozowisko.

Sobiesław strażę obszedł, by nie posnęły znużone, po czym usiadł na zwałonym pniu na kraju obozu i wypoczywał patrząc na blednącą już na wschodzie łunę pożaru.

Potem wzeszedł pełny księżyc, jeszcze czerwony od pożogi, przebił się przez zasnuty dymem widnokrąg, wzniosł się i czystym, zimnym światłem zalał okolicę. Noc była ciepła, z bagien nagranych słońcem chóry żab rozpoczęły wieczorny przyśpiew, który to nasilał się, to cichł. Z trzcina dochodziło dudnienie bąków, żurawie na wydmach podnosiły chwilami ostrzegawczy krzyk. Sobiesław z lubością chłonał spokój nocny.

Władyka Dzik

Mieszko, przeszedłszy Wisłę u ujścia Kamiennej, od jednego zamachu zdobył Opole, starszyznę z kniazem wyciął, zakładników pobrał i zostawiwszy załogę, sam wolno się posuwał ku Wieprzowi, starając się wieści uzyskać, co się dzieje na Mazowszu i gdzie by się ninie znajdowali Czerwieńcy.

O poddaniu się Radomia miał już wiadomości i oczekiwał na przybycie Dobiesława. Gdy tamten nadszedł, Mieszko z początkiem czerwca przysunął się do Wieprza, gotując kilka przepraw, by w miarę okoliczności mieć wybór lub też w kilku miejscach naraz móc wojska pchnąć.

Na Mazowszu zamęt zastał zupełny. Lud prosty krył się po lasach i bagnach przed Czerwieńcami, a władcze rody uciekały przed Mieszkiem. Kniazie odpór starali się dawać najazdowi, w rozproszeniu jednak działając wiele klęsk ponieśli i cofali się na północ, chcąc się z Pakosławem połączyć. Jaćwież i Czerwieńcy szeroko kraj zalali, niszcząc, paląc i wycinając lub biorąc w niewolę ludność, i spokojny zwykle kraj świecił łunami po nocach, a dymy wlokły się we dnie nad lasami.

Z otrzymanych wieści Mieszko widział coraz wyraźniej, że byle Mazury do zmiany wiary nie byli zmuszeni, chętnie z Polany się łączą, by ochronę znaleźć. Dumął coraz częściej nad tą sprawą, wreszcie zwołał starszyznę, by wysłuchać jej zdania i powziąć postanowienie. Niewiele się jednak dowiedział poza tym, czego już był świadom, że własni jego ludzie nie życzą sobie zmiany i jeśli uczynią, co każe, to jeno ze strachu i posłuszeństwa.

Żałował, że Zbrozły nie ma, który by radą najlepiej mógł służyć, ale nie spodziewał się go ujrzeć, aż po spotkaniu z Sobiesławem, u którego, jak przypuszczał, pozostanie, by po raz drugi się nie narażać bez potrzeby na niebezpieczeństwa przejazdu przez zalany kraj.

Zostawiwszy część wojsk, przeważnie pieszych, pod wodzą Własta nad Wieprzem powyżej ujścia Bystrzycy, sam z jazdą ruszył lewym brzegiem Wisły w kierunku Czerska, spodziewając się, że od Pakosława zasięgnie wiadomości albo i samego spotka.

Lato zaczęło się upalne, tak że nocami szedł, na postoje we dnie zatrzymując się w opuszczonych osadach. Gródki omijał po drodze, nie chcąc niszczyć kraju, zanim o dalszym przebiegu sprawy nie poweźmie postanowienia.

W pogodną noc jechał raz między tylną strażą a głównymi siłami, dumając właśnie nad przebiegiem sprawy na Mazowszu. Po dziennym upale z lubością wciągał chłodne powietrze, idące z lekkim powiewem od Wisły. W nadbrzeżnych krzaczach i wiklinach roje słowików zawodziły jeden przez drugiego swe namiętne pieśni. Poza tym cisza była, przerywana jeno miarowym stąpaniem koni.

Mieszko zadumał się tak, że nie zwracał uwagi na otoczenie. Dopiero gdy Broniec, jadący kilkanaście kroków w tyle, przysunął się mówiąc: "Ktoś za nami od tylnej straży nadaża, kilka koni słyhać!" - książę wstrzymał konia i rzekł:

- Zaczekamy, może co pilnego.

Tętent coraz wyraźniej słyhać było, a po chwili w srebrnych pasmach księżycowego światła, padającego przez korony sosen na drogę, rozróżnić można było kilku jeźdźców, którzy wkrótce byli tuż i na widok stojących wstrzymali konie.

- Kto zacz? - spytał Broniec.

- Zbrozło - odparł jeden z przybyłych.

- Bywaj mi! - zawołał Mieszko. - Nie spodziewałem się was ujrzeć tak rychło. W porę mi się zjawiacie. No, pojedziemy! - rzekł i trącił konia, a Zbrozło zrównał się z nim i jechali jakiś czas w milczeniu.

- Słucham, panie! - ozwał się Zbrozło po chwili.

- Praw naprzód, co u Sobiesława.

- Dobrze. Brześć spalił i, jak kazaliście, w górę Bugu idzie, ku Czerwieni. Na Mazowieckiej granicy ma się zatrzymać i stamtąd ku Wieprzowi wyśle podjazdy.

- To słusznie. Myślę, że tymczasem sprawa dojrzeje z Mazowszem. Gdzieście Sobiesława znaleźli? - zapytał.

- Obozem stał dwie mile od Bugu, pod Brześciem, który spalił właśnie przed dwoma dniami.

- Ludzi dużo stracił?

- Niewiele, a i to więcej ma, niż miał wyruszając, bo i od Przedpełki, i od północnych Mazurów dostał posiłki, a gdy bawiłem u niego, ściągając się zaczęli Mazurzy, którzy przed Czerwienią uciekali i postyszawszy o nim, szukają u niego schronienia.

- To widzę, że i tam już się Mazurzy przekonali do nas. Właśnie w tej sprawie z wami mówić chciałem, bo tutaj mam wieści, że gotowi przejść pod moje panowanie, byle ich do zmiany wiary nie zmuszać, i nad tym głowię się, co robić.

- A wątpliwości macie jakie, panie? - zapytał Zbrozło.

- Pierwsza, że jedna wola rządzić musi, jeśli całość ma powstać. Druga, że aby urządzić kraj, by dziki nie był, jak za pradziadów, i siłę mi dał, pomoc kapłanów z Zachodu konieczna. A jakoż im między poganami działać i osiedzieć? Jordanowi też chciałbym pracę ułatwić, wreszcie cesarz mógłby mnie nie uznać za chrześcijańskiego władcę, gdybym kraj pod swoim panowaniem w pogaństwie zostawił.

Zbrozło się zadumał i jechali w milczeniu. Przerwał je Mieszko zapytaniem:

- Co myślicie?

- Myślę, że nie ma się co wahać i sprawę z Mazowszem należy zakończyć. Czas drogi i krew droga.

Cesarz silniejszego prędzej uzna niż słabszego, zresztą wasza osoba w tym najważniejsza i dwór. Co się w kraju dzieje, niełacno uświadczyc. Jordan wam, nie wy jemu kraj nawracać macie. Z samymi Polanami więcej ma pracy niż jego życia. A starczy mu sił i czasu, niech na Mazowszu apostołuje. Po toście go i ściągnęli, by mieczem nie nawracano, nie będziecież sami tego robić. Wystarczy, niech Mazurzy kapłanów jako waszych wysłańców przyjmą. Reszta ich rzecz. Porządek swój i tak lata wprowadzać będziecie, nie ma co z nagłą dokonywać zmian, których w dawnym kraju jeszcze nie dokonano. A wola wasza nie musi się objawić jak piorun, co łamie i niszczy. Lepiej niech przesiąka jak woda, wtedy dotrze wszędzie i wszystko na stałe ogarnie. Nie łudźcie się zresztą, kniaziu. Dla trzech pokoleń to praca, by w jedno stopić, co dotychczas żyło osobnym życiem. Jeśli umyślane państwo wasze ma trwać, nie może wyrósć jak grzyb po deszczu, by zniknąć nazajutrz, lecz jak dąb zakorzenieć się musi, a na to potrzeba czasu.

Mieszko jechał zamyślony, wreszcie rzekł:

- Słusznie prawicie. Skończę z Mazurami, by się wziąć do Czerwieni i wracać na zachód, bo tam nasza dola. Ścibor, który zburzony Santok odbudowuje, przysyłał z wiadomością, że Wichman najechał z Sasami Duńczyków. Pytał się Ścibor o was i o Dzika, czyście mi potrzebni. Was zatrzymam jeszcze, ale Dzik może jechać.

- Nierad bym go puścił samego. Spokój tam teraz, to i robić z nim nie ma co. Tu się na wojnie przydać może, a wolę go mieć na oku.

- Czemu go tak pilnujecie? Nie dziecko on, żył bez opieki, to i dalej będzie.

- Gorzej niż dziecko, słuchać nienawykły, wciąż by coś przedsiębrał, ani się nie zastanawiając, czy to jemu lub innym na szkodę wyjdzie czy pożytek. I u Sobiesława kłopot z nim miałem, bo uparł się, że za Bug pojedzie wojnę czynić i swoją drużynę zaczął zaciągać, a setnika pobił, który mu w tym przeszkadzał. Żeby mnie nie było, byłby go Sobiesław kazał obwiesić, bo setnikowi żebra połamał. Jego by gdzieś na rubieży osadzić, niech sobie swój zamek buduje. I skarby mu odebrać, bo nic mądrego nie zrobi z nimi, chyba że mu je Szmatka odbierze.

- Jak uważacie, ale myślę, że Ściborowi należałoby postanowienie pozostawić.

- Z kniazem Ściborem ja już sprawę załatwię.

- No, to mogę z Dzikim pomówić. Pieniądzy zresztą potrzeba. Drużyna kosztuje, i rzemieślników, których Jordan sprowadził, muszą opłacać. Zawołajcie go.

Zbrozło zawołał Dzika, który o kilkanaście kroków z tyłu człapał, i gdy podjechał, Zbrozło rzekł:

- Miłościwy kniaź chce cię, na moją prośbę, na ziemi osadzić, za którą zapłacić winienes. A gdzie byś chciał siedzieć?

Dzik namyślał się przez chwilę, zanim odparł:

- Żeby gdzieś kamień był blisko na budowę i żeby z góry widny był kawał kraju.

Mieszko uśmiechnął się:

- Ani gór, ani kamienia nie brak w Chrobacji: możesz tam ziemię dostać, jak zapłacisz.

Dzik zaczął odpinać swój pas, lecz powstrzymał go Mieszko.

- Dasz skarbnikowi na postoj. A cóż robił będziesz? - zapytał.

- Naprzód zamek postawię.

- A potem?

Dzik poskrobał się po głowie i rzekł z namysłem:

- Pewnie sobie babę wezmę.

Książę zaśmiał się.

- To mi robota. Ale jak będziesz żył?

- A Szmatkę zabiorę i młodego Tarłę. Już mi obiecał, że wszędzie ze mną pojedzie, że taki silny jestem.

- Na wojnę będziesz musiał chodzić. Kto na ziemi siedzi, na wyprawę stawać winien.

Dzik spojrzał spode łba i odparł mrukliwie:

- Nie podobają mi się takie wojny.

- Jakie?

- A jak ninie! Jeżdżę na upale już dwa miesiące, aż mi tyłek drętwieje, i tyle miałem wojny, com setnika pobił, że mi się zastawiał.

- A ty byś jakiej chciał wojny?

- A takiej, żeby się bić, długo nie czekając, a potem uwalić się gdzie na mchu i pojadłszy patrzeć, jak obłoki suną po niebie albo jak się sikorki po gałęziach uwijają.

- A z kim byś chciał się bić?

Dzik namyślił się znowu i odparł:

- Niemców muszę sprać, że mnie w lochu trzymali, jeść nie dając i jeszcze jakieś wyroki czytali. A zresztą zajędo mi, byle się dobrze namachać, bo inaczej tak się czuję, jakbym siadł obiadować i głodny wstał.

Mieszko uśmiechnął się znowu:

- Poczekajże tedy niewiele. Dla ciebie to zrobię i porządną wojnę ci pokażę, żebyś się mógł namachać. A potem jedź do Chrobacji. W Krakowie zgłosisz się u żupana, to wydziela ci ziemię i budujże sobie szczęśliwie.

Zbrozło skinął na Dzika, by odszedł, ten więc wstrzymał konia a gdy Szmatka z Tarłą zrównali się z nim, rzekł:

- Otóż i będziemy zamek budować, choć tyle pyskowałaś i śmiałaś się ze mnie. I będziesz prawdziwym burgrafem, ty najdku.

- A co zaś się stało?

- Ziemię od kniazia kupilem!

- Po co było kupować? Sami byśmy wzięli darmo.

Dzik spojrzał zakłopotany:

- Juści, ale to pewnie ważniejsze, jak się zapłaci. Musi tak jest, bo Zbrozło nie dałby kniaziewi mnie oszukać.

- Dużoście zapłacili?

- Książ kazał skarbnikowi zapłacić.

- To pamiętajcie się targować.

- Głupiś! - rzekł Dzik. - Widzicie go! Od kniazia ziemię kupuję, to się będę targował, aby myśleli, że mnie nie stać.

- Wydacie wszystko, będziecie se potem kamienie na budowę sami w zębach nosić. Myślicie, że da się żyć bez pieniędzy?

Młody Tarło wmieszał się do rozmowy:

- A jakbyś wiedział. Mówił mi ojciec, że za dziadowych czasów mało kto widział pieniądza na oczy, a żyli lepiej niż my teraz.

- Widzicie, jaki mądry, choć ma pierze pod nosem. Żyj se jak twój dziadek, a ja nie chcę. Wina się lubię napić, zjeść na cynowej misie i na kobiercu się ułożyć. Mam być burgrafem, to muszę mieć ciżmy z czerwonej skóry, kubrak z cienkiego sukna, pas z klamrami kutymi i łańcuch na szyję. A chcecie, bym w parcianej koszuli, powrózkiem przepasany chodził, to se Tarłę zróbcie burgrafem, kiedy mu się dziadkowe życie podoba, a ja innego pana poszukam.

- Co se poszukasz? - rzekł gniewnie Dzik. - Nie przyrzekłeś to służyć do śmierci?

- Juści, przyrzekłem, alem myślał, że bogaty z was dziedzic, a jak wszystko wydacie, to wam i sługi

nie trza.

- Głupiś z każdej strony. Dużoś ty myślał, jakieś się z mojej ręki wypraszał. A bogaty i tak będę, bo mam skarby zakopane.

- Czy one aby tam są? - zapytał Szmątka nieufnie.

- Mówię, że są, to są! - odburknął Dzik.

- Zaraz tam musimy jechać wykopać. I ja będę waszym skarbnikiem, bo znowu wszystko wydacie i skąd weźmiecie nowych pieniędzy?

- Tam, skąd tamte. A czym byś ty już nie chciał być!

- Willigiz też miał klucze do Geronowego skarbca.

- No, dobrze już, ino żebyś nie kradł!

- Przecież nie potrzebuję. Jak wezmę, to wam powiem.

- A czymże Tarło będzie?

- Poczekajcie, to wam dzieci będzie bawił.

- Już wiem - rzekł Dzik. - Jak mnie zgniewasz, to on będzie cię prał, skoro nie lubisz, żebym ja cię bił. W łeb mu daj! - rzekł do Tarły.

Tarło posłusznie palnął Szmatkę, a ten rzucił się na niego i szepiwszy się spadł z koni na drogę. Tarło, choć młodszy, przemógł po chwili Szmatkę i usiadłszy na nim, zapytał:

- Prać go?

- Tymczasem wystarczy. To tylko na próbę.

Tarło wstał i otrzepawszy się siadł na konia. Szmątka dźwignął się również, czerwony ze złości i wstydu. Dzik obejrzał go i rzekł:

- Dobrze jest, nic nie masz połamanego. Lepiej, że on cię będzie prał za mnie. No, siadaj i jedźmy, bo już dnieje i pewnie na obóz wnet staniemy, a spać mi się chce.

Ruszyli i istotnie po chwili usłyszeli gwar obozu, rozłożonego w zagajniku.

Przeprawa przez bagna

Upalne lato miało się ku końcowi. Noce poczynały być chłodne, a dni krótsze, gdy Mieszko, uładziwszy sprawę z Mazurami, doczekał się wreszcie gońca od Lubora, który donosił mu o zajęciu Czerwonogrodu, a zarazem że na Bełz rusza. Czerwieńcy tymczasem, zajmwszy kraj aż po ujście Bugu i spróbowawszy bezskutecznie raz i drugi przejścia przez Wisłę i Bug, zaczęli się urządzać korzystając ze spokoju. Jęczał kraj pod rządem zdobywców, a głód dręczyć zaczynał siedzib swych pozbawioną ludność: Nie uprawione pola leżały chwastem zarosłe, bydło wybito lub uprowadzono, a ludność, kryjąca się jeszcze po lasach, gdzie łowy na nią urządzano, cierpieć zaczynała od chłódów i chorób, jedyną nadzieję zbawienia w Polanach pokładając.

Z radością też przyjęto wieść, że Mieszko przeszedł Wisłę, a Pakosław Bug i spychają najeźdźców ku południowemu wschodowi: Zrazu Czerwieńcy osadzeni po grodach opór dawali silny, lecz widząc, że się nie utrzymają, gdy i ludność miejscowa pojedynczych i mniejsze oddziały poczęła wycinać, ściągając się jęli w większe skupienia, ku szlakowi na Czerwień pomykając. U przejścia przez Liwiec uderzył na nich Pakosław z Mazurami, lecz na przeważające siły trafiwszy, klęskę poniósł dotkliwą. Sam ledwo uszedłszy z życiem, rozproszone wojska zbierał przez kilka dni w lasach, zanim sprawiwszy je na nowo, podążyć mógł za Czerwieńcami, którzy znacznie się w dół kraju posunęli.

Mieszko zasłyszawszy o klęsce Pakosława, która go do zmiany zamierzeń zmuszała, czasu nie tracąc wziął jazdę i w dwa tysiące koni nadażał co sił, by Sobiesławowi przyjść z pomocą, w obawie, by zniesiony nie został, gdyż mogłoby to w ogóle zamiar zajęcia Czerwieńskich Grodów udaremnić i narazić ponadto na zgubę Lubora. Do Dźwigora pieszy lud odesłał pod wodzą Derśława, z rozkazem, by całą jazdę ku Sobiesławowi pchnął i by jego uwiadomili o położeniu, jeśli nadażą.

Z resztą wojska miał Dźwigor nie mieszkając ruszać na Lublin, a gdyby go zająć zdołał, dalej pod Czerwień, Luborowi naprzeciw.

Sam Mieszko parł zrazu na wschód i dopiero wszedłszy na szlak pochodu, zawrócił na południe, a widząc, że wstępny bojem sił nieprzyjacielskich rozbić nie zdoła, utrzymywał odległość na dzień pochodu, by nieprzyjaciel nie spostrzegł, że za nim idzie.

Podjazdy szły przodem, lecz z najsurowszym nakazem, by unikać wszelkiego starcia, i tak zbliżali się ku szlakowi wiodącemu wzdłuż Bugu na Czerwień, na którą cofnąć się zamierzały wraże siły.

Pogoda tymczasem rozpoczęła się słotna i wojsko cierpiało od chłódów. Na zniszczonym szlaku znaleźć nie było można dachu nad głową i noce w szalasach na deszczu mały dawały wypoczynek. Tęsknili też do bitwy, po której, spodziewano się oddechu, lecz Mieszko postanowił nie uderzać wiedząc, że nieprzyjaciel na Sobiesława trafić musi i gdy zwiąże się z nim walką, pora do uderzenia będzie najlepsza.

Sobiesław zaś umocnił się nad Włodawką i stał obozem na wzgórzu wśród podmokłego lasu: Oddziały często na północ i wschód wysyłał i sam niejednokrotnie wyjeżdżał z nimi, niecierpliwiając się i nie rozumiejąc zwłoki w nadejściu księcia.

Wrócił właśnie pewnego słotnego wieczora do obozu i przy ognisku, w kurnej chacie, ściągał przemoczoną odzież, gdy setnik Zbylut oznajmił przybycie posłańców od Dźwigora.

Sobiesław kazał ich wprowadzić, a gdy weszli, siadać prosił na pieńkach przy ogniu płonącym na kamiennym palenisku i częstując jedzeniem, słuchał wieści. Dowiedziawszy się o klęsce Pakosława i nadciągnięciu Czerwieńców, bez zwłoki zawołać kazał Krzesława i Deszkę, wypytujac przybyłych tymczasem o szczegóły, których niewiele jednak posłańcy udzielić mu umieli. Rozkaz był trzymać się nieprzyjaciela, póki można, aż do nadejścia Mieszka. Jazda Dźwigora, dla wzmocnienia idąca, wedle obliczenia posłańców winna nadciągnąć nie dalej niż jutro. Jak daleko był książę, nie umieli jednak powiedzieć, jak również, kiedy Czerwieńców można się spodziewać; przypuszczali jedynie, że rychło.

Sobiesław wstał, otarł usta i rzekł do Deszki:

Obóz pod waszymi rozkazami zostawiam. Krzesław rankiem wyjdzie z połową jazdy na zachód, by was nie obeszli. Będziecie się starali połączyć z nadchodzącym Dźwigorem i o kniaziu otrzymać wiadomości. Ja idę zaraz na północ z drugą połową jazdy. Wrócę, gdy będę widział, że nadchodzą.

Jakoż sprawiwszy oddział, poczłapał w mroczną, zadeszczoną noc. Posuwali się wolno, gdyż często jechać trzeba było gęsiego wśród gąszczy i bagien. Wypoczęli koło północy i ruszywszy dalej, wyszli w bardziej otwartą okolicę. Deszcz ustał, natomiast dotkliwy ziąb ogarniał zmokniętych po nie przespanej nocy. Do świtania już było niedaleko i Sobiesław, wysławszy naprzód mały oddział, stanął w zagajniku i pozwolił zapalić ognie, by wyschnąć mogli i spożyć strawy gorącej. Tymczasem świtać zaczęło i powietrze pojaśniało, natomiast wstająca mgła zasłoniła okolicę.

Pożywiwszy się, wielu spać się pokładło, czemu się Sobiesław nie sprzeciwiał by wypoczęli trochę. Koni jedynie rozsiodłać nie pozwolił ani popręgów popuścić, póki nie wróci wysłany na zwiady oddział. Czekał zadrzemując chwilami u ogniska, wreszcie spać mu się zachciało na dobre i niecierpliwie się zaczął że nie wracają. Wstał więc i już postanowił ruszyć dalej, gdy zdało mu się, że głosy jakieś słyszy, których Jednak w gwarze obozowiska i panującej mgłę rozróżnić nie umiał. Ruszył przeto na kraj zagajnika i przystanąwszy nasłuchiwał. Nieokreślone i ledwo uchwytnie zrazu dudnienie po chwili rozeznał wyraźnie jako tętent w skok idących koni, a w tejże chwili wyraźny i bliski już rozległ się krzyk.

Sobiesław pobiegł co sił do oddziału, rozkazując na koń siadać i nie bacząc, że wielu szaty, które do suszenia pościągali, na gwałt wdziewa, ruszył przed siebie, a za nim kto zdążył na koń skoczyć. Wyjechawszy na łęg, stanął, a w tej chwili zaczerniał przed nim we mgłę jeździec, który ledwo konia zdążył w pędzie zahamować i osadziwszy go, krzyknął:

- Ruś nadchodzi!

Nie było już czasu go rozpytać, gdyż ziemia zadrżała od kopyt i we mgłę zaczerniała ława jazdy. Sobiesław bez namysłu skoczył przed siebie, a za nim kto zdołał nadciągnąć. Idących w przedzie kilkunastu napastników zwalono, lecz w tej chwili mrowie ich ogarnęło, tak że zamęt powstał nieopisany.

Choć wroga we mgle trudno było zliczyć, poznał Sobiesław, że się nie oprze, tyle jeno chciał ich powstrzymać, by reszta ludzi koni dosiąść zdążyła. Skupili się Polanie i odcinając się zawzięcie, cofać się jęli przed nawałą krok za krokiem. Poczawszy za plecami zagajnik, Sobiesław dał rozkaz odwrotu, ogarniając resztę swego oddziału. Wypadłszy z zagajnika ujrzał nadbiegających z obu stron Czerwieńców, którzy ich otoczyć usiłowali. Bez namysłu więc uderzył i przebiwszy się przez słabą jeszcze ścianę nieprzyjaciela, pognął ku południowi.

Konie, znużone nocnym pochodem, ustawały jednak, tak że nacierający od prawego skrzydła, na którym była otwarta i dość sucha łąka, wyprzedzać Polan zaczęli usiłując drogę im odciąć. Widząc to Sobiesław w lewo skręcił i wpadł w bagnisty las, a za nim jeno nadążył. Konie zapadać się zaczęły, lecz pogoń wstrzymała się na chwilę. Wkrótce Sobiesław zauważył ślady jakby drożyny i wjechawszy na nią, poczuł twardszy grunt. Zakrzyknął tedy na swoich, by na ścieżynę wyszedłszy posuwali się za nim, i po chwili wyciągnęli się w długiego węża.

Jechali dość szybko i głosy pogoni, która za nimi w las wpadła, z dala już tylko docierały. Las począł rzednąć i po obu stronach drożyny otworzyło się gładkie, tu i ówdzie jeno trzcina i szuwarem zarośnięte bagno.

Ścieżka stawała się coraz bardziej grząska, tak że konie zapadały się nieraz po brzuchy i Sobiesław zwątpił już, czy przejdzie, gdy przed nim zaczerniła się we mgle ściana drzew i po chwili konie, poczuwszy twardy grunt, wydobyły się z grządzieli. Wyszli na piaszczysty, obły pagórek, lasem zarośnięty, którego rozmiarów jednak nie mogli ogarnąć.

Dowódca zatrzymał się na kraju wyczekując, czy jeszcze kto nie nadejdzie. Po chwili westchnął widząc, że już nikt nie nadciąga, a wśród obecnych i połowy doliczyć się nie mógł. Stał jeszcze niepewny, gdy ruszył się wietrzyk i jakby zapach dymu uderzył nozdrza Sobiesława, zostawiwszy przeto oddział, by bronił dostępu, gdyby pogoń nadeszła, ruszył przed siebie z Mojkiem. W miarę jak jechał, swąd coraz był wyraźniejszy, wreszcie ujrzeli małą ziemiankę krytą sitowiem, przez które sączył się pasmami dym.

Zatrzymali się, a w niskim otworze, służącym za wejście, ukazał się człowiek z kamiennym młotem w rękę. Łatwo go można było wziąć za jakieś zwierzę nieznane. Twarz i wszystkie widoczne części ciała obrosnięte miał ciemnym włosiem; okrywał go jeno kozuch z niedźwiedziej skóry, barwą od uwłosienia niewiele się odróżniający. Małe, zaczerwienione oczy wlepił w przybyłych z wyrazem zaskoczonego w swej norze dzikiego zwierzęcia, które gotuje się do obrony.

Gdy jednak Mojek zagadnął go uspokajająco zapewniając, że jeno ogrzać chcieli się i pożywić, ludzkim głosem odrzekł po chwili wahania:

- Wejdźcie!

Weszli i w świetle ogniska, płonącego na klepisku z gliny, rozejrzeli się po schronieniu, które nie zasługiwało na nazwę chaty. Barłóg z liści, wytartą skórą okryty, i pień stanowiły całe urządzenie. Zawahali się, gdzie usiąść, a nieznajomy wskazał im swe legowisko. Posiadali wespół i Mojek zapytał:

- Sam tu jesteś?

Nieznajomy milczał, po chwili więc Mojek, nie doczekawszy się odpowiedzi, rzekł:

- Nie bój się. Choćby was i stu było, nas jest więcej, ale nie zrobimy ci nic złego, jeśli powiesz, o co zapytamy.

- Pytajcie! - rzekł człowiek.

- Duży to las?

- Nie las to, ino kępa; ze dwa stajania od bagna do bagna.

- A przejście jest?

- Adyście przeszli!

- Ale o inne pytam!

- Innego nie ma.

- A z czego tu żyjesz?

Zamiast odpowiedzi człowiek wskazał na wiszący nad płomieniem dwuoszny garnek, z którego zapach grzybów i ryby się rozchodził.

- Żle - mruknął Mojek do Sobiesława.

- Tymczasem dobrze, bo nas tu nie zgonią. Ryba lepsza niż nic, a przez bagno przejdziemy. Idź do ludzi, niech jeno straż z łuczników zostawią u przejścia, reszta niech na drugą stronę rusza. Ognie palić mogą, póki mgła, wijunów niech nałowią i drzew natną przy brzegu. A do suchego daleko? - zapytał.

- Do drugiego lasu chyba pięć stajań, ale suchy to on tam nie jest - odparł kosmaty.

- Ale przejdzie?

- Z końmi nijak, a i pieszemu ciężko.

Po chwili liczne stapania rozległy się na dworze i oddział przejechał. Za jakiś czas Mojek wrócił z dwoma ludźmi, którzy żywność przynieśli. Sobiesław, podjadłszy, spać się położył znużony i poleciwszy zbudzić się koło południa, z miejsca zasnął kamiennym snem.

Zdało mu się, że spał chwilę jeno, gdy Mojek go obudził. Usiadł na posłaniu, oczu nie mogąc zrazu otworzyć. Przemógł wreszcie senność, wstał, przeciągnął kości, w których teraz dopiero trud poczuł. Zmył twarz wodą i orzeźwiwszy się trochę, wraz z Mojkiem udał się, by obejść kępę.

Rozpoczął od zachodniej strony, skąd nadeszli. Na brzegu stała straż i zapytani podali, że rankiem jeszcze na kraju lasu pokazywali się Czerwieńcy, lecz żaden nie puścił się na bagno, widocznie bojąc się zasadzki; od dawna zaś już nikogo widać nie było. Sobiesław namyślał się, czyby tą samą drogą nie wrócić, i wysłał kilku ludzi, by zbadać się starali, gdzie przebywa nieprzyjaciel, sam zaś udał się na przeciwny brzeg kępy, gdzie przy waleniu drzew pracowano, skąd co chwila słyhać było szum i głuchy łoskot padających chojarów.

Pocieplało trochę, lecz mgła wstała z bagien taka, że przeciwległego lasu nie było widać. Do wieczora pozostało jeszcze parę godzin. Sobiesław polecił kładkę z pni kłaść na bagnie, do czego zaraz się wzięli. Na płat nie zarośniętej wody przy brzegu zepchnięto dwa pnie i narzucono na nie gałęzi, aby nogi nie oślizgiwały się na okrągłakach. Dalsze pnie dźwigać już było trzeba po niepewnej kładce i zsuwać do zarośniętego szuwarem i trzcina lub pokrytego kozuchem bagna. Kładka zanurzała się pod obciążeniem i ludzie pracowali przeważnie po kolana lub głębiej w wodzie, a niejednen skapał się cały, fałszywie stąpiwszy. Przemokłych i zziębniętych odwoływano dla rozgrzewki do ścinania drzew i obciosywania gałęzi, a w ich miejsce przychodzili nowi i pomost przedłużał się z każdą godziną.

Sobiesław stał przy pracujących do wieczora, po czym, każąc pracować po zapadnięciu ciemności, odszedł poleciwszy zawiadomić się, gdy dojdą do przeciwległego lasu.

W lepiance spożył wieczerzę i kazał zawołać setnika Zyre, który zjawił się zaraz po rozkazy.

- Wychodzę z Boglem i Mojkiem, gdy tylko przejście będzie gotowe. O świtaniu wysłać jeszcze raz zwiady, czy wróg przejścia wciąż pilnuje. Jeśli odeszli, wyprowadzić ludzi i konie tą drogą, cośmy przysli, i ostrożnie ku zachodowi pociągnąć, by połączyć się z Dźwigorem. Jeśli dalej pilnować będą, konie i kilkunastu ludzi tu zostawić, a samemu kładką resztę wyprowadzić i starać się dostać do obozu.

Odprawił setnika i wyciągnął się przy ognisku, by wypocząć przed przeprawą.

Nie było jeszcze północy, gdy go obudzono. Wstał i wyszedł wraz z towarzyszami. Pojaśniało trochę i między chmurami przeświecały tu i ówdzie gwiazdy, ziąb jednak brać zaczynał.

Setnik Zyra stał u wejścia na kładkę. Wydawszy ostatnie rozkazy Sobiesław z towarzyszami ostrożnie ruszył.

Bagno stało milczące i ciemne, jeno czyściejszy pas wody stojącej na kładce wskazywał jej kierunek. Weszli na nią i za chwilę żadnych już odgłosów z obozu słyhać nie było, jeno chlupotanie własnych stóp w zimnej wodzie.

Szli ostrożnie, krok za krokiem, zwłaszcza bowiem przy przejściu z jednej pary pni na drugą, nie zawsze w tej samej linii leżącej, łatwo było się przewrócić lub, stąpiwszy fałszywie, skapać się w bagnie, bez nadziei rychłego wysuszenia.

Przejście dłużyło się, lecz las, majacący z początku jak ciemniejsza linia na nieboskłonie, wysuwać się zaczął w górę i wreszcie wyrósł jak czarna ściana. Znowu płacheć jaśniejszej wody zaświecił

przed nimi. Zatrzymali się koło pierwszych drzew, by odpocząć i oczy przyzwyczaić do zmroku tak głębokiego, że jeno po koronach drzew spoglądając widzieli, jak daleko od pnia do pnia.

Ruszyli brnąc w bagnie i z trudem wyciągając nogi. Za niewielkim pasem wilgotnego, wysokopiennego lasu zaczynała się drągowina na czystym moczarze rosnąca. Tam już skokami od pnia do pnia posuwać się było trzeba, gdyż stopy nie znajdowały oparcia w topieli, chyba przypadkowo na korzenie trafiwszy.

Szczęściem drągowina dość była gęsta, natomiast w ciemności skoczywszy raz i drugi niepewnie wszyscy trzej po chwili przemoczeni byli aż do włosów na głowie. Drżeli z chłodu i wysiłku, lecz darli się uparcie naprzód.

Drągowina skończyła się nagle i przed idącymi rozpostarła się gładka, trawą zarośnięta płaszczyna, na której krańcu majaczyły jakieś krze.

Sobiesław ruszył ostrożnie stopy stawiając. Grunt pod stopami ugiął się łagodnie, nogi zanurzyły się w wodzie po kolana, a bulgotanie baniek powietrza oznajmiło, że są na kozuchu.

- Ostrożnie! - ostrzegł Bogiel - może się zarwać.

- Może utrzyma - odparł Sobiesław i postąpił, lecz w tej chwili noga zapadła mu w bagno aż po biodro, oparcia nie znajdując.

Przytomnie rzucił się na plecy, a Bogiel, chwyciwszy go za ręce, w tył pociągnął. Cofnęli się do drągowiny i usiedli.

Sobiesław, szcękając zębami, rzekł:

- Tędy nie przejdzie; trzęsawisko obejść trzeba.

- Może do świtania poczekać? Już niedaleko.

- Zamarzniemy bez ruchu, ani się gdzie wyciągnąć; pójdziemy dalej.

Skręcili na południe i posuwali się krajem zagajnika. Lekka mgiełka wstawać zaczynała z bagien i ziąb uczynił się przenikliwy, gwiazd jednak więcej było widać i szło na pogodę. Skacząc posuwali się czas jakiś jeszcze; wreszcie skończyła się drągowina i zaczęły zarośla. Łąka była podmokła, lecz grunt pewny, więc posuwali się raźniej, choć zdrętwiałe nogi odmawiać zaczęły posłuszeństwa. Szli jednak wytrwale i wreszcie pod nogami poczuli wrzosowisko. Wówczas rzucili się na ziemię, z ostatka sił wyzuci.

Po chwili jednak Sobiesław wstał mówiąc:

- Na nic w mokrych szmatach na ziąbie leżeć, brzeski szlak musi być niedaleko, a przy szlaku trafi się jakaś ludzka siedziba. A choćby i nie, to do słońca iść potrzeba, potem szmaty z wody wyżąć i ognia starać się naniecić. Może gdzie suchą hubę znajdzie, bo nasze namokły.

Ruszyli wlokąc nogi i szli na wschód, ku wstającej za borami jasności. Pierwsze promienie słońca ślizgać się właśnie zaczynały po szczytach drzew, gdy zajaśniał przed nimi piaszczysty pas, przecinający im drogę. Byli na szlaku.

Ocalenie Sobiesława

W miarę zbliżania się do Włodawki Mieszko szybciej iść zaczął, mniej już dbając o to, by nie zauważonym pozostać. Doszedłszy na cztery mile, pod wieczór, po krótkim wypoczynku postanowił iść nocą, mniemając, że przed południem na bitwę trafi. Choć siły Czerwieńców były przeważające, liczył, że zaskoczeniem je rozproszy, a choćby i nie, nie chciał Sobiesława zostawiać własnemu losowi. W ostatku liczył, że Dźwigor nadciągnie; gdyby zaś w porę nie nadszedł, wycofa się ku niemu na zachód. Z bezdroży skręcił na brzeski szlak i szli dość szybko, straży nawet na boki nie wysyłając dla pośpiechu.

Sam Mieszko w sto koni szedł z przednią strażą, jadąc na czele w towarzystwie Zbrozły. Dzik zaś ze Szmatką, Tarłą i trzema ludźmi jechać miał przodem, bardzo się bowiem niecierpliwił i wyrzekął na wojnę, na której ani się bić, ani spać nie można.

Wyjechawszy przodem z postoju z poleceniem, by szedł tak, aby jadących za sobą mógł słyszeć, Dzik zaraz ruszył z kopyta, nie dbając ani o nakaz, ani nie zwracając uwagi na upomnienia Szmutki, że sami przecież na całą Ruś nie uderzą, i że Zbrozło gniewać się będzie. Dzik ofuknął go, by wracał, jeśli się boi, ale on sam właśnie chce spróbować, jaki to naród Czerwieńcy i czy się przed nim ostoją.

- Juści, pewnie, że nie! - mówił kwaśno Szmotka. - Nie wiem nawet, po co kniaź za nami idzie z wojskiem, kiedy was samych na tę wojnę wystarczy, a inni będą wam jeno przeszkadzać.

- Jakbyś wiedział. Cóż to za bitka w takim tłoku, że i zamachnąć się nie ma gdzie.

- A wy to myślicie, że po jednemu wam stawać będą, póki wam się nie sprzykrzy. A jak się zmęczycie, to poczekają...

- Właśnie że nic nie myślę, jeno chcę spróbować.

- Widzę, że nie myślicie, i ja za was muszę myśleć, i dlatego mówię: wstrzymajcie się, póki tamci nie nadciągną.

- Będiesz mnie gniewać, to Tarle sprać cię każę. Siedź cicho albo wracaj, a mnie nie nudź, bo spać mi się chce.

To rzekłszy ziewnął i znowu popędził konia. Jechali szparko, od czasu do czasu jedynie konie stępa puszczać, by wydychały, i niebo bieleć już poczynało, gdy wjechali w wysokopienny las sosnowy, a po chwili od pierwszych promieni słońca pnie sosen zaczerwieniły się.

Zsiedli wówczas z koni, które szły już z trudem, i puściwszy je przy drodze, rozpalili ognisko, by o śniadaniu pomyśleć. Dzik, jak stał, zwalił się na mech i kazawszy Szmacke obudzić się, gdy strawa będzie gotowa, z miejsca zasnął. Szmotka usiadł przy ognisku i mruczał:

- Juści, obudzę cię, ino kniaź nadjedzie; myślę, że pośpisz do południa, a i ja się przedrzemię.

Czekając na strawę wszyscy zadrzemali po trosze. Słońce wzbilo się wyżej zaczynając dogrzewać, a po nie przespanej nocy i po przemarznięciu sen morzył jednego po drugim. Ogień, nie podsycany, przygasał z wolna.

Dzik nagle usiadł na mchu i nadstawił uszu. Przez sen jakby krzyk jakiś posłyszał. Słuchał chwilę i znowu gwar, tym razem silniejszy, i jakby odgłosy walki odróżnił. Skoczył na nogi i kopnąwszy Szmatkę, wrzasnął:

- Na koń!

Zerwali się wszyscy nie wiedząc, o co chodzi, przekonani, że Dzik zgniewał się, iż posnęli, lecz widząc, że skoczywszy na koń, popędził nie oglądając się, dosiedli też koni i pognali za nim, bo się już był o kilkadziesiąt kroków odsadził.

Szlak skręcał nagle ku wschodowi, a tuż za zakrętem otworzył się widok na dość obszerną polanę, na której stało kilka budynków jakiejś osady. Wśród nich kręciło się kilkunastu Czerwieńców. Za budynkami widać było jeszcze innych, a ze słomianej strzechy w pogodnym powietrzu poranka podnosić się właśnie zaczynał słup dymu.

Dzik, nie wstrzymując konia, w pędzie wpadł na obejście, zeskoczył na ziemię i zapominając nawet miecza wyciągnąć, na kręcących się pod oknami chaty runął jak burza, rycząc jak tur z bojowej ochoty. Napad był tak nagły, że nim się spostrzegli, trzech już leżało na ziemi, inni hurmą rzucili się na napastnika, iż kłęb się uczynił.

W mgnieniu oka wszakże Dzik wydobył się na wierzch i przypomniawszy sobie o mieczu, dobył go, a gdy znowu ze wszystkich stron natarli na niego, zawrócił pod ścianę stodoły, i obaliwszy tych, którzy stanęli mu w drodze, do obrony się gotował, gdy na obejście wpadli towarzysze.

Czerwieńcy jednak już przyszli do siebie po zaskoczeniu i zakrzyknąwszy uderzyli na przybyłych.

- Pilnuj mi pleców! - ryknął Dzik do Szmaki i runął w ciżbę, obalając ludzi samym ciężarem. Poczęli się cofać, lecz nadbiegali coraz inni, tak że po chwili Dzik i towarzysze otoczeni byli ciasno i z trudem odpierali sypiące się zewsząd ciosy.

Cofnęli się jeszcze, gdy Dzik, odsapnąwszy, znowu naprzód się rzucił, lecz tym razem Czerwieńcy unikali już zetknięcia się z olbrzymem i do łuków się brali. Zdało się już, że zuchwałych napastników nic nie ocali, gdy cały dach chaty stanął w płomieniach i uczynił się taki żar, że walczący nagle rozpieczęli się w przeciwne strony. Czerwieńcy, obiegłszy od tyłu płonąca chatę, usiłowali obejść napastników, przytomny jednak Szmaka konie polapać zdołał i wskoczywszy na swego, począł wołać, by co prędzej przez szlak do lasu się cofać. Nagle, spojrzawszy na płonąca chatę, wskazał ręką na okno i krzyknął:

- Ludzie tam są!

Dzik spojrział i dostrzegł człowieka z twarzą zalaną krwią, jak przez okno przecisnąć się usiłował. Nie bacząc na żar, skoczył, wyciągnął rannego i zarzuciwszy go na plecy, pędem pobiegł ku koniom.

Chwila ta jednak wystarczyła, by Czerwieńcy odwrócić zamknięli i biegli na Dzika z krzykiem.

- Będziecie zamek budować! - rzekł Szmatka do Dzika gorzko.

- A właśnie, że będę! - ryknął Dzik i runął na nadchodzących. Nagle wrzask się rozległ i kupy jeźdźców polańskich wysypały się ze wszystkich stron. Walka nie trwała długo. Kto nie legł, rzucał broń i związanych na trakt prowadzono. Dzik odsapnął i trącił Szmatkę mówiąc:

- No, nie mówiłem ci?!

- Mądryemu by się to nie przytrafiło - odparł Szmatka.

Podjęli rannego, który jak martwy leżał na trawie, i widząc nadjeżdżających od gościńca ku nim się skierowali. Na czele jechał książę ze Zbrozłą. Gdy podjeżdżali, Dzik, aby uniknąć zapytań, czemu mimo rozkazu naprzód się wysforował, począł wołać z daleka:

- Rannego z chaty wyciągnęliśmy, którego spalić chcieli!

Mieszko, zbliżywszy się, spoglądał na leżącego z zamkniętymi oczyma człowieka, którego pierś ledwo się podnosiła oddechem. Poleciał wody przynieść, umyć go i opatrzyć, i stał cały czas przy tym, wpatrując się bystro. Gdy zmył skorupę krwi z twarzy, ranny otworzył oczy i napotkał oczy księcia, który zapytał:

- Sobiesław! Cóż tu sam robił?

Ranny wskazał na usta, że mówić nie może, i znowu omdlał.

- Nie dowiemy się nic, a nie czas czekać. Sam się przekonam, jak sprawy stoją. Opatrzyć go i zostawić przy nim ludzi, a my jedziemy.

Nadciągnęła tymczasem główna siła, więc ruszyli skręcając z gościńca na wschód. Dzik, który unikał spotkania ze Zbrozłą, wysforował się znowu naprzód, mimo sprzeciwów Szmatki, który złość swą na Tarle zaczął wywierać i do niego się przyczepił.

- Cóż taki rad, że ni zjeść, ni wyspać się nie dadzą? - zagadnął go.

- Bo coś się dzieje: co dzień nowy kraj i ludzie różni, a bitka też dobra była.

- Dobra była, bo się dobrze skończyła. Myślisz, że zawsze kniaź za nami chodzić będzie i pilnować, byśmy nie sześli?

- Jakby zawsze, toby się zecniło, ale nie masz o co płakać, przecie znów idzie za nami.

- Ba, ale czy na czas zdąży? I dobrze, żeśmy ino na kilkudziesięciu ludzi wpadli, ale teraz pewnie całe wojsko przed nami, a Dzik rachować nie będzie, bo i nie umie.

- Ale bić się umie, a ty boisz się, to zostań. Przecie ci Dzik mówił.

- Juści, że się boję, każdy człowiek się boi. Ino taki skat jak on nawet się bać nie umie. A ubiją go, to gdzie ja drugiego takiego głupiego pana znajdę? Żeby się choć upomniał o nagrodę u kniazia, że mu tego Sobiesława, co go to chciał obwiesić, z ognia wyciągnął; to i to nie. To po cóż się bije, jak nie będzie z tego nic miał?

- Przecież nie czas i nie pora była. Książ rannym był zajęty, a idzie na bitwę.

- Głupiś, właśnie najlepsza pora. Można było choć tych jeńców, co pobrani, dostać. Byłoby kim las karczować i kamień łamać. A jak spokój będzie, to ich policzą, co mają lepszego z szat i klejnotów, wezmą i dadzą ci z łaski dwóch gołych i połamanych chłopów. Chlew se postawimy, nie zamek, jak tak dalej pójdzie. A teraz by książ dał nie licząc i dobry gródek byłoby kim dźwignąć i obsadzić.

- Przecie Dzik skarby mają, to se kupią jeńca.

- Dobryś doradca! Płać ino za wszystko bez potrzeby, to długo będziesz miał.

Wyrzekania Szmatki przerwał Dzik, który, wyjechawszy na kraj równiny pod lasem, wstrzymał konia. Wpatrując się przed siebie zawołał:

- Dymy widać!

Jakoż na krańcu płaszczyny, z rzadka jeno krzami i pojedynczymi drzewami porosłej, w południowym słońcu widać było ciemne pasmo wzbijające się ku górze.

- Ogniska palą czy co innego?

- Za duże to dymy na ogniska, ale co by, kiedy tam ni budynków, ni lasu nie ma. Na las zresztą za małe.

- Trzeba podjechać i zobaczyć - rzekł Dzik.

- Myślę, zaczekać by trzeba na kniazia.

- Przecie jak nadjedzie, sam zobaczy.

- A może byśmy coś zjedli? Ma być bitwa, to i sił nabrać trzeba. A wiemy to, kiedy potem jeść będziemy albo i co, jeśli nam przepadnie w skrzęcie?

- Czasem to i dobrze mówisz - rzekł Dzik z przekonaniem.

Zsiedli z konia i Szmatka zaraz wziął się do rozniecania ogniska.

- Dawaj, co masz gotowego, będę czekał, aż upieczesz, jak rano.

- A źle się stało, żeśmy pospali? Byłby książ na czas nie nadszedł i nas by teraz wilcy jedli.

- A myśmy za to nie zdążyli pośniadać. Dawaj zaraz, co masz, i ruszamy.

Szmatka z westchnieniem wydobyl z torby przy siodle wędzone mięso i kołaczki i zabrali się do jedzenia. Dzik napychał się dokładnie i z namaszczeniem. Gdy skończył, westchnął:

- Skocz no, Szmatka, gdzie po wodę, w gardle stoi mi to suche żarcie.

Szmatka ruszył się, lecz Dzik rzekł podejrzliwie:

- Zostań, lepiej niech Tarło skoczy. Ty byś pewnie do Bugu po wodę poszedł. Na wieczór by była.

Szmatka usiadł, a Tarło kopnął się i czekali na jego powrót. Po chwili Szmatka wstał i poszperawszy w torbie, wydobyl kamionkowy dzbanek, kołkiem zatkany. Pobelał nim koło ucha, wyciągnął zębami kołek i dobywszy kubka nalał sobie i wypił.

Dzik patrzył na niego i zapytał:

- Co zaś pijesz?

- A miodu tam kapka została. Dobrze, że nie rozbili w bitce.

- Pokaż! - rzekł Dzik.

- Co tam pokazywać? Miód jako miód.

- To sam będziesz pił?

- A sam, bo mało go jest. Trochę ci mi jeno Bielej ulał z miecha, co go ma Zbrozło. Żebyście tak nie spieszyli, wziąłbym więcej.

- Jak myślisz, daleko kniaź może być za nami?

- Pewnie lada chwila nadciągną. Zresztą chcecie, to skoczę zobaczyć, ino musicie na mnie poczekać.

- Poczekaam, ino musisz mi miód zostawić, bo mnie czkawka bierze, a jakoże się będę bił, gdy mnie aż podrzuca.

- To wypijcie, a ja wezmę kamionkę i świeżego przywiozę.

- Mądrze mówisz. Nie ma jak miód przed bitwą. Kiedy się napiję, tobym wszystko dokoła łamał i rozbijał, taki się mocny czuję.

Szmatka wręczył Dzikowi kamionkę i skoczywszy na konia, pędem puścił się z powrotem, wołając:

- A pamiętajcie poczekać!

Tarło nadszedł po chwili z wodą, lecz Dzik, choć go czkawka dręczyć nie przestawała, skrzywił się:

- Po miodzie woda jeszcze gorszy smak ma. Zaczekaam, aż Szmatka wróci.

Czekał jednak długo i zniercierpliwiał się już na dobre, gdy spostrzegł nadjeżdżającego księcia z kilkunastu jeźdźcami. Dojechawszy przystanęli i Mieszko patrzył przez chwilę na dymy na widnokręg, które ułożyły się tymczasem w równe pasmo. Po chwili rzekł:

- Trzeba podjechać, zobaczyć, jak sprawy stoją.

- Ja pojedę - ofiarował się Dzik, który nadaremnie mrugał na Szmatkę, stojącego na końcu orszaku i wpatrującego się pilnie w kierunku dymów, jakby on bitwę miał prowadzić.

- Nie pojedziesz - rzekł książę - bo teraz nie bić się trzeba, jeno wypatrzeć, co się dzieje. Zostaniesz przy mnie.

I zwracając się do Prandoty, polecił co najszybciej wysłać kilku ludzi, by położenie zbadali, a wojska kazał na kraj lasu przysunąć.

Dzik tymczasem, korzystając z zamieszania, zbliżył się do Szmatki i zapytał:

- Miód przywiozłeś?

- Zbrozło przy Sobiesławie został, a mnie książę kazali jechać ze sobą.

Dzik poskrobał się ze złości po głowie:

- Zawsze coś nakrzywisz. Miodu nie ma, a bitka mnie ominie, bo książę kazał zostać przy sobie: Chyba się spać uwalę albo co?!

- Nie do rady was przecie książę potrzebuje, jeno by go w bitce chronić, bo i sam skoczy pewnie. Tyle że nie zaraz z początku. Pilnujcie go dobrze, boby nam przepadło, coście zapłacili. A pamiętajcie prosić go o jeńca zaraz po bitwie. Zresztą i ja go przypilnuję, zwłaszcza jak będzie rozdawał nagrody za męstwo.

- Już ja tam księcia dopilnuję, ty mi ino pleców pilnuj. Z przodu nie boję się nikogo, ale z tyłu nie lubię, by mnie kto zajeżdżał, od czasu jakieś mnie w łeb zdzielił, ty wywłoko! - wrzasnął w nagłym gniewie.

Szmatka drgnął, lecz odezwał się z godnością:

- To dawno zapomniane, a pamiętajcie nie krzyczeć.

Sprzeczkę przerwał przyjazd Zbrozły, który podjechał do księcia. Mieszko zapytał:

- Jak tam Sobiesław?

- Rychło będzie zdrow. Strzałą twarz ma przebitą, język skaleczony. Wyczerpany jeno bezsennością i walką i krwi dość mu uszło. Przestał już krwawić, ale język mu spuchł i mówić nie może. Porozumiałem się z nim jednak. Z podjazdem wyszedł i otoczyli go, przekradł się z dwoma ludźmi którzy zginęli w chacie, gdzie zaskoczyli ich śpiących. Za jakie dwa dni będzie się można z nim

rozmówić.

- Tymczasem nic mi z tego - rzekł Mieszko. - Wcześniej sam będę wiedział, czego się trzymać. Teraz by się przydało mieć wiadomości, jak obóz rozłożony i czy się Pakosław z Dźwigorem połączył.

To rzekłszy ruszył koniem i zmierzał ku kępie drzew podszytej krzami, skąd straż na równinę dawały baczenie.

W tej chwili z kępy wyjechał jeździec i pędem puścił się ku księciu. Dopadłszy zatrzymał konia ze słowami:

- Wysłani pod obóz wracają ścigani!

- Wielu ich ściga?

- Nie widać, bo krze zasłaniają i pagórki.

Mieszko kazał Prandocie dwie setnie na koniach co ściglejszych mieć w pogotowiu, by Czerwieńcom drogę odwrotu zamknąć, gdy pod las dopadną. Pozostałe wojsko cofnął w głąb lasu, a sam ze Zbrozłą i Prandotą na skraju czekał.

Po chwili dostrzegli jeźdźców, migających między kępami krzów w falistej okolicy. Zbliźali się szybko do kępy, która zakryła ich przez chwilę, zaraz jednak wypadli z niej i w pędzie zmierzali ku Mieszkowi, a tuż za nimi gnali Czerwieńcy. Równina zatętniła od kopyt idących w skok koni.

Mieszko skinął i dwie setnie ruszyły od skrzydeł, by odciąć drogę ścigającym. Czerwieńcy na ten widok, zdarłszy konie, zawrócili i ława jeźdźców, których środek, stanowiła Czerwień, skrzydła zaś Polanie - pognąła z powrotem. Dopadli kępy i zniknęli w niej. Polanie jednak, siedząc na wypoczętych koniach, objechawszy zagajnik, wyprzedzili uciekających i do uszu stojących pod lasem doszły wrzaski i odgłosy walki. Do księcia zbliżył się wojak, wracający z podjazdu, mówiąc:

- Czerwieńcy przesiekę, którą obóz Sobiesława był umocniony, podpalili i czekają, aż przez żar przejść będzie można. Siła duża, samej jazdy do trzech tysięcy, a pieszego ludu najmniej drugie tyle. W obozie naszej jazdy nie ma, widno wszystka wyszła.

- Bierzcie tysiąc ludzi i próbujcie przebić się do obozu. Jeśli Dźwigor nadciągnął, uderzyć o świtaniu całą siłą, a ja uderzę z drugiej strony. Jeśli nie nadszedł, niech pieszy lud nocą chyłkiem przejdzie rzekę i co sił nadąza za Deszką ku Lublinowi, a wy uderzycie na prawe skrzydło i ku Wieprzowi starajcie się wymknąć, bitwy o ile można unikając; póki nie połączycie się z Dźwigorem. Ja pójdę za wami.

Prandota skłonił się i pomknął ku wojsku, a po chwili gromady jezdnych wysypały się z lasu. Sprawił szyk, stanąwszy na czele ruszył i tętent tysięcy kopyt zagłuszył gasnący już gwar bitwy za kępą.

Księżę skierował się w las, gdzie dowiedział się, że nadszedł Zyra ze spieszonym oddziałem Sobiesławowych ludzi. Zjawił się ubłocony i ledwo się trzymający na nogach z utrudzenia. Mieszko

pospiesznie wypytywał o położenie obozu i podjazd Sobiesława.

Zyra opisał obóz i wyjaśnił, że jazdy w nim nie ma, bo część wyszła z Sobiesławem, część naprzeciw Dźwigora. Konie zostawić musieli w leśnej kępie pod strażą kilkunastu ludzi, gdyż Czerwieńcy przejścia przez bagna pilnowali. On sam z resztą ludzi wymknął się kładką i ku obozowi nadażał. Wielu ustało po drodze z wyczerpania, tak że jeno pół setki przyprowadził. Jeśli ci, co na spotkanie Dźwigora wyszli, nie wrócili, coś ich w drodze zaskoczyć musiało.

Książę natychmiast polecił wysłać podjazd, który, odpędziwszy wroga pilnującego przejścia na kępę, konie miał sprowadzić, a Zyra mimo przemęczenia wprosił się na przewodnika, bo o konie był niespokojny i wstyd mu było jak kmieciowi na piechotę wojować.

Zanim podjazd wyszedł, przybieżał goniec donosząc, że Prandota przebił się przez Czerwieńców, którzy za nim wtargnęli i w samym obozie się biją. Mieszko, spoglądając na chowającą się za lasami czerwoną tarczę słoneczną, powiedział:

- Zaraz mierzchnąć zacznie, w mroku bitwa ustanie pewnikiem. Przez noc musicie wytrzymać, przed świtem ruszymy.

Obóz uciszał się z wolna. Koło północy po więdnących liściach zaszemrały krople deszczu, który wkrótce zmienił się w ulewę. Śpiący pobudzili się i czekali drżąc z zimna, kiedy książę ruszać każe, chroniąc się tymczasem przed deszczem, jak się dało. Mieszko obudził się również i siedząc ze Zbrozłą przy maleńkim ognisku w skleconym naprędcie z gałęzi i darni szałasie, omawiał położenie, gdy przyszła wiadomość od Prandoty, że wyparł Czerwieńców z obozu i pieszy lud przeprowadził za Włodawkę.

Książę wyszedł przed szałas i spojrzał na niebo. Deszcz ustawał i na wschodzie niebo jaśniejszą już przybierało barwę. Szarzało. Wydał rozkaz przygotowania się do wyruszenia i zakotłowało się w obozie. Wojska wychodziły z lasu i setnicy sprawiali swe oddziały. Ruszyli na południowy wschód się kierując. Pozostali jeno ludzie z oddziału Zyry, którzy czekać mieli na jego powrót z końmi.

Dzień się uczynił tymczasem i opona chmur przecierała się, a jesienne blade słońce przezierało chwilami przez opar. Książę nakazał szybki pochód i wojska zbliżały się w skos ku Włodawce.

Koło południa zatrzymali się na dłuższy postój i wówczas dopadli gońce od Pakosława oznajmiając, że nadchodzi z Mazurami i o pół dnia drogi się znajduje. Mieszko, wywiedziawszy się o jego siły, powiedział do Zbrozły:

- Do jutra tedy skończymy, a potem za Deszką na Grody Czerwieńskie.

Gońcom natychmiast kazał wracać do Pakosława z poleceniem, by, zostawiwszy pieszych, z jazdą co sił za nim nadażał, choćby i konie miał zmarnować, sam zaś wojska ku południowi skierował i wkrótce wszedł na szlak, którym przeszli Czerwieńcy w ślad za Prandotą.

Po drodze spotykali porzucone części uzbrojenia oraz trupy końskie i ludzkie. Widocznie Czerwieńcy szli na karkach Prandotowego oddziału. Mieszko pospieszał, ile sił w koniach, ślady pochodu były

coraz świeższe, lecz krótki, chmurny znowu dzień miał się ku schyłkowi.

Tropy skręciły dość nagle ku północy, na wprost zaś rozpościerały się grząskie łąki, które widocznie skłoniły Prandotę do zmiany kierunku. Pod kopytami zaczęła chłupotać woda. Ciemno już prawie było, gdy weszli na suchszy grunt, dość nagle ku górze się wznoszący. W tej chwili przyskoczył goniec od przedniej straży mówiąc, że nie opodal Czerwieńcy na noc stanęli na podłużnym wzgórzu, stanowiącym jakby naturalną groblę między dwoma bagnami.

Mieszko zaraz pochód wstrzymał i wzięwszy Zbrozłę, Brońca oraz Dzika ze Szmatką i Tarłą ruszył naprzód, położenie rozpatrzyć.

Podjechawszy kilka stajań, zauważyli ognie, które Czerwieńcy rozpalili na wzgórzu.

Księżę kazał zsiąść z koni i zostawiwszy przy nich Brońca, pieszo z pozostałymi począł się podsuwać, aż obóz dokładnie rozróżnić było można, a bystry wzrok Dzika odróżniał nawet ludzi uwijających się między ogniskami.

Niebezpiecznie było podchodzić bliżej, bo choć Czerwieńcy nie mogli się nieprzyjaciela z tyłu spodziewać, przecie i od tej strony straże wystawić musieli. Mieszko przystanął tedy i przez jakiś czas w milczeniu bacznie obóz oglądał.

Grobla, niewidoczna w ciemnościach, musiała być wąska, kształt jej wskazywały ogniska, wąskim pasem na dość długiej przestrzeni rozłożone.

Mieszko ozwał się do Zbrozły:

- Do nogi byśmy ich tu wygnietli, gdyby Prandota z drugiej strony uderzył. Nie mógł ująć daleko, bo konie mu ustać musiały. Jeno wieści przesłać nie ma jak.

- Przez bagno może by i przeszedł, ale pewności nie ma, zwłaszcza w nocy. A już najbardziej wątpliwe, czyby posłaniec pieszo na czas zdążył. Rano pewnikiem ruszą dalej i już ich na grobli nie zamkniemy, jeżeli nie uderzymy przed świtem.

- Może by się przez obóz przekraść dało?

- Niemożliwe, bo między ogniskami przechodzić trzeba. Bagna po obu stronach.

- A i tak przed świtem uderzę. Liczę, że Prandota musi Dźwigora napotkać, to się wróca. A my Czerwieńców na wąskiej grobli przytrzymamy.

- Trzy razy więcej ich niż nas. Jeśli Prandota nie nadejdzie, możemy nie strzymać.

- To się na Pakosława cofać będę.

- Razem z nimi za mało nas. Niebezpieczna gra na całej wyprawie zaważyć może. Gdyby nas rozbili, ruszą na prandotę, a dopadną go, nim połączy się z Dźwigorem, to i jego zniosą. Wtedy ani Dźwigor, ani Pakosław sami nie stawią czoła, tym bardziej że o sile nie wiedzą i wszystko pójdzie w rozsypkę.

Przynajmniej Prandoty trzeba być pewnym, aby bitwę wydać. Jeny jak go zawiadomić?

Dzik, który stał za Zbrozłą, ozwał się:

- Ja pojedę!

Mieszko zwrócił się do niego żywo:

- Jak?

- A na konia siądę i pojedę.

- Przez obóz?

- Ano juści!

Książę mimo woli roześmiał się.

- To myślisz, że patrzeć będą na jadącego i nie zaskoczą ci?

- Co mam myśleć. Zaskoczą, to będę prał.

- Przecież ich trzy tysiące. Wszystkich nie pobijesz.

- Tylu, co się przy mnie zmieści, pobiję, byle mnie z tyłu kto nie zajechał. Szmatka, jedziesz ze mną, żeby mi pleców pilnować?

- Pojechałbym, żeby miłościwy książę pięćdziesięciu jeńca nam dał.

- I ja bym pojechał, panie - rzekł Tarło.

- Ty zostaniesz - ozwał się Zbrozło.

- Jeszcze niedźwiedź w lesie - roześmiał się Mieszko do Szmatki - a o skórę jego się targujesz?!

- Bo tańsza, póki niedźwiedź żywy - odparł Szmatka.

Mieszko zwrócił się do Zbrozły:

- Co myślicie?

- Niech jadą. Stawiacie siebie i całe wojsko, możecie i ich postawić. Jeśli nagle naskoczą, to mogą przejechać. Koni w obozie nie ma. Nim ich dopadną, mogą umknąć, jeśli nie ubiją ich w obozie.

- Tedy jedźcie, a zaraz, bo czasu szkoda: Przed świtaniem Prandota musi uderzyć.

- Dobrze - rzekł Szmatka. - Już ja dopilnuję, bo ten witez mógłby zapomnieć, po co jedziemy. Jeny jak będzie z tymi chłopami?

- Dostaniecie - zapewnił Mieszko.

- To jedźmy! - rzekł Szmatka.

Siedzieli już na koniach, gdy Zbrozło powiedział:

- Gdybyś widział, że się nie przebijesz, umykajcie w bagna. Ciemno, to was ścigać nie będą.

- Zaśbym się ta nie przebił! - odparł Dzik i trąciwszy konia piętami, ruszył z miejsca, a Szmatka za nim.

Ogarnęła ich cisza i ciemność, jeno z dala świecił obóz, ku któremu zmierzali.

Po chwili Szmatka ozwał się szeptem:

- Wy się naprawdę nie boicie?

- Czego? - spytał Dzik.

- Dogada się z wami! - rzekł ze złością Szmatka. - Przecie nie na wesele jedziemy!

- Na jakie wesele?

- Ee! - zniecierpliwiał się Szmatka. - Żadne wesele we dwójkę na cały obóz. Tak mi się widzi, że nas ubijają.

- Myślisz? - spytał Dzik.

Szmatka aż się zachnął ze złości:

- A myślę. A wy to nic, nawet jak by zrobić, przejechać.

- Dużoś wymyślił?! Jedziemy przed siebie; albo przejedziemy, albo nie.

- Nie przejedziemy, to jeńca nie dostaniemy.

- Przecież myślisz, że nas ubijają, to co ci po jeńcach? Zbrozło też pewnie myśli że nas ubijają, bo Tarle nie dał jechać. A wolałbym jego, boby mi tu nie płakał. Chłop jest jak należy, choć śmierdzi jeszcze mlekiem. Nie boi się niczego.

- Bo też głupi jest. O bitce jeno myśli, a nie, by mieć coś z tego.

- Trzymajże teraz głowę, bo strażę tu już mogą być.

- Z tej strony się pewnikiem nie pilnują, bo nie wiedzą, żeśmy za nimi.

- Wszystko jedno. Cichaj!

- Wiecie co? - szepnął Szmątka. - Lepiej zleźmy z koni. Wskoczmy, jak trza będzie uciekać. A tak zawdy z jednej strony za koniem nie widać, kto idzie. A i Czerwieńcom w głowie nie postoi, by se kto obcy tak bez ich obóz konie prowadził.

- Dobrze mówisz! - rzekł Dzik i zeskoczył z konia, a za nim Szmątka i szli dalej pieszo.

Obóz był tuż i przywykłe do mroku oczy w poblaskach przygasających ognisk rozróżnić zaczęły otoczenie. Szli cicho po piaszczystym, łagodnym stoku i zbliżali się do kępy krzów, za którą w odległości pół strzelenia z łuku zaczynały się ogniska.

Mijali właśnie kępę, gdy jakaś postać dźwignęła się z ziemi i ozwał się głos:

- Koniowody?

- Mhm! - mruknął Dzik i dostąpiwszy chwycił obcego za gardło i pięścią wyciął go między oczy. Trzymał zwiotczone ciało jeszcze chwilę, póki nie uspokoiły się drgania, i położywszy trupa na murawie, mruknął:

- Kruchą miał głowę jak jaje.

- Konie muszą być z tej strony kiedy nas za koniowodów wziął - szepnął Szmątka. - Żeby ino obóz przejść, to i nie dościgną nas. Nim konie sprowadzą, będziemy daleko.

Za chwilę mijali pierwsze ognisko, starając się mieć je między sobą a końmi. Przy ogniskach leżeli lub siedzieli drzemiąc wojownicy. Niektórzy spoglądali na przechodzących i obojętnie odwracali głowy. Szmątka, którego włosy wyprężyły się ze strachu, gdy dochodzili do pierwszych ognisk, poczynął lżej oddychać i mówił do siebie: "Jeszcze tylko jedno stajanie i już jesteśmy bogaci".

Widocznie jednak w złą chwilę pomyślał, gdyż właśnie od znajdującego się o kilkadziesiąt kroków przed nimi większego ogniska wstało dwóch ludzi, kierując się w ich stronę. Szmątka aż skurczył się ze strachu, lecz Dzik śmiało szedł dalej i zbliżali się ku sobie.

Szmątce zdało się, że idą miesiąc. Coś jakby go z tyłu za włosy trzymało nie puszczając. Jednak szedł za Dzikim, bo nie mógł nie iść.

Wreszcie przerażająca chwila skończyła się i tęgi człowiek w futrzanym kołpaku, z mieczem przy boku, stanął przypatrując się bacznie Dzikowi, ze zdziwieniem i niedowierzaniem.

Dzik chciał minąć stojącego, lecz ten porwał za miecz i krzyknął:

- Coś za jeden?

Od pobliskich ognisk wiele głów zwróciło się ku nim, niektórzy porwali się na nogi za broń chwytając.

Dzik, nie odpowiadając, skoczył w siodło. Przeciwnik zamachnął się mieczem, lecz Dzik nogą odbił cios i trąciwszy konia piętami, pognał, a Szmątka za nim.

Dziesiątki ludzi poderwało się od ognisk i ogłuszający krzyk rozległ się po całym obozie. Ci, co nie widzieli zajścia, ze snu obudzeni, myśleli, że nocny napad. Kilkunastu ludzi zabiegło drogę, lecz Dzik w pędzie obalił zastępujących, a już zbliżały się ostatnie ogniska, za którymi zalegała zbawcza ciemność.

Kilka strzał gwizdnęło im koło uszu i świstały coraz gęściej. Minęli ostatnie ognisko, gdy Dzik poczuł uderzenie i pękający ból w lewej łopatce: Równocześnie Szmątka krzyknął.

Dzik obejrzał się, lecz widząc Szmatkę na koniu, popędził dalej i za chwilę od obozu oddzielił ich leszczynowy gajk. Gnali jednak, aż konie chrapać poczęły. Dzik chciał jechać dalej, lecz Szmątka zawołał:

- Stańcie, bo nie wytrzymam!

- Co ci jest? - spytał Dzik wstrzymując konia.

- Strzałę mam w nodze i tak mi wierci przy jeździe, jakby mnie kto żelazem przypiekał.

- To wyciąg i jedźmy dalej.

- Jakże wyciągnę, grot z przodu czuję, bo na wylot przeszła.

- Pokaż! - rzekł Dzik zeskakując z konia, przy czym jęknął z bólu. Po ciemku namacał strzałę tkwiącą w udzie Szmátky, odłamał pierzasty belt i chwyciwszy za sterczący koniec, pociągnął i wyrwał strzałę z rany.

- Rety! - ryknął Szmątka i zimny pot wystąpił mu na czole.

- Stulże pysk! Miękkiś jak baba. Pewnikiem cię aż w naszym obozie słyszą. Popatrz lepiej, co mi się w plecy stało, bo całe mam mokre i lewą ręką ruszyć nie mogę.

Szmątka namacał w ciemnościach strzałę tkwiącą skosem w lewej łopatce Dzika. Szarpnął aż Dzik syknął, i obmacał wyrwany promień. Grotu nie było.

- Źle jest, grot został w ranie.

- A żeby cię, niezdaro! - mruknął Dzik.

- Przecież niewinowaty. Musi grot w kości tkwić, a słabo przymocowany, to się urwał.

- No, wszystko jedno. Jedziemy dalej, bo nas tu jeszcze dopadną. Bekuś narobił jak zarzynany skop. Zresztą za śladem Prandoty musimy podążać. Ino jak go znaleźć, kiedy ciemno jak w ulu?

- A wam po co do Prandoty? - ozwał się jakiś głos w ciemności i kilka postaci podniosło się z chaszczów i otoczyło stojących.

Dzik mimo woli sięgnął do noża, lecz Szmątka, skwapliwie, z drzeniem w głosie odpowiedział:

- Od kniazia Mieszka my wysłani!

- Jakżeście przez obóz przejechali? - zapytał nieznajomy.

- A na koniach - odparł Dzik.

- No zobaczymy, tymczasem pójdziemy.

- Dokąd?

- Właśnie do Prandoty.

- To chodźmy - rzekł Dzik.

Szmatka chciał gramolić się na konia, lecz nieznajomy nie dał mu, mówiąc:

- Póki nie wiem, coście za jedni, nie będziesz jechał wierzchem.

- W nogę ranionym, nie ujdę. A co my za jedni, to mogę powiedzieć, jeśli sami nie widzicie. Toć jest władca Dzik, a ja jestem burgrafem w jego dworze. Przecież nas całe wojsko zna.

- To jest Dzik? No, widać, że chłop ogromny ale po ciemku nie rozezna. Siadaj i chodźmy, bo czasu szkoda.

- I pewnie! Ale wy nas, nie my was wstrzymali.

Wgramolił się na konia, stękając z bólu, i ruszyli. Dzik szedł pieszo, osowiały i na zapytania dowódcy podjazdu, Wocha, odpowiadał pomrukami, a w końcu całkiem zamilkł.

Za chwilę w ciemnościach zamajaczyły cienie drzew i dotarli do dąbrowy, z której dochodził szmer obozujących.

Opowiedzieli się straży i weszli między drzewa, mijając w ciemności leżących wojaków i przywiązane do krzów i pni konie. Dość nagle dostrzegli blask ognia po pniach, jeno ogniska widać nie było.

Znajdowało się w wykopanej pod korzeniami jamie, obok zaś spało kilku ludzi nakrytych kożuchami. Jeden siedział przy ognisku i coś w nim grzebał.

Za zbliżeniem się przybyłych odwrócił się i zapytał:

- Co nowego, Woch?

- Posłańce od kniazia.

Na te słowa jeden z leżących, z głową nakryty, podniósł kożuch, dźwignął się i zapytał:

- Od kniazia?! Jakże się przedostali?

Dzik, nic nie mówiąc, usiadł, natomiast Szmatka, z trudem złażąc z konia, odparł:

- A przez obóz. Tymczasem nie chce nam się opowiadać, bo nas poranili. Jeno kniaź kazał wam przed świtem na Czerwieńców uderzyć, póki z grobli nie zejda. Sam z drugiej strony skoczy.

Niedowierzenie odbiło się na twarzy Prandoty. Chwilę namyślał się, po czym rzekł:

- Żebym Dzika nie znał, tobym nie uwierzył. Przecie ich więcej niż nas razem, a ludzie tak zmordowani, że jeść nie chcą jeno jak stali, tak się powalili. Straciłem też trochę, i rannych mam niemało.

- Za kniazem nadąza Pakosław, a z tej strony ma przyjść Dźwigor. Kniaź myślał, że już połączył się z wami.

- Nie połączył się, zminąć się łatwo. Żeby to Czerwieńcy poczekać chcieli albo w tamtą stronę się zwrócili, ale jak uderzą na nas, to nie strzymamy. A uchodzić - nie ujdziemy, bo i konie zmachane okrutnie i nie rozsiodłane od dwóch dni. Ale co mówić, chce kniaź, byśmy uderzyli, to uderzymy.

Szmatka zatroskany pocierał stękając drętwiejącą nogę, i rzekł:

- Żeby kniaź wiedział, żeśmy się przedostali, toby sam pierwszy uderzył i zwróciliby się przeciw niemu. A tak, to nam jeńcy przepaść gotowi.

- Jacy jeńcy?

- Kniaź nam pięćdziesięciu chłopu obiecał, jak dojdziemy do was. Słuszniem mu rzekł, że tania skóra na żywym niedźwiedziu. Tyle mamy, że nas poranili, a w końcu ubiją albo samych pobiorą.

- No, będziesz się później martwił. Tymczasem opatrzeć was trzeba, a nam snu jeszcze tych parę chwil, co zostało.

I zawołać polecił starego Czapłę, który znał się na ranach by przybyłych opatrzeć.

Rana Szmatki nie była groźna. Strzała przeszła gładko przez mięśnie. Krwi trochę uszło i jeszcze się sączyła. Chustą ranę owinięto i Szmatka, napiwszy się wody, kozuchem się okrył i zasnął.

Z Dzikiem było gorzej. Kubrak trzeba było rozcinać, gdyż ręki dźwignąć nie mógł ani jej ruszyć nie pozwolił. Gieźło miał krwią, już skrzepłą, przylepione do pleców. Gdy je ściągnięto i Czapla zmył krew, ukazała się głęboka rana na łopatce. Potężne kłęby mięśni rozorane były do kości, a lewy bark i ramię nabrzmiałe. Siedział zły i nie odpowiadał na pytania. Syknął, gdy mu gieźło oddzierano, po czym zamilkł. Dopiero gdy skończywszy opatrunek Czapla nałożył mu kubrak, bo noc była chłodna, ozwał się:

- Dajcie pić!

Napojony wstał, bez słowa odszedł na bok i wyszukawszy samotne miejsce, zaszył się w krze.

Obóz ucichł, lecz nie na długo. Ciemność jeszcze była głęboka, gdy wszczął się ruch i stąpanie koni: Potem w dąbrowie uciszyło się, jeno na błonię tętent licznych kopyt zadudnił i począł się oddalać, aż ucichł.

Ruch nie obudził Szmataki, który zmożony przeżyciami ostatniej nocy i wpływem krwi spał głęboko.

Dzień, zrazu mglisty, wypogodził się, gdy słońce wzbilo się nad mgły. Promienie jego złocić zaczęły liście dębów i pojaśniało w dąbrowie. Od czasu do czasu rozlegało się kucie dzięcioła, to dalsze, to bliższe, lub sójki z hałasem naradzały się, czy odlatywać na zimę, czy pozostać. Narady przechodziły w kłótnię, która przenosiła się z drzewa na drzewo. Wreszcie wszystkie naraz zaskrzeczały czymś innym zaciekawione i odleciały, a w tejże chwili zatętniły kopyta kilku koni które, dobiegłszy dąbrowy, zatrzymały się i jakiś głos zawołał:

- Jest tam kto?

Ktoś odpowiedział. Szmataka usiadł i zbierał zmysły; czy śniło mu się, czy rzeczywiście znajomy głos usłyszał? Zakłuło go w nodze i otrzeźwiał zupełnie. Wczorajsze przeżycia, które utonęły w głębinie snu, wydobywały się na jaw i zaniepokoił się.

W tej chwili posłyszał trzaski łamanego stopami suszu i kroki kilku ludzi, zmierzających ku niemu. Chciał wstać, ale zdrętwiałe od snu i chłodu członki odmówiły posłuszeństwa więc usiadł i z niepokojem patrzył w kierunku nadchodzących.

Zbliżali się rozmawiając i Szmataka, poznawszy głos Zbrozły, odetchnął.

- Musieli sprać Czerwieńców, kiedy Zbrozło tu jest - pomyślał i zawołał:

- Bywajcie!

Za małą chwilę byli przy nim. Zbrozło rozglądnał się i zapytał:

- Gdzie Dzik?

Szmataka obejrzał się i rzekł:

- Nie ma go? Chyba gdzieś poszedł, bo tu nas opatrywali. Ja po opatrunku zasnąłem i dopiero się obudziłem.

- Skocz poszukać Dzika! - polecił Zbrozło Tarle, i stanąwszy nad Szmatką, ranę mu okazać polecił. Obejrzał ją i rzekł:

- Za miesiąc zapomnisz, że byłeś ranny. Tymczasem nie kręć się bez potrzeby.

- Każcie jeno ognia napalić i jeść mi dać, bo zmarzłem i zgłodniałem.

- Zaraz, jeno Dzika opatrzę. Gdzie by się podział? Tarło! - krzyknął.

- Tu jestem - odpowiedział głos - jeno nie mogę go znaleźć. Pewno gdzie usnął.

Zbrozło dwom pachołkom polecił pomóc szukać Dzika, chodzili więc po dąbrowie, hukając od czasu do czasu. Po chwili wrócili zaniepokojeni, bo znaleźć go nigdzie nie mogli.

Zbrozło wstał, zastanowił się przez chwilę i ruszył przed siebie, a za nim Tarło z pachołkami. Doszli do lekkiego, podłużnego wzniesienia, na którym rósł potężny dąb, a u jego stóp parę krzów i gąszcz zwiędłej paproci i zielsk. Zbrozło stanął i rzekł:

- Zobaczcie tutaj!

Tarło opuścił się ze wzniesienia i spostrzegł, że pod korzeniami drzewa ziemia z jednej strony się obsunęła i korzenie wiszą w powietrzu, a pod nimi, wypłukana lub zapadnięta w jakieś stare czy borsucze korytarze, czerniała dość obszerna jama, zasłonięta krzami.

- Jest tu, bywajcie! - zawołał do Zbrozły.

Zbrozło przedarł się przez chaszczę ku jamie i spojrzał. Dzik leżał na prawym boku, z podkurczonymi nogami. Gdy Zbrozło stanął nad nim, leniwie odwrócił głowę. Jakby cień radości czy ulgi przemknął przez zlaną potem twarz i zaczerwienione błyszczące oczy, ale z powrotem głowę odwrócił, nie rzekłszy słowa.

Zbrozło kazał pachołkom wyciąć chaszczę i gałęzie, które mu przeszkadzały i zaciemniały jamę, oraz rozpałić ognisko i wody w kociołku zgotować. Przykląkł koło Dzika i gładził go po głowie. Ciche westchnienie poruszyło jego olbrzymią pierś, a Zbrozło szeptał:

- Zaraz ci ból odczynię i sen sprowadzę. Będiesz spał i spał a jak się zbudzisz, lekko ci będzie.

W tej chwili rozległy się kroki Szmatki, który nadchodził o kiju, kulejąc, a spostrzegłszy w dole szukanych, rzekł żałośnie:

- A toście mnie jak psa zostawili, bez ognia i żarcia.

Zbrozło nie rzekł nic, jeno spojrzał na Szmatkę, a ten zamilkł i usiadł zarazem zaniepokojony i zaciekawiony.

Zbrozło począł znów gładzić Dzika palcami po twarzy, głowie i karku, ledwo go dotykając i szepcząc jakieś słowa.

Z twarzy Dzika znikł skurcz bólu. Poruszył się wyprostowując nogi. Głowa z wolna opadała mu na ramię, wreszcie oparł ją o ścianę, wpatrując się wciąż w tkwiące nad nim blade oczy Zbrozły. Zaczęło go opanowywać jakieś odrętwienie i senność. Pomału tracił świadomość otoczenia, ciemniało mu przed oczyma, wreszcie znikło wszystko, jeno oczy Zbrozły, jak dwie jasnobłękitne plamy, tkwiły nad nim w ciemności. I one zaczęły przygasać i oddalać się, wreszcie wszystko zniknęło i świat zapadł się w nicość.

Zbrozło wstał, przetarł oczy i rzekł do Tarły:

- Rozebrać go do pasa i czyste chusty mi dać!

Szmatka, trzęsąc się z dziwnego podniecenia i strachu, patrzył jednak z zaciekawieniem na zachowanie Zbrozły, który, wzięwszy chusty, jedną na ziemi rozpostarł każąc ułożyć na niej Dzika plecami do góry, drugą zaś podarł na kilka kawałków i wyjąwszy z torby jakieś zioła, razem z kawałkami płótna wrzucił do kociołka, w którym woda tymczasem zawrzała, po czym przystąpił i klękawszy zaczął oglądać ranę Dzika.

Brzegi rany na zewnętrznym kraju łopatki postrzępione były i pozieleniałe, wylot zalepiony skrzepem krwi i ropy. Ku ramieniu ciągnęła się spuchlizna, zaś z tyłu pachy siniąło wielkie nabrzmienie.

Zbrozło wyjął kawał płótna z wrzątku i wzdłuż opuchnięcia ku ranie nacierał, tak że ropa z krwią ściekała.

Tarł tak długo, aż pokazała się czysta krew. Wówczas obmacywać począł opuchnięcie, przymykając oczy. Naciskał parę razy koło barku, trzymając chwilami palce nieruchomo. Po chwili wstał i wyciągnął z pochwy nóż.

Ze skupioną w jakimś wysiłku twarzą, błyskawicznie, głęboko naciął spuchliznę. Bluznęła krew zlewając plecy leżącego, a Zbrozło zanurzył w ranie dwa palce, aż uchwycił coś. Przez chwilę próbował wyciągnąć grot trzymany w palcach, a gdy ruszyć go nie mógł, obok palców zanurzył w ranie nóż, aż oparł się na kości. Podważył coś, po czym szarpnął i w rękę trzymał skrwawiony grot wraz z kawałkiem pozostałej przy nim drzazgi.

Piers Dzika poruszyła się znowu westchnieniem, lecz leżał dalej bez ruchu. Zbrozło wyjął z kociołka kawałki płótna. Jednym przemył ranę, pozostałymi obłożył cały bark i owinąwszy ramię wraz z karkiem w czystą chustę, polecił Dzika ubrać, sam zaś usiadł na stoku wydmy i patrzył przed siebie, jakby nic nie widząc.

Milczenie przerwał Szmatka kłapiąc jeszcze zębami z podniecenia:

- Każcie mi teraz jeść dać.

Zbrozło drgnął i rzekł do pachołków:

- Ogień utrzymywać, posłanie zrobić dla Dzika i okryć go ciepło. Potem Szmatce i sobie strawę zgotować. Szałas postawić, zostaniemy tu, aż kniaź nadjedzie lub wiadomość przyśle.

To rzekłszy wstał i odszedł nie oglądając się na Szmatkę, który chciał go zagadnąć.

Przez chwilę panowało milczenie.

- Silny czarownik ze Zbrozły - rzekł Szmatka. - Muszę ja się od niego nauczyć. Dopiero można wszystko dostać, co się zechce. A Zbrozło niby mądry, a głupi jest. Mógłby mieć od kniazia, co by chciał, bo kniaź nikogo tak nie uważa jak jego, a nie ma, ino to, co na sobie.

- A ty zaś ze wszystkiego chciałbyś coś mieć. Księżyc byś z nieba ściągnął, żebyś udolił - powiedział

Tarło. - Do ciebie Zbrozło po rozum nie pójdzie, nie bój się.

- Myślisz, że nie? A księżyc zdałoby się ściągnąć, cały musi ze srebra być.

- Cóż byś z tyłą srebra zrobił? Ja zaś wolę, że mi na niebie świeci i każdy z niego coś ma.

- Wolisz, boś też głupi. Dobrześ się do Dzika nadał, bo i on o nic nie dba. Tyle że mu łatwiej, bo skarby ma i ja baczę, żeby swego doszedł. A ty nie gadaj nic, jeno weźcie się strawę mi przygotować i posłanie. Dobrze, że dzień dziś ciepły, ale noce zimne. Na kość zmarzłem.

Tarło z pachółkami odszedł drzewa i gałęzi naciąć na szałas, a Szmatka przy ogniu usiadł i dorzucając chrustu i drew, mrucał do siebie:

- Nie dbają o bogactwa, dobrze. Nie będę się musiał udziarać. Pokaże się, kto mądrzejszy. Obaczym, czy mnie kto będzie poniewierał, jak zasiądę w kamiennym dworcu i w złotym łańcuchu na szyi. Wtedy ja będę poniewierał innymi. Żeby mnie tak jeszcze Zbrozło czarować nauczył, baliby się mnie wszyscy. Ino by na mnie kto palec zakrzywił, nieszczęście bym na niego sprowadził. Nawet bym Dzikowi wtedy siły nie zazdrościł.

Rozważania przerwał mu szelest. Za nim stał Zbrozło.

Szmatka stropił się, nie wiedział bowiem, co z jego rozważań i rozmowy z Tarłą Zbrozło mógł usłyszeć. Dla pokrycia zmieszania grzebać począł w ognisku. Zbrozło obejrzał Dzika, który spał dalej, jeno twarz jego przybrała zwykłą barwę i oddech się pogłębił. Usiadł przy ogniu i zapatrzył się w płomienie. Szmatka uspokoił się w przekonaniu, że Zbrozło nie słyszał nic i już go chciał zagadnąć, gdy Zbrozło ozwał się:

- Źle ty Szmatka żyjesz. Obejrzałeś bogactwa i urzekły cię. Zdało się, że przylgniesz do Dzika, bo obaj na świecie nie macie nikogo. Dobrze by wam razem było. On silny, lecz na świat patrzy jak dziecko, tyś słaby, ale znasz ludzi. A złoto cię mami i ciągnie coraz bardziej, aż cię przywiedzie do zguby.

Zbrozło mówił bez śladu gniewu. Szmatka więc, choć zmiarkował, że Zbrozło słyszał rozmowę, a przynajmniej jego rozważania, ośmielił się i rzekł:

- Komuż to złoto zaszkodziło? A od pacholęcia czułem, co to nie mieć go. Za pieniądze mnie sprzedawali i kupowali jak bydłę. Żebym choć miał tę siłę, co Dzik! Ale nie mam, i jeśli nie będę bogaty, sponiewiera mnie, komu wola. A nie chcę się już dać poniewierać i nie będę. Żebyście mnie choć czarować nauczyli, toby się ludzie mnie bali, jako was - wtrącił niepewnie.

Zbrozło machnął ręką.

- Nie rozumiesz tego i nie zrozumiesz. Spytaj drzewa, jak rośnie. A pytasz, komu złoto zaszkodziło, boś już oślepiiony i myślisz, że bogactwo to szczęście i nie ma innego. I myślisz żeś mądrzejszy od tych, co nie szukają złota, jeno coś umiłowali w życiu, dlatego ci pomóc trudno. Idźże swoją drogą. Za Dzikim nazbierasz złota dość, po którym on przejdzie, nie schyliwszy się. Ale pamiętaj, że umierając będziesz je przeklinał.

Zbrozło, podszedłszy do Dzika, usiadł przy nim. Począł go gładzić po twarzy i głowie. Dzik po chwili otworzył oczy i zobaczywszy Zbrozłę, uśmiechnął się, po czym westchnienie ulgi podniosło jego pierś. Przymknął oczy i zasnął ponownie.

Zbrozło zwrócił się do Szmatki i rzekł wskazując na Dzika:

- Pamiętaj jeszcze jedno: nie przeżyjesz go ani o rok.

Szmatka chciał coś rzec, lecz Zbrozło odszedł.

Po bitwie

Zwycięstwo Mieszka, dzięki nadejściu Dźwigora w chwili, gdy Prandota ostatkiem sił opierał się naciskowi, a w szeregach Mieszkowych zaczęło się wachanie, dużo kosztowało, lecz stanowiło ostateczną klęskę Czerwieńców. Piechota, nadążająca za jazdą, została rozbita prawie bez walki i jeno niedobitki schroniły się za swą granicę, gdzie jednak kraj już był zalany wojskami Własta i Deszki, a grody nadgraniczne w części pozajmowane, w części opuszczone.

Czerwień leżała przed Mieszkiem niemal bezbronna, gdyż niezdolna oprzeć się już nawet wojskom Lubora, który zmierzał ku Bełzowi, gdzie schronili się zbiegowie z naddniestrzańskiej Rusi. Tam mogli się jeszcze bronić, lecz pochodu Lubora nie miał już kto wstrzymywać. Lublin był wzięty przez Własta, a z większych grodów pozostawała jeno Czerwień. Nie spieszył się też Mieszko i na równinie za groblą, koło dąbrowy, obóz na czas dłuższy rozłożył, by godnie pogrześć zabitych, rannych i jeńców odesłać, a znużonym do ostatka wojskom dać należyne odpoczynek.

Zaczerniła się równina namiotami i szałasami. W pogodne dni dymy ognisk pięły się nad huczącym obozem, a blaski stały nocami aż do mglistych i mroźnych już poranków.

Nadciągnęły juczne konie, przygnano stada wołów i owiec, a młodzież zapuszczała się w dalekie, bezpieczne już puszcze na łowy, z których zwożono wszelaką zwierzynę i mięso wędzono u ognisk.

Mieszko ze starszyzną i przyboczną drużyną stali w dąbrowie w chatkach, naprędce z okrągłaków skleconych. Tam znoszono, przebierano i rozdzielano łupy, w zbroi koniach, broni, ubiorze i ozdobach. Jeńców, których było do dwóch tysięcy, miał jeno starszyźnie udzielić. Pozostali po książęcych grodach do robót byli przeznaczeni. Na razie trzymano ich w obozie, na odesłanie ich do Krakowa, a stamtąd, gdzie wypadnie. Tymczasem ci, którzy otrzymać ich mieli, kręcili się po dziedzińcu, na którym straż jeńców pilnowały, oglądając i przepytując, by dla siebie wybrać potrzebnego rzemieślnika lub mającego inną pożądaną umiejętność.

Szmatka, który lekko już jeno utykał, niemal całe dni spędzał wśród ponurych, odartych z dawnej świetności i głodnawych jeńców. Za żywność i opał potrafił wydobywać potrzebne wiadomości i czekał niecierpliwie, kiedy książę, który sam zażywał wypoczynku lub rozrywki szukał na łowach albo czas trawił na naradach i wyprawianiu posłańców, o danym przyrzeczeniu sobie przypomni.

Dzik, przespawszy prawie bez przerwy dwa dni, obudził się w nocy. Zrazu nic nie pamiętał i w ciemnościach nie wiedział, gdzie się znajduje. Dopiero gdy chciał się podnieść, ból w barku przypomniawszy mu o ranie, i pomału uprzytomnił sobie wypadki aż do chwili, gdy znalazł go Zbrozło. Reszty zupełnie nie pamiętał, lecz nie głowił się wiele, gdyż zjadliwy głód i pragnienie odwróciły jego myśli od innych spraw. Usiadł na pościeli i krzyknął na cały głos:

- Szmatka!

Ktoś zerwał się obok niego. Usłyszał głos pacholka:

- Rety! Cóż tak krzyczycie? Śniło mi się, że skarb znalazł i właśnie po niego rękę wyciągałem, gdy mnie wasz krzyk zbudził. Jeszcze mi dotąd serce łomoce.

- Nie gadaj, ino zaraz jeść i pić dawaj!

- Północ przecie, gdzie wam teraz będę czego szukał. Zaczekajcie do rana, to wam wszystkiego przyniosę. Sam kniaź pytał się, czego potrzeba i co z wami.

- Albo się ruszysz, psi synu, albo zawołam Tarłę, by cię wytlukł.

- Macie go wołać, by mnie tlukł, to lepiej zawołajcie, by co przyniósł. A ze wszystkim do posługi przy was weźcie se kogo innego. Mamy teraz pięćdziesięciu chłopca, możecie se i straż kazać trzymać przy sobie jak kniaź, co ino kłaśnie i lecą na wysługi.

- Będę na chłopów czekał, jak mi się teraz jeść chce! Albo ruszysz się zaraz, albo sok z ciebie wyduszę.

Szmatka zbierał się niechętnie, mruczając:

- Musi być z wami dobrze, kiedy się ciskacie.

Właśnie miał odejść, gdy w wejściu stanął Zbrozło. Za nim szedł Tarło z łuczywem i pacholik niosący toból.

Zbrozło kazał Dzikowi lec, do Szmatki zaś rzekł:

- Nie idź nigdzie, przynieśliśmy, co trzeba. A tego chłopca kniaź wam z jeńców posyła.

- Ale chyba nie na poczet tych pięćdziesięciu? Co nam po takim skrzacie - rzekł Szmatka.

Zbrozło nic nie odpowiedział, a Dzik spojrział na chłopca. Lat może dwunastu, ale rosły, twarz miał dziecinną, prawie dziewczęcą. Proste, czarne, równo nad brwiami przycięte włosy lśniły w blasku łuczywa, odbijając je jak woda. Ciemne, ogromne i smutne oczy pod równymi, cienkimi brwiami przysłonięte były długimi rzęsami, rzucającymi cień na policzki. Twarz biała jak mleko, z dziecinnymi rumieńcami; nos prosty, przybierał już męski zarys, na przekór ustom, rozchylonym dziecinnie, o białych i drobnych jak perełki zębach. Ruchy miał płynne, jakby tańczył, gdy zbliżając się złożył toból, w którym Szmatka zaraz począł gmerać, i ukląkł przed Dzikim.

Dzik patrzył z pewnym zdziwieniem i zapytał:

- Cóż on klęka przede mną?

- Aby okazać, że ci służyć będzie - rzekł Zbrozło.

- Aha! - rzekł Dzik. - Dobrze! - i zwracając się do chłopca, spytał:

- Jako cię zowią?

- Zyńka - odparł chłopak śpiewnym głosem.

- Słuchajże, Zyńka! Abyś wiedział, że będę krzyczał albo i prał, jak mi się spodoba. A jakbyś kiedyś powiedział, żebym nie krzyczał albo nie prał, to zaraz ubiję.

Chłopak zaczerwienił się i łzy stanęły mu w oczach. Zbrozło zaś rzekł:

- Nie bój się, nie będzie ci źle, służ jeno wiernie.

- I żeby ci uciekać na myśl nie przyszło, bo wtedy ja bym cię ubił - rzekł Szmatka.

Chłopak spojrział na niego i odparł smutno:

- Ojca mi zabili w bitwie, a więcej nie mam nikogo. Nie będę ja uciekał.

- Cóżes taki smutny, aż ci z nosa kapie - rzekł Dzik. - Mnie też ojca ubili, a młodszy byłem od ciebie. Nie mazałem się, inom w lasy poszedł. Baba z ciebie musi być, ino ci białogłowską przyrodziwę dać.

Chłopcu oczy zaświeciły oburzeniem i śmiało odparł:

- Nie baba, bo biłem się z wami, a że po ojcu płaczę, co dziwnego.

Dzik spojrział na niego jak wróbel na muchę, mówiąc:

- Ze mną to się chyba nie biłeś.

Tarło parsknął śmiechem, a chłopak zaczerwienił się, Zbrozło zaś rzekł:

- Zostawcie chłopaka, jemu się śmiać nie chce.

A zwracając się do Zyńki, dodał:

- Nie bój się, nie będzie ci źle, a jakby było, przyjdiesz do mnie.

Chłopak spojrział na Zbrozłę z wdzięcznością, a ten, każąc sobie poświecić, ranę Dzika opatrzył. Tymczasem Dzik pochłaniał przyniesione mięsiwo i kołacze i gęsto popijał, a tak był tym zajęty, że prawie nie zwracał uwagi, gdy Zbrozło oddzierał przyschnięte do rany chusty. Od czasu do czasu krzywił się tylko, jeść jednak nie przestając.

Tarło, Szmatka i Zyńka patrzyli na niego, podziwiając zarówno jego wytrzymałość na ból, jak i na jedzenie. Gdy Zbrozło skończył opatrunek, przywiązał mu rękę do boku i rzekł:

- Przez miesiąc przynajmniej nie będziesz ręką ruszał, potem powinna wydobrzeć.

- A cóże ja tymczasem z jedną ręką na wojnie pocznę? - zatroskał się Dzik.

- Tymczasem nic, bo jedziemy z rannymi i jeńcami do Krakowa, potem zaś do kniazia Ścibora.

- To i dobrze! - rzekł Dzik. - Zmierziła mnie już ta wojna. Czerwieńcy podobni do naszych, ino naród

miękki jest. Sztuka, że mnie strzałą ugodzili, a wręcz to się każdy od samego zamachu wywraca. I kniazia Ścibora też rad zobaczę. To mi wojak!

Szmatka jednak niezadowolony mruknął:

- Kiedy była orka, to nas trzymali, a jak idą żniwa, to odsyłają.

- Jakie zaś w zimie żniwa? - spytał Dzik.

- A grody teraz będą brać bogate, znam je przecie! Łupu wszelakiego dostatek, a nas przy tym nie będzie. Zejdziemy kniaziowi z oczu, to i zapomni, że gdyby nie my dwaj, toby tej wojny nie wygrał.

- To i co? Z głodu pomrzemy? A u kniazia Ścibora spotkamy się może gdzie z Wichmanem. Z nim się pobić, to hej!

- Spać idź, Szmatka - rzekł Zbrozło - może ci się znowu skarby przyśnią i będziesz szczęśliwy. Ty, Zyńka, tu zostaniesz, gdyby Dzik czego potrzebował. Spać wszyscy, bo jutro na południe ruszamy.

To rzekłszy wyszedł z Tarłą, a Dzik i Szmatka zbierali się na spoczynek.

Zyńka usiadł zadumany, okrywając się skórą, bo noc była chłodna. Tyle się naraz przez niego przewaliło, że w dziecinnej głowie miał zamęt. Myślał o ojcu, który leżał nie pogrzebany na grobli, o dziwnym Zbroźle, który, choć ma niesamowite oczy, jeden się dobry dla niego okazał, i o tym olbrzymie, któremu miał służyć i nie wiedział: dobry będzie czy zły?

W tej chwili z ciemności odezwał się zaspany głos Dzika:

- Śpij no, Zyńka, a mnie się tak bardzo nie bój. Krzyczę, bo lubię krzyczeć, gdy mnie w sobie rozpiera, a trącę kiedy, to se nic z tego nie rób. Będę uważał, żeby cię nie przetrącić. Takiego wróbla... - dodał miękko.

- Zyńka to u nas tyle znaczy, co u was sikorka.

- No, widzisz - mruczał sennie Dzik. - Ja lubię sikorki. Kręcą się koło człowieka i piskają. A do ręki żadna przyjdzie, bo się boi. A nic bym nie zrobił, chyba niechący. Na głowie bym im gniazdko uwić pozwolił, a nie przyjdą. Aż mnie złość nieraz brała, tom kamieniem cisnął. Już zdaje się, siądzie i frrr! nie ma jej.

Coś jeszcze mruczał pod nosem, zasypiając.

Nagroda

Jesienne słońce stało już wysoko, złocąc dąbrowę i przesiewając promienie przez zwiędłe listowie. Przez szparkę w ścianie szałas przedarł się promyk i przewędrował przez twarz Dzika, lecz go nie zbudził. Dzik przesunął jedną ręką po oczach, obrócił się na bok i spał, aż go Szmatka tarmosić jął:

- Wstawajcie! Sam kniaź tu ma przyjść i siła ludzi z nim.

Dzik otworzył oczy, zmrużył je od światła i mruknął:

- To i co z tego?!

- Do was idzie. Musicie się ogarnąć i wyjść. Przecież się tu nie zmieszczą. Dacie rady wstać?

- Co bym ta nie dał - rzekł Dzik i spuściwszy nogi z barłogu usiłował wstać, lecz nie szło.

- Widzisz! - rzekł ze zdziwieniem - nogi mam jak nie swoje i w głowie mi się kręci.

- Siedźcie tymczasem, zależeliście się. Zawołam Zyńkę, żeby was ogarnął, to wam pomału przejdzie.

- Sam to nie możesz mnie ogarnąć?

- Móc to mogę, ale nie uchodzi. Przecież i do mnie kniaź idzie, bo obaj mamy pochwałę i nagrody otrzymać; chyba że sprawiedliwości nijakiej nie ma. A Zyńka od tego jest, niech się przyucza. Darmo będzie chleb jadł? - I zawoławszy Zyńkę, pokazał chłopakowi, co i jak robić, sam zaś mówił do Dzika:

- Żebyście nie zapomnieli kniazia prosić o branki. Będą grodów dobywać, to siła tego będzie, a Rusinki ładne się trafiają. Nie damy naszym brańcom białek, to nam pouciekają i tyle ich będziemy widzieli. Nie upilnuje tyle chłopca, a przecie ich nie będziem w zamknięciu trzymać ani na łańcuchu.

Dzik chciał coś odrzec, lecz w tej chwili wszedł Zbrozło i słychać było gwar nadchodzących.

- Wyjdź, jeśli możesz - rzekł Zbrozło.

Dzik dźwignął się z trudem, oglądając się za jakąś podporą Szmatka, widząc to, dał mu swój kostur, którego już nie bardzo potrzebował, a Zyńka stanął przy Dziku mówiąc:

- Podeprę was, mocny jestem.

Wyszli przed szałas, właśnie gdy ksiązę nadchodził ze starszyzną.

Nie brakło nikogo z wodzów, nawet Sobiesław ze świeżymi bliznami na policzkach i Prandota z obwiązaną głową stali zaraz za Mieszkiem.

Ksiązę przystanął, milczał przez chwilę patrząc na Dzika, po czym ozwał się:

- Każdy ma wiedzieć, że ten tu wojak, Dzikiem zwany, w rozstrzygającej bitwie przysłużył się nam wielce. Sercem ni ręką nie sprostął mu nikt, choć nie brak nam mężnych serc i dłoni. Ważył życie i dał krew, by się przyczynić do zwycięstwa. A że droga do chwały i dostojenstw przez usługi dla nas prowadzi, do naszej przybocznej drużyny go zaliczamy. Prócz pięćdziesięciu jeńca, którego mu przyrzekliśmy i których pozwalamy samemu wybrać, dziesięć koni łupem objuczonych na jego udział przypadnie. W lasach, które mu wydzielili krakowski żupan, wolność będzie miał polowania na wszelką zwierzynę, wyjąwszy niedźwiedzia, o czym wiadomość do żupana przesłana będzie. Prócz tego spełnimy jego prośbę, jeśliby czego jeszcze zażądał. Na pochwałę zasłużył i pacholek, który razem z nim obóz czerwieński przeszedł i ranę odniósł. Tego wolnością obdarowujemy i gdyby jaką miał prośbę, też, jeśli będzie umiarkowana, spełnić przyrzekamy.

Dzik przestępował podczas przemówienia z nogi na nogę, skrobiąc się zagiętym końcem kostura po głowie.

Na twarzy Szmataki odmalowało się rozczarowanie. W tej chwili Sobiesław, przystąpiwszy do księcia i poprosiwszy go o słowo, zaczął:

- Muszę i ja od siebie temu mężnemu wojakowi cześć oddać i podziękowanie. Niech mu do sławy, którą kniaź ogłosił, i ta przybędzie, że mnie rannego wśród nieprzyjaciół z płonącej chaty wyciągnął i życie ocalił. Za brata go mam i cieszę się, że za wstawieniem Zbrozły nie wykonał kary, na jaką, mniemałem, zasłużył. Aby też nie słowem jeno, wdzięczność okazać, konia mu ofiaruję z rzędem pozłocistym i zbroję z szłomem i tarczą oraz miecz daleko na południu kuty i chętnie druhem swym go będę nazywał.

Zbrozło, stojący obok Dzika, trącił go i szepnął:

- Odpowiedzieć i podziękować musisz kniaziowi i Sobiesławową drużbę przyjąć.

Dzik spojrzął po zgromadzonych, zrobił ruch, jakby chciał usiąść lecz powstrzymał się i rzekł:

- Dziękuję wam, kniaziu, ale jakże to w swoim lesie nie wolno mi niedźwiedzia ubić? Albo jak barć będzie psuł? Cóż mam zrobić, jak go spotkam? Uciekać?

Szmer powstał wśród obecnych, lecz Mieszko uśmiechnął się:

- Łowy na niedźwiedzia tylko mnie zastrzeżone lub za moim osobnym pozwoleniem. Ale byście łaskę naszą znali, i tego wam dozwalamy, bo iście co ma zrobić mąż z takim sercem, gdy spotka niedźwiedzia?! Nie będzie przecie uciekał.

Rozległy się stłumione śmiechy, a Szmotka mruknął:

- Bodajże was!

- No, sami widzicie. Dziękuję wam. A więcej mi nic nie potrzeba; dość kłopotu z tym, co mam - odparł Dzik.

Zwracając się zaś do Sobiesława, dodał:

- Nic se z tego nie róbcie, Sobiesławie, żeście mnie obwiesić chcieli, bobym się i tak nie dał. A przyjedziecie do mnie jak dworzec wybuduję, to wypijemy miodu, ile strzyma, bo słyshałem, że męzny z was witeź, choć na rękę nie dalibyście mi rady, jako i nikt.

To powiedziawszy, usiadł na ziemi, Zbrozło zaś rzekł:

- Wybaczcie, panie, ale słaby jeszcze jest po zranieniu, a mówić umie jeno tak, jak myśli.

Książę skinął łaskawie ręką i oddalił się wraz z orszakiem.

Dzik, którego zmęczyło długie stanie, poszedł się położyć, by wypocząć przed drogą. Zbrozło uważając, że jeszcze konno jechać nie może, kazał Szmątce przygotować kolebkę między dwoma koźmi, w której Dzik, siedząc, mógł jechać wygodnie. Udał się do księcia pożegnać go i przyjąć ostatnie zlecenia. Wziął ze sobą Tarłę, by odebrać dla Dzika przydzielone konie oraz udział w łupach.

Zaledwie odeszli, Szmątka, przykazując Zyńce pilnować Dzika, który zasnął znowu, ulotnił się. Zyńka po chwili wyrzwał z szałasu, a widząc, że nikt nie patrzy, szustnął w krzaki.

Słońce zbliżało się ku południowi, gdy wrócił Zbrozło z Tarłą i dwoma pachołkami, wiodącymi konie objuczone łupem oraz ich własne, osiodłane już do drogi. Gwar obudził Dzika, który mrugając oczyma, wyszedł z szałasu.

- Gdzie Szmątka i Zyńka? - zapytał Zbrozło oglądając się.

- Nie wiem, bo spałem. Albo co?

- Powinni tu być. Zaraz ruszamy. Szmątka pewnie jeńców wybierać poleciał, ale gdzie by był Zyńka...

Szmątka po chwili istotnie wrócił prowadząc jeńców powiązanych rękoma do tyłu. Zyńka natomiast nie wracał.

- Uciekł na pewno - rzekł Szmątka - tyleśmy z niego mieli. Ani czasu go gonić, ani wiadomo gdzie. Pewnie w bagna poszedł: Bez psa go nie złowi. Tylem czasu posługiwał Dzikowi, to byłoby się bez niego obeszło, a tak jednego chłopca mniej mamy. Innych to ja już dopilnuję, nie ucieknie żaden.

Dzik słysząc o ucieczce Zyńki, zasumował się wyraźnie:

- To tak jak z sikorkami. I gwizdzę, i ziarna im daję. Zjedzą i uciekną. Markotno mi, bo podobał mi się ten skrzat.

- Nie sumuj się - rzekł Zbrozło. - Miał serce do ciebie, to wróci, a nie to niech sobie leci.

- Żeby powiedział, że chce iść, tobym go sam puścił. A gdzież taki skrzat bez okrycia i broni zawędruje? Zmarnuje się i tyle. Zima przecie idzie!

- No, siadać, czekają na nas z pochodem - powiedział Zbrozło.

Tarło pomógł Dzikowi wgramolić się do kołyski, siedli na konie i pojechali na dąbrowę ku równinie, na której uszykowani do pochodu, po czterech w szeregu razem powiązani, stali jeńcy, pod strażą stu konnych łuczników. Kilkunastu cięższych rannych Polan, którzy wierzchem nie mogli jechać, leżało w kolebkach między końmi, inni siedzieli w siodłach, a wśród nich Prandota, dość ciężko w głowę raniony.

Zbrozło wyjechał na czoło pochodu i pochód ruszył, gdy zziębnięty od długiego biegu dopadł Zyńka.

Szmatka skoczył na niego z urąganiem i zamierzył się go uderzyć, gdy Dzik ryknął: "Nie rusz!" - i Szmatka odskoczył przerażony. Zaraz się opamiętał i rzekł dostojnie:

- Jestem wolnym człowiekiem, by wam już nie przypominać, że obiecaliście nie krzyżeć.

- Wolnyś czy nie, a tkniesz Zyńkę, to cię koniowi do ogona przywiązać każę. Zobaczymy, czy cię sam kniaź odwiąże. Pilnuj se swoich, a od Zyńki ci wara!

Szmatka wzruszył ramionami i cofnąwszy się przegląd i liczył jeszcze jeńców, rozmyślając, jaki by największy pożytek dało się z nich wyciągnąć.

Z wyboru był zadowolony. Chłopów wybrał co najtęższych, lecz nie to ich największą wartość stanowiło. Byli między nimi wszelakich rzemiosł świadomymi, od kucia żelaza do sycenia miodów. Z największą jednak dumą spoglądał na idących w przodzie czterech brodatych mężów w sile wieku. Byli to wszyscy cztery wodzowie, jakich pojmano, między nimi kniaź Igor. Ci nie pracować mieli, lecz złota i kosztowności dostarczyć w wykupie. Setnik Dziwisz, który jeńców pilnował, aż do księcia biegał pytać, czy ich zabrać pozwoli, lecz księżę żadnego nie zrobił zastrzeżenia i słowa dotrzymał. Tymczasem jeść im Szmatka kazał dawać skąpo, mocniej niż innych powiązał i obiecywał sobie dosalać im, jak się da, by mięksi byli, gdy przyjdzie o okupie gadać. Szli ponurzy, zęby na widok Szmatki zaciskając, z czego też był widocznie zadowolony.

- Tacy pyszni bojarzy, a zechcę, to ich będę kijem tłukł.

I poprawiał się na siodle, gdyż rozpierało go poczucie własnej ważności.

- Mocny gród wybudujemy i osadę, jakich mało. Dzikowi wszystko zajędo, a nie usiedzi na miejscu i po praw - dzie ja będę panem. Prędzej czy później, zresztą łeb rozbije, bo głupi jest i szuka guza.

Tu wróżba Zbrozły przyszła mu na myśl i uczyniło mu się nieswojo, lecz się otrząsnął.

- Zbrozło mówi, by mnie straszyć, abym Dzika pilnował. Ale prędzej głowę stracę pilnując go, niż nie pilnując.

Tymczasem Dzik, udając nasrożonego, zagadnął Zyńkę:

- Gdzieś się smyrał pętaku? Nie wolno ci odchodzić bez mego przyzwolenia. Myślałem, żeś już uciekł.

- Nie ucieknę ja, panie, jako rzekłem. A ojca musiałem choć darnią i kamieniami przykryć, kiedy mu czestnego pogrzebu z płaczkami i obiata sprawić nie mogę. Już tam wilcy łozami podchodzą do pobitych, a kruki ich obsiadły i żerują, że przystąpić straszno. Oczy już ojcu wyjadły - rzekł żałośnie i dziecinnym ruchem twarz sobie zasłonił.

- Sam za płaczkę stałeś. A durnyś też jest. Przecie zabitego nie boli, a czy pod ziemią leży, czy na ziemi, zajedno mu.

- Nie wiem - rzekł Zyńka. - Może go i boli, tylko się nie może ruszyć. Ojcowe to oczy, co niedawno na mnie patrzyły. Po co go zabili? - i rozplakał się otwarcie.

Dzik czuł, że mu coś się niewyraźnie robi koło serca. Pokiwał głową i rzekł:

- Oj, głupiś, głupi! Przecież wojna jest. Też pewnie niejednego ubił, na wojnie tak zawsze, raz ty jego, raz on To po co ludzie wojny robią, świat taki ładny i miejsca na nim tyle.

- Albo ja ci wiem? Coś mi tam kniaź Ścibor mówił, ale nie zmiarkowałem. Pewnie tak musi być, bo co by innego robili.

- Ojoj, tyle można robić, że dzień za krótki.

- Cóż? - spytał zaciekawiony Dzik.

- Bo ja wiem! - rzekł chłopak zadumawszy się.

- Cóż byś ty chciał robić? Na wojnę przecież z ojcem szedłeś, chociaż mały.

- Bo mateńka pomarła, a swojaków nie mamy żadnych. A chciałbym tak żyć jak przedtem. W dworcu my żyli malowanym, sad był dokoła i rzeka za sadem. Tośmy latem ryby i raki chodzili łowić i kąpać się albo konie pławić. A w domu, miałem swoje psy i sarenkę, taką małą. Jeszcze łaciata była i sam karmiłem ją mlekiem, bo jej matkę ubili. I wiewiórkę miałem, śmieszna, rudą, co ze mną razem spała. Koło twarzy mi się układała i słyhać było, jak jej serce prędko bije. A już ptaszków, to ile chcecie, że i nazwać trudno. Zimą to my z mateńką siadywali, grać umiała na lutni i śpiewała tak pięknie albo i bajki mi mówiła lub czytała z księgi, gdzie były malowane takie piękne obrazki.

- Czytała? - spytał Dzik podejrzliwie.

- Mateńka z Grecji pochodziła daleko znad morza. Tam ludzie inaczej żyją, nieraz mi opowiadała.

- A śpiewać ty umiesz?

- O, umiem i na lutni też grać.

- No, lutni nie ma, ale zaśpiewać mi możesz.

Chłopak zamyślił się i rzekł:

- Kiedy mi tak smutno, że i śpiewać się nie chce.

- Miodu się napijemy, to ci przejdzie.

I zawoławszy Tarłę, kazał miód podać, po czym Zyńce polecił konie na bok sprowadzić, by nie hamować pochodu, i mówił:

- Pamiętaj nigdy nie pić, gdy jedziesz, bo się zakrztusić możesz, aż ci oczy wylazą.

Stanęli i Dzik, wypiwszy kubek, oddał go Zyńce i nalewając mówił:

- Pij ostrożnie; od samego kniazia to miód, dziwną ma siłę. Zobacysz jak ci zaraz lekko będzie.

Pocieszył chłopca raz i drugi, tymczasem pochód minął ich i za zakrętem skrył się za drzewami.

Zyńka śpiewać zaczął czystym, wysokim głosem, lecz nie skończył i urwał.

- Cóż zaś? - spytał Dzik.

- Razem to z matką śpiewaliśmy.

- No i co z tego?

Chłopak nic nie odpowiedział i westchnął, a Dzik rzekł:

- Napij się jeszcze, a potem śpiewaj głośno i tak prędko. A może byś mnie śpiewać nauczył? Nieraz aż mnie rozpiera, tak bym się wykrzyczał.

Jadący w przedzie Zbrozło posłyszał z dala naprzód głos Zyńki, po chwili zaś niesamowite ryki Dzika. Skinął na Tarłę i rzekł:

- Skocz no zobaczyć, co tam się dzieje. Całkiem pewny tu kraj jeszcze nie jest, a Dzik ranny sam pozostał.

Tarło skoczył i wrócił po chwili śmiejąc się:

- Zaraz nadjadą. Dzik spoił chłopaka i sam podchmielony. Śpiewać go Zyńka uczy.

Jakoż za chwilę Zbrozło usłyszał nadjeżdżających, prędzej niż ich zobaczył. Głos Zyńki niknął przy basowych rykach Dzika. Gdy zajęli swe miejsce w pochodzie, Dzik rzekł:

- Wykrzyczałem się i spać mi się chce. Żebyś mi nigdzie nie odjeżdżał. Jak się zbudzę, będziemy znowu śpiewać.

Zyńka i Dzik

Ciągnęli mazowiecką granicą, po czym opodal Wieprza wjechali w Sandomierskie. Przeprowadzając się powyżej ujścia Bystrzycy, lewym jej brzegiem skierowali się na Lublin, skąd gościńcem na Opole, Sandomierz i Wiślicę jechać mieli do Krakowa.

Czyniła się wczesna, sucha zima. Wschodni wiatr ścinał bagna i cienką skorupą lodu obrębiał wody. Resztki zwiędłych liści strącał z drzew i ganiał nimi po otwartych przestrzeniach, póki nie skryły się przed nim po wykrotach, jamach i za pniami drzew, by w spokoju oczekiwać, aż je całun śniegu na ostatni spoczynek pokryje.

Pod wieczór wreszcie jednego dnia niebo okryło się chmurami, wiatr ustał i pocieplało. Pierwszy śnieg prószyć zaczął, zrazu pojedynczymi płatkami, potem coraz gęściejszy, zasłonił wraz z nadchodzącym zmrokiem świat.

W śnieżnym тумanie, nocą już, dotarli do Lublina. Gród był spalony, a osady nędzne, tak że rannych jeno pod dachem pomieszczono, reszta wraz z jeńcami obozować musiała pod gołym niebem. Popasali też jeno do rana i ruszyli na Opole, dokąd też wieczorem dotarli.

Opole było nietknięte, bo prawie bez walki odbite zostało, i Zbrozło zatrzymał się na dłuższy postój, by rannym dać wypocząć, a jeńców dożywić, żeby nie zmarnieli w drodze.

Tarło miał tu znajomków, u których stanęli. Obejście było obszerne i dom duży, ogromną sienią z kominem na dwie części przedzielony, z przybudówką, w której mieściły się komnaty dla niewiast i dzieci, oraz zabudowaniami gospodarczymi, gdzie służebni ludzie mieli pomieszczenie.

Gospodarz, stary Klimunt, odstąpił gościom świetlicę, gdzie zaraz Dzika ułożono, który słabszy się widać czuł, bo siedział milczący i na pytania odpowiadał jeno pomrukami. Zbrozło opatrzył mu ranę i przygotował ziół, którymi kazał Zyńce napoić Dziką, gdyby spać nie mógł, pozostawił ich razem i odszedł na wieczerzę przygotowaną w sieni.

Gdy zostali sami, Dzik kazał Zyńce zamknąć drzwi i usiąść koło siebie. Milczał chwilę patrząc w powałę z rzeźbionych belek, po czym rzekł:

- Zaśpiewaj mi co po cichu. Spać mi ręka nie da, a tych ziół, co Zbrozło nagotowali, pić się nie chce. Miodu bym się napił.

- Zbrozło nie dają, mówią, że wam zaszkodził.

- Nie to nie, ale śpiewaj mi, to może usnę.

Zyńka pół głosem, pół szeptem rozpoczął piosenkę. Dzik po chwili poruszył się na łożu i westchnął ciężko.

- Boli was? - zapytał Zyńka.

- Nie. No śpiewaj dalej.

- Kiedy sennym już bardzo.

- Szkoda - rzekł Dzik. - Ale śpij.

Chłopak w nogach łoża uścielił sobie poślanie i nakrywszy się usnął po chwili. Dzik usiadł na łożu i patrzył na dziecinną twarz Zynki, po czym niezdarnie a ostrożnie pogłodził go po głowie.

Leżał jakiś czas aż dopalać się poczęło łuczywo i węgielki z sykiem wpadały do podstawionej misy z wodą. Wreszcie w kunie żarzył się jeno ostatni węgielek i ciemność zaległa izbę. Spod drzwi przeświecał poblask płonącego na kominie w sieni ogniska.

Dzik sięgnął po przygotowane zioła wypił, splunął i odwróciwszy się do ściany, nakrył się z głową. Pod wpływem napoju myśli zaczęły mu się macić. Zdawało mu się, że jest Zynką i płynie po nieznanej wodzie. Chciał wrócić do matki, ale nie mógł, bo woda wciąż płynęła w dół i ciągnęła go ze sobą. Szamotał się bezsilnie, chciał się czegoś uchwycić, ale ręka go bolała i nie mógł się utrzymać. Woda była coraz szersza i ciemniejsza, unosić go poczęła, wreszcie wszystko rozplynęło się w ciemności.

Dawniej było inaczej

Zbrozło tymczasem po wieczery sam pozostał ze starym Klimuntem, gdyż Szmatka spać odszedł do jeńców swych, zaś Tarłę zabrały Klimuntowe wnuki, by się przed spaniem o doznanych przez niego przygodach ugwarzyć.

Klimunt usiadł przed kominem i leniwym ruchem grzebał w ognisku, dorzucając od czasu do czasu bukowe polano. Chwilami patrzył na Zbrozłę, który siedział na zydlu z oparciem, w ogień wpatrzony. Krzaczaste brwi rzucały cień na głęboko osadzone oczy, a chuda twarz nieruchoma była zupełnie. Klimunt niepewny, czy Zbrozło śpi, chrząknął parę razy, po czym zapytał:

- Może byście spać poszli, znużeni z podróży być musicie.

- Poczekam, aż Dzik uśnie, a tymczasem wypoczywam.

- Krewniak to jaki?

- Nie. Obcy, żadnych krewnych nie ma.

- A ten ci krasny pacholik przy nim?

- To z jeńców. Też sierota.

Stary Klimunt pogrzebał w ogniu i rzekł jakby do siebie:

- Sieroty, sieroty, wszędzie sieroty.

Milczał przez chwilę, po czym ciągnął dalej:

- Moje wnuki też sieroty. Ojciec zginął... - Tu w myśli coś liczył i wolno mówił dalej:

- Będzie roków piętnaście. Opole już wtedy Piastowskie było, choć, wiecie, czas był inny. Wiślanie my, ale jeszcze szczep każdy, by najmniejszy, kniazia swego miał, który, wespół z kapłanami rządził. Dobrze było. Piastom jeno jeździli się kłaniać do Gniezna i z darami, albo do chramu na Lednicę. A była wyprawa, to wiciami obesłali. Młodzi szli, bo mieli ochotę; wrócili, to gwarzyć było o czym i dziwić się temu, co przywieźli z łupów. Wojna była jak zabawa, jak łowy. Czasem ta i który nie wrócił, ale swoboda była, swoboda.

Pogrzebał znowu w kominie i zapytał:

- Miodu byście się napili? Starego, jeszcze te czasy pamięta. Miód dobry jak one, łatwiej przy nim wspominać.

Nie czekając na odpowiedź, wstał i wyszedł. Po chwili wrócił z dzbankiem i dwoma kubkami glinianymi, pradawnej roboty. Pokazując je Zbrozle, mówił:

- Widzicie, nawet nie na kole toczone, a piękne. Ostatnie, jakie mam. Do grobu mi je dadzą, miodem

tym wypełnione. Teraz piją z cynowych albo srebrnych. Może i lepsze, nie tłuką się. Ale zimne.

Napełnił kubki miodem, lejąc wolno, pod światło komina, które przechodziło przez strugę miodu barwiąc go w ciemny bursztyn, i przypił do Zbrozły.

- Zapłaciłem za nowych panów synem - ciągnął. - Książ Ziemomysł mało tu zaglądał, na zachodzie i północy zajęty. Przyszła Ruś z Wariagami, przegnali szczepowych kniaziów. Skończyła się swoboda. Grody pozakładali, dań kazali płacić, a taką, a inną. A chciał ktoś dojść do czego albo świat zobaczyć, musiał iść im służyć.

Westchnął i pogrzebał znów w kominie.

Zbrozło przerwał milczenie:

- A teraz radziście, że wrócili Piastowie?

Stary milczał, jakby odpowiedź ważył, po czym rzekł:

- Mnie ta już wszystko zajęło. Ino żeby mi wnuki pogrzeb sprawiły dawnym obyczajem. Z początku czekaliśmy, że Piasty wrócą i swoboda z nimi. Potem i przestali czekać. Starzy odeszli, młodzi nawykli. Ot i teraz wnuki bić się chciały. Młodzi zawsze jednacy; głupi a do bitki skorzy. Nawet nie pytają, o co. Ale nie dałem. Za swobodę straciłem syna; no, żal, ale trudno. Za nic wnuków stracić nie chcę. Pochowają mnie, zrobią, co zechcą.

- Pożyją z Polanami, zapomną dawnych kniaziów - rzekł Zbrozło.

- Zapomną, nie zapomną, a za starego czy nowego pana płacić nie warto. Słuchy chodzą, że i u was nie to, co było. Kniazia teraz wszystko, i zwierz w lesie, i ryba w wodzie. Pono i bogi mają być takie, jak każe książ. To i po co nam bogi? Sam książ bogiem może być. Jednego łatwiej nasycić.

Nalał znowu kubki i ciągnął dalej:

- Czas gorszy niż burza. Burza zniszczy, co słabe, a czas - wszystko. Ot i nam już Polan z Piastami nie trzeba, choć swoi są. Kochaliśmy starego Ziemomysła. U ojców już on. I z Czerwieńcami my już poczęli się zrastać, swojaków tam mają nasi, jak i zresztą za Wisłą. A Mieszko wiemy to, jaki będzie? I jak długo nam z nim? Odejdzie znów na zachód, przyjdą inni, a my jak kość między psami.

- Żywa to kość, zrosnięta z ciałem, które mocne jest - rzekł Zbrozło.

Stary grzebać zaczął znowu w kominie.

- Lepiej być całym krasnoludkiem niż kością olbrzyma. A moc, mówicie? Na naszych karkach się wywiera tymczasem.

- Żelazo też kują, aby mocne było. A wiemy to, leziesz czy miecz ma być z tego żelaza? I kto go będzie dzierzył? Mocy teraz szukają wszyscy. A nie widzą, że mocny znajdzie mocniejszego. Ot, widziałem, żeście przywiedli kniazia Igora w pętach. Dumny pan był, i, słyhać, nie z najgorszych.

Też mocy szukał na Mazowszu. A widziałem, wasz pacholek kopnął go, bez niczego, tak sobie, z serca. Bo teraz on mocniejszy. Mieszka przecie pacholęciem pamiętam, ile to on ma dziś? - zastanawiał się przez chwilę. - Czterdzieści mu minęło, a co miał? Wojna i wojna. Niby wszystko jego, a po prawdzie domu nie ma własnego, gdzie by go serce ciągnęło. Gdzie zajedzie, żonę ma, ale ni jednej, co by potrafiła przywiązać. Hodują mu inni dzieci, których tak jak nie zna, a dziedzica, co by stolec wziął po nim, nie ma. Ze Ściborem bez mała to samo. Leszek słyhać, już u ojców. Ot kniazie życie!

Nalał znów miodu i patrzył w czarękę, jakby widział coś na dnie. Zamyślony mówił dalej:

- Wiem ci ja, że Mieszko siłę zbiera na Niemców. Nie od dzisiaj to. Cesarzem chciałby być słowiańskim, aby się rzymskiemu przeciwstawić. Ale widzi mi się, za późno. Miecz kuje, gdy inni go już mają. I kuje nie on jeden. Kują i na wschodzie, i na północy. Kują miecze, wojna będzie. I sieroty, sieroty! - Zapatrzył się znowu w ogień.

- Gorzej, gdy i sierot nie zostaje - odparł Zbrozło - jeno pusta chata, gdzie obcy wywłoka obejmuje dziedzictwo w nagrodę, że plemię wytępił: Albo z sierot rabów swych czyni odejmując im wszystko, dla czego żyć warto. A w rok ni dwa Mieszko nie zdziała tego, na co wieków potrzebowali inni. Czasu potrzeba, by urósł dąb, co się każdej burzy oprze.

- Czas mają młodzi. Ja stary, czas nie mój, to i zmian żadnych nie chcę - rzekł Klimunt. - Nawet na lepsze. Gdyby mi syna dziś potrafił kto wskrzesić, i tego bym pewnie nie chciał. Nawykłem do myśli, że zastanę go u ojców. - Wpatrzył się w płomień.

- O sobie mówicie. A dla innych, dla młodych, dla tych, co dopiero kiedyś wywiodą się z waszej krwi, czego byście chcieli?

Stary się zadumał. Przez chwilę ożywiła się jego zmarszczona twarz, lecz przygasła zaraz. Znowu sennie począł gmerać w żarze ogniska. Milczał przez chwilę, po czym odparł znużonym głosem:

- Zostawcie mnie! Ja już chcę spokoju. By o innych myśleć, trzeba kochać lub nienawidzić. Nie ma już siły we mnie; zostawcie mnie! Wy służycie Mieszkowi, szukajcie mu siły tam, gdzie może ją znaleźć. Mnie zostawcie w spokoju. I moich. Niech mnie swojackie ręce pogrzebią starym obyczajem. Ostawcie! - mówił jakby z prośbą.

- Nie Mieszkowi ja służę, jeno z nim razem jednej sprawie. Wał sypać trzeba, gdy powódź idzie. Dziś sąsiada zaleje, jutro was i wszystkich. I mogiły, i chaty, i kołyski, niczego nie oszczędzi. Moje już zalała, a stać będę choćby sam przeciw fali. A gdyby nic więcej nie uzyskać jak to, że i tam będą płakały sieroty, temu, co swoje stracił, miło płaczu wrażliwych posłuchać.

- Zostawcie mnie! - szeptał stary - nie chcę płaczu sierot; płacz w każdej mowie jednaki. Wypijmy resztę miodu i spać idźcie. Ja sobie posiedzę przy ogniu. Rzadko już sypiam.

- Kto nienawidzić nie potrafi, nie wyżyje na tej ziemi!

- Zostawcie, ja już niedługo. A potem niech mnie swojaki pogrzebią i zrobią, co zechcą.

U starego Topora

Zima już była w pełni. Śniegi obfite leżały na polach, gałęzie drzew gięły się pod okiścią, miejscami zasypany zalegały drogi. Szlak jednak z Sandomierza do Krakowa był przetarty, tak że orszak Zbrozły posuwał się dość szybko, tym bardziej że co słabsi z rannych jeńców zostali w Sandomierzu. Jednym dniem też dotarł Zbrozło do Śreniawy, gdzie zanocowali u władzyki Prosza, a wczesnym rankiem, o mroku jeszcze, ruszył do Krakowa, z konnymi jedynie, straży z jeńcami każąc ciągnąć za sobą.

Wyjechawszy z doliny Śreniawy, zaraz weszli w kraj falisty, lecz dość otwarty i żyzny, bo od niepamiętnych czasów zamieszkały. Przy szlaku leżały liczne osady i opola oraz dworce, w których żyły rodziny družynników.

Dzik, mimo sprzeciwu Zbrozły, dosiadł konia, nie chcąc, jak mówił, w kolebce lub na saniach, jak baba, wjeżdżać na gród, w czym umacniał go Szmątka mówiąc, że skoro w tej ziemi osiąść mają, muszą się zrazu pokazać, by ich nie brano za byle kogo.

Sam też przystroił się w co najlepsze szaty z łupów otrzymane. Szubę z miękkiego sukna, sobolami podbitą, i kołpak z takiegoż futra nałożył, miecz w bogatej pochwie przypiął do połocistego pasa, za sobą zaś kazał jechać wybranemu z jeńców, okazałemu pachółkowi Iży, tak że przy skromnie ubranym Zbrozle i Dziku każdy jego wziąć musiał za pierwszą osobę.

Jechał zadowolony z siebie i z tego, że Tarło, który podrwiwać lubił z niego, pozostał po drodze u rodziców i dopiero za parę dni do Krakowa doskoczyć miał. Szmątka przysłuchiwał się Zbrozle, który, nieraz bywając w tej ziemi, objaśniał jadącego obok Dzika, budząc i tak nigdy niesytą jego ciekawość.

Dzień, zrazu pochmurny a chwilami śnieżny, ku południowi zaczął się przejaśniać i gdy dotarli do krańca wzgórz, z których zjechać mieli w dolinę widocznej już Wisły, rozjaśnił się zupełnie. Zimowe słońce zagrało blaskami po zaśnieżonym kraju, odkrywając widok daleki na pasma wzgórz za Wisłą na których tle rysowały się wyraźnie wieże i zabudowania krakowskiego grodu.

Podjechali na wzgórze, wznoszące się dość stromo z prawej strony drogi, i zostawiwszy konie pod opieką Iży, podeszli na kraj gaju, rosnącego na szczycie, rozglądając się po okolicy.

- Cały kraj, który stąd widać, niegdyś państwo to było Starżów. W Tyńcu, który z Krakowa zobaczysz, był główny ich gród. Z wiślickimi kniaziami chcieli iść o lepsze, z Morawiany się łącząc, gdyż sami byli za słabi. Ale dawno to już. Od Piasta czasów Kraków wyrósł, wiślickich kniazów już ginie pamięć, a Starżowie się z nowym porządkiem zgodzili i z Mieszkowego teraz ramienia stary Topór siedzi żupanem na krakowskim grodzie. Po prawdzie rządzi syn jego Mikłusz, bo stary już nieruchawy. Ostał się też ród ich na tych ziemiach. Moźni są i zasobni a razem trzymają. Stary to ziemię z kniaziewego rozkazania ma ci wydzielić. Podoba ci się ten kraj?

- Inny on zgoła niż nad Wartą czy na Mazowszu - rzekł Dzik. - Ale podoba mi się. U nas okiem daleko nie sięgnąć, bo puszcza nie da. A tu jak ptak, co na wysokiej gałęzi siedzie, patrzeć można daleko.

- Patrzyć - wtrącił się Szmątka - to możecie i na kniazowski gród, nie zabroni wam nikt. Ale ziemię tam trzeba brać, gdzie korzyść jest.

- Korzyść z ziemi jest wszędzie - rzekł Zbrozło. Macie kim las karczować i ziemię uprawić. Nie zginiecie z głodu. A wybierać można jeno między tym, co jest. Siedzą tu Starżowie wokół Śreniawy i Raby, po obu stronach Wisły, daleko na zachód, za Tyniec. Ich są puszcze w klinie między Rabą a Wisłą i na wzgórzach, od Krakowa począwszy po źródła Rudawy. Na południe aż za myślenicką bronę ciągną się ich ziemie, daleko w górę Raby aż po Tęczyn. Hen! aż po te góry.

I wskazał ręką pasmo wzgórz, ciemnym borem okryte.

Dzik pobiegł wzrokiem za ręką Zbrozły i zapytał:

- A tamże co białego świeci dalej jeszcze?

- Góry to są wysokie, skała lita, i nic na nich nie rośnie.

- Nie muszą chyba być daleko?

- Dalej niż do Wiślicy, jeno wzrok myli. A nie zajdziesz ani za sześć dni, bo za myślenicką broną kraj już prawie nieosiadły, za Tęczynem zaś bezdroże i dzicz zupełna. Jeśli są jakieś szlaki, to chyba zbójckie lub zwierzęce ścieżki.

- A zwierza tu siła jest i jakiego?

- W tej puszczy - Zbrozło wskazał na wschód - żubry jeszcze są i tur czasem się trafi, prócz dzików i innych, drobniejszych. Jeleń też przechodzi z gór, tęższy znacznie niż u nas na nizinach i rosochy ma jak konary. A dalej na południe tura i żubra już nie ma, ale niedźwiedzi moc i większe niż u nas. Tamże na skałach koziół żyje skalny, a z mniejszych kozica. Inne na nie łowy niż na nizinie. Ni psa, ni naganiacza brać nie można. Zręczność jeno i cierpliwość mieć trzeba, bo taki ci koziół po skale wejdzie, gdzie zdałoby się, jeno mucha by iść mogła.

- Mówicie? - zadziwił się Dzik. A zwracając się do Szmátky, zapytał:

- A ty, Szmątka, jakoże myślisz? Ja bym w górach ziemię wziął. Tam dworzec wystawić, toby szmat kraju było widać.

- Za cóż było płacić, kiedy dzicz na bezdrożu brać chcecie, gdzie ni kupiec, ni gość nie zagładnie. Chciało wam się tego, trzeba było samemu wziąć. Bylibyście kniazem dla siebie, boby nikt o nas nie wiedział. A raz zapłaciwszy, ziemię tam trzeba brać, gdzie coś warta, od dróg niedaleko, by i swoje sprzedać, i cudze kupić można.

- Będę to sprzedawał i kupował? Wszystkiego mamy dość, a trza będzie czego, to i tak dostanę.

- Skoroście teraz pańskim drużynnikiem i w dworze żyć macie, nie pójdziemy na gościniec rabować.

Rozmowę przerwał Zyńka, nadbiegając z wiadomością, że nadciąga reszta orszaku, zjechali więc ze

wzgórza i pociągnęli ku grodowi.

Zimowy dzień miał się już ku schyłkowi. Słońce poczerwieniało i zniżyć się zaczęło do bielejących za Wisłą skalistych wzgórz. Gródek rósł w oczach i żarzył się w blaskach zachodu.

Mijali liczne osady, w których rzemieślnicy i służba grodowa siedziała. Minęli bagnistą łąkę, ninię śniegiem pokrytą, przejechali koło starej kąciny na kępie, zostawiając mały gródek z zabudowaniami po lewej ręce, i wnet dojeżdżali do grodu po naturalnej grobli, dzielącej dwa stawy, stanowiące dawne zalewiska Wisły. Leżący po prawej stronie, zwany Żabim Krukiem, prawie aż pod skałę podchodził, na której gród był położony, od Wisły oddzielony groblą, po której wiodła droga ku widniejącym opodal wzgórzom. Wjechali w wąwóz, za którym widać było dwie wyspy wiślane, zwane Stradomiem, z których większa mostem była połączona z obu brzegami Wisły i szlak przez nią wiodł na południe. Na Skałce, za Wisłą, stał chram w gęstwinie bezlistnych drzew i widać było zabudowania.

Za wąwozem wykręcili w prawo i po stromym zboczu wstępowali na gród.

Minąwszy zwodzony most na bramie ze strażnicą, gdzie się opowiedzieli, wjechali w ostatnich blaskach zachodu na obszerny podworec, wkoło otoczony budynkami, z których wysypali się drużynnicy, dworscy i służba witać i wypytywać przybyłych. Ruch i gwar wszczał się niezwykle, konie prowadzono do stajen, zaś jeńców do szop. Zbrozło z towarzyszymi szedł do głównego budynku, leżącego od strony wąwozu, gdzie księżę zwykł był stawać, gdy do Krakowa zajeżdżał.

U wejścia stał Mikłusz Starza witać przybyłych. Człowiek w sile męskiego wieku, pięknej postawy, z orlą, suchą twarzą, z siwiejącym już wąsem. Zbrozłę powitał pozdrowieniem, innym dumnie skinął głową i prosił wejść do świetlicy, gdzie stary żupan oczekiwał gości.

W ogromnej, mrocznej izbie, która zajmowała prawie cały budynek, w podkowie ustawione były stoły dębowe. Na szczycie podkowy podwyższenie było, gdzie zazwyczaj księżę siadywał, gdy przebywając na grodzie przyjmował gości. Ninię na podwyższeniu siedział stary Topór, głowa najmożniejszego tej ziemi rodu, którym rządził jak za dawnych lat, a z Mieszkowego rozkazania i w jego nieobecności pan na ziemiach po obu stronach górnej Wisły, od Odry prawie po San i do Łysej Góry po Tatry. Za kniazia też się miał, Piastom nie rodem, jeno władzą ustępującego, i żywił wciąż jeszcze nadzieję, że syna Mikłusza ożeni z siostrą Mieszkową, Białą Knieginią, a w cichości marzył czasami, że jeśli bogowie zrządzą, potomstwo jego kiedyś kniaźyc będzie wszystkimi ziemiami polańskimi, gdyby Mieszko nie zostawił uznanego dziedzica.

Biała tymczasem przebywała ze swym dworem na krakowskim grodzie i niedawno z dziecinnych lat wyszedłszy, nie zaprzętała sobie głowy małżeństwem, o zabawie i śpiewaniu jeno myśląc, podczas gdy dumnemu Mikłuszowi kruczy włos już siwieć zaczynał. To by jednak nie było przeszkodą w marzeniach starego. Gorzej, że wiadomość obeszła kraj, iż Mieszko czeską księżniczkę zamierza pojąć, najgorzej zaś, że posły z Węgier siedzieli na grodzie, na przybycie Mieszka czekając, a choć nie zdradzali, z czym przybywają, przecie stary zwietrzył, że małżeństwo Białej z Gejzą węgierskim ma być omawiane. Gdy zaś zimowe wichry powodowały ból w kościach, siedział nastroszony jak stary orzeł, wyblakłymi oczyma patrząc po świetlicy, gdzie wrzało od gwaru wchodzących i wychodzących i różne mowy słychać było, bo prócz Węgrów kilku rycerzy niemieckich czekało,

którzy Mieszkowi służby swe przybyli ofiarować, kilku duchownych Italczyków, od Jordana przysłanych, też bawiło od dłuższego czasu na dworze, nie unikając żadnej sposobności, by z rycerstwem łączność nawiązać i mowy się przyuczyć. Tymczasem jednak siedząc społem ogniście rozprawiali własnym śpiewnym językiem. Nie brakło i psiego harmideru, gdyż biesiadnicy przychodzili na wieczerzę z psami, które, z różnych sfor, gryzły się pod stołami, ku uciechu służebnych pacholąt.

Zbrozła z Prandotą szli witać żupana i Mieszkowe zlecenie mu oznajmić. Pozostałych zaś miejscowi obściskali, radzi dowiedzieć się o przebiegu wyprawy, a po chwili niemal wszyscy wiedzieli już o przygodach Dzika. Jego samego nie było, gdyż do gościnnych izb odszedł z Zyńką, z polecenia Zbrozły, położyć się na wypoczynek. Szmatka jednak, wspaniale przybrany, skupiał dokoła siebie uwagę obecnych, zarówno udziałem swym w sławie Dzikowych uczynków, jak i umiejętnością ich opowiadania.

Gdy zaspokojono pierwszą ciekawość i podano wieczerzę, przysiadł się do Szmatki Mikłusz, który w tłoku nie chciał się dopychać, i, przypijając do niego, z zaciekawieniem i pewną zazdrością słuchał opowiadania. Dowiedziawszy się, że Dzik osiąść zamierza w krakowskiej ziemi, rad był z nabytku tego, zarówno w drużynie, którą dowodził, jak i temu, że tak można człowiek - bo i o bogactwach Dzika Szmatka opowiedzieć nie przepomniał - w bliskości osiądzie.

Szmatka w toku rozmowy przepytywał mimochodem o okolice, usiłując wymiarkować, gdzie by najlepiej było osiąść i jakie ziemie wziąć, by siedzieć niedaleko od uczęszczanych szlaków i od Krakowa, a zarazem Dzikowi dogodzić, by góry i łowy były. Nim się rozeszli, zdążył wkraść się w łaski Mikłusza i dowiedzieć się wszystkiego, co chciał. Nie ze wszystkiego jednak był zadowolony i gdy szedł na nocleg do gościnnego dworca, podchmielony, kłął pod nosem i zasypiając jeszcze biesił się na Dzikową bezmyślność.

Sen miał po przepiciu niespokojny. Kręcił się też na posłaniu i usnął dopiero nad ranem. Śniło mu się, że siedzi na stercie wszelakich skarbów, które różni ludzie wygarniali spod niego, a Dzik stał z boku i śmiał się. Szmatka gniewał się i krzyczał lecz bezskutecznie. Sterta malała coraz szybciej, a on siedział coraz niżej, aż zbudził się.

Na polu już było szaro i sypał jednostajnie gruby śnieg. Szmatka zebrał się, znużony, i wyszedł do łaźni. Wyparzywszy się, poczuł się lepiej, lecz złość nie przestała go nurtować, toteż, pośniadawszy, udał się do Dzika, by ją wyładować. Zastał go siedzącego w łożu. Zyńka odwinął mu właśnie opaski, którymi ramię i bark miał owinięte, i zdjął mu przy tym gieżło z grzbietu. Dzik siedział do pasa nagi, z zaciekawieniem oglądał swoją rękę i usiłował nią poruszać mówiąc:

- Żeby nie wiedział, że to moja ręka, myślałbym, że nie moja.

Istotnie, wychudła prawie na kość, wyglądała przy potężnym torsie i olbrzymich mięśniach prawej jak doczepiona. Dzik skrobał się po głowie, mrużąc:

- Cóż ja z taką ręką będę robił?

- Nie sumujcie się - powiedział Zyńka - pewnie się poprawi.

- Zbrozły by trzeba zapytać - rzekł Dzik - może co poradzi.

I usiłował podnieść rękę do góry, lecz nie szło. Kazał przeto Zyńce rękę sobie podnieść. Zyńka więc wylaź na łożę i z trudem ciągnął rękę Dzikowi, aż ją w górę wyprostował. Gdy puścił jednak, ręka opadła z powrotem, gdyż nie zdołał jej Dzik utrzymać.

- Idź po Zbrozłę - rzekł Dzik - niech coś radzi, bo tak, jak jest, chyba obciąć i do gnoju wyrzucić. Szkoda nosić ze sobą.

Zyńka zebrał się i wyszedł, a Szmatka, który w milczeniu patrzył na usiłowania Dzika, usiadł na zydlu, mówiąc:

- Było za co rękę zmarnować. Dobrze was kniaź ze Zbrozłą oszukali.

- Głupiś! Albo co?

- A bo do brania tego, co kniaź dał za jedną rękę, druga aż nadto starczy, ale do dawania to i dziesięciu mało by było.

- Gadaj po ludzku, bo nie wiem, czego chcesz. Co mnie miał kniaź oszukiwać albo za rękę płacić? Przecie popsuli mi ją w bitce. Jeden to i całkiem bez ręki albo i nogi chodzi, cóże ma kniaź do tego?

- Przecie dla kniaziaśmy się bez czerwieński obóz pchali.

- A właśnie o nim myślałem. Szedłem, bo mi się zachciało. Nie chciałbym, tobym nie poszedł, choćby mi kniaź krakowski gród dawał.

Szmatka głową kiwał z politowaniem:

- Dojdziecie wy do czego z takim myśleniem?

- Abyś wiedział, bo mam, co chcę, a ty wciąż byś coś chciał, czego nie masz, chociaż taki mądry.

- Posłuchajcie ino, to się wam we łbie rozjaśni, czy macie to, czego chcecie.

- A cóże? Ziemi mi nie dadzą czy jak? Kupiłem przecie od kniazia, to muszą dać, a nie, to sobie sam wezmę.

- Juści, juści, tylko od tego trzeba było zaczynać, nic nie mówiąc nikomu. A teraz pieniędzy nie oddadzą i wszystko omówione, to ziemię trza brać, a ino posłuchajcie, co z tego będziecie mieli, to się ucieszycie.

To rzekłszy Szmatka, rozstawiając po kolei palce, wyliczać zaczął:

- Na wyprawy stawać musicie; no, mniejsza z tym. Lubicie się bić, zresztą zawsze z tego korzyść jaka jest. Ale słuchajcie dalej. Do naprawy i budowy grodów chłopów posyłać musicie. Do nagonki - zechce się kniaziewi albo żupanowi polować - też. Naprawiać trzeba most albo robić przesiekę,

chłopów dawać. Legowisk niedźwiedzich i gniazd sokolich pilnować, nasza sprawa. Gonią łotrzyków, na ślad dawaj ludzi. Jadą posły albo wojsko idzie czy daniny kniaziowi prowadzą, dawaj ludzi i konie na podwody, przewód i przewóz. Jedzie dwór albo i wałęsają się pacholki, a miodosytniki, a koniary a łowiecka służba czy komornicy - jeść i pić dawaj, a obficie, bo brzuchy mają na książęcej służbie rozepchane. Macie zboże, dawaj sep, macie miód, dawaj dziesięcinę. Narzaz i opole za stado oddaj także. Łupieże macie, płacicie kuny na podworowe, poradne od każdego wołu. Od łowów i rybołówstwa płac pomocne. Wieziecie co swojego, płac myto i targowe - a niechże to lichy weźmie! - wykrzyknął Szmátka wzburzony.

Dzik siedział oglądając swe palce i usiłując nimi poruszać. Gdy Szmátka skończył, ozwał się:

- Odczep się i nie nudź mnie. Widzę ci, żeś się na pamięć nauczył, to ci lżej będzie płacić, skoro wiesz co. A po tom cię zrobił skarbnikiem, żebyś się tym martwił. Dość mam myślenia o swojej ręce. Jak mniemasz, będzie z niej co?

- Musicie wydobrzeć, bo inaczej ani na wojaczkę, ani na gościniec nie będziecie mogli iść. Zjedzą nas, ani god nie upłynie. Dobrze, żeś jeszcze obdarł Igora i jego wodzów, dziś po okup wysyłają. Dosalałem im tak, że się i nie targowali, byle wyjść spod mojej ręki.

- To czego skomlisz? Mało to jeszcze wszystkiego? Z łupów nam kniaź nadawał, u Ścibora moje skarby też są, a w ostatku mam jeszcze skarby zakopane.

- Trzeba by wykopać, lepiej mieć w skarbcu niż w ziemi.

- Nie potrzeba, niech se leżą. Wydamy, co mamy, to będzie czas wykopać.

Wejście Zbrozły przerwało rozmowę. Zbrozło obejrzał rękę, pokręcił nią w różnych kierunkach i rzekł:

- Rana zagoiła się, teraz ino ręką ruszać jak najwięcej i dobrze będzie. Do łaźni idź wyparzyć się, a potem do żupana pójdziemy, a więc przybierz się, jak należy.

Dzik polecił Zyńce rozpakować toboły z łupem i oglądał szaty, broń i ozdoby, w które zamierzał się przybrać. Wybrawszy, kazał Zyńce zawinąć je w węzełek i poszli do łaźni, znajdującej się w południowym skrzydle zabudowań. Zbrozło, czekając na niego, chodził po izbie, wreszcie odezwał się do Szmatki:

- A ty co ze sobą uczynić zamierzasz? Do Ślęza stąd niedaleko, wolnyś jest i niebiedny. Może byś swojaków jakich odszukał, miałbyś serce do kogo przyczepić.

Szmátka milczał ponuro. Po chwili spytał:

- Czemu mnie od Dzika chcecie odsadzić? Wadzę jemu albo wam?

- Nie o Dziku teraz mówię, jeno o tobie. Ze złodziejskiego pacholka wyszedłeś na możnego człeka, że i śnić o tym nie mogłeś; a miał się cieszyć, nierad jesteś wszystkiemu i wszystkiego ci mało. Młodyś jeszcze, żyć mógłbyś jak inni i o swoich siłach dojść do swojego, byleś nie mierzył za

wysoko.

- Ślężanie za Odrą przecież i nie Mieszkowe to już państwo. Życiem stawiał, by się kniaziowi dać poznać, to teraz wyjadę, gdzie mnie nie znają i gdzie mnie nikt nie czeka? - dodał jakby z goryczą. - Nos sobie już sam utrzyć potrafię, to nie trza mi teraz macierzy ni swojaków, kiedy ich nie było, gdym ich potrzebował. A nie przydałem się i nie przydam Dzikowi? Do bitki on jeno zdatny, a obrócić się między ludźmi nie potrafi, żeby o coś nie zawadził, to i pilnować go trzeba.

Zbrozło patrzył na Szmatkę przenikliwie, aż ten mieszać się począł i by przerwać milczenie, zapytał:

- Nieprawdę mówię?

- Nieprawdę, bo ty nie o Dziku myślisz, jeno o sobie. On ci potrzebny, bo łatwiej za nim się przepychać do tego, coś zamierzył. Chcesz, zostań, jeno nie próbuj po nim się pchać. Pomnij, com ci raniej rzekł. Chcesz się z nim związać, to się zwiąż uczciwie. Pociągnie cię za sobą, ale do grobu też.

Szmatkę dreszcz przeszedł, lecz nie odrzekł nic, a w tej chwili usłyszeli głos Dzika wracającego z Zyńką.

Dzik przybrany już był w szatę z łupów wybraną, która powłóczystą być miała, lecz sięgała mu tylko do kolan i przyciasna była mocno, za to bogato złotem obszyta. Nogi miał owinięte ciemnym sukmem, przewiązane czerwonymi taśmami, jeno skórznie stare, bo nowe, bogato kamieniami ozdobione, żadnym sposobem na olbrzymie stopy Dzika wejść nie chciały. Twarz miał zarumienioną od gorąca, a włosy od pary zjeżyły się w grzywę. Zadowolony usiadł na zydłu i każąc Zyńce kościanym grzebieniem doprowadzić do ładu czuprynę, mówił do Zbrozły:

- Zaraz się lepiej czuję, gdy się wyparzyłem, i nawet lepsze czucie mam w ręce. Zyńka mi nią kręcił cały czas, aż się zmachał, i widzicie, już trochę dźwignąć mogę, choć boli w ramieniu.

To mówiąc podniósł dłoń do wysokości łokcia.

- Wiecie, aże śmieszne, tak muszę ciągnąć, jakbym kamień młyński miał przywiązany. Anibym pomyślał, że ręka tyle ważyć może.

- A bo też ciężką łapę macie - rzekł Zyńka.

- Ciężka dla ciebie, ale nie dla mnie - rzekł Dzik pobłaźliwie.

- Macie iść ze Zbrozłą do żupana - ozwał się Szmatka - ziemię odbierać. Może byśmy o tym pomówili. Ułożyłem z Mikluszem, że weźmiemy za Rabą, od nadwiślańskich łęgów na południe i wschód, aż po Dunajec. Łęgi nad Wisłą wziąłbym, ale siedzą tam już drużynicy: Szczur, Radło i Borzęta. Za sąsiadów z zachodu będziemy mieć Starzów, na wschód już Luborowe ziemie, a na południu niczyje, chyba zbójeckie. Przy szlaku też będziemy, któredy ze Sącza na Wieliczkę kupcy z Węgier idą i z Rusi od Dniestru, przez Przemyśl, Sanok i Żmigród.

- Kiedyś już ułożył, to i o czym gadać. Pojedziemy obejrzyć, ino ręka mi wydobrzeje do reszty. A mamy iść do żupana, to chodźmy, bo jeszczem też dworca nie oglądnał, choć nie wiem, po co nam do

żupana, kiedy z Mikłuszem załatwione.

- Stary zazdrosny o władzę i lubi, by mu się kłaniać. A macie w jego ziemiach siedzieć, to i musi was poznać.

- A idźże mu się kłaniać, kiedy trzeba. Ziemie przecie moje będą.

- Wasze, ale pod jego władzą.

Dzik wzruszył ramionami:

- Mamy iść, to chodźmy. Kłaniać się, a słuchać, a płacić! Za co ja kniaziowi pieniądze dałem?

- No, widzicie - rzekł Szmatka. - Żebyście mnie pierwej zapytali, tobym wam odradził. Wiem ci ja, że od ciężarów zwolnienie można dostać, a nawet kniaź płaci drużynnikom.

- W zadku mam zapłatę. Jeno nie chcę słyszeć o tym wszystkim i żyć chcę, jak mi się podoba. Chodźmy, bo mnie złości biorą i jeszcze spiorę kogo w ostatku.

- Idę ja do żupana. Przyślę, jak was będzie chciał przyjąć. Nie odchodź nigdzie - ozwał się milcząco dotąd Zbrozło i wyszedł.

Szmatka zaczął chwilę, po czym rzekł:

- Zbrozło wam przecie poradził kniaziowi pieniądze dać za kota we worku.

Dzik spojrział jakoś dziwnie na Szmatkę i odparł:

- Zbrozło lepiej wie, co robi, a przynajmniej nie patrzy wciąż mojego jak ty. Pozwalam ci się okradać i panoszyć, bo śmiesz mnie to, że się za mądrego masz albo i mnie za całkiem głupiego. Nie stoję nic o to. A na Zbrozłą przy mnie nie gadaj, bo jak cię przez łeb zdzielę, to ci zęby nosem wylecą.

Szmatka poczerwieniał, lecz nie rzekł nic i siedział zasepiony. Chwilę panowało milczenie, które przerwał Dzik mówiąc:

- No, nie rób se z tego nic. Tak ci mówię, abyś uważał, ale cię i tak lubię. Rób, co ci się widzi, ino nie pyskuj.

Szmatka chciał coś odrzec, lecz w tej chwili wpadł Zyńka wołając:

- Pilnie chodźcie do żupana, bo widzieć was żąda, a czekać nienawykły!

- Juści. Lecę, bo umrę ze strachu, jak się żupan zagniewa.

To rzekłszy Dzik wyszedł ze Szmatką i prowadzeni przez Zyńkę szli do północnego kąta zabudowań, gdzie żupan zajmował kilka izb, z oknami na wawóz i na staw za groblą.

W małej świetlicy, obwieszanej kobiercami i bronią, zastali starego Topora siedzącego na zydlu z poręczami, okrytymi wilczą skórą, w rozmowie ze Zbrozłą i synem Mikluszem. Pobok siedział łowczy Sędziwój, młody jeszcze, tęgi mąż, krewniak i zaufany żupana, oraz skarbnik Siegniew, prawie rówieśnik Topora, suchy i pomarszczony, z wyblakłymi, szarymi oczyma w prawie bezwłosej twarzy. Wszyscy przerwali rozmowę, przyglądając się Dzikowi z zaciekawieniem, rozbudzonym widocznie opowiadaniem Zbrozły.

Dzik, wszedłszy, rozejrzał się naprzód po ludziach, później po komnacie, następnie podszedł do żupana i usiadł na wolnym miejscu na ławie obok Zbrozły.

Żupan zmarszczył brwi, a Miklusz ozwał się:

- Taki tu zwyczaj, że póki żupan siadać nie poprosi, stać należy.
- Głupi obyczaj - mruknął Dzik i zwrócił się do starego:
- Chcieliście mnie widzieć, to przyszedłem. Chcecie mi co powiedzieć, to mówcie.
- Dziękuję za pozwolenstwo - rzekł stary zgryźliwie. Słyszałem jak was przychwalano, że mężny z was wojak i kniaź nie byle jak was nagroził. Ziemię wam wydzielam, Jak wasz rękodajny - tu głową wskazał na Szmatkę - z synem moim uradzili. Odbierzecie je, kiedy wam będzie w porę, a tymczasem bądźcie sobie tu radzi nie zapominając, że ja tu z kniaziewego ramienia rządcą jestem nad wszystkimi, a syn mój wojewodą drużyny, do której was pan nasz miłościwie zaliczył.
- Dziękuję za gościnę. Póki nie wydobrzeję, naprzykrzę się wam trochę.
- Daniny wiecie, jakie macie płacić? - zapytał Siegniew.
- A mówił mi Szmątka, bo się na pamięć wyuczył. Ja tam pamiętał o tym nie będę.
- Przypomnimy sami, jeśli będzie trzeba - rzekł Siegniew.
- A na łowach pamiętajcie, że kotnej zwierzyny ni od młodych bić nie wolno. A już za niedźwiedzie od piastuna grzywien siedmnaście płacić trzeba. Wiedźcie, byście się pilnowali - rzekł Sędziwój.
- Juści, jak niedźwiedzie spotkam, o grzywnach będę myślał - odparł Dzik.

Uczyliło się naprężone milczenie, które przerwał Zbrozło mówiąc:

- Włoży się Dzik do waszych porządków, a wy do niego się zwyczajacie i nie odmówicie mu swojej łaski, której kniaź go jako wsławionego woja poleca.

Zwracając się zaś do Dzika rzekł:

- Podziękujże żupanowi i idźcie gród sobie obejrzyć.

Dzik skłonił się i wyszedł, a po jego wyjściu Topór powiedział:

- Iście, Dzik to jest, ale my dzików głaskać nie zwykli.

- Im później się konia weźmie pod siodło, tym większej cierpliwości trzeba, by go ujeździć, a nie znarowić. Naprzykrzał się nie będzie, byle go zostawić w spokoju, a do wojaczki przyda się lepiej niż kto drugi. Inne zaś sprawy snadniej załatwiać ze Szmatką; łacniej je rozumie.

- Nie będziem robić wyjątków. Jest władzą w tej ziemi, winien żyć jak drudzy. Władzę, którą dźierzę, uznawać musi, boby inni przykład zły brali.

- Róbcie, jak wam każe rozum; biorąc pod rozwagę, co wam rzekłem, i to, że lubią go kniazie Mieszko i Ścibor i łatwo w nich znajdzie popleczników - oschle odparł Zbrozło i pożegnawszy się wyszedł.

Sofia

Dzik ze Szmatką i Zyńką szli z grodu ku mostowi na Stradom, gdzie kupcy ruscy, żydowscy arabscy i greccy prowadzili handel niewolnikami. Szmatka wymienić chciał kilku brańców za niewolnice, spieszo mu bowiem było do budowy grodu, a zakładać osadę bez kobiet nie szło: Miał wprawdzie dostać kobiety od księcia, gdy wróci z czerwieńskiej wyprawy, ale czekać by musiał, czas mitrząc niepotrzebnie.

Na lewym brzegu nad Wisłą było miejsce ogrodzone, gdzie kupcy na pokaz przywozili swój towar, na noc go do szop na wyspę odprowadzając. Ruch tu panował zawsze znaczny, gdyż krzyżowały się w Krakowie drogi z południa na północ i z zachodu na wschód wiodące i jakkolwiek między niewolnikami przeważali Słowianie, nie brak przecież było jeńców z dalekich południowych czy północnych i zachodnich brzegów, których ceny też znacznie wyższe były, gdyż zazwyczaj nie tylko rzadkość, ale i nieznanie nieraz rzemiosła i umiejętności brano pod uwagę.

Szli tedy, rozglądając się po targu, przystając od czasu do czasu, zaczepiani przez kupców, którzy zachwalali towar. Szmatka szukał jednak starszych kobiet do pracy i gospodarstwa, a nie dla rozkoszy, które jeno do swarów między brańcami doprowadzić mogłyby.

Dzik nudzić się już zaczynał i na gród zbierał się wracać, gdy zauważył, że Zyńka gdzieś się zapodział. Zostawiwszy tedy Szmatkę przy targach o jakąś niewolnicę, wracał rozglądając się za Zyńką gdy spostrzegł go biegnącego w ślad za nim. Gdy nadbiegł zdyszany, Dzik zapytał:

- Gdzie się dziewczasz? Niewolnicę sobie wybierales?

Zyńka zarumienił się i odparł:

- Nie to, ino sprzedają taką jedną, co ino po grecku mówi.

- To ty umiesz po grecku?

- Rozumiem i jeszcze trochę od mateńki pamiętam. Chodźcie prędko, bo ją kupi kto drugi.

- Duchem lecę, ino po co. Szmatka wybiera, co mu potrzebne.

- Szmatka jej nie kupi, bo leciwych szuka i tanich, a ta młoda jest i droga będzie.

- No, mogę obejrzeć, ale kupować nie myślę - rzekł Dzik idąc za Zyńką, który przodem szedł, coraz za Dzikim się oglądając, czy nadąza. Pobiegł wreszcie naprzód i Dzik, nadchodząc, widział jak z właścicielem rozmawiał, na niego wskazując.

Właściciel, suchy, czarny Arab, spoglądał na nadchodzącego Dzika, a widząc bogate szaty i broń, zginać się począł w pokłonach i łamanym słowiańskim językiem towar swój zachwalać.

Towar, w osobie młodej dziewczyny, siedział skulony w kącie szopy obok starszego już człowieka. Kupiec przemówił do niej w niezrozumiałym języku. Drgnęła, lecz widocznie nie chciała usłuchać. Coś jakby gniew przeleciało przez jej znękaną i zsiniałą od mrozu twarz i nie ruszyła się z miejsca.

Kupiec, z zimną złością w twarzy, podszedł do dziewczyny i kopnął ją z całej siły. Siedzący obok rzucił się na niego, lecz wątlym i starszym będąc, uderzony pięścią w twarz runął na ziemię. Na ten widok dziewczyna podskoczyła i przyklękawszy przy leżącym, ocierać mu zaczęła krawką szaty krew ciekącą z nosa i ust. Kupiec, stanąwszy nad nią, znowu ostrym głosem wydał jakiś rozkaz, a gdy dziewczyna pogardliwie coś odrzekła, uchwycił ją za włosy i postawiwszy na nogi, pchnął przed Dziką, tak że znalazła się przed nim o pierś. Dzik, który patrzył z niechęcią na scenę, jaka się rozegrała, ujrzał przed sobą twarz bladą z gniewu i ogromne błękitne oczy, płonące nienawiścią i pogardą. Kasztanowatozłociste, kręte włosy, rozrzucone brutalnym szarpnięciem, opadały w zwojach na plecy.

Dzik stał zmieszany tym wzrokiem i nie wiedząc, co począć, sięgnął do włosów dziewczyny, by je wziąć do ręki, gdy dziewczyna niespodziewanie odtrąciła ją, mówiąc niezrozumiałe słowa.

- Zyńka, co ona mówi? - spytał Dzik.

Zyńka niepewnie odpowiedział:

- Nie rozumiałem, panie!

Lecz kupiec zawołał:

- Psem pogańskim was nazwała, witeziu! Kupcie ją, to będziecie z nią mogli robić, co zechcecie.

Dzik wzruszył pogardliwie ramionami i odparł:

- Pewnie znowu jakaś księżniczka. Zadość miałem jednej.

I odwróciwszy się, chciał odejść, gdy Zyńka niespodzianie uczeplił mu się kolan i błagać począł, by kupił niewolnicę.

Dzik spojrział na niego z pewną niecierpliwością i rzekł:

- Cóż ty, zdurniał, raku? Niepotrzebna mi, i patrzy na mnie, jakby mnie chciała nożem pchnąć, że bałbym się zasnąć przy niej.

- Kupcie, panie, bo ją bić będą albo i co gorszego.

- A cóż cię ona obchodzi? Nie ją jedną sprzedają.

Chłopak nie umiał znaleźć odpowiedzi, lecz prosił namiętnie, całując Dzika po kolanach i mówiąc:

- Wszystko dla was zrobię, co zechcecie.

- Pewnie mi swoje ciżmy dasz; w sam raz dla mnie - rzekł Dzik z pobłażliwym lekceważeniem.

- Kupcie, panie, jeszcze was bardziej będę miłował niż teraz - nalegał Zyńka rumieniąc się.

- Ej, durnyś ty, dziewczyną się miałaś urodzić - odparł Dzik i zwracając się do kupca, zapytał:

- Co za nią chcecie?

- Dla was, witeziu, aby się pozbyć, dziesięć mitkali.

Dzik zmieszał się nie wiedząc, czy cena jest wysoka, czy niska i stał patrząc niepewnie i skrobiąc się po głowie, a kupiec łupał na niego spod oka, badając, jakiej ceny zrobiła wrażenie. Dzik, by wybrnąć z zakłopotania, rzekł:

- Wiem, że oszukujecie mnie, ale zajedno mi.

I sięgnąwszy podał trzos Zyńce, każąc mu odliczyć pieniądze. Z kolei Zyńka zakłopotał się i przebierać zaczął w trzosie, w którym nie znane mu, różnego pochodzenia pieniądze zdawały się parzyć palce. Kupiec zaś widząc, na kogo trafił, ofiarował się usłużyć sam pieniądze odliczyć, gdy na tę chwilę nadbiegł Szmątka i wrywając trzos, zawołał:

Nie kupujemy, szkoda czasu mitrężyć! - i zabierał się do odejścia, gdy kupiec doskoczył i przytrzymując go, coś szybko zaczął po niemiecku mówić. Szmątka mu w tymże języku odpowiedział i rozprawa przybierała coraz gwałtowniejszy obrót. Dzik stał słuchając, a gdy krzyki zdawały się zapowiadać, że lada chwila dojdzie do bójki, rzekł do Szmátky:

- A teraz gębę stul i gadaj, o co wrzeszczysz?

- Bo kupiec mówi, że dziewczyna kupiona, i do żupana chce iść prawować się.

- Praw jest. Kupiłem, wyciągaj miech i zapłać.

Szmątka spojrział ze złością na Dzika, a kupiec przechwalać jął gorliwie słowność Dzikową.

Z ciężkim sercem Szmątka wyciągnął trzos i zapytał:

- Ileście utargowali?

- Dziesięć, jak tam mówił, Zyńka?... mitkali.

Szmątka omal nie usiadł na ziemi z wrażenia.

- Rety, przecie pięć by kupił za te pieniądze - i znowu potokiem obelg zalał kupca, który nie pozostał dłużny i słowa znów latały jak osy, lecz tym razem krócej, gdyż zniecierpliwiony już Dzik ryknął:

- Kończ i płać, bo mnie krew zaleje!

Szmątka drgnął z nawyku i ucichł. Z zawziętością wysypał z mieszka pieniądze, wybrał najbardziej obrzezanych dziesięć mitkali i chciał je wręczyć kupcowi. Ten znowu z kolei zaczął krzyczeć. W Dziką złość już kipiała, więc wypytawszy Szmatkę, o co chodzi, rzekł do kupca:

- Albo bierzesz, co ci daję, albo w łeb dostaniesz. Nie ja obrzezałem pieniądze. Dziesięć mówiłeś, dziesięć masz.

Gdy zaś kupiec zbierał się znowu do przemowy, cisnął mu pieniądze pod nogi i zamierzył się na niego. Arab odskoczył szybko i krzyczał, że do żupana pójdzie na skargę, Dzik zaś widząc, że tłum się zebrał wokół, odwrócił się mówiąc:

- W tyłku mam ciebie razem z żupanem! - i przez gapiów przepychał się roztrącając w złości ludzi na prawo i lewo.

Szmatka zabrać chciał niewolnicę, lecz niespodziewanie trafił na nową przeszkodę. Dziewczyna, która w czasie kłótni usiadła znów przy leżącym, gładząc go po głowie i szepcząc - gdy oderwać ją chciał od niego, gryźć i drapać poczęła.

Szmatka, zły już od dawna, zaczął pięściami ją okładać, kupiec zaś, który tymczasem pozbiierał pieniądze, stał z boku, uśmiechając się złośliwie. Niespodzianie Zyńka rzucił się na Szmatkę, chwytając go za rękę.

Tu już złość Szmatki przelała się. Chwycił chłopca i wsadziwszy jego głowę między kolana, okładać go począł. Nagle coś podniosło go za kark. Jak kot przeleciał parę kroków i legł na ziemi oszołomiony: Zyńka stał pocierając plecy, a Dzik, który go uwolnił, z gniewem zapytał:

- A zaś co znowu?

Kupiec, wietrząc interes po takim odstawieniu Szmatki, gorliwie tłumaczył, że stary jest ojcem dziewczyny, bez którego odejść nie chciała, i stąd powstało zajście. Zyńka, stojąc z boku, patrzył błagalnie na Dzika, nie śmiąc już prosić. Dzik jednak z hamowaną wściekłością sam zapytał:

- Ile stoi ten dziad?

- Dwa mitkale - rzekł kupiec.

Dzik z przyzwyczajenia oglądnął się na Szmatkę, który pozbiierał się tymczasem. Widocznie jednak zły był na niego, gdyż sięgnął sam do kiesy i wyjąwszy pierwsze z brzegu dwa złote pieniądze, cisnął je kupcowi w twarz, a do Zyńki zawołał: "Zabierz ich, bo ubiję tu kogo!" - i szybko ruszył ku grodowi.

Zyńka coś prędko do dziewczyny powiedział i pomógłszy razem z nią powstać jej ojcu, nadążali za Dzikim, a za nimi włókł się Szmatka.

Dzik i Szmątka

W wyiskrzony słońcem ranek zimowy dwóch jeźdźców zdążyło od Krakowa ku bielejącym na widnokręgu, lekką mgiełką przesłoniętym wzgórzom. Mijali osady i samotne chaty wśród drzew, świeżym szronem okrytych, to puszczając konie kłusem, to stępa, wspinając się na wzgórze falistej okolicy.

Zagajniki i kępy drzew stawały się coraz gęściejsze, ludzkie osiedla coraz rzadsze i jeźdźcy, ujechawszy dwie mile, stanęli na wzgórzu wyższym od innych. Odtąd zaczynała się jednolita ściana boru, w którym niknęła mało przetarta droga. Natomiast w tył, ku Krakowowi, rozpościerał się widok daleki, a gród świecił w słońcu na skale.

Jeźdźcy zsiadli z koni i przywiązawszy je do przydrożnych drzew, patrzyli na okolicę.

- Hej! piękny kraj - rzekł Tarło do Dzika, a gdy ten się nie odezwał, zapytał:

- Cóżście się tak zasumowali, że słowa od was wydobyć nie można?

Gdy Dzik i na to pytanie nie odpowiedział, Tarło zamilkł.

Dopiero po chwili ozwał się znowu:

- Szmątka nieprędko nadciągnie. Gospoda tu ma być w dole przy strumieniu. Konie napoimy i sami w cieple zaczekamy. W las lepiej się razem zapuścić, bo pono odtąd dziki kraj i mało gdzie osada się trafi, gdzie by wypoczywać i pożywić się można. Przy myślenickiej bronie dopiero stróża stoi, a nie dociągniemy tam przed wieczorem.

Dosiedli koni i zapuścili się w biały mrok lasu, zjeżdżając krętym szlakiem po zboczu w dół. Uroczytą ciszę mącił jedynie głuchy tupot kopyt po śniegu i dalekie kucie dzieciółów. Smyrnęła czasem bezszelestnie kuna, a wiewiórka, zwiesiwszy kitę nad głową, przypatrywała się lekceważąco rzadkim gościom z wysokości swej gałęzi. Jechali w milczeniu, gdyż Tarło, zbyty kilka razy, nie próbował już nawiązywać rozmowy.

Ujechawszy parę stajań, posłyszeli z dala szum potoku, zrazu niewyraźny, wzmagający się jednak w miarę jak droga ku niemu skręcała, a po chwili szczekanie psów oznajmiło gospodę, nim spostrzegli ją wśród oszronionych drzew i chaszczów.

Skręcili z gościńca i zajechali przed niski, długi budynek strzechą kryty, przed którym zsiadli z koni i przywiązawszy je do pnia, szli ku wejściu. Dwa duże, kudłate psy robiły wściekły harmider, lecz z chaty nikt nie wychodził.

Tarło wszedł przodem przez niskie drzwi do mrocznej sieni, a za nim, pochylając głowę, wtoczył się Dzik. Rozejrzawszy się, spostrzegli drzwi, Tarło zakołatał, lecz gdy i teraz nikt się nie odezwał, weszli.

Obszerna, niska izba z ogromnym paleniskiem przy wejściu słabo oświetlona była przesączałym

się przez błony w okienkach światłem. Niski strop, wsparty na bierzmach wygiętych ze starości, wisiał tuż nad głowami, tak że Dzik, idąc, mimo woli pochylał głowę. Pod dwiema ścianami stały ławy; długi zaś stół zajmował miejsce pod okienną ścianą.

W izbie ziąb panował, palenisko było zimne, lecz porozrzucane statki świadczyły, że ktoś jest w chacie.

Właśnie Tarło wybierał się szukać gospodarzy, gdy z sąsiedniej komory odezwał się słaby głos niewieści. Tarło poskoczył do wejścia i w zupełnym prawie mroku rozeznał jakąś postać leżącą na ławie i okrytą skórą. Zdziwił się usłyszawszy szlochanie i rzekł:

- W gości zajechaliśmy. Wyście gospodyni?

Przez chwilę panowało milczenie, po czym leżąca odezwała się:

- Myślałam, że moi wrócili. Wczoraj rano wyszli na łowy. Zasłałam z wieczora. Ni dziecka, ni gadziny nie ma komu nakarmić. Boję się, że spotkała ich przygoda, bo wieczorem wrócić mieli.

- Musi coś ich zaszło, jak to często na łowach, ale wrócą. Tymczasem rzeknijcie, co trzeba zrobić i gdzie czego szukać, to i was nakarmimy, i sami pożywić się i ogrzać będziemy radzi.

Kobieta westchnęła z ulgą i wskazała Tarle, gdzie szukać kłodówki, w której zapasy były przechowywane. Tarło zakrzętnął się zwinnie i za chwilę ogień płonął, a on sam z naczyniami kopnął się po wodę. Dzik, przysunąwszy sobie zydel, siadł przy ogniu i zadumał się poruszając w zamyśleniu palcami lewej ręki, którą od czasu do czasu zginał i prostował.

Po chwili szmer rozległ się przy wejściu do komory i młoda kobieta weszła do izby. Słabym głosem pozdrowiła Dzika, który mruknął coś w odpowiedzi, po czym zakrzętnęła się przy ogniu przygotowując polewkę. W tej chwili wszedł Tarło i ujrawszy ją rzekł:

- Po cóż wstajecie, kiedyście słabi? Sami i siebie, i was obsłużymy.

- Nie uradzicie wszystkiemu, zresztą i dziecko muszę nakarmić, i porządek zrobić koło krów.

- A dziecko gdzie? - zapytał Tarło.

- W komorze śpi. Mleka mu muszę udoić - rzekła i zarzuciwszy kozuch wyszła, a po chwili rozległo się radosne ryczenie krów.

Tarło usiadł koło Dzika i zapytał:

- Nim dostaniemy ciepłej strawy, może byście co ze sakw przekazali?

A gdy Dzik skinął głową, wstał i po chwili przyniósł pieczone mięso, kołacz oraz dzban i dwa kubki. Ustawił wszystko na stole i prosił do jedzenia.

Dzik przysiadł się, nic nie mówiąc, i zaczął się pożywiać. Po chwili westchnął i sięgnął do miodu.

Usłużny Tarło nalał kubki, które opróżnili i Dzik swój znowu podsunął. Powtórzył to kilka razy i widocznie miód rozgrzał go, gdyż zrzucił szubę futrzaną i mrucząc kląć zaczął pod nosem.

Tarło osądził, że nadeszła pora, by Dzika wybadać, i zagadnął:

- Najgorzej, jak się w człowieku złość zapieczę. Powiedzcie, co się stało, żeście z Krakowa wyjechali tak nagle, choć mieliście siedzieć, póki ręka całkiem nie wydobrzeje. Anim spocząć zdołał po podróży. Jakby was kto gonił.

- Ręka już dobra, ino słaba jest. A wyjechałem, bo mi Zbrozło kazał - burknął Dzik.

Tarło nalał znowu miodu i przypił do Dzika, czekając, aż sam dalej mówić będzie, lecz Dzik znowu się zaciął. Zagadnął więc:

- O cóże poszło?

- Wszystko bez tę niewolnicę. Greczynka i chrzczona, zatracona mać.

- Mówcie składnie od początku, bo przecie o niczym nie wiem. Jużeście na koniu byli, gdy nadjechałem.

- A zachciało się Zyńce niewolnicy, że, prawi, po grecku gada jak jego mać. Miękki jestem w sobie, to kupilem, jeszcze mnie kupiec oszukał. Zajedno mi to, ale się Szmatka przypiął i wyszukał te tam... mitkale co najwięcej obrzezane. Wadzić się z kupcem poczęli, aż mnie zeźliło, więcem cisnął pieniądze i poszedł. Oglądam się, a Szmatka pierze Zyńkę, chociem mu zakazał, więcem go cisnął od chłopaka. Pokazało się, że dziewczka bez starego, co ojcem jej jest, iść nie chciała i z tego się pobili. Nazłaziło się luda patrzeć, tom i dziada kupił, aby skończyć, i poszliśmy.

Tu Dzik wypił znowu i zadumał się.

- I cóże dalej? O to wam przecie Zbrozło wyjechać nie kazał.

- Od tego się zaczęło, a skończyło się, nie wiem jak.

Siedział milcząc i ciągnął miód, aż oczy mu świecić poczynały. Tarło czekał, lecz widząc, że Dzik sam się nie wygada, zapytał znowu:

- A czemuż Zbrozło wam wyjechać kazał?

- A wiem ci ja? Może bez to, że się zagniewał albo że żupan do lochu chciał mnie zamknąć.

- Za cóże was zamknąć chcieli i o co się Zbrozło zgniewał?

- Zgniewał się o Zyńkę, żem go niechcący za mocno trącił i łeb se rozciął o ławę, aż go zamroczyło, i Zbrozło zamawiać musiał.

- Rety! Za cóżeście go tręcili?

- Zwałowałem się - rzekł Dzik markotnie.

Widać, żal mu było chłopaka.

- Mówcie składnie, bo nie wiem wciąż, jak było. O cóżeście się zwałowali?

- Wszystko bez Szmatkę i kupca. Przyleciał do Siegniewa, żem mu dał obcięte pieniądze. Siegniew zły był na mnie, żem mu czapką podrożył, a i żupan też. Jeszcze mu kupiec powtórzył, com powiedział, gdzie go mam razem z żupanem. Przysłali po mnie, abym na sąd przyszedł, ale mi się nie chciało i nie poszedłem. Zaś Szmatka, głupi, poleciał do Zbrozły, żeby coś poradził. Poszedł Zbrozło do żupana i byłby pewnikiem załagodził, ale się lichy do tego przyplątało.

Tu Dzik pięścią zamierzył się w stół, lecz pohamował się i ciągnął dalej:

- Ledwie wyszedł pacholek od żupana, com go nogą za drzwi wypchnął, przyleciał ci mi jeden z tych czarnych, co to na chrześcijańską wiarę mają nawracać z kniaziowego polecenia. Coś ci krzycheć zaczął. Zły już byłem, alem siedział cierpliwie, że to niby kniaziowe raby. Aż ci wrócił Szmatka i zgadali się, i Szmatka mi mówi, że dziewczyna chrzczona jest, to jej na rozpustę poganinowi, niby mnie, kupować nie wolno. Chciałem rzec, że wolno sprzedać, to wolno i kupić, a dziewczynę, Zyńce kupiłem, ale jak zaczął krzycheć ten czarny, a rękami machać, tak i nie wiem, jak się stało, ale go wynieśli. Szmatka znowu poleciał do Zbrozły, a Zbrozło do żupana. Na całym grodzie ruch się zrobił. Żupan pono krzyczał, że mnie obwiesić każe, i po mnie straż posyłał, ale Zbrozło zakazał i o to się pocięli. A mnie jak raz krew zalała, tom połamał, co mi wpadło pod rękę, i Zyńkę, co mnie się czepiał, żeby uspokoić, też jakoś trąciłem, że łeb rozciął o ławę. Dobrze, że Zbrozło przyszedł na to, bo i Szmatce się oberwało, a Zyńka leżał - prawie trup, ale go Zbrozło otrzeźwił, ino kazał mu zostać, a mnie jechać nie mieszkając, ino do rana zaczekać. Sam też pojechał do kniazia Ścibora, ale mi nie dał ze sobą jechać.

Dzik skończył i czas jakiś siedział w milczeniu. Potem ujął dzbanek, wychylił do dna, a następnie w nagłym porywie gniewu wyciął nim o ziemię, aż rozprysnął się w tysiączne kawałki, i ryknąwszy grube przekleństwo, wypadł na dwór: Zerwał wodze, którymi koń był przywiązany, skoczył na niego i uderzywszy piętami, pognał przed siebie, a nim Tarło zdołał swego odwiązać, zniknął mu z oczu.

Wracając ze skopkami mleka gospodyni ze zdziwieniem popatrzyła za nim, a Tarło, jeno krzyknąwszy jej, by poczet tu zaczekał, swego konia odwiązał i pognał za Dzikim.

Pędził wzdłuż zaśnieżonej łąki nad potokiem, licząc na to, że pod ciężkim Dzikim koń, choć mocny, prędzej ustanie, a pęd Dzikowi wywieje gniew i miód. Jakoż za drugim zakrętem, gdzie droga piąć się zaczynała pod górę, nad mostkiem na potoku spostrzegł stojącego Dzika. Zwolnił, aby z nagła najechawszy nie zbiesić zgniewanego, i podjechał.

Dzik, który coś na kalinowym drzewie oglądał, zwrócił się ku Tarle i rzekł, ale spokojnie:

- Co się za mną wleciesz? Żadnego dworca budował nie będę i znać nie chcę nikogo. Na zbój będę chodził jak drzewiej.

Tarło nic nie odrzekł, jeno spojrział na kalinę, ciekaw, co ściągnęło uwagę Dzika.

Stado krasnych gilów siedziało na niej, oskubując czerwone jagody. Skacząc strącały iskry szronu, które z cichym szelestem osuwały się na ziemię, świecąc w słońcu jak klejnoty.

- Cudne ptaki - rzekł Tarło. - U nas, na dolinach, rzadko je spotkać, chyba w ostrą zimę. Żeby Zyńka tu był, toby się ucieszył.

Dzik pomarkotniał i rzekł:

- Żeby był! Ale go nie ma.

- Myślę, że wróci, srodze was lubił.

- Alem mu teraz łeb rozbił, to mnie nie będzie lubił. A zresztą żupan go nie puści: Do nauki go mają wziąć chrześcijańscy kapłani, co tam siedzą. I od tej swojej niewolnicy, co tam została, nie odczepi się, bo go strasznie do niej ciągnęło.

- Wiecie, odstoi się wszystko, to pojedę do Krakowa zobaczyć, co z nim.

- Zajedno mi! - rzekł Dzik, ale widać, nie było mu zajedno, gdyż spytał:

- A kiedy myślisz jechać?

- Trzeba by poczekać, aż książ Mieszko z wyprawy wróci do Krakowa. Nie może być, by się nie ujął za wami, gdyście mu tak dobrze się przysłużyli. Onże wam przecie Zyńkę darował, to wam go wrócić każe, choćby mnichy nie chciały.

Mówiąc to, jakby niechcący zawrócił konia, a Dzik uczynił to samo i jadąc obok siebie gwarzyli.

Słońce już się rumieniło nad lasami. Ośnieżone stoki płonęły jaskrawym światłem, lecz na drogę padał cień i śnieg skrzypiał pod kopytami koni. Mróz brał ostry ku wieczorowi.

- Jedźmy no prędzej! - rzekł Tarło. - Bez kozucha jesteście, a Zbrozło kazał wam rękę ciepło trzymać.

To rzekłszy popędził konia, a Dzik zrównał się z nim i za chwilę dojeżdżali do chaty, przed którą panował gwar i ruch. Na obejściu stały wyprężone sanie, kilku pacholków kręciło się rąbiąc drwa i nosząc wodę dla koni oraz zrzucając siano z podstrysza.

Gdy Dzik z Tarłą zajechali, Szmatka wybiegł przed drzwi, a kiedy, zsiadłszy z koni, szli ku wejściu, zapytał:

- Gdzieżeście bywali? Mieliśmy do Raby dziś dojechać, a kazaliście nam tu czekać. Nie zajedziemy nigdy, jak się wlec będziemy po dwie mile na dzień.

Dzik, nie odpowiadając, minął go i wszedł do wnętrza, Tarło zaś odparł:

- Co ci tak spieszno? Gile jeździliśmy oglądać nad potokiem. Nie wierzysz, to sam możesz pojechać. Może złapiesz którego, nie do ręki, to na nosie, bo tęgi mróz bierze.

I zaśmiał się patrząc na nos Szmatki, który spuchnięty był jeszcze nieco po wczorajszym wybuchu Dzika.

Szmatka pokraśniał ze złości, lecz nic nie rzekł i weszli do izby.

Dzik z wyraźną przyjemnością przysiadł się do komina i wciągał zapachy gotującego się mięsiwa. Gospodyni, której widocznie polepszyło się, kręciła się po izbie i koło ognia, a uczepony do jej kiecki biegał z nią chłopak, dwulatek, z jasną, kędzierzawą czupryną i ogromnymi, błękitnymi oczyma.

Gdy Dzik wszedł, schował się za matkę. Dzik po chwili zwrócił się do gospodyni i zapytał:

- A wasi wrócili?

- Wrócili - rzekła kobieta z westchnieniem ulgi. - Ino konia wzięli, by zwlec zabitego jelenia. Przez to pośpieli, że zwierz im ranny uchodził i noc ich zaskoczyła. Powinni skoro być tu.

- A tenże chłopak jeden u was? - pytał Dzik spoglądając na chłopca, który zza matki patrzył na niego z niepokojem.

- Jeden! - odparła kobieta. - Był drugi, starszy, ale go woda wzięła dwie wiosny temu. Z nagłą przyszła, gdy po drugiej stronie się bawił. Widno do domu chciał się dostać. Aniśmy krzyku nie słyszeli, bo i huk był, że swego słowa słyhać nie było.

- Musi go Wodnik zabrał albo rusałka - rzekł z powagą Dzik. - A tego to ja bym wziął - mówił spoglądając na chłopaka, który schował się za matkę.

- Cóżże wam po nim? - odparła. - Młodziście, to swoje mieć będziecie.

Dzik zamyślił się i umilkł. Chłopak po chwili, ośmielony, podszedł znęcony świecącymi ozdobami, jakie Dzik miał na sobie. Szczególnie ciągnęła jego oczy złota zapinka z ogromnym czerwonym kamieniem, którą spięty miał kaftan pod brodą. Blaski ognia grały w kamieniu, rozżarzając go krwawym płomieniem który urzekał oczy chłopaka, tak że po chwili zbliżył się całkiem, a widząc, że Dzik się nie rusza, usiłował wspiąć się po jego nodze: Dzik, by mu to ułatwić, wyciągnął nogę przed siebie, a chłopak wdrapawszy mu się na kolana, sięgnął do spinki, lecz nie mógł jej oderwać. Matka, spostrzegłszy to, chciała zabrać chłopca, lecz Dzik mruknął: "Zostawcie" - i patrzył na usiłowania malca. Po chwili zaś odpiął zapinkę i wręczył ją dziecku. Chłopak, poczuwszy w ręku przedmiot swego pożądanego, zsunął się z kolan Dzikowych i pobiegł ku matce, pokazując zdobycz. Chciała odebrać klejnot, lecz Dzik rzekł:

- Dałem mu, to i zostawcie; niech się bawi.

- Zgubi to jeszcze gdzie, a pewnie to dużo warte.

- Stado wołów by za to kupił - ozwał się milczący dotąd Szmątka.

- Ty byś ino za wszystko kupował! Wołów ci teraz potrzeba. Powiedz chłopcu, że mu woły za to dasz, obaczmy, czy odda.

Lecz kobieta, usłyszawszy o wartości przedmiotu, rzekła:

- Gdzieżbyście dziecku i za co taką rzecz dawali! - A zwracając się do malca, nakazała:

- Oddaj władcy, nie dla ciebie to zabawka.

Chłopak do płaczu się skrzywił, lecz Dzik burknął:

- Dałem, to ostawcie, bo się zgniewam. Szmątka głupi, o wołach gada, a chłopak praw jest, że bawić się chce, kiedy mu się ten kamyk podoba.

Szmątka westchnął ciężko i odsunął się ostrożnie, malec zaś, zwolniony przez matkę, pobiegł prędko do komory. Po chwili powrócił bez klejnotu, natomiast niósł w ręku niebieskie piórko żołą i podszedłszy do Dzika, wręczył mu je z powagą. Matka zaśmiała się.

- Musi was bardzo polubił, kiedy oddaje wam swój skarb największy.

Dzik wziął piórko z rąk dziecka i rzekł:

- Piękny ptak musi być. Piórko malowane jak niebo. Chciałbym takiego ujrzyć.

- Piękny jest - rzekła gospodyni. - Jeszcze i żółte piórka ma, jak jaskry, ale szkodę robi w barciach. Siądzie sobie na gałęzi przy pniu i puka. Jak pszczoły wychodzić zaczną, zjada.

Dzik zaśmiał się.

- Ale ci mądry. Żeby Zyńka był, tobyśmy razem poszli wypatrywać. Ciekawym, który ładniejszy, czy on, czy kraska, co mi powiedział o niej, że u nich dużo jest. Tylko tamten cały ma być siny, od najjaśniejszego jak niezabudka aż do ciemnego jak dzwonki.

- Na mój rozum zimorodek najpiękniejszy - wtrącił Tarło. - Dużo ich u nas nad Wisłą.

- Zimorodki każdego dnia i u nas możecie zobaczyć. Gnieździ się ich dużo nad potokiem.

Rozmowę przerwało ujadanie psów.

- Pewnie moi wrócili - rzekła gospodyni.

I wybiegła popatrzeć. Po chwili powróciła wraz z mężem, młodym, rośłym kmieciem i pachółkiem kilkunastoletnim. Obaj nanieśli mrozu do świetlicy zrzucili oszronione kożuchy i przysiedli się do ognia, pozdrowiwszy obecnych. Gospodyni podała im strawę, więc jedli chciwie, zgłodniali po trudzie i mrozie od czasu do czasu tylko spoglądając ciekawie na przyjezdnych.

Podjadłszy gospodarz, zwany Bogutą, zwrócił się do Dzika:

- Z dworu pewnie jedziecie, z Krakowa. Jeśliście nie zdrożeni, powiedzcie, co słysząc. My tu rzadko wieści miewamy; chyba gdy stróża się zmienia i ciągną tędy do Krakowa.

- A tyleśmy tam i popaśli. Anim nawet grodu dobrze nie obejrzał - rzekł Dzik.

- To z dalsza jedziecie? - spytał ciekawie gospodarz.

- Z wojny my wracamy. Ziemię mi kniaź przydzielił.

- Tu przecie Starzów ziemie. Chyba dalej gdzie. Nawet wolnych kmieciów mało tu siedzi.

- Jedzie z nami komornik, co ma mi granicę okazać, a gdzie osiąść, to sam wybiorę. Kraj mi się nawet podoba, ale mnie tu zmierzilo. Pewnie nie ostanę...

- Cóż was zmierzilo? Kraj, mówicie, ładny, łowy przednie są, a ludzie jak wszędy. Jeden taki drugi inny. Często ich widywać nie będziecie - roześmiał się.

- Rządzą się te tam chrześcijany. Wtrąci ci się nie do swojego, a tknij go, wrzask, że jeno uciekać.

- Sami my chrześcijany - rzekł gospodarz. - A mierzi was co?

Dzik spojrział nieufnie, a gospodarz ciągnął:

- Pewnieście od niemieckiej granicy. Tam chrześcijanin a Niemiec to jedno. Ale tu pono od stu lat jeszcze za morawskiego Światopełka, dużo ludzi pochrzcilo się. A mówią, że i stary Starża chrzczony, i wiem, że w murowanym chramie, co stoi na grodzie, krewniak Starzów, Bogusław, kapłanem jest, chrześcijańskie nabożeństwo odprawia. Nie mówi się o tym, bo i nie ma o czym; człowiek czestny jest i sam nieraz do chramu na Białej Skałce nad Wisłą starym bogom kłaniać się chodzi. Nawet pono ci obcy, co przyjechali niedawno, skakali na niego, że to - mówią - grzech, ale nie dogadali się, raz, że po naszymu nie bardzo umieją, a po wtóre - rzekł im stary, że starczy obiady i dla dawnych, i dla nowego Boga. I praw jest, bo gdzie kraj biedny albo ludzie skąpi, to więcej jak jednemu dawać nie można. Ale ja sam nie żałuję ani nowemu, ani starym. Co mi szkodzi, kiedy dość mam wszystkiego, a wiem to, który mocniejszy?

- Juści, juści! - przytaknął Dzik i rozpogodził się. - Mnie ta wszystkie bogi niepotrzebne, bo moc mam, to se sam poradzę. Ale potrzebuje kto pomocy, a stać go, to lepiej, jak się z każdej strony zabezpieczy. Nie daj któremu, to ci na złość będzie robić z zazdrości.

- Dużo o tym wiecie - wtrącił lekceważąco Szmątka, który dotychczas siedział milcząco. - Właśnie niemiecki Bóg zazdrośny, jak innemu co dać, że wszystkie inne fałszywe, a tylko on jeden prawdziwy i najmocniejszy. Mają też Niemce zleczone przez kapłanów wycinać wszystkich, co innych bogów wyznają, a po śmierci jeszcze ich Bóg palić będzie ogniem całą wieczność tych, co w innych bogów wierzą.

- Głupiś ty, Szmątka! - odrzekł Dzik. - Palą przecie człowieka po śmierci, ale jak ino popiół zostanie,

to co się ma dalej palić? Skądże ty zresztą możesz co wiedzieć?

- Nie siedziałem to między Niemcami? Sam dwa razy chrzczony byłem i nasłuchiłem się dość, bo tam każdy co siódmy dzień do świątyni musi chodzić i kapłani o tym do ludzi mówią. Dusza się pali w wielkim ognisku, co nazywa się piekło, a źli, co się diabłami zowią, na rogatyne nadziewając, w roztopionej siarce i smole ją maczają, aby się lepiej paliła.

Dzik wzruszył ramionami, lecz Boguta powiedział:

- Chyba to inny Bóg musi być, bo ja z dziecinnych lat pamiętam, że tu był kapłan z Moraw i prawił, że Bóg jest miłosierny i sprawiedliwy. To za cóż by karał takich, co o Nim nie słyszeli? Juści, karze, ale tych, co nie słuchają Jego przykazań. A że tam kto skrzatowi maku czy zboża rzuci albo mleka postawi czy bydłatko jakie Swarożycowi zawiedzie za wróżbę to i o co by się sierzcił? Wróżyć przeciw chrześcijańscy kapłani nie chcą, to co człek ma robić, gdy mu wróżba potrzebna? A darmo przeciw wróżby nie dostanie.

- Coś ci wasz kapłan bałamucił albo i nie znał się na rzeczy. Juści, złamanie przykazań jest karane, ale ino jak się kto nie wykupi. Pójdzie do kapłana, powie, co narobił i jak, to mu odpust sprzeda i karę daruje.

Boguta zasępił się, a Szmatka ciągnął:

- Ma ci cesarz niemiecki od najwyższego kapłana cały świat oddany pod władzę i wszystkie narody Niemców mają puścić do siebie, by usłyszały o prawdziwym Bogu. A nie chce który, to sam winowaty, że o Nim nie słyszał, i za to będzie karany.

- Jednak to musi inny Bóg być, bo przeciw prócz Niego i chrześcijany mają świątków, co im podobizny i chramy stawiają i ofiary noszą, a nie słyszą, by Bóg pomstował o to, i sami kapłani zachęcają by dawać, a razem Bogu i świętym służą. Sam święty Klemens ma w Krakowskim i na Podkarpaciu parę chramów.

- Bo tego nie rozumiecie - wtrącił Szmatka z pobłażliwą wyższością - że to jakby słudzy u pana, rzekłbyś, jak księżęta u cesarza. Co dostaną, tym się i podzielić muszą. A co inne starzy bogowie. Co dostaną oni, z tego chrześcijański Bóg nic nie ma.

- A po czymże poznać, chrzczony kto czy nie? - spytał Dzik.

- Znak pozostaje na duszy niezatarty, a prócz tego kapłani zapisują na pergaminie. Przez to i kniaziowie teraz chrzczą swoich, bo im dogodnie wiedzieć, ilu mają ludzi i do wojny, i do płacenia.

- A ty po cóżeś chrzczony dwa razy, kiedy znak pozostaje?

- Co mi to szkodzi! Pierwszy raz mnie chrzcili wyrostkiem, gdy mnie pojмали, i białe giezło dali mi z cienkiego płótna, bo taki u nich zwyczaj. To jak mnie sprzedali, a giezło się zdarło, powiedziałem, żem nie chrzczony, i znowu giezło dostałem.

- Dobrze, że ci znowu giezła nie potrzeba. Wnet byś cały znakowany był jak spiczak - zadrwił Dzik. -

Gadajcie sobie choćby do rana. Mnie ta żadnych bogów nie trzeba, ani starych, ani nowych. Żyłem bez nich i dobrze było, a teraz spać idę, miast głupiej mowy słuchać.

- Potrzebne wam czy nie, a każe książ, to się ochrzciecie.

- A co mi ta! Każe, to się ochrzczę, ale słuchać o tym wszystkim nie chcę, bo mnie to mierzi i nie rozumiem.

To rzekłszy wstał i ułożył się na ławie.

- Ciebie, szmatka, kapłanem powinni zrobić; umiesz ludzi mamić, spaśli by się bogowie przy tobie, żebyś nie okradał ich ino - dokończył.

Obietnica Mieszkowa

Po statecznej, śnieżnej zimie wiosna przyszła wczesna i bez żadnych nawrotów. Nagrzewane słońcem i na przemian pod ciepłymi deszczami tające śniegi tysiącami mętnych strug spływały do Wisły, dźwignęły nadwątloną skorupę lodu i rozbiwszy ją w krę, poniosły ku dalekiemu morzu, zalewając kraj szeroko. Z krakowskiego grodu jak okiem sięgnąć, jeno lśniące w słońcu obszary wód widać było, wśród których tkwiły skaliste wyspy okolicznych wzgórz, z lekka zielenią poczynające się obsypywać, obramione białą linią rozbijającej się o nie fali.

Wody jak nagle nadeszły, tak i spłynęły, po zagłębieniach jedynie zostawiając zwierciadełka jeziorek i zalewisk, które nikły w oczach pod podmuchami lecącego z południa, ciepłego wiatru i kobiercem wystrzelającego z wilgotnego podłoża młodego pokolenia trzciny, szuwarów i traw, gdzie roilo się od wszelkiego ptactwa, wracającego na letnie siedziby.

Jeszcze drogi dobrze nie podeszły, gdy na grodzie zjazd się rozpoczął gości i posłów z różnych stron, a dnia jednego spadli z deszczem posłańcy księcia, z zapowiedzią rychłego powrotu z zakończonej szczęśliwie czerwieńskiej wyprawy.

Ruch powstał w grodzie, podgrodziu i osadach. Przygotowywano pomieszczenia dla starszyny i dworu, szałas i szopy dla wojska, jeńców i koni. Ściągano na gwałt daniny w naturze na wyżywienie licznych rzesz, gdyż z bliższych i dalszych okolic ciągnęli ludzie, czy na sąd książęcy sprawy chcący przedstawić, czy z towarem na sprzedaż czy wymianę, czy wreszcie z ciekawości, by wojsko i księcia zobaczyć, ze znajomymi i swojakami się spotkać lub wieści zasięgnąć ze świata.

Zjechali też wielmoże, na pana czekając, ze starym Mściwojem na czele, by sprawę zdać z rządów pod jego nieobecność sprawowanych, zjawili się drużynnicy, którzy podtenczas nie byli na stróżach i z dnia na dzień przybycia pana wyglądano.

Aż jednego majowego poranka na sandomierskim szlaku błyskać jęło pod wschodzące słońce, a po chwili straż na wieży zauważyła ciemną cizbę nadchodzącego ludu, w której niedługo rozróżnić już można było konie drużyny pańskiej, długi wąż pieszego ludu i nie kończący się szereg wozów.

Co żyło - wyległo na podgrodzie, któredy księżę miał przejeżdżać. Tłumy stały wzdłuż drogi witać pana. Za chwilę odległe krzyki oznajmiły, że księżę się zbliża i towarzysząc mu, coraz były bliższe, a wreszcie ukazał się Mieszko na karym ogierze zbrojny jak do boju, jeno na głowie kołpak książęcy miał z piórami, miast hełmu, i koń przybrany był w rząd złotem i kamieniami obsypany.

U bramy grodu stał Topór z synem, a za nim kapłani chrześcijańscy i starych bogów, pierwsi w czarnych szatach, z krzyżem pozłocistym na wysokiej żerdzi zatkniętym, drudzy biało przybrani, z wieńcem jemioły. Dalej, po obu stronach wjazdu, stali woje, z tyłu zaś niewiasty z dziećmi i pospolita gawiedź.

Gdy uciszyły się okrzyki powitalne, na które księżę łaskawie skinieniem ręki odpowiadał, wystąpił Topór, pana chlebem i solą witając, i konia za uzdę ujawszy na wewnętrzny podworzec prowadził, gdzie Mieszko zeskoczył na ziem i zaraz udał się do komnat swych, a stamtąd do łaźni.

Tymczasem zastawiono ucztę powitalną dla dworu i wojaków w świetlicy i komnatach, dla pospólstwa pod gołym, pogodnym niebem na dziedzińcach. Do zachodu słońca się przeciągnęła, a po niej staremu Mściwojowi książę kazał iść za sobą.

Mieszko jął wypytywać o wieści z kraju i od Ścibora, o którym dawno nie słyszał, i o działalności Jordana.

- Kniazia Ścibora nieszczęście pościgło i zaciął się widocznie, dlatego nic wam nie donosił. Zmarł mu druh, Mścislaw, z otrzymanej od Mazurów rany, a Białka utonęła. Książ Swatka zabrał do siebie, bo Dosza od żalu jakby postradała rozum. Jak się stało, nie wiem, bo choć stary Dołęga latem był w Gnieźnie, nic bliższego od niego wydobyć nie mogłem.

Mieszko zadumał się i siedzieli w milczeniu. Po chwili rzekł:

- Na śmierć rady nie ma, a słowa za pociechę nie staną. Wysłać mam poselstwo do Pragi. Niech Ścibor jedzie między ludzi, to zapomni. A Zbrozły nie widzieliście?

- Był w Gnieźnie przejazdem, gdy ruszałem stamtąd. Wstąpić miał do Koziego Rogu po drodze.

- Dobrze, że pojechał. Może i Doszę uleczy, i Ściborowi ulży. Miłuje go Ścibor i wielce uważa. Aż sobie wyrzucam, że mu zabrał Zbrozłę na tak długo. Jeśliby nie zapobiegł nieszczęściu, toby je lżej przenieść pomógł.

Rozmowa zesła na Jordana, po czym Mieszko widząc, że stary znużony już jest, wypytywał go o zdrowie.

Mściwój, westchnąwszy, odparł:

- W zimie leżeć dużo musiałem. Dawne rany, co niczym się zdały w młodości, bolą na stare lata. Niedługo już wam posłużę, panie.

- Nie sumujcie się. - Ciepło siły wraca. Oszczędzajcie się, bo mi was potrzeba.

- Nie sumuję się. Przeżyłem dość, a umrzeć chciałbym, póki jeszcze dawna wiara i obyczaj u nas panują. Chcę być pogrzebiony jak ojce i koło nich spocząć. Na nowe czasy syna wam, panie, zostawię. Wiernie będzie wam służył i waszym potomkom, jak ja i ojce moi waszym ojcom służyli.

W głosie Mieszka było wzruszenie, gdy odrzekł:

- Nie wprowadzę nowej wiary, póki wam życia. Nieczęsto się znajdzie druha, co by przeciw sercu służył. Spokojni bądźcie, że was starym pochowamy obyczajem.

- Dzięki wam, panie! - powiedział stłumionym głosem Mściwój.

- Starość i smutek to jedno, ale słodko wiedzieć, że Piastowie dalej płacą sługi swe sercem, choć czasy inne nadeszły.

Mieszko jął się załatwiania spraw, których wiele narosło przez czas jego nieobecności. Przeglądał wojska, odbywające ćwiczenia na błoniach pod Rudawą, wysłuchiwał sprawozdań żupanów o stanie powierzonych im grodów, komorników - o ściągniętych daninach, skarbnika - o stanie skarbcza i, czemu się dziwiono, karbować kazał wszystko jednemu z przysłanych przez Jordana duchownych, który mowy słowiańskiej prawie biegle już się nauczył.

Jednego dnia zjechał sam Jordan ze swym orszakiem, z którym kraj objeżdżał podczas nieobecności księcia, by poznać lud, wśród którego pracować mu przyszło. Mieszko powitał go z radością, z zaciekawieniem wypytyując o wyniki pracy.

Jordan westchnął:

- Nie spodziewałem się łatwej pracy, ale też i łatwą nie jest. Naród gościnny jest wszędzie i dobry, nowości wszelkich ciekawy, ale rola zachwaszczona. Jeszcze na zachodzie, gdzie się z Kościołem naszym i wiarą najczęściej stykają, największe znalazłem zrozumienie, choć może i niechęci najwięcej, bo udziela się nienawiść weleckich plemion, jaką żywią do Niemców za nawracanie mieczem. Ale na północy i zwłaszcza w głębi kraju, gdzie od grodów i dróg daleko, wielu spotyka się takich, co nie tylko o naszym Bogu, ale nawet o waszych starych nie słyszeli, lecz czczą święte drzewa i gaje, i kamienie, wszędzie - w wodzie i powietrzu, na ziemi i pod nią obecności złych duchów się dopatrując. Dzieci to prawie, dużo czasu i pracy potrzeba ale do rozumu doszły.

Najgorzej jednak u Wiślan, gdzie ślady po chrześcijańskiej wierze - niegdyś krzewionej przez świętych Cyryla i Metodego - zwyrodniały, czyniąc z prawdziwego Boga jednego więcej bożka i u źródła od posłuszeństwa prawdziwemu Kościołowi odwodząc. Mają się za chrześcijan, ale do Kościoła nie należą. Nie święceni kapłani nabożeństwa odprawiają w słowiańskim języku. Łacińskiej mowy ni pisma, które w powszechnym obowiązują Kościele, nie znają ni znać nie chcą.

- Kościół wy założycie, a cóże to szkodzi, że modlą się w słowiańskiej mowie? Bóg, jak mówicie, wszechwiedzący, modlitwę chyba w każdym języku rozumie.

- Bóg i nie wypowiedziane myśli rozumie, ale Kościół wymaga karności, a ja mam nie nowy Kościół zakładać, lecz do jedynej ziemi te i lud przyłączyć. I dla waszych celów to potrzebne - dodał. - Pozostawiałem duchownych, gdzie się dało bez niebezpieczeństwa, i praca już w toku, ale do prawdziwego nawrócenia daleko.

- A oporu lub gwałtu nie napotkaliście nigdzie? - spytał książę.

- Opór, jeśli był, to raczej milczący, zwłaszcza gdy świątynie starym bogom dla wiary prawdziwej odejmowano. Więcej w nim żalu widziałem niż złości. A gwałt jedynie tu w Krakowie na osobie jednego z kapłanów popełniono, choć nie wiem, czy sam nie zawinił popędliwością.

- Winnego każę na swój sąd dostawić, aby przykład dać i bezpieczeństwo waszej pracy zapewnić. A budowa kamiennego kościoła na Lednickim Ostrowiu daleko postąpiła?

- Gdy wyjeżdżałem zimą, zręby już były na miejscu starego chramu, mury teraz ciągną. I wasz nowy

dworzec rośnie, panie. Myślę, że nową panią już do niego wprowadzicie, a chrzest wasz w nowym odbędzie się kościele.

- No, jeszcze obaczmy - rzekł Mieszko wymijająco. - A życzeń jakich teraz nie macie?

- Jeśli można, prosiłbym was, panie, by kościół Zbawiciela na zwierzynieckim wzgórzu nam oddano pod zarząd. Bogusław, co w nim odprawia nabożeństwa, choć sam chrzczony, prawy poganin jest i święceń nie ma.

- Może by jeno którego z kapłanów dodać, niby do pomocy. Stary już jest, ludzie go lubią i Starzów krewny. W rzeczy nowy kapłan będzie rządził, a nim starego nie stanie, ludzie się wzwyczają do nowego porządku.

- Można i tak, panie - odparł Jordan. - Nieraz my nie tylko dawnych ludzi, ale i bogów pod zmienionymi jeno mianami ostawiać będziemy zmuszeni.

- Słusznie, obyczaj przez wieki powstawał, zmieniać się go naraz nie da. Od jutra roki sądowe się rozpoczną.

- Jak każecie, panie!

Pozew

W pogodny, ciepły dzień czerwcowy na zakręcie rzeczki, Stradomką zwanej, siedział Dzik rozebrany do pasa i grzał się do słońca, patrząc, jak Tarło z pachołkiem brodzą po rzeczce, łapiąc pstrągi pod kamieniami. Tarło, wylazszy na brzeg, powiedział:

- Co tam takie łowienie. Zanimby starczyło na wieczerzę, północ się zrobi. Nie tak u nas, nad Wisłą, gdzie jeno siecią zaciągnąć, a ryby jest, ile strzyma.

- Tamę by zrobić, kosz wstawić w przerwę, pognamy rybę z góry, to prędzej pójdzie - ozwał się parobek.

Wzięli się do roboty, znosząc i ustawiając kamienie, obtykając darnią i gałęzmi. Słońce tymczasem pochyliło się i cień od zalesionego wzgórza padać zaczął na brzeg, na którym siedział Dzik. Zebrał się leniwie, przebrnął potok i usiadłszy na drugim brzegu w słońcu, stopy zanurzył w nagrzanej płyćźnie o piaszczystym dnie. Stado rybek małych jak owies nadpłynęło po chwili, oskubywać usiłując olbrzymie palce Dzika, łaskocząc go po nogach. Przez chwilę patrzył na nie, póki nie odpłynęły zniechęcone twardością skóry, po czym ozwał się:

- Coś niesporo wam idzie!

Istotnie, budowa tamy, która szła szybko na płyćźnie, na nurcie zwolniła, gdyż kamienie większe i z dalsza trzeba było znosić. Tarło odparł:

- Pomoglibyście nam, to sporzej pójdzie.

- Kiedy nie chce mi się - odparł Dzik i wyciągnął się na słońcu.

- Musi, zmęczeni jesteście dźwiganiem głazów na wieżę, bo się Szmactce uwidziało budować. Mówiłem, byście tyle nie dźwigali, bo na rękę jeszcze trza uważać.

- Nic nie wiesz, ręka jest dobra - rzekł Dzik spoglądając z zadowoleniem na okrytą z powrotem węzłami i sękami mięśni lewą rękę, po czym wstał mówiąc:

- Żebyś wiedział, że dobra, to uważaj.

I porwawszy oburącz olbrzymi głaz, cisnął go na środek rzeczki. Głaz z pluskiem wyciął o powierzchnię i rozbita w pył woda zaświeciła pod słońce milionami kropel, a Tarło z pachołkiem, odskoczywszy nagle, obaj wywrócili się do rzeki.

Tarło wynurzył się pierwszy i prychnął, i pluskając, bo napił się wody, zawołał:

- Macie krzepę, niech was licho, a lenia macie też!

- A co będę robił, kiedy mi się nie chce. Nie jestem to wielmożą?

- Juści, juści, murowaną wieżę nie każdy ma, ino na co wam ona?

- Szmątce się zachciało, że skarbiec tam będzie na górze, a lochy dla jeńców na dole.

W chaszczach nadbrzeżnych rozległ się szelest. Ktoś z pośpiechem przez nie się przedzierał. Jak wywołany zjawiał się na brzegu Szmątka, zdyszany od szybkiego biegu, i wołać począł do Dzika, aby przeszedł do niego.

- Możesz stamtąd gadać, nie głuchym! - zawołał Dzik i wyciągnął się na piasku.

- Kiedy nie musi każdy wiedzieć, ino wy.

- A ty nie możesz przeleźć do mnie? Spaniałeś, widzę.

Szmątka, rad nierad, zdjął skórznie i podkasawszy nogawki, brnąć począł przez rzeczkę. Gdy był na środku, Dzik porwał kamień i prasnął w wodę koło niego, że wyszedł na brzeg ociekający wodą i zły.

- Jak chłopak psotami się bawicie. Właśnie pora ku temu.

- Albo co?

- Od kniazia komornik z pachołkami po was przyjechali. Kazał się wam zaraz w Krakowie stawić na sąd. Chodźcie skoro!

- Nie pójdę nigdzie. Nogi oto muszę moczyć, bo mnie pieką od skórzni. Ani do Krakowa nie jadę. Znowu łeb komu rozbiję. Zresztą na łowy z Tarłą wybieram się w góry, to czasu nie mam.

Szmątka bezradnie kiwał głową. Po chwili skinął na Tarłę, który zaciekawiony przypatrywał im się z rzeki, a gdy wyszedł i zbliżył się ku nim, Szmątka powiedział:

- Książ komornika przysłał, by Dzika na sąd do Krakowa dostawił, a on ani jechać nie chce, ani nawet do dworca wracać.

Tarło zamarkocił się, a Szmątka ciągnął:

- Zeżlicie komornika czekaniem, to was w więzy wziąć każe.

- Mocne se musiał przywieźć - mruknął Dzik.

- Mocne, niemocne, a z kniazem wojny nie będziecie robić!

- Niech mnie ostawią w spokoju, to nie będę. Nawet lubię kniazia. A zacznie on wojnę ze mną, to się będę bił. Co mi ta!

Szmątka, roztrzęsiony, chciał coś rzec, lecz Tarło przeszkodził mu mówiąc:

- Leć no, Szmątka, komornika i ludzi uczęstować. Przy dobrym jadle i picciu nie będzie się im czas dłużył, a podtenczas i my nadejdziemy.

Szmatka z westchnieniem wlaźł w wodę i podążył z powrotem, Tarło zaś przysiadł się do Dzika i rzekł:

- Widno kniaź przyjechał. Nic z naszych łowów, bo muszę jechać do Krakowa o Zyrnkę się upomnieć.
- Oddadzą ci to Zyrnkę, kiedy pewnie o niego i o tę dziewczkę na sąd mnie pozywają. Albo i o tego czarnego wywłokę.
- Nie chcecie, to nie jedźcie. Pojadę ja ze Szmatką. On też od kniazia chce dziewczek wydębić, bo mu kniaź obiecał spełnić życzenie, a jeszcze nic nie dostał. A ja spróbuję odebrać Zyrnkę. Myślę, że się uda. O was powiem, że jeszcze słabujecie od tej rany. Przypomni sobie o tym kniaź, to będzie łaskawszy.
- A co tu pocznę, skoro na łowy nie jedziemy? Co ta będziesz łągał. Pojadę, co mi zrobią.
- Może i jedźcie lepiej. Myślałby kto, że się boicie. Nie każdemu łeb ucinają. Zresztą waszego będzie Szmatka pilnował, bo na was wisi, a chytry jest, to będzie wiedział, jak się obrócić.
- Nie stoję o to - rzekł Dzik i z powrotem ułożył się na piasku.
- Może byśmy poszli do dworca? Zaraz tu cień będzie, pewnie też zgłodnieliście.
- Słusznie prawisz. Zapomniałem, że głodny, a Szmatka musiał tam dla kniaziowych nastroić, to chodźmy prędko, póki nie zjedzą wszystkiego.

To rzekłszy wlaźł w wodę, a za nim Tarło i zostawiwszy pachółka, by tamę skończył, weszli w lesisty wąwóz wiodący do dworca. Wąwóz szedł kilkadziesiąt kroków stromo w górę, po czym łagodnie schodził w dół. Po kilku stajaniach las z południowej strony kończył się nagle i przechodził w równinę zarosłą trawą, od północy zaś wznosiło się lesiste wzgórze, pochylone ku zachodowi, na którego krańcu, nad urwiskiem, widać było gotową już prawie kamienną wieżę oraz podmurowanie pod obszerny dworzec, którego nie wykończone ściany z modrzewiowych bali, świeżo ociosanych, świeciły złotem w słońcu i pachniały żywicą. Wszędzie na świeżym karczowisku krzątali się ludzie wykopując pniaki, ciosając i zwlekając bale, zaś pod szopami bez ścian, okrytymi jeno dachami, stały konie, wozy i sprzęt wszelaki. Obok wzniesionego budynku, do jednego boku przyparta, stała długa szopa, ze ścianami, otworami na drzwi i okna i z kominem, z którego dym się unosił.

Dzik z Tarłą weszli do szopy i choć jasno w niej było od promieni padającego przez zachodni otwór słońca, oczy do światła nawykłe zrazu nie rozróżniały ludzi znajdujących się we wnętrzu. Dopiero po chwili zauważyli siedzących przy zbitym z tarcic stole kilku mężów, zajętych jedzeniem.

Dzik podszedł do stołu, a za nim Tarło i usiedli obok Szmatki, naprzeciw którego siedział mąż w średnim wieku, o dobrotliwym wyrazie twarzy, mimo że go surowym uczynić w tej chwili usiłował.

Usiadłszy Dzik sięgnął do misy i rzekł:

- Jedzcie dalej, póki starczy.

Tarło zaś, by uczcić komornika, dodał:

- Radziśmy wam. Zaczynam gościem tu jesteście, to miodu na pomyślność z nami wypijecie.

- Nie w goście jam tu zjechał, ale po służbie. Chleb, co jem, nie gościnny, ale książęcy, bo się komornikowi strawa należy.

- Daję, bo mi się chce - mruknął Dzik i jadł dalej.

Szmatka zaś, by zatrzeć odezwane się Dzika, dodał:

- Wiemy, co się należy, ale miodu takiego, jaki dostaniecie, dawać powinności nie ma. Od samego kniazia on, z łupów na Czerwieńcach za męstwo nam udzielony. Warto przy nim posiedzieć, choćbyście się mieli spóźnić do Krakowa.

Jakoż miód godny być musiał, bo słońce rzucało jeszcze ostatnie czerwone blaski przez pusty otwór okienny, gdy Dzik siedział na ławie obok komornika i przypijając do niego, przygarniał go co chwila do piersi, zapewniając, że gdyby go i nitką związał, zajedzie z nim do Krakowa, choćby mu tam łeb mieli uciąć. Komornik zaś upierał się, że wcale go do Krakowa nie zawiezie, jeno z nim zostanie i córkę swą odda mu za żonę. W pewnej chwili spierać się zaczęli, po czym się pogodzili całując, aż wreszcie komornik z ławy się zwałił, a chwiejący się na nogach Dzik, podniósłszy go, ułożył pod ścianą na posłaniu z mchu i wiór, gdzie już reszta towarzyszy poprzednio pokładła się pokotem.

Szmatka, choć również pijany, trzymał się na ławie, od czasu do czasu daremnie usiłując powstać. Jeden tylko Tarło który nie przebrał miary, choć i jemu w głowie szumiało cokolwiek, zarządził, co trzeba.

Krótką, czerwcową noc ustępować dopiero zaczynała przed jutrzeńką, gdy Tarło się zbudził. Wyszedł na obejście dopatrzeć przygotowań do wyjazdu i budzić śpiących, wiedząc, że po miodzie niesporo pójdzie, zwłaszcza z Dzikim. Istotnie, pierwsze promienie słońca krasić już zaczynały wierzchołek przeciwległego wzgórza, gdy zaspany orszak ruszył. Popędzając konie, pognali ku Krakowowi, by jednym dniem stanąć na grodzie.

Sąd

Tegoż dnia, późnym wieczorem, w domostwie komornika Hebda na Rybakach siedzieli po wieczerzy Szmątka i Tarło z gospodarzem i o jutrzejszym sądzie rozmawiali. Dzik zdrożony, podpiwszy, spać poszedł, gospodarz jednak, który go polubił, z towarzyszami się naradzał, jak by sprawę poprowadzić, by głowę, a jeśli się da i kiesę cało wynieść.

Topór, niezycliwie dla Dzika usposobiony, wniósł przez Siegniewa pozew o pobicie Zyńki i zapłatę obrzezanymi pieniędzmi, za co groziły wysokie grzywny i nawiązki, choćby nawet Dzik dzięki łaskawości księcia Mieszka z głową wyszedł ze sprawy o pobicie kapłana. A to też pewne nie było. Jordana bowiem, który oskarżył Dzika, księżę bardzo poważał i przyrzekł wszelką pomoc i ochronę jego ludziom.

Hebda usiłował Dzika pouczyć, jak ma się bronić, tego jednak sprawa wcale nie obchodziła i spać poszedł. Tarło przeto, któremu o głowę, i Szmątka, któremu o kiesę Dzika szło, radzili za niego.

Choć z grubsza z zakonem i postępkami Hebda był obznajomiony i pewnych wyjaśnień udzielił, radził przecie udać się rankiem z darami i prośbą do starego Ligęzy, by zgodził się być Dzikowym rzecznikiem, gdyż od lat przed sądami występował i poważanie miał u starego Topora.

Na tym stanęło. Zerwali się o świcie i wraz z Hebdą udali się na gród, gdzie mieszkał Ligęza.

Zastali go przy polewce, przystrojonego już przystojnie na roki, których nie opuszczał nigdy, często radą służąc staremu Toporowi, gdy w nieobecności księcia jego imieniem sprawował sądy.

Ligęza nie zdziwił się też wcale, gdy go o rzecznictwo poproszono, przyjął obojętnie bogate podarunki, które mu Szmątka wręczył z westchnieniem, i wysłuchawszy w milczeniu, o co sprawa, rzucił parę pytań i udzielił pouczeń, po czym wyszli.

Ligęza udał się na dziedziniec, gdzie roki miały się odbywać a Hebda by Dzika przed sąd sprowadzić.

Słońce wzbiło się tymczasem ponad dachy zabudowań i rzucało coraz gorętsze promienie na zgromadzone tłumy. Jeno pod lipą, na krańcu dziedzińca nad południowym stokiem rosnącą, chłód jeszcze panował i cień. Tam za ustawionym dębowym stołem zasiadał stary Topór czekając na przybycie księcia Mieszka.

Zagrzmiały wreszcie rogi i Mieszko w otoczeniu kilku dworzan i kapłanów zjawił się u wyjścia z głównego budynku i szybkim krokiem zmierzał pod lipę. Szmer rozmów ucichł i tłumy z szacunkiem rozstępowały się przed księciem przodem zaś szedł komornik z laską:

Zasiadłszy za stołem księżę zdjął kiereję i przed sobą na stole położył, po czym bez dalszej zwłoki przystąpił do wywoływania spraw.

Mieszko prowadził sprawy szybko i bystrze: Czasem jeno chwilę się zastanawiał lub półgłosem naradzał się z siedzącym obok Toporem.

Szły już sprawy parę godzin. Jednego zbója na ścięcie skazano, parę spraw grzywnami się skończyło kilku przeciwników księżę pogodził, niektóre sprawy odroczone, gdy pozwany na nieobecnych świadków się powołał.

Zbliżało się południe i skwar zaczynał dolegać. Przerzedziły się też cokolwiek tłumy, gdy Dzik z Hebda i towarzyszami, przepychając się z wolna i na kolej czekając, znaleźli się opodal sądowego stołu.

Księżę nie zauważył ich, Topór jeno okiem rzucił i coś do komornika, wywołującego sprawy, szepnął, na co ten skinął głową.

Tymczasem przed księciem stanął młody kmieć, trzymając na krótkim powrózku dużego, białego psa, który ziewał dysząc od skwaru i niedwuznacznie zdradzał ochotę opuszczenia sądu dla jakiegoś bardziej zabawnego zajęcia lub drzemki w cieniu krzaków. Właściciel uspokajał go, co jednak na krótko odnosiło skutek. Wreszcie wywołano Jego sprawę i do stołu przystąpił starszy chłop o kosym spojrzeniu: Otrzymawszy słowo, wniósł oskarżenie przeciw psu o pokąsanie jego pachołka, na skutek czego krew mu się zepsuła i zmarł.

Właściciel psa słuchał oskarżenia milcząc, pies natomiast powarkiwał z cicha na mówiącego, pokazując potężne kły spod wywiniętych warg, jakby rozumiał, że mówiący na życie jego godzi.

Gdy z kolei właściciel psa głos otrzymał, z westchnieniem zaczął:

- Prawda, że pies pogryzł pachołka, ale ten, w sąsiedztwie żyjąc, nie przeszedł, by psa nie kopnął lub nie uderzył. I prawda, że mu się zmarło, ale wiem ci ja, czy od pokąsania?

- Uplłynął rok i dzień od pokąsania do śmierci? - Zapytał Mieszko.

- Nie. Może dni kilkanaście - odparł zagadnięty.

- Tedy pies winien jest jego śmierci i albo pogłównego grzywnę srebra za pachołka zapłacicie, albo pies pójdzie na powróż.

- Skądże bym ja grzywnę srebra wziął? Groszy parę mógłbym zapłacić. Psa od szczeniaka chowałem. Stróż wierny i do łowów dobry na wszelakiego zwierza. Nie robić mu krzywdy, nie ruszy nikogo. Pomiłujcie, panie.

- Wyrok wydany - rzekł księżę - powoda proście, niech ustąpi.

- On? Przecie on pachołka namówił, by psa drażnił i groził, że psa na powróż przywiedzie, bo go przyłapał, jak ule podbierał.

- Wyrok wydany, po sprawie - oświadczył Topór.

Dzik, który przypatrywał się psu od paru chwil, wmieszał się niespodzianie. Wysupławszy z pasa pieniądze przystąpił do kmiecia i rzekł:

- Macie tu grzywnę, a pies mój.

Komornik laską uderzył w stół upominając:

- Słowa bez pozwolenstwa zabierać nie wolno!

Szmatka pociągnął Dzika za połę.

Topór zaś odezwał się zgryźliwie:

- Swojej głowy pilnuj, nie psiej, by ci grzywien dla siebie starczyło.

- Nie sumujcie się o mnie - rzekł Dzik beztrosko.

- Wolno mu psa wykupić - przerwał Mieszko, uśmiechając się pod wąsem, i zwrócił się do komornika z rozkazem:

- Następną sprawę wywołać.

- Sprawa władzyki Dzika o pobicie kapłana Kwartusa i pachółka Zyńki. Za Jordana wnosi oskarżenie Prochorus. Tegoż Dzika sprawa o oszukaństwo na kupcu Mohamedzie. Oskarża skarbnik Siegniew.

Mieszko drgnął i cień przeleciał przez jego twarz. Wezwani wystąpili przed księcia i Prochorus o głos prosił, gdy wysunął się Ligęza i pokłoniwszy się zapytał:

- Pozwolicie, panie, że rzecznikiem będę oskarżonego, który się sam bronić nie potrafi.

- Co bym ta nie potrafił - mruknął Dzik.

Lecz księżę już skinął głową i głosu udzielił Siegniewowi.

Siegniew wywiódł sprawę, jako Dzik, kupując niewolnicę, zmusił kupca, by przyjął obrzezane pieniądze, a zagrożony sądem, jeszcze się nieprzystojnie wyraził o żupanie.

Ligęza chciał krótko sprawę zakończyć zaprzeczeniem, nie było bowiem świadków w wymaganej zakonem liczbie i zdolnych przed sądem stawać, a nawet poszkodowany wyjechał. Dzik jednak, zapytany przez Topora, bez wahania przyznał, że obrzezanymi pieniędzmi wypłacił, jak również, że obelżywie o żupanie się wyraził:

Ligęza zachnął się widząc, że Dzik zaprzepaszcza sprawę, księżę jednak, mimo iż sprawa była już wyjaśniona, zapytał:

- Czemużeś obrzezanymi pieniędzmi płacił? Mało masz?

- Nie, ino się Szmatka z kupcem pozarli i zeźliło mnie.

Szmatka, który schował się za Dzika, gdy o pieniądzech była mowa, i szeptem uradzał coś z Ligęzą,

wystąpił teraz, a Ligęza, poprosiwszy o słowo, na świadka go powołał.

Uprzedzony, że język mu będzie wyrwany, gdyby zełgał, Szmatka otrząsnął się i zaczął:

- Co bym miał łąć? Kupiec korzystając że na głupiego trafił, dziesięć mitkali za niewolnicę wyłudził, co warta była dwa. A tych dziesięć obrzezanych mitkali wartało z osiem nieobrzezanych, więc i tak kupiec Dzika, a nie Dzik jego oszukał. A pieniędzy Dzik nie rzezał, jeno takie dostał.

- Od kogo? - spytał ksiązę.

- Od was, miłościwy panie, z łupów na Czerwieńcach - rzekł Szmatka patrząc bezczelnie, choć z pewnym niepokojem na księcia.

Mieszko jednak uśmiechnął się tylko i zapytał:

- A żupana czemu zelżyłeś?

- Bo co mi ma kto żupanem grozić, kiedy się go nie boję.

Topór poczerwieniał.

- Żupan moją osobę tu przedstawia - rzekł ksiązę - i boisz się czy nie, szacunek okazywać musisz. Tym razem ci daruję, a od oszukaństwa uniewinniam, skoro, jak mówi Szmatka, kupiec cię wyzyskał, a pieniądze otrzymałeś ode mnie.

Szmatka za plecyma Dzika zatarł ręce, Ligęza choć widział, że ksiązę na Dzika łaskaw i głowy mu pewnie nie weźmie, przecie bał się drugiej sprawy i z niepokojem na oskarżenie Prochorusa oczekiwał.

Ten wystąpił i, choć wplatając obce wyrazy, dość biegle po słowiańsku mówił.

A mówił uczenie i mądrze, jako szczęście od spokoju, spokój od porządku zawisły, porządek zaś w prawie znajduje swe oparcie. Jeśli zaś prawo chroni nawet nie urodzonego, który za ledwo za ludzką istotę może być policzony, duszy własnej jeszcze nie mając, a surowość swą wywiera nawet na bezrozumnym zwierzęciu, które nieświadomym będąc i zgrzeszyć nie może, o ileż bardziej na ochronę zasługuje istota ludzka, i o ile surowiej karany winien być człowiek, który czynem swym zarazem grzech i dowinienie popelnia, zarazem Boga i księcia obraża. Już samo pobicie pacholecia, do obrony niezdolnego, surowej wymaga kary, a cóż dopiero duchownego, który do przestrzegania praw Kościoła usiłował nakłonić winowajcę. Gdy zaś rola, której miedze dwa razy są dłuższe od innej, nie dwa, ale cztery razy jest większa, tak i kara na grzesznika, który naraz dwa grzechy popelniał, nie dwa, ale cztery razy większa być powinna. Kościół wszelako i sługi jego, od zawziętości dalecy, grzesznikom czas do poprawy i pokuty dawać zwykli i dlatego głowy winowajcy się nie domaga. Wystarczy, gdy ręka, którą zgrzeszył, ucięta mu zostanie, a szkodę na ciele i zdrowiu mieniem swym pokrzywdzonym zapłaci.

Ksiązę słuchał uważnie i twarz mu spochmurniała. Towarzysze Dzika zaniepokoiłi się, a Ligęza szybko w myślach układał odpowiedź.

Dzik w pewnej chwili trącił Szmatkę i szepnął:

- Ale ci mądrze o mnie mówi! Pewnie mi znowu z oślejskiej skóry wyrok czytać będą.

- Cichajcie! - odrzekł mu Szmatka. - Może Ligęza jeszcze co poradzi albo się kniaź zmiłuje, bo łaskawy jest na was.

Zanim jednak Mieszko dopuścił Ligęzę do słowa, szepnął coś do Topora, a ten komornikowi rozkaz jakiś wydał i komornik oddalił się.

Książę siedział ponuro zamyślony, na coś widocznie czekając, i zaległo milczenie napięte.

Po chwili ukazał się komornik, a za nim szedł Jordan, prowadząc za sobą Kwartusa, Zyńkę i niewolnicę grecką wraz z ojcem. Gdy się zbliżyli, książę półgłosem rzekł coś do Jordana, którego obok siebie siadać prosił, po czym zwrócił się do Ligęzy:

Słyszeliście oskarżenie, co macie do powiedzenia?

Ligęza wystąpił i odchrząknawszy, rozpoczął:

- Nie w mojej mocy tak uczenie wywieść obronę, jak oskarżenie wywiedziono, choć nie pierwszy raz stoję przed sądem. Bo my ludzie prości i prawa nasze proste być muszą, aby je każdy rozumiał. Jaka jest wola książęca, to nam głoszą. Jakim zwyczajem ojciec i dziady się rządzili, od małego każdemu wiadome. A innego zakonu póki nie każecie, panie, słuchać nam nie ma potrzeby. Postępek też naszym obyczajem ma być prowadzony, a pierwsze już, że Prochorus oskarżać nie ma prawa. Obcy tu jest i sam bez praw, jeno go chroni gościna i łaska wasza. Gdzież jego ród, co za poszkodowanym stoi? Nie znamy go! Po wtóre, jeśli winowajca na ciele ma być karany, świadków zdatnych co najmniej sześciu stawić musi oskarżyciel, a gdzie oni? Proszę was przeto, panie, byście sprawę umorzyli, bo nie ma sprawy bez oskarżyciela i nie ma kary bez dowodu.

Ligęza przerwał patrząc pytająco na księcia, który się z Toporem i Jordanem naradzał. Szmatka trącił Dzika:

- Ale ten ma łeb! - szepnął.

Dzik zaś również szeptem odparł:

- Juści, ale gębę w nim największą. Końce, widzę, w wodę chce wpuścić. Długo też tak gadać będą?

- Cichajcie!

A w tejże chwili książę odezwał się:

- Wiadomo wszystkim, że na mój rozkaz kapłani pracują i pod moją ochroną; dlatego też o krzywdy swe upomnieć się mają prawo. Rzecznikiem może być jeden drugiemu, a nawet o krew się upomnieć, bo Kościół sługom swym za ród stoi.

Zwracając się zaś do Dzika, zapytał:

- Wiedziałaś, że kapłani są pod moją ochroną?

- Wiedziałem, dlatego go nie ubił, gdy mnie napastował, jenom go odtrącił.

Ligęza westchnął z rezygnacją, książę zaś rzekł:

- To i dowodu nie trzeba, kiedy winowajca przyznaje uczynek.

Zwracając się zaś do Ligęzy, zapytał:

- Macie co więcej do powiedzenia?

- Później jeszcze o słowo poproszę, tymczasem raczcie, panie, wypytać Dzika, jako było z napaścią, bo bronić się każdemu wolno.

- Jako było? - zapytał książę Dzika.

- Ano, przyszedłem już ześlony o tę niewolnicę, com ją kupił, nie chcąc jeszcze i dziada, niby jej ojca, w dodatku i wiatru się narobiło na całym targu, że się ludzie pozlatywali. Siadłem sobie, żeby się miodu napić, aż przybieżał ten czarny, com go nie prosił, i rękoma jak wiatrak machał, i coś krzyczał po swojemu. Patrząc jak na głupiego i ręce przy sobie trzymam, bo wiem, że to wasz rab, aż tu przylatuje Szmatka. Poszwargotali i mówi, że mi chrześcijańskiej niewolnicy mieć nie wolno, że niby takie u nich prawo. To jucha kupcowi nie mógł powiedzieć, ino mnie, jakem już kupił i jeszcze przepłacił. Serce mi podeszło do gardła, ale myślę sobie: dam w łeb, to będzie krzyk, więc wstaję i chcę odejść, niech się głupi sam wykrzyczy. A on mnie za rękaw łapie i drze się. Więc tyle ino, że jak stałem odwrócony, takim go jakoś łokciem odepchnął, a on zaraz zwałił się i jucha puściła mu się z gęby. Widzę tedy, że sprawa i tak będzie tom sobie pofolgował i rozwalilem, co pod ręką było. Wtedy się i Zyńce, i Szmatce oberwało, ale ich wina. Po co się pchają pod rękę, kiedy widzą, że źły?

Podczas gdy mówił, Szmatka z Ligężą coś uradzała, a gdy Dzik skończył, Ligęza prosił, by Szmatkę wysłuchać. Gdy książę zgodził się, Szmatka rzekł:

- Chciałem ino rzec, miłościwy panie, że z tych niewolnic, coście z Czerwieni przywiedli, mało połowa chrzczona jest.

- A skądże ty wiesz? - zapytał książę zdziwiony.

- Byłem wybrać sobie, boście mi prośbę spełnić przyrzekli, kiedyśmy to z Dzikim czerwieński obóz przeszli, a jeszcze nic nie dostałem. Z ciekawości rozpytywałem, bobyście wszystkie chrzczone puścić musieli, a szkoda tyle łupu.

Mieszko roześmiał się:

- To wybierz sobie dziesięć. Chrzczone możesz też brać.

Ligęza zatarł ręce, a Szmatka ciągnął:

- Znaczy się, że i tę grecką niewolnicę możemy odebrać?

- Możecie - rzekł książę.

Prochorus chciał coś rzec, lecz Mieszko przeciął:

- Nie ma jeszcze takiego prawa i nikt tu prócz mnie praw stanowił nie będzie.

Tu Ligęza prosił o głos i widząc, że sprawa idzie ku dobremu, rzekł:

- Tedy samiście rozstrzygnęli, panie, że Dzik praw był i niesłusznie napastował go Kwartus. I pierwszy na nim rękę położył, to sam sobie winien, że słabszym będąc, został uszkodzony. Zynka zaś Dzikowym jest niewolnikiem i choćby go ubił, przed nikim za niego odpowiadać nie będzie. Zwolnijcie go, panie, bo niewinowaty.

- Dwunastu lat Zynka nie ma, więc jeśli w wolnym stanie urodzony, nie może być w jeństwo brany - rzekł Topór.

- Sam Zynkę Dzikowi darowałem - odparł sucho Mieszko i do Jordana się zwracając zapytał:

- Słyszeliście sprawę, co macie do powiedzenia?

- Brat Kwartus sam popędliwością zawinił, ukarania sprawcy nie żądam.

- Wolny jesteś! - rzekł książę do Dzika, wstając. - A przed wyjazdem zajdź jeszcze do mnie.

I włożywszy kołpak, skierował się ku dworcowi, a komornik odroczenie roków ogłosił.

Lud już się rozchodził. Ligęza z towarzyszami stali jeszcze, gwarząc o sprawie, gdy Zynka zbliżyć się ku nim począł, nieśmiało na Dzika spoglądając. Dzik również patrzył na niego z zakłopotaniem i chwilę tak stali, aż Tarło rzekł:

- Cóż patrzycie, jakbyście się pierwszy raz widzieli? Chcieliście Zynkę mieć, to go macie.

- Może się boi do mnie wracać, bo mu łeb rozbiłem - rzekł Dzik pół do Tarły, pół do Zynki.

- Wolę być u was - ozwał się Zynka przystępując. - Nie boję się was. Wiem przecie, że nie ze złości mnie pchnęliście.

- No widzisz, szczeniaku! - zawołał Dzik i jedną ręką go porwawszy, przytulił chłopaka do siebie. Pojedziesz do mnie, nowy dworzec budujemy, kawał świata z niego widać.

- Co zaś za piórko macie na kołpaku? - zapytał Zynka wskazując na błękitne pióro.

- To z żolny jest. Dał mi jeden taki pętek za tę zapinkę z czerwonym kamieniem.

- Piękny ptak musi być - rzekł Zyńka i zaczęli gwarzyć z Dzikim, jak to było przez czas rozstania i co to będzie w przyszłości.

Ligęza tymczasem żegnał się, więc dziękowali mu i szli z Hebdą ku wyjściu. Szmatka surowo do Greczynki i jej ojca się zwrócił, każąc iść za sobą i grożąc na wypadek oporu lub ucieczki. Greczynka jednak, która poduczyła się słowiańskiej mowy, rzekła:

- Mówił Zyńka, że Dzik dobry, pójdziemy bez groźby.

Szli ku wyjściu, a Szmatka ozwał się do Dzika:

- Znowu was wykręciłem i dużo dobra zmarnowaliśmy: Nie próbujcie do trzeciego razu.

- Odczep się! - rzekł Dzik, zajęty rozmową z Zyńką. - Słyszałeś, co sam kniaź powiedział, żeś niewinowaty.

- I jeszczeście musieli grzywnę za psa zmarnować i nie macie go w dodatku, bo się dawny właściciel zabrał z nim w skrzęcie i tyle go będziecie widzieli.

- Zapłaciłem, bo udał mi się ten pies; młody widać, a już taka mocna jucha i nie da się ukrzywdzić. Ale płakał po nim nie będę. Widno temu kmieciowi żal go było, to co miał robić, kiedy pieniędzy nie ma? Zabrał psa, niech se żyją zdrowi.

Ale mylił się, gdyż u wyjścia z grodu ku Rybakom stał kmieć z psem, na Dzika czekając. Gdy nadeszli, przystąpił:

- Podziękować wam chciałem i psa, który wasz jest, oddać. Dobry pies i mądry. Nie pożałujecie, żeście go wykupili, a i mnie lżej będzie wiedzieć, że w dobre ręce idzie.

Dzik spojrział niepewny i odparł:

- Żal wam psa, to se go weźcie. Mam i ja psy rzetelne, choć takiego nie mam.

- Wykupiliście go, to wasz jest, a choć żal mi, wolę, że u was będzie, boby mi go struli lub ubili, kiedy sądem nie dopięli swego.

- To weź, Zyńka - rzekł Dzik. - Będziesz miał o nim staranie.

Zwracając się zaś do kmiecia, dodał:

- Będzie się wam cniło za psem, przyjeżdżajcie odwiedzać go do nowego grodziska nad Stradomkę.

- Może i przyjadę - odparł kmieć. - Zdrowia wam życzę.

- No, chodźmy już - rzekł Szmatka. - Wracać nam trzeba, bo bez głowy wszystko zostało, a jeszcze u kniazia musicie być.

Chcieli odejść, lecz z psem sprawa okazała się niełatwa. Gdy pan jego, wręczywszy powrózek Zyńce, oddalał się, pies stał przez chwilę patrząc za nim pytająco, po czym, zniemacka szarpnąwszy, wyrwał się Zyńce i za swym panem popędził. Przyrowadzony ponownie, warczał i szczyrzył zęby na każdego, kto powrozek wziął do ręki, aż wreszcie Dzik zniecierpliwiony wziął psa pod pachę i mordę mu ręką trzymając, aby nie gryzł, zabrał do gospody. Tam psa zamknięto w komórce skąd naprzód próbował się podkopać, gdy mu się nie udało, zaczął wyć żałośnie. Wieczorem ucichł, lecz żreć nie chciał i gdy na drugi dzień wyruszano z powrotem, z przekrwionymi oczyma i zjeżoną sierścią bronił się do upadłego, gdy go do worka wiązano, by przewieźć do dworca.

Dzik z Zyńką i Tarło ruszyli przodem konno. Szmątka zaś z wozami za nimi miał ciągnąć, by niewolnic swoich pilnować, i psa zabrał ze sobą.

Dzik na koniu już siedział, gdy zjawił się kmięć i przystępując do Dzika rzekł:

- Zapomniałem wam powiedzieć, że pies Gon się wabi. Wołajcie go tak, to prędzej przywyknie. Bądźcie dobrzy dla niego. Choć zrazu jeno kłopot będziecie mieli, ale odpłaci wam potem. Niech z wami śpi i od was jeno jeść dostaje, to nauczy się was rozumieć i pokocha. Nie będziecie żałowali nabytku.

- Spokojni bądźcie. Udał mi się, nie będzie miał krzywdy - odparł Dzik.

Śmierć Gerona

Mieszko, ukończywszy roki, wybierał się na objazd Chrobacji, po czym miał pociągnąć za Jordanem, który ku Łysej Górze ruszył, gdy pewnego dnia przybył Zbrozło z wieścią o śmierci Gerona.

Wiadomość była ważna. Mieszko Zbrozle do siebie przyjść kazał, by usłyszeć bliższe szczegóły i położenie rozpatrzyć. Wiedząc, że Zbrozło przy innych mówić nierad, samego jeno zaprosił, wyjazd do drugiego dnia odkładając.

Czekał na Zbrozłę w zachodniej komnacie. Przez otwarte okno wpadały właśnie ostatnie, czerwone promienie zachodzącego za wzgórzem Sikornika słońca, gdy w drzwiach zjawił się bez szelestu Zbrozło i stanął czekając, aż ksiązę, który w zamyśleniu ku Wiśle płonącej blaskami zachodu spoglądał, do niego zagada.

Mieszko nie odwracał się przez dłuższą chwilę, widocznie nie usłyszawszy wchodzącego. Dopiero gdy krąg słoneczny schował się całkowicie za borem okrywającym wzgórze, odwrócił się i ujrawszy Zbrozłę, drgnął. Zbrozło stał z martwym uśmiechem na twarzy, a w głęboko pod nawisłymi brwiami zapadniętych oczach jak dwie iskry odbijały się blaski zachodu.

Mieszko opanował się zaraz. Wskazał Zbrozle miejsce naprzeciw siebie, po czym zagadnął:

- Dokonałiście zemsty, radzi być musicie.

- Nie zemsty, jeno kary - odparł Zbrozło. - Pochowali wysuszone na kij ciało z wielkim przepychem w krypcie kościoła w Gernrode, który sobie i synowi na miejsce wiecznego wypoczynku zbudował i swoim nazwał imieniem. Na ziemi już więcej wycierpieć nie mógł. Ale jeśli prawdą jest, że dusze żyją po śmierci, jeszcze go spotkam. Dlatego zemsty nie koniec.

Mieszka widocznie ciągnący od Wisły chłód dreszczem obleciał, gdyż wstał i zamknął okiennice. Komnatę zaległ mrok i milczenie.

- Kiedy Gero zmarł?

- Wiosną. Będzie temu dwa miesiące.

- A kogo po nim cesarz wyznaczył?

- Dzieli cesarz dziedzictwo Geronowe, bo i jemu zbytnia potęga margrafów nie po myśli. W Miśni i Międzyborzu Gunter już ustanowiony z innych - Hodo, a kto więcej jeszcze - nie wiadomo. Zabiega wielu jako zwykle i jeden drugiego ubiec rad. Zamieszanie wykorzystać by można.

- I można, i trzeba, ale przede wszystkim u siebie porządek i ład zaprowadzić, gdy postronnie pokój na jakiś czas zapewniony. Lubor na Czerwieni, a Sobiesław na Mazowszu rządcami ustanowieni, spokój utrzymać potrafią.

Harald z Sasami w wojnie, też pono chrzest zamierza przyjąć więc i z Duńczykami spokój. A Wichman gdzie? - zapytał ksiązę.

- U Redarów siedzi. Stracił większą część drużyny. Żeliburowi i Wagram pomagał przeciw Mścisławowi obodryckiemu, ale stryj Herman nie żartował z bratańcem: W obozie ich otoczył zniecka i Wichman jako zwykle o swoją jeno zadbał głowę. Żeliburowi powiedział, że o pomoc idzie prosić Haralda i do Redarów z kilku towarzyszami zbiegł. Żelibur poddać się musiał z głodu, i wielu w powrozach albo na powróż poszło.

- Tedy Wichman siły nie ma, ale pilnować go trzeba. Nie jest niebezpieczny, za to może być dokuczliwy. Ścibora po Dobrawkę wysłę do Pragi bo już i tak się zwlekło przez czerwieńską wyprawę. Was bym chciał pod jego nieobecność na zachodniej ścianie osadzić, byście Wichmana pilnowali.

- Jeśli pozwolicie, panie, Dzika chciałbym na kilka dni odwiedzić.

- Nie ma pośpiechu. I tak wypocząć musicie, tymczasem posłańca pchnę, by się Ścibor do podróży sposobił, pośpiejcie wrócić, nim on wyruszy. A Dzika wolałbym, byście wzięli ze sobą. Tu robić nie ma co, a Topór krzywy na niego. Nabroi znowu, a nie mogę osobnych praw dla niego stanowić. Tam się wam przyda, bo robotę mu znajdziecie i potraficie go utrzymać.

Zbrozło pokiwał głową:

- Nawet się książ Ścibor o niego upominał, a Dzik chętnie pojedzie, bo Wichmanowi obiecał. Byłem ich zetknąć potrafił, to myślę, że spokój będziemy mieli z Wichmanem.

- Jedźcie tedy do Dzika i z nim za kilka dni do Lubuszy, byle nadażyć przed wyjazdem Ścibora. Przed jesienią na gody zjadę do Gniezna może i zamek na Lednickim Ostrowiu będzie gotów, bo dla zwiększonego dworu za ciasny gnieźniński gródek.

- Pozwólcie się pożegnać, panie. Przed świtaniem chciałbym wyruszyć.

- Jedźcie szczęśliwie.

Po wyjściu Zbrozły Mieszko jakiś czas chodził po mrocznej komnacie, usiłując uspokoić myśli. Zbrozłę cenił, a nawet więcej niż cenił, gdyż uważał go za niezbędnego, lecz obecność jego napawała księcia niepokojem. Choć sam okrutny z konieczności, nie mógł zrozumieć zemsty, która by poza grób i ciało sięgała, ani zimnego, na lata wyliczonego prześladowania wroga nie dla osiągnięcia korzyści lub uchronienia się od straty, lecz dla zniszczenia w nim wszystkiego, czym żyje myśl i serce. Gdy zniecka ujrzał Zbrozłę, zmroziła go myśl, że to nie żywy człowiek przed nim stoi, lecz upiór, o jakim słyszał u Pieczyngów że nagle ubity i pogrzebem nie uczczony człek wstaje, by krew wysysać jak zmora, nie pogrzebione ciało włócząc ze sobą.

Choć nie chrzczony, krzyżem się począł żegnać Mieszko, jak mu to Jordan na wypadek dusznego niepokoju doradził, i na komornika klasnął, by zażegł światło.

Zasypiając spokojniej już myślał, lecz nie mógł się opędzić wątpliwości, czy Zbrozło jego, czy on Zbrozły zamierzeń jest wykonawcą. Powstało w nim przekonanie, że gdyby kiedyś zamierzeniom Zbrozły miał stanąć w poprzek lub spocząć znużony, Zbrozło innego wykonawcę znajdzie.

Zasypiając już, dumny książę dziwił się sam sobie, że go nawet ta myśl nie oburza.

Kuszenie Jordana

W upalny, letni dzień orszak Jordana zmierzał z wolna ku siniejącym na widnokręgu wzgórzom, które ukazywały się i znikały, w miarę, jak kręta drożyna wybiegała na stoki i szczyty lesistych pagórków lub zbiegała w dolinki i wąwozy.

Powietrze, nasycone żarem oraz zapachem żywicy i leśnego kwiecia, drżało w słońcu. Najlżejszy powiew nie poruszył liści i senne znużenie ogarniało ludzi i konie. Ptactwo pochowało się w gęstwinach, by przeczekać skwarne godziny, i cisza panowała dokoła, przerywana jedynie od czasu do czasu żalostnym kwileniem jastrzębi.

Komornik Lasota, który dowodził strażą, zrównał się z jadącym w przedzie za krucyferem Jordanem, mówiąc:

- Spocząć zdałoby się, dostojny panie. Konie ledwo nogi wloką.

- Do wody gdzieś dojedźmy - rzekł Jordan.

I orszak powlókł się dalej. Po paru stajaniach drożyna skręcała w cienisty wąwóz i po chwili dał się słyszeć szmer strumyka. Wąwóz skręcał dość nagle za skałę, za którą spadająca z góry struga tworzyła mały bełtek i przelewając się przez brzegi, podążała dalej wzdłuż drogi.

Orszak przystanął i po napojeniu część rozeszła się po lesie w poszukiwaniu miejsc wypoczynku, inni zajęli się przygotowaniem południowego posiłku.

Jordan umywszy uznojoną twarz, wspiął się na skałkę i patrzył, jak strumyk zdążający z tajemniczej głębi lasu przeskakuje skalne prożki i zatrzymawszy się przez chwilę w bełtku, zmierza w nieznanym kierunku.

Posiedziawszy chwilę, Jordan, znęcony chłodem lasu, wstał i pod bieg strumyka skierował kroki.

Strumyk miejscami ginął w mchach i paprociach, miejscami sączył się leniwie przez kamieniste podłoże, gdzie indziej wartko sunął rynienką po skale bełkocąc wesoło.

Coś ciągnęło Jordana, by dojść do źródła potoczku, wzdłuż którego ukazywały się czasami jakby ślady niezbyt uczęszczanej ścieżki. Piął się pod górę z wolna i wreszcie, obszedłszy stromy występ skalny, z którego strumyk zeskakiwał wesołą kaskadą, znalazł się nad skalnym wgłębieniem, wypełnionym wodą o zielonkawym dnie. Na nim wznosił się kamień dziwnego kształtu, jakby niegdyś ręką ludzką rzeźbiony. U stóp kamienia tryskało źródółko.

Miejsce pełne było jakiegoś pogodnego uroku i Jordan, pochyliwszy się nad zwierciadelkiem wody, zaczerpnął ręką chłodnego płynu i gasił pragnienie.

Spokój, jaki panował dokoła, udzielił się również i jemu. Znużony się czuł wielomiesięczną pracą i brakło mu chwili, by się z sumieniem swym policzyć. Nurtowało go coś więcej niż znużenie, z czego wśród ciągłych zajęć nie mógł sobie zdać sprawy, co jednak odbierało mu zapał i jeno poczucie

ważności zadania i obowiązku sprawiało, że nie ustawał w pracy.

Siedział w chłodnym cieniu olbrzymiej sosny, zapatrzył się w wodę wypływającą z tajemniczego wnętrza ziemi i naszły go wspomnienia.

Dzieło, którego wykonanie mu powierzono, było marzeniem jego lat młodzieńczych. W samotni klasztoru, gdzie spędzał młode lata, modlił się, by dane mu było ponieść wiarę prawdziwą w nieznane kraje; wiarę tak głęboką i szczerą jak własna. Czasem nieśmiało marzył o palmie męczeńskiej, bojąc się zarazem, że pycha go unosi.

Lata marzeń minęły, męski wiek znaczyć mu począł coraz ściślej upatrzoną drogę, do której przygotowywał się całą siłą gorącego serca, by sprostać zadaniu swemu, które wieki przetrwać miało. Nadeszła wreszcie wraz z siwym włosem chwila, o jakiej marzył niemal od dzieciństwa. Przybył oto nieś światło wiary do kraju, o którym mało kto słyszał w jego słonecznej ojczyźnie.

Z ulgą porzucił na zawsze środowisko, w którym wzrósł i spędził większą część życia, które jednak niczym już nie przypominało pierwotnej społeczności chrześcijan, i wierzył, że na północy zasieje czyste ziarno, że w surowej, ale nie zepsutej duszy ludu, wśród którego przyszło mu działać, wszędzie plon w pierwotnej, nieskażonej czystości.

Nie zniechęciło go otwarte oświadczenie Mieszka, że nie wiara mu potrzebna, lecz siła, którą przy pomocy Kościoła osiągnąć się spodziewał. Był księżem władcą tego ludu, ale wobec Boga jeno człowiekiem, takim samym jak najlichszy z jego poddanych. Dość że to on stworzył warunki pracy, warunki, które usuwały materialne przeszkody, ale zarazem wszelką nadzieję męczeństwa. Nie zrażał się, Jordan przywiązaniem prostego ludu, a nawet wielmożów do dawnej wiary, ufając, że czas i cierpliwość wzejść pozwoli nowemu posiewowi który przygłuszy dawne dzikie chwasty i całą ziemię kobiercem swym okryje.

Pierwsze rozczarowanie przyszło, gdy spostrzegł, że był tu przed nim kto inny z nasieniem wiary. Na zachodzie i na północy kraju wiara, którą niósł, nie była ludowi obca, ale znali ją jako jeden z niemieckich podstępów i pozorów do mordu i rabunku. Lud prosty, zwłaszcza dalej od książęcych grodów siedzący, patrzył na niego i jego kapłanów spode łba, podejrzliwie, powagę jeno książęcych wysłańców w nich szanując. Światlejsi jak książę, widzieli w nowej wierze jeno zło konieczne: Wbrew sercu woleli przyjąć je od Jordana, niż pozwolić narzucić je sobie Niemcom. Nie szukać wśród nich było pierwszych chrześcijan.

Osobistym wpływem, przypadkiem i szczególną łaską Bożą ułowił kilkadziesiąt dusz, które szczerze nowego Boga wyznają. Poza tym ograniczyć się musiał do tego, by wpoić w lud wiadomość Bożych i kościelnych przykazań, i czekać, aż rozkaz księcia prawo z nich dla ludu uczyni, prawo takie jak każde inne, które pod strachem kar musi być przestrzegane.

Tych kilkuset młodych, których oddano mu na wychowanie, to dorobek dla jego następców. A na pomoc dla siebie czekać musi.

Miał dostęp do księcia, książę lubił go i cenił, ale swoje plany gotował w skrytości i czasami jakby cofać się zdawał z już powziętymi zamiarami. Nietajne było Jordanowi, że Mieszko wprowadzenie

nowej wiary wstrzymać przyrzekł staremu Mściwojowi do jego śmierci. Zapytany odrzekł, iż obawia się, że Mściwój nie pożyje już długo. Gorzko było Jordanowi, że księżę niechęć starego zasłużonego wodza uważał za wystarczającą przyczynę, by dzieło nawrócenia zahamować.

Nietajne też było Jordanowi, że księżę Mazurom przyrzekł w dawnej wierze ich pozostawić, tyle że zapewnił go, iż apostołować pozwoli na Mazowszu, osobiste jedynie bezpieczeństwo, o które Jordan najmniej dbał, poręczając.

Cóż zresztą z tego pozwolenia, skoro Jordan ludzi do pracy miał za mało. Sprowadzić ich można było, ale jeśli zaraz stanąć mieli do pracy, musieli język znać. A takich mógł dostać jedynie od Niemców, mnichów z Korbei i Fuldy. Jeśli księżę zgodzi się, sprowadzi ich, bo ręce mu już nieraz opadają. Zadanie, które wziął na siebie, przechodzi widocznie jego siły.

Ogarnęło go takie znużenie, że przestał myśleć. Marzenie w zetknięciu z rzeczywistością szczezło. Praca, którą podjął całym zapalem swej płomiennej duszy i latami gromadzoną wiedzą i doświadczeniem, stawała się szarą robotą powszedniego, znojnego dnia.

Z odrętwienia wyrwał go szelest pazurków po korze sosny. Czarna, górska wiewiórka zsunęła się po pniu głową na dół. Zobaczywszy Jordana, szczełnęła niespokojnie i zatrzymała się patrząc ciekawie czarnymi, lśniącymi jak tarki oczyma. Słońce pochyliło się już ku zachodowi i do wody szła widocznie.

Jordan wstał ociężale, by odejść i nie przeszkadzać zwierzątku: Wiewiórka jednak, czymś widocznie spłoszona, śmignęła w górę i jeno chybotające się gałązki zdradzały kierunek jej odwrotu.

Czas było w drogę. Żar dzienny przygasł i chłodny powiew nadchodzącego wieczoru kołysać zaczynał z lekka szczyty drzew, skąpane w złotych blaskach słońca. Modlitewny szum pociągnął po borze.

Jordan wstrzymał się jeszcze, by w samotności odmówić wieczorne pacierze, i klękawszy uczynił znak krzyża, gdy głos jakiś zapytał:

- Tutaj się po waszemu modlić przychodzicie?

Jordan spojrzął za głosem i ujrzał starca, który, wsparty na kosturze, stał po drugiej stronie sadzawki i patrzył na niego przenikliwie.

- Wszędzie modlić się można, bo Bóg jest wszędzie - odparł Jordan wstając.

- Wasz Bóg - rzekł starzec wskazując na krzyż na piersiach Jordana - wszędzie chciałby być i Niemców wlecze za sobą. Ale jeszcze stoi tu Swantewit nad świętym źródłem. Dlatego idźcie się modlić gdzie indziej. Świątynie kazał Mieszko poddawać. Wielu naszych bogów mieściły, dla waszego jednego miejsca w nich starczy; niepotrzebne mu już nasze uroczyska i święte drzewa, i gaje, i wody.

- Cały świat jest Bożą świątynią i wszystko ma służyć Jego chwale - odparł Jordan.

- Nie pierwsi tu jesteście. Już tu Boga waszego wprowadzali, gdy żyli ojciec moi. Próbowali wyrzucić tego Swantewita, ale nie ludzka to moc. Skała to, co sięga do głębi ziemi. Więc poszli, jeno go przewali po swojemu. Twarze, co miał cztery, ściosali i Jedną uczynili. A i tego trudu szkoda. Postoi parę wieków na deszczu i wicherze, to i tej jednej mieć nie będzie. Będzie, czym był, gdy o Bogu waszym nikt nie słyszał.

- Cóż wy wiecie o naszym Bogu, który jest Jedyny i Wszechmocny, że zuchwale przeciw Niemu bluźnicie?

- Nic nie chcę wiedzieć. Ale o tych, co go głoszą, wiem, że oszuci są. Głoszą, że miłość niesie, a mordują; mówią, że miłosierny, a grożą ogniem i karami. Wszechmocny, mówicie? Po cóż kniazia pomoc mu potrzebna? Ze świątyni nas powyganiali jego pacholki, ołtarze i posągi powywracali. Ale nasi bogowie są wszędzie, mieszkają w drzewach, w wodzie, kamieniach. Nie potrzeba im złota jak waszemu.

Wyciągnął ręce, wskazując złoty krzyż na piersiach Jordana, i podnosząc głos, ciągnął:

- Idźcie stąd! Tutaj wasz Bóg was nie usłyszy. Wróćcie z pacholkami wyrzucić tego Swantewita - zaśmiał się. - Albo zasypać to źródło. Zasypiecie tutaj, gdzie indziej wypłynie; nie znajdziecie go. Pójdą w las nasi bogowie, ale przyjdzie czas, że wrócą, gdzie byli.

Przygnębienie Jordana doszło do dna duszy. Wstał i ruszył przed siebie, nie patrząc, dokąd idzie. Słońce schowało się już za wzgórze, jeno zorze stały na niebie. W głębi zapadać zaczynał mrok. Uszedłszy kawałek drogi, Jordan potknął się o korzeń i przyklęknął. Nie chciało mu się nawet wstać. Cicho tu jak w klasztorze, gdzie spędził młodość. Po cóż było zeń wychodzić? Byłby zachował złudzenie młodości aż do kresu. Poprosi Ojca Świętego, by mu wrócić pozwolił, i dokona życia w ojczystym klasztorze św. Benedykta.

Nagle Jordan wzdrygnął się. To byłoby tchórzostwo. Chce porzucić pracę do której całym życiem się przygotowywał. I dlaczego? Bo piętrzą się przeszkody, bo wynik nie obiecuje spełnić jego nadziei, bo owoce zbierać będzie może dopiero kto inny?

Wstał i ruszył stanowczym krokiem przed siebie. Nie rzuci swego zadania, które podjął, bo każdy inny w trudniejszych jeszcze pracować musiałby warunkach. Potrzebny jest i choćby nic więcej nie zdziałał, jak to jeno, że ten dobry, choć dziki lud zaznajomi z owocami pracy innych, że wprowadzi nie znane dotychczas zboża i drzewa, że choćby niewielu nauczy sztuki czytania, że węzły nawiąże z kulturą swego dawnego kraju - praca jego życia nie pójdzie na marne. Nie jego rzecz plony zbierać; do orki go powołano, a zwolni go Bóg, kiedy zechce. Szatan to kusił go w tym miejscu uroczym i chwilę słabości wykorzystując złamać chciał jego serce i siew zdeptać w zarodku. A czyżby przeszkadzał, gdyby nie było mu wiadome, że mimo przeszkód i znużenia Jordan dzieło swe doprowadzi do tego, iż zaprze się z korzeniami w tę ziemię i na wieki w niej pozostanie?

Ciemność już była zupełna pod koronami olbrzymów leśnych, lecz pojaśniało w duszy Jordana. Zostanie, zostanie tu, w tej nowej ojczyźnie, tu będzie jego grób i imię jego związane na zawsze z dziejami tego kraju, któremu okno otworzy na światło. Ograniczy się w działaniu do zachodnich ziem, skoro brak sił na wszystko, przyszłość reszty dokona. Z pokusy wychodzi silniejszy, nie zachwieje go

już nic.

Zauważył poblask na pniach, który wzmacniał się, w miarę jak schodził w dół, i za chwilę, minąwszy skałę, ujrzał ognisko, przy którym krzątali się lub siedzieli jego ludzie.

Słyszając szelest kroków po suszu, Lasota obejrzał się i poznawszy Jordana, zawołał:

- Nareszcie wracacie! Niespokojni już byliśmy, czy nie spotkała was jaka przygoda. Nie wiedzieliśmy też, czy na noc obóz rozbijać, czy dalej jedziemy.

- Milej jechać w chłodzie, zaraz ruszymy - odparł Jordan.

Jakoż zakrzątnięto się i wkrótce orszak stał gotowy do pochodu. Jordan dosiadł swego konia i wyjechał na czoło.

Noc tymczasem zapadła. Roje gwiazd rozświetlały jednak pogodne niebo, przecięte jasną smugą Mlecznej Drogi. Chłód pociągnął od boru, więc ruszyli raźnie. Miarowy tupot koni wmieszał się w głosy leśne.

Jordan, jadąc na czele, wodzem się poczuł, który wojsko swe wiedzie na zdobycie kraju. Nie mieczem, nie siłą, lecz miłością, którą miał w sercu do tego ludu, mimo jego niechęci, i czuł, jak rozrasta mu się w piersiach, ogarniając cały kraj i tych, co w nim żyją i żyć będą.

Przyjazd Zbrozły

Pożegnawszy różowym świtem krakowski gród, Zbrozło, jadąc szybko, w południe dotarł do Raby i na popas stanął w dworcu kmiecia Dobka.

Dobkowe lasy graniczyły z Dzikowymi. Przy obiedzie opowiadał Zbrozle o Dziku, do którego jeździł upomnieć się o bezprawne łowy w jego borach; wrócił jednak wielce z nim zaprzyjaźniony i tak pijany, że parę dni chorował.

Chętnie podjął się też Zbrozle krótszymi drogami do Dzikowego Grodziska odprowadzić. Słońce nie zaszło jeszcze za lasy, gdy zza zakrętu ujrzeli naprzód kamienną basztę nad urwiskiem, a za chwilę nie poczerniałe jeszcze budynki, obwiedzione wałem.

Stromym wjazdem pięli się ku bramie, nad którą wznosiła się strażnica, lecz nim dojechali, brama otworzyła się i naprzeciw wybiegł Tarło, który z dala rozpoznał Zbrozle i z radością spieszył go powitać. Zagadnięty o Dzika, odrzekł, że opodal ryby łowi na jазie, i ofiarował się biec po niego, lecz Zbrozło polecił jeno drogę sobie wskazać i oddawszy Dobka gościnności Tarły, pieszo udał się nad rzekę.

Wyszedłszy z lasu, słyszając z dala szum przelewającej się przez łąz wody, olchowym zagajnikiem dotarł nad brzeg i na rozlanej w tym miejscu rzece zrazu nie ujrzął nikogo. Wielki biały pies leżał na brzegu przy odzieży i podniósłszy głowę, popatrzył pytająco na Zbrozle, po czym pomachawszy ogonem, ułożył się z powrotem.

Myśląc, że Dzik może dalej poszedł, Zbrozło spojrział w górę rzeki, w tej chwili jednak usłyszał plusk i prychnanie i dostrzegł wynurzającą się głowę Dzika, oblepioną ociekającymi wodą włosami. Dzik, szamocąc się z czymś, zmierzał ku płyciźnie, na której, wyszedłszy, usiadł i kaszląc wypluwał wodę, której się opił. Ogromna ryba ciskała się bezsilnie, uwiązana pętlą za ogon.

Dzik, zajęty swą zdobyczą i oślepiiony spływającą na oczy wodą, nie zauważył zbliżającego się Zbrozły, a chcąc widocznie zabezpieczyć się przed ucieczką ryby, cisnął ją z rozmachem daleko na brzeg, tak że przeleciała Zbrozle tuż nad głową. Przetarł oczy i ujrzawszy Zbrozle zdumiał się tak, że stał z otwartymi ustami.

Zbrozło uśmiechnął się i zagadnął:

- Nieradeś mi?

- Gdzie zaś! Ino nie spodziewałem się was i myślałem, że się gniewacie.

- Nie ma co wspominać. Przyjechałem obejrzeć, jak gospodarujecie.

- Niczego sobie. Jako widzieliście, dworzec już stoi i murowana wieża też. Bydła Szmatka nakupił, ziemię karczują, co ją z wiosną orać będą, a ja sobie jeżdżę na łowy albo, jak widzicie, ryby łowię.

- Widziałem, żeś stworę wyciągnął, aleś się też i wody opił. Czemuż rękoma łowisz?

- Na włók nie weźmie łososia, bo przeskoczy, a ościeniem nie dosięgnie, bo głęboko pod jazem. Stoją tam sobie, jak konie w stajni, i dostać ich nie można. Tom się zawziął, bo śmiała się Sofia, że rybie rady dać nie mogę i w piątek mięso będzie jeść musiała. Tedy podpłynął nurkiem i co największemu pętłę na ogon założyłem. Ino się ciskać zaczął, a bydłę siłę w wodzie ma, i wylazić na brzeg mi nie chciał. Małom się nie utopił, a wody opilem się, aż mnie mdli.

- To puścić było trzeba. Co tam dla ryby życie stawić.

- To nie dla ryby, ino żeby się Sofia nie śmiała.

- Co za Sofia i co jej do ciebie?

Dzik zacinając się i rumieniając, odparł:

- No, niby ta... com ją dla Zynki w Krakowie kupił, com mu to łeb rozbił.

Zbrozło wiedział już, o co chodzi, lecz uśmiechnawszy się pod wąsem, pytał dalej:

- Dla Zynki Ją kupiłeś, to cóże masz jej ryby łowić albo i dlaczego ma się z ciebie śmiać?

- Niby dla Zynki ją kupiłem, ale on przecież szczeniak, co mu po babie? I zły na nią byłem o to wszystko i że mnie pogańskim psem nazwała. Aż Szmątka przyczepił się do niej, jak to on do każdej. Mało mu tych, co od kniazia dostał. Podrapała mu gębę, bo ostra jest. Przyleciał do mnie Zynka prosić, żebym z nią spał, że się Szmątki nie upilnuje i woli ze mną. To se mówię: co mi ta, wolę z młodą jak ze starą, ino niech nie pyskuje. Żenić się niby miałem z córką komornika Hebdy, ino tak schodziło: to gorąco, to na łowy jechać. Myślę sobie, niech tymczasem będzie. I tak jakoś przyszło, że już przy niej zostanę. Nie to, że w nocy jest przymilna, tylko tak jakoś umie zagadać do człeka, że nie uprzykrzy się nigdy i przyjemnie wrócić do domu, gdy się wie, że ona czeka.

Dzik podparł brodę na rękach i głowił się widocznie, jak by wyjaśnić, czemu Sofia do niego przyschła, lecz po chwili poniechał wysiłku i zakończył:

- Co ta będę myślał. Dobrze mi z nią i tyła!

Zbrozło patrzył na Dzika jakby ze smutkiem i zapytał:

- To już wojować ci się odechciało?

- Ady tu nie ma z kim wojować, chyba z kniaziewymi, co wciąż coraz po inną daninę przyjeżdżają. Ale z nimi to Szmątka wojuje, aż wychudł, że śmiech bierze. Ani go nie poznacie. Broda zaczyna mu rosnać, chodzi w czerwonych ciżmach, a przyjedzie kto, to złoty łańcuch kładzie na szyję. Kłaniać się sobie w pas każe, a na mnie o to krzywy, że w parcianych portkach albo i bez portek chodzę, kiedy on się w wełnie i futrach w takie gorąco poci. Śmiać mi się chce, bo nie zna mnie kto, to jego mają za dziedzica.

- Może i niedobrze, żeś mu wszystko w rękę zostawił. Chciwy jest, to może cię podejść.

- To samo mi i Sofia mówi, ale ja swój rozum mam. Zbudował Szmátka loch na skarbiec, żeby zwiéć moje skarby, co mam zakopane: Alem ja w lochu miody postawił, co syci ojciec mojej Sofii, zobaczycie jakie - tu Dzik aż mlasnął z zachwytu - a skarby niech sobie leżą, gdzie są. Mało co dzień mnie namawia i z Tarłą mamy z tego zabawę, bo już nakłaniam się niby i znowu o czym innym zagadamy, a on z otwartą gębą stoi.

Tu Dzik zaśmiał się.

- Zostańcie z nami, zobaczycie, jakie tu życie wesołe.

- Opowiadał mi Dobek, jako się tu zabawiacie. I o miodach też. Ale zostać nie mogę. Książ Ścibor jedzie w swaty do Pragi, mam na jego miejsce stróżę na granicy trzymać. Chciałbym, żebyś ze mną pojechał. Ręka już, widzę, całkiem wydobrzała.

Dzik poskrobał się po głowie frasobliwie i rzekł po chwili:

- Rad bym z wami jechał, ale nie chce się odjeżdżać, kiedy mi tu dobrze.

- Wrócisz przecie, a może Wichmana gdzie dopadniemy. Jeszcze ci lepiej miód i Sofia smakować będą.

- Myślicie? Jenó nie wiem, jak rzec Sofii, żeby mnie puściła.

- Powiesz, że książ kazał, bo i prawda jest. A na zimę, sędzę, będziesz z powrotem.

- A myślicie, że Wichmana dostaniemy?

- Może się uda. Gero zmarł, a Wichman siedzi u Redarów.

- Ano, jak mnie Sofia puści, to, pojedę. Szkoda, że do Pragi nie wybierzem się z ksiąziem Ściborem.

- Ożeni się książ Mieszko z Dobrawką, to niejedna jeszcze sposobność będzie. Tymczasem chcę, żebyś ze mną strażował na granicy, robota tam zawsze się znajdzie.

- Juści, na stróżę tutaj Szmátka wystarczy. Zbójów tu trocha jest, alem nie spotkał ich jeszcze. Więcej gościńca ku Sączowi się trzymają, bo tamtędy kupcy z Węgier ciągną. Zresztą, co ta na nich będę polował, kiedy bym wolał wraz z nimi na kupców, jak się czasem zecni na zwierza.

- Srogie są kary na zbójów, bo książ chce, by kupcy swobodnie jeździli. Pójdź lepiej ze mną.

- Juści, tak sobie ino mówię z nawyku.

Rozmawiając Dzik ubierał się, po czym wstał i zarzuciwszy łososia na plecy, rzekł:

- Chodźmy do dworca. Pewnie tam Sofia ucztę na wasz przyjazd zgotowała, a jeść mi się chce.

Ruszyli krótszą drogą przez las, a pies dźwignął się leniwie i ziewnąwszy szedł za Dzikim. Dzik

obejrzał się i zawołał:

- Cóż się wleciesz, huź do domu!

Pies błysnął ślepiami i popędził przez las, a Dzik mówił:

- Przyleci, to pomiarkują, że idziemy i na jadło czekać nie będziemy musieli. Zmyślne bydlę, ino w oczy patrzy i wie, czego chcę. A mocny, że w pojedynkę wilczycę od młodych zadusił, ino mu ucho oberwała, że mu stać nie chce. Praw był kmieć, com go od niego kupił, że wart grzywny srebra. Ino nie lubią się ze Szmatką i jeden warczy na drugiego. Za to od Sofii się nie ruszy, chyba że ja go zawołam.

Z psa przeszedł Dzik na konie, po czym na gospodarstwo, w końcu rzekł:

- Ciska się Szmatka, że pieniądze tracę darmo, a co kupię to szczęśliwie. I ziemia mi się udała, i Sofia, i pies. Nawet ten dziadyga, jej ojciec, com go kupił i, zdało się, że grosza nie był wart, a zmyślny jest, rozum ma i wszystko potrafi. Budynki jego głową stawiane, a na wieżę kamień palił, potem go wodą rozmoczył, aż dymiło, i kamienie tym łączył, że trudno je rozerwać. Dla pszczoł sztuczne pnie umie budować i nawet obiecał żarna zrobić na jazie, co je woda ma kręcić.

Rozgadał się Dzik szeroko, a Zbrozło słuchał cierpliwie i nim doszli, we wszystkie szczegóły Dzikowego nowego życia był wtajemniczony.

Weszli przez przełaz w wale, od razu na tylne podwórze, gdzie były niewieście zabudowania, i szli ku głównemu budynkowi, gdy jakaś postać mignęła w przejściu.

- Sofia! - krzyknął Dzik. - Chodź no się pokazać i powiedz, coś nam zgotowała.

Zatrzymała się, spoglądając ciekawie na Zbrozłę, i odparła:

- Siadajcie do stołu, to obaczycie. A przystroję się, to sama przyjdę.

- Taka ci już jest - zaśmiał się Dzik - że nie przybrana ukazywać się nierada, nawet mnie.

I powiódł gościa do świetlicy, gdzie stół pięknie już był nakryty haftowanym obrusem, zydle kobiercami obleczone, a srebrne misy i stągwie stały szeregiem. Zbrozle na poczesnym miejscu, na złocie nakryto i Dzik zaraz prosił siadać nie czekając i pacholkom wieczerzę kazał wnosić, gdy zjawił się Szmatka i szedł uroczyście Zbrozłę powitać.

Zmienił się istotnie, poszerzał i jakby wyrósł. Czarny zarost okrywał mu twarz, jeno od czoła łysieć zaczynał. Witał Zbrozłę z pełną poszanowania powagą, której nie utracił nawet na odezwanie się Dzika:

- Gdzie łańcuch masz? Może psa na nim uwiązałeś? Tak ci pięknie w nim jako bykowi w chomącie.

Tarło, który wszedł za Szmatką; roześmiał się, Szmatka jednak jakby nie słyszał Dzikowego odezwania, dziwnym jedynie wzrokiem obrzucił Tarłę, na co ten, odpowiedział zuchwałym i

lekceważącym spojrzeniem i do stołu usiedli.

Potraw niewiele podawano, ale wszystkie wymyślnie przygotowane i Dzik jadł zachwalając i zachęcając Zbroźłę do jedzenia, jakiego nie bywało pono i na książęcym dworze. Miód i piwo wyborne, choć młode, nalewali pachołkowie pięknie przybrani i sam tylko Dzik, w rozchełstanej koszuli, na przybłądę wśród tego przepychu wyglądał.

Gdy skończyli jeść, Dzik kazał przynieść stary miód, jeszcze z kniaziowych zapasów, a pachołkowie na srebrnych misach podali ciepłą wodę do umycia rąk i białe ręczniki do otarcia. Z nimi weszła Sofia i choć wszystkie spojrzenia zwróciły się na nią, a rozmowa umilkła, nie zmieszana tym bynajmniej podeszła do Zbroźły:

- Wybaczcie, panie, Dzikowi, że nie przybrał się przystojnie na powitanie takiego gościa. Zajęta byłam przygotowaniem wieczerzy dla was i dlatego przypomniać mu zabyłam, ale nie omieszka tego teraz, choć późno, uczynić.

Zarumieniony Dzik, skrobiąc się w głowę, wstał i wyszedł, a za nim Gon, który pod stołem ogryzał kości, warcząc od czasu do czasu, gdy Szmatka nogę do niego wysunął.

Dzik z Gonem mieli tak jednakowe miny, że Tarło parsknął śmiechem.

- Ale ci go osiodłali. Ciekawość, że i Gon wziął to do siebie. Oba jednakie lenie, jak nie polują, tylko żarliby i spali.

Sofia spojrzała bystro na Tarłę i odparła:

- Lepiej byś pomógł przyodziać się Dzikowi i przysłał tu Zynkę, który prosił, by pokłonić się mógł Zbroźle.

Tarło wykrzywił się śmiesznie, ale wyszedł, a ona, siadłszy naprzeciw Zbroźły, rzekła:

- Wybaczcie, że siadam przy mężach, choć u was nie ma tego obyczaju, ale u siebie tak przywykłam. Podziękować wam chciałam, żeście raczyli przyjechać, bo jedno miał Dzik zmartwienie, że gniewacie się na niego. Teraz mu już i ono spadło, a syn ojcu nie tak by rad był, jak on wam.

- Z dobrej woli, ale i z polecenia kniazia przybyłem i mile was widzę - odparł Zbroźło patrząc z ciekawością na niewiastę.

Trudno by w niej było poznać zsiniałą od zimna i sponiewieraną niewolnicę, którą Dzik kupił na targu. Oczy jeno były te same, wielkie, głębokie i śmiało patrzące spod czarnych, cienkich brwi. Gdy chwilami przykrywała je długimi rzęsami, twarz, o regularnych, prostych rysach i białej, z lekka słońcem przyżłoczonej cerze z ciemnym rumieńcem, świeciła wdziękiem pierwszej młodości. Gdy jednak mówiąc patrzyła na Zbroźłę, oczy jedynie ściągały na siebie uwagę, świadome, mądre i władcze. Wzrostu średniego, lecz smukła i silna, robiła wrażenie wysokiej, gdyż główkę miała małą i kształną, z węzłem ciężkich, opadających na kark włosów, przewiązanych złotą przepaską. Przybrana w luźną szatę z zielonego jedwabiu, obrębitego koło szyi i u krótkich szerokich rękawów cienką obszywką ze złotej lamy, na szyi miała sznur pereł, na lewym ramieniu prostą, złotą obręcz.

Robiła wrażenie dobrej, lecz przywykłej do posłuchu królowny, nawet gdy uśmiechając się przymilnie rzekła do Zbrozły:

- Skoroście już przyjechali, z dobrej woli czy z kniaziowego polecenia, nieprędko was puścimy. Myślę, że i nie będziecie się rwali uciekać, bo nie masz chyba drugiego miejsca na świecie, gdzie by was tak nawidzono. I ja, choć znam was jeno z opowieści Dzika i Zyńki, sercem wam rada jestem.

Przez martwą twarz Zbrozły cień jakiś przeleciał, gdy odparł:

- Wierzę, że mnie gdzie indziej tyle serc nie czeka, ale jeno na kilka dni przyjechałem. Zadanie mam od kniazia wyznaczone i czas mój policzony. Po cóż jednak przy powitaniu mówić o odjeździe?

Nie mógł jakoś wyjawić, że po Dzika przyjechał.

W tej chwili Zyńka wpadł do świetlicy i urwała się rozmowa. Zyńka podjął Zbrozłę pod nogi, a zapytany opowiadać jął z żywością o swym pobycie w Krakowie, gdzie go Jordan kazał uczyć na kapłana. Dobrze mu tam było i uczyć by się rad, dużo już zapamiętał i nawet pismo nie było mu obce, ale bez Dzika tęskno i z radością powrócił do niego.

- Jakoże ci tu? - zapytał Zbrozło.

- Jak u rodzonych - odparł Zyńka spojrzawszy na Sofię, która uśmiechnęła się do niego. - Nawet zwierzaki mam takie same jak w domu, a Dzik obiecali mi złowić młodego misia za to, że mi głowę rozbili.

Zbrozło uśmiechnął się:

- Miś do czasu młody jest, potem wyrasta z niego niedźwiedź, z którym zabawy nie ma:

- Jak wyrośnie, będzie bramy pilnował na kołowrocie - odparł Zyńka.

Rozmowę przerwało wkroczenie Dzika w towarzystwie Tarły. Ubrany był okazale w szatę z ciemnego, cienkiego sukna, sobolim futrem obramioną, pozłocisty pas z krótkim mieczykiem i futrzany kołpak ze złotą zapinką, za którą zatknięte było błękitne piórko żołąny.

Wszedłszy zdjął kołpak i podał go idącemu za nim Tarle, który przyjął go z udanym uszanowaniem i gdy Dzik usiadł, stanął za jego zydłem, zerkając na Sofię kpiarsko, czy zadowolona z uroczystego wejścia dziedzica.

Sofia udając, że nie spostrzega kpin, podeszła i poprawiając zmierzwione włosy Dzika, rzekła:

- Teraz wyglądacie, jak należy i jak przy takim gościu przystoi.

Dzik zaśmiał się, nie mogąc utrzymać powagi, i powiedział:

- Zbrozło lepiej niż ja wie, jakie mam szaty, bo sam je dla mnie z łupów wybierał. Ino tego piórka jeszcze nie widział - dodał biorąc kołpak z rąk Tarły i pokazując Zbrozle.

Tarło skorzystał ze zwolnienia od powierzonej mu czynności, przelazł ławę i usiadł, lekceważąco usuwając Szmatkę na bok, Dzik zaś dodał:

- Dostałem je za tę zapinkę po Igorze. Szmatka mówi że stado wołów by za nią kupił, ale nosić bym ich nie mógł za kołpakiem.

- Z kimżeś taką zamianę zrobił? - spytał Zbrozło.

- Z chłopaczkiem od kmiecia pod Mogilanami - odparł Dzik. - Strasznie mu się zapinka udała, tak jak mnie piórko - mówił gładząc je z lubością.

- Drogo kupione, pilnujże go, będzie szczęście - rzekł Zbrozło.

Szmatka, który rozmawiał na uboczu z Dobkiem udając, że nie słyszy przytyków, wstał usprawiedliwiając się, że dworzec obejść musi przed nocą i wyszedł.

Dzik - który już przy wieczerzy podchmielił sobie cokolwiek, zawołał za nim:

- A policz, czy wszystkie sowy są na wieży!

Tarło zaśmiał się, Zbrozło zaś siedział nad czymś zadumany. Dzik przypił do niego i zapytał:

- O czym tak sumujecie?

- Myślę, że niedobrze robisz drażniąc wciąż Szmatkę. Nikt nierad, gdy wciąż stawiać mu przed oczy, że nie jest tym, czym chce być i do czego zmierza.

- Co mi ta! - powiedział Dzik. - Lubię, jak się Tarło śmieje, bo mi się samemu śmiać zachciewa, a najlepiej ze Szmatki, bo nadęty chodzi jak puchacz. Myślałby kto: wojewoda.

- Słuchajcie Zbrozły! - rzekła Sofia. - Chcecie wesołka mieć, nie trzeba było wszystkiego dawać mu do ręki.

Wstając zaś dodała:

- Zostawiam was, bo pewnie pogwarzyć zechcecie, ale miejcie na uwadze, że Zbrozło przybył dzisiaj z Krakowa i zdrożony być musi, a późno już. I pamiętajcie - mówiła patrząc na Dzika - że nie każdy potrafi z wami pić nie szkodząc zdrowiu.

Skinąwszy głową, wyszła zabierając Zyńkę ze sobą.

- Do mnie pite - rzekł Dobek - ale słusznie prawi.

Wypijmy jeszcze na sen i chodźmy spać, bo rankiem wracać mi trzeba.

- Zostalibyście parę dzionków. Żle wam u mnie?

- Kiedy indziej na dłużej przyjadę; dziś jeno gościa wam przywiozłem.

Pogwarzyli jeszcze chwilkę o zamierzonym wyjeździe, po czym Dzik, odprowadziwszy wraz z Tarłą Zbrozłę do przeznaczonej mu izby, udał się do Sofi.

Usiadł na zydlu i rozdziewając się pomału, mówił:

- Gorąco w tych szmatach. Alem strasznie rad, że Zbrozło przyjechał. I odziać się nie żal.

- I jam rada. A mówiłam, że musi przyjechać. Nie będziecie się już markocić.

- Mówiłaś! - przytwierdził Dzik z przekonaniem.

I podchodząc do Sofii, dotknął ostrożnie olbrzymią łapą jej włosów.

- Razem z nim pojedę - dodał.

Sofia drgnęła i spytała nieswoim głosem:

- Jak to? Kiedy? Dokąd?

- Po mnie Zbrozło przyjechali. Granicy mamy od Niemców pilnować.

Sofia umilkła i odsuwając się łagodnie od chcącego ją przygarnąć Dzika, nic nie mówiąc, posłanie mu zaścielała.

Dzik pomarkotniał i po chwili milczenia zapytał:

- Czemu nic nie gadasz?

Gdy milczała, podszedł do niej i obejmując ją zwrócił ku sobie. Oczy miała przymknięte, twarz zastygła.

- Powiedź co. Przecie nie za morze wyjeżdżam.

Otworzyła oczy pomału, jakby z wysiłkiem, i uśmiechnąwszy się smutno rzekła:

- Cóż mam mówić? Myślałam, że dobrze wam przy mnie i że was zatrzymać potrafię.

- Czy mi dobrze! Juści, że dobrze, tylko gadać nie umiem. Nie jadę nigdzie!

Przytuliła twarz do jego piersi i słuchała z lubością, jak bije przyspieszonym tętnem wielkie i silne serce Dzika. Nie rzekła nic, gdy wziął ją na ręce jak dziecko i ułożywszy ostrożnie na łożu, niezdarnie począł bawić się jej włosami, mówiąc:

- Znów się Tarło śmiać będzie, a Zbrozło może się pogniewa. Pogadałabyś ty ze Zbrozłą jako? Mądra jesteś, to wykręcisz.

Ujęła jego dłoń swymi smukłymi, miękkimi palcami i przytulając do niej twarz, rzekła:

- Jeno się o to nie trapie. Będę ze Zbrozłą mówiła. Dobry jest, to zrozumie.

Leżący koło łoża na wilczej skórze Gon wstał i zbliżywszy się położył kudłatą mordę na krawędzi, patrząc miłośnie na Sofię.

- Widzisz, o tobieśmy zapomnieli - rzekła zatapiając rękę w puszystych, białych kudłach. - Ty też gadać nie umiesz - szepnęła.

Rozmowa z Sofią

Noc jeszcze była głęboka, gdy Sofia ocknęła się. Zdało się jej przez sen, że ktoś ją wołał. Dźwignęła się wpół na łożu, starając się uświadomić sobie, czy jej się śniło, czy też istotnie słyszała głos jakiś.

Cisza jednak panowała głęboka. W ciemności, rozproszonej poświatą księżyca, przesączałą się przez otwory w okiennicach, słychać było jedynie miarowy i głęboki oddech Dzika. Zbliżyła twarz do jego twarzy, by dojrzeć ją w mroku. Po chwili musnęła lekko wargami jego czoło i wysunawszy się cichaczem spod skóry, którą byli okryci, włożyła kożuch, gdyż noc była chłodna, i otworzywszy bez szelestu drzwi, wyszła na pole.

Księżyc przebył już znaczną część swej drogi i schylał się ku wzgórzom, dziwnie zmalłym na prześwietlonym tle pogodnego nieba. Strzępiaste chmurki nad wzgórzami świeciły srebrem, pobliskie budynki i drzewa rzucały ostre cienie. Spokój panował dokoła, jeno gdzieś daleko rozlegało się kwilenie jakiegoś nocnego ptaka.

Sofia usiadła na podcieniu. Gon wyszedł za nią z izby i ułożył się u jej nóg, które oparła na jego grzbiecie, czując bosymi stopami miłe ciepło jego ciała.

Myślała o swym krótkim życiu, które zdało się złamane w zaraniu. Napad piratów odebrał jej wszystko: wolność, dom i nadzieję. Cud jakiś ocalił dla niej ojca, z którym razem przechodziła z rąk do rąk, z rozpacziwą odwagą broniąc się przed natarczywością swych przejściowych właścicieli, gdzieś w głębi serca czekając jednak podświadomie na wybawcę.

Gdy po raz pierwszy spoczęło na niej obojętne spojrzenie Dzika, poczuła skurcz wewnętrzny. Wychowana w greckiej, chrześcijańskiej kulturze, silna dotychczas poczuciem swej wyższości, znalazła się nagle wobec nieznanego żywiołu.

Z niezrozumiałej dla niej sceny targu zapamiętała jedynie ulgę, gdy nieznaną barbarzyńca na prośby Zynki kupił jej ojca i odszedł obojętnie, nawet na nich nie spojrzawszy, po czym, zdało się na zawsze, zniknął z jej życia.

Może dzięki opowiadaniom Zynki, dla którego wdzięczność żywiła, a poznawszy jak brata pokochała, Dzik z upływem czasu począł zaprzętać jej myśli, iż pozbyć się go nie mogła. Pogardą swej kultury dla jego prostactwa i dumą kobiety, na którą nie spojrzano, broniła się przed nim daremnie.

Gdy zabrał ją do Grodziska, nie poświęcając jej żadnej uwagi, zajęty wyłącznie nabytym psem, zaczęła cierpieć, a cierpienie to wzmogło się po przybyciu na miejsce. Dzik nie zdawał się nawet spostrzegać zalotów Szmaki, który choć poprzydział przywiezione kobiety osadzonym jeńcom, używał wszystkich po kolei. Powiedział w końcu wyraźnie, że przyjdzie do niej na noc. Obudzone, choć nieświadome uczucie i resztki utajonych nadziei rozplynać się miały w upodleniu niewoli. Siedziała w swej izbie; myśli zebrać nie mogąc. Wiedziała, że ucieczkę pomści na jej ojcu, złapie ją, zresztą z psami, jak zbiegłą owcę. Ojciec, który był jej jedyną radością, stawał się kulą u nogi, gdyż ani Szmaki, ani nawet siebie zabić nie mogła przez niego.

I znowu Zynka w prostocie swej, widząc jedynie, że boi się, by Szmatka w nocy do niej nie przyszedł, udał się do Dzika o obronę, prosząc, by spał z Sofią. Dzik zrozumiał to po swojemu, lecz pamiętał pogardliwe odepchnięcie przy pierwszym spotkaniu i w swej męskiej dumie nie myślał korzystać z praw właściciela. Przyszedł z Gonem, zmęczony łowami, uwalnił się na jej łożu i spał.

Korzystając z obecności Dzika, Sofia otworzyła okiennice i siedziała czekając. Na świt czy na coś, czego nie uświadamiała sobie. Jak dzisiaj słyszała jego głęboki, silny oddech i widziała wyraźnie jego twarz w świetle miesiąca wpadającym przez otwarte okno. Noc była księżycowa teraz, lecz duszna, przepełniona nieokreślonymi głosami, które dolatywały z niedalekiej tajemniczej puszczy. Zbliżyła się, by spojrzeć na tę twarz, którą w przelocie jeno widywała za dnia, i sama nie wiedząc czemu, musnęła go ustami. Czujny jak zwierzę obudził się i przez chwilę po raz pierwszy patrzyła z bliska w jego oczy.

To, co nastąpiło potem, przeszło przez nią jak burza. Gdy znowu zasnął, leżała przy nim bezsennie, nie mogąc uporządkować myśli ani uczuć. Pomału uspokoiła się. Znowu patrzyła z bliska w jego twarz i wiedziała już, że kocha tego człowieka i że na niego czekała. Równocześnie dręczyć zaczynała ją myśl, że jest dla niego niczym, że nie dba o nią, jak nie dbał o majątek, sławę, miłość, że w życiu jego mniej ma miejsca niż pies, który leżał jak i dzisiaj na skórze przy łożu. I myślą pracować zaczęła, czym można przykuć tego człowieka. Leżał na boku jak pień dębowy, okrycie ześliznęło się z niego, włosy opadły na twarz i głowa zsunęła się z wezgłowia. Chłód przedświt wpaadał już przez otwarte okno i niebo na wschodzie przybierało zielonawą barwę. Ostrożnie okryła go, by nie obudzić, i dźwignęła głowę, by ułożyć ją wygodnie, a odgarnawszy włosy z czoła, musnęła je pocałunkiem. Wówczas spostrzegła, że nie śpi. Uśmiechnął się do niej dziecinnie zaspanymi oczyma i westchnawszy zasnął znowu. I nagle jak błyskawica olśniła ją myśl, że znalazła klucz do jego serca. Ten brodaty olbrzym, pod którego stopami ziemia zdawała się uginać, który o nic i o nikogo nie dbał, był dzieckiem i potrzebował matki.

Z odkrytej sercem tajemnicy umiała skorzystać i oto ten nieopanowany człowiek potrzebuje jej niemal na każdym kroku. Nie usiłowała go wychowywać, lecz starała się być niezbędna w każdym drobiazgu jego życia, coraz głębiej a niepostrzeżenie wdzierając się w nie. Niełatwy był, samowolny, niedbały, rozhlukany, lecz mądra cierpliwość oddała w jej drobne ręce to olbrzymie dziecko. Dziś przeszła próbę swej władzy, przestała się bać i rozmarzyła o przyszłości.

Księżyc kończył właśnie swą nocną wędrówkę, pociemniało i chłodny powiew przerwał jej marzenia. Wzrok odwróciwszy od księżyca - który zaszedł za wzgórzem, poświatę jeno nad nim zostawiając - skierowała go przed siebie i spostrzegła postać jakąś, bez szelestu zbliżającą się ku niej. Pies dźwignął z lekka głowę i ułożył ją z powrotem, ruszywszy leniwie ogonem. - Ktoś domowy - pomyślała i półgłosem rzuciła pytanie:

- Kto tam?

- Zbrozło - odparł nadchodzący i stanął tuż przed nią, zasłaniając ostatni poblask księżyca.

Chciała wstać, lecz Zbrozło powstrzymał ją:

- Jeśli wam nie zimno, pomówić chciałbym z wami. Spostrzegłem, że tu siedzicie, a wolę mówić bez

świadków.

- Siadajcie - rzekła zaniepokojona, robiąc mu miejsce koło siebie i zaciągając kozuch pod szyję, gdyż chłód ją przejął.

Usiadł mówiąc bez wstępu:

- Dzik wyjechać powinien. Wrócę go wam najrychlej, jak będzie można.

Pryśły jej marzenia i siedziała przygnębiona milcząco. Wiedziała, że Zbrozło mówi tak, jak musi, że szkoda się pytać i opierać. Pustka w niej powstawała, jak gdyby Dzik odszedł już i miała go utracić. Zbrozło zaś po przerwie mówił dalej:

- Musi jechać, bo książę kazał. Drużynikiem jest i mężem, i tak by w domu nie siedział.

Czuła, że Zbrozło nie powiedział wszystkiego i zebrałszy się w sobie, mówiła błagalnie:

- Nie trzymałabym go, gdyby on chciał jechać, gdyby tego potrzebował. Ale nie teraz! Jeszcze mu pierwsza radość nie minęła z tego, czego nie miał nigdy, a co znalazł tutaj. Drużynika książę może zwolnić i wy mu to potrafiacie wyjednać. A mężem był, gdy inni dziećmi jeszcze bywają, pozwólcie mu teraz dzieckiem pobycć.

Zbrozło milczał. Świt srebrzył stoki wzgórz, pojaśniało i ptaki z rzadka się odzywać zaczęły. Wreszcie Zbrozło rzekł:

- Byłby pojechał nie myśląc jako on zawsze, ciekaw czegoś nowego, gdybyście go nie wstrzymali. Książę lubi go i jego dobra patrzy, dlatego wyjechać kazał. Dzieckiem Dzik jest, ale takim, co kości łamie niechęcący, a psoty jako mężowi muszą być liczone. Niech jedzie na czas, Topór i inni, co mu nieradzi, niech zapomną; Potem niechaj wraca i wasza rzecz go dopilnować, by żył jako drudzy... Jeśli potrafiacie... - dodał po chwili.

Zapytała cicho, jakby samą siebie:

- A moje szczęście?

- Szczęście? - powtórzył Zbrozło. - Tego, co było, nikt wam nie odbierze. Ale nie kamień to, co leży u strumienia, który każdy znaleźć może i w węgiel swego domu na wieki wmurować. Jak kwiat paproci jednemu na wielu w kupalną noc zakwita i szarym pyłem w rękę zostaje, gdy wszędzie słońce.

Wskazał ręką na wychylający się między drzewami na wzgórzu rąbek gwiazdy dziennej. Wstając dorzucił:

- Wspomnienie w sercu zostaje i blask pod powiekami, gdy przymknąwszy oczy, spojrzeć w siebie. I żyć nim można długo.

Sofia wstała ze słowami:

- Pojedzie Dzik z wami. Wróćcie mi go, bo może nie tylko mnie będzie on potrzebny.

Ruch się rozpoczął. W świetle poranka bydło poić zaczynało.

Wyprostowała się, pogodnie spojrzenie rzuciła na Zbroję:

- Ufamy wam - rzekła i weszła do domu.

W Pradze

W narożnej komnacie praskiego zamku stała młoda kobieta i przez otwarte okno spoglądała na zachodzące słońce. Patrzyła na wzgórza na widnokręgu i płynącą u stóp Wełtawę, widok znany jej od dzieciństwa, za którym nieraz tęskniła, gdy młodą dziewczyną za mąż ją wydano za niemieckiego grafa. Żyła się z mężem, przywykła do nowego otoczenia i obcej mowy, a gdy przyszło dziecko, zaczęła się czuć prawie szczęśliwa, wspomnieniem jedynie wracając do miejsc swego dzieciństwa.

Ale dwa lata oto minęły, gdy życie, które snuło się już równą przędzą, przecięto nagle. Ojciec kazał jej wracać, rzucić męża i syna, a po powrocie oświadczył, że małżeństwo jej zostało uznane za nieważne i że przeznaczona jest na żonę polańskiego księcia. Nie było co rzec, słusznie ojca Srogim zwano. Zajęła znów panieńskie komnaty, kazano jej zdjąć zasłonę i wianek dziewiczy włożyć na głowę, pod którym rumieniła się ze wstydu od drwiących spojrzeń dworaków i z oburzenia, że ją przedmiotem targów i kręctw uczyniono. Z góry ponadto obdarzano ją niechęcią jako przyszłą żonę księcia, który nie miał przyjaciół na tym dworze.

Chowana na wzór zachodni, nie była nieświadoma licznych przyczyn, dla których ojciec jej nie kochał polańskich władców i nie był kochany przez nich. A wiele stoi na drodze do przyjaźni między bratnimi narodami. Bliżej zachodu i południa położeni, wcześniej zetknąwszy się z kulturą tych krajów, przejąwszy tradycje pierwszego w Słowiańszczyźnie państwa wielkomorawskiego, Czesi rościli sobie pierwszeństwo wśród Słowian zachodnich oraz do spadku po Mojmirze, Rościsławie i Światopełku. Ochrzczeni Przemyslidzi pierwsi królami zwali się w Słowiańszczyźnie i sięgali po Miłsko, Łużyce, Słupię, Morawy, ba, nawet przenikać zaczęli na Śląsk i do Białochrobacji, spodziewając się zhołdować ziemie Wiślan, jak niegdyś ich wielkomorawscy poprzednicy. Leżąc z dala od morza, którego znaczenie rozumieli, dbali o łączność z Wolinem, dla której przyjaźń z Weletami i Stodoranami była im konieczna, gdy przez ich kraje kupcy z Czech i do Czech ciągnąć musieli.

Późno spostrzegli się, że chrześcijaństwo, zamiast wzmocnić ich położenie w Słowiańszczyźnie, podało ich w niemiecką zależność. Oto kraj od lat chrześcijański, biskupa nawet swego nie posiada, od ratybońskiego zależąc, który kraj ich obsyła swoimi ludźmi. Cesarzowi, jako hołdownicy, służyć muszą i patrzeć, jak w mniejszej są u niego cenie niż pogańscy Piastowie, którzy nie wiadomo kiedy wyrosli za ich wpatrzonymi na Zachód oczyma. Co więcej, i oni sięgali po spadek wielkomorawski, a ujście Odry nie przez opłacaną przyjaźń, lecz zbrojną ręką zajmowali.

Nie wzmacniały Przemyslidów wewnętrzne spory między praską a lubicką dynastią, które jeno postronnym na korzyść wychodziły. Oto i teraz Mieszko, nim do Pragi przybył prosić o rękę Dobrawki, w Lubicy był, by dać odczuć, że tam zwróci swaty, jeśliby chybić miały w Pradze. A wiedział Bolko, że ta linia, która z Piastami się zwiąże, górę weźmie nad drugą, zwłaszcza że i Niemcy popierali zamiar związku, zarówno dla chwilowej potrzeby spokoju na swej wschodniej granicy, jak też - i głównie dlatego - by zapobiec rozgrywce między Piastami i Przemyslidami o prymat w Słowiańszczyźnie. Wiedzieli Niemcy, że rozgrywka ta, rozstrzygnięta na korzyść którejkolwiek ze stron, stworzyłaby na wschodnich niemieckich granicach taką siłę, której by przeprzeć nie zdołali i pochód ich musiałby zostać zahamowany. Gra była jasna, niemniej Srogi zgodzić się z nią musiał nie mogąc żywić nadziei, by w razie dojścia do rozstrzygnięcia on miał

zostać zwycięzcą.

A Mieszko? Oto dwa lata upłynęły, gdy odprawiono zmwiny. Był wówczas Mieszko po klęsce w walce z Wichmanem. By utrzymać się przy kraju Licykawików i Wkrzanów, dań przyrzec musiał cesarzowi. Stary Ziemomysł umierał i nie wiadome było, czy nie zaczną się, jak w Czechach, spory i walki wewnętrzne. Dzisiaj, gdy Gero zmarł, Wichman przycichł, sprawa następstwa po Ziemomyśle bez walki na korzyść Mieszka rozstrzygnięta została, ba, co więcej, zdobył - jak słyhać - Grody Czerwieńskie i przyłączył Mazowsze, przez co silniejszy jest niż kiedy. Czy potrzebuje jeszcze związku z Przemyślidami, czy nie będzie raczej dążył do rozstrzygnięcia, kto przodować ma w Słowiańszczyźnie?

Głowił się książę gryząc gniew i głowiła się Dobrawka stojąc w oknie swej komnaty i przezuwając upokorzenie oczekiwania.

Z bólem zgodziła się już, że odebrano jej męża i rozłączono z synem. Czyż po to jedynie, by do bólu dodać upokorzenie, jako kobiety i jako księżniczki?

Raz jeno widziała Mieszka przy zrękowinach. Podobała się jej jego męska, szlachetna postać, jego pewność siebie, mimo niedawnej klęski, i swoboda, mimo źle ukrywanej niechęci, jaką na Hradczynie żywiono dla niego. Czy ona podobała się jemu, nie wiedziała. Zaledwie parę słów obrzędowych zamienili między sobą. Potem wyjechał i oto upłynęły dwa lata ciężkiego, upokarzającego czekania. Czy długo jeszcze? Czemuż jak siostra jej Mlada nie wstąpiła do klasztoru? Byłaby spokojna i daleka od tego wszystkiego.

Niemal co dzień stoi u tego okna, z którego widać most na Wełtawie. Muszą przezeń przejeżdżać wysłańce Mieszka po zdawiny - jeżeli przyjadą.

Niejeden już wspaniały orszak przejechał tędy przez te dwa lata. Z początku biło jej serce na ten widok; za każdym razem myślała, że spełni się wreszcie, co jej przeznaczone i każdy zawód karmi ją goryczą.

Teraz już obojętnie patrzy, jak na przeciwległym przyczółku ukazują się konni i w ostatnich blaskach słońca wjeżdżają na most. Pewnie to jesienne słońce tak barwi ich złotem i purpurą, gdyż tak krasnego orszaku nie widziała jeszcze. Zgaśnie pewnie ta świetność, gdy słońce zajdzie. Dobrawka spogląda jednak ciekawie: orszak liczny jest i wozy za nim idą ładowne. Nie kupcy chyba jednak, bo orszak za okazały. I nie zwyczajne to poselstwo czy odwiedziny.

Słońce zapadło za wzgórze, lecz nie gaśnie świetność orszaku. Zbliżają się już oto, mijają most i wstępują na zamkowe wzgórze.

Dobrawkę ogarnia wzruszenie, choć nie chce przeżyć znowu zawodu i broni się przed myślą, że to Mieszko po nią przysłał. Lecz słyszy szybkie kroki na krużganku i do komnaty wpada zarumieniona i zdyszana służebna Marzenka wołając:

- Po was, pani, przyjechali!

W niespełna dwie niedziele później liczniejszy jeszcze orszak opuszczał bramy Hradczyna i kierował się na północ, by ominąć Lubicę. Ścibor przyspieszył wyjazd, by przed jesiennymi deszczami oddać oblubienicę Mieszkowi, który miał u przeprawy przez Nysę, na granicy swych ziem, oczekiwać powrotu poselstwa. Liczny dwór niewieści i wielu kapłanów towarzyszyło Dobrawce, prócz służby i dworskich. Pochód szybkim się nie obiecywał.

Przeprawiwszy się przez Łabę, ciągnęli na Budziszyn, by stamtąd przez Niemcę się kierować i razem już z Mieszkiem na Międzyrzecz i do Poznania, gdzie obrzęd zaślubin miał się odbyć w nowo ukończonym kościele na Lednickim Ostrowiu.

Cudna pogoda sprzyjała podróży i Dobrawka na mlecznym swym siwku, którego między innymi darami otrzymała od Mieszka, jechała przeważnie na przedzie orszaku. Liściaste bory okrywające kraj płonęły w ciepłym słońcu jesiennym złotem i czerwienią, zaścielając szlaki więdnącym listowiem. Wrzosowiska żarzyły się fioletem. Słodkie rozmarzenie przed zimowym snem ogarniać się zdało przyrodę i rozmarzenie to udzielało się Dobrawce. Skończył się okres niepewności, oczekiwania i upokorzenia. Ścibor w gładkich słowach zwłokę usprawiedliwił wyprawą wojenną i wewnętrznymi sprawami oraz przygotowaniem na przyjęcie oblubienicy. W drodze miły był zabawiając przyszłą bratową opowiadaniem swych przygód lub zaspokajając jej rozbudzoną ciekawość odpowiedziami na niezliczone pytania o Mieszka, o kraj i ludzi, wśród których żyć miała. Z podziwem patrzyła na jego olbrzymią postać i lubić zaczynała przyszłego swojaka, w którym czuła niekłamną życzliwość, jakiej z dawna nie czuła wśród swoich. Częściej jeszcze i serdeczniej rozmawiała z synkiem jego, którego miał przy sobie w poselstwie, a którego piękna, choć smutna twarzyczka, okolona nie postrzyżonymi jeszcze, złotymi lokami, dziwnie ciągnęła jej serce, jakby przeczuwające w nim przyszłego przyjaciela i doradcę syna, którego spodziewała się dać Mieszkowi. Nie spodziewała się; pewna była. Jeżeli zadanie, które jej Bóg wyznaczył i kosztem jej szczęścia wypełnić przykazał, ma być spełnione, Mieszkowi syna dać musi. Może zmieszana w nim krew Piastów i Przemyślidów da Słowiańszczyźnie tego władcę, którego ze szkodą dla swych ludów żaden z tych panujących rodów sam wyłonić nie może. I z góry już Dobrawka doświadczone sercem kobiecym zabiega o przyjaciół dla tego syna. Niemałe przed nim zadanie, drogę mu przygotować trzeba. Tu myśl jej zwróciła się ku temu synowi, którego na ojca swego rozkaz porzuciła przed dwoma laty. Przez chwilę serce jej ścisnęło się tęsknotą. Niemiec on jest, ale swój. Słowiańska krew w nim płynie. Miły Guncelin! I on przyjacielem musi być tego przyszłego. Gdy już Mieszkowi da następcę, będzie go mogła widywać. Teraz nie pora, serce matczyne jeszcze potęknąć musi, ale kres już zbliża się tęsknocie, z każdym krokiem jej szlachetnego konia, sprowadzonego z dalekiej Arabii.

Dobrawka pogodę czuje w sercu i spokój. Zadanie jej trudne, ale nie ponad siły. Najgorsze: beczynne czekanie i zwątpienie - już poza nią.

Las zaczyna rzednąć i na krańcu płaszczyzny widać już wyraźnie gród i osady Budziszyna. Daleko zaś, w zachodniej stronie coś błyszczący pod czarną ścianą boru. To wody Nysy, a za nią nowa ojczyzna, nowe życie. Dobrawka przeżegnała się nabożnie, ale bez trwogi.

Miłość niesie temu księciu i ludowi, muszą jej miłością odpłacić.

Wolin

Po przyjeździe do Lubuszy Dzik, który w drodze był osowiały i markotny, nie odpowiadając często nawet na zaczepki Tarły, ożywił się znacznie. Naprzód obejrzał sobie dokładnie gród, którego obejrzenie nie zdołał za pierwszym pobycem potem do Sulka pojechał do Międzyrzecza, gdzie parę dni bawił na pijaństwie, bo radzi go tam widzieli. Gdy zaś powrócił, Zbrozło bojąc się, że się rozpije i zależy pole, kazał mu objeżdżać granicę. Jeździli tedy po lasach i bagnach, to w kilku lub kilkunastu ludzi, to znów samowtór lub i w kilkudziesięciu, raz jeno rozbiwszy niewielki oddziałek Weletów. Gdy jednak Zbrozło zapuszczania się w głąb sąsiedniego kraju zabronił utrzymanie spokoju jeno mając na uwadze, Dzikowi wrychle sprzykrzyły się wyprawy.

Zbrozło, który zajęty był bez przerwy to wyjazdami w niewiadome strony, to przyjmowaniem nieznanymi ludźmi, rozpytywaniem przejezdnych kupców i podróżnych i rozsyłaniem posłańców, czasu nie miał Dzikem się zajmować i Dzik znowu pić zaczął wysiadując beczynnie nad rzeką i nad czymś dumając.

Za poradą Jaksy wysłano go przeto wodą do Santoka w towarzystwie setnika i kilku ludzi, by robót przy odbudowującym się grodzie dopilnował. Dzik wraz z Tarłą, zabrawszy Gona pojechał chętnie, wiosłując sam całą drogę w górę rzeki, jakby się chciał wyładować. Aż dębowe wiosło połamał i przybył do Santoka na parę godzin przed resztą oddziału, choć go przestrzegano, że podróż nie całkiem jest bezpieczna. Posiedział parę dni i wróciwszy znowu pić zaczął, ale na markotno. Gnębiło go coś widocznie. Dni stawały się krótsze, słoty czasami przelatwały i Dzik przesypiał całe dni wieczorami zmuszając do picia Tarłę, który na darmo starał się go rozruszać.

Wpadł wreszcie Tarło na pomysł widząc, jak Dzik zaciekawiał się ćwiczeniami grodowej straży w strzelaniu, i od przejezdnego kupca nabył odpowiednie do wzrostu i siły dwa łuki greckie, wybornej jakości, i rozpoczęli ćwiczenia. Klął nieraz Tarło w żywy kamień swój pomysł, gdyż Dzik chwili spokoju mu nie dawał zrywając się o szarym świcie i do późnego wieczora strzelając. Aż wreszcie łuk jego nie wytrzymał i pękł szczęśliwie, choć kupiec przysięgał, że rogowy łuk jest wieczny. Tarło, który gnatów już nie czuł od ciągłego strzelania, odetchnął, lecz nie na długo, bo Dzik, który zasmakował w tej zabawie i doszedł do takiej wprawy, że ptaka trafiał w locie, czatować począł na przejezdnych kupców, by nowy łuk sobie nabyć, nie chcąc nawet spojrzeć na cisowe jakie mógł dostać na miejscu.

Jakoż w kilka dni po złamaniu łuku Tarło, poszukując Dzika, zastał go na rozmowie z przejezdnym Rusinem na targowisku, na którym zwykle kupcy z towarem stawali. Zbliżywszy się usłyszał, jak kupiec, który sam łuków nie miał, doradzał Dzikowi, by do Wolina się udał, gdzie nabyć może wszelkie towary, gdyż ze wszystkich stron zjeżdżają tam kupcy. Do Szczecina z wodą mil jeno dwadzieścia dobrze wiosłując za dwa dni przebędzie, stamtąd zaś zatoką na wyspę coś ponad sześć - jednym dniem.

Zobaczywszy Tarłę Dzik zawołał:

- Dobrze, że przyszedłeś. Do Wolina jedziemy!

- Zbroźle trzeba by powiedzieć.

- Nie ma Zbrozły, bo wyjechał rankiem. Czekać nie ma co, bo pogoda może się popsuć. Za kilka dni wrócimy.

Wiedząc, że na upór Dzika rady nie ma, Tarło westchnął w przedsmaku przyszłych ćwiczeń, gdy Dzik nowy łuk nabędzie.

Zabrawszy dwóch zbrojnych i psa, zepchnęli czółno na wodę i nim słońce stanęło na południu, choć chłodny powiew szedł od wody, zdołali zgrzać się wiosłując na zmianę z Dzikim. Dzik, podniecony nadzieją zobaczenia nie widzianego jeszcze morza, miasta, o którego wielkości się nasłuchał oraz chęcią kupna łuku i innych przedmiotów ciągnął, jakby ich ścigano. Pies jeno leżał na przodzie łodzi grzejąc się do słońca, i od czasu do czasu spoglądał na wiosłujących z wysiłkiem ludzi, jakby dziwił się ich głupocie, że nie biorą z niego przykładu.

Brzegi stawały się bardziej bagniste i rozległe, rozstępując się coraz dalej, tak że przed wieczorem, gdy mgła zaczęła wstawać, wcale ich widać nie było. Dzik dopytywał, zali nie po morzu już płyną, towarzyszący mu jednak Biezdoch, który już jeździł tym szlakiem, zapewnił, że do morza daleko, bo niedawno minęli ujście Warty, a i za Szczecinem nie morze to jeszcze, lecz zatoka. Radził też skierować się ku prawemu brzegowi, by miejsce odpowiednie wyszukać na nocleg, zanim zupełna ciemność zapadnie.

Wiosłowali tedy jakiś czas, kierując się ku brzegowi. W górze słyszeli parokrotnie szelest skrzydeł i gęganie, lecz z powodu mgły widzieć gęsi nie mogli, choć nisko leciały zapadając widocznie gdzieś niedaleko. Brzeg już majaczył w nadchodzącej ciemności, zarosły trzcina i tatarakiem, i wiosłowac przestali spływając z wodą, by do lądowania wybrać miejsce otwarte lub drzewami porośłe, a zatem suchsze, gdy stado gęsi się zniżyło, na głowach im prawie siadając. Spostrzegłszy ludzi, z wrzaskiem ogromnym zakotłowały się i wzbily się w powietrze. Spłoszone krzykiem, siedzące już po trzcinach stada również z wielkim gęganiem zrywały się i hałas powstał od tysięcy skrzydeł, we mgle jednak widać nic nie było. Gon z podniecenia wskoczył do wody ujadając, Dzik zaś żałował, że łuku nie miał w podorędziu, gdyż byłby ubił gęś na wieczerzę. Gdy uspokoiło się, wciągnął na łódź psa, który, otrząsnąwszy się z rozmachem, obryzgał wszystkich obficie wodą, po czym przytulił się do Dzika, gdyż ziąb brać zaczynał przenikliwy.

Wylądowali wreszcie przy kępie drzew, z których naciąwszy gałęzi rozniecili ogień i przygotowywali wieczerzę gwarząc tymczasem, gdyż Biezdoch bywały był i nie pierwszy raz do Wolina jechał. Jeździł z kupcami do Danii, Szwecji i Nowogrodu, więcej na wodzie życia spędziwszy niż z ziemią pod nogami.

Opowiadał, że Wolin leży na wyspie u ujścia Odry. Wyspa spora jest i dobrego konia trzeba, by jednym dniem ją objechać. Zamieszkuje wyspę małe plemię weleckie Wołynian, którzy dawniej mieli własnego księcia, później kapłani dorwali się do rządów, ninie jednak po prawdzie rządzą na niej duńscy zbóje, którzy za obronę przed innymi i za spokój dla kupców każą sobie płacić. Na północnym brzegu umocnienia poczynili i straż trzymają, by nie dopuścić innych, starszy ich zaś w samym Wolinie siedzi, który jest miastem wielkim, jakich mało, ale Wołynian mieszka w nim niewielu. Normanowie tu, zwłaszcza Duńczycy, rej wodzą. Nie brak w nim jednak Słowian, najwięcej Czechów, Rusinów i wielu innych narodów, jak Niemców - zwłaszcza Sasów - Greków, Prusaków i Żydów, którzy bądź stale, bądź czasowo osiadają. Miasto też różnie nazywają: Wolinem, Julinem,

Jumme, Jomsborgiem i jeszcze inaczej. Handel tu kwitnie wszystkim, co jeno dostać można na świecie: broń, futra, suszoną rybę, szlachetne sokoły do polowania, konie wszelkich ras, sukna, jedwabie, srebrny i złoty drut, ozdoby, wonności i wiele innych. Wszelkich bogów świata tam wyznają, a choć mało kto o to się troszczy jakiego, przecie, weleccy kapłani tyle utrzymali, że chrześcijańskich obrzędów nie wolno jawnie odprawiać.

Dzik słuchał z zaciekawieniem, coraz to dorzucając pytanie, i noc już była głęboka, gdy się spać pokładli. Szaro jednak było jeszcze, gdy Dzik zerwał się i pobudziwszy towarzyszy, naglił do drogi. Zepchnęli czołno na rzekę i płynęli we mgle zasłaniającej brzegi. Dopiero koło południa mgła zaczęła się wznosić i przez chwilę szare, zmałałe słońce przeświecało przez gęstniejącą oponę chmur. Wkrótce skryło się jednak. Pociemniało i począł mżyć drobny deszcz, który ku wieczorowi zmienił się w ulewę, tak że zmuszeni byli wodę wyczerpywać z łodzi.

Biezdoch chciał lądować, by suche miejsce wyszukać na nocleg, bodaj w jakiejś osadzie, których w zapadającym mroku parę po światłach zauważyli, Dzik jednak nie zgodził się i radzi nieradzi musieli dalej wiosłować. W ciemności już minęli znaczny gród na lewym brzegu, w którym znowu Dzik chciał lądować, lecz Biezdoch, rozpoznawszy Szczecin, wołał unikać grodu niepewnych Wkrzanów i ku prawemu brzegowi skierował. Szczęściem deszcz ustał i pojaśniało.

Płynęli jeszcze czas jakiś wolniej, gdyż prąd stawał się coraz słabszy i chwilami wiatr zaciągający od północy przynosił słony zapach. Pokazywała się lekka wsteczna fala, z szumem rozbijając się o dziób łodzi.

Przemoczeni i zziębnięci wylądowali wreszcie u ujścia rzeki Iny, przed którym leżała osada, i do znanego Biezdochowi Pomorzanina wprosilili się na nocleg, przemęczeni tak, że nawet Dzik na rozmowę nie miał ochoty i ległszy na ławie zasnął, że go do wieczery dobudzić nie było można.

Dospali do dobrego słońca i gdy wyszli z chaty, lekki powiew południowy zganiał właśnie resztki mgieł z wody i otwierał widok coraz dalszy na Szczecińską Zatokę i kraj rozległy, płaski jak stół.

Dzik zaczął ponaglać do wsiadania, lecz gospodarz Bogusław nie chciał puścić bez poczęstunku przyrzekając, że zwłokę z okładem nadrobiją, gdy żagiel im zaprawi do łodzi, i przy pomyślnym wietrze i pięknej pogodzie sam przyrzekł odwieźć ich do Wolina, gdzie własne sprawy miał do załatwienia.

Dzik uspokojony, że zwłoki nie będzie, zabrał się rażno do przygotowanego jadła, składającego się przeważnie z wędzonej i gotowanej ryby i placków z prosa. Na zakończenie podał gospodarz wino. Dzik wahał je podejrzliwie, spróbował jednak i oczy mu się zaświeciły.

- Słodsze od miodu - rzekł. - Gdzie zaś takie można dostać?

- U greckich kupców w Wolinie - odparł gospodarz. - Z daleka ono. Na greckich wyspach rośnie winna jagoda; a słodka od słońca, co gorętsze niż u nas, tak że śniegu tam nikt nie widział.

Dzik spojrzał nieufnie na gospodarza, lecz gdy Biezdoch potwierdził, uwierzył.

- Dziw, jakie kraje są na świecie - powiedział.

- Juści - przyświadczył Pomorzanie. - A zaś Szwedzi opowiadają, że u nich daleko na północy czertogi ich bogów mają być całe z lodu, z których idzie światło, że niebo zdaje się płonąć. Mocne to bogi muszą być, bo i słońce boi się ich i jeno się pokaże, chowa się zaraz albo i nie świeci wcale. Śnieg nie taje jak rok długi, a jasno jak w dzień.

Słuchali kiwając głowami, a Dzik rzekł:

- Czy to aby prawda jest, bo łgarzy dużo. U nas też prawią o różnych cudach, co się dzieją pono na bagnach i lasach. A żyłem przecie w lesie, bez mała od urodzenia, i com z tego widział? Wiedźmy albo karłów wcalem nie spotkał.

- Prawda musi być, bo i od nas czasami w zimie widać światło na północy, że pół nieba jakoby w ogniu. A wiedźmę to możecie zobaczyć i w Wolinie, jeśli wam nie strach do niej chodzić.

- Zaś się tam czego boję. Jeno że dziewczki gładkie wolę zobaczyć niż wiedźmę. Uwidzimy, jak czasu starczy.

Zbierać się poczęli i utwierdziwszy maszty, zepchnęli łódź na wodę. Pomorzanie rozwinął żagiel i świeży powiew od lądu popędził łódź, że wiosła odłożywszy rozglądali się ciekawie. Przed nimi wodna płaszczyna, której krańca nie było widać, w pogodnym słońcu świeciła i błękitniała, lekko zmarszczona falą. Tu i ówdzie widać było białe płachty innych łodzi, zmierzających na zachód lub północ. Raz jeno minęła ich łódź ku ujściu Odry zmierzająca i Dzik dziwił się znowu, jakim sposobem wiatr przeciw sobie ją pcha, bo załoga mała co robiła wiosłami.

Płynęli kilka godzin i Dzik już przykrzył sobie drogę, gdy na widnokręgu ukazała się kresa, która grubiała w oczach i po chwili rozróżnić już mogli liczne budowle nadbrzeżne i mnóstwo łodzi różnych rozmiarów, przy wbiegających w wodę drewnianych pomostach lub wprost uwiązanych przy brzegu. Przestrzeń wodna zaczęła się zamykać, ląd, choć płaski, rozszerzał się i pogłębiał, brzegi zbliżyły się i woda ciągnęła się dalej na północ rzeką, a na lewym jej brzegu, schodząc miejscami aż do wody budynkami na palach ustawionymi, zalegało cypel lądu miasto wielkie, jakiego Dzik jeszcze nie widział.

Przybili do brzegu i przymocowawszy łódź, szli pomostem na ląd. Ku wieczorowi już się miało, lecz ruch panował wszędzie ożywiony, tak że miejscami przepychać się musieli krocząc po sybkim piasku ulicą między rybackimi chatami.

Wszędzie rozchodził się zapach ryby i morszczyzny, a rozpięte sieci schły przed domami. Bogusław prowadził do znajomego kupca, Czecha, który, z dawna tu osiadłszy, dom posiadał duży, znał całą wyspę i jej mieszkańców, mógł przeto najlepszym udzielić wiadomości.

Na Dzika po drodze czekać musieli kilka razy, coraz to bowiem zostawał przyglądać się nieznanym ludziom, przedmiotom i widokom. Słońce też zachodziło już, gdy wreszcie dotarli na miejsce.

Gospodarza nie zastali w domu, gdyż tego dnia wróciło kilka łodzi normańskich, które jeździły

daleko na wschód, pobiegł przeto zobaczyć, co przywieźli z wyprawy. Gości przyjął syn dorosły, który wraz z ojcem handel prowadził.

Zwolniwszy służbę, z którą układał towar w szopach, powiódł gości do domu, do obszernej izby. Mrok już zapadał, więc światła naniecono i ogień rozpalono w kominie, gdyż chłodny powiew wpadał przez okna wraz z nie cichnącym gwarem ludzkim który niepokoił i podniecał Dzika. Nadziwić się nie mógł, że takie mrowie ludzi żyje na jednym, i to jałowym kawałku ziemi, jakby jej brakło.

Uśmiechając się syn gospodarza objaśnił, że co biedniejsi żywią się rybą, której, jak rok długi, dostarcza zatoka i morze. Inni handlem się trudnią osiadłym i tym nie brak niczego.

- Jak widzicie - mówił - nie ruszając się z miejsca wszystko mamy, czego gdzie po świecie dostanie. A byłoby i więcej, gdyby nie to, że Wikingom, co na wyspie siedzą, opłacać się trzeba, by nie rabowali sami i drugim nie dali. Im zasię jest najlepiej. Jeśli straży nie trzymają w umocnieniach nad morzem, to włóczą się po gospodach kupami. Każdy im miejsca musi ustępować, a zszedłszy się piją i pieśni każą śpiewać skaldom którzy wieszają się przy nich. Gdy zaś się znudzą pić albo i słuchaniem pieśni o dawnych przygodach, to po nowe jadą na morze. Towaru nabiorą, to przyjechawszy do mocnego grodu handlują. A gdzie trafią na słabszych, to rabują i jeńca zwożą, i znów układają im skaldowie nowe pieśni, za które oni złotem płacą, bo od tego sława ich rośnie.

Dzik się dziwował:

- Juści, że takim dobrze. U nas też kupców po drogach się obdziera, ino że o tym nikt nie śpiewa, bo lepiej, aby nikt nie wiedział. A dowie się bez śpiewania kniaź, albo i żupan, a dopadną takiego, to sprawią go, że matka by nie poznała. Mnie by i nudziło słuchać o tym, co robiłem, kiedy przecie sam wiem lepiej, jak było. Albo i rabować spokojnych osadników, co nie umieją się bronić, jaka zabawa!

Tarło wtrącił się do rozmowy, mówiąc:

- Boć pewnie nie tak śpiewają, jak było, ino barwią na swój sposób, żeby ładniej wyszło.

- Juści, że tak - przyznał syn gospodarza.

Dzik wzruszył ramionami.

- Jest też za co płacić. Nawet Szmątka se płacić nie kazał za to, że o mnie opowiadał każdemu, czy chciał kto słuchać, czy nie.

Tarło roześmiał się i począł objaśniać kto jest Szmątka i o Dzikowych przygodach napomknął, gdy nadszedł gospodarz i zasiedli do wieczerzy.

Dziwował się Dzik wymyślnym potrawom, choć niezbyt mu smakowały. Mało było mięsa, do którego nawykł. Za to napoje przypadły mu do smaku i pod koniec podchmielił sobie i rozgadał się. Śpiewać też zaczął pieśni, których nauczył się od Zyńki, tak że ludzie stawali pod oknami patrzeć, co się dzieje. Wreszcie spać się dał zaprowadzić Tarle, który przypomniał mu, że przecie po łuki przyjechał i jutro od rana próbować mają. Gospodarz zaś obiecał mu wskazać, gdzie mogą dostać, czego im

potrzeba.

Nie załatwili jednak nazajutrz zakupu, gdyż od wieczora wszczął się wicher północny, niosąc śnieg z deszczem i choć u kupca, wskazanego przez Czecha, znaleźli wielki wybór łuków i strzał, przecie wypróbować ich nie mieli możliwości.

Niemniej zabawili prawie do południa na oglądaniu i wyważaniu strzał i próbach napinania łuków, których kilka, wraz z paru kopami strzał, odłożyli do wypróbowania przy sposobnej pogodzie. Kupiec zmartwił Tarłę mówiąc, że takie wichry jesienne po trzy i więcej dni trwają, i Tarło chciał już nawet sprzęt bez próby zakupić, lecz Dzik uparł się próbować, więc trzeba było czekać. Biezdoch natomiast oświadczył, że musi wracać i wybrał się z Bogusławem w powrotną drogę, pachółka im jeno zostawiając.

Wyszędłszy od kupca, który na północnym krańcu miasta miał swój kram i składy, Dzik z Tarłą wałęsali się, żadnej gospody nie pomijając. Dziwili się mnóstwu i różnorodności towarów, ubiorów i języków, jakie słychać było, i noc już zapadła, gdy węchem prawie trafili na gospodę. Zaraz spać poszli, gdyż nawet Dzik nie był już w możliwości jeść wieczerzy po obfitych poczęstunkach całego dnia.

Nazajutrz z rana wiatr zdawał się nacichać i przez strzępiaste chmury przedzierał się jaśniejszy poblask słońca, lecz w południe niebo zaciągnęło się znowu ciemnymi, nisko wiszącymi chmurami i ulewny deszcz zagnał wałęsającego się wraz z Tarłą i Gonem Dzika do większej od innych gospody.

Weszli do mrocznej izby. Rybimi błonami obciążone okna zaledwie przepuszczały światło chmurnego dnia. Dopiero po chwili, gdy oczy nawykły do mroku, zauważyli, że izba była obszerna i bardzo długa, z belkowanym, niskim pułapem. Pod okiennymi ścianami stały ławy koło stołów, których było kilka. Pod przeciwną ścianą, niemal na połowie jej długości, stała wysoka ława, a na niej ustawione były naczynia, przygotowane dla gości. Dalej stały kadzie z piwem, baryłki i kamionki z winem i miodem i inne przedmioty, zaledwie widoczne w panującym mroku.

Karczmarz, rudy, opasły Sas, rozmawiał z kilku stojącymi przy ławie ludźmi i zaledwie zwrócił uwagę na wchodzących. Usiadł tedy Dzik pod ścianą i zadrzemywał znudzony. Gon na dobre do snu się ułożył, łeb kładąc mu na kolana.

Jedynie Tarło rozglądał się ciekawie przypatrując się ludziom, którzy rozmawiali z gospodarzem.

Po chwili pachółek zabrał się do rozpalania ognia w jednym ze stojących naprzeciw siebie na krańcach izby kominów i część izby na prawo od wejścia, pojaśniała czerwonym światłem. Lewa natomiast, w której siedział Dzik, nadal tonęła w mroku. Schodziło się coraz więcej ludzi. Jedni pili stojąc przy ławie, inni zajmowali stoły koło rozpalonego komina, bądź też suszyli przy nim przemokłą odzież, i cikliwy zapach parującego sukna i mokrych skór rozchodził się po izbie. Gon pociągnął nosem, otworzywszy jedno oko, poprawił się na ławie i spał dalej.

Dzik rozparł się wygodniej i westchnąwszy usnął na dobre. Nie zbudził go nawet gwar liczniejszych głosów i dopiero gdy Tarło zaczął go trącać, otworzył zaspane oczy. Przed nim stał rudy gospodarz i łamanym językiem słowiańskim tłumaczył, że starszyzna Wikinów, po powrocie z wyprawy, ucztuje

dziś i nie w smak jej obcy w izbie. Dlatego radzi odejść, gdyż nie chce brać na siebie, jeśliby ich Wikingowie wyrzucić chcieli albo i co gorszego.

- Nie trąpcie się o nas - rzekł zaspany Dzik. - Nie pójdę, bo deszcz pada, a rad się przyjrę, jacy to owi Wikingowie, o których tyle gadają.

I rozparłszy się patrzył ciekawie na przybywających, nie zważając na gospodarza, który wzruszywszy ramionami odszedł do nowych gości.

Goście zaś zachowywali się jak u siebie w domu. Ustawiali stoły i ławy, rozstawiali stągwie i kubki, dorzucali szczap do komina i rozmawiali hałaśliwie gromadkami lub w przejściu, przy czym duński język przeważał, jakkolwiek i słowiańska, i niemiecka mowa słyszeć się dawały. Wiekiem i wyglądem też różnili się między sobą, bo gdy jednym dopiero pierwszy zarost okrywać zaczynał brody, inni już siwe nosili. Wszystko jednak chłopcy były tęgie i pewna jednolitość ubioru wskazywała że wspólnym żeglarskim i wojennym trudnią się rzemiosłem. Zdawali się czekać na kogoś, gdyż ustawivszy stoły i ławy, kręcili się dalej po izbie, jakby z pewną niecierpliwością.

Po chwili rzeczywiście wśród szumu ulewy rozległy się z dworu głosy i stąpania. Przez otwarte drzwi wdarł się wicher z deszczem i weszła gromadka ludzi. Na przedzie szedł z lekka już szpakowaty sprężystej budowy i ruchów mąż, przybrany podobnie jak inni, jeno bogaty oręż i wyniosłe zachowanie zdradzało wyższą godność. Towarzyszyło mu trzech wojów. Wszedłszy do izby, zawarli za sobą drzwi, witając się z zebranymi.

Na nich widocznie czekano, gdyż rozmowy i gwar umilkły na chwilę, wszyscy zwrócili się ku nim, a siedzący powstali z miejsca. Dzik jeno gapił się na przybyłych siedząc, a Tarło, który odruchowo chciał powstać, widząc, że Dzik się nie rusza także pozostał na miejscu.

Przybyły, widocznie naczelnik, bystrymi, bladymi oczyma obrzucił izbę. Przeleciał wzrokiem po Dziku i uśmiechnął się dziwnie, przy czym z czerwonych, wąskich ust nad rozwidloną, krótką brodą błysnęły niezwykle białe zęby, od których Björnsem Białozębym go zwano. Nie rzekłszy nic, skierował się ku szczytowi ustawionego stołu, a za nim i inni zasiedli, i gwar zabrzmiał na nowo.

Tymczasem jeden z młodszych wojowników, tęgi dwudziestoletni wyrostek z jasnorudą czupryną i piegowatą jak indycze jajo twarzą, czy to na czyjeś zlecenie czy pragnąc się przed druhami popisać, zbliżył się do Dzika i stanąwszy przed nim przez chwilę zuchwale mu się przyglądał. Tarle z podniecenia serce skakać zaczęło, lecz Dzik patrzył na stojącego obojętnie, a następnie ziewnął przeciągle.

Gest ten rozdrażnił chłopaka, który widocznie spodziewał się większe zrobić wrażenie. Poznał zapewne po stroju Polan, gdyż dosyć czystą, choć z obcym brzmieniem, słowiańską mową ostro zapytał:

- Czemu nie wstajecie, gdy wchodzi naczelnik?

Dzik niedbale wskazał na Gona, który drzemał z głową na jego kolanach, i rzekł:

- Pies śpi, nie chciałem go budzić.

Wyrostkowi krew uderzyła do twarzy i stał nie wiedząc, co rzec, a wargi dygotały mu ze złości. Dzik natomiast z całym spokojem ciągnął:

- Chcecie pogadać, siadajcie. Nie bójcie się psa, nie ukąsi was, a mnie niedogodnie w górę na was patrzeć.

Młodzik odzyskał wreszcie głos i zakławszy w nieznanym języku, rękę wyciągnął chcąc Dzika za kark złapać, gdy ten błyskawicznie uchwycił go za przedramię i ścisnąwszy posadził na ziemi, mówiąc:

- Siadajcie, kiedy proszę.

Wśród gwaru rozpoczynającej się pijatyki zajście przeszłoby może nie zauważone, lecz Björnsen, który siedział twarzą zwrócony ku Dzikowi na szczycie stołu, baczył na niego widocznie, gdyż trącił siedzącego obok czarnobrodego wojownika i wskazując na Dzika, coś szepnął.

Zagadnięty wstał i podszedłszy do Dzika, odsunął wyrostka, który tymczasem, chwyciwszy za oręż, rwał się do bitki.

- Naczelnik prosi was do siebie - powiedział czarnobrody.

Dzik zastanowił się chwilę, po czym rzekł do Tarły:

- Zostań tu tymczasem i psa pilnuj.

Wstał, nałożył kołpak, poprawiwszy uprzednio błękitne piórko, i za czarnobrodym podszedł do Björnsena.

Björnsen patrzył ciekawie na olbrzymią postać zbliżającego się Dzika i powitał go:

- Chcemy wypić z wami. Poproście i towarzysza.

I kazał siedzącym obok ustąpić miejsca, wskazując je Dzikowi i Tarle, który na skinienie Dzika się zbliżył.

Zasiedli i chwilę panowało milczenie, gdyż uwaga wszystkich obecnych zwróciła się ku nowo przybyłym. Milczenie przerwał Dzik:

- Mamy pić, to pijmy.

Wypili, po czym Björnsen zapytał:

- Polanie jesteście? Co tam u Mieszka słyhać?

Tarło kopnął Dzika pod stołem, a ten odparł:

- Nudno, dlategośmy przyjechali.

- Lubicie wojnę? Mamy i Słowian w drużynie, może do nas przystać myślicie? Jeno nie każdego przyjmujemy, choćby i najmożniejszy był. Tylko dzielność waży.

- Tymczasem po zakupy przyjechałem, a czy do was przystanę, to się namyślę.

- Będziemy musieli was spróbować, choć na męznego i silnego człowieka wyglądacie.

- Juści, że takiego jak ja nie macie - rzekł Dzik.

- Zobaczmy - odparł uśmiechając się Björnnsen. - Namyślicie się, to przyjeżdżajcie do obozu. Każdy wam tu drogę wskaże.

Przypił do Dzika i rozmawiali chwilę, lecz znudzony Gon, skomląc, do drzwi dobijać się zaczął. Dzik wstał żegnając się. Na odchodnym Björnnsen powtórzył:

- Przyjdźcie odwiedzić nas. Zostaniecie, jak będzie wasza wola.

- Przyjdę - odparł Dzik i skierował się wraz z Tarłą ku wyjściu. Przechodząc koło młodzika, który zadzierki z nim szukał, a teraz siedział na zydłu przy końcu stołu udając, że wychodzącego nie widzi, poderwał go wraz z zydłem z ziemi i postawiwszy na stole, rzekł:

- Przedtem was na ziemi posadziłem, za to teraz na stole na zgodę.

Klepnął go po barku, aż młodzik omal nie spadł, i odprowadzony oczyma wszystkich obecnych, wyszedł.

Zanurzyli się w ciemność. Deszcz ustał i wiatr nacichał. Od czasu do czasu przez poszarpane chmury przebijały się gwiazdy. Ziąb brał, więc szli szybko w milczeniu.

Uszli spory kawał nim Tarło odezwał się:

- Ściągnąć was chcę do siebie. Widziałem, jak naczelnik, ino wszedł, na was miał oko. Zna się, widać, na ludziach stary zbój.

- Mhm! - mruknął Dzik i po chwili dodał: - Nie sztuka po mnie poznać, com za jeden.

- Juści! - przyświadczył Tarło i zapytał:

- A wy jak myślicie?

- Przyrzekłem ich odwiedzić - rzekł Dzik wymijająco.

- Ale do nich chyba nie przystaniecie? Obcy są i nie tak dawno kniaź Ścibor bił się z nimi. A Wichman przecie z ich pomocą pobił kniazia Mieszka i brata mu zabił.

- Tyle stoję o kniazia, co kniaź o mnie - odparł Dzik.

Tarło aż przystanął ze zdumienia, gdy Dzik jednak szedł dalej, dognał go i zapytał:

- Cóż się stało? Lubiliście przecie obu kniazów i oni was. Hojnie was kniaź Mieszko nagroził i chwalił jak nikogo.

- Pochwała tańsza jak przysługa, a o nagrody stoję tyle, co Gon. Mam skarbów w błocie zakopanych wielekroć tyle, a nawet mi się wykopać nie chce.

- Stało się co? Cóż was ukąsiło?

- A stało się! Wyciągnął mnie Zbrozło od Sofii, że niby granicy bronić mamy i Wichmana na wabia mi okazywał. A granicy dwa psy upilnują i pośpią się z nudów, zaś do Wichmana i dwóch stajań za granicę wyjechać nie pozwolił.

- Bogów się bójcie! O toście się tak zeźlili, że do wrogów przystać myślicie?

- W zadku mam wszystkich i wszystko. Zrobię, co zechcę.

- Gadajcie wyraźnie, o co wam idzie! Ja z wami do wrogów nie przystanę, boby mnie ojciec przeklął i mać się wyparła - rzekł Tarło rozzalony.

Dzik przez chwilę nie odpowiadał i szli w milczeniu. Wreszcie stłumionym głosem rzekł:

- Nie pójdziesz? To nie! Obejdę się bez piórka, gdy nie mam kołpaka. Pewnie matuś czeka na ciebie, możesz wracać. A ja nie mam dokąd, chyba do lasu. Zajedno mi, do jakich zbójów przystanę.

- Cóż gadacie! Przecie macie Grodzisko i Sofię. Życ możecie jak wielmoża. I kniazie was szanują, i Zbrozło. Co do was przystąpiło?

- Alboś sam głupi, albo mnie za głupca masz. Juści, że mnie szanują, bo bali się powiedzieć bym się wyniósł z Grodziska, że kolę w oczy stare próchno, Starzę. To mnie chytrąścią stamtąd wywabili. Niesłuszniem Szmatkę sklął, że pyskował na Zbrozłę, bo onże to naprzód za ziemię kazał mi płacić, a teraz mnie wywlócił bez potrzeby, choć dobrze mi było przy Sofii i Szmątka na moim się tam teraz panoszy!

Tarło nic nie odrzekł. Milczenie znowu przerwał Dzik:

- No, czemu nic nie mówisz? Nie tak że jest?

- Nie mówię nic, bo jeśli wy na Zbrozłę gadacie, że wam na zdradzie stoi to i mnie nie będziecie ufać. Myślałem, że do starości będę z wami wojować, ale nie mogę sercem zostać, to odejdę. Wracam jutro do swoich.

- A wracaj! - rzekł Dzik ze złością, ale niepewnie. - Nie stoję o nic. Wolę tak jak w lesie było. Ubili mi którego zbója albo mi sam zdechł, tom innego brał z gościńca. Na drugi dzień nie pamiętałem, jak

mu było i nie sumowałem się o nic. Wiedziałem, że niechby się silniejszy znalazł albo i ciężej mnie ranili, to ubiją i też dalej pójdą nie spojrzawszy. Nikt nikomu nie był nic winien, to i oszukiwać nie było potrzeby. A tu nie wiem, czego się trzymać. Za małym chytry na was.

Tarło znów nic nie odpowiedział i w milczeniu doszli do swej gospody. Pacholek, który na nich czekał, podał wieczerzę. Zasedli do niej sami bo domownicy już się spać pokładli. Jedli niesporo. Dzik jeno popijał gęsto, nic się nie odzywając, a Tarło siedział zasepiony.

Pokładli się wreszcie spać, ale i ze spaniem nie szło lepiej. Tarło leżał cicho, z otwartymi oczyma, a Dzik kręcił się na łóżu i pomrukiwał coś do siebie.

Przepowiednia

Nazajutrz obudzili się późno. Pachołek, który im przyniósł polewkę, otworzył okiennice i izbę zalał potok złotego, jesiennego słonecznego światła. Dzik raźnie wziął się do jedzenia, nadrabiając zaniedbaną wieczerzę, i, coraz to zerkał na Tarłę, zali nie odezwie się pierwszy. Nie wytrzymał wreszcie i rzekł:

- Pospieszaj z jedzeniem, bo pogoda jest i łuki mamy wypróbować.

Tarło odparł smutno:

- Sami idźcie. Ja do przystani pójde poszukać, zali jaka łódź do Lubuszy nie pójdzie.

Dzik pomarkotniał:

- Możesz moją zabrać i pachołka też, bo mi nic po tym. Szukać tedy nie musisz. Zdążycie przejść zatokę, gdy o południu wyjedziesz. Nie trzymam cię, ale wracasz do swoich, to gościńce im zawiesz ode mnie i tobie samemu też chcę co kupić na wspominek.

- Nie potrzeba, ja też wolę zapomnieć.

- Głupiś! - rzekł Dzik. - Cóż, że człowiek woli, kiedy nie może. Zda mu się, że już zapomniał, aż go z nagła wspomnienie ułapi, choćby i we śnie. A zapomni naprawdę, to jeszcze gorzej, bo czuje, że coś tam jest w środku, do czego dobić się nie może i jak o ścianę się obija. Chodź! - dodał gniewnie - bo ci kości w ostatku połamię i też będziesz miał pamiątkę.

Tarło uśmiechnął się smętnie, lecz zebrał się i wyszli. Kupiec, u którego łuki zamierzali próbować, miał swój skład na północno - wschodnim krańcu miasta, opodal przesmyku Odry, szli więc szybko, bo drogi był kawał. Dzik parę razy zagadnął Tarłę, lecz gdy ten półsłówkami odpowiadał, poniechał prób nawiązania rozmowy i milcząc doszli do celu.

Kupiec powitał ich z zadowoleniem i zaraz przygotowany sprzęt wynieść kazał. Za cel miała służyć skóra barania, wypchana trawą morską którą o sto kroków ustawiono. Pachołek jeden strzały ich miał odnosić i stanął opodal patrząc z zaciekawieniem, jak też strzelać będą.

Dzik, dorwawszy się łuku, zapomniał o wszystkim i raz za razem wypuszczał strzałę, która przeważnie dochodziła do celu, i wkrótce baran jeża przypominał. Kazał sobie przeto odnieść strzały, które trafiły a chybione odłożył.

Przestrzeliwszy w ten sposób kilka kóp, wybrał ze trzy i na nowo rozpoczął strzelanie. Teraz już niemal wszystkie strzały utkwily w celu. Gdy mu je znowu odnieśli, rzekł do Tarły:

- A teraz uważaj, w łeb będę mierzył.

Znowu posypały się strzały, a kupiec zaciekawiony zręcznością Dzikową przypatrywał się strzelaniu. Kilkoro ludzi stanęło opodal także się gapiąc.

Dzik, podniecony rozbudzoną uwagą, strzelał coraz staranniej i po kilkunastu pociskach łeb barana był naszpikowany, tak że pachołkowi wyjąć strzały polecił, by ich innymi nie porozbijać.

Ukończywszy wreszcie próby, wybrał dwie kopy strzał i rozglądał się dokoła. Nad niezbyt odległą wodą krążyły stada mew krzycząc i bijąc się o kąski, spływające od miasta, lub stojąc wysoko czatowały na ryby. Dzik nałożył strzałę i zmierzył do lecącej najwyżej, że jeno srebrzysty punkt lśnił w słonecznym świetle.

Śmignęła strzała, że i okiem dognać jej nie było można, a za ułamek chwili biały punkt zniżał się począł ku wodzie i wreszcie mewa koziółkując spadła na środek rzeki.

Kopnęło się kilku chłopaków, by wyciągnąć ptaka a przed nim pędził Gon, by odnieść panu zwierzynę. Dzik z zadowoleniem pogładził brodę, a kupiec rzekł:

- Towar dobry, jakiego gdzie indziej nie dostaniecie, ale i w godne idzie ręce. Mam ci ja jeszcze jeden łuk, z bawolich rogów i pięknie zdobiony, ale leży już parę lat i nawet go nie pokazuję, bo nikt go jeszcze nie napiął. Widzę, że osiłek z was, napniecie wy, darmo dołożę.

To rzekłszy wysłał pachołka po łuk, a tymczasem już pędził Gon i złożony ptaka Dzikowi u nóg, z wody się otrzepywał kręcąc z zadowoleniem ogonem.

Tarło, rozglądając się, ze zdziwieniem spostrzegł w kupie zgromadzonych dokoła gapiów Biezdocha, który nieznacznie na niego skinął. Podszedł wypytać o przyczyny niespodziewanego powrotu, gdy Dzik zajął się oglądaniem przyniesionego łuku.

Biezdoch rzekł:

- Gdy skończycie strzelać, idźcie do tego oto domu - wskazał stojący opodal samotnie budynek. - Czekaj tam was ktoś, kto widziany być nie może.

- A jak Dzik nie będzie chciał iść?

- Dom jest wiemy. Powiedzcie, że po wróżbę idziecie - odparł Biezdoch i oddalił się szybko, nie czekając na dalsze pytania zaciekawionego Tarły.

Dzik tymczasem, obejrawszy łuk, przystawił koniec do nogi i ująwszy jedną ręką w połowie, drugą bez wysiłku przycisnął poniżej drugiego końca i naprowadził cięciwę. Kupiec zdumiony, zawołał:

- Słowo się rzekło, łuk jest wasz! Ale nie myślałem by się taki znalazł, co by go napiął, a tym bardziej, jak wy, bez trudu.

Dzik spuścił z powrotem cięciwę i z nabytku zadowolony oglądał łuk, gdy Tarło, zbliżywszy się, rzekł:

- Pokażcie i mnie.

Zajął postawę i mocował się przez chwilę, aż żyły wystąpiły mu na czoło, lecz i jemu udało się łuk

napiąć.

Kupiec pokiwał głową ze zdziwieniem, a Dzik powiedział:

- Aleć i z ciebie mocny chłop się robi. Szkoda, że odjeżdżasz - dodał. - Jak ci broda urośnie, we dwójkę świat byśmy zwojowali.

- Szkoda - przyświadczył Tarło - ale chodźmy już, bo do południa niedaleko, a do wróżychy wstąpić chciałem, co tu gdzieś siedzi opodal.

- To tam! - rzekł kupiec wskazując na wiadomy już Tarle dom, gdy Dzik wyliczał pieniądze za wybrany sprzęt, który do Czecha odesłać polecił.

Odprowadzani wzrokiem i uwagami zebranych odeszli ku domowi wiedźmy. Po drodze Dzik odezwał się, patrząc pytająco na Tarłę.

- Nie pojedziesz chyba dzisiaj. Jeszcze gościńce wybierać mamy, a południe już minęło. Wytrzymałeś tyle ze mną, to jeszcze jeden dzień wytrzymasz.

- Zobaczę, co wróżycha powie - odparł Tarło wymijająco.

Dochodzili już do celu i zapukawszy weszli.

Sień była ciemna i wszedłszy ze słonecznego światła, czas jakiś rozglądali się, zanim oczy nawykły do mroku. Ujrzeli kilkoro drzwi po obu stronach sieni i naradzali się właśnie, do których się skierować, gdy z najbliższych głos jakiś rozległ się:

- Wejdźcie!

Otworzyli drzwi, ujrzeli wewnątrz izby. Na otwartym palenisku ceglanego komina płonęło parę szczapek, a na żelaznym trójnogu zwiślał kociołek, w którym coś mieszała kopyścią kobieta, odwrócona do wchodzących tyłem. Płomień niewiele dawał światła, tak że kąty izby zalegał zupełny mrok. Gdy weszli, kobieta odwróciła się ku nim. W niepewnym świetle płomieni ujrzeli jej twarz, małą, zoraną tysiącem zmarszczek, z wpadniętymi, bezzębnymi ustami. Bujne, czarne i lśniące włosy dwoma warkoczami opadały na ramiona. Oczy wielkie, jakby do innej twarzy należące, wpiła we wchodzących.

Tarło rozglądał się po izbie, spodziewając się zastać nieznanego, który miał na nich oczekiwać, lecz nie zauważył nikogo. By przeto coś rzec, odezwał się:

- Po wróżbę przyszliśmy.

- Po wróżbę? - zaśmiała się niemile. - Można! Każdy chce wiedzieć, co go czeka, choć nikomu nic po tym.

Zimną, kościstą ręką uchwyciła dłoń Tarły i zwróciwszy ją do ognia, patrzyła. W tej chwili powiew jakiś musnął głowę Tarły. To na ramieniu staruchy usiadła bezszelestnie sowa i wlepiła w niego swe

wypukłe, żółte ślepie, o tajemniczym, obojętnym wyrazie.

Tarłę przeszedł niemiły dreszcz i odruchowo chciał cofnąć rękę lecz stara nie puściła i zaśmiała się znowu.

- Myślisz, że w życiu można coś cofnąć? Nim tu wszedłeś, inna się droga ścieliła przed tobą. Kilka kroków tylko i już na nią nie wrócisz. Będiesz myślał, że nie chcesz, a nie możesz. - Stara śmiała się znowu. - Ale nie smuć się, młody jesteś, a nigdy nie będziesz stary.

W tej chwili niewidoczne drzwi otworzyły się przepuszczając trochę przytłumionego dziennego światła i stanęła w nich jakaś postać. Dzik ze zdumieniem poznał Zbrozłę, który, zwracając się do staruchy, rzekł:

- Nie im ci wróżyć kazałem.

Skinąwszy na Dzika i Tarłę, mruknął:

- Chodźcie!

I cofnął się do sąsiedniej izby, a gdy weszli, zamknął drzwi za nimi i wskazawszy im ławę pod oknem, sam usiadł.

W Dziku zakotłowały się sprzeczne uczucia. Przywiązanie, nie uświadomiona obawa, dziecinny lęk przed naganą, za swawolę, niedawny gniew, nieufność i niechęć. Dodając sobie pewności, usiadł i odezwał się pierwszy:

- Po mnie przyjechaliście? Nie wracam do Lubuszy.

I oczekiwał z niespokojną ciekawością, co powie Zbrozło.

Zbrozło jednak zupełnie obojętnie, jakby oświadczenie Dzika było mu nie tylko z góry wiadome, lecz potwierdzało jedynie jego zamierzenia, powiedział.

- Zostaniecie obaj. Dziś jeszcze zgłosicie się do Björnseanu by przystać na próbę do jego drużyny.

Dzik i Tarło spojrzeli ze zdumieniem po sobie i jednym głosem zapytali:

- Jak to?

- Wyjaśnię, abyście wiedzieli, czego się trzymać.

Wiem, że za parę dni przybędą tu posłańce od Redarów i Wichmana, by uzyskać pomoc w zamierzonej znowu na nas napaści. Musimy mieć w drużynie swoich ludzi, by wiedzieć, czego i kiedy się spodziewać, a jeśli się da, wpływ zyskać na sprawy.

- Ja się tam do takiej roboty nie nadaję - rzekł Dzik niechętnie.- Przystanę do kogo, to mu stać na zdradzie nie będę.

- Biezdoch pójdzie z wami. On będzie robił, czego wy nie chcecie czy nie potraficie. Samego by nie przyjęli, z wami przyjmą. On zna język duński i niemiecki, to dowie się więcej i łatwiej. Zaś od ciebie nikt zdrady nie wymaga. Umówisz się na próbę na jedną wyprawę, skończysz - rozejdziecie się i nikt nikomu nic winien nie będzie. Chodzi zaś o to, by Wichmana i Redarów uprzedzić, aby z wiosną przeciw nam pomocy dostać nie mogli. Zaś posłów Wichmana przepłoszyć możesz. Wichmanowi ni Redarom niceś nie winien.

- Ich to mogę - rzekł Dzik.

- A skończysz z tym, możesz wracać do Sofi.

Dzik odetchnął i chciał coś rzec, lecz Tarło zapytał:

- Ja zaś po co mam tam iść?

- Myślałem, że się z Dzikim nie chcesz rozłączyć, a i jemu raźniej z tobą będzie i bezpieczniej. Roztropny jesteś, choć młody, a świat i ludzi zobaczyć też ci się przyda. A nie chcesz, nie idź.

- Coś ci mu tam wróżycha krakała, lepiej może niech nie idzie - napomknął Dzik.

- Nie stoję o to, co baba kracze - rzekł Tarło. - Idę z wami.

Dzik przygarnął go, że aż Tarło stęknął. Zbrozło zaś mówił dalej:

- Biezdoch was zaprowadzi do Björnsena. Wracajcie na gospodę gdzie będzie oczekiwał. A pamiętajcie, by nikt się o moim tu pobycie nie dowiedział. Biezdoch wie wszystko, co i jak, sposobną porą wam powie.

- To zostajecie tutaj? - spytał Dzik wstając. - My jeszcze po drodze wypić musimy z Tarłą na zgodę i powodzenie.

- W domu możesz wypić, ale w miarę, bo dziś jeszcze pójdziesz do obozu.

Pożegnali się ze Zbrozłą i przez pierwszą izbę zwrócili się ku wyjściu. Tarło dobył pieniądza i dając go starej, splunął:

- Macie swój urok z powrotem.

Stara kościstą ręką uchwyciła pieniądza, a zwracając się do Dzika, zapytała:

- Może i wam powróżyć, witezium?

- Poszła! - odparł Dzik. - Jakbym wprzód wiedział, co mnie czeka, tobym sobie życie uprzykrzył.

Gdy zmierzał już ku wyjściu, stara zaśmiała się złośliwie i zawołała za nim:

- Nie bój się, nie zdążysz się znudzić! Razem was licho weźmie, ino tamten czestny pogrzeb jak kniaź

i mogiłę mieć będzie, a twoje kości zwierz rozwlecze.

- Poszła! - powtórzył Dzik flegmatycznie. - Jak ja ci wywróżę, że wieczora nie doczekasz, to co się spełni zaraz, ino ręką ruszę.

Splunął przez ramię i wyszli.

Szedł zadowolony i rozradowany. Myśleć nie umiał ale czuł jakby mu kto kamień z serca odwalił. Nie zauważył, że Tarło zmarkotniał; gadał jak do siebie:

- Praw byłeś, że Zbrozło przychylny mi, ino zrozumieć go trudno. Czarownik musi być, wiedźmie ci rozkazuje. I tak, jakby wiedział, co się dzieje w człeku i wszystko, co mu potrzeba.

- Myślę, że ino rozum ma większy jak inni - mruknął Tarło.

- Cóżeś taki nachmurzony? Postraszyła cię wiedźma?

- Gdzie zaś postraszyła! Przecie idę z wami, więc się nie boję.

- Idziesz! - zawołał Dzik z radością, jakby coś nowego usłyszał, i klepnął Tarłę po łopatce, aż się ten zatoczył.

Nie został dłużny, odwinął rękę i palnął Dzika w plecy, aż zadudniło jak z beczki, a Dzik zawołał ze śmiechem:

- Ale krzepy nabierasz, aż miło! Niedługo będziesz silny jak kniaź Ścibor i może go dorośniesz. Jakem cię poznał, toś mi ino do pachy sięgał, a ninie już do ramienia. Ba! Ścibor! To mi chłop, muszę go kiedy na wojnie zobaczyć, będzie na co patrzeć.

- Czy my go aby jeszcze zobaczymy? - rzekł Tarło markotnie. - Może nie wrócimy z wyprawy?

- Zbrozło mi przecie powiedział, że mam potem do Sofii jechać, to jakoże pojedę, jeślibym nie wrócił?

- Juści, ale zawdy długiego żywota nam wiedźma nie obiecała. Chciałby człek żonę mieć i dom...

- Głupiś! Będziesz żył, to babę weźmiesz, a nie, to co umarłemu po babie!

- Prawda! - zaśmiał się Tarło, lecz zaraz spowaźniał. - A wam to nawet mogiły nie obiecywała. Pono jak człowieka nie pogrzebią, to nie zazna spokoju po śmierci, jeno włóczy się i drugich straszy, póki ziemia kości nie pochłonie.

- Gdzie się Gon zapodział? - przypomniał sobie nagle Dzik. - Pewnie jucha za suką poleciał.

- Nie bójcie się, przyleci za wami.

- Myślę i ja - rzekł Dzik, po czym, wracając do poprzedniej rozmowy, dodał:

- Musi to śmiesznie być, jak człowiek bez ciała chodzi. Napadnie kogo, ten go oszczepem albo strzałą ugodzi, a tu nic, ino śmiech. Zabawniejsze to niż leżeć w mogile i nudzić się.

Dochodzili już do gospody, więc Dzik zakończył:

- Najważniejsze, że teraz wypijemy potem razem pojedziemy, a przyjdzie zdychać, to też wolę razem, boby mi cię żal było, a pewnie i tobie mnie. Strasznie cię lubię, szczeniaku.

Małżonkowie

Uroczystości ślubne Mieszka i Dobrawki odbyły się na Lednickim Ostrowiu w tylko co ukończonym murowanym kościele który naprędce ozdobiono. Błogosławieństwa udzielił Jordan i zwracając się do Mieszka z przemówieniem, podkreślił w nim szczególną doniosłość tego związku dla kraju, w którym po raz pierwszy panią zostaje chrześcijańska księżniczka, aby dokonać rozpoczętego dzieła nawrócenia małżonka i ludu jego. Pod tym warunkiem Kościół udziela im swego błogosławieństwa.

Mieszko wysłuchał przemówienia z twarzą poważną i nieprzeniknioną. Lecz ani w podziękowaniu, ani w odpowiedziach na weselne przemówienia ni słowem nie zdradził, kiedy sprawę chrztu własnego kraju przeprowadzić zamierza.

Uroczystości ślubne trwały przeszło tydzień. Rozjechali się wreszcie goście weselni rozeszło żywione i obdarzone pospółstwo. Poselstwo czeskie, pożegnawszy uroczyste nowożeńców, do Pragi wybierało się wracać.

Dobrawka, choć niezmiernie znużona, poleciała panom i duchownym z poselstwa przyjść do komnat swoich w nowym, murowanym dworcu, aby odjeżdżających swojaków pożegnać i rozmówić się z nimi swobodnie.

Stał już orszak gotowy do drogi, gdy do komnaty wszedł stary Jaromir, przedstawiciel ojca na zaślubinach, oraz proboszcz kościoła Św. Wita w Pradze, Bogumił, w towarzystwie kilku jeszcze młodszych rycerzy i kapłanów.

Przyjęła ich Dobrawka w obecności kapelana swego i niemal wychowawcy, ks. Bohowita, i z poważnym wdziękiem siadać prosiła wypytyjąc, czy z gościny byli zadowoleni, i polecając się wraz z mężem ich życzliwej pamięci.

- Gdybyśmy tu dla siebie tylko przyjechali, wdzięczność nie pozwalałaby nam inaczej, jak jeno najlepszą pamięć wywieźć - rzekł stary Jaromir. - Lecz że pana mojego tu przedstawiam i wy, pani, nie dla dogodzenia sercu zawarłicie ten związek, trapię się, czy ojciec wasz będzie zadowolony i czy mnie winy nie zechce przypisać, że mu nie będę mógł donieść tego, czego oczekuje.

- Was bo jeszcze o przyjaznych zamiarach kniaź zapewniał - rzekł Bogumił - ale nam nawet słowem nie wspomniał, kiedy chrztu dopełni, który przecie warunkiem związku waszego był, pani!

Dobrawka, uśmiechając się łagodnie, odparła:

- Skoro ojciec mój godną mnie uznał, by przeze mnie z polańskim kniazem związku zadzierzgnąć, miejcie i wy pewność, że starać się będę zaufania i nadziei nie zawieść. Cierpliwość nam, a zwłaszcza mnie przystoi by nie psuć pośpiechem tego, co dobrze rozpoczęte zostało. Wierzę, że zdołam zyskać życzliwość mojego małżonka i przeprowadzić, co jemu i nam na dobre wyjdzie, ale wszakże i słów kilku nie zamieniliśmy z nim na osobności - rzekła rumieniąc się.

- Pamiętajcie, pani, że Kościół wasz związek pod warunkiem chrztu pobłogosławił i związek winien zostać nie spełniony, aż się Mieszko oczyści sakramentem.

- Sumieniu memu i głowie to ostawcie - odparła łagodnie, lecz stanowczo Dobrawka. - W wahaniu podporę znajdę w radach spowiednika mego, ojca Bohowita, który ofiarował się zostać ze mną.

- Bywajcie w zdrowiu, pani! - rzekł wstając Jaromir. - Czas na nas. Daj Bóg w zdrowiu obaczyć.

- I niech spełni Bóg wasze nadzieje i w trudnościach wspomaga - dodał Bogumił.

Dobrawka rękę po kolei dawała do ucałowania świeckim rycerzom, sama ręce całując Bogumiła i łzy zaświeciły przez chwilę w jej oczach.

- Pozdrówcie wszystkich moich: Myślą często z wami będę, a spodziewam się niedługo wieści wam posłać dobre, które by ojca mego i was, księżę Bogumile, zadowolili.

- Daj Bóg i z Nim ostajcie - pożegnał się Bogumił i wyszli.

Dobrawka przez okno patrzyła, jak siadali na koń, i orszak z wolna zniknął za bramą.

Gdy straciła z oczu ostatniego ze służebnych pacholków, odwróciła się i chwilę patrzyła w oczy Bohowita.

- Wam dziękuję, że ze mną zostaliście, ojcze! Łatwiej żyć, gdy poradzić się i zapytać was będę mogła. Nie jestem i ja spokojna. Pan mój, zda mi się, nie tylko wpływać na swe zamiary niełacno pozwoli, ale nawet poznać ich nie da. Nie tylko nad słowem swoim czuwa, lecz i w twarzy jego czytać niełatwo.

- Bądź dobrej myśli, córko moja. Czytać się myśli jego z czasem nauczysz, i wpływ uzyszczesz, gdy się przekona, że nie tylko serce, ale i rozum macie dojrzały. Słusznie jednak rzekliście: cierpliwości wam trzeba. Nie młodzik już on, nie zwykł dotąd u kobiet rady szukać, gdy zamiary jego szersze są, nie może objąć umysł takich kobiet, jakie miał dotychczas.

Dobrawka westchnęła:

- Wiem ci ja, że nie jedyna i że młodsze i wdzięczniejsze znajdzie. Tym trudniej serce mi jego przyjdzie pozyskać.

- Nie młodzik już on - powtórzył Bohowit. - Dajcie mu jeno syna, a przewagę uzyszczecie.

- Jakoże syna mam mu dać, gdy, jak słyszeliście, Bogumił żąda wcześniejszego spełnienia Chrztu, nim małżeństwo spełnione zostanie? - oblewając się pąsem rzekła Dobrawka.

- Grzech, jaki popełnicie, by zbliżyć się do męża swego, ja wezmę na swoje sumienie. Nie sprzeciwiajcie mu się w niczym. Nie nawykł służyć, panem się czuje, niczym nie skrępowanym. Gdy go chrzest obmyje, do Bożych przykazań się nagnie, ninie chyba siłą zmuszać by go można, a siłą ma on, nie wy.

- Dziękuję wam, ojcze - rzekła Dobrawka, z wdzięcznością całując w rękę starego kapłana. - Gdy się grzechu obawiać nie potrzebuję, potrafię łacniej sprawy pokierować, by zbliżyć się do pana mego i

ufiność jego a wpływ pozyskać.

Bohowit wstał i wyjść zamierzał, gdy do komnaty wpadła Marzena wołając:

- Dołęga przyszedł od kniazia zapytać, zali go przyjąć raczycie.

Dobrawka pobladła ze wzruszenia, Bohowit zaś ozwał się:

- Spokojna bądź, córko moja, jako i ja spokojny jestem, że drogę do serca kniazia znajdziesz. Bóg niech cię oświeca i prowadzi!

- Powiedz Dołędze, że czekam pana, i wracaj zaraz pomóc mi przystroić się przystojnie - rzekła Dobrawka i gdy służebna wyszła, ująwszy zwierciadło z polerowanego srebra, przyglądać się sobie poczęła.

Nie ma już wdzięku pierwszej młodości na jej twarzy, przeżyła niejedno, co starło motyli puch z jej lic. Ale ciemne oczy pod jaskółczymi brwiami świecą rozumną dobrocią; nie przygasł jeszcze ich płomień, a twarz gładka, o smągłej cerze, tchnie zdrowiem. Są młodsze i kraśniejsze, ale nie znalazłby Mieszko godniejszej towarzyszki i lepszej matki, przyszłych władców. Uspokoila się już przeżegnała nabożnie i z pomocą Marzenki jęła się przystrajać. Gdy skończyły, usiadła i polecivszy poczęstunek przygotować służebnej, czekała cierpliwie, czas skracając modlitwą.

Rozległy się wreszcie kroki w krużganku Dobrawka wstała, zaś Marzena podeszła ku drzwiom - i gdy kroki zatrzymały się, otworzyła. W drzwiach ukazał się książę i przez chwilę oczy małżonków skrzyżowały się. Dobrawka rzekła:

- Wejdźcie, panie. Czekam na was z radością.

Mieszko nie odrzekł nic i wszedł, a Marzena cicho zamknęła drzwi za sobą. Po raz pierwszy małżonkowie zostali sami.

Mieszko podszedł do żony i ująwszy jej rękę, ozwał się:

- Znużeni być musicie po podróży i uroczystościach. I mnie one, choć do trudu nawykłem, znużyły. Wybaczcie, że przychodzę może nie w porę, ale nie wiem, czy nie wypadnie mi znowu jutro wyjechać.

Istotnie twarz Mieszka blada była ze znużenia a wpadnięte oczy świeciły od bezsenności. Dobrawka wdzięcznie siadać prosiła, a gdy Mieszko usiadł, rzekła:

- Nie masz takiej pory, bym was nie witała z radością. Znużenie mi przeszło, zdrowa jestem i wytrzymam wiele. I prośbę zaraz pierwszą do was zanoszę, byście mnie, jeśli wam jechać przyjdzie, zabrać ze sobą raczyli.

Mieszko zaśmiał się gorzko:

- Pierwszej prośbie waszej odmówić muszę. Jadę odwiedzić tych, co na nasze wesele, choć

proszeni, przybyć nie pospieszyli.

- A ja tym bardziej prośbę swą ponawiam - rzekła Dobrawka z przymileniem. - Nie znają mnie dlatego się boczą. Myślę, że gdy poznają, polubią. Siłą miłości nie nakaże.

- Ale siłą nakażę posłuszeństwo. Słoty przy tym i zimna już się rozpoczęły, nie chciałbym was na nie narażać.

- Jeśli siebie narażacie, i dla mnie ten trud nie za wielki. Jeśliście mnie za godną siebie towarzyszkę uznali, chcę nią być naprawdę, w dobrym czy złym.

Na znużonej twarzy Mieszka pojawił się uśmiech:

- Pomyślę. Tymczasem, gdy pierwsza prośba w zawieszeniu, może inną macie, której nie omieszkam wam spełnić.

- Niebezpieczne być może takie przyrzeczenie - rzekła oddając uśmiech Dobrawka - ale skorzystam z niego, bom pewna jest, że nie będziecie żalowali. Raczcie mi, panie, pozwolić żyć nie tylko przy waszym boku, ale z wami. Niech wasze zamiary, troski i zmartwienia nie będą mi tajne, a mocno wierzę, że nieraz pomóc wam potrafię dźwigać ciężar, jeśli się go zrzucić nie da.

Mieszko drgnął i wyraz zdziwienia, a nawet niechęci zjawił się na jego twarzy. Uśmiechnął się jednak z przymusem i rzekł:

- Tę znowu prośbę całe życie spełniać by trzeba. Dotychczas nie nawykłem zwierzać się, nawet bratu rodzonemu.

- Bardzo samotni być musicie, a samotność jest nieraz ciężarem. Brat chyba bliski waszemu sercu, a wy już jego sercu na pewno. Poznałam go w podróży i wielu władców, którzy w braciach swych niechętnych przeciwników lub otwartych wrogów mają, zazdrościć by wam mogło.

Mieszko ożywił się.

- Prawdę mówicie, pani. Nie brak jednak i mnie skrytych wrogów w rodzinie.

- Marni oni i bez znaczenia - rzekła Dobrawka i urwała stropiona.

Mieszko spojrział na nią bystro i z zaciekawieniem. Rumieniła się pod jego wzrokiem, szukając w myśli, ku czemu by rozmowę obrócić mogła. Po chwili Mieszko zapytał:

- O kim myślicie?

- Nie każcie mi odpowiadać panie. Domysły moje mogą skrzywdzić niewinnych. Za krótko tu jestem, by sąd mieć o ludziach.

- A jeśli wam imiona ich wymienię, czy przyrzekniecie szczerze potwierdzić lub zaprzeczyć?

- Zwolnijcie mnie od tego, panie - prosiła Dobrawka.

- Jak chcecie - rzekł Mieszko. - Ale jakoż ja mam się z trosk swych zwierzać, gdy wy przede mną myśli swe chować będziecie?

Dobrawka ważyła się, a Mieszko patrzył z ciekawością, odpowiedzieli czy nie. Wreszcie przemogła się:

- Pytajcie!

- Przybywój i Odylen!

- Tak! - rumieniąc się odparła.

- Z dawna wiem o nich i cierpię. Póki mogę. Ale do próśb waszych wracając, skoro dwie pierwsze w zawieszeniu, trzecią raczcie wyrazić, ale taką, bym spełnić ją mógł zaraz i bez trudu.

Zmieszanie Dobrawki minęło i uśmiechając się wdzięcznie rzekła:

- Nie chcę już takich życzeń wypowiadać, byście mnie o podstępność nie posądzali. Raczcie oto wieczerzę ze mną spożyć. Korowaje i miód z naszych jeszcze pól i lasów: Nie jadaliście dotąd z jednej misy z Czechami, a to zbliża najlepiej.

Mieszko uśmiechnął się:

- Iście łatwa to prośba, bo głód już czuję, choć i w tym podstęp może być. Czy aby lubczyku nie ma w naszych napojach?

- Daj Bóg, aby był - rzekła rumieniąc się Dobrawka i klasnęła w dłonie, a gdy weszła Marzena, do stołu kazała nakryć i podać przygotowane potrawy.

Przywołany pacholek szczap dorzucił w kominie i w blaskach płomienia, rozpraszającego jesienny chłód, zasiedli małżonkowie do wieczerzy.

Minęło napięcie i powściągliwość pierwszego spotkania. Godziny mijały na pogwarce, wspomnieniach dzieciństwa, opowiastkach i powieściach. Mieszko ożywił się, opowiadał o swych wyprawach i podróżach i noc zapadła późna.

Wreszcie Mieszko wstał z westchnieniem. Przez chwilę jakby coś ważył, wreszcie rzekł:

- Teraz ja prośbę do was bym miał. Nie odmówicie?

- Jeśli jeno potrafię.

- Zostać chciałbym z wami do rana.

- Zostańcie! - szepnęła Dobrawka.

Wśród Wikingów

Dzik z Tarłą i Biezdochem drugi już dzień przebywali w obozie jomsborskich rozbójników. Chytry Biezdoch objechać potrafił starego zbója Björnsena, że przyjęto ich na próbę, a po pierwszej dopiero wyprawie postanowić mieli, czy na stałe w drużynie zostaną. Björnsen i starszyzna niechętnie zrobili ten wyjątek, przemogła jednak chęć pozyskania Dzika, o którego sile i męstwie Biezdoch, co trzeba, opowiedzieć umiał. Biezdoch zapewniał, że Dzik, zadarłszy z krakowskim żupanem, nie miał po co wracać, zwłaszcza że uciekłszy bez zezwolenia z Lubuszy, naraził się także kniaziewi i niezawodnie w drużynie zostanie.

Zgodzili się tedy, pod warunkiem, że póki w drużynie będą przebywać, praw dotrzymają, a Dzik zaraz nalegać począł o wyprawę. Śmiał się z tej gorliwości Björnsen i inni tłumacząc, że na zimę po burzliwym morzu zapuszczać się niebezpiecznie, bo flota łącznie może być rozegnana i w rozproszeniu wyginać. Dzik dał się w końcu przekonać, uzyskawszy jednak uroczyste zapewnienie, że wiosną, gdy jeno ustali się pogoda, ruszą bezzwłocznie, poczyniwszy przez zimę stosowne przygotowania, z tym jedynie zastrzeżeniem by wróżba pomyślną była.

Uśmiechnął się na to Biezdoch pod wąsem, gdyż był obecny, jak Zbrozło wiedźmie, której porady zasięgano zawsze przed wyprawą, dokładnie zapowiedział, co ma wywróżyć.

Kręcili się tedy po obozie, a gdy dżdżysta i wietrzna pogoda nie pozwalała na strzelanie z łuku, przypytał się Dzik do pracowni, w których poprawiano stare, i budowano nowe łodzie. Budził podziw nowych towarzyszy dźwigając sam tramy i belki, których najsilniejszy z nich z miejsca nie mógł poruszyć. Gorliwie też wraz z Tarłą wzięli się do toporów, wykazując jednak w robocie więcej siły niż zręczności, tak że ich w końcu od niej odegnano.

Na trzeci dzień wybrali się tedy do miasta, by poczynić zakupy, a przy sposobności odwiedzić Czecha, gdy przybieżał za nimi Biezdoch z wieścią, że przyjechali posły od Wichmana i starszyzna radzi z nimi.

Zawrócili tedy ku obozowi. Po drodze Biezdoch pouczał Dzika, jak się ma wziąć do rzeczy, by poselstwo Wichmana udaremnić, Dzik zaś kiwał głową ze zrozumieniem i uśmiechnął się, rad z rozrywki w nudzie oczekiwania.

Zmagając się chwilami z porywistym wiatrem, który zacinał z północy, miotając na przemian lodowe krupy i deszcz, doszli do obozu i przeszedłszy bramę w częstokole, zmierzali do obszernego budynku, stojącego pośrodku dziedzińca, na którym starszyzna z drużyną na wiece zbierać się zwykła była.

Ogromna świetlica ze stojącymi w podkowę stołami była prawie pusta, jeno w jednym jej krańcu ogień płonął na kominie, oświetlając w mrocznawej głębi gromadkę ludzi, do której skierował się Dzik wraz z Biezdochem, Tarłę odesławszy do gospody.

Gdy nadchodzili, oczy obecnych zwróciły się ku nim, a Björnsen zagadnął.

- Macie co do mnie? To poczekajcie, aż poselstwo załatwimy.

- Nie szkodzi, poczekam - rzekł Dzik. - Rad posłucham, z czym przyjechali.

Björnsenowi oczy błysnęły, lecz spokojnie odparł:

- Nie do was poselstwo i nie zrozumiecie, bo po niemiecku mówimy.

- Toteż sobie Biezdocha przyprowadziłem, by mi powiedział, o czym mowa.

Gniew wzbierał widocznie w Björnsenie i jakby podejrzenie mignęło w wyblakłych oczach, lecz spokojnie rzekł:

- Póki tu jesteście, praw służyć musicie. Co starszyzna uradzi, tego nie zatai przed drużyną, ale do rady nie należycie i nic wam do tego, o czym radzimy.

Starszyzna siedziała milcząco, lecz twarze ich zmierzchły. Redarowie między sobą szeptać poczęli, przybyły zaś z nimi, olbrzymiego wzrostu i ogromnej tuszy, ryży Niemiec szybko jął coś prawić do Björnsena, gdy Dzik przerwał:

- Nikomu w obozie nie tajno, z czym przyjechali, a żeśmy wyprawę na Nowogród z wami umówili, obchodzi mnie. By mi słowa dotrzymano.

- Na Nowogród może iść wyprawa jedna, a druga gdzie indziej.

Parę łodzi i kilkunastu pachołków bez waszej pomocy zebrać mogę. Miała być wyprawa jak się patrzy i tak było rozumiane, a chce mnie kto oszukać, to się łącno może językiem udławić.

Björnsenowi błysnęły białe zęby spod wąsów, lecz zimno odrzekł:

- Umowę możemy rozwiązać, dziwne mi jeno, że was tak ta druga wyprawa obchodzi. Miejcie się na baczności!

- Owa! - rzekł Dzik lekceważąco. - A obchodzi mnie, bo widzę tu tego wieprza, co przy Wichmanie w Merseburgu się wieszał. Róbcie sobie z nim przymierze albo nie, ale wam zapowiadam, że Wichmanowi łeb rozbiję, jak go spotkam.

Nazwany wieprzem Niemiec zerwał się na równe nogi i gdy go inni powstrzymywali, krzycheć zaczął łypiąc małymi oczkami wściekle na Dzika, który patrzył na niego jak łasica na królika, po czym zapytał Biezdocha:

- Co on szczeka?

- Powiada, że Wichmana nie ujrzycie, bo sam wam kości połamię, ino z obozu wyjdziecie. A na Wichmana takich trzech, jak wy, mało.

Dzik zaśmiał się zadowolony:

- Powiedz mu, że czekam przy bramie. Dobrze, że trafia się zabawa, bo nudno.

Dosyć! - rzekł BjörnSEN. - Wiemy już, czego chcecie, a wy dowiedziecie się, czego my chcemy. Za obozem róbcie, co się wam podoba.

Biezdoch wstał i pociągnął Dzika, który drwiąco skinął ręką Niemcowi i wyszedł.

Po wyjściu Dzika z Biezdochem chwilę panowało milczenie, aż BjörnSEN odezwał się:

- Wyprawa stoi, a kiedy, to wam powiem, gdy wróżby zasięgniemy.

Zwracając się zaś do Niemca, dodał:

- Radzę wam zaniechać tego osiłka. Wichman może być spokojny, że go gdzie indziej wyślemy.

Niemiec zachnął się i odparł:

- Sami potrafimy dbać o siebie, za radę dziękuję. Oduczę tego psa na rycerzy szczekać.

Posłowie wstali i pożegnawszy się wyszli. Gdy drzwi zamknęły się za nimi, BjörnSEN rzekł drwiąco:

- Żałuję, że nie będę przy tym, jak wieprz będzie psa oduczał szczekać. Znam się na ludziach i zgadnąć mogę, kto kogo uczył będzie.

- Głupstwo! - rzekł stary Olsen. - Ale co myślicie o Dziku?

- Właśnie o nim myślę. Nie wygląda na chytrego ani na zdrajcę. Mógł się w końcu od kogoś w obozie dowiedzieć, z czym poselstwo przyjechało, ale widocznie do wyprawy nie chciał dopuścić. Szkoda by mi go było, bo takich ludzi nam trzeba.

- Zuchwały jest i niekarny - rzekł jeden z młodszych wodzów.

- Zuchwałych potrzebujemy, a do karności może nawyknąć.

- Tak czy inaczej, na oku musimy go mieć, a naprzód sprawdzić, od kogo się o zamysłach poselstwa Redarów dowiedział.

- Biezdocha śledzić trzeba; ten na chytrego wygląda.

- Biezdoch już z nami jeździł: Może ten młody coś chytry, cichy jest, a na obrotnego wygląda i nie wiemy o nim nic.

- Wszystkich trzeba pilnować, póki się nie przekonamy. Wam ich powierzam - rzekł BjörnSEN do najmłodszego w zebraniu, niepokaźnego człowieka. - Dajcie mi znać, jak się skończy sprawa między psem a wieprzem - dodał ze złośliwym uśmiechem.

Dzik tymczasem, wyszedłszy z zebrania, wysłał Biezdocha po Tarłę, a sam wolnym krokiem szedł ku wschodniej bramie obozu. Za bramą usiadł na stosie belek i czekał.

Ludzi kręciło się dużo, przeważnie przed nocą wracających do warowni. Dzień miał się ku schyłkowi, zapowiadała się pogoda. Wiatr ustał, a choć jeszcze mżył deszczyk, na północnym zachodzie czerwieniło się pasmo pogodnego nieba i szło na przymrozek. Kałuże na drodze, powstałe po kilkudniowym deszczu, odbijały blask zachodu i Dzik wpatrywał się w nie bezmyślnie, rzucając od czasu do czasu wiórami i czekając na swoich.

Nadeszli wreszcie Biezdoch z Tarłą i Biezdoch rzekł:

- Uważajcie, już idą. Dać wam broń?

- Nie potrzeba. Patrzcie ino, by się inni na mnie z tyłu nie rzucili. Siedźcie cicho, póki z jednym sprawa. A ruszy się kto drugi, to prac.

Słysząc już było zza bramy głosy nadchodzących. Dzik wstał i patrząc pod nogi, iść począł naprzeciw. W samej bramie zderzył się z wychodzącym Niemcem i odsunawszy go na bok, udawał, że chce wejść. Niemiec poznał go i odwróciwszy się, coś krzyknął. Dzik stanął i patrzył na rozłoszczonego z niewinnym uśmiechem. Kilku Jomsborczyków siedzących na bramie zaśmiało się, a jeden po słowiańsku zapytał Dzika:

- Rozumiecie, co mówi?

- Nie - odparł Dzik.

- Mówi, że kija nie ma przy sobie, a miecza na psa szkoda.

- Powiedzcie mu, że na wieprza i kija nie potrzeba.

Niemiec widocznie zrozumiał bez powtarzania, gdyż łypnąwszy wściekle oczkami, sięgnął do pasa. Nie zdążył jednak go odkręcić, gdy Dzik pchnął go i ogromne cielsko chlapnęło w kałużę, aż woda bryzgnęła na wszystkie strony.

Śmiechy zbójców rozległy się od bramy, a okrzyki od Redarów, Niemiec zaś, zerwawszy się z szybkością niespodzianą w tak otyłym człowieku, wyjął nóż zza pasa i na Dzika skoczył.

Dzik błyskawicznym ruchem uchylił się i chwyciwszy go za rękę, skrzywił ją, wydarł nóż, a pacnąwszy Niemca otwartą dłońią w czoło, na pół ogłuszonego znowu posadził w kałużę, mówiąc:

- W błocie wieprzowi najlepiej.

Tymczasem przeciwnik niezdarnie już zbierał się wstawać, lecz Dzik, stanąwszy nad nim, rzekł:

- Mówiłem, że ci tu najlepiej. Będziesz nocował w błocie.

Niemiec siadł z powrotem do kałuży, ogłupiały, lecz jeden z Redarów, przyskoczywszy, krzyknął:

- Odstąp, bo miecza posmakujesz!

I wydobywszy miecz, zamierzył się na Dzika. Inni też sięgnęli do broni, co widząc Biezdoch i Tarło wstali, gotując się do bitki.

Dzik stał przez chwilę patrząc dziwnym wzrokiem na rosnącego Redara. Nagle skoczył i nim kto spostrzegł, głowa Redara, ścięta jego własnym mieczem, potoczyła się na drogę, a ciało, trzępiąc kończynami, legło u stóp Dzika.

Na bramie rozległy się okrzyki i w tej chwili ustały, gdyż na drodze zakotłowało się i nim patrzący zdążyli spostrzec, co się dzieje, Dzik z towarzyszymi stali już spokojnie na drodze, a pięciu Redarów leżało bezwładnie, prawie jeden na drugim.

- Co będzie, to będzie - mruknął Biezdoch. - Dorznicie jeszcze i Niemca, to kłótnie powstaną o wymordowanie poselstwa.

- Rznij go sam, nie będę się paprał - rzekł Dzik niechętnie.

Biezdoch bez słowa pochylił się nad siedzącym wciąż w błocie i Niemiec przewalił się pomału w tył nie wydawszy głosu a nogi zaczęły kopać z pluskiem kałużę, lecz zaraz się uspokoił.

Teraz lepiej chodźmy do miasta - rzekł Dzik Wypić by się zdało po bitce.

I lepiej nie być przy ulu, gdy poruszyło się pszczoły - dodał Biezdoch nasłuchując coraz to większego gwaru, zbliżającego się do bramy.

Odwrócili się i w zapadającym mroku bez pośpiechu odeszli.

- Idźcie do Czecha, zaraz tam przyjdę, jeno u wiedźmy zostawię dla Zbrozły wiadomość, co zaszło. A nie pijcie za wiele, bo nie wiadomo, co będzie.

Biezdoch, wysunąwszy się naprzód, zniknął w mroku.

Dzik szedł uśmiechając się do siebie, a po chwili odezwał się:

- Jak się teraz Jomsborczyki z Redarami pokłócą, może mi Zbrozło pozwoli powrócić do Sofii.

- Po prawdzie, to tu Biezdoch wystarczy do takiej roboty. Żeby Niemca nie zarznął, nie pokłóciliby się, boby świadek został, jak było.

- Będzie się pewnie BjörnSEN ciskał - rzekł Dzik.

- Sądzę, że nie, bo mu widocznie na was zależy.

- No, myślę! - powiedział Dzik i pogładził z zadowoleniem brodę. Ciekawym, czy też znajdzie się taki, co mnie da rady.

- Czyja wiem - rzekł Tarło zadumany. - Musi, ktoś was kiedyś ubije, kiedy tak wiedźma wróżyła.

- Chyba z tyłu - odparł Dzik. - Od czasu jak mnie Szmatka przez łeb zdzielił, nie lubię, jak mi w bitce nikt pleców nie chroni.

- Jak ino będziemy razem, zawsze wam będę pleców strzegł - zapewnił Tarło.

- No, pamiętaj! Zresztą ubiją mnie, to i ciebie, bo tak nam przepowiedziała starucha, to musisz, choćbyś nie chciał.

Tu Dzik zaśmiał się i krzyknął uradowany:

- Wszystko jedno, co będzie, ale wypijemy dziś, ile strzyma!

* * *

Popili istotnie zdrowo i słońce stało już wysoko na pogodnym niebie, gdy Dzik obudził się. Skrobał się właśnie po ociężałej trochę głowie, namyślając się, co z dniem począć, gdy, Biezdoch, poruszony wszedł i oznajmił, że przybył Björnsen i chce Dzika widzieć.

Tarło, podniecony, wyskoczył z łóżka, w którym dolegiwał reszty snu, i zapytał:

- Co myślicie robić?

- A co? Ubiorę się i pośniadam, a potem pomyślimy.

- Ale co z Björnsenem?

Dzik obojętnie wzruszył ramionami, lecz Biezdoch rzekł:

- Rozmówić się z nim trzeba i czekać mu nie dajcie. Sam przyszedł widno nic nie knuje.

- A niech se knuje. Nie mam dziś głowy się trapić.

Zebrał się jednak i wyszedł na podsień, gdzie oczekiwał Björnsen. Powitał Dzika skinieniem i obojętnie rzekł:

- wyrznięliście całe poselstwo. Co myślicie robić dalej?

- Bo ja wiem - rzekł Dzik siadając.

- Zostajecie z nami czy wracacie?

Tu Biezdoch, bojąc się, by się Dzik nie wygadał, wtrącił:

- Dotrzymacie umowy o wyprawę, to zostaniemy.

Björnsen łypnął na niego spod oka i zwracając się do Dzika rzekł:

- Wichman też do drużyny naszej należy i wiecie, że wedle prawa jeśli macie z nim zatarg, mnie

winniście go przedstawić. O co wam poszło?

Dzik zaśmiał się i odparł:

- A bo on mnie ubić obiecał, a ja jego. Jakoże sądzicie, kto kogo ma ubić?

- Pytam o przyczynę - rzekł Björnsen niecierpliwie.

- A tak, z dobrej woli - odpowiedział Dzik.

Björnsen zmarszczył się, lecz oświadczył spokojnie:

- Nie chcecie powiedzieć, co było przed wstąpieniem do drużyny, wasza rzecz. Lecz wam zapowiadam, że gdyby tu Wichman przyjechał, a wszczęlibyście z nim zwadę, potrafię was ukarać.

Dzik wzruszył ramionami, lecz odparł:

- A jego też, gdyby on zaczął? Ja tam spokojny jestem, niech mnie ino nikt nie drażni. Nie zrobię mu nic, póki u was jestem!

Björnsen zaśmiał się:

- Iście, jak widziałem, spokojny z was człek. Ale poselstwo wyróżniliście, a ja kłopot mam. Tłumaczyć i łagodzić muszę, bo z Redarami nie chcę wojny. Zresztą wyprawę z nimi i tak odłożę, bo wiedźma odradzała, to nieprędko się zobaczycie.

- Mogę poczekać - rzekł Dzik.

Björnsen, wstając, uśmiechnął się.

- Widzę, że i cierpliwy z was człowiek. Wracajcie teraz do obozu. Wdrożyć się musicie do naszego życia, jeśli razem mamy wojować.

Skinął głową i odszedł.

Po odejściu Björnsena Biezdoch odezwał się:

- Skąd Björnsen wiedział, gdzie jesteśmy? Mają nas widocznie na oku.

- Co nam zrobią? A rad bym z nimi po morzu pływać. Zawdy coś nowego zobaczymy.

- Mnie tam nie nowina. Ale poczekamy, co powie Zbrozło. No, mamy iść, to chodźmy.

Zbierać się poczęli i nim słońce stanęło na południu, Dzik wkraczał do obozu z Tarłą i Biezdochem, witany pełnymi podziwu spojrzeniami nowych towarzyszy, zadowolony z wrażenia, jakie uczynił.

Wybieg Dobrawki

Zima nastąpiła wczesna i z nadejściem mrozów Mieszko z Dobrawką i dworem opuścili kamienny zamek lednicki, gdzie ziąb panował dotkliwy. Gdy zaś stary gródek gnieźnieński nie mógł pomieścić licznych już obecnie dworu, pozostali w Poznaniu, w nowym dworcu, który wygodnie dawał pomieszczenie.

Mieszko zaraz po ślubie słabować jakoś począł. Niecierpliwiło go to, gdyż nie znał dotychczas, co to choroba lub znużenie, i słabość przemóc usiłował jeżdżąc na łowy i objazdy.

Szczerzył jednak i schudł, aż wreszcie zaniepokojona Dobrawka nakłonić go zdołała, by więcej uważał na się i do pozostania w łóżku zmusiła. Gdy jednak raz legł, zachorzał na dobre, a choć sama choroba prędko się przesiliła, przecież słaby był widocznie, gdyż już się z łóżka nie wyrwał.

Dobrawka, zrazu zmartwiona, błogosławiła potem chorobę, gdyż przebywając teraz jak najwięcej z Mieszkiem, wpływ na niego zyskiwała coraz wyraźniej. Mieszko zaś polubił jej towarzystwo, wdzięczny był za serdeczną troskliwość i zaczynał nabierać zaufania do jej rozumu i doświadczenia. Coraz częściej mówił z nią o sprawach, o których nigdy nie byłby przypuścił, że z niewiastą mówić będzie.

W jednym tylko zaciął się, gdy o chrzcie napomykała. Nie odpowiadał lub skręcał rozmowę, a nawet nic nie pozwolił zmienić w pogańskich obyczajach na dworze, jakby niechęć jakąś czuł, że wbrew sercu do chrztu zmuszony być może. Nawet na Boże Narodzenie ani postu w Wigilię przestrzegać, ani Dobrawce do Gniezna na nabożeństwo nie pozwolił jechać, mimo zaproszenia Jordana.

Dobrawka trapiła się, a Bohowit cierpliwość doradzał i niesprzeciwianie się, gdyż znając ludzi spostrzegł, że Mieszko gwałtu ni nalegań nie zniesie i zaciąć się może.

Jordan natomiast, urażony i bliski zniechęcenia, po świętach sam przyjechał pod pozorem złożenia życzeń księstwu przy Nowym Roku, w rzeczy samej zaś, by poznać, czemu jakby cofanie się Mieszka od już powziętego postanowienia przypisać.

Mieszko przyjął go chętnie, choć zrazu u wstępu na złożone życzenia odparł, iż u Słowian nowy rok zaczyna się z wiosną, a nie w zimie. O sprawy Jordana mało co pytał, a do rozmowy o terminie chrztu swego i kraju nawet nie dopuścił.

Jordan wyszedł od księcia rozgoryczony i w tym nastroju udał się z kolei do Dobrawki. Choć księżna przyjęła go mile i z wielkim szacunkiem, gorycz miał w ustach, gdy po powitaniu skarżył się:

- Nadzieję żywiłem, pani, że w osobie waszej pomoc w dziele moim zyskam, zawodu jednak doznałem. Właśnie jakby od ślubu z wami kniaź wyraźnie sprawie nawrócenia kraju bardziej niechętny. Nie żalę się, że pracę moją lekceważy, bo jedynie mnie boleć to może i za grzechy swoje to przyjmuję. Ale kraj, który już woli kniazia poddać się był gotowy - przez zapowiedź chrztu, przepędzenie kapłanów i oddanie nam świątyń - teraz znów przez zwłokę zachętę znajduje do oporu. Zdarzają się wypadki, że i dobrowolnie ochrzczeni odwracają się od nas, a nawet jednego z moich kapłanów wygnali z zajętej od roku świątyni, bałwana dawnego tam wprowadzając.

Dobrawka westchnęła:

- Wierzcie mi, ojczy, że jeśli przeżyłam tu gorzkie godziny, to z tego samego powodu. I żadnym sposobem pan nasz wpływać nie da na swoje zamiary, gdyż i wspomnieć nie pozwala o tym.

- Wybaczcie, pani, że mówić będę, jak mi każe obowiązek. Ja przed Ojcem Świętym za misję w tym kraju jestem odpowiedzialny, dlatego pomocy i posłuszeństwa od wszystkich dzieci Kościoła mam prawo wymagać.

Dobrawka skłoniła głowę i rzekła:

- I ode mnie możecie go oczekiwać, bylem wiedziała, co działać.

- Co mnie poczynać, sam Boga o natchnienie proszę. Ale pozwólcie, pani, zaprzeczyć sobie, bym u was znalazł pomoc i posłuszeństwo.

Dobrawka spojrzała z niespokojnym zdumieniem. Zaś Jordan ciągnął:

- Książ przyrzekł wam, że - chrztu dopełni.

- Iście tak, ale cóż robić mam, by dotrzymał przyrzeczenia, tym bardziej że nie mówił, kiedy to nastąpi - przerwała Dobrawka.

- Co teraz robić, sam nie wiem. Ale przedtem wiedzieliście i wy. Kościół związek wasz wyraźnie pod warunkiem chrztu pobłogosławił. Trzeba było go nie spełnionym zostawić, a książ musiałby się nagiąć. A choćby i dziś, miał wy pana do nakazów Kościoła nakłaniać, wołę męża nad przepisy Kościoła stawiając, postów nie dotrzymujecie i nie święcicie dni świętych, nawet największego z nich dnia Urodzenia Pańskiego.

Głęboki rumieniec oblał oblicze Dobrawki, gdy z przykrością, ale dumnie odrzekła:

- Co osoby mojej dotyczy, mnie ostawcie. Spokojna jestem w sumieniu swoim, nad którym pieczę ojcu Bohowitowi poruczyłam, a który ustępliwość radzi i cierpliwość.

- Ustępliwość i cierpliwość często znamionami słabości są jeno, a siłę wykazać trzeba, gdy walczyć przychodzi. Wasza ni moja osoba nie do nas należą, więc nie żywcie gniewu, pani, za to, co powiedziałem. Pomocy od was czekam, choćbym za nią życzliwością waszą miał zapłacić.

Dobrawka żywo rękę Jordana ujęła i ucałowała:

- Pokorę jeno, nie gniew czuję - rzekła. - Nad tym, co mówicie, naradzę się z ojcem Bohowitem. Może Bóg natchnie mnie, iż pana zdołam przekonać.

- Wierzę w to i Bogu was polecam - tymi słowy Jordan księżnę pożegnał.

Po wyjściu Jordana Dobrawka usiadła zadumana. Po chwili klasnęła w dłonie, a gdy zjawiała się służebna, Bohowita prosić poleciła i czekając modliła się ustami, gdy myśl pracowała z natężeniem

nad sposobem, jakim by Mieszka do chrztu nakłonić zdołała. Widocznie powzięła już plan jakiś, gdyż wstała i po komnacie niecierpliwie chodzić zaczęła, gdy rozległo się pukanie i ksiądz Bohowit wszedł. Dobrawka żywo zwróciła się ku niemu, zapominając nawet prosić, by usiadł, i bez wstępu zapytała:

- Mówiliście, ojcze, że grzechy, jakie popełnię, by do męża się zbliżyć i dla sprawy nawrócenia go pozyskać, weźmiecie na swoje sumienie. Czy i kłamstwo też?

- Nie wiem, o czym myślicie, pani. Kłamstwo może być i zbrodnią, a często bywa jedyną bronią słabych.

- Znacie mnie, że dla siebie tego grzechu bym nie popełniła. Jeżeli komu kłamstwo moje zaszkodzić może, to mnie jedynie.

- Wierzę wam, pani, i sumienie wasze odciążę. Ale niepokoi mnie, iż mówicie, że zaszkodzić wam może. Dlatego wiedzieć chciałbym, co zamierzacie.

- Ojciec Jordan gorzkie mi czynił wymówki za cierpliwość i bezczynność, w sprawie nawrócenia pana mojego. Słusznie prawi, że zwłoka sprawę nawrócenia cofać zaczyna. Muszę tedy sprawę przyspieszyć, a was jeno o to proszę, byście się modlili, aby kłamstwo moje w prawdę się obróciło.

Bohowit usiadł i zadumał się. Po chwili uśmiech zjawił się na jego pomarszczonej twarzy i rzekł:

- Może was Bóg natchnął. Czyńcie, pani, co zamierzaliście, a ja modlić się będę, by pobożny wasz zamiar nie chybił.

- Dziękuję wam ojcze, i wybaczcie, że was pożegnam. Co ma być, niech będzie zaraz. Pójdę męża odwiedzić, nim na spoczynek się uda. Gdybyście jeszcze przed nocą zająć do mnie raczyli, pewno wam więcej powiedzieć będę mogła.

Pożegnała się z Bohowitem i wysłała służebną do Mieszka z zapytaniem, czy odwiedzić go może, a tymczasem przybierała się, niepokój tłumiąc modlitwą.

Mieszko do zdrowia już przyszedł, lecz siły odzyskiwał pomału. W dziennych godzinach zajmował się sprawami państwa, przyjmował i wysyłał poselstwa i gońców, z zapadnięciem zmroku jednak, przesiadywał w swych komnatach i chętnie wówczas widział Dobrawkę, posyłając nieraz po nią gdy zajęta odwiedzaniem chorych i opieką nad ubogimi długo nie nadchodziła.

I dziś, jak zazwyczaj, siedział w ciepłe buzującego na kominie ognia i właśnie zamierzał posłać po księżnę, gdy służebna nadeszła z zapytaniem, czy przyjąć żonę zechce. Prosić kazał niezwłocznie i powitał żartobliwie mówiąc:

- Widzę, że dziś pierwszeństwo otrzymałem przed ubogimi waszymi.

Dobrawka z uśmiechem odparła:

- Zanim stąd wyjdę, odpowiem, czemu wcześniej niż zazwyczaj niepokoić was przyszedłam, tymczasem

o zdrowiu waszym chciałabym się dowiedzieć.

- Wraca, wraca. Jeny dnia cieplejszego czekam, by wyparzyć się w łaźni, a potem w las, na łowy. I w kraju czas się pokazać. Mściwoja też, najwierniejszego ze sług moich, chciałbym odwiedzić, który już dla wieku i zdrowia z gródka swego się nie rusza. Chciałbym go ujrzyć jeszcze, a słaby ma być już bardzo. Onże to pierwszy wojaczki mnie uczył, a jego rodzic mojego. Pamiętam, jak Ścibor pięściami mnie tłukł ze złości, że mnie już na wyprawę jechać dozwolono, gdy on w domu pozostać jeszcze musiał.

Patrzył w ogień, uśmiechając się do wspomnień.

- Wielką pociechę wiara nasza daje obiecując za grobem spotkać tych, których kochamy - rzekła Dobrawka.

- Mściwoja tam nie spotkam - rzekł Mieszko z pewną niechęcią. - Poganin jest, jako to wy mówicie, i takim umrze.

Dobrawka stłumiła westchnienie i odwracając rozmowę, rzekła:

- Kupce dziś z Danii przyjechali: Mówią, że Harald ochrzcił się wraz z drużyną i możnymi.

Słyszałem już o tym. Miał wrogów u obcych, teraz będzie miał w kraju.

- Koronę królewską otrzymał i pokój od cesarza. Swoi się pogniewają i przejednávają, a powaga i świętość korony zostanie. Co innego władza oparta na sile, a co innego na powadze Kościoła i cesarza. Korona zostanie dziedzicom po najdalsze wieki. Im starsza, tym więcej powagi i czci dodaje, uświęconą osobę, z króla choćby dzieckiem był, czyniąc i pod przemożną opiekę Kościoła go oddając.

Mieszko słuchał uważnie, lecz niechętnie. Czuł słuszność słów Dobrawki, a dumę jego drażniło, że mniejsi i słabsi zyskają krok przed nim przez osiągnięcie godności poganinowi niedostępnej. Nazwano go przyjacielem cesarza, bo silny jest i liczyć się z nim muszą, ale czuł, że to czcze słowo nie uchroni go przed grabieżą kraju, gdyby osłabł.

Oto słyszy już pierwsze ostrzeżenie zbliżającej się starości, a dziedzica, który by do sił doszedł, nim on je utraci, jeszcze nie widać. Zasepił się i powiedział:

- Widzę ja, żeście tu dziś z zamiarem przyszli do chrztu mnie namawiać. Mówiłem już, że sam wrócę do sprawy gdy uznam, że pora.

- Nie ważyłabym się wbrew woli waszej jej poruszać - rzekła Dobrawka pobladłszy - gdyby nie to, że nie swoim dziś mówię imieniem, jeno dziedzica waszego, który przez usta moje się domaga, by jako chrześcijański ksiądz na świat przyszedł.

Mieszko uczynił ruch jakby zerwać się chciał z miejsca, lecz opanował się i spokojnym, choć wzruszonym głosem zapytał:

- A skąd pewność, że to będzie dziedzic?

- Śnił mi się chrobry i wielki, w koronie złotej. Ja w to wierzę.

Na poważnym obliczu Mieszka odbiła się walka wewnętrzna. Stał jeszcze niepewnie, gdy zapukano do drzwi.

- Wejść! - zawołał Mieszko niechętnie.

Wszedł pacholik i rzekł:

- Mszczuj Mściwojów przyjechał i pilnie widzieć was prosi.

- Niech wejdzie - rozkazał Mieszko.

Przeczuł, z czym Mszczuj przychodzi i świadomość jakiejś wyższej nad nim siły, usuwającej w takiej chwili przeszkodę, jaką w chrzcie swego kraju uczynił przyrzeczeniem danym wiernemu towarzyszowi, zjeżyła mu włosy na głowie.

Wszedł okazały, poważny mąż ze smutkiem wypisanym na twarzy i pokłoniwszy się, czekał na zapytanie.

Mieszko, wskazując na niego, rzekł do Dobrawki:

- Ten, co syna naszego wojaczki uczył będzie.

A zwracając się do Mszczuja, zapytał:

- Mówcie, co z ojcem waszym?

- Nie dożył tej radości, której domyślać się pozwalacie. Wczoraj do ojców odszedł i chować się nie kazał, póki was choćby martwymi nie ujrzy oczyma. Dlatego, choć wiem, że zdrowie wasze nie całkiem jeszcze dobre, na pogrzeb pokornie prosić się ośmielam, by zadośćuczynić woli rodzica.

- Nie żałował wasz ojciec swego zdrowia dla nas, spełnię i ja jego życzenie, które i moim jest. Pojutrze przed wieczorem u was będziemy.

Zwracając się zaś do Dobrawki rzekł:

- Myślę, że i wy po raz ostatni weźmiecie udział w pogańskim obrzędzie, by służyć naszego wiernego pożegnać.

Miejsce moje przy was, a serce do druhów waszych należy. Ale pozwólcie mi odejść, panie, a i wy pewnie z gościem o zmarłym pomówić zechcecie.

Wyszła i idąc kruzgankiem, przystawała kilkakrotnie, by uspokoić bijące głośno serce.

W komnacie oczekiwał ksiądz Bohowit, niespokojny o wynik sprawy. Gdy weszła, wstał na jej spotkanie i widząc pobladłą twarz i wyraz znużenia w całej postaci, z niepokojem zapytał:

- Powiedzcie, co się stało?

Dobrawka opadła na zydel i zakrywszy twarz krajką szaty, czas jakiś zmagala się z łkaniem. Po chwili opanowała się i pokrótce opowiedziała Bohowitowi rozmowę swą z mężem i wieść przez Mszczyja przywiezioną oraz - jakie rzekomo znaczenie śmierć Mściwoja miała dla sprawy.

Bohowit wysłuchał uważnie, po czym rzekł:

- Bóg sprawi, że pobożne twe kłamstwo w prawdę się zamieni. Radować się winnaś i wierzyć.

- Radować się czas jeszcze - odrzekła słabym głosem Dobrawka. - Ale gdybym nie wierzyła, bałabym się żyć.

Przed chrztem - postrzyżyny

Mieszko, wyjechawszy wraz z Dobrawką oraz swoim i jej dworem i drużyną na pogrzeb Mściwoja, po oddaniu ostatniej czci staremu wodzowi, żonę odesłał z powrotem do Poznania, polecając jej - z Jordanem i duchownymi - czas chrztu swego, drużyny, dworu i okolicznych wielmożów określić, sam zaś, jak mówił, wyruszył na łowy, gdyż pogoda sprzyjała istotnie. Mróz ustalił się, choć niezbyt dotkliwy ścinał jednak rzeki i bagna, a częste ponowy zdradzały ślad zwierza.

Nieobecność Mieszka jednak przeciągała się i gdy z końcem lutego na przemian gwałtowne burze śnieżne i odwilże czas do łowów niestosownym uczyniły, a Mieszko nie wracał, Dobrawka zaczęła się niepokoić, tym bardziej że wiele spraw wymagało obecności księcia, a ogarniający ją z powodu pamiętnego kłamstwa niepokój wzrastał się z każdym dniem nieobecności męża.

Wreszcie z początkiem marca, w mroczne od śniegowych chmur popołudnie, ruch zapanował w podworcach i Dobrawce doniesiono, że pan powrócił. Prócz łowów musiał na czymś innym czas spędzać, gdyż obok pobitych żubrów, jeleni i dzików przywiózł w wozach powiązanych ludzi, których zaraz wtrącono do lochów.

Mieszko, jak stał, zaledwie coś przejadłszy, posłańców z różnych stron, czekających na jego przyjazd, jął przesłuchiwać i dopiero pod noc zapowiedział przybycie swe do Dobrawki.

Radość jej cmił niepokój, czy kłamstwo się nie wyda przed czasem, lecz poznać nic po sobie nie dała witając męża, którego ogorzała twarz i błyszczące oczy wskazywały, że siły odzyskał już w pełni, nie zmogło ich znużenie długiej wędrówki. Powitał ją serdecznie, obrzuciwszy badawczym spojrzeniem, pod którym zarumieniła się, lecz zaraz wypytywał o wynik rozmów z Jordanem, a usłyszawszy, że chrzest na Wielkanoc ustalono, rzekł:

- Im wcześniej, tym lepiej. Co ma być, niech będzie. Spokój na granicach spodziewam się w tym roku utrzymać, łatwiej przenieść, gdyby w kraju go nie było.

- Spodziewacie się oporu? - zapytała niespokojnie Dobrawka.

Mieszko zaśmiał się:

- Wielu chętnych do wojny ze mną nie znajdzie, a tych, dokoła których opór mógłby się skupić, dziś przywiozłem ze sobą. Ale wszystkiego nie przewidzi i wolny muszę być od innych trosk.

- Słyszałam, żeście więźniów przywieźli. Co za jedni są?

- Ci, co na zaślubiny nasze przybyć nie pospieszli.

Nie chcieli być gośćmi, będą więźniami.

- Nie chciałabym, aby z przyczyny naszych zaślubin krzywda kogoś spotkała.

- Nie o zaślubiny to chodzi. Nie przeciw osobie waszej wystąpić zamierzeli, lecz przeciw temu, czego z wami się spodziewają.

- Co z nimi będzie?

- Nie wiem jeszcze. Przejdzie chrzest spokojnie, to ich po ukaraniu wypuszczę. A podniesie się opór, to dadzą głowy.

Dobrawka westchnęła.

- To wielmoże! A lud?

Mieszko ramionami wzruszył i rzekł:

- Nam i potomstwu naszemu związek z Kościołem potrzebny, a ten przez chrzest co znaczniejszych w kraju i nasz własny uzyskamy. A po bagnach i górskich komyszach niech sobie kapłani choćby i lata nowych owieczek szukają. Wszakże i u was, w Czechach, kraj od dziesiątek lat ochrzczony, a lud po staremu dawnych czci bogów. Nie przepłaciłże życiem stryj wasz, Waclaw, że zbyt wiernie Kościołowi chciał służyć?

- Wyraz przykrości zjawił się na obliczu Dobrawki. Popelniona przez ojca na czele pogan zbrodnia królo - i bratobójstwa ołowiem ciążyła jej na wspomnieniach.

- Ale mówcie, panie - szepnęła.

- baccie, nie chciałem was zrazić, jeno powiedzieć, że nie spieszno mi zostać męczennikiem wiary, którą, prosto rzec, sam z musu przyjmuję i korzyści, a nie strat od niej czekam.

- Największa korzyść dla duszy waszej. Da Bóg, że ją przez łaskę chrztu poznacie.

- Chciałbym ufności waszej nie zawieść, jako i wy mojej nie zawiedliście - rzekł Mieszko poważnie i przygarnawszy Dobrawkę, ucałował ją w czoło.

Po wyjściu Mieszka Dobrawka rzuciła się na kolana, całą żarliwością wiary modląc się o spełnienie swej prośby największej. Czowała, że gdyby się kłamstwo wydało, całe dzieło nawrócenia nieobliczalnych szkód doznać może. Poczucie, że nie o własny jeno spokój i szczęście się modli, lecz o coś wiele wyższego, wzmogło jej żarliwość aż do ekstazy.

Jak długo modliła się, nie zdawała sobie sprawy, lecz wstała z niezłomną pewnością, że prośba jej wysłuchana zostanie.

Z pierwszym deszczem przedwiośnia zjechał niespodziewanie do Poznania Ścibor.

Księstwo przyjęli go radośnie, a gdy po uczcie powitalnej zasiedli wieczorem w Mieszkowej komnacie, ksiązę trochę zaniepokojony wypytywał, czy nagły przyjazd po rozmokłych drogach nie zwiastuje groźby jakiej.

- Spokojny bądź - rzekł Ścibor. - Niemcy między sobą jeszcze się waśnią o spadek po Geronie. Z Duńczykiem też spokój - niepokój. Gunter nam życzliwy. Tylko Hodo mógłby coś knuć, gdyby siłę miał. Wichmanowi zasię Zbrozło kłodę rzucił pod nogi.

- Jakoże było, opowiedz.

- Niech Zbrozło sam opowie, bo przyjechał ze mną. Kłoda iście ciężka - zaśmiał się - i znacie ją. Dzika napuścił na niego.

Mieszko polecił komornikowi Zbrozłą sprowadzić, po czym dalej wypytywał:

- Widzę, żeś pewny spokoju, skoroście obaj zjechali, a że czas zły do podróży, pewnie macie jaką przyczynę?

Juści, że mam. Swatek mój siedem lat skończył, a jeszcze nie postrzyżony i dziecinnym go wołamy imieniem. Czas by postrzyżyny odprawić. Przez to moje nieszczęście tak się ta sprawa odwlekła - dorzucił i twarz mu posmutniała przy ostatnich słowach.

- To Swatek z wami przyjechał? - zapytała żywo Dobrawka. - Przywiedźcie go do mnie. Bardzo mi przyległ do serca i zda mi się, że i on stryjnę miłuje.

- Niechybnie pokłonić się wam przyjdzie, kiedy każecie, i prosić będzie, byście mu matkę przy postrzyżynach zastąpić raczyli.

- Całym sercem, jak własnemu - rzekła wzruszona Dobrawka. - A teźże biednej nie odwiedzi, nim go świat zabierze? - zapytała.

- Jakże nie? - rzekł Ścibor. - Choć jeno sercu ból z tego, bo nie rozmówi się z nią. Zmuszać się trzeba, by jechać tam, gdzie dawniej serce ciągnęło.

Ścibor westchnął ciężko.

- A na piastuna kogożeś Swatkowi przeznaczył? - zapytał Mieszko.

- Niegdyś myślałem o Mścisławie, bo lubili się bardzo. No trudno, w ziemi już on. Zbrozłą mu ninie przeznaczyłem.

- Może by postrzyżyny z chrztem połączyć, toby i ojcem chrzestnym mógł zostać Swatkowi - rzekła Dobrawka.

Mieszko ze Ściborem spojrzeli po sobie, a Mieszko postanowił:

- Do chrztu sam go z wami trzymać będę, a Zbrozło po staremu niech piastunem zostanie.

Dobrawka, zauważywszy wymianę ich spojrzeń, rzekła:

- Pewnie sobie macie wiele do powiedzenia, a późno już. Pozwólcie, że was pożegnam. Swatka mi przysłać nie zapomnijcie - dodała zwracając się do Ścibora.

- Przeprowadzę go zaraz z rana, bo z południa do Koziego Rogu chcę ruszyć.

W drzwiach Dobrawka natknęła się na wchodzącego Zbrozłę, który z uszanowaniem odstąpił, przejście jej czyniąc z pokłonem. Oczy ich skrzyżowały się. Dobrawka drgnęła i przeżegnała się niewidocznie, gdyż lęk jakiś ją przeszedł. Lęk nie przed niebezpieczeństwem, lecz przed czymś nieznanym, czego mimo całej znajomości ludzi uświadomić sobie nie mogła, i niepokój o kwitnące, choć smutne dzieciństwo Swatka, którego ojciec powierzyć chce w te niesamowite ręce.

Spała źle i kilkakroć budziła się z męczących snów, w których w jakiś niepojęty sposób osoby Swatka i Zbrozły mieszały się ze sobą. Wstawszy rano czuła ból głowy i mdłości, które przeszły jednak wkrótce. Zmówiła poranne pacierze, gdy oznajmiono jej przyjście Ścibora ze Swatkiem, których zaraz prosić poleciła.

Swatek witał ją z widoczną, choć powściągliwą radością. Ugoszczony serdecznie, odpowiadał chętnie, choć z zastanowieniem, na zadawane mu pytania, po czym zajął się całkowicie oglądaniem książki, którą mu Dobrawka pokazała. Księżna zaś ze Ściborem wszczęła rozmowę, którą wkrótce skierowała na osobę Zbrozły, a wreszcie zapytała wprost:

- Nie straszno wam dziecko temu człowiekowi z niesamowitymi oczyma powierzyć?

Ścibor zamyślił się. Po chwili odparł:

- Juści, wolałbym go powierzyć wesołemu wojakowi, jakim był Mścisław, którego miłowali wszyscy. Jak się życie pocznie, tak i dalej idzie. Nie masz go już, a nie wiem, czy Swatek na wojaka się nada. Jako widzicie, książki go ciekawią, rad się uczyć wszystkiego, a od gwaru i hucznej drużyny stroni. Ze Zbrozłą zżyci są i nie znalazłbym dla Swatka mędrszego i pewniejszego piastuna.

- Jeno oczy ma takie okrutne. Bałabym się go. Jeśli Swatek nauki pragnie, zostawcie go przy mnie. Uczyć go będą kapłani jako i innych.

- Może później, gdy podrośnie i da się widzieć, do czego się ma sposobić. A Zbrozło, choć boją się go ludzie, dobry jest dla słabych i dla swoich. Ale wybaczcie, pani, że już żegnać was będziemy, bo czas ruszać dalej i konie już czekają.

- A zagładajcie do nas co najczęściej. Rada was zawsze widzę, a syn wasz, jak swój, mi bliski.

- Dzięki wam, pani - rzekł Ścibor żegnając bratową.

Za chwilę Dobrawka z okna widziała, jak w towarzystwie Zbrozły i dwóch pacholków ojciec z synem wyjeżdżali z podworca, żegnani przez dworzan i drużynników.

* * *

Wydostawszy się na gnieźnieński gościniec, rażno puścili konie i jechali w milczeniu. Piaszczysta, lecz nawilgła od deszczów droga pozwalała na szybki pochód, dzień, rankiem chmurny, rozjaśniał się i gdy późną nocą dotarli do Gniezna, wiosenne niebo, lśniło od gwiazd, a młody księżyc odbijał się w wodach Bielidła, gdy na Żuławy skręcali, by na nocleg stanąć w Ściborowym domostwie.

Ciemno jeszcze było, gdy zbierali się do dalszej drogi, i wstające ze stawów i łąk mgły dopiero

bieleć zaczynały, kiedy mijali groblę na Bielidle i ciągnąc na północ zanurzyli się w lasy. Gęsty tuman zakrywał świat, że na kilkanaście kroków nie można było pni odróżnić, lecz jechali szybko znanymi dobrze ścieżkami. Mgła opadała widocznie, siadając na szatach, i ziąb uczynił się przenikliwy, gdy jednak wyjechali na otwarte łąki, ujrzeli słońce, zrazu małe i zimne. Z każdą jednak chwilą jaśniało, mgły opadły ku ziemi i daleko jeszcze było do południa, gdy niebo zaśniło czystym błękitem, a podmuchy ciepłego, południowego wiatru spędziły resztę mgieł i marszczyć zaczęły kałuże i jeziora, zaledwie tu i owdzie przyciemnione przy brzegach kielkującą z mokrego podłoża roślinnością. Wszędzie roilo się od wodnego i błotnego ptactwa, nieznanych nieraz gatunków, które przelotem jeno widocznie zapadały. Swatek wypytywał Zbrozłę o zaciekawiające go sztuki.

Milczący i smutny nastrój, w jakim jechali, rozproszył się jak mgła w ciepłych promieniach wiosennego słońca i nawet Ściborowi zdało się, że jak dawniej z wyprawy wraca do swego domu, gdzie radość go czeka i wypoczynek. Z przyjemnością rozglądał się po dobrze znanej okolicy, niemal każdy krzak mając w oku i sercu wyryty.

Skręcali właśnie zza obłych pagórków w podszyty młodnik gdy niespodziewanie pod kopytami koni zachlupotała woda, gdzie sucho było ongiś. Ścibor zdziwił się. Podszycie skończyło się nagle i w miejscu łąk, ciągnących się dawniej długim pasem nad leśnym strumykiem, ujrzął obszerną płaszczyznę wodną, z której stada kaczek i gęsi zrywały się z hałasem i krzykiem.

Stał jeszcze zdziwiony, gdy Zbrozło rzekł krótko:

- Bobry.

Jakoż istotnie, w dniu dawnego strumyka widać było na krańcu wodnej płaszczyzny kilkanaście okrągłych kopczyków.- Spore żeremie zbudowały - zauważył Ścibor i zawrócił ku górze, by objechać nowe jezioro.

- Bogactwo to jest - rzucił Zbrozło.

- Cóż z tego - odparł, posmutniawszy, Ścibor. - Gdyby szczęście mieszkało w Kozim Rogu, nie byłyby się osiedliły, bo coraz tędy ktoś przejeżdżał. A ninie i ścieżki tu zarosły. Kto tam rad jedzie, gdzie mieszka nieszczęście.

Pomylił się jednak Ścibor, bo gdy o czerwonym zachodzie wychynęli z lasu i ujrzeli przed sobą zabudowania gródka i jezioro, właśnie orszak kilkunastu konnych wyjeżdżał z bramy i Zbrozło ze zdziwieniem rozpoznał na czele Szmatkę, choć trudno go było poznać.

Odmieniał go nie tylko bogaty strój. Wyrósł jakby, tęższy był, choć twarz mu pochudła. Czarny zarost okrywał szczękę, a w ruchach miast dawnej niespokojnej żywości miał opanowanie, które by dostojnym nazwać można, gdyby nie coś czającego się w całej jego postaci. Sięgnąwszy do kołpaka, oddał pokłon niski, lecz pełen godności.

Ścibor skinął mu głową i przejechał obojętnie, Zbrozło jednak wstrzymał konia i patrząc przenikliwie spod krzaczastych brwi, zapytał:

- A ciebie co tu sprowadza?

Szmatka nic nie dał poznać po sobie i obojętnie odparł:

- Do Poznania jadę na chrzest, jako i inni wielmoże. Z drogi się zbiłem nocą i tuśmy trafiwszy popaśli. W Poznaniu spotkamy się, to wam opowiem, czego będziecie ciekawi.

- Jedź - rzekł Zbrozło - byś znowu z drogi się nie zbił i nie trafił wcześniej, tam, gdzie i tak trafisz.

Szmatka pobladł, lecz wzruszył ramionami i minęli się, a Zbrozło za innymi wjechał do dworca. Wiedział, że Szmatka kłamie, a co knuje, dowiedzieć się postanowił.

Stary Dołęga, zgorzkniały do reszty, powitał ich milcząco w progu. Na zapytanie o nowiny odparł:

- Jedyna ważna, że pan przyjechali, czego dawno nie bywało. A reszta po staremu, jeno gości mieliśmy, jako widzieliście.

Ściborowi gardło ścisnęło się i stał milczący. Zbrozło jednak zapytał:

- A taże biedna nie uspokoiła się?

- Spokojna jest przecie, mało co i mówi. Przez dzień śpi, nocami jeno nad jeziorem siaduje, tylko słońce zajdzie. Szałasik jej tam pobudować kazałem i skórą wymościć, by nie mokła i nie marzła.

Głos się staremu załamał. Swatek patrzył na niego, walcząc ze łzami, a Ścibor zduszonym głosem zapytał:

- A ninie w domu jest, czy już poszła?

- Poszła już.

Ścibor, nic nie mówiąc, skierował się ku jezioru. Swatek z nim chciał iść, lecz Zbrozło go powstrzymał i weszli do izby. Dołęga zawołał o ogień i wieczerzę, a gdy pacholek naniecił ognia w kominie i wieczerzę podano, jedli w milczeniu oczekując powrotu Ścibora. Gdy jednak nie nadchodził, Zbrozło zapytał:

- Jakoże się to nieszczęście stało, powiedzcie!

Dołęga przez chwilę milczał, po czym westchnął ciężko:

- Wiecie, jako Mścislawa przywieźli i że wszyscy dla śmiechu Białkę z nim przódzi swatali. Chorzał dalej po waszym wyjeździe i widać było, że nie wyżyje. Jeno gdy ciepło było, wynosić się kazał nad wodę i wylegiwał w słońcu, a Białka wciąż z nim przesiadywała. Znosiła mu łakocie i zabawki piosenki mu śpiewała, a jak się dziecko zmęczyło, to, przytuliwszy się do niego, o bajki się napierała i gwarzył jej, choć go to męczyło, aż przy nim usypiała.

Tu przerwał stary, ręką po oczach pociągnął i opowiadał dalej:

- Ciepło już było i wieczory długie, a wszyscy takeśmy do tego ich obcowania nawykli, że się zdało, iż zawsze tak będzie. Mścisław też był spokojny, a nawet jakby mu się poprawiło. Aż jednego wieczoru jakoś się zabawiłem i za ciemna już idę na przystań, by ich do domu sprowadzić. Księżyc stał pełny na niebie i z dala widać, jak leżą na skórach do siebie przytuleni jak zwykle. Zbliżam się i widzę, że Mścisław oczy ma otwarte szeroko i lśnią w nich księżycowe iskierki. Zagadałem szeptem, by Białki nie zbudzić, bo spała spokojnie jako to dziecko, ale gdy nic się nie odezwał, pochylałam się i baczę czarną strużkę z kącika ust na szyję idącą. Dotknąłem twarzy: zimna już była.

Przerwał znowu stary i zapatrzył się w ogień. Słysząc jeno było syczenie płomienia.

- Białkę mu ledwie ze stężyłych rąk wysunąć potrafiłem, nie budząc jej, i zaraześmy go wynieśli i pogrzebali nazajutrz, jako przystało. Jej rzekłem, że wyjechał. Przyjęła to spokojnie i zaraz odparła, że sam mówił, iż odjedzie, ale wróci po księżycowej drodze. Ot, bajki dziecku prawił. Aż przyszła kupalna noc i poszli wszyscy ogniska palić, a nawet Dosza, choć smutna była po Mścisławowym zgonie, namówić się dała i patrzeć poszła, jak bawią się młodzi. Dzieci w domu zostały i spać się pokładły. Jenośmy wyszli, Białka pobiegła nad jezioro patrzeć, czy Mścisław nie nadjedzie po księżycowej drodze, co ściele się przez jezioro. Gdyśmy do domu wrócili, a Białki nie było, tknęło nas coś i pomknęliśmy ku przystani. Jako wiecie, kulawy jestem i nie nadażyłem Doszy, a nim dokuśtykałem, już Doszę nieprzytomną, a Białkę martwą na brzeg wyciągnęli parobcy. Widno Białka, gdy Mścisław nie przyszedł, sama po księżycowej drodze iść chciała ku niemu i utonęło dziecko.

Stary gmerał koło oczu i mruczał coś pod nosem, a Zbrozło zapatrzył się w ogień i zapanowało milczenie.

Ciężkie kroki rozległy się w sieni. Kopnięte drzwi rozwarły się i ukazał się Ścibor z Doszą. Zwisiała mu na ręku bezwładnie, twarz miała bladą, włosy w nieładzie, a półprzymknięte oczy patrzyły kędyś w inny świat. Posadził ją na ławie pod ścianą i chodząc począł szybkimi krokami po świetlicy. Stał wreszcie przed kominkiem i rzekł jakby sam do siebie:

- Darmo siły tracić i serce krwawić. Nie wróci do nas.

Zaległo ciężkie milczenie. Ścibor opadł na stołek i w ciszy słysząc było jeno głośny oddech jego potężnej piersi. Wreszcie ozwał się:

- Nie ma na co czekać, jedziemy.

- Zaczekajcie do rana. Swatek śpi pewnie. A tymczasem zostawcie mnie z Doszą samego. Spróbuję ją przywołać. I przyślijcie Swatka, niech czeka pobok w izbie - rzekł Zbrozło.

Ścibor ramionami wzruszył, lecz wyszedł, a za nim powlókł się Dołęga. Drzwi zamknęły się i Zbrozło z Doszą zostali sami. Posiedział chwilę, potem wstał i cicho podszedłszy do niej, gładził ją począł po głowie. Westchnęła jakby z ulgą, lecz oczy nie straciły błędnego wyrazu.

Zbrozło usiadł naprzeciw, wpatrując się w nią uporczywie. Poruszyła się niespokojnie, jakby jej widok jakiś zasłonił. Twarz nabrała barwy, lecz zjawił się na niej wyraz udręczenia. Nieruchome dotąd oczy zapląsały niespokojnie, a z piersi wydobył się zadyszany szept:

- Kto jesteś? Nie męcz mnie.

Zbrozło nie rzekł nic, lecz dalej wpijał swe oczy, a gdy pierś Doszy zachłysnęła się oddechem, by wydać okrzyk przerażenia, uchwycił ją nagle za rękę i rzekł cicho, lecz dobitnie:

- Przywożę ci wieści od Białki.

Dosza opadła na ławę skulona, oczy zamknęła i siedziała drżąc jakby z zimna. Pomału oczy otwały się i patrzyła na Zbrozłę, mrugając oczyma. Na twarzy odbił się wysiłek i po chwili szepnęła pytająco:

- Zbrozło?

- Jam ci to jest.

- Skądęście się wzięli u nas?

W głosie jej brzmiało takie zdziwienie, jakoby go w innym świecie spotkała.

- Przyjechałem z wieścią od Białki.

Dosza zerwać się chciała, lecz powstrzymał ją i mówił:

- Nie czekajcie jej nad jeziorem, tamta droga fałszywa. Cierpliwić się musicie, a ujrzycie ją. Swatek przyjechał was pożegnać przed podróżą daleką.

Dosza ujęła głowę rękoma i pasowała się z pamięcią. Nagle wstała i zawołała przeraźliwym głosem:

- Swatek!

Drzwi rozwarły się i Swatek, wpadłszy, na piersi matki się rzucił, a ona objęła go i tuląc do siebie, zanosić się zaczęła płaczem ogromnym. Zbrozło cofnął się i stanąwszy we drzwiach, patrzył.

Zwabieni krzykiem nadbiegli Ścibor z Dołęgą, lecz wstrzymał ich skinieniem podniesionej ręki i stali czekając.

Ogień przygasał na kominie i mrok ogarniać począł kąty izby, posuwając się coraz dalej. Z mroku dochodziły coraz cichsze i rzadsze szlochania. Wreszcie oddech Doszy uspokoił się. Weszli na palcach i zbliżyli się. Dosza spała ze Swatkiem w ramionach, który twarz miał skurczoną od hamowanego płaczu, lecz palec na ustach położył, by nie budzić Doszy.

Zbrozło łagodnie wziął go, matki nie budząc, szeptem kazał zanieść ją do łóża, sam wyszedł ze Swatkiem.

- Wypłacz się i ty - mówił do niego. - Dziś dzieckiem jeszcze jesteś, to nie wstyd. A gdy ci włosy postrzygą i od matki odejdiesz, już więcej płakać nie wolno, choćby się serce w tobie podrzeć miało.

Weszli do izby, gdzie posłania im przygotowano. Swatek wysunął się z ramion Zbrozły i stanąwszy przed nim, rzekł:

- Nie będę płakał. Żeby nie matuś, byłbym już postrzyżony. Chcę być taki jak wy.

- Nie wiesz ty, dziecko, czego chcesz - powiedział Zbrozło nieswoim głosem i rękę z miłością na głowie chłopca położył.

* * *

Postrzyżyn Swatka dokonano w najbliższym gronie, za radą Zbrozły, który nie mógł zaręczyć, czy odzyskana przez Doszę pamięć znów jej nie odejdzie.

Postrzygli go ojciec ze Zbrozłą i Dołęgą, po czym matka z płaczem przekazała chłopca ojcu, a ten z kolei piastunowi. Od piastuna na pamiątkę nóż otrzymał w pięknie zdobionej pochwie i imię Stoigniewa, ku pamięci słowiańskiego wodza, który nad cesarzem omal nie odniósł zwycięstwa, gdyby mu go chytróść Gerona wraz z życiem nie wydarła. Swatek był poważny i skupiony i na wyjeźdnym, żegnając się z matką, ni mrugnięciem oka nie okazał dziecięcego żalu, który pierś mu ugniatał, gdy z ulubionymi miejscami żegnać się przyszło.

Ścibor markocił się trochę, że Dobrawka krzywą będzie, iż proszona o zastąpienie matki bez zawiadomienia pominięta została. Lecz Zbrozło uspokoił go - za złe mieć nie może, że sama matka dziecko swe oddała, skoro szczęśliwie wróciły jej zmysły. Zabierać zaś jej do Poznania między ludzi nie radził, gdyż mimo odzyskania pamięci nie przestawała mówić o powrocie Białki i na wyjeźdnym jeszcze szukać jej przykazywała.

Chrzest

Ścibor pozostał kilka dni w Kozim Rogu, by Doszy z nagła nie pozbawić widoku najbliższych i wyczekać ustalenia poprawy w jej stanie. Zbrozło więc ze Swatkiem i jednym z miejscowych parobków wyjechali o świcie trzeciego dnia, żegnani u wrót przez rodziców i wszystkich grodowych, z Dołęgą na czele.

Ruszyli sporym kłusem w pogodny poranek, a już na trzeci dzień w południe przybyli do Poznania.

Zjazd na zapowiedziany chrzest już się był rozpoczął. Co jeno możliwego było między Polanami, zjechało na rozkaz księcia, by z nauk duchownych skorzystać, po czym przez chrzest przyjęcie do Kościoła uzyskać. Wielu także dawniej już ochrzczonych przybyło i kupcy, jako zwykle wędząc korzyści, gdzie tłumy co możniejszych się zebrały, pościągali ze wszystkich stron. Choć pozbijano szopy dla przyjezdnych, niejeden przecie pod namiotami i w szałasach obozował, co przy panującej z wczesną wiosną pięknej pogodzie nie było uciążliwe.

Jordan nieustannie niemal odbywał z księstwem narady nad samym przebiegiem uroczystości, która w Wielką Sobotę odbyć się miała, oraz nad podróżą, jaką wraz z księstwem miał przedsięwziąć, by jak najwięcej ludu siecią swą ogarnąć, korzystając z tego, że Mieszko, raz chrzest postanowiwszy, zabrał się do dzieła z właściwą sobie stanowczością i bezwzględnością.

Jordan z nóg niemal upadał od pracy i jeno zapął, podniecany bliskością zamierzonego celu, utrzymywał go przy siłach, a i księstwo oboje zajęci i utrudzeni byli niezmiernie.

Znaleźli jednak czas, by przyjąć Zbrozłę wraz ze Swatkiem, ninie już Stoigniewem.

Dobrawce uczyniło się przykro, gdy postrzyżonego Swatka zobaczyła, i choć Mieszko przychylnie już do Zbrozły ją usposobił, nie mogła się opędzić myśli, że człowiek ten zabiera jej chłopca, do którego od pierwszego wejrzenia ciągnęło ją serce. Serdecznie jednak i życzliwie rozpytywała o pobyt w Kozim Rogu i szczerze uradowała się w dobrym sercu wieścią o poprawie w zdrowiu Doszy.

Mieszko tymczasem ze Zbrozłą uradzali nad poselstwem do Rzymu, które zaraz po chrzcie Ojcu Świętemu wieść o tym przekazać miało wraz z darami oraz prośbą o przysłanie dalszych kapłanów, niezbędnych do obsadzenia nowo wzniesionych kościołów.

Dobrawka, zasłyszawszy o poselstwie, które miał Zbrozło powieść, zapytała:

- Skoro was tak długo nie będzie, chłopca przy nas zostawicie?

- Ze sobą go zabiorę, pani - odparł Zbrozło.

Swatek aż pokraśniał z radości, Dobrawka jednak, tając zawód, zapytała:

- Cóż chłopak tam robił będzie? Podróż daleka i trudna, kraj i ludzie obcy, nie lepiej by mu u nas było?

- Milej zapewne, bezpieczniej, ale nie lepiej. Nie dworakiem mu być z rodu, na wojaka jeszcze za

wcześniej i takich nie brak. A ludzi potrzeba, co by kraje znali obce i języki, by nas nie przedawali ci, co się lepiej zmówić potrafią.

- Wszakże mamy duchownych, co potrzebne języki i pismo znają, wystarczy tych dla służby takiej, o jakiej myślicie.

- Ale brak tych, co by rozumieli, co oni mówią, i przeczytać potrafili, co napiszą.

- Nieufny z was człowiek - cokolwiek sucho powiedziała Dobrawka, dotknięta w swym nabożnym szacunku dla duchowieństwa.

- I wyście, pani, nieufna, bo nie chcecie wierzyć, że wiernego i czujnego sługę wychować chcę waszemu synowi, by mu pracę pocztą przez ojców ułatwić - rzekł Zbrozło śmiało.

- Wybaczcie! - odezwała się księżna po chwili - o szczęściu chłopca myślałam.

- Szczęście? - wtrącił Zbrozło w zamyśleniu. - Niech sobie je sam buduje, gdy do rozumu dojdzie. Każdy je znajduje gdzie indziej, ale nie utrzyma nikt, jak nie utrzyma cienia, gdy słońce zajdzie.

- Dziwnie mówicie - odparła Dobrawka i pożegnawszy mężów wyszła wraz ze Swatkiem.

Po jej wyjściu książę powrócił do innych spraw:

- Był u mnie Szmatka, który wyszedł na wielmożę i Starze mu pono dziewczkę chcą dać ze swego rodu. Namawia, by monetę swoją bić. Mincerzy ma gotowych i w Krakowie stawić chce oficynę. Co o tym myślicie? - zapytał Zbrozłę.

- Rada dobra. Na Zachodzie każdy książę, ba, i biskupi biją swoją monetę. I sławy, i powagi, i bogactwa przybywa. A mincerzy czy z Czech, czy z Niemiec dostać można i Szmatka wam do tego niepotrzebny. Wielmoża on czy nie, zawsze siedzi w nim złodziejski pacholek. A żeby Starze jemu, przybłądzie, córkę chcieli dać, nie do wiary. Za kniaziów się przecie oni mają i po prawdzie pierwszy to ród, jeśli nie w całym waszym państwie, to między Wiślany.

- A jednak cości jest na rzeczy, bo oni to o godność mojego skarbnika dla niego zabiegają, pod niebo jego gospodarność i zapobiegliwość wynosząc. Wiano przyrzekł też pono dać żonie książęce.

- Niech mu starczy, że jest Dzikowym skarbnikiem. Dzikowi zajedno, czy go obedrże, czy nie. Piasek ma w skrzyni czy złoto, nie popatrzy. A klucz od skarbcza, z którego wiano ma wypłacić, pono wy jeden macie, panie, a ja drugi.

Mieszko spojrzał pytająco, lecz gdy Zbrozło zamilkł, powiedział:

- Mennicę, jak radzicie, założę. A o prośbie Starzów i Szmatki pomyślę, gdy głowę będę miał swobodną. Obrotny to jednak człowiek i mężny, jakośmy na czerwieńskiej wyprawie widzieli.

- Ogon też u żbika obrotny. A i mężnym nazwać go można, póki jedno ze żbikiem stanowią. Gdy żbik ubity, z ogona ni futra, ni mięsa.

Mieszko uśmiechnął się z porównania, mówiąc:

- Mniejsza z tym. Pewnie prawiście, a ja ważniejsze sprawy mam na głowie.

Zbrozło pożegnał księcia, a przyszedłszy do swej izby, posłał po Szmatkę.

Szmatce nie spieszyło się widocznie, i noc już zapadała, gdy, wreszcie Zbrozło posłyszał pukanie i Szmatka wszedł do izby.

Powitał Zbrozłę pysznie i zuchwale.

- Choć jedna droga od was do mnie, przychodzę po starej znajomości się pokłonić.

- Znajomość nie tyle stara, ile dobra - odparł oschle Zbrozło. - Przyszedłeś, bom cię wezwał.

- Z dawna, jako wiecie, nie jestem niczym pacholkiem. A nie wiecie pewnie, że ino patrzeć, a będę Starzów powinowatym i jednym z pierwszych kniazia urzędników.

- Nie stały nasze kołyski pod jednym dachem, to już i nie będą. A po tom cię wezwał, by ci powiedzieć, że nie będziesz książeńym skarbnikiem. A czy Dzikowemu skarbnikowi Starze córkę dadzą, to ich głowa.

Szmatka pobladł, lecz odparł spokojnie:

- Wiera, że mi u kniazia szkodzić możecie do czasu, ale nie jestem Dzikowym skarbnikiem. Sofia się tam sama wzięła do rządów, a ja słuchać niewolnicy nie myślę, ani bić się z nią, zwłaszcza że ciężarna. Swoje zabrałem i na swoim siedzę, bo ziemie obszerne od Starzów kupilem.

- Z Dzikowego skarbcza? Swego na tyle nie miałeś.

- Na zadatek starczyło.

- Jeno na zapłatę nie starczy. Ni z książeńej mennicy, ni z Dzikowego skarbu.

Szmatka zadrzał. Chciał wstać, ale nie zdołał i patrzył na Zbrozłę wzrokiem, w którym nienawiść mieszała się ze zdumieniem. Wykrztusił wreszcie:

- Jak to? - widząc, że się wydał, poczerwieniał.

Zbrozło zaś odparł:

- A tak, że mennicę bez ciebie kniaź założyć potrafi, a parobek, co ci ze złości za złamaną rękę obiecał zdradzić Dzikową komyszę, jest już tam, gdzie go nie znajdziesz.

Zaległo milczenie. Po chwili Szmatka spokojnym, choć bezbarwnym głosem zaczął:

- Nie wiem, co by wam i Dzikowi szkodził możny i spowinowacony przyjaciel?

- Mnie przyjaciół nie trzeba, a Dzik lepszych ma.

- Ale może i wrogów wam nie trzeba - rzucił wstając Szmatka.

Zbrozło ruszył ramionami:

- Gdy mi nie trzeba, sam się ich pozbędę. Ale do takich jak ty się nie schylę. Wracaj do siebie i nie sięgaj, gdzie nie dosięgniesz. Nic tu po tobie.

- Zostanę do chrztu jako i inni wielmoże.

- Do trzeciego?

- A wy do drugiego?

Szmatka siłą nienawiści wytrzymał przeraźliwie kolący wzrok Zbrozły, choć pot wystąpił mu na czoło.

Zbrozło po chwili rzekł z pogardą:

- Starego Dołęgę podszedłeś, robaku?

- Ale żądło mam - odparł Szmatka zuchwale. - Taki czas idzie, że z czarami w lasy trzeba będzie pójść, nie przy kniaziu siedzieć. A dla tych, co wyłączył ich Kościół, nieba nad głową i ziemi pod nogami zabraknie.

Odwrócił się i wyszedł.

* * *

W pogodny dzień kwietniowy pochylił wreszcie Mieszko głowę nad chrzcielnicą w nowej bazylice na Lednickim Ostrowiu. Chrztu dokonał Jordan, zaś trzymał kniazia Bohowit. Za Mieszkiem pochyłali kolejno głowy najprzedniejsi dworzanie i rycerstwo.

Szczupła bazylika niewielką jeno liczbę ludzi mogła pomieścić, toteż po odprawieniu mszy dziękczynnej orszak, z księstwem na czele, przybrany w białe szaty, wyszedł z kościoła i dalszy ciąg uroczystości odbywał się na wolnym, słońcem wiosennym prześwietlonym powietrzu, gdzie z kolei do chrztu przystępowała książęca drużyna i pomniejsi urzędnicy, a udzielali go bracia w regule Jordana i sprowadzeni z Fuldy, Korbei, Merseburga, oraz z Dobrawką przybyli z Czech czescy i niemieccy kapłani.

Uroczystość przebiegała spokojnie, rozdawano białe szaty i imiona apostołów i męczenników, które nowi posiadacze przeważnie z miejsca przekręcali, do swej mowy je przystosowując. Niejeden po paru godzinach zapominał nawet nowego imienia o obcym brzmieniu i jeno u najprzedniejszych, których kapłani spisać zdołali, sprawdzić się dało, jakie nowo ochrzczony otrzymał imię. Inni nie martwili się zbytnio, gdyż stare imię, nieraz znane szeroko, milsze było.

Spokojnie szło i dalej, gdy chrzcic zaczęto z kolei pospólstwo, któremu setkami całymi te same dawano imiona, gdyż dla wielotysięcznej ciżby nie starczyłoby patronów i czasu na ich przypominanie. Tłum jednoimiennych neofitów miejsce robił następnym, nawołując się imionami, których nowość bawiła niejednego, nie pozwalała jednak odróżnić, kto kogo wołał.

Powstały też miejscami prześmieszki, zamieniano na poczekaniu imiona, które niezbyt piękne nowym posiadaczom się zdały, a wesołe usposobienie ludu, przywykłego dawne święta i uroczystości jako zabawę i rozrywkę uważać, mimo powagi dworu i duchowieństwa i tę uroczystość swawolnym przepajać poczęło nastrojem.

Mało kto z dworu, a nikt z tłumu nie zdawał sobie sprawy, że w ten pogodny dzień kraj wszedł na nową drogę, która nie dawała powrotu. Zyskał prawa i obowiązki członka rodziny ludów Zachodu i silniejszą bronią niż przesieka postawił między sobą a bratnimi szczepami: wschodnich Słowian, którzy dojrzeliby już do porzucenia pogaństwa, ale wahali się jeszcze, jakim ze ścierających się prądów ulegną; przechyliwszy się w końcu do Bizancjum, wraz z nim odszczepili się ostatecznie od Rzymu i innymi drogami ku innej podążali przeszłości.

Pod wieczór, gdy uroczystości zakończono, lud do zabawy i uczy przy zapalonych ogniskach zamierzał się zbierać, gdy Mieszko w otoczeniu dworu zjawił się na wybrzeżu, a komornicy lud obiegali z nakazem zgromadzenia się, celem wysłuchania woli księcia.

Niechętnie porzucono rozpoczęte zabawy i tłumy stały w oczekiwaniu. Gdy się uciszyło, na podwyższenie wystąpił łowczy Bronisz i potężnym głosem wolę księcia ogłosił, iż Boże i kościelne przykazania, o których kapłani lud pouczyli, stają się prawem dla ochrzczonych i pod okrutnymi karami mają być przestrzegane. Dla osłody ucztę na dzień następny zapowiedział, po czym rozejść się tłumom pozwolono, dwór zaś udał się z powrotem do kościoła, gdzie oczekiwał już Jordan, by rozpocząć rezurekcyjne nabożeństwo.

Z całego nieprzeliczonego rojowiska ludzi może on jeden czuł się w tym dniu szczęśliwy i wezbranym sercem dziękował Bogu, że pozwolił mu dożyć tego dnia, w którym kamień węgielny pod budowę nowego Kościoła został położony.

Gdy jednak w następnych dniach kładziono węgielne kamienie pod budowy kościołów w Poznaniu, Gnieźnie i Smogorzewie, a zarazem chrzczono tamtejszy lud i władyków, przygasła radość Jordana. Lud schodził się niechętnie, chrzczył się, bo ksiązę kazał, i odchodził, na ucztę nawet nie czekając, tak że w Smogorzewie już uczy nie zgotowano, gdyż stypy, jeśli nie weselsze, to tłumniejsze bywały.

Mieszko był ponury, lecz zaciął się widocznie. Nie bacząc na znużenie własne ni kapłanów, objazd kraju rozpoczął, jak na wojnie przenosząc się z miejsca na miejsce szybciej, niż wieść szła. Burzył chramy i posągi, lud, gdy się zjawił niezbyt licznie, spędzać kazał i ogłosiwszy nowy zakon, szedł dalej, milczący i samotny, unikając najbliższych towarzyszy, a Jordanowi kilkakrotnie wręcz odmówiwszy przyjęcia.

Z końcem czerwca dotarli krętymi chodami do Łęczycy, gdzie wreszcie Mieszko spocząć pozwolił śmiertelnie znużonym, po kilku dniach zaś, zostawiwszy Jordana i jego kapłanów, na łowy wyruszył i dłuższy czas nie było go widać.

Wrócił pogodniejszy i wziął się do załatwiania zwyczajnych spraw, sądów, gospodarki i wojska dotyczących, wieczorem zaś przyjął Jordana i po staremu życzliwie go przywitał.

Jordan, zaniepokojony poprzednią zmianą w zachowaniu się księcia, odetchnął i rozmowę skierować zamierzał na dalszą podróż misyjną, Mieszko przerwał mu jednak stanowczo, choć bez gniewu i niechęci.

- Nie chcecie prędeż zdobywać niż ja. Prawie całe państwo starego Ziemomysła zjechaliśmy. Jako widzicie, oporu nie było, jeno niechęć, bo lud tu od pokoleń piastowski i przywykł wierzyć, że choć nie wszystko rozumie, co przedsięwierzemy, przecie na dobro mu wychodzi nasze działanie. Opór zresztą, jaki mógł się zacząć od wielmożów, dawnych szczepowych czy plemiennych kniaziów, zdusiłem, zanim zdołał się objawić. Nie znam się na waszym dziele, ale wiem, że gdy ja kraj jakiś idę dobywać, prócz siły, która do tego potrzebna, muszę mieć tyle, by zdobyte grody obsadzić. A gdzież wasze załogi, by więcej niż to, co już zdobyte, utrzymać i panowanie utrwalić?

Jordan zadumał się i rzekł.

- Myślę, że słusznie prawicie. Znużeni już są moi kapłani, a największa praca czeka nas jeszcze.

- Jeśli uznajecie tę radę, to posłuchajcie i drugiej, bo znam lud swój lepiej niż kto inny. Bądźcie zrazu wyrozumiali dla małych ludzi. Nie przeszkadzajcie im nawet czcić dawnych bogów, nim do nowego przywykną, póki każdy dla siebie to czyni. Bo tyle jeno zyszczecie, że chować się z tym będą i bunt będzie się tlił, miast się wypalać i zgasnąć. Możnych natomiast, którzy wam i każdemu widoczni, twardo trzymać trzeba, by się ośrodkiem oporu nie stali.

- I nie dawali złego przykładu - dorzucił Jordan. Z tej rady skorzystam, panie, od waszej osoby zaczynając.

Mieszko spojrzał ostro na Jordana.

- Co myślicie? - zagadnął.

- Nie było przed nikim tajne, żeście w tej naszej nabożnej podróży dawną swą pogańską... żonę - Jordan powstrzymał ostrzejsze wyrażenie - odwiedzili. Piątek nawet od jedzenia mięsa was nie wstrzymuje, a na mszy świętej jeno wtedy was widzę, gdy ze względu na pospólstwo uprosić was zdołam. Nie sami żeście karę śmierci za cudzołóstwo, a wybicie zębów za złamanie postu ustanowili?

Mieszkowi twarz zmierzchła, lecz hamował widocznie gniew, Jordan jednak patrzył na księcia spokojnie, pewien siły, jaką mu Kościół nad powierzonymi owcami dawał, i słuszności poruszonej sprawy.

Mieszko opanował się i uśmiechając się z przymusem rzekł:

- Nikt tu mnie naśladować nie ma prawa, bo jedna wola moja prawo stanowi.

- Stanowi prawo i dla was - odparł śmiało Jordan. - Skoroście zaś wedle swej woli przystąpili do

Kościół, praw jego i Bożych przykazań przestrzegać musicie jako drudzy.

Gniew występował na oblicze księcia, lecz zimno rzekł:

- Pana, widzę, dostałem.

- Nie dostaliście, lecz przez chrzest uznaliście Tego, co zawsze wszystkich był Panem. Równy każdy człek wobec Niego i równe dla wszystkich prawa.

- Ale karać mnie tu nikt mocy nie ma - rzekł, pohamowawszy się Mieszko - więc i sąd niepotrzebny.

- Na tym świecie Kościół moc ma karać każdego, choć wyrozumiały jest dla tych, którzy obowiązki wielkie mając, mniej myśli mogą zbawieniu duszy poświęcać. Na tamym zaś jedna miara dla wszystkich.

Mieszko zamyślił się ponuro, a po chwili powiedział:

- Dotrzymuję słowa każdemu, jeśli z dobrej woli dane, dotrzymam go i Kościołowi. Ale pilnować musicie, zanim słowo złamię, a nie wypominać, gdy zgrzeszę.

- Kapłana wybierzcie, który by nad duszą waszą miał pieczę. On ci wam o postach i dniach świątecznych przypomni, których pamiętać nie możecie, bo rzymski kalendarz, z nami dopiero przywieziony, mało tu komu jeszcze znany. Przyda się on i do świeckich celów, bo niepewna u was czasu rachuba. A kapłan przy waszej osobie zostający nie tylko duszy waszej służyć może. Pisma u was nikt nie zna, a przecie rządzić dużym państwem bez tego nie da się, jak należy.

- Któż zaś czytał będzie, co napisze, jeśli pismo, a i język nieznan?

- Przy każdym komesie, czyli, jak wy mówicie, żupanie, kapłana po grodach osadzić trzeba. Ten pismo wyjaśni.

Mieszko zamyślił się. Po chwili powiedział:

- Słusznie mówicie. Jeno nie dziwić się ludowi, że nowości niechętny, skoro ja sam, com ją nakazał, z trudem znieść ją mogę.

- Nowa szata od starej lepsza, choć zrazu może i gdzie uwiera. Modlić się nauczcie, a łaskę nowej wiary zaczniecie odczuwać, prócz doczesnych korzyści. Pobożnej małżonce waszej ufam, że was na Boże drogi sprowadzi.

- Może! - rzekł Mieszko w zamyśleniu, po czym zapytał: - Co dalej robić zamyślacie? Ja bo do Poznania wracam.

- Zostanę tu jeszcze, póki kaplica wybudowana nie zostanie, potem do Trzemeszna pojedę dopilnować, by schronienie dla braci moich w regule świętego Benedykta szybko było wzniesione. Myślę, że z poselstwem waszym z Rzymu przyjadą. Kapłanów zaś, którzy mi tu niepotrzebni, odeślę z wami. Niech do codziennej wezmą się pracy, gdy wyprawa na teraz skończona.

Niespodzianka

Sokół krążył leniwie na falach wstępującego w górę, rozgrzanego sierpniowym słońcem powietrza, przeszukując bystrymi oczyma położony głęboko w dole, zalany żarem południowej godziny kraj. Na polankach i leśnych jeziorkach nie widać było jednak najmniejszego ruchu. Wszystko, co żyło, pochowało się przed upałem. Znużony ptak zwinął skrzydła i jak strzała opuszczał się na rodzinne drzewo, które z dala rozpoznawał wśród miliona innych. Zbliżało się i rosło w oczach. Celował w suchy konar na szczycie, na którym zwykle siadywał, zahamował pęd i łagodnie opadł na swe siedzisko. Nie zdążył zwinąć skrzydeł, gdy jakiś podejrzany ruch w ciemnej głębi ostrzegł go o niebezpieczeństwie. Chciał się poderwać, lecz w tej chwili coś uderzyło go w pierś. Rozświecony świat zgasł jak zdmuchnięta świeca i stary rozbójnik spadł jak dojrzały owoc u stóp drzewa, na którym się urodził. Leżał z rozpostartymi skrzydłami, a na grzbiecie świecił grot strzały, która przecięła łupieski żywot.

- Niezły strzał - ozwał się głos, po którego głębokim brzmieniu poznać można było Dzika.

Z wyglądu natomiast trudniej by było, gdyż zmienił się bardzo. Biała dawniej twarz leśnego człowieka opalona była na brąz i spękana od słonych wichrów morskich, tak że błękitne oczy wyglądały niemal białe. Zgolenie kasztanowej brody odkrywało dolną szczękę o silnym zarysie, przez którą biegła od policzka głęboka blizna, oraz pełną czerwoną dolną wargę, odchyloną dziecinnie.

I po stroju trudno by go rozpoznać. Normański hełm leżał obok niego, a zajęty był właśnie ściąganiem kolczugi i skórzanego kaftana, noszącego wyraźnie ślady rozlicznych przygód i zmian pogody.

Nie mniej zmieniony był Tarło, którego celny strzał właśnie Dzik pochwalił. Młodzieńcze jeszcze rysy twarzy wyostrzyły się od trudów, bary rozrosły się od wiosłowania, postawą zaś niemal dorównywał Dzikowi. Leżał na brzuchu, podparłszy brodę rękoma. Obok leżał łuk, z którego przed chwilą ustrzelił sokoła. Cztery ciężkie fryzyjskie konie pasły się opodal, ze spętanymi nogami, długimi ogonami oganiając się od gzów.

- Żeby tak u nas, zaraz by łowczy grzywnę za ubicie sokoła płacić kazał - rzekł Tarło.

- A Szmątka by się martwił. Ciekawym, co oni tam robią?

- A co by? Szmątka was pewnie okradł ze szczętem, a Sofia na wieży siedzi i wypatruje waszego powrotu.

- Ucieszy się Szmątka, że znów będzie miał co kraść, jak łupy zobaczy - powiedział Dzik spoglądając na leżące obok ciężkie toboły.

- Wartało się drzeć z Jomsborczykami o to, kiedy dla Szmátky ma być korzyść?

- Juści, że nic mi po tym. Ale jak dzielą, to po sprawiedliwości mnie się najwięcej należało jako najmężniejszemu. I jeszcze gębę mi rozbito, że i brodę zgolić musiałem.

Nie wiem, czy pozna mnie Sofia.

- I po ciemku pozna, nie bójcie się - roześmiał się Tarło. - A co wam po brodzie? Jeno wyżymać wciąż musieliście, jak wam fala gębę ochlapała.

- To na morzu. Ale więcej tam nie wracam. Rzygać mi się zawsze chciało, jak ino fala większa. A już jak Björnsena ubili, to mi obmierzli wszyscy. On jeden uczciwy zbój był.

- Szkoda go! - przyświadczył Tarło. - Ale dobrze, że was nie ubili. Niedużo brakowało.

- Ba, niedużo - powtórzył Dzik lekceważąco. - Siły brakowało temu, co mnie zdzielił. Jakem mu oddał, to widać było, co ma w środku w głowie, a mnie ino skórę rozciął.

- Ale trudno was poznać było, tak was jucha zalała.

- No, pojedziem dalej. Wolę ja konia mieć między nogami niż deskę pod zadkiem.

- Ładne konie! - rzekł Tarło wstając i biorąc się do ładowania juk. - W sam raz dla nas.

- Ładne, bo duże. Ale ja tam wolę swojego Ciska, choć mi się bez mała nogi po ziemi wloką. Jak Gon za mną chodzi - tu gwizdnął na psa, który, ziając, leżał pod krzakiem i z niechęcią patrzył na przygotowania do dalszej podróży. - I na dach wnet by wylazł, jak go zawołam. A te ciężkie i niezdarne jak ten Sas, co go Biezdoch dorznął w Jomsborgu.

- Ciekawym, kiedy Biezdoch nadciągnie za nami - zastanowił się Tarło wskakując lekko na konia.

- Może na zimę. W Lubuszy pewnie zabawi, a i z brańcami prędko nie pojedzie.

- My także kawał drogi mamy przed sobą. Popędźmy no konie, bo też nie zajedziemy przed zimą, a chciałbym do rodzicieli wstąpić na kilka dni, dowiedzieć się, co z nimi i łupy im zostawić. Może i brata mego, Krzesza, puszcza z nami. Wyrosnąć już musiał.

- Jak chcesz, to wstąpmy, ale nie na długo. Rad bym już Sofię zobaczyć.

- Kolano Wisły minęliśmy. Tu już polańskie ziemie. Prędzej pojedziemy, bo bezpieczniej.

W tej chwili Gon, biegnący przodem, zaczął ujadać i obskakiwać olbrzymi buk, nieco z drogi stojący. Myśląc, że zwierz jakowy, Dzik sięgnął do łuku, gdy w tej chwili świsnęła strzała i otarłszy się o łeb jego konia, utkwiała w ziemi, jeno belt jej drżał.

Kopnęli się pod osłonę drzew i po kierunku strzały wypatrywać jęli strzelca. Po chwili, posuwając się ostrożnie, Tarło zauważył wśród gałęzi przytulonego nieruchomo do pnia człowieka. Naciągnął łuk i już miał puścić cięciwę, gdy Dzik trącił go ze słowami:

- Zaczekaj! Nie ucieknie.

Do nieznanomego zaś krzyknął:

- Złaż no, bo zlecisz!

Chwilę trwała cisza, po czym z wolna schodzić zaczął w dół bartnik z leziwem. Łażł z wahaniem, coraz wolniej, aż Dzik krzyknął znowu:

- Prędszej, bo cię pogonię! - i zmierzwszy, od niechcienia puścił strzałę, która uderzyła tuż nad głową człowieka.

Zaśmieli się obydwaj na widok przestachu nieznajomego, który opuszczając się począł z wiewiórczą zręcznością i zatrzymał się dopiero na najniższym konarze, gdyż czekający pod drzewem Gon groźnie wyszczerzył zęby. Dzik uspokoił psa i rzekł:

- Złaż!

Człek zeskoczył i stanął przed nimi, patrząc z widocznym strachem na Dzika.

- Coś za jeden i czemu strzelałeś do mnie? - zapytał Dzik.

- Bartnik jestem - rzekł wskazując na leziwo - a strzelałem, bo co miałem czekać, aż wy pierwsi strzelicie?

Dzik zastanowił się, po czym zaśmiał się i rzekł:

- Ja myślałem, że zwierz, a ty, że zbóje.

Bartnik odetchnął, choć dalej patrzył niepewnie na obce konie i sprzęt, zapytał:

- Po naszymu mówicie, skądęście?

- Od Wiślan my, ku Sandomierzowi z wyprawy wracamy. Do Kruszwicy daleko?

- A po co wam do Kruszwicy? Nad Wisłą szlak jest. Chyba że Mazowsze ominąć chcecie?

- A po cóż by, jeśli droga krótsza?

- Bo może nie wiecie, że kniaź z kapłanami jeździł i chrzcili, kogo dopadli. Dostyc prostego ludu na Mazowsze uciekło, co się bali niemieckiego licha, a i poniektórzy z władyków. I na Mazowszu niepokój jeszcze jest, czy do nich nie przyjadą, choć myślę, że nie, bo pono kniaź wrócił już do Poznania. A może wy od dworu? - patrzył znów niepewnie.

- Nie bój się! - rzekł Tarło. - Ino nam do Wisły drogę pokaż.

- No, to nie stójmy. Niedaleko to jest.

Nie mogąc się połapać, z kim miał do czynienia, pogadywał:

- Nas tu chrzcili także i wywrócili Swantewita, co stał w chramie przy osadzie. A Wiślanie

chrzczeni? - zapytał.

- A wiem ja to! Jedni tak, a drudzy nie, jak się ta komu zdało. A my z wyprawy teraz wracamy, to nie wiemy, co się stało.

- A samiście nie chrzczeni?

- Nie.

Bartnik uspokoił się całkiem.

- Wolę nie ochrzczonych. Samych nas chrzcili, ale kapłan potem odczyniał, choć nie wiada, czy to pomogło. Swantewita też my nowego zrobili, choć nie taki piękny jak stary. Jenó w lesie teraz stoi na uroczysku, które my tylko znamy. A do nas co miesiąc z Kruszwicy kapłan chrześcijański przyjeżdża i uczy ludzi, a swoje czary odprawia. Niegłupi jest, nawet zna się na pszczołach i ule nauczył robić zmyślne. Nowe zboże jakies ci przywiózł i zasiał na polanie. Leczyć też umie ludzi i bydło. Lubią go tu, bo wesoły jest, ino gada tak śmiesznie, że mało co rozumiesz, i sam się śmieje z tego. Mówią, że nie Niemiec, ino skądś z juga.

Gwarzył dalej, jakby się chciał upewnić przez obcych, których za panów uważał, czy dobrze zrobił, że się ochrzcił i czy podstęp się jakiś nie kryje w postępowaniu kapłana.

Dzik słuchał piąte przez dziesiąte, wreszcie rzekł:

- Co się trapisz! Trzymaj z tym, co ci lepiej pomoże, a mniej se płacić każe.

Bartnik poskrobał się po głowie, mówiąc:

- Piasty chytrzy, że słabym by nie trzymali. Swoi są, to nie życzą nam złego. Ale niemiecki Bóg może być jeszcze chytrzejszy. Zrazu dobry, a jak starego porzucimy, to może dopiero naród Niemcom oddać i zgubić.

- Ty bądź chytrzejszy. Co ci nowy da, to staremu odnieś.

- Tak my i zrobili. Krzyżyki, co nam przy chrzcie dali, wszystkie odnieśli Swantewitowi na przeprosiny. Ino baby nie chciały, bo one zawsze co nowego lubią, a przy tym księżna, jak była u nas, babom nagadała, że im pod nowym Bogiem lepiej będzie, bo ino jedną każdy będzie mógł mieć i nie lza mężowi jej odpędzić od siebie, gdy mu obrzydnie. I że niby białka taki sam człek jako my. Słychane rzeczy! - poskrobał się znowu strapiony. - I sama księżna to mówi, to nawet baby sprać nie można, jak powtarza za nią. Coś ci psuje się na świecie.

- Głupiś - rzekł Dzik. - Jak se z jedną nie umiesz poradzić, to na co ci więcej? A kniazia i tak słuchać musisz, to co se będziesz głowę łamał.

- Juści, muszę, a chciałbym wiedzieć, czy na dobre wyjdzie. Ot, Wisła w oczach.

Dzik wysupłał z juków sznur bursztynowych paciorków i wręczając bartnikowi powiedział:

- Daj swojej babie; powiedz, że jej Swantewit, coś go w lesie spotkał, posyła. Zobaczysz, czy nie będzie znów za nim trzymała.

Bartnik stał, obracając dar w ręku, zmieszany.

- Możecie wy naprawdę Swantewit?

- Juści, bo jak mi brodę zgolili, tom z obu stron jednaki.

Tarło zaśmiał się, a bartnik rzekł:

- Wesoły z was panosza.

- Co nie mam być wesoły, kiedy się o żadnych bogów nie trapię. Żyję se jak idzie, póki co.

Skinał bartnikowi i trąciwszy konia, ruszył ku widocznej już rzece.

* * *

Spowodowane chrztem poruszenie w kraju uspokoiło się. Mazowszanie, mniej mając z nową wiarą styczności i działalnością Jordana uprzednio nie objęci, wprost do oporu się gotowali, podnieceni zwłaszcza przez polańskich zbiegów, którzy szukali u nich schronienia, i buntowani przez dawnych naczelników rodów, zarzucających z góry wiarołomność Mieszkowi i wypominających mu, że przy włączeniu Mazowsza przyrzekł wiary nowej nie wprowadzać.

Sobiesław, który czujne oko miał na sprawy i o stanie umysłów donosił Mieszkowi, wyczekał, aż powszechnie wiadome się stało, że kraj na rozkaz chrzczony nie będzie i pierwsze wrzenie przycichło. Wówczas ruszył w objazd i wychytawszy zbiegłych od Polan kapłanów i władcyków oraz miejscowych podżegaczy, którzy wzburzenie wyzyskać chcieli dla przywrócenia swego dawnego stanowiska, odesłał ich Mieszkowi do ukarania. W kraju zaś ogłosił, że nikogo przemocą nie będzie się chrzcic, natomiast stawianie przeszkód wyznawcom nowej wiary, którzy by dobrowolnie przyjąć ją chcieli, gardłem będzie karane.

Sam wraz z drużyną ochrzcił się i przysłanych mu kilku benedyktyńskich mnichów zatrzymał i w Czersku osadził zezwalając młodzież na naukę przyjmować i udzielając wszelkiej pomocy w ich działalności, zrazu przeważnie gospodarczej, gdyż mnisi saskiego pochodzenia, niedawno sprowadzeni, mało z kim tymczasem porozumieć się mogli. Niemniej początek w ten sposób został uczyniony i czasowi resztę zostawić należało.

Ukończywszy objazd, wracał tedy spokojnie od granicy Wiślan, wzdłuż Wisły do Czerska.

Choć wrzesień już się był rozpoczął, dni były upalne, tak że ruszył dopiero pod zachód słońca. Cienie stawały się coraz dłuższe, wreszcie słońce schowało się za bory i mrok ogarnął krainę, zaledwie rozpraszany poblaskiem coraz gęściej rozsiewających się na głębokim niebie gwiazd oraz czerwoną luną na wschodzie, zwiastującą wzejście księżyca.

Wynurzył się wreszcie, rudy, spłaszczony i pełny, i wznosząc się ku górze żółknął, bladł, a wreszcie

rozświecił się czystą, zimną białością, gasząc gwiazdy i zdzierając zasłonę mroku z milczącego w ciemnościach kraju.

Zmalały w świetle pagórki, trzciny po jeziorach i bagnach zaświeciły jak groty, a po wodnych płaszczyznach drgać zaczęły zimne iskierki. Drzewa rzuciły cienie, ukrywając zazdrośnie pod swymi konarami jakieś leśne tajemnice przed wścibskim wzrokiem księżycy.

Jednocześnie z nagranych słońcem bagien i łąk zaczynał wstawać leciutki opar, rozciągając przezroczystą zrazu zasłonę nad okolicą i zacierając nieznacznie ostre dotychczas zarysy przedmiotów, a w miarę jak księżyc wznosił się gęstniejąc w tuman, który wreszcie mlecznym jeziorem zalał kraj aż po krańce wzgórz. Z białej, lśniącej powierzchni wyłamały się jak wyspy kępy krzów i drzew, a koń jadącego w przdzie Sobiesława płynąć zdawał się w powodzi tego niemal dotykającego, a nieuchwytnego światła.

Spokój pogodnej nocy udzielił się Sobiesławowi, utrudzonemu napięciem ostatnich tygodni. Skupiona przez długi czas myśl rozprężyła się, zrazu pozostawiając pustkę, do której bez składu napływać zaczęły wspomnienia.

Za młody jest, by spędzić całe życie na rządzeniu krajem, na zjazdach, sądach i gospodarce. Gdy włos posiwieje i krew się uspokoi, chętnie tu pozostanie wprowadzając w czyn Mieszkowe zamierzenia, czego zazdrości mu wielu. Ale ninie wojny mu potrzeba, by wyładować nadmiar sił, nie głowiąc się i nie myśląc, tak jak pod Brześciem, nad sposobem pobicia silniejszego od siebie nieprzyjaciela.

Tu wspomnienia ptakiem poczęły przelatywać dzieje mazowiecko - czerwieńskiej wyprawy i zatrzymały się na końcowej bitwie przy grobli na bagnie. Gdzie się też teraz podziwia ten olbrzym niesforny, którego chciał obwiesić, a potem w uznaniu nie liczącego się z niczym męstwa przyjaźnią obdarzył? Czy wyzdrowiał z rany i czy żyje jeszcze? Chyba tak, bo żadnej wyprawy nie było, zresztą o śmierci jego byłoby głośno. Z takim iść na wyprawę! Osiąść miał gdzieś w Krakowskim, czas idzie wolniejszy, odwiedzić by się go zdało.

Nagle gdzieś z dna mlecznego jeziora rozległo się szczekanie psa, lecz głos rozchodził się w tumanie, iż trudno było rozeznaczyć miejsce, skąd pochodził. Osad nie ma żadnych w najbliższej okolicy, zbiegowie lub zbójce psa by nie brali, by ich zdradził.

Sobiesław zaciekawiony ruszył dalej, w nadziei, że znowu szczekanie usłyszy. Miast tego jednak rozległo się po chwili rzenie konia, na które Sobiesławowy ogier rzeniem odpowiedział i sam skręcił ku wynurzającej się opodal z oparu brzezince.

Sobiesław zauważył niepewny różowy poblask w tumanie, a gdy podjechał bliżej, ujrzał płomień wyskakujący z świeżo widać rozdmuchanego ogniska. Równocześnie głos jakiś, który znanym zdał mu się, zapytał:

- Kto zaś?

- Mnie by to raczej zapytać wypadało jako rządcy tego kraju - odparł Sobiesław przyglądając się

oświeconym blaskiem ogniska postaciom dwóch mężów, z których jeden uspokajał warczącego psa, drugi zaś, zakrywając szeroką jak łopata dłonią oczy od blasku, wpatrywał się w nadjeżdżającego i głębokim głosem rzekł:

- Kogo w krzaczach nie spotka po nocy! Zsiadajcie, Sobiesławie. W drodze nie zawadzi przekąsić. Być może nie przypaliło się ścięgno, gdyśmy posnęli.

Sobiesław wpatrywał się przez jakiś czas w siedzących, po czym ozwał się:

- Żeby nie zgolona gęba, myślałbym: Dzik.

- I dobrze byście myśleli. To mnie i Sofia pewnie pozna.

Sobiesław zeskoczył z konia i przywiązawszy go do krzaka, podszedł do ogniska, a podając dłoń Dzikowi rzekł:

- Czary widno są w księżycową noc. Dopiero co o was myślałem i śmierci bym się prędzej spodziewał, niż że was z nagłą obaczę. A towarzysz wasz, kto? - zapytał.

- Nie poznajecie Tarły? No już, bo wyrósł, a niewypierzony był jeszcze, gdyście go widzieli. Ale ninie wojak, że hej! - I poklepał po rozłożystych barach Tarłę, który z ogniska pieczeń wygrzebywał.

- A czarów żadnych nie ma, ino z wyprawy jedziemy.

- We dwójkę? I z jakiejże wyprawy? Przecież spokój teraz.

- Z Jomsborczykami na Nowogród my jeździli, a ninie wracamy z łupem.

- Przecie z Jomsborga na Kraków nie tędy droga, a pono tam osiedliście?

- A już! Jeno do Jomsborga my nie dojechali, bom się pokłócił ze zbójami i wysiedli my pod Gdańskiem. A jedziemy naprzód do rodzicieli Tarły nad Kamienną, bo odwiedzić ich chce i łupy zostawić.

Tarło zaś tymczasem wygrzebał pieczeń spod rozpalonych kamieni i gdy obawy Dzika o jej stan okazały się płonne, wzięli się do jedzenia. Wtem stapania licznych kopyt rozległy się od drogi, a dwóch jeźdźców skręciło ku ognisku.

- To moi ludzie - rzekł Sobiesław. Nocą ku Czerskowi jedziemy, bo dniem upał był.

Zawołał do nadjeżdżających:

- Jedźcie dalej, nadciągnę za wami.

Następnie zwrócił się do Dzika:

- Opowiedzcie, jakoż było.

- Szkoda gębą ruszać o tym, co było - odparł niezbyt wyraźnie Dzik, gdy równocześnie nie żałował jej dla pieczeni. Tarło natomiast mniej był oszczędny i z prześmiewkami pokrótce opowiedział przygodę, zakończoną bójką z załogą łodzi, która się im łup odebrać zmówiła.

- Ostawiliśmy ich, jaki tam który był, na brzegu. Łódź Dzik głazem rozwalił, zabraliśmy, co się nam zdało i tu jesteśmy - zakończył śmiejąc się Tarło.

- No, toście się zabawili - rzekł Sobiesław z uśmiechem - a u nas tymczasem ludzi chrzcili. Wy zaś co zrobić zamýślacie, bo u was, Wiślan, ni na Mazowszu kniaź chrztu nie nakazywał, ale co możniejsi pochrzcili się sami.

Dzik wzruszył ramionami, a Tarło odpowiedział:

- Poradzę się rodzicieli.

- Lepiej się ochrzcić. Z wielmożów i władków wszyscy to zrobili, a kto nie - prędzej - później będzie to zrobić zmuszony. Chyba że chce żyć jak samotnik. Niedługo nie będzie miejsca ni na dworze, ni w drużynie dla tych, co starych bogów wyznają. No, żegnajcie! - rzekł wstając - a będę w Krakowie, do was się w gościnę zapraszam.

- Przyjeżdżajcie. Zapolujemy, a i miody musiały już się odstać, cośmy je sycili. I nam także w drogę - rzekł Dzik do Tarły.

Po chwili brzezinkę zaległa cisza; ognisko jęło przygasać, żar okrył się szarym popiołem i nic już nie zakłócało spokoju księżycowej nocy.

Trójkątny pysk wysunął się spod nawisu korzeni i pędów ostrężyn okrytych rudziejącym już liściem, które zakrywały lisią jamę. Bystre oczki obiegiły okolice, a czarny nos pociągnął wiatr.

Widocznie nic podejrzanego nie wisało w powietrzu, gdyż po chwili wysunął się stary lis i ześliznąwszy się po zboczu, wszedł w las.

Przez więdnące listowie, grające w słońcu wszystkimi odcieniami barw: zielonej, żółtej i czerwonej, przesiewało się na pokryte już więdniejącym liściem podłoże jaskrawe światło ciepłego, popołudniowego słońca jesiennego, rozbijając rudą plamę lisiego futra, tak że gdy przystawał chwilami, najwprawniejsze oko z trudem mogło go odróżnić od zbliżonego barwą, puszystego kobierca zwiędłych liści, po których posuwał się niemal bezszelestnie zmierzając ku dolince nad strumykiem, gdzie spodziewał się znaleźć jarząbki.

Nie upierał się zresztą przy tej zwierzynie, czujnej i trudnej do podejścia, toteż po drodze węszył i słuchał, a ślepiami badał każdy krzaczek i dołek, w nadziei, że może zdybie spasionego na zimę, tęgiego górskiego zajaca na południowej drzemce, którą bez trudu w sen wieczny w głębi swego żołądka zamieni.

Widocznie jednak bliskość rozbójniczej jamy nie sprzyjała drzemce gdyż nic nie zauważył, prócz kręcących się na drzewach sikorek, na które spojrzął z pogardą należną marnej a niedościgłej zdobyczy.

Wysunąwszy się z kępy maliniaka na łączkę, spłoszył rogacza, który wstał wprawdzie, przerywając sobie wygodny podwieczorek, odprawiany z podwiniętymi pod siebie badyłami, lecz oddalając się bez pośpiechu, rzucił spojrzenie czarnych oczu, które odradzało lisowi pomysł pójścia za jego śladem. Nie ma głupich! Żeby jeszcze sarna z kozłębem, można by spróbować, choć i to... skrzywił się na wspomnienie lekkomyślnej młodości, utrwalone śladem sarnich badyli na nosie który po tym doświadczeniu, dłuższy czas nie nadawał się do użytku.

Parę natomiast miłych wspomnień pociągnęło go szybciej w kierunku jarzębiej dolinki, gdzie obecność zdobyczy była niemal pewna, choć mniej pewny wynik polowania.

Szedł nastawiając trójkątnych uszu, czy nie posłyszysz jarzębiego wabienia, lecz zamiast niego uchwycił głos, który zatrzymał go na miejscu.

Głos był bardzo odległy, lecz stary wyga od pierwszego dźwięku nie miał żadnych wątpliwości, że pochodzi od człowieka. Dawniej, za szczęśliwej młodości, głos ten nie znany mu był zupełnie. Ostatnio słyszał go parokrotnie i dziwną niechęcią i obawą przejmował go głos tych głupich istot, które chodzą głośniejsz od niedźwiedzia, płosząc zdobycz na milę wokoło. Usiadł na zadzie i zamyślił się, z czego też żyją te niezdarne a hałaśliwe stworzenia, których nierozumne wycie mąci potrzebny do polowania spokój. Znakomity słuch rozbójnika nie był wrażliwy na piękno pełnego, wysokiego i dźwięcznego głosu. Jeśli już miał słuchać, miłszy byłby mu bek duszonego zająca. Po chwili zniechęcał się inny głos, też niewątpliwie ludzki, choć głębią tonu przypominający niewątpliwie ludzki, choć głębią tonu przypominający niedźwiedzia. Przechera wstał więc i machnąwszy kitą pogardliwie, zawrócił bez pośpiechu.

Nagle puścił się pędem i śmigał jak strzała, jeno migotały złotem słoneczne plamy na ryżej sierści, gdyż w ucho wpadł mu głos, zwierzęcy tym razem, najwstrętniejszy, jaki poznał w życiu: głos psa. Brzmiała w nim wprawdzie radość, lecz z czego taki potwór może się cieszyć? Raz już miał bliżej do czynienia z tym zawziętym stworzeniem i omal płuca nie popękały mu w ucieczce. Toteż mknął teraz, pomny jedynie, żeby między sobą a tym obrzydliwym stworzeniem zostawić jak największą przestrzeń, nie zauważwszy nawet, że minął zająca, który wystraszony dał parę susów, po czym stanął słupka i spojrzał za lisem, zastanawiając się, za czym ten popędził. Po chwili wpadło mu do zakutej głowy, że pewnie uciekał, a że tam, gdzie lis ucieka, bezpieczniej nie czekać i zającowi, popędził przed siebie, choć w odmiennym, na wszelki wypadek, kierunku.

Wstrętne stworzenie tymczasem, którym był Gon, skakało z radości do piersi Zyńki, omal go na ziemię nie wyróciwszy. Zyńka, powitawszy psa, pędem puścił się po wyrąbanym zboczku, przesadzając pnie i krzaki, aż dopadł do drogi i stanął zarumieniony i zdyszany naprzeciw Dzika i jego towarzyszy. Ci, wstrzymawszy konie, czekali na nadbiegającego, którego Dzik poznał po słyszanej dawniej pieśni, gdyż po głosie trudniej poznać by go było. Wysoki pozostał, lecz stracił dziecinne brzmienie, a nabrał pełni i siły. Sam Zyńka zmienił się także. Szczupły był zawsze i gibki, lecz wyrósł, ciemny puszek okrywał mu górną wargę, jeno oczy miał te same, ciemne, głębokie i wielkie, w których teraz świeciła radość niespodziewanego powitania, gdy zdyszany głosem mówił:

- Aleśmy na was czekali i czekali! Byłbym już niedługo jechał was szukać.

- Ba! nalazłbyś to! Po morzu my jeździli.

- Toście nie byli ze Zbrozłą? A onże gdzie?

- Pono pojechał do Rzymu.

- A Tarło nie wita się ze mną? - zapytał Zyńka przystępując do jednego z Dzikowych towarzyszy i wyciągając rękę, którą mu tenże uśmiechając się uścisnął. Drugi zaś roześmiał się głośno i rzekł:

- Toś mnie nie poznał, ja ci to jestem, a to brat mój, Krzesz.

- Toście wy? - spytał Zyńka patrząc na mówiącego z niedowierzaniem, a Dzik zahuczał śmiechem:

- Nie mówiłem, że was pomieszają? Ale jedźmy no, czas będzie gwarzyć w domu, a Sofia jeszcze nie wie, żeśmy wrócili.

Mylił się Dzik jednak. Gdy rozmawiali, Gon, na którego nie zwracali uwagi, pobiegł pędem ku dworcowi, przesadził wał i ostrokół przy bramie i, nie wstrzymany przebiegł się, pchnął drzwi i znalazł się oko w oko z Sofią. Sofia, słysząc tupot, wstała od kołyski, przy której, klęcząc, nuciła leżącemu w niej niemowlęciu. Oczy jej uczyły się wielkie ze zdumienia i patrzyła na psa z niedowierzaniem, jakby zjawę zobaczyła.

- Gon! - szepnęła i usiadłszy na ławie, bezwładnie opuściła ręce, a pies, wspiąwszy się na tylne łapy, lizal jej twarz, po której jedna za drugą spływały łzy ulgi i obezwładniającej niespodzianej radości.

Pohamowała się po chwili i wstrząsana łkaniem otarła twarz i oczy zwilżonym ręcznikiem, po czym pospiesznie przybrała się i porwawszy dziecko, pobiegła ku bramie, a za nią w podskokach pędził Gon skomląc z radości.

Biegło też ku bramie kilku ludzi, którzy przybycie podróżnych zauważyli, i gdy Dzik dojeżdżał, otwarto ją szeroko. Dzik z Zyńką przy koniu wjechał na podworec, a za nimi Tarło i Krzesz. Rzucili się parobcy konie odbierać, a Sofia stała z przymrużonymi oczyma, głosu nie mogąc wydobyć.

Dzik zsiadł z konia i stanął przed nią, patrząc zaskoczony na dziecko, które trzymała w ręku, nie wiedząc, od czego rozpocząć powitanie.

Sofia otwarła wreszcie oczy i ręce z dzieckiem wyciągnęła ku niemu. Dzik wziął chłopaka ostrożnie w olbrzymie łapy i stał zmieszany, namyślając się co z nim począć, gdy Sofia, mocując się z głosem, szepnęła:

- Podnieście go w górę na znak, że syna swego w nim uznajecie, jak u was obyczaj.

- Mój! - krzyknął Dzik na poły z pytaniem na poły z radością i jedną ręką dźwignął dziecko w górę, aż Sofii serce zamarło z niepokoju i mimo woli ręce ku niemu wyciągnęła.

Za wysoko jednak było, by go mogła dosięgnąć, więc przytuliwszy się do Dzika prosząco szepnęła:

- Oddajcie mi je!

Dzik oddał jej chłopca z wahaniem i przygarnąwszy ją do siebie, szedł ku domowi, mówiąc:

- Widzicie! Syna mam. Będziemy razem na łowy i wyprawy chodzili.

- Byle nie dziś - zaśmiał się Tarło - Bo przez chwilę jeszcze za mały, a i nam wypocząć trzeba po ostatniej.

Ojciec Sofii stał przy wejściu do domu. Dzik przyjaźnie poklepał starca po ramieniu, mówiąc:

- Ale tęga gospodarka była, kiedy taki przybytek. Każcie miodu zaraz przynieść i Szmatkę przywołać.

Starzec uśmiechnął się jakoś niewyraźnie i odparł:

- Tyle i przybytku, daj Boże szczęśliwie. Miodu tam się jeszcze gdzie najdzie, czego nie wypili Starzowie, a Szmątka już sobie panem i nierad pewnie będzie wam się pokazać.

- Czas będzie mówić o tym, tymczasem do domu chodźcie cieszyć się tym, co jest - rzekła Sofia.

Dzik pokręcił głową, ale wszedł, a za nim inni, i tego wieczoru nie mówili o niczym, jeno o dziecku.

Gdy zostali sami i mały, wyoglądany ze wszystkich stron, zasnął wreszcie w kołysce, Sofia zbliżyła się do siedzącego Dzika i gładząc go po twarzy, ozwała się:

- Znowu blizna. Tak łatwo mogliście nie wrócić. Nie wyjeżdżajcie więcej od nas. Strasznie ciężko było bez was a teraz i on obrony potrzebuje - wskazała na dziecko. - Żeby umiał, sam by was prosił.

I rozplakała się, a Dzik tulił ją niezgrabnie mówiąc:

- Nie tak łatwo mnie ubić. Ale zostanę. Chłopca muszę do wojaczki przyuczać, niech ino podrośnie trochę.

Dziedzic

Pogodne dni późnej jesieni przeżywała Sofia w zupełnym niemal szczęściu i spokoju. Dzik, zadowolony ze wszystkiego, a niedbały o mienie, nie dopytywał nawet, jak wypróżnił się skarbiec i przerzedzili jeńcy i stada. Sofia, rozmyślnie przemilczała o postępowaniu Starzów i Szmatki, by nie doprowadzić Dzika do wybuchu, który by w skutkach dla niego samego, a bardziej jeszcze dla niej i dziecka stać mógł się groźny. Powiedziała jeno, że pokłóciwszy się z nią, Szmatka zabrał, co swoje, na co Dzik machnął jeno ręką, mówiąc:

- Dobrze, że wieży nie zabrał. Kogo teraz będzie okradał?

Wziął topór i poszedł jak zwykle do gospodarki, która polegała przeważnie na karczowaniu lasu, gdzie siły swe wyladowywał śpiewając przy tym z Zynką tak, iż wypłoszyli na kilka mil wokoło wszelką zwierzynę, jaka ostała się jeszcze po ciągłym przeczesywaniu boru pod nieobecność Dzika przez Starzowych łowczych i spudowników.

Powrót Dzika wiadomy był w Krakowie, a Szmatka, mimo zmiany stanowiska, nie zdołał pozbyć się wewnętrznej obawy przed Dzikim. Uzyskawszy wielki wpływ na starego Topora, sprawił, że przestano najeżdżać Grodzisko, i spokój, jaki panował w przyrodzie, udzielił się także Dzikowemu dworzyszczu.

Gdy natomiast nastąpiły jesienne słoty i wichry, Dzik więcej przesiadywał w domu, bawiąc się prawie bezustannie z dzieckiem, co pomału stawać się zaczęło dla Sofii źródłem niepokoju. Dzik nie tylko ciągłym zaciekawieniem przeszkadzał jej to w karmieniu, to w innych matczynych zabiegach, lecz budził malca do zabawy ze snu, a bawił się z nim tak, że Sofia drżała widząc maleństwo w potężnych łapach Dzika, którymi przy byle nieostrożności krzywdę dziecku mógł wyrządzić.

Toteż odetchnęła, gdy z pierwszym śniegiem, jaki pokrył puszystą pościelą świat, zjechał do dworca Dobek, by Dzika na łowy wyciągnąć. Tarło z Krzeszem do Krakowa się wybierał, by bratu gród, który w drodze ominęli, pokazać, samemu go bliżej obejrzeć i poczynić zakupy. Zynka zaś wolał zostać przy Sofii, do której przyłgnał całą siłą swego budzącego się, nieświadomego uczucia, darząc nim równocześnie malca, przy którym Sofia z całym zaufaniem Zynką wyręczyć się mogła. Dzik śmiał się nawet, że chłopiec na niańkę wyszedł i przez omyłkę jeno babą się nie urodził, lecz Zynka nie gniewał się o to, warując przy Sofii wierniej niż Gon. Ten bowiem, po pewnych wahaniach, jednak za Dzikim na łowy pobiegał obejmując od razu dowództwo nad psią sforą, która bez sprzeciwu wyższość jego uznała.

Jechał tedy Dzik z Dobkiem, koń przy koniu, naradzając się, którądy ruszyć, by ochocie zadośćuczynić i spiżarnię na zimę zaopatrzyć w mięso. Dobek ciągnął na północ, ku swoim ziemiom, w których znane mu były wszelkie przesmyki i miejsca postoju zwierzyny. Dzika jednak nęciły świecące już w bieli szczyty dalekich gór i skierowali się na południe długim sznurem, którego czoło stanowili Dzik z Dobkiem, zamykało zaś pochód kilkoro sań ze sprzętem wszelakim i luźnych, na przewóz zwierzyny.

Po dość uciążliwym pochodzie, wieczorem trzeciego dnia osiągnęli szczyty pasma wzgórz, u których stóp świeciła wstęga Dunajca. Za nim obszerna, borem okryta dolina wznosiła się łagodnie ku

widnym już jak na dłoni Tatrom. Słońce zachodziło i ostatnie jego promienie barwiły jarzące się czerwienią, okryte śniegiem wierzchołki. Dzik patrzył jak urzeczony na grę barw, które przechodziły w purpurę potem we fiolet, aż wreszcie postępujący od dołu mrok gasił światła, szczyt za szczytem. W końcu świecił już tylko jeden, lecz i on po chwili zgasł i noc objęła krainę.

- Ale ci tu pięknie. Żal, że słońce zaszło - westchnął Dzik.

- Żal, nie żal, a szafasy na noc trzeba gotować, bo mróz idzie, a bodaj i wiatr. Może postać przyjdzie dzień albo i więcej - rzekł Dobek.

Raźnie wzięli się do toporów. Nim ubity po drodze kozioł doszedł na rożnie, w zacisznej dolince stały już pod dachem z gałęzi konie, jako bardziej na zimno wrażliwe, a zaraz po wieczery wykończono schronienie dla ludzi i poowijani w skóry i futra pokładli się wraz z psami, wyznaczwszy jeno zmianę do podtrzymywania ogniska.

Dzik leżał obok Dobka. Zasnął zrazu, a obudzwszy się koło północy, wsłuchiwał się w szum gałęzi i granie wichru w szczelinach ścian. Wiatr to uderzał, to folgował, lecz porywy stawały się coraz częstsze i silniejsze, szpary w ścianach przestały świecić blaskiem ognia, a za każdym uderzeniem sypał się przez nie miazga śnieg. Szum drzew przeszedł w jednostajne wycie, które potężniało z każdą chwilą, przerywane jedynie hukami łamanych drzew. Ten i ów przebudził się na poły i na zaśnieżoną twarz z niechęcią naciągał skóry, którymi byli okryci.

Zerwali się jednak, gdy nagle jaskrawe światło błysnęło przez wszystkie szczeliny, a zaraz potem huk gromu zatrzęsł ziemią i toczyć się począł po górach, odrzucany przez jedno drugim, aż skończył gdzieś w oddali ponurym pomrukiem.

Stary spudownik Dobka, Socha, splunął mówiąc:

- Pozłóściliśmy duchy górskie. Przeczekać lepiej, aż się uspokoją, i jechać nam na łowy kędy indziej.

- Jakie zaś duchy? - spytał Dzik. - Nabajał wam ktoś i tyle.

- Na własne oczy widziałem. Będzie temu - lat z dziesiątek, pobłądziliśmy w górach zimą, gdy ścigali nas Morawcy. Jak dziś z wieczora, świeciło wszystko wokół. Schroniliśmy się pod skalną ścianę i czekali ranka. Przysypało nas po śpiączku. Budzimy się rano, na kość zmarznięci, ledwo my się wygrzebali. Patrzymy na świat, a tu jakby rzeka biała płynie z doliny. Niesie powyrywane krze i płyty zmarzniętego śniegu, wielkie nieraz jak stół, i kłębi się to wszystko nad przełęczą, przez którą my przyszli. Słońce wschodzi właśnie, myślimy: czekać nie ma na co, bo zmarzniemy bez ognia i jadła. Wychodzimy na przełęcz, aż nagle krzyknie jeden i ręką wskazuje. Patrzymy, a tu przez śnieżny tuman jakby tęczą prześwieca kolisko, a w środku olbrzym stoi, jak sosna wysoki. Nie jestem strachliwy, ale ino go ujrzał, włos mi dęba stanął i po stromym zboczku zjechałem na złamany kark w dolinę. Żebyście mnie na powrozie ciągnęli, nie pójdę z wami zimą w góry. Jakem wtedy do ludzi dotarł, nawet nie wiem.

- A z innymi cóże się stało? - zapytał zaciekawiony Dzik.

Żaden nie wrócił do dom.

Zaległo milczenie, a po chwili Dobek, kreśląc nieznacznie piersi krzyżem. Rzekł:

- Duchy, nie duchy. Ale coś ci ważnego musiało się przydarzyć. Grzmoty niezwykła to w zimie rzecz.
- Miecz też i koronę widzieli płonące na niebie - dorzucił drugi.
- Pod Sączem koń się pono urodził nóg ośmioro mający - dodał inny.

Siedzieli przy wtórze wichury, kłapiąc zębami z chłodu i przejęcia dziwami, zasłyszanyimi w ciemnościach. Z mroku rozległ się głos Dzika:

- Rad bym wiedział, czy mnie by ten duch dał rady. A zdarzyć cóże się mogło? Rodzą się jedni, umierają drudzy, a wszystko inne zostaje, jak było.

* * *

Mylił się jednak Dzik. W tęże noc zimową, na poznańskim dworcu Dobrawka powiła szczęśliwie zdrowe i silne chłopię, oczekiwanego Mieszkowego dziedzica. Poszły poselstwa do dworów z darami, wieść zaś rozlała się po kraju jak fala wiosennej powodzi, docierając niewiadomymi nieraz drogami w najdalsze zakątki.

Po macierzystym dziadku i wuju, którego proszono w kumy, by umocnić niedawno zawartą przyjaźń, Bolesławem miał być nazwany, co wielką sławę oznacza. Czekano z chrztem na przyjazd proszonych z Pragi gości, którzy zapowiedzieli się na Wielkanoc, tymczasem dla tłumów ludu, ze wszystkich stron starym obyczajem z podarkami dla nowo narodzonego zjeżdżających, nieustanna uczta trwała i topniały resztki niechęci wywołanej wprowadzeniem nowej wiary.

Topniała też i niechęć Mieszka, a wpływ Dobrawki, uzyskany przez nią mądrym postępowaniem, wzmógł się tak, że mało czego Mieszko mógł jej odmówić, a wdzięczny za dziedzica nawet nie wypowiedziane życzenia spełniał.

Jednego też dnia liczny orszak niemieckich rycerzy zawitał na poznański dworzec, a po chwili w objęcia Dobrawki wpadł jej syn z pierwszego małżeństwa, Guncelin.

Przez blisko cztery lata, odkąd go nie widziała, z rzadka jeno wieść jaką otrzymując, z dziecka wyrósł na chłopaka. Żywy był, szczupły, jasnowłosy. W niczym do ciężkiego ojca swego, Guntera, niepodobny, choć strój i mowę miał niemiecką, niepodobny był również do grubokościstych praskich Przemyslidów. Oczy jeno były matczyne, choć w tej chwili w jej oczach błyszczały łzy rozczulenia, a jego świeciły radością, nie tyle z widzenia matki, której zapomniał już na poły, ile z podróży, nowych widoków, wrażeń i ważności swej osoby, otoczonej tak okazałym orszakiem. Wreszcie i z posiadania małego, choć jeno przyrodniego braciszka, który miał zostać potężnym księciem Polan i wielu innych plemion. O tym ojciec powiedziec mu nie omieszkał wysyłając go w podróż na zaproszenie Mieszka, zalecając przypodobać się na dworze, a nawiąawszy stosunki, drogę do życzliwości przyszłego władcy przygotować.

Mało z tego chłopak rozumiał, lecz bez trudu zyskiwał życzliwość dobrodusznych Polan, choćby tym, że przypominając sobie pomału matczyną mowę, wplątywał ją śmiesznie w niemiecki język, a małego ciemnowłosego braciszka który z całkowitą obojętnością, o ile nie spał, wpatrywał się przeważnie w powałę, pokochał od razu serdecznie i, daleki od wszelkich wyrachowań na odległą przyszłość, ofiarował mu z własnej woli przedmiot swej największej dumy: mały, ozdobny mieczyk, pierwszy, jaki otrzymał w życiu.

Szczęście Dobrawki osiągnęło swój szczyt. Ofiara nie poszła na marne, a trwogi i cierpienia w radość się obróciły. Mąż jej, zrazu oporny, coraz ku nowej wierze bardziej się nakłaniał, w czym, prócz własnego, widziała wpływ przydzielonego księciu przez Jordana spowiednika Prochorusa, który ze spokojem i łagodnością łączył stanowczość i dar przekonywania. Lud, szczególnie ubogi, coraz większe ukazywał jej przywiązanie i wdzięczność za opiekę i miłosierdzie. Przyjazd brata na chrzest zbliżył go z Mieszkiem i mogła żywić nadzieję, że wrogie, a przynajmniej zimne stosunki między jej dawną ojczyzną a nową weszły na drogę, która obu panującym i ich narodom korzyść jeno przyniesie. Toteż gdy pochylała się nad kołyską młodszego, obejmując ramieniem starszego syna, za którym tyle lat tęskniła, modlić się mogła jeno, by szczęście jej było trwałe i by błogosławieństwo, jakie spłynęło na nią, stało się udziałem tego niemowlęcia. Wielką jego przyszłość przeczuwała sercem matki, a trudność zadań widziała rozumem królowej.

Często przed jej oczyma stawała piękna, zadumana twarzyczka Ściborowego Stoigniewa. I on przyrodzonym przyjacielem ma być jej syna. Gdzie się teraz znajduje? Wrócić już powinien niedługo z tym dziwnym człowiekiem, który był jego piastunem, a przed którym lęk jakiś odczuwała, jakby w przeczuciu, że przez niego rozpęta się burza, która zaćmi spokojny błękit jej nieba.

Zjazd i uroczystości, związane z chrzcinami Mieszkowego następcy, były już na ukończeniu: Wyjechało poselstwo czeskie, bogato obdarowane, i rozjeżdżali się z wolna przybyli ze wszystkich stron wielmoże, gdy nadbiegli gońce od Śrema z wiadomością, że poselstwo Zbrozły przeszło już Wartę i na wieczór będzie już w Poznaniu.

Uradowała się Dobrawka, że ujrzy Stoigniewa i niecierpliwie przyjazdu oczekiwała, gdy ksiądz Bohowit przyszedł ją odwiedzić. Twarz miał zmierzchłą, co było rzeczą tak niezwykłą u pogodnego zawsze starca, że Dobrawka z niepokojem ją dopytywać się, co było przyczyną jego zmartwienia czy troski.

- Nie wiem, czy powinienem i jak mam to powiedzieć, pani. Ale że pomoc i rada wasza potrzebna będzie, muszę was powiadomić, choć wiem, że troski wam przynoszę.

Księżna przybladła lekko, lecz odparła:

- Jeśli trzeba, i troską podzielę się z wami. Dużo było radości; trzeba przyjąć, co Bóg zsyła.

- Kiedy iście nie wiem, od czego zacząć i jak wam to powiedzieć. Pozwólcie, że przyjdą do was Jordan i Prochorus, może razem nas Bóg natchnie, co czynić.

- Jak uważacie - rzekła Dobrawka i poleciła służebnej posłać po kapłanów.

Siedzieli czekając w milczeniu, jeno z podworców gwar dochodził, mimo zapadającej już nocy. Księżna służebnej ognia naniecić poleciła, a wkrótce weszli oczekiwani.

Prochorus twarz miał spokojną, lecz nieprzeniknioną, na twarzy natomiast Jordana widoczne było wzburzenie, a w głosie brzmiał gniew, gdy mówił:

- Gdybym nie uległ namowom czcigodnych braci, Bohowita i Prochorusa, nie do was, pani, lecz wprost do pana udałbym się z tym, co mi obowiązek, jako odpowiedzialnego za losy i powagę Kościoła w tym kraju, powiedzieć nakazuje.

- Wdzięczna jestem ojcom Bohowitowi i Prochorusowi, że wam w gniewie do pana iść nie dali. Wolej niech spadnie na mnie. Choćby niesłuszny, przyjmę go w pokorze. Małżonek mój sam rzadko wybucha, ale cudzego gniewu nie zniesie. Niech wiem jednak, jaka jest przyczyna. Jeśli potrafię, usunąć jej nie omieszkam.

- Nie z gniewem, ale o pomoc i radę do was my przyszli - rzekł łagodniej Jordan - a jaka przyczyna, niech ojciec Prochorus wyjaśni.

- Człek jeden pobożny a znaczny, którego imienia jednak wymienić mi nie wolno, wyznał, że długi czas przez nieświadomość przestawał z drugim, za mord, popełniony na swym krewnym i wielu kapłanach, z Kościoła klątwą usuniętym. Bezbożny ten człek nie tylko nie nakłonił się do pokuty, lecz lata całe od zbrodni do zbrodni przemocą, podstępem i nawet czarami idzie - tu przeżegnał się nabożny Prochorus - z własnej woli szatanowi przeciw Bogu służąc, za co ten siłę mu daje, jaką od Boga święci chyba otrzymują czasami.

Dobrawka słuchała przejęta, lecz gdy Prochorus skończył, powiedziała:

- Wygnać lub ukarać trzeba wywołańca i czarownika. A pewnie małżonek mój nie odmówi potrzebnej pomocy. Lecz cóż się to ma do mnie i małżonka mego?

- Człek ten jest kniazia najbliższym zaufanym. Znacie go: zowie się Zbrozło.

Dobrawka pobladła i pot wystąpił jej na czoło. Otarła je krawką szaty i szepnęła jakby do siebie:

- Nie myliło mnie przeczucie.

Gdy patrzyli na nią w milczeniu, krzyknęła:

- I niewinnego Stoigniewa w takie oddano ręce! Ale małżonek mój wiedzieć o tym nie może. Jakaż jego wina? Odegna pewnie, gdy się dowie.

Ukryła twarz w dłoniach.

- I ja tak mniemałem - rzekł dobrotliwie Bohowit - lecz Jordan innego jest zdania.

- Bo rozum mi waszego podzielać nie pozwala - odparł Jordan. - Książ Mieszko jest zbyt ostrożny i przemyślny, by do poufałości dopuścił i do ważnych zadań używał człeka, którego przeszłość i

pochodzenie nie byłoby mu dokładnie wiadome.

- Myślę, pani, że ojciec Jordan ma słuszość - wtrącił Prochorus. - Wina kniazia tym się w części tłumaczy, że jako poganin na te sprawy obojętny, a przywykły albo i potrzebując usług tego czarownika, po swym chrzcie nie chciał go oddalać.

- Ale ochrzciwszy się, przekłętogo człeka nie tylko nie oddalił, lecz na obrazę Ojcu Świętemu do Rzymu wysłał z poselstwem - oburzył się Jordan.

- Najlichszego człeka sądzić nie wolno bez wysłuchania - rzekł Bohowit. - Was, pani, prosimy, byście małżonka waszego skłonili, aby wyrzekł, jeśli ma co na swoją obronę, a przede wszystkim, aby odciął się od zła, oddalając wywołańca, jeśli już, jak obawiać się należy, karać go nie zechce. Inaczej, klątwa i na niego spaść musi.

Straszne słowo kamieniem przygniotło obecnych. Zaległo milczenie. Dobrawka ledwie myśleć śmiała, jaki będzie koniec sprawy. Wołać do tłumaczenia się tego człowieka, który nawet zamiary swe kryć nawykł przed najbliższymi, a zmuszony ustąpić przed silniejszym, latami czaić się umiał, by chwilę słabości wypatrzeć i uderzyć, zdało jej się rzeczą niemożliwą. Zarazem uprzytomniła sobie, że żądanie Jordana, by księżę grzech odrzucił i winę zmasał, jest słusze i nie może odstąpić od niego. Nie miała prawie wątpliwości, że Mieszko jeno gniewem wybuchnie, zimnym, bezwzględny i okrutny. Nie chciała myśleć o tym, co stać się może. Przeczuwała, że runąć może wszystko, co wybudowała, i szczęście jej własne, i dziecka, gdyż Mieszko nie znieśli jej udziału w tej sprawie przeciw sobie.

Równocześnie sumienie jej mówiło, że musi położyć wagę swego wpływu, by męża do posłuszeństwa Kościołowi nakłonić. Grozi mu klątwa, jeśli się nie ugnie, klątwa, która dotknie także i ją, i jej syna, która zniweczyć może całe dzieło nawrócenia i zagrozić przyszłości kraju. Cóż znaczy jej szczęście? Nie utrzyma go nikt, jak nie utrzyma cienia, gdy słońce zajdzie. Kto to powiedział? W udręczonej głowie utkwiło to pytanie i męczyła się chcąc sobie przypomnieć. To on! Zbrozło!

Przestała się wahać. Klasnęła w dłonie i pacholcowi, który wszedł, poleciła:

- Biegnij do pana, by raczył mnie, nie mieszkając, w ważnej sprawie nawiedzić.

Siedzieli milcząc w blaskach przygasającego ognia. Dobrawka słyszała tętnienie krwi w uszach, które jej się zdało krokami przeznaczenia. Wreszcie w rytm jego wmieszały się inne kroki, szybsze i lżejsze, i Mieszko wszedł do komnaty.

Wstali na jego widok, a Mieszko, który spodziewał się zastać żonę samą, spojrzął z pewnym zdziwieniem, lecz rzekł lekko:

- Cóż to? Spisek czy sąd? - po czym dodał:

- Dobrze, że was widzę ojczyźnie. Przed chwilą wróciło z Rzymu poselstwo. Przywieźli wam pastorał, infułę i pierścień, jako biskupowi Polski, oraz mnichów do waszego domu w Trzemesznie. Właśnie u mnie Zbrozło bawi ze sprawozdaniem z podróży.

Umilkł, a gdy nikt się nie odezwał, podszedł do komina i siadając na zydlu, spytał zimno:

- Nie cieszycie się, ojcze Jordanie?

- By się cieszyć duszę trzeba mieć wolną od zgryzot - odparł poważnie Jordan.

Mieszko spojrział pytająco, a gdy milczeli, zapytał już podrażniony:

- Cóż za zgryzota, gdy wszystko dla waszego i mojego dzieła najpomyślniej się układa?

Gdy milczeli nadal, rzucił ostro:

- Odpowiadać!

- Poselstwo wasze - zaczął Jordan - przywiódł człowiek który za zbrodnie z Kościoła wyklęty i wywołany został. Wody ni ognia takiemu pod klątwą użyzyć nie wolno. Oddalony być musi natychmiast od waszej osoby, a jeśli wiadome wam było, jak przypuszczać należy, kim jest - a pospółstwo nawet szepce, że to czarownik - pokutę czynić musicie.

Mieszko patrzył na Jordana dziwnym wzrokiem. Twarz miał zastygłą, jeno w oczach czaił się gniew i nieufność.

Jordan wytrzymał wzrok księcia, który po chwili napiętego milczenia zapytał na pozór spokojnie, ale spokój ten nie zmylił Dobrawki:

Nim wam odpowiem, dowiem się naprzód, kto wam tę wiadomość podał?

- Ja! - rzekł spokojnie Prochorus.

Mieszko, zdziwiony, ostry wzrok zwrócił na kapłana i zapytał:

- A wam skąd o tym wiadomo?

- Tego wyjawić nie mogę - odparł niewzruszony Prochorus.

Mieszko wstał, lecz usiadł zaraz z powrotem i patrzył na kapłana. Ważył się widocznie, czy złamać opór, czy przekonać opornego. Zmienionym głosem powiedział:

- Ten, kto wam to powiedział, mnie chciał wytrącić potrzebne narzędzie i tajemnicę rozgłosić, która musi być utrzymana. Umiecie wy dbać o powagę i pożytek Kościoła, ja o państwo dbać muszę. Albo powiecie tedy, kto wam to zdradził, aby jako zdrajca został ukarany, albo sami poniesiecie karę.

- Tajemnicy, która jako kapłanowi została mi powierzona, wydać nie mogę - rzekł nieporuszony Prochorus. - Sami byście tajemnic swego sumienia powierzyć mi nie mogli, gdybym cudzą zdradził.

- Nie mówcie mi o sumieniu, gdy zdrajcę chcę dostać! - krzyknął Mieszko. - Albo dowiem się, kto mnie śledzi i donosić się waży, albo dowiecie się wy, że wola moja tu pierwszym prawem.

- Dla mnie wola Boża - odparł Prochorus z poddaniem.

Mieszko klasnął w dłonie i do wchodzącego pachółka krzyknął:

- Straż!

A gdy ten zdziwiony patrzył na księcia, nie rozumiejąc, skoczył ku niemu i powtórzył: - Straż! - tak strasznym głosem, że pachółek jak oparzony zatrzasnął drzwi i popędził.

Stali wszyscy w okropnym napięciu, gdy nagle Dobrawka, powstrzymać się nie mogąc, wybuchnęła płaczem i rzuciwszy się do kolan Mieszkowi, zawołała:

- Miejcie, panie, litość nad nami i sobą! Choć przez noc wstrzymajcie się, nim coś strasznego popełnicie, co się odwrócić nie da. Zostawcie czas do namysłu sobie, Bóg was oświeci, co robić.

Mieszko patrzył na klęczącą, po czym odwrócił się i wyszedł bez słowa. Dobrawka wstała i zataczając się podeszła do klęcznika przy oknie. Uklękła i ukrywszy twarz w dłoniach, pozostała w milczeniu. Kapłani spojrzeli po sobie i nic nie mówiąc cicho opuścili komnatę.

Czas płynął, ogień na kominie wygasł i wpadający przez otwarte okno chłód przeniknął Dobrawkę. Odjęła dłonie od twarzy i ujrzała światło w oknie położonego naprzeciw budynku. Była to sypialnia Mieszka. Czuwał widocznie.

Księżna modlić się zaczęła, wznosząc oczy ku wyiskrzonemu wiosennymi gwiazdami niebu, zapominając, co dzieje się wokoło. Rozmodlenie jej przerwał dopiero ruch w mrocznym podworcu. Usłyszała tupot kopyt, który zatrzymał się przed wejściem. Jakaś ciemna postać wysunęła się z głównych drzwi budynku i chwilę szeptem rozmawiała z drugim cieniem, który stał przy koniach. Potem wskoczyli w siodła i ruszyli ku bramie. Rozległ się zgrzyt wrzeczydzy cichy, lecz wyraźny i na podworcu zapanował zupełny spokój. Światło w oknie Mieszkowym zgasło. Na wschodzie zaczęło się już przejaśniać. Był przedświt.

- Znużona, lecz spokojniejsza Dobrawka wstała i udała się do sąsiedniej komnaty, gdzie pod opieką piastunki spało dziecko. W ciemnościach cicho podeszła do kołyski, słuchając jego spokojnego oddechu. Spłynęła na nią ulga, jakby niebezpieczeństwo wszelkie już minęło i wróciwszy do siebie, jak stała, rzuciła się na łoże i natychmiast usnęła.

Gdy obudziła się, komnatę zalewał jaskrawy blask słońca, a nad nią stała wierna Marzenka. Dobrawka usiadła na posłaniu i przez chwilę jeszcze walczyła ze snem, mrużąc oczy, po czym otrzeźwiawszy zaniepokoiła się wspomnieniami wczorajszego wieczoru i zapytała trwożnie:

- Stało się co?

- Nie, miłościwa pani, jeno ojciec Jordan dawno czeka na was, a kniaź wyjechał rankiem i kazał wam powiedzieć, że za kilka dni wróci.

Księżna ogarnęła się co prędzej na przyjęcie Jordana. Wszedł ze śladami bezsenności na twarzy. Niezwykle serdecznie i z wielką czcią ją powitał:

- Wybaczcie, że was znowu niepokoję, lecz jeno oznajmić wam chciałem, że Zbrozło zniknął jeszcze w nocy, a kniaź, Prochorusa w spokoju zostawiwszy, wyjechał. Wam to, myślę, pani, zawdzięczamy. Ja do Trzemeszna wyruszam z przybyłymi mnichami i Prochorusem, gdzie zostanę, póki mnie kniaź nie wezwie. Łatwiej panu przenieść przyjdzie ustępstwo, gdy nas nie będzie na oczach. Dlatego widno wyjechał.

- Bogu dziękujmy, że go natchnął. Niech mężowi memu posłuszeństwo za pokutę stanie. Nielekką mu była.

Jordan skinął głową poważnie i żegnając się krzyż nad głową Dobrawki nakreślił.

Przed wojną z Redarami

Mieszko, wyszedłszy od Dobrawki, wzburzony, nadbiegającą straż skinieniem ręki bez słowa odprawił i wróciwszy do siebie, chodzić począł po komnacie wielkimi krokami.

Zbrozło, który czekał na powrót Mieszka, wodził za nim oczyma i mijała chwila za chwilą, a żaden nie wyrzekł słowa.

Księżę wstrząśnięty był do głębi nie tyle odmową Prochorusa wyjawienia nazwiska donosiciela, gdyż mimo gniewu rozumiał jej przyczynę, ile tym, że zajście uprzytomniło mu, iż tu, gdzie dotychczas rządził, jak chciał, wszedł czynnik inny, który choć żadną widomą siłą nie poparty, śmie mu się przeciwstawiać, co więcej, jemu sposób postępowania narzucać, ba! sądzić go się ośmiela. Na toż wygnał kapłanów starej wiary, a samą odrzucił, by ugiąć się przed nowymi, obcymi dla niego i jego ludu? Widział wyraźnie korzyść nowej organizacji kościelnej, która mu do uporządkowania państwa była konieczna, lecz wzdragał się przed zależnością, jaką po raz pierwszy przywiedziono mu przed oczy. Dotychczas siłą nawykł łamał przeciwieństwa, czuł zaś, że tutaj nic nie wskóra. Własna żona, choć z prośbą i pokorą, przeciw niemu stanęła. I to też musiał nowej wierze przypisać. Któż z pogańskich żon jego ważyłaby się na to, co Dobrawka?! Fale gniewu, jedna za drugą, ćmiły mu umysł, lecz to jeno czuł, że póki się nie uspokoi, niczego postanowić nie powinien. Tu musiał przyznać przed sobą, że jedynie Dobrawka mogła go powstrzymać od nieopatrzego kroku; każdej z dawnych odpowiedziałby pogardliwym wygnaniem.

Przez nią też odczuwać zaczął, że jest coś wielkiego w nowej wierze, co zmienia duszę ludzką i nowy sens daje życiu. A także nową siłę. Przykład miał na Prochorusie, który tego niezrozumiałego Boga nie ustami tylko stawiał wyżej ponad księcia i własną osobę.

Gniew Mieszka przechodził, pozostawała zimna złość na tego nieznanego człowieka, który był przyczyną zajścia, i troska, co począć ze Zbrozłą. Był mu potrzebny i zarazem żał mu go było i wstyd, że oddalić go będzie musiał. Nie wiedział, jak mu przez usta przejść potrafi taki nakaz. Tłumaczyć się będzie trzeba przed tym człowiekiem, który nawet twarzą nie da poznać nic po sobie i Mieszko nawet wiedzieć nie będzie, czy Zbrozło nim nie będzie gardził. Na samą myśl rumieniec okrył oblicze księcia. Nie wstydził się jeszcze nigdy w życiu.

Godziny płynęły, znużenie przemagać zaczęło nad uczuciami Mieszka. Zbrozło siedział nieporuszony, na oczy padał mu cień krzaczastych brwi. Mieszko, który przez chwilę zapomniał o jego obecności, uspokoiwszy się, stanął przed nim i zapytał cicho:

- śpicie?
- Nie, miłościwy panie.
- Wybaczcie, że was nie zwolniłem. Zapomniałem, że znużeni być musicie z dalekiej podróży.
- Nie, miłościwy panie - powtórzył Zbrozło.
- Powiem wam wprost. Żądają ode mnie, bym was wygnał.

- Kapłani? Jeśli to was tak wzburzyło, żałuję, że z góry nie przestrzegł i nie objaśnił. Wiedziałem, że do tego dojdzie i w Rzymie zwolnienie z klątwy zyskałem.

Mieszko, zaskoczony, ze zdumieniem patrzył na Zbrozłę.

- Mówiliście, że żałować ni pokutować nie myślicie.

Zbrozło machnął ręką i odparł:

- Nie o mnie chodzi, a pokutę wy za mnie odprawić musicie. Kościół mi pobudować kazano. Wiecie, że nie mam nic swojego. Wy i tak kościoły będziecie budować, jeden możecie postawić w moim imieniu.

Mieszko zamyślił się i rzekł:

- Najgorsze odpadło. Ale zarzucają wam, żeście czarownikiem.

- Samiście przecie tak myśleli. Zniknę na jakiś czas, to sprawa przycichnie. Kapłani, chybiwszy jednym zarzutem, przy drugim nie będą się ważyli obstawać, a ukarajcie kogoś, kto to powtórzy, to i szeptać przestaną.

- Ukarać chciałbym naprzód tego, co doniósł na was kapłanom. Z tego, co mówicie, widno, że wiecie kto zaczął.

- Nędzny człowiek, ale go życie takim zrobiło. Ukarze go własna złość, tymczasem niech żyje.

- Jak chcecie - zakończył Mieszko. - Dość o tym. Jeśli wyjechać macie, chciałbym inną sprawę omówić. W kraju już spokój, od granic także. Czas sposobny, by umocnić się na Pomorzu, Redarom i ich sprzymierzeńcom naukę dać, a Wichmana skończyć. Inaczej wisieć będą nad nami by uderzyć, gdy ja gdzie indziej będę związany, jak przed czterema laty, kiedy ojciec mój umierał, a Gero groził Milsku i Łużycom. Za Santok i za brata czas im odpłacić.

- Pora sposobna. Lepiej byłoby jednak, by oni nas napadli. W swoim kraju łatwiej wroga tam ściągnąć, gdzie go pokonać lżej.

- Tak i ja myślę, tym bardziej że Bolko czeski pomoc mi przyrzekł w razie napadu. Wiciami nie chcę ludu zwoływać, bo zaraz o tym głośno, z drużyną więc jedynie i niewielką liczbą grodowych od tamtej granicy z Lubuszy i Santoku trzeba sprawę rozstrzygnąć. Czesi mężni są i do bitwy wprawni, ale nie tyle o ich pomoc stoję ale by poróżnić ich z Weletami, z którymi zawdy trzymają, bo im chodzi o drogi do morza.

- Na kiedy wyprawę przygotować myślicie?

- Przed jesienią nie zdążymy. Spyżę trzeba zebrać i łodzi narządzić. Jeśli się powiedzie, jak myślę, Wolin chcę zająć jednym zamachem. Trzeba mieć wojsko czym przeprowadzić.

- Hermana chcecie wciągnąć? Cesarz słabość ma do Wichmana, ale Hermanowi już dojadł bratanek.

- To już wam zostawiam jako i resztę. Dokąd ninie udać się myślicie?
 - Czas mamy. Do Dzika w Krakowskie pojedę.
 - Dobrze, żeście o nim wspomnieli. Rad bym go miał na wyprawie.
 - I on rad pojedzie. Zawsze sobie Wichmana obiecywał.
 - A z młodym Stoigniewem co uczynicie? Ja do Ścibora się wybieram, może by go ojcu pokazać? Dziecko to jeszcze prawie, znużyć go podróż musiała.
 - Niechby i matkę odwiedził. I księżna się o niego upominała, może i tu posiedzieć. A znużył się, to wypocznie.
 - To go teraz tu ostawię. Rodzicieli później odwiedzi.
 - Jak uważacie. Ale noc ma się już ku schyłkowi, czas wam spocząć, panie.
 - A wy nie spoczniecie?
 - Miałem i tak rankiem jechać, pojedę zaraz. Konia mi jeno każcie panie przywieść. Pachołek mój śpi na straży przy bramie. Lepiej, by mnie już rankiem nie było.
- Mieszko klasnął w dłonie, konia dla Zbrozły sprowadzić polecił i nakazał, by orszak do wyjazdu był gotowy, gdy rozednieje.

Druhowie

W południe Dobrawka, wypocząwszy po nocnych przejściach, wybierała się z małym Bolesławem na przechadzkę, by skorzystać z pięknej wiosennej pogody, gdy oznajmiono jej odwiedziny Stoigniewa, który po powrocie z podróży przyszedł w towarzystwie mnicha Urbana stryjną powitać.

Stoigniew wyrósł był znacznie. Choć młodszy od Guncelina, wyższy był od niego. Zachowywał się poważnie i powściągliwie, lecz wyraz smutku zniknął z jego twarzy, a żywe oczy zdradzały, że spokój nie jest mu przyrodzony.

Nie zwracając uwagi na Guncelina, który spodziewał się towarzysza do zabaw uzyskać, odpowiadał rozsądnie na zadawane pytania, żywo przebieg podróży opowiadał a biegle władając italskim językiem, nadzorcy swemu Urbanowi, służył za tłumacza, gdy ten do rozmowy pragnął się wtrącić.

Dobrawka z wielką przyjemnością patrzyła na dorodne i miłe chłopię, które matczyne wyrachowania tak dobrze ziścić obiecywało. Z radością też spełniła prośbę Stoigniewa, by mu nie znanego jeszcze stryjecznego brata pokazać, i zawiadła chłopców do sąsiedniej komnaty, gdzie pod opieką piastunki przyszyły zwycięzca zajęty był ssaniem kciuka prawej ręki, która miecz o kijowskie bramy wyszczerbić miała.

Stoigniew patrzył z ciekawością na braciszka, po czym uśmiechnął się mówiąc:

- Aż cudno pomyśleć, że taki malec będzie panującym kniazem, a wszyscy go słuchać będą musieli.

I wydobywszy z zanadru pięknymi barwami na pergaminie malowany obrazek św. Jerzego, położył go koło kołyski.

- Najdroższe to, co z podróży przywiozłem. U nas takich robić nie umieją. - Powiedział.

Uradowana Dobrawka bratanka objęła, dziękując za dar, i ucałowawszy go, rzekła:

- Do rodzicieli pewnie wnet pojedziesz, ale radość mi, że choć czas jakiś zostaniesz z nami. Może i zaprzyjaźnisz się z Guncelinem, nim Bolko na tyle wyrośnie, by mógł w was mieć towarzyszy. Bałam się o ciebie, że pod opieką zostajesz tego złego człeka.

Stoigniew zeszywniał i zapytał nieswoim głosem, tak że zwrócił uwagę Dobrawki:

- Jakiego złego człeka?

Księżna spostrzegła że uraziła chłopaka i uczyniło jej się przykro, lecz ani cofać się nie czas było, ani odwoływać zdania nie widziała możliwości. Dokończyła więc!

- Zbrozły.

Stoigniew jak stał, szarpnął się i wyrwawszy się z jej ramion wypadł z komnaty. Zaskoczonej Dobrawce na płacz się zbierało; jedna przykrość po drugiej spotykała ją przez Zbrozłą. Urban zaczął coś szybko mówić w podnieceniu, lecz nie było komu tłumaczyć jego przemówienia: Guncelin

natomiast, widząc przykrość matki, zawołał:

- Ja go przywiode z powrotem!

I nie czekając, co powie matka, popędził za Stoigniewem.

Księżna, ukrywając twarz w dłoniach, wstrzymywała płacz. Nie ochłonęła jeszcze po nocnych przejściach i nagle nowa przykrość spadła na nią tak niespodziewanie. Wstała i skinąwszy głową mnichowi, odeszła do siebie, gdzie folgę dała łzom, których wstydziła się przy ludziach.

Uspokoiła się po chwili i czekała na powrót Guncelina, by udać się na zamierzoną przechadzkę. Zniecierpliwiona czekaniem, przywoławszy pachółka, kazała chłopca odnaleźć. Pachółek nie nadchodził dłuższy czas, wreszcie wrócił, ale sam.

- Nigdzie go znaleźć nie można - powiedział.

Dobrawka, zaniepokojona, kazała Marzence zawołać komornika Jarosza, który nad służbą w niewieścich budynkach miał nadzór, i obydwu chłopców poleciła szukać, słusznie mniemając, że razem gdzieś pewnie będą, po czym udała się na przechadzkę z Bolkiem. Niepokoiła się jednak, więc wróciła niebawem i gdy Guncelina w domu nie zastała, poleciła przywołać Jarosza. Ten nadszedł wkrótce, sam zaniepokojony, gdyż jeno od straży przy bramie dowiedział się, że widzieli Stoigniewa wychodzącego z podworców, a po chwili biegnącego za nim Guncelina. Straże porozsyłał po mieście, by chłopców szukały, i spodziewał się każdej chwili przyprowadzenia zbiegów lub przynajmniej wieści o nich. Zmrok jednak już zapadał, a widać nie było nikogo. Przybiegł natomiast brat Urban z tłumaczem i wielce podniecony Dobrawce wyjaśnił, że oddany mu także pod opiekę sierota, bratanek jednego z mnichów Tuni, z którym Stoigniew w podróży zaprzyjaźnił się bardzo, zniknął również.

Głowili się wszyscy, co by to znaczyć mogło, lecz noc nadchodziła i nie zjawił się żaden z chłopców. Księżna z ciężkim sercem poszła do łoża, nie spodziewając się zasnąć. Przemogło jednak znużenie. Spała bez marzeń, kamiennym snem i gdy się obudziła, dzień już był jasny. Oprzytomniawszy zerwała się z posłania i zawołała na Marzenkę.

Zawołana weszła witając ją od progu:

- Chwalić Boga, Guncelin rano powrócił. Spać go ułożyłam, spokojni bądźcie, pani.

Dobrawka odetchnęła z ulgą, lecz zaraz spytała żywo:

- A tamten?

- Razem wszyscy wrócili, jeno tamtych Urban do lochu za karę zamknąć kazał.

Kamień spadł z serca Dobrawce. Ubrała się szybko i posłała po brata Urbana.

* * *

Stoigniew wypadł od stryjny wzburzony i pędził przed siebie bez celu. Wybiegł za bramę i spostrzegł towarzysza swego, Tuniego, z którym poprzednio umówił się na wyprawę nad Wartę celem odszukania chaty, gdzie Dzika więziono, o czym prócz innych przygód opowiadał mu Zbrozło.

Tuni, ujrzawszy biegnącego, podkasał habit, w który był ubrany, i popędził wraz z nim przez bramę w wale miejskim, aż znaleźli się na łąkach nad Wartą.

Tuni, cokolwiek starszy od Stoigniewa, z dawna był sierotą. Gdy zmarła starsza krewna, u której się chował, stryj jego, mnich w jednym z rzymskich klasztorów, wziął go do szkoły prowadzonej przy zgromadzeniu dla synów patrycjuszy i z góry do zakonu przeznaczył, jakkolwiek żywa i swawolna natura chłopca niejednokrotnie trosk i zmartwień była powodem. Gdy zaś przyszło mu jechać do dalekiej, nieznaney Polski, nie chciał bratanka zostawiać między obcymi i zabrał go ze sobą ku wielkiej jego radości.

Podczas długiej podróży chłopcy przylgnęli do siebie, choć różni wychowaniem, obaj jednak żądni nowości i przygód, jakie im wyobraźnia przed oczy stawiała. Obydwom to dotychczas na dobre wychodziło, gdyż rozmawiając całymi dniami, Stoigniew wprawnie zaczął mówić italskim językiem, którego się już podczas pobytu w Rzymie poduczył; Tuni zaś na tyle nauczył się słowiańskiego, że mógł się od biedy rozmówić. Stoigniew zazdrościł Tuniemu znajomości łacińskiego języka, a zwłaszcza pisma, które dla niego wiedzę równą czarom stanowiło, i Tuni przyrzekł, że uczyć go będzie, do czego jednak w podróży nie znaleźli sposobności.

Przygody Dzika rozpałały ich wyobraźnię, a Zbrozło był dla nich postacią z bajki, wszechmocną i wszechwiedzącą, do czego u Stoigniewa przyłączyło się przywiązanie i zżycie, tak że za piastuna swego w ogień by skoczył.

Toteż usłyszawszy złe słowo o nim od stryjny, Stoigniew zawrzał cały, a nie mogąc wzburzenia wyładować, uciekał przed swym gniewem, póki mu stało oddechu, a Tuni biegł przy nim rozmyślając, co by było tej niezrozumiałej ucieczki przyczyną.

Stanęli wreszcie i dysząc spoglądać poczęli na siebie, a Tuni, wydechawszy się, zapytał:

- Gonił cię kto?

- Nie, ino stryjna Zbrozłą zelżyła.

I opowiedział zajście, a Tuni zamyślił się i rzekł:

- Mówią że księżna dobra, musiał jej kto nagadać.

- Wszystko jedno, nie daruję. A każą mi do niej chodzić, ucieknę do Zbrozły.

Tuni zasmucił się i zapytał:

- Zostawisz mnie samego?

- Możesz uciekać ze mną.

- A wiesz to, gdzie Zbrozło jest? Wyjechał przecie.

- Gdyby nie wyjechał, toby do niego uciekać nie było można. Pewnie u Dzika będzie bo mówił, że chce go odwiedzić. Uciekłbym do matki, ale tam by szukali. Albo do zbójców pójdziemy.

- Wezmą to nas, kiedyśmy jeszcze za młodzi?

- Dzik młodszy był, gdy przystał do zbójów.

Rozmowę przerwał Tuni wskazując na chłopca biegnącego od bramy, a Stoigniew, spojrzawszy, rzekł:

- To jest stryjny syn po pierwszym mężu. Po co leci tutaj? Nie chcę go znać, kiedy stryjna na Zbrozłę gada.

I wstawszy z miejsca, odwrócił się plecyma do nadbiegającego i zaczął iść w kierunku Warty, a za nim Tuni oglądając się za siebie.

Guncelin, dopadłszy chłopców, powiedział:

- Wróćże się! Matce płakać się chce przez ciebie, a wróci kniaź, to cię ukarać gotowy, żeś się nieprzystojnie zachował.

Stoigniew odwrócił się, a twarz mu poczerwieniała, gdy rzekł:

- A skarżcie na mnie. Zajedno mi, ty... Niemcze!

Guncelin zapłonął się, ale odparł:

- Dziadek mój królem czeskim jest. Co mnie masz wyzywać?

I położywszy rękę na ramieniu Stoigniewa, rzekł gniewnie:

- Wracaj zaraz, a nie, to cię zawiodę.

Tego było Stoigniewowi za wiele. Przemknęła mu myśl, że jeśli zbije tego chłopaka, stryjnie sprawi przykrość, i nie zastanawiając się wiele, palnął pięścią w twarz Guncelina.

Guncelin skoczył na niego i szepiwszy się, tarzali się po trawie, nie zważając na odświętne szaty, w jakie byli przybrani. Tuni stał i serce mu skakało, by udział wziąć w bójce po stronie przyjaciela, lecz pomoc była niepotrzebna, bo silniejszy Stoigniew przemógł przeciwnika i siadłszy mu na brzuchu, tłukł leżącego pięściami, zapamiętały w gniewie.

Na ten widok rozsądniejszy Tuni ściągnął przyjaciela z pokonanego, którego wyglądem strapił się srodze: Twarz Guncelina spuchnięta była i zmieniona. Z rozbitego nosa i warg sącząca się krew, rozmazana po całej twarzy, ledwo go poznać pozwalała, a nowe szaty wykazywały znaczną ilość nie dających się naprawić uszkodzeń.

Guncelin usiadł z trudem, wypływając krew z ust, a Stoigniew, spojrzawszy na swe dzieło, zmieszał się trochę, a nawet żal mu się uczyniło chłopaka i lekki niepokój go ogarnął. Pomógł też wraz z Tunim wstać Guncelinowi i za radą rozsądnego Tuniego skierowali się do Warty, by obmyć ślady walki.

Po umyciu jednak twarz Guncelina niewiele lepszy przedstawiała widok. Nos i wargi miał opuchnięte, a jednego oka prawie widać nie było. Guncelin trochę otrzeźwiał, lecz nie odzywał się i pozwalał Tuniemu zabiegać koło siebie.

Wreszcie, widząc bezskuteczność starań, Tuni odezwał się strapiony:

- Chyba nam zaraz uciekać. Tego nam nie darują.
- A niech nie darują - rzekł Stoigniew. - Tyś zresztą niewinowaty.
- Zawdy ja, jako starszy, przeszkodzić winienem, zresztą zganiał na ciebie nie będę.

Tu milczący dotychczas Guncelin odezwał się:

- Zganiać nie ma co, nie powiem nikomu.

Stoigniew spojrział nieufnie, lecz bardziej doświadczony Tuni rzekł:

- Cóż, że nie powiesz, kiedy każdy pozna, że bójka była. A z kim, zgadnąć nietrudno.
- To nie pójdę do domu, póki nie zejdzie spuchlizna.
- Do jutra nie zejdzie!
- To nie pójdę do jutra.

Stoigniew spojrział z pewnym uznaniem na niedawnego przeciwnika, a Tuni zalecił im:

- To się pogódźcie. Razem przecie z nim zostać musimy, a po prawdzie nic ci nie winien.

Stoigniewowi złość przeszła i wstydził się trochę wybuchu, lecz nie chciał ręki pierwszy wyciągnąć, bojąc się odmowy ze strony Guncelina. Ten jednak rzekł:

- Złości nie żywię i pogodzę się jeśli Stoigniew przyrzecze, że do matki złości żywić nie będzie.
- Powinieneś przyrzec - wtrącił Tuni pojednawczo. - Zbrozlę ktoś pewnikiem obmówił przed księżną.
- Dobrze - rzekł Stoigniew i podawszy sobie z Guncelinem ręce, szczerze się uścisnęli.

Chłopcy naradzać się poczęli, co robić z przymusową swobodą. Przezorny Tuni pomyślał o obiedzie i udawszy się sam do pobliskiej chaty rybaka, przyniósł ryby, placki z prosa i żaru na ogień, po czym

zapaliwszy ognisko, rozgwarzyli się na dobre.

Czas upływał, słońce miało się ku zachodowi i pomyśleć trzeba było o noclegu.

- Gdzieś ci tu chata musi być, gdzie złodzieje Dzika więzili - rzekł Stoigniew. - Poznałbym ją może, bo Zbrozło opisał mi ją dokładnie.

- Straszno tam spać - przeżegnał się Tuni.

- Zbrozło ni Dzik nie boją się niczego, a stało im się co? Idziemy!

Przeszli międzyrzecki gościniec i po chwili Stoigniew rozróżnił z dala opisaną chatę, którą tym łatwiej można było poznać, że zarosła dokoła zielskiem, ziejąc czarnymi otworami okien pozbawionych okiennic.

W zapadającym mroku weszli podnieceni do wnętrza, nadrabiając minami i mówiąc szeptem do siebie. Niesporo im było po chwili zaś Tuni wstał mówiąc:

- Chłodno będzie, przyniosę żaru z ogniska. Nazbierajcie tymczasem suszu z drzew.

Wyszli, a wkrótce na wpółrozwalonym palenisku zapłonął mały ogienek, by do rana starczyło, a chłopcy, rozgościwszy się, jak który mógł gwarzyli, zrazu z cicha, później zaś coraz śmielej. Nie spostrzegli się nawet, gdy niebo srebrzyć się zaczęło na wschodzie, a świt przeważył nad czerwonym blaskiem ognia.

Wyszli przed chatę. Ptaki już się odzywały. Puścili się ku miastu. Tuni, spojrzawszy na Guncelina, rzekł:

- Wszystko dobrze, jeno oko miałeś wczoraj spuchnięte, a ninie czarne jest i z tydzień będzie takie. Na darmośmy noc zmarnowali.

- Powiem, zem się o gałąź trącił. Albo najlepiej nic nie powiem, niech robią, co chcą.

- I tak głów nam nie zetną - rzucił Stoigniew lekko.

Głów im nie ścięto, lecz gdy pożegnawszy się przy bramie, równo ze słońcem, Stoigniew z Tunim chyłkiem zmierzali do swej izby, brat Urban, wpadłszy na nich i o nic nie pytając, do lochu ich zamknąć kazał.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi, odezwał się Stoigniew:

- Takim śpiący, że zajedno mi wszystko.

I zwaliwszy się na garść słomy leżącej w kącie, zasnął natychmiast. Tuni przez chwilę głowił się jeszcze nad położeniem, lecz i jemu myśl urwała się w pół i zasnął nie wiedząc kiedy.

Obudziły ich dopiero głosy i światło. Drzwi rozwarły się i ku swemu zdziwieniu poznali Guncelina.

Dozorca, który go przyprowadził, postawił dzban wody i bochen chleba położył przed nim, po czym, nic nie mówiąc, zamknął drzwi.

Gdy przebrzmiały kroki oddalającego się dozorczy, Guncelin zaśmiał się:

- Znowuśmy razem! pp

I położywszy przyniesione ze sobą zawiniątko, usiadł na ziemi przy Stoigniewie, który przy słabym już świetle dnia, sączącym się przez małe okienko, wziął się rażno do chleba, gdyż głód poczuł po poście wczorajszym. Tuni poszedł za jego przykładem.

Gdy podjedli, czkawka zaczęła dręczyć Stoigniewa po suchym chlebie, który łykał wielkimi kęsami, i przerywanym głosem zwrócił się do Guncelina:

- Wolałbym, byśmy gdzie indziej byli razem. Ale skądś się tu wziął?

- Matka kazała mnie zamknąć. Gdy dowiedziała się od Urbana, że was zamknięto na chleb i wodę, zaraz rzekła, że siedzieć musimy wszyscy albo nikt.

- Bardzo się gniewała?

- E, nie bardzo. Rada była, żem wrócił.

- A nie pytała, gdzieś szaty podarł i oko podbił?

- Nic nie pytała, widno wiedziała. Na ciebie też nie gniewna, bo załadować kazała, co się dało, i wam posyła.

To rzekłszy rozłożył zawiniątko i smakowity zapach wędzonego mięsa zdradził, co zawiera. Po przeproszonym dniu i nie przespanej nocy nie trzeba było chłopców zachęcać do jedzenia i zawartość zawiniątka wnet stopniała. Byłaby zniknęła całkiem, gdyby nie przezorność Tuniego, który powstrzymał Stoigniewa, mówiąc:

- Wiemy to, jak długo siedzieć nam przyjdzie? Suchy chleb i woda nie idą przez gardło, a przysłać więcej nie będzie przez kogo.

Wypawszy się przez dzień, chłopcy znowu wdali się w pogwarkę, snując zamiary zabaw na przyszłość. Ale trzeźwiejszy i bardziej doświadczony Tuni oblał ich zimną wodą mówiąc, że mnisi surowi są i niewiele trzeba przeszkrobać, by parę tygodni o chlebie i wodzie przesiedzieć.

Twarz Guncelina wydłużyła się, Stoigniew natomiast wstał i chodząc z kąta w kąt, mówił:

- Nie będę siedział, żeby nie wiem co. Wytrzymać tu nie można.

- Ba! - rzekł Tuni - jeszcześ siedzieć nie zaczął. Spałeś jeno i jadłeś dotychczas. A cóż, jak niektórzy latami siedzą? Słyszałem o takim, co dwadzieścia lat w lochu był więziony, i to sam: To się do pająka, co w oknie sieć rozciągał, tak przywiązał, że gdy zwolnili go wreszcie, zabrał go ze sobą i

sługę mu ustanowił, który jeno muchy miał łowić i do sieci wkładać.

Ale opowieść nie zaciekała chłopców. Guncelin jeno mruknął:

- Gdzie by ci pajak żył tak długo?!

Stoigniew zaś krzyknął:

- Siedź sam dwadzieścia lat, ja muszę stąd wyjść! Szkoda, że Zbrozły nie ma, on by nas nie dał więzić. Trzeba było zaraz do niego uciekać.

Usiadł i zadumał się.

- Cóż zrobisz, musimy siedzieć, póki nas nie puszcza.

- Myślę, że matka wstawi się za nami - napomknął Guncelin.

- Wstawi się albo nie, a ja wyjść muszę. Wiem już! - krzyknął. - Jak Dzik, ubijemy dozorcę, gdy przyjdzie, i uciekniemy.

Zamiar wzbudził jednak liczne wątpliwości. Tuni sprzeciwiał się przede wszystkim zabijaniu, słusznie mniemając, że strażnik nic im złego nie zrobił, jeno rozkazy wykonuje; Guncelin zaś w możliwość wykonania nie wierzył. Stoigniew jednak zdołał ich przekonać, że skoro mordować nie mają dozorca, nic im więcej nie grozi, a choć Tuni coś o plagach wspomniał, jakich nie skąpiono, uchwalili, że warto skórę stawić, i plan przyjęli, że Stoigniew, gdy dozorca wejdzie rano, kapotą łeb mu zza drzwi zniecka owinie, po czym mają wszyscy uciekać i spotkać się w chacie, gdzie nocowali, na wypadek, gdyby oddzielnie wykradać się przyszło.

Znacznie pocieszeni spać wreszcie poszli tak skutecznie, że gdy rano dozorca drzwi otworzył, wszyscy trzej pogrążeni byli we śnie głębokim, iż trącać ich musiał, nim otrzeźwieli i usiedli, rozczarowani i zawstydzeni, że tak się dali zaskoczyć.

Jak się okazało, szczęśliwie się złożyło, że zaspali, gdyż dozorca zbierać im się polecił i iść za sobą. Uradowani, wypytywać zaczęli, dokąd ich prowadzi, lecz miny zrzedły im trochę, gdy dowiedzieli się, że księżę Mieszko powrócił i stawić ich kazał przed sobą.

Mieszko przyjął ich surowo.

- Szczęście wasze, że ojciec przysłał po Guncelina i dlatego zwalniam go, a przy nim i was, bo jedna wina, jedna kara. Stoigniew pojedzie matkę odwiedzić, a potem do Gniezna, do szkoły Jordana. Tuni zaś do Trzemeszna. Za bardzoście się dobrali. Wyjedziecie zaraz, jeno umyć się i przybrać, bo jak strachy na wróble wyglądacie. Stoigniew stryjnę niech idzie pożegnać, potem jazda!

I skinąwszy ręką, odprawił ich, a chłopcy odetchnęli z ulgą, lecz wyszedłszy pomarkotnieli, a Guncelinowi nawet łzy w oczach świeciły, gdy mówił:

- Cniło mi się tyle czasu, a gdy naleźli się towarzysze, wyjeżdżać mi przychodzi. Wy to się jeszcze

może ujrzycie skoro, ale ja kiedy tam przyjadę.

- I nam nieczęsto widywać się przyjdzie - martwił się Tuni. - Z klasztoru rzadko wyjechać zwołam, a tam jeno modlić się, uczyć i pracować - westchnął ciężko.

- No, trudno - rzekł Stoigniew. - Ja was będę odwiedzał. Wróci Zbrozło, to mnie zabierze. On jeździ wszędzie i brać mnie obiecał ze sobą, bym świat i ludzi, ich mowy i obyczaje mógł poznać.

W Gnieźnie cię czytać nauczą i łaciny, bo ja już nie będę miał kiedy - markocił się Tuni.

Ba, nie zdążą, nim Zbrozło przyjedzie po mnie. No, chodźmy się myć i przebierać. Jeszcze stryjnę pójdę pożegnać, to się z Guncelinem obaczymy.

Udali się z Tunim do swej izby i w milczeniu przygotowywali się do podróży.

- Nie sumuj się. Odwiedzę cię na pewno, a będzie ci tam źle, to uciekniemy razem - rzekł Stoigniew.

- Kiedy zaś stryja mi żal. Stary już i dobry dla mnie zawsze, choć surowy. Zmartwiłby się, gdybym uciekł. Zostanę już przy nim, a tak by się chciało na swobodę! - mówił Tuni smutno, a oczy szklily mu się cokolwiek. - Ty pojedziesz i o mnie zapomnisz, znajdziesz innych towarzyszy. A ja?

Stoigniew, wzruszony, nadrabiając miną, uścisnął go mówiąc poważnie:

- Towarzyszy pewnie znajdę, ale ciebie nie zapomnę. Druhami ostaniemy na zawsze.

Tuni oddał w milczeniu uścisk serdeczny i rozstali się, bo konie już czekały, a Stoigniew jeszcze stryjnę miał odwiedzić.

Szli z dosyć rzadkimi minami, niezbyt pewni, jak ich przyjmie. Stoigniew, zapukawszy, poczekał na wezwanie i wszedł niepewny, co powie Dobrawka.

Ona jednak podeszła do niego i z uśmiechem rękę mu podała do ucałowania:

- Cieszę się, żeś pożegnać się przyszedł, bo chciałam ci powiedzieć, żeś praw był. Zbrozło czestny człowiek i kniaziom przyjaciel, przez nieporozumienie jeno źle został osądzony. Gdy Kościół mu wybaczył, nikt dawnych grzechów wypominać nie ma prawa.

Stoigniew z radością słuchał słów stryjny, po czym zapytał:

- Nie gniewacie się na mnie?

- Nie, i cieszę się, żeś na przyjaciela nie dał źle mówić. Pamiętaj zawsze być taki. Jeśliś praw nie zważaj, kto przeciw tobie. A myślę, że przyjacielem będziesz Bolka, jak chcę wierzyć, że Guncelinowym już zostałeś.

Stoigniew spojrzął spod oka na posiniaczoną twarz Guncelina i zarumienił się, lecz Guncelin zaśmiał się wesoło wołając:

- Ninie Bolko jeszcze na taką przyjaźń za mały! No, żegnaj, bo czekają już na mnie, a pamiętaj, żeś przyjechać obiecał. U nas też ładnie jest, jeno inaczej:

Dobrawka przytuliła obu chłopców i wręczając im krzyżyki złote, rzekła:

- Na przypomnienie, byście o drużbie swej pamiętali.

Gdy wyszli, udała się do małego Bolka, który uśmiechnął się do niej wyciągając rączyny. Kołysząc go powiedziała:

- Będziesz miał wiernych przyjaciół, jeno rośnij mi zdrowo.

Zbrozło w Grodzisku

Nadzieje Stoigniewa na rychłe uwolnienie przez Zbrozłę okazały się płonne. Zrazu przez kilka tygodni czekał cierpliwie, potem zaczął się buntować, w końcu zaciął się i cały dał się pochłoniąć nauce. Surowi i wymagający mnisi za wzór stawiali go innym, świetną przyszłość chłopcu dla wysokiego rodu i niezwykłych zdolności przepowiadając w duchownym stanie.

Stoigniew niczym nie zdradzał swych myśli i czekał, nauką i inną pracą czas zabijając, poza nimi tym jedynie zajęty, by wieści zasięgnąć, gdzie podziewają się ojciec i Zbrozło. W zamknięciu bowiem, pod nadzorem mnichów, obojętnych dla spraw doczesnych, wszelkiej styczności ze światem był pozbawiony.

Zbrozło tymczasem, opuściwszy Poznań, jechał nie załując koni na Kalisz, Wieluń i Mstowo i wieczorem siódmego dnia dotarł do Krakowa. Nie zajeżdżając na gród, u rybaka nad Wisłą się zatrzymał, by koniom dać wypoczynek i wieści zasięgnąć, co w kraju słyhać.

Ruch panował w Krakowie duży. Wstrząs, jakiemu uległo państwo na skutek chrztu, inaczej niż na Mazowszu odbił się w ziemiach Wiślan. W ciągu stulecia rozlane w pogaństwie i z nim zmieszane szczątki pracy apostołskiej świętych Cyryla i Metodego ścierały się z silnym prądem zachodniego chrześcijaństwa, które przez możnych wzmocnioną falą napływało teraz do kraju, otwarcie wszędzie występując w oparciu o powagę księcia. Starzowie wahali się jakiś czas, któremu kierunkowi wagą swego wpływu zwycięstwo zapewnić. Przeważyla śmierć Bogusława, który jakby głową był słowiańskiego obrządku, a do rodu Starzów należąc cieszył się ich poparciem, zaś z pogańskimi kapłanami w dobrych żyjąc stosunkach lubiany był przez lud. Bez trudu już Szmátka przekonać zdołał starego Topora, że przyszłość i siła są po stronie zachodniego obrządku, a uzyskawszy przyzwolenie, z właściwą sobie przewidującą chytrąścią jał się zasługiwać bawiącym na grodzie kapłanom. Uzyskał zezwolenie na budowę kamiennego kościoła na samym grodzie, by znajdujący się pod zwierzynieckim wzgórzem stary kościół Św. Zbawiciela pozbawić powagi, sięgającej jeszcze pogańskich czasów. Znając zaś organizację kościelną Zachodu, z góry przemyślał, by ziemie Wiślan osobną uczynić diecezją, skoro Jordanowi poddane nie zostały. Wpłynął na Starzów, by wszystkim od siebie zależnym ludziom na zachodni obrządek przejść kazali. Podnosił swoje znaczenie, które na skutek chybienia jego zamiarów z mennicą i nieudanego zagarnięcia Dzikowego skarbu chwiać się poczęło, powodując zwłokę w zamierzonym małżeństwie z cioteczną wnuczką starego Topora.

O Dziku jakby zapomniano w grodzie. Zbrozło tedy, uspokojony w tym względzie, wypocząwszy, ruszył dalej.

Wiosna tymczasem nastąpiła w całej pełni. Po okresie dżdżów pogoda ustaliła się. Gdziegdzie jeno białe obłoczki sunały wysoko po błękitnie, pędzony ciepłym powiewem z południa. Lasy, okryte świeżą zielenią wszelkich odcieni, wrzały wzmożonym życiem, w którym wszystko inne nieważnym się staje, jeno miłość oznajmia się wszystkimi głosami, z jakich składa się grający dniem i nocą chór. Tylko niedostępne miłości mrówki jak zawsze deptały swe ścieżki w ciężkim, codziennym trudzie, wśród zewsząd czyhających niebezpieczeństw. Budowały w nieskończoność swe mrowiska, w których ciemnej głębi mała jeno gromadka wybranych płaciła niewolą bez słońca za radosną chwilę weselnego wlotu, by przedłużyć życie w mrowisku, nie dające nikomu szczęścia.

Zbrozło dał folgę myślom i skręciwszy ze szlaku w las, bezdrożami przedzierał się bez pośpiechu ku Dzikowej sadybie, często konia za sobą prowadzić zmuszony, gdy przez strome zbocza lub gęste poszycie przedzierać się przyszło. Posuwał się wolno, lecz bezustannie, i dzień miał się już ku schyłkowi, gdy ze skłonu wzgórza otworzył się widok na dolinę Raby, wezbranej wiosennymi wodami, opalizującymi jeszcze lekko w promieniach zachodzącego słońca.

Zjechali w nią i dotarwszy do brodu, przepawili się. Wyszukali zaciszną kotlinę z czystym źródłem wytryskującym spod kamienia i rozniecili ognisko, by stawę przygotować po całodziejnej podróży.

Zbrozło siedział milcząc, zadumany czy zasluchany w głosy lasu, a pacholek krzątał się koło wieczerzy i susz zbierał na ognisko, by starczyło do rana.

W kotlinie, której brzegi zarosłe były pniami potężnych drzew, ciemno już było, gdy rozłożyste gałęzie tworzyły jakby sklepienie, zasłaniając wnętrze przed ostatnimi blaskami zorzy, odbijając natomiast błyski płomieni ogniska.

Mimo zapadającej nocy las nie cichł, jeno milkły jedne głosy, a odzywać zaczynały się inne. Drozdy i kosy, obwoławszy się przed nocą, umilkły, rozległo się natomiast chrapanie i mysie piski ciągnących gdzieś nad wierzchołkami słońek. Nocne drobne drapieżniki, kuny, łasice i tchórze, wychodzić musiały ze swych jam i dziupli, gdyż coraz słyszać było ostrożne stapania drobnych, lecz silnych i drapieżnych łapek po suchym, zeszłorocznym igliwiu i liściach.

Zbrozło z przyjemnością, przymknawszy oczy, rozróżniał po głosach i woniach bezimienne i skryte przed innymi dzieje życia lasu.

Nagle rytm jego uległ zakłóceniu, przyspieszył się, po czym przycichł i jakby ustał. Zbrozło wiedział, że idzie wielki drapieżnik lub człowiek. Na tle powstałej ciszy śledził pilnie drgającymi uszami drogę zbliżającego się stworzenia i po chwili rozróżnił wyraźnie ciche, skradające się kroki człowieka. Ledwie dosłyszalnie trzasnęła gdzieś gałązka, po chwili zaś szelest jakby przewijającego się węża, przeciągły i ostrożny, zdradził Zbrozle, że nadchodzący rozchyła gałęzie krzów na urwistym brzegu. Potem szelest ustał. Człowiek zatrzymał się. Zbrozło spod brwi rzucił okiem na stok i ujrzał słabiuteńki poblask, odbity w przymkniętych oczach przybyłego, który z góry wpatrywał się w niego.

Nie ruszając się z miejsca Zbrozło ozwał się:

- Zejdźcie ku nam, starczy wieczerzy i dla was.

Gdy zaś nieznajomy nie poruszył się, nie sądząc widocznie, by do niego mogły się te słowa odnosić, Zbrozło podniósł głowę ku niemu i skinąwszy ręką powtórzył:

- Zejdźcie, ukrywać się nie ma po co.

Wówczas przybyły dźwignął się na nogi i po liniastym, stromym zboczu zjechał na piętach i pośladkach w dolinę, po czym, przystąpiwszy do Zbrozły, przykucnął naprzeciw niego koło ogniska.

- Wyście, Zbrozło? Nie poznałem was.

- Dobek! - zdziwił się Zbrozło.- Skądęście się wzięli?

- Do domu wracałem od braci i dym poczułem z daleka, bo powiew ciągnie w tamtą stronę. A że wyście mnie z wiatrem poczuli, to już nie wiem jak. Nawet konie się nie ruszyły. Nieraz wałęsają się różni ludzie, o których lepiej wiedzieć, kim są, więc się podkradłem zobaczyć. Nie chwałąc się, nikt lepiej tego nie potrafi niż ja - rzekł gładząc krótką kędzierzawą brodę.- Ino na was widno lepszego potrzeba.

- Pożywcie się z nami i powiadajcie, co słyhać u Dzika na Grodzisku - rzekł Zbrozło podsuwając kołacz i wędzone, przypieczone na ogniu mięso.

- Moja ziemia, to mnie was ugościć się godzi - odparł Dobek.- Dom mój niedaleko w dół rzeki, a choć stary, lepsza w nim gościna niż pod niebem.

- Pod niebem każdy u siebie - odparł Zbrozło - zwłaszcza ten, kto swego domu nigdzie nie ma. A myśliwemu czy wojakowi milej żywe drzewo mieć nad głową niż takie, co dawno żyć przestało.

- Gdzież by się święta gościnność podziąła, gdyby domów nie było - rzekł z wyrazem pewnej przykrości na swej dobrodusznej twarzy Dobek.- Ale niewoli nie ma. Pozwólcie przynajmniej, że do dom skoczę i strawy a napitku wam przyślę.

- Nie chciałem was urazić - rzekł życzliwie Zbrozło - i z gościny waszej rad za powrotem skorzystam, ale ninie pozwólcie się ugościć pod moim dachem - ręką wskazał na niebo - i podróżną strawą. A mówcie, co tam na Dzikowym gródku, bo dawno nie słyszałem o nich.

- I ja dawno Dzika nie widziałem, bo od łowów w zimie. Miał się u mnie pokazać i nie był. Jeno Tarło, com go spotkał w lesie, mówił, że zbiesił się i w domu prawie go nie ma, tylko się z psem włóczy samotnie, czasem konno, czasem na piechotę, nie wiada gdzie, bo po parę niedziel ni słychu o nim, a wróci, to pije, ale sam. Całą tam gospodarkę Tarło prowadzi, która silnie upadła, gdy Szmątka odszedł.

Brańców dużo uciekło, gdyż Szmątka baby odebrał, i za nimi albo we świat poszli, a Dzik nie dba o nic. Trochę się te - raz podniosło, gdy przyszli brańcy, co z ostatniej wyprawy im odesłano, a Tarło z bratem pilnuje, by nie zmarniało to, co jeszcze jest. Żal mi, bośmy się z Dzikim srodze lubili. A czemu się i na mnie boczy, nie wiem, bom mu w niczym nie krzyw.

Zbrozło siedział milcząc, jeno w ognisku grzebał podrzucając nie dopalone końce gałęzi.

- Tarło spodziewa się was i myśli, że wy co poradzicie wyciągnąć z Dzika, bo i z nim nic nie gada.

- Zabawię parę niedziel, to myślę, że wybadać potrafię, o co idzie. Zresztą na wyprawę go zabrać przyjechałem.

- Wyprawa będzie? Może byście i mnie zabrali? Cni się w domu czasami, jak jeszcze Dzik się zbiesił, a do Krakowa teraz jeździć nie lubuję.

- Jechać z nami możecie. Dokąd wyprawa, dowiecie się od kniazia. Ale czemuż to do Krakowa jeździć nie lubicie?

- Nowe tam całkiem porządki. Przybłedy więcej znaczą od nas, cośmy tu od wieków osiedli. Co się mam pchać, by kłaniać się obcym kapłanom i po rękach ich całować. Albo i urwanemu z powroza Szmacie, co potrafił osiodłać Starzów.

Rozzalił się i rozgadał Dobek, a Zbrozło słuchał w milczeniu. Noc już uczyniła się późna, gdy Dobek wstał i żegnając się przypomniał przyrzeczenie odwiedzin w powrotnej drodze i zabrania go na wyprawę. Odszedł i czas jakiś słysząc było jego kroki, po czym ucichło. Zbrozło pozostał, wpółleżąc, z przymkniętymi oczyma, nie wiadomo, uśpiony czy pogrążony w myślach. Ognisko przygasło i ciszę przerywał jedynie chrzęst żucia pasących się koni. Czasem ptak nocny zakwilił lub zahukał gdzieś żałośnie. Mijały godziny i niebo między liśćmi zaczęło blednąć, gdy Zbrozło wstał i obudziwszy pachołka, dosiadł konia i po zboczu na pasmo wzgórz zakosem wdzierając się poczęli.

Noc uchodziła; poranny chłód lasu objął już swoją służbę i pierwsze promienie słońca muskały wierzchołki drzew, gdy docierali do szczytu.

Otworzyła się przed nimi łąska, zarosła jeżyną i maliniakiem, z licznymi pniami, powalonymi na ziemię, śladem widocznym jakiegoś uderzenia wichru.

Na samym szczycie, na krańcu jej, pod ścianą lasu, zauważył Zbrozło białą plamkę. Wpatrywał się, co by to być mogło, gdy plamka się poruszyła i Zbrozło poznał psa, który wstał, popatrzył w jego stronę, następnie ruszył ku niemu, nikiąc chwilami w kępach krzów lub okazując się w całej postaci, gdy przeskakiwał pnie. Za małą chwilę ukazał się tuż i skomlał radośnie obskakiwał Zbrozłę, usiłując polizać go po twarzy. Równocześnie gwizd rozległ się od lasu i Gon pobiegł z powrotem, oglądając się na Zbrozłę, po to, by zaraz znów się zjawić. Zbrozło popędził konia i za chwilę spostrzegł Dzika siedzącego na zwałonym pniu. U stóp jego leżał wspaniały głuszc, świeżo widocznie ubity.

Gdy Zbrozło, zeskoczywszy z konia, podchodził do niego, Dzik dźwignął się ociagliwie, mruknąwszy:

- Przyjechaliście!

Usiadł znowu i patrzył na przeciwległe wzgórze, na którym w promieniach wschodzącego słońca świeciła białym kamieniem wieża jego Grodziska i złociły nie poczerniałe jeszcze ściany budynków.

Zbrozło bez słowa oddał konia pachołkowi i wskazawszy ręką, by do Grodziska zmierzał, usiadł koło Dzika.

Dłuższą chwilę obaj siedzieli w milczeniu.

- Nierad mnie widzisz? - przerwał milczenie cichy głos Zbrozły.

- I, nie to.

- A co?

- Wiem ja?!

Rozmowa urwała się znowu.

- No, choć mnie nie prosisz, do domu pójdźmy.

- Sami idźcie. Ja tam przyjdę kiedy indziej.

- Razem pójdziemy - odparł Zbrozło stanowczo.

Dzik dźwignął się niechętnie i opuszczać się jęli po stoku.

Gdy zeszli do doliny i Grodzisko już widać było o parę stajań, Dzik rzekł:

- Zaraz przyjdę, ino głuszca zapomniałem, wrócę się.

Zbrozło, nic nie mówiąc, wskazał na kroczącego za nimi Gona, który niósł ptaka w pysku, poprawiając od czasu do czasu ciężar. Dzik poskrobał się po głowie i westchnąwszy ciężko, powlókł się dalej. Gdy dochodzili już do wału, Dzik zatrzymał się i z wymuszoną stanowczością powiedział:

- Nie idę dalej!

Zbrozło, nic nie mówiąc, skręcił z drogi i usiadł na pniaku po zrąbanej sośnie. Dzik, po namyśle, siadł koło niego na ziemi, obejmując rękoma kolana, i patrzył na Zbrozłę pytająco.

- Przyjechałem po ciebie. Wyprawa się gotuje.

Twarz Dzika ożywiła się przez chwilę, lecz zamyślił się znowu i milczał.

- Na wyprawę się nie cieszysz, w domu siedzieć nie lubisz, tedy czego chcesz? - zapytał Zbrozło.

Na twarzy Dzika zjawiał się wyraz wysiłku i odparł:

- Chyba do lasu wrócę!

- A nie powiesz mi, czemu? Może coś poradzę. Chciałbyś naprawdę do lasu iść, to nie włóczyłbyś się koło domu jak wygnany pies.

Dzik skrobał się po głowie i mruczał coś pod nosem, wreszcie rzekł:

- Ja bym wam powiedział, ino nie wiem jak.

- Spróbuj. Może zrozumie.

- Bo ja bym chciał na wyprawę iść i żeby mnie Sofia nie puszczała jak przódzi.

- Jakoże to może być, kiedy i tak, słyszę, w domu nie poświecisz?

- Ja bym chciał siedzieć w domu, ino jak przyjdę, a widzę, że się Sofia boi, to wracać się nie chce.

- Boi się? Czego?

- A jak ino z chłopcem poczną się bawić, stoi nade mną i ręce się jej trzęsą. Nieraz jak ujrzy z dala, że wracam, to się zamknie i udaje, że śpi - mówił pół żałośnie, pół gniewnie. - A wychodzę gdzie, to widzę, że cieszy się, choć nic nie rzeknie.

Porwał leżący obok kamień i prasnął nim ze złością. Wstał i rzekł:

- Idźcie sami do dworca. Będziecie jechać, to się do was przyłączę.

- Pojedziemy zaraz. Nie musisz się widzieć z Sofią, ale konie, broń i zapasy załadować, a i Tarło z bratem i pachółkiem przygotować się muszą.

Dzik skrobał się po głowie i rzekł:

- Sami to ostaną? Żeby im znów Szmatka nie dokuczał albo i co złego nie zrobił.

- O to się nie lękaj. Idziemy!

Zbrozło wstał i skierował się ku dworcowi, a za nim, ociągając się, Dzik. Weszli, witani przez nadbiegających Tarłę i Krzesza, których zawiadomił już pachółek o przybyciu Zbrozły.

Zasiedli właśnie do porannej polewki, gdy nadbiegł Zyńka witając Zbrozłę z radością i zanosząc prośbę od Sofii, by ją odwiedził.

- Powiedz, że pożegnać się przyjdę przed odjazdem - rzekł Zbrozło, a gdy Zyńka, zdziwiony i zaskoczony, patrzył na niego pytająco, dodał:

- Po Dzika jeno przyjechałem; na wyprawę jedziemy.

Zyńka pobiegł z powrotem, a mężowie zaraz wyszli doglądać przygotowań, opatrzyć konie i broń, i dobrać ludzi. Zbrozło udawał, że nie spostrzega Sofii, która, wyszedłszy na podcień, z dala przypatrywała się przygotowaniom.

Dzik z twarzą zaciętą też w jej stronę nie spoglądał i gdy skończyli przygotowania, dosiadł konia i mruknął ponuro:

- Jedziemy.

- Zaczekaj! - rozkazał Zbrozło i ku niewieścim zabudowaniom się skierował, co widząc Sofia zniknęła w głębi budynku.

Zbrozło wszedł i zapukawszy otworzył drzwi. Sofia stała na środku izby. Twarz miała bladą, oczy

zacznerwienione.

Na pozdrowienie Zbrozły nie odpowiedziała, dopiero po chwili zmienionym głosem rzekła:

- Myślałam, że życzliwego w was mam człowieka.

- Siadać mnie nie prosicie? - spytał Zbrozło.

- Wybaczcie - szepnęła i wskazując mu ręką miejsce, sama usiadła.

Twarz ukryła w dłoniach. Siedzieli milcząc.

- Konie czekają - przerwał Zbrozło milczenie - mówcie, jeżeli prócz wyrzutów coś powiedzieć chcecie.

Miast odpowiedzi Sofia zapłakała bezgłośnie, daremnie siłując się z łkaniem. Zbrozło wstał, położył jej rękę na głowie i rzekł:

- Wypłaczcie się, poczekam, a potem mówcie.

Przez otwarte okna dochodził gwar stojących w pogotowiu ludzi i szczekanie psów, a Zbrozło siedział w milczeniu wpatrując się w pochyloną, wstrząsaną płaczem głowę Sofii. Gdy się uspokoiła wreszcie, rzekł:

- Z Dzika co nieco wyciągnąłem, co jemu dolega. Mówcie i wy swoje jak do siebie samej.

Sofia, nie patrząc na niego i rąk od twarzy nie odrywając, zaczęła głosem jeszcze czasem przez szloch przerywanym:

- Wiecie, jako między nami było. Ta siła, co w nim jest, nie tylko w ramionach, ale we wszystkim, zagarnęła mnie jak wichur liść. Niosło mnie, nie myślałam gdzie, niechby i ku zgubie. Tak dobrze było, tak lekko. Gdyście mi go zabrali, czułam się jak ryba z wody wyrzucona. A jeszcze spodziewałam się i Szmátka dokuczał. Nie dałam się, ale com przeżyła! Bronić musiałam nas wszystkich, ja sama i słaba, gdy ten siłacz pojechał nie myśląc o nas. Żal mnie nieraz gorzki ogarniał, ale jeno tym bardziej go miłowałam i gdy powrócił, jakby sto słońce wzeszło, zapomniałam o wszystkim. I on był jako przódzi.

Przerwała, podniosła głowę i jakby uśmiech przemknął przez jej zgnębioną twarz.

- Ale gdy pierwszy raz wziął naszą dziecinę w swoje ręce, w te straszne ręce, zadrżało we mnie serce. Niechby niechcący je ścisnął, zadusiłby jak pisklę. Nie dałam zrazu poznać po sobie, ale gdy jeno brał dziecko do siebie, stałam za nim, cała w napięciu, by na czas zapobiec, gdyby się coś stać miało. Nie wiem, czy zauważył, ale gniewać się począł, że go samego ni na chwilę z dzieckiem nie ostawię. Nieraz w nocy wstawał chyłkiem do dziecka, a ja zrywałam się zaraz, bo mi Zyńka stał przed oczyma, którego omal nie ubił niechcący. Męczyło mnie to tak, że rada być zaczęłam, gdy wyjeżdżał, bo spać mogłam spokojnie czy odejść na chwilę od dziecka. Nie wiem, czyli i to zmiarkował.

- Wszystko zmiarkował.

Sofi milczała przez chwilę, po czym ciągnęła dalej.

- Witek mi rósł tymczasem i biegać sam zaczynał. Poznawał ojca z daleka i rwał się do niego, bo z nikim się tak rad nie bawi. Jeszcze ciężej mi było, bo obaj jeno patrzyli, jak mnie zwieść i zejść się ze sobą beze mnie. Aż raz wracam od obory i słyszę w izbie krzyki Dzika, a Witek aż się zanosi od śmiechu. Nie wiem, coś mnie tknęło i co tchu w piersiach pędzę do domu. Zanim dobiegłam, umilkło wszystko, jak nożem uciął, i już wiedziałam, że coś się stało. Stałam pod drzwiami bojąc się wejść i nasłuchiwałam, czy się który nie odezwie, ale cisza była. Gdy weszłam, Dzik klęczał nad chłopakiem i zamknięte oczy próbował mu otworzyć. Później od małego dowiedziałam się, że Dzik huśtał go, aż pod powałę podrzucając. Widno podrzucił za wysoko i o powałę wyciął, aż chłopca zemdliło. Com wtedy powiedziała Dzikowi, nie pamiętam. I nie mówiłam z nim od tego czasu. Z początku, coś ze dwa razy, wróciwszy z włóczęgi, chciał wejść, ale zaparłam drzwi i udałam, że śpię. Potem się zaciął, choć czułam, że gdzieś krąży koło domu. Czasem i pod moje okno podszedł, ale więcej już u mnie nie był. Raz nawet zawołałam, ale nie wiem, zali mnie dosłyszał, bo odszedł. I nie wiem, czy wróci.

Znowu ukryła twarz w dłoniach.

- Czas nam już jechać - mówił Zbrozło wstając. - I lepiej, że Dzik wyjedzie. Dla was wszystkich. Rozłaka jak ogień wypala, co nieistotne, a co trwale rozżarza na nowo. Lepiej czekajcie na niego z tęsknotą, a on niech się rwie do powrotu, niżbyście dalej obok siebie, a nie ze sobą żyć mieli. A strach wasz, jak każdy inny, gorszym złem jest dla was niż to, czego się obawiacie. Chłopak rośnie, a za parę lat dziwić się będziecie sobie, że strach o niego z mężem was mógł rozłączyć.

- Cóż, kiedy opanować lęku nie potrafię - żałośnie powiedziała Sofia. - Niejedno przeszłam w życiu, a nigdy mi się tak serce nie ścisnęło, jak gdy Witka w Dzikowym ręku zobaczę.

- Nie potraficie opanować, to go nie okazujcie - rzekł Zbrozło. - Los was sprzągnął z człowiekiem, co jak kamień z góry puszczonego leci przed siebie łamiąc, co napotka po drodze. Na smutek i żal czas będzie, gdy będzie czego żałować. A teraz weźcie małego i pożegnajcie się wyjdźcie z nim do Dzika. Dajcie mu go w ręce i niech nie pozna strachu po was. Wyjedzie z pamięcią o tym, to zapomni, co przedtem było. A gdy wróci, nigdy nie okazujcie obawy przed nim. Przed losem i tak się człowiek nie uchyli. No, chodźmy, bo i tamci muszą się niecierpliwić.

Zbrozło wyszedł ku ludziom, a Sofia, przywoławszy służebną, co prędzej przystroila się, po czym obudziła dziecko, by je również przybrać odświętnie.

Mały, ze snu wybity, marudził opierając się, a jej ręce dygotały z pośpiechu i niecierpliwości. Wreszcie, nie mogąc sobie poradzić, rzekła:

- Tatko wyjeżdża, a ty się przystroić nie chcesz na pożegnanie?

Chłopak uspokoił się w jednej chwili, a gdy odwróciła się, by sięgnąć po ciżemki, pobiegł do drzwi i na dwór wyskoczył, jak stał.

Pobiegła za nim i mimo oporu na ręce wzięła i szła ku siedzącemu już na koniu Dzikowi.

Chłopak wrywał się, ręce wyciągając do ojca, który stropiony patrzył na nich ze swej wysokości. Ze szklącymi się oczyma wyciągnęła ku Dzikowi ramiona, chłopca mu podając.

- Pożegnać was przyszedł.

Dzik porwał malca tuląc go do siebie. Wyraz trwogi zjawiał się na twarzy Sofi, lecz stojący za nią Zbrozło rękę jej na ramieniu położył, więc uśmiechnęła się z przymusem.

Witek tymczasem, wykręciwszy się z ramion Dzika, wołać począł:

- Wio, jedziemy!

Dzik trącił konia i ruszyli. Chłopak piszczeć zaczął z radości, a Dzik puścił konia kłusem dookoła dziedzińca, zostawiając Sofię z zaciśniętymi boleśnie ustami, wstrzymującą okrzyk przestrawu.

By nie przeciągać sprawy, Zbrozło zawołał na Dzika, że jechać czas, ten więc przykłusował z powrotem i zeskoczywszy w biegu z konia, do Sofii podszedł i wręczając jej opierającego się i kopiącego nóżkami chłopca, rzekł z rozpromienioną twarzą:

- Stało się co? Widzisz, masz tu Witka żywego i zdrowego. Jak wrócę, chłopak jeszcze podrośnie i razem będziemy jeździli.

Stała ze spuszczonej oczyma, szepcząc:

- Wracajcie do nas... skoro...

Pochwyił ją jak ongi i podniósłszy wraz z chłopcem, do szerokiej piersi przycisnął, po czym na koń skoczył i zawołał:

- Czekaj na mnie, prędko wrócę!

Konia spiął ostrogą i popędził, jakby od szybkości jazdy zależała prędkość jego powrotu.

Inni ruszyli za nim. Zbrozło, który stał przy Sofii, dosiadł też konia i pochylając się nad nią rzekł:

- Przyślę go wam z powrotem najrychlej, jak będzie można. Żegnajcie, a pamiętajcie, com mówił.

Nie rzekła nic, jeno oczy rozświetlone wzniosła ku niemu, po czym chłopca przytuliwszy, wolno poszła ku samotnemu domowi.

Retra

Suche, długotrwałe lato wysssało wilgoć z bagnistych ziem Redarów i znośnymi uczyniło drogi, którymi ciągnęły do Retry tłumy wojowników.

Ciągnęły z bliższa i z dalsza, i wlewając się przez trzy bramy położonego wśród lasów miasta, wypełniły je wreszcie po brzegi i obozować musiały poza jego wałami.

Zjawili się niemal wszyscy zdolni do broni członkowie plemion należących do weleckiego związku; starszyzna na koniach, prości woje pieszo, tyle jeno zbrojnego ludu po grodach ostawiwszy, ile wymagała konieczność, by kraju do niemieckiej granicy całkiem nie ogołocić.

Zjawili się Czerezpienianie, Doleńcy, Rzeczanie, Morzyczanie, nawet najdalej na zachód w swym kraiku - między Warnawą a Rzeknicą - osiedli Chyżanie. Wkrzanów jedynie brakło, lecz wiadome było, że Mieszkowi podlegli ruszyć się nie mogą. Pomoc jednak wyprawie przyrzekli, gdy przez kraj ich przechodzić będzie, i z wyruszeniem czekano jedynie na wieści od nich.

Czekano też na wieści z Wolina od Wichmana, który wyruszył tam z wiosną i zakręcić się potrafił, iż wodzem go obrano po zabitym Björnserie.

Choć ostateczne postanowienie od uchwały zebrania związku zależało, a i to przez niepomyślną wróżbę mogło być obalone, nikt nie wątpił, że wyprawa dojdzie do skutku.

Ci, którzy przed czterema laty brali udział w pierwszej przeciw Mieszkowi wyprawie, w czasie której dwukrotnie wojska jego rozbili, wielką też cieszyli się wziętością, opowiadając młodszym, jak należy walczyć z Polany i zachwalając obfitość łupów, jaka czeka zwycięzców.

Nikt też nie wątpił o pomocy jomsborskiej drużyny, skoro na jej czele stanął Wichman, z którego poduszczenia zamierzono wyprawę. Wprawdzie i tam postanowienie od wyniku wróżby zawisło, lecz składało się tak, że wróżby złe być nie mogą.

Sierpień miał się już ku końcowi, gdy wreszcie przybyli oczekiwani posłowie. Wódz Redarów, Nakon, i arcykapłan Medobor przyjmowali ich w przyległych do świątyni budynkach, a starszyzna tymczasem zwoływała lud na zgromadzenie, które na dziedzińcu przed świątynią odbyć się miało.

Lekki, słony powiew od morza przechodził nad lasem głów, chłodząc rozpalone upałem twarze.

Zabrzmiał wreszcie róg oznajmiając rozpoczęcie zgromadzenia i na podwyższeniu ukazał się Medobor, przybrany w białą szatę, i Nakon w pełnym wojennym rynsztunku.

Szmer i krzyki powstały wśród zgromadzonych, lecz Nakon podniósł dłoń na znak, że chce mówić, i nastała cisza w której po najdalsze krańce obejścia świątyni rozległ się donośny i namiętny głos Nakona:

- Nie po to sławne plemiona nasze własnych kniaziów zrzuciły i dla ochrony swoich bogów i swojej wolności zawarły związek, by się obcemu Bogu i obcemu kniaziowi pokłonić.

Grzmot okrzyków obleciał zgromadzenie i skończył gdzieś pod lasem, gdy Nakon znów rękę podniósł i ciągnął:

- Mieszko polański nie spodziewa się niczego. Wkrzanowie donoszą, że spokój nad Odrą zupełny. Przeprawy nie więcej strzeżone niż zwykle. Ludu po grodach mało, a Wichman ruszył z Jomsborga. Raz już do zwycięstwa nas prowadził, niech drugi raz powiedzie.

Okrzyki potakiwania rozległy się znowu, lecz Nakon uciszył je, ciągnąc:

- Cesarz w Italii, a duk Herman nie więcej kocha Mieszka niż nas. Rad będzie, jeśli nie na niego zwróci się nawąła. Nim się zresztą Sasi spostrzegą, będziemy ze sławą i łupami z powrotem.

Nie milknące okrzyki rozległy się znowu. Nakon stał czas jakiś, dając się zapałowi wyszumieć, a gdy ryk tłumu w gwar przeszedł, uciszył go znowu i mówił dalej.

- Ale nie po łupy jeno idziemy. Mieszko się Niemcom pokłonił by Odrę uczynić swoją rzeką, bo czuje, że bez tego nie osiedzi się na swym Pomorzu. A Jomsborg jak kość smokowi gardło, ujście Odry mu zatyka. Niech jeno siłę zbierze, na nas nie omieszka uderzyć. Nie zapomniał nam klęski, mściwy jest i drapieżny. Piastom chciałby poddać wszystkie plemiona słowiańskie od Łaby do Dniepru. Ale my naprzeciw wyjdziem nie czekając.

Okrzyki zrywać się znów zaczęły, lecz Nakon uciszył je i kończył:

- Widzę już, jakie wasze postanowienie. Lecz nim Swarożyc swoje słowo wypowie, wolno każdemu, jako nasz jest obyczaj, własne wyjawić zdanie. Jestli kto, co by mówić chciał?

Skończył i patrzył na tłum, pewny, że żadna ręka się nie podniesie. Brwi zmarszczył, gdy ujrzał wyciągniętą dłoń.

- Mojmir od Czerezpianian mówić chce. Wysłuchamy go, byle krótko, bo przed zachodem ruszyć nam trzeba, a i Swarożycowi głos oddać wypada - wtrącił zgryźliwie.

Wstąpił na podwyższenie Mojmir, mąż w sile już wieku, z twarzą rozumną i bystryimi oczyma, którymi w tej chwili rzucał niespokojnie, widocznie wahając się, czy zdanie swoje wyjawić. Przemógł się jednak i rozpoczął zrazu cicho, dopiero gdy kilka okrzyków zabrzmiało, iż słów jego nie słyhać, podniósł głos i mówił:

- Wichman nam obiecuje pomoc i zwycięstwo. Pamięta wielu z nas, żeśmy Polan przed czterema laty z jego pomocą pobili. I przez to wielu zapomniało, jak było ze Stoigniewem. Powinno się nam noga, to Wichman ocali siebie, a nas na rzeź wyda. Herman zwycięskich zostawi w spokoju, a pobitych dobije. Mówicie, że Mieszko nie wie o niczym. Głupi by musiał być, gdyby nie zwierzył, że się u nas i w Jomsborgu wyprawa gotuje. A na kogo, zgadnąć nie sztuka. I Gerona nie ma już, jak przódzi, by mu szyki pokrzyżował, przez co nam przypadło zwycięstwo.

Szmer, zrazu cichy, potem coraz groźniejszy, podnosić się począł, więc Mojmir kończył roztrzęsionym już głosem:

- Ja pamiętam górę naszych trupów nad Rzeknicą. Napadnie nas Mieszko, bronić się będziemy, a pod Wichmanem ja wojować nie pójdę, bo swojego on patrzy, a nas ma za mierzwę.

Mojmir przekonał widocznie niektórych, gdzieś spory wybuchły zacięte, lecz Nakon, który z Medoborem postanowił już wyprawę, krzyknął:

- Gdy większość za wyprawą, kijami tych, co się przeciwia!

Kilka rąk pochwyciło Mojmira, tu i ówdzie podniosły się krzyki i odgłosy bójek, a Nakon, odwróciwszy się, powiedział coś do Medobora i odeszli do świątyni. Starszyzna ruszyła za nimi i przeszedłszy wewnętrzny podwórzec, zatrzymali się przed głównym wejściem.

Zarysy drewnianego budynku świątyni ginęły w konarach prastarych drzew, którymi była otoczona. Węgły i słupy podcieni oparte były na zbiegających już od starości rogach rozmaitych zwierząt.

Przed wejściem dwóch młodszych kapłanów, z włóczniami w rękach, trzymało za wodze ogromnego, mlecznobiałego ogiera, dwóch zaś stało z łopatami w ręku i czekało na zbliżenie się naczelnego kapłana i starszyzny.

Gdy nadeszli, na skinienie Medobora szybko odrzucili darń trawnika, a wówczas Medobor zbliżył się i przyklękawszy; w głąb się wpatrywał i mówił jakby do siebie:

- Biją się, dużo krwi, nasza czy ich, czerwona... nie rozróżni. Na koniach uciekają, to oni!

Zerwał się i wskazał na dół, który kapłani zaczęli szybko zasypywać, po czym darnią nakryli i wzięwszy włócznie z rąk trzymających ogiera, wetknęli je w ziemię na krzyż.

- Niech jeno Swarozyc przez świętego konia wróżbę potwierdzi - rzekł Medobor i skinął na trzymających.

Ruszyli naprzód prowadząc rumaka. Ten zawahał się przed włóczniami, po czym ostrożnie przestąpił nie trąciwszy.

Zakrzyknęli wodzowie na pomyślność, a Medobor zawołał:

- Niech was bogowie prowadzą. Jedźcie!

Ruszyli się co żywo i wszedłszy do świątyni, stanęli przed posągami Swarozycy. Panował tu mrok, z którego wylaniały się postacie bogów, ustawione wzdłuż ścian lub sztucznie na nich wymalowane.

Kapłani zbierać poczęli znaki plemion, oddając je przywódcom każdego z nich, z upomnieniem, by pod klątwą znak ten po wojnie odnieśli, nową sławą okryty.

Gdy skończyli, wodzowie żywo doskoczyli do swych plemion, tłumy jeły się porządkować i sierp młodego księżyca dopiero srebrzyć się zaczynał na ciemniejącym niebie, gdy przez południową bramę wylewały się już wojska, w milczeniu zanurzając się w lasy. Gdy wyszli ostatni, bramy zamknięto i cisza dawno niebywała zapanowała na grodzie.

Medobor w swej białej szacie stał aż do zamknięcia bramy. Noc zapadała pogodna, lecz chłód pociągał od lasów.

Dreszcz jakiś przeniknął kapłana, który poważnym krokiem skierował się ku zabudowaniom świątyni.

Wyprawa Wichmana

Po długim okresie pogody ruszył się wieczorem północny wiatr, porywisty i przenikliwy, pędząc nisko idące, postrzępione chmury, z których chwilami zacinający deszcz bębnił po ścianach i okiennicach domów. Wiatr wył i gwizdał w szczelinach drzwi i okien, ruszał gontami na dachach, wydając odgłosy, jakby biegały po nich lekkie, kapryśne chochliki, i wpychał z powrotem do kominów dymy ognisk, zapalonych z przyczyny panującego chłodu, zapowiedzi nadciągającej jesieni.

W domostwie wiedźmy w Wolinie siedział skostniały i przemoknięty Biezdoch krztusząc się i kaszląc od dymu. Mrużył załzawione oczy i kłął jazdę po nocy, pod wiatr i falę.

Stara krzątała się po izbie, przygotowując mu ciepłą strawę, śmiejąc się i dogadując złośliwie. Postawiła wreszcie na stole naczynia, mówiąc:

- Zbudźcie waszego towarzysza, niech je, i wracajcie, póki nie rozednieje. Niezdrowo by wam było, gdyby was tu złapali. Głupcy są, ale nie do tyła, by nie zmiarkowali, z czym przyjechaliście. Pamiętają tu waszą znajomość z tym kłocem, co im naprzód wytlukł retyckie poselstwo, a samym później kości ponadweręzał.

Na wzmiankę o jeździe Biezdoch skrzywił się niechętnie i rzekł:

- Może nad ranem deszcz i wichur przycichnie. Psa by nie wygnał w taki czas, a my kości nie czujemy.

- Psa szkoda - zaśmiała się stara - ale nie was. Chcecie Wichmana wyprzedzić, jedźcie zaraz, bo oni przed południem ruszają.

- Gadaj, co wiesz - mruknął Biezdoch zabierając się do jedzenia i trącając leżącego na ławie człowieka, który wstawał z wysiłkiem, oczu zaspanych nie mogąc otworzyć. Wpółsenny, zabrał się również do jedzenia, a stara mówiła:

- Co wam więcej wiedzieć? Jedzie łodzi z pięćdziesiąt; gotowe już stoją na przystani. Był u mnie Wichman ze starszyzną po wróżbę. Pomyślny wiatr im wróżyłam i macie! Dmie, jakby ich prędzej do Welesa chciał zagnać. Aż mi szkoda Wichmana. Tęgi i wdały gardzina. Za pomyślną wróżbę zapłacił z góry, tom i serca nie miała mu rzec, by całun zabrał ze sobą, bo go inaczej zakopią jak psa bez niego.

Biezdoch splunął nieznacznie i łypnąwszy spod brwi na starą, wyciągnął kiesę i rzucił czarownicy:

- Tu macie od Zbrozły za wróżbę. Dobry targ, gdy dwóch za jedno płaci.

Stara złapała kiesę ręką podobną do szponów i rzekła:

- Ale wam bez zapłaty powróżyć mogę. Za pieniądze mówię, co kto chce, a za darmo prawdę.

- Odczep się - mruknął Biezdoch - nieciekawym.

- Ludzie nigdy prawdy nieciekawi - zaśmiała się stara - i słusznie, bo głupcowi lżej żyć.

Siedzieli jakiś czas w milczeniu jedząc. Gdy skończyli, stara rzekła:

- A teraz, czujecie kości czy nie, wynoście się. Nie bez tego, by rano tu kto nie wstąpił, a mnie kości moje, choć stare, miłsze od waszych.

Zbierać się poczęli ociągliwie i wyszli na dwór. Przez grubą oponę chmur przesiewały się już pierwsze brzaski wstającego, ponurego dnia; deszcz ustał. Wzięli wiosła oparte o ścianę i szybko, by rozgrzać się, podążyli ku wschodniej przystani. Odwiązali łódź od pachołka, zepchnęli ją na wodę, ustawiali żagiel. Zaledwie go rozwinęli, wiatr wydał go jak pierzynę i łódź pomknęła na południe, przeskakując toczące się z wiatrem, wolniej idące zwały wodne.

Mijali w pędzie nadbrzeżne budynki, jeno śmigają, i za parę chwil oddalać się poczęli od uciekających brzegów. W świetle wstającego dnia widać było na południowej przystani liczne łodzie Wikingów, koło których ruch już panował.

Gdy brzeg stracili z oczu, Pomorzanie rzekł do Biezdocha:

- Przespałem się co nie bądź, posiedzę przy sterze. Wiosłować nie trzeba, prześpijcie się wy trochę, bo wam znowu nocą jechać przyjdzie.

- Prześpię się, choćbym nie chciał - mruknął Biezdoch i nakrywszy głowę kapotą, jak siedział, usnął natychmiast.

Obudził go dopiero wstrząs łodzi. Zdawało mu się, że spał chwilę i otwarłszy z trudem oczy, ze zdziwieniem spostrzegł, że są już u celu, a dzień ma się ku schyłkowi. Wiatr prawie ustał. Fala idąca z północy, napotykając na przeciwny prąd Odry, zahamowana w swym biegu, podskakiwała jakby niecierpliwie w miejscu, nie mając już w wąskim przesmyku tej siły, co na otwartej zatoce. Grzbiety jej lśniły w czerwonych promieniach zachodzącego słońca, a wodna płaszczyzna iskrzyła się, aż oczy bolały od brzasku. Szło na pogodę.

Biezdoch siedział jeszcze zdrętwiały od bezruchu, lecz Pomorzanie, który wypatrywał czegoś ku północy, rzekł:

- Wsiadajcie, łódź wyciągnąć trzeba. W domu wypoczniecie przed dalszą jazdą, a teraz zabierać się nam, bo żagle już w oczach.

Jakoż na ciemniejącym wycinku nieboskłonu ku północy, w kierunku Zatoki Szczecińskiej, ukazało się parę jasnych plamek, a ilość ich rosła z każdą chwilą. Wyciągnęli tedy łódź i ukrywszy ją w krzaczach za wydumą, zabrali wiosła i poszli w głąb łądu, zmierzając ku chacie Pomorzaniego.

Mroczyło się, gdy dotarli na miejsce. Od brzegu już zauważyli blask ognia w oknie, po chwili zaś nadbiegł pies z wielkim szczekaniem. Poznawszy jednak Biezdocha, umilkł, połasił się, następnie pognał z powrotem. Gdy nadchodzili, drzwi otwarły się i na tle oświetlonego wnętrza stanęła olbrzymia postać i potężny głos Dzika zawołał pytająco:

- Biezdoch?

- Ja ci to jestem! - odparł zapytany, a Dzik cofnął się do chaty i przybyli weszli za nim.

Za stołem siedzieli na ławie Tarło z bratem. Dwóch pachółków przy palenisku zajętych było przygotowaniem wieczery.

Przybyli usiedli przy ogniu grzejąc się i zrazu milczenie zapanowało w izbie. Przerwał je Dzik pytaniem:

- Cóżście przywieźli?

- A tyle, że zjeść trzeba, co jest, i jechać co prędzej. Jadą za nami. Żeby nie ciemność, lada chwila patrzeć, jak nas mijać będą.

- Nie będę surowej ryby żarł - odparł Dzik rozsiadając się wygodniej.

- A ja będę, choćby dlatego, że od rana nic w gębie nie miałem, a potem ruszam, choćby sam, bo oni z wiatrem pod słaby prąd szybko pojedą, a my w ciemnościach, po bagnach i piaskach powleczeniemy się jak ślimaki. Dałby nam Zbrozło, gdybyśmy na czas nie przywieźli wieści!

To rzekłszy, pachółkowi kazał wyłożyć sobie na misę gotującej się w kociołku ryby i jadł chciwie.

- Byliście u wiedźmy? - zapytał Dzik.

- Byliśmy - odparł Biezdoch pełnymi ustami. Przełknął i splunął: - Choroba na nią!

- Wichmana śmierć przepowiedziała - dodał Pomorzanie.

- Poczekaj na mnie, spieszyć się nie ma co - zaśmiał się Dzik. - Ja go muszę ubić.

- Będzie na was czekał! - burknął Biezdoch. - Je - dziemy! - rzekł wstając i przeciągając gnaty. - Wojna, to wojna!

- Jeszcze nijakiej wojny nie ma. Nie pojedę na czczo, a prędko jeść nie lubię, bo mnie potem czkawka dławi - odparł Dzik.

- To róbcie, co chcecie - odparł Biezdoch i skinąwszy na pachółka Sobola, wyszedł do koni; a po chwili tętent oznajmił, że odjeżdżają.

Tarło, który dotychczas siedział w milczeniu, ozwał się:

- Pojechalibyśmy razem. Po to nas i posłano, by bezpieczniej było.

- Kiedy rządzić się lubi - odparł Dzik trochę niepewnie.

- Nie rządzi się, jeno robi, co mu kazali, nie patrząc na drugich - rzekł Tarło. - Zarówno już, bo

pojechał. Dawajcie zreć, to pojedziemy. Dognamy ich po drodze.

- To ja wyjdę konie przygotować - rzekł Krzesz i wyszedł.

Pozostali wzięli się do wieczerzy, a Gon obchodził po kolei każdego, o swoją część się dopominając. Dokończyli właśnie polewki z ryby i wzięli się do pieczenia. Dzik odkroił gnata z udźca i rzucił Gonowi, który porwał kęs i położywszy się na podłodze, łapami przytrzymał kość, by wygodniej wziąć się do ogryzania. Nagle pies podniósł głowę, jakby czegoś nasłuchiwał, po czym sierść mu się zjeżyła. Głuche warczenie wydobyło się z gardzieli i skoczył przez otwarte okno.

Zerwali się wszyscy, poczuwszy niebezpieczeństwo, a w tej chwili rozległ się przeraźliwy głos Krzesza od szopy, w której stały konie.

Chwyciwszy za broń, wypadli w ciemność, a przytomny Pomorzanie, chlunawszy na ogień wiadrem wody, sam na podstrysze skoczył. Podniósłszy ostrożnie snopek sitowia rozglądał się.

W ciemnościach z trudem jeno rozróżnić mógł postacie, skłębione i przewalające się koło koni, jeno pies białą plamą migał między nimi. Po chwilowej ciszy wrzask się podniósł i wzmagął, po czym ucichł nagle, natomiast doleciały nowe krzyki od rzeki, a równocześnie rozległ się głos Dzika:

- Na koń!

Zatętniło i głosy kopyt oddalały się szybko. Od rzeki słyhać już było nadbiegających.

Pomorzanie zeskoczył z podstrysza i myśląc, że lepiej nie czekać - co tchu puścił się w ciemność, ku majaczącym na wschodzie kępom krzów.

Gdy przybywający dobiegli, cisza panowała zupełna. Ostrożnie, nasłuchując, podeszli do chaty, a gdy i w niej nic się nie ruszyło, weszli krzesząc ogień. Za chwilę zaświecił płomień, oświetlił brodate twarze napastników i zamigotał na żelaznych hełmach.

Rozmawiając po normańsku, przeszukali chatę, po czym zapaliwszy głównie, obszukiwać ją obejście. Nagle krzyk zabrzmiał koło szopy, więc pobiegli wszyscy i stanęli kręgiem dokoła czterech leżących ciał.

Leżały jedno na drugim, zwiotczałe w bezwładzie śmierci, dziwacznie poskręcane. Krwi widać nie było, dopiero gdy na rozkaz starszego zabierać poczęto trupy do chaty, okazała się kałuża nie skrzepłej jeszcze krwi, w której pławiał się leżący na wznak z otwartymi ustami wojownik. Ogromna plama na piersiach wskazywała miejsce zranienia.

Starszy, pochylając się, obszukiwał miejsce, po czym skierował się do chaty. Obejrzał jeszcze raz trupy, mrużąc coś pod nosem, potem zabrać je polecił, a gdy wszyscy wyszli, wziął żarzącą się głównię z paleniska, cisnął ją w stronę posłania i wyszedł.

Gdy doszli do rzeki, jaskrawy blask płomienia rozświetlił ciemności, barwiąc na czerwono biel zagli stojących na rzece łodzi i drgając na niespokojnej jeszcze fali.

- Co tam, Sewaldzie? - ozwał się ku nadchodzącym głos z łodzi.

Pytający mówił po niemiecku.

- Wojna! - rzekł zapytany krótko. - Krew i ogień.

- Kto był? - zapytał Wichman.

- Koni sześć. Ino łajna po nich zostały. A po ludziach cztery nasze trupy, i uciekli.

Wichman zaklął siarczyście:

- Nie będziemy nocować. Do północnego brodu pod Cydzyną mil z osiem. Przed świtem musimy połączyć się z Redarami i przeprowić się, nim się Ścibor spostrzeże.

- Jeśli się już nie spostrzegł - mruknął Sewald.

Przykryli tymczasem trupy darnią i kamieniami, by czestnie pochować za powrotem, i ruszyli. Zachrobotwały pracowicie wiosła, bo wiatr ustał. Niebo wyiskrzyło się i płynęli w ciszy nocnej. Blask płonącej chaty małał w oddaleniu i wkrótce już świecił jeno mały punkcik, nim skrył się za wyniosłością brzegu.

Obóz Mieszka

Na zagubionej w nieprzebytych lasach piaszczystej polanie, na północ od Santoka, wrzało życie. Dymy ognisk unosiły się ku pogodnemu, jesiennemu niebu, wśród namiotów i szałasów kręcili się zbrojni ludzie, z głębi lasu dochodziły odgłosy licznych koni.

Po okresie deszczów nastąpiła piękna pogoda. Żółknące liście drzew złociły się w słońcu. Korzystając z ciepłej pory, woje czyścili i oporządzali broń, suszyli namokłe od szeregu dni szaty, a młodzi wybierali się na łowy, by dostać świeżego mięsa, którego od dawna brakło.

Wrzesień zbliżał się ku końcowi. Mieszko już niecierpliwił się brakiem wieści o nadejściu nieprzyjaciela i wahał się, czy nie zmienić zamierzeń. Liczył na to, że Wichman, jak przed laty, uderzy zechce na Santok, który już raz spalił, by kraj Licykawików znowu pozbawić obrony, a ich samych z powrotem do weleckiego związku wcielić, kładąc tamę pochodowi Mieszka ku ujściu Odry i podważając władanie nadwiślańskim Pomorzem.

Budując na tym Mieszko, załogi w Santoku, Cydzynie i Lubuszy niewiele tylko pieszym ludem wzmocniwszy, z trzema tysiącami jazdy ciągnął niepostrzeżenie lasami. W Międzyrzeczu rozdzielił ją na trzy części, z których jedna, pod Zbrozłą, stać miała w borach pod Cydzyną i nie przeszkadzając przeprowie Redarów po ich przejściu obydwie brody obsadzić, by odwrót odciąć. Druga, pod Ściborem, stanęła na północ od ujścia Noteci, by po otrzymaniu wieści od Zbrozły o przeprowie nieprzyjaciela chyłkiem za nim postępować i w chwili bitwy zaskoczyć. Sam Mieszko z całą siłą pieszą, pod dowództwem Deszki, oraz resztą jazdy, pod Sobiesławem, stał pod Santokiem czekając na nadejście wroga.

Za poradą Zbrozły wszyscy wodzowie otrzymali rozkaz, by - jeśli się jeno da - żywcem schwytać Wichmana, aby dowód mieć w ręku, że choć Mieszko dań płaci z kraju Wkrzanów i Licykawików, przecie w spokoju władać nie może w krajach władzy cesarskiej podległych, gdy cesarz powściągnąć nie potrafi własnego krewniaka od wicherzenia z poganami przeciw chrześcijańskiemu księciu. A jak przed czterema laty, zyski z działań Wichmana, gdyby się powiodły, cesarzowi przypadną. Dlatego też nie zawiadomiono margrafa Hermana o zamierzonej napaści Wichmana i Redarów, gdyż Herman, dość mając bratanka, nie omieszkałby zapewne wystąpić przeciw niemu, przez co odpadłby pozór wstrzymania "przyjacielowi" daniny, drażniącej dumę polańskiego księcia.

W Międzyrzeczu przyłączyły się do Mieszkowych wojsk posiłki czeskie w sile stu kilkudziesięciu konnych, pod wodzą starego Bożywoja, który jeszcze w bojach podczas nawrotu pogaństwa brał udział po stronie Bolesława Srogiego, a ninie pierwszy wieść przyniósł o jego śmierci, i objęciu władzy przez Bolesława Pobożnego, wraz z zapewnieniem jego braterskiej przyjaźni. Tych sił Mieszko w rozstrzygającej chwili użyć zamierzał, by okazać Redarom, że na czeską pomoc w walce z nim liczyć nie mogą, bo Czesi po jego stronie stoją.

Wszystko przewidziawszy i obmyśliwszy starannie, czekał książę na rozwój wypadków, a gdy od kilku dni wieści brakło, wysłać chciał po nie do Zbrozły, gdy oznajmiono przybycie posłańców. Mieszko z Sobiesławem wyszli właśnie przed schowany w kępie drzew namiot, gdy posłańce nadeszli.

- Z czym przybywacie? - zagadnął Mieszko z ożywieniem.

- Przedwczoraj nad ranem przeprawili się Weleci, z Jomsborczykami, się połączywszy. Lasami ciągną na Santok. Łodzie ściągnęli na lewy brzeg, pewni się czują widocznie.

- Siła jaka?

- Jomsborczyków do tysiąca. Machiny do burzenia grodów ciągną ze sobą. Weletów trudno policzyć, ale będzie ponad dziesięć tysięcy.

- Jazdy jest co?

- Jeno starszyzna na koniach, reszta pieszo.

- Prędko tu mogą być?

- Jutro pod wieczór.

- Książ Ścibor powiadomiony?

- Już ruszył za nimi.

Mieszko odprawił posłańców, by wypoczęli po drodze.

Przystąpił do nich Sobiesław i zapytał:

- Jest tam przy Zbroźle Dzik?

- Był, ale ninie go nie ma, a przynajmniej nie było, gdyśmy wyjeżdżali.

- Gdzieże się podział?

Posłaniec zaśmiał się i rzekł:

- Prosił się, by go tu odesłać, bo niespokojny, że bitwa go ominie i Wichman mu ujdzie. Zbroźło zapewniał, że go najłatwiej u brodu złapie, bo Wichman ostrożny. Gdy ujrzy, że bitwa przegrana, pierwszy się cofać będzie, a ubić go nie wolno, jeno schwytać. To się znów Dzik naprzykrzać począł, że nudno, i Zbroźło go wysłał z Biezdochem, który jechał do Wolina wieści zasięgnąć, by mu w drodze bezpieczniej było, bo Licykawiki nie całkiem pewni i pamiętają swe dawne z Weletami związki. Pojechali tedy razem, ale Biezdoch wrócił sam, a Dzik został, bo wieczera gotowa nie była i długo ją musiał jeść, bo już dobrych parę godzin Biezdoch był z powrotem, gdy wyjeżdżał, a Dzika jeszcze nie było.

- Czy aby nie stało się co? - zaniepokoił się Sobiesław.

- Takiemu się co stanie? - zaśmiał się posłaniec. - Zbroźło jeno ręką na to machnął i powiedział: "Znajdzie się, a jeśli po bitwie, tym lepiej. Słuchać się nigdy nie nauczy i Wichmana ubić gotowy".

- Szkoda - rzekł Sobiesław. - Chciałbym go znowu przy sobie zobaczyć.

I skinąwszy posłańcowi, odszedł do namiotu księcia.

* * *

Pierwsze brzaski świtu wstającego dnia przesycać dopiero zaczynały światłem wiszącą nad grodem i okolicą mgłę, gdy stojące na prawym brzegu Noteci strażę posłyszały ruch jakiś w borze podchodzącym niemal do rzeki, za którą, otuliwszy w tuman wstający z wody, drzemać się zdawał niedawno odbudowany gród Santok.

Po opadłych liściach szelesty kroków rozlegały się we mgle, a dotarłszy na kraj lasu, ustawały.

Dowódca straży, Zmysław, z obudzoną czujnością śledził powstające i cichnące głosy, a po chwili nasłuchiwanie ozwał się:

- Zwierz ucieka, nadchodzą.

I pchnąwszy w las dwóch ludzi, by zawiadomili zaczajonego w gęstwinie Deszkę, sam ze strażą wsiadł w łódzie i przeprowił się do grodu, niewidocznego w gęstniejącej mgle, która poczęła opadać zapowiadając pogodny dzień. Ucichły wszystkie odgłosy, mruzczała jeno woda, siejąca się na płyciźnie brodu, i osiadające na drzewach krople wilgoci spadały obficie, szemrząc jak deszcz po listowiu.

Po chwili w jednostajne te odgłosy mieszać się poczęły inne, coraz liczniejsze, i w tumanie mgły zjawily się cienie ludzi; setkami, tysiącami, zwartą ławą podsuwali się do rzeki. Po chwili plusk wody na brodzie zdradził, że rozpoczęli przeprowę. Gród milczał i zdawał się spać, mimo że słońce wzbilo się już ponad morze mgły i zalało światłem żółkniejące korony wynurzających się z niej olbrzymów leśnych i szczytów wież gródka.

Przy brodzie stał Wichman z Nakonem w otoczeniu weleckich wodzów i mówił szeptem:

- Udają sen czy nie, niech jeno dwie setnie przeprowię, póki mgła, reszta pójdzie gładko.

Mgła opadała coraz niżej i widać już było wał i częstokół, świecący jeszcze świeżym drewnem, lecz żywa dusza nie ukazywała się na nich. Wichman patrzył podejrzliwie i po chwili rzekł:

- Uderzajcie, Nakonie, na gród. Ja tu ostanę i zwiady poślę w las. Niemożliwe, by nie zauważyli nas jeszcze. Jeśli udają, to zasadzka jakaś gotuje się, a od lasów jeno przyjsć może.

To rzekłszy wydał rozkaz, by Dragowit od Wilków z dwustu ludźmi w las się zapuścił. Jeśli w godzinę nie natknie się na nieprzyjaciela, sam ma pozostać, a wieści nadesłać Wichmanowi, by o dalszym postępowaniu mógł postanowić.

Mgła opadła tymczasem zupełnie i jak na dłoni widoczne były podchodzące pod wały wojska, jakie ławą szeroką otaczać jęły gród w milczeniu, które Wichmanowi ciężyc zaczynało.

Tymczasem i prowadzone przez Wikingów maszyny wojenne przeprowiać zaczęto i wreszcie krzyk rozległ się od wałów, które z nagłą zaroily się ludźmi. Grad pocisków lunął na napastników, na które odpowiedzieli i pobiegłszy ku bramom, wdzierali się na wały.

Wichman jednak nie troszczył się już o gród i przeprawę, lecz coraz spoglądał ku lasowi, nadstawiając uszu, by w panującej wrzawie głosy jakie rozróżnić. Nie trwało długo, a upewnił się, że w borze wre walka, więc zleciwszy Priwinie przeprawy pilnować i na gród dawać baczenie, sam skoczył ku Wikingom stojącym na uboczu pod wodzą Haldara i na ich czele podsunął się ku ścianie lasu. Gdy oddalał się od gwaru grodziska, coraz wyraźniej słyszał odgłosy walki, które oddawał bór; zbliżały się szybko, Dragowit cofał się widocznie.

Wichman wydał rozkazy, by skoro tylko nieprzyjaciel się ukaże na skraju lasu, natychmiast uderzać, nie dając mu się rozejrzeć, z jaką siłą ma do czynienia.

I czekał.

Nie długo już. Po chwili z lasu wypadł Dragowit konno i spostrzegłszy Wichmana, z dala już wołał:

- Nadchodzą!

Wichman, wywiedziawszy się, że siły nieprzyjaciela do dwóch tysięcy ludu pieszego liczyć mogą, co prędzej posłańca pchnął do Priwiny, by tyleż pognał ku lasowi, sam zaś brakiem jazdy upewniony, że nie ze Ściborem lub Mieszkiem ma do czynienia, gotował się do natarcia. Zaledwie ukazali się uciekający ludzie z oddziału Dragowita, biegiem ruszył oddział Wikingów, nie czekając na welekkie posiłki, dufny, że męstwem, wyższością uzbrojenia i większą wprawą swych rozbójników sam złamie gorzej zbrojną polańską piechotę.

Jakoż ledwie się zderzyli, złamały się polańskie szeregi, a po chwili cała linia jak odbita od brzegu fala poczęła się cofać, słabo odcinając. Wikingowie natarli ze wzmożoną zaciętością, a w pierwszych szeregach srożył się Wichman.

Zeskoczywszy z konia, gdyż podszyty las utrudniał walkę konną, rzuciwszy wodze pachołkowi, uderzał, gdzie jeno gromadka Polan skupiła się do oporu, i znażył pochód swój śladem trupów. Cofanie zmieniać się poczynalo w beładną ucieczkę. Walczący dotarli do rzadziej porosłej lasem bez podszycia, piaszczystej wyżynki, na której krańcu świeciła obszerna łysina.

Wyparci na nią Polanie puścili się pędem, ku środkowi się ściągając. Choć Wichman w zapale walki i wobec odwrotu wroga zapomniał o dowodzeniu, zadziwił go ten ruch. Począł więc wstrzymywać szeregi Wikingów. Zapał zwycięzców jednak niełatwo było pohamować i Jomsborczycy wypadli na polanę, mimo krzyków Wichmana, który na skraju lasu się zatrzymał.

Nim jednak ład w swe szeregi zdołał wprowadzić, z boków polany wynurzyły się dwa oddziały jazdy i z wielkim krzykiem uderzyły na rozproszonych Normanów, od skrzydeł zganiając ich ku środkowi, piesi zaś, zawróciwszy, stanęli czołem i w porządku na zmieszanych Jomsborczyków natarli.

Wówczas dopiero spostrzegli, że wpadli w zasadzkę, lecz nikt ze starych zbójów ducha nie stracił. W mgnieniu oka ściągając się poczęli do lasu, z którego wyszli pomni, że niedaleko za nimi winna ciągnąć welecka piechota, której nadejścia każdej chwili należało się spodziewać. Tymczasem cofali się odcinając, jak się dało, i walka znów przesuwać się zaczęła ku rzece i grodowi.

Tylko Wichman, spostrzegłszy jazdę, zmiarkował, że z Czechami ma do czynienia. Nie wątpił już, że z samym Mieszkiem sprawa i że właściwa zasadzka dopiero go czeka. Szedł z twarzą sposepniałą, wyęzając uwagę, skąd nowy cios spadnie.

Wkrótce ukazywać się zaczęły gromady weleckiej piechoty, nadbiegającej od strony grodu. Jomsborczycy okrzyknęli radośnie, widząc w nich nadchodzącą pomoc, lecz do - świadczony awanturnik ni na chwilę nie dał się złudzić. Ci ludzie nie biegli do bitwy, lecz uciekali. Jakoż dający się już rozróżnić nad rzeką hałas wskazywał, że dzieje się tam coś niezwykłego.

Chwila, a cofający się Jomsborczycy zetknęli się z uciekającymi Redarami i do Wichmana doskoczył Zubur wołając:

- Tysiąc jazdy wycina naszych przy brzegu! Priwina ostatkiem sił już się trzyma, by Nakonowi odwrót zza rzeki zabezpieczyć!

Wichman spojrział ponuro na Zubura i nic nie odpowiadając - dając konia dosiadł i krzyknął na Jomsborczyków, by się koło niego skupili, po czym zawrócił z miejsca, by czoło stawić nadbiegającej piechocie Deszki i czeskiej jeździe. Na - dzieję miał przebić się przez nich ze swymi Wikingami i bagnami ku Odrze się wycofać.

Jednak rozwścieczony Zubur doskoczył do Wichmana i chwyciwszy konia za wodze, krzyknął:

- Znowu Rzeknicę nam gotujecie, tchórze! Nakona i Priwinę na rzeź wydajecie! Praw był Mojmir, że swego jeno patrzycie! Ale tym razem wam nie ujdzie!

Wichman pobladł. Stał przez chwilę, jakby się namyślał, po czym zeskoczył z konia i potężnym ciosem ściał łeb zwierzęcia. Cielsko runęło na ziemię, a przewaliwszy się na grzbiet, wierzgając poczęło nogami, zaś bluzgająca krew broczyła nogi Zubura.

Wichman, nic nie rzekłszy, zawrócił ku grodowi i szli odcinając się aż las począł przeświecać i po chwili wynurzyli się na przybrzeżną łąkę.

Gotowało się na niej jak w kotle. Jeźdźcy, rozbiwszy szyki Weletów, choć liczbą wielokrotnie niżsi, parli teraz ku brodowi, którego bronił Priwina wyęzając resztę sił, by odwrót zapewnić Nakonowi, w nierównej liczbie parającym się z załogą grodu. Część polańskiej jazdy ściagała rozpierzchłe szyki na wschód, wzdłuż rzeki, ci zaś, którzy bliżej byli lasu, zauważywszy powracającego Wichmana, skoczyli ku niemu.

Wichman, na czele idących zwartym szykiem Jomsborczyków, bez wahania przyjął uderzenie, a dobrze zbrojni i wprawni w boju Wikingowie nie tylko wytrzymali je, lecz sami zaczęli przeciw wrogowi, który na boki musiał się cofać. Wichman dotarł do Priwiny i razem pole oczyścili na tyle, że Nakon,

choć pod gradem pocisków, do brodu się dostawszy, rzekę przeszedł i wzmocniwszy jeszcze Priwinę razem z nim parł w dół rzeki, by drogę ku Odrze uzyskać. Rogi weleckie grały do odwrotu i choć czeska jazda i Deszkowa piechota, od lasów wychynawszy, uderzyły, przecie samą ilością jazdę zepchnięto.

W Wichmana, którego zgotowana zasadzka napełniła czarnymi przeczuciami, już zaczynała wstępować nadzieja, że jeśli dobić się zdoła do bagien poniżej ujścia Noteci, większą część swych wojsk z potrzasku potrafi wydostać, a przynajmniej ciętą i zaprawną w boju drużynę jomsborską bez wielkich strat wyprowadzić. Przywykły niemal od dziecka stawiać wszystko na jedną kartę, gdy spychana jazda na boki zaczynała się przemykać, wolną drogę mu zostawiając, postanowił zaczekać, by jak największej liczbie ludzi dać możliwość do czoła dociągnąć, po czym, wypocząwszy nieco i pożywiwszy się naprędce, wojska, które od północy były bez przerwy w pochodzie i walce, na nowo sprawić i świeżymi siłami przedzierać się ku Odrze wzdłuż Warty.

Na tyłach wojsk weleckich wrzały jeszcze pojedyncze walki i pociski latały w obie strony, lecz coraz więcej ściągało rozpierzchłych, zaś na przedzie spokój chwilowo zapanował i zziajani woje pożywiali się co prędzej, czym kto mógł, przewiązywali rany i poprawiali zbroje. Lekkomysłny Wichman od przygnębienia, spowodowanego zasadzką, przeskoczył do nadziei zwycięstwa. Zgromadzonej koło niego starszyźnie doradzał w lasy się schronić, niby to uchodząc, a doczekawszy bliskiego już wieczora, pod osłoną ciemności wrócić i gród ubiec. Haldar, przywykły do zuchwałych poczynań, poparł jego zdanie, lecz wodzowie weleccy sprzeciwiali się jednomyślnie, najgłośniej zaś Zubur, który świadkiem był, jak Wichman wspólną walkę chciał porzucić, by siebie ocalić, i nie ufał już sprzymierzeńcowi.

Narada nie trwała tedy długo. Słońce minęło już południe i ku zachodowi się pochyliło. Wichman zły, że mu zamiary pomieszano, zerwał się i w róg trąbić kazał do pochodu. Uznojeni wojowie zbierali się ustawiając w szyk, gdy jakby echo leśne dźwięki rogu oddało, i nim stanęli w sprawie, z lasu wytoczyła się jazda uderzając w bok Wichmanowych wojsk. Wichman skoczył naprzeciw z drużyną, a Nakon dał rozkaz pochodu, sam zostając z wyborowym retyckim oddziałem, by pilnować tyłów, na które nacierała z dala polańska piechota, gdyż znacznie słabsza liczebnie, wręcz nie śmiała uderzyć.

Szli tedy walcząc, krok za krokiem, lecz bagniste porośnięte kępami łóz i olszyny łąki już były widoczne. Gdy dotrą do nich, jazda nacierać nie będzie mogła, a pościg piechoty nie był groźny, zwłaszcza gdy noc zapadnie.

Znużonym wojom pojaśniały oblicza. Zbliżał się kres zmudnego dnia i groźba zguby, której do południa w oczy patrzyli, zdawała się być już za nimi. Toteż gdy jazda odskoczywszy na czas, pojawiła się znowu od skrzydła, z ochotą uderzyli na nią większą częścią swych sił i za cofającą się, krok za krokiem, wpadli w leśną ścianę. Znowu zabrzmiał las odgłosem walki, zaś czoło weleckiego pochodu posuwało się swobodnie ku łąkom, które były coraz bliżej i bliżej.

Nagle w skos od czoła wysunęła się z leśnego cypla jazda i ustawiała się w szyk, gotując się widocznie do natarcia.

Nakon w pierwszej chwili myślał, że to część oddziału, z którym walczyli od rana, wysunawszy się

naprzód, będzie usiłowała odciąć im drogę odwrotu. Lecz gdy w lesie nie ustawała wrzawa walki, a jazdy wciąż przybywało, zmiarkował, że ze świeżymi siłami przyjdzie im mieć do czynienia, którym znużeni całodziennym bojem wojownicy już nie dostoją. Natychmiast też kazał trąbić na odwrót i nie czekając powrotu oddziałów, które w las wpadły, pędem puścił się ku łąkom, by na błotach przed jazdą się schronić.

Za późno już jednak było. Tysiąc ciężkozbrojnej, wyborowej jazdy stoczyło się na jego przeredzone i znużone szyki, które widząc nowego nieprzyjaciela, nie czuły już sił, by go powstrzymać. Ława jazdy zaś, rozpędziwszy konie, zbliżała się jak przeznaczenie, któremu nikt się nie oprze. Skoczył ku niej Nakon na czele Redarów, lecz ani na chwilę wstrzymać nie zdołał. Cięty w głowę, zwałił się, a kopyta końskie wdeptały jego ciało w torfiasty grunt. Szyki weleckie prysły jak gliniany garnek i rozsypały się na wszystkie strony. Bitwa się skończyła, a rozpoczęła rzeź.

Wichman, walcząc w lesie, posłyszał wrzawę niezwykłą, gdy przyskoczył do niego na koniu Haldar wołając:

- Mieszko ze świeżą jazdą rozbił Nakona!

Zrozumiał Wichman, że bitwa przegrana, i przeklął w duszy poryw dumy, który mu konia ściąć kazał. Nie pierwszy raz w życiu przegrywał, lecz ginąć nie miał ochoty. Wiedział, że póki żyje, odegrać się może i wściekłość go ogarnęła na myśl, że śmierć jego uraduje stryja Hermana, a może i cesarza Ottona. Rzucił okiem dokoła. Wszędzie pierzchali kupami lub pojedynczo Wikingowie, zmieszani z Weletami. Nie było już co ratować.

Skoczył w gęstwinę krzaków i ile sił zaczął uchodzić ku północy. Byle się ze skrzętu wydobyć ocalić się potrafi. Jeden czy dwóch wrogów nie da mu rady. Nieraz już tak bywało, wierzył swojej gwieździe.

Gwiazda jego jednak już zachodziła, choć nie ostrzegło go żadne przeczucie. Pomykał chyłkiem od jednej kępy krzów do drugiej, czasami stawał, by oddech złapać i posłuchać odgłosów bitwy. Oddalały się widocznie. Puścił się szybkim krokiem i szedł przed siebie, aż las zaczął rzednąć i ukazała się polana, której środkiem wiodła uczęszczana widocznie droga, do Santoka zapewne prowadząca, zaś przy niej stała obszerna chata.

Wichman bez wahania skierował się ku chacie i trąciwszy nogą drzwi, stanął naprzeciw gospodarza, Pomorzanina, który gospodę dla przejezdnych prowadził. Gospodarz, zaskoczony, patrzył na zbrojnego olbrzyma z mieczem w ręku, całego krwią zbrzyzanego. Ten jednak, odsunawszy go na bok, rzekł:

- Jeść i pić mi dajcie, znużony jestem.

I wszedł do świetlicy, gdzie na ławę pod oknem się rzucił i miecz położywszy na stole, zdjął hełm i wytarł uznojone czoło.

Przyniesione piwo wypił jednym haustem i zażądawszy nowego, siedział rozmyślając, co mu dalej począć wypada.

Znużenie nakłaniało do pozostania na noc, ostrożność radziła iść dalej.

Usłyszawszy tętent od lasu, zerwał się i chwyciwszy miecz, wypadł przed chatę. Na ucieczkę było za późno, cofnął się tedy do chaty. Jeźdźców jeno trzech, może ją miną. Jeśli nie, będzie bronić się; poszczęści mu się, to konia dostawszy ocalić się zdoła. Z mieczem w ręku czekał nasłuchując.

Konie zatrzymały się przed chatą, posłyszał słowiańską mowę i tupot nóg. Stał w kącie, gotów do obrony.

Rozwarły się drzwi i weszło trzech zbrojnych. Idący na przedzie Sobiesław, ujrawszy Wichmana, stanął, lecz nie sięgał do miecza. Patrzył na wspaniałą, choć zbryzganą posoką zbroję rycerza, po czym zagadnął:

- Wyście Wichman?

- Tak! - odparł zapytany.

- Złóżcie broń. Jeńcem jesteście z rozkazu kniazia.

- To w jeństwo kazał mnie brać? - zaśmiał się Wichman. - Powiedzcie mu, że miecz oddam tylko do jego rąk. Za ciężki on dla was! - dodał pysznie.

Sobiesław wzruszył ramionami:

- Jak chcecie. Gdyby nie rozkaz kniazia, pokazałbym wam jeszcze cięższy. By wam jeno uciekać na myśl nie przyszło. Ścigają was wszędzie.

- Spokojni bądźcie - zaśmiał się Wichman. - Piwa się jeszcze napiję, bo dzień był gorący.

Wyszli, a Wichman, usiadłszy za stołem wołał na gospodarza, by podawał mu piwo. Nie martwił się już. Niech jeno życie wyniesie z pogromu, o wolność zatroszczy się później! Mieszko nie podniesie ręki na jeńca i cesarskiego bratanka. Wypił przyniesione piwo i znużony popadł w drzemkę. Słońce chyliło się ku zachodowi.

Ocknął go hałas przed chatą. Nasłuchiwał. Głosy były liczne i brzmiała w nich jakaś groźba. Rozległy się kroki, kopnięte drzwi rozwarły się i hurma pieszych wojów wdarła się do świetlicy. Wichman porwał za miecz i skoczył w kąt, gotując się do obrony.

Przybyli zawahali się, a stojący na przedzie tęgi, brodaty mąż rzekł:

- Dawajcie miecz i zdejmujcie zbroję, a nie, to sami zdejmujemy.

Wichman czuł, że ci nie będą czekać na księcia: Po łup przyszli. Świetna zbroja stanowi dla nich majątek, którego się nie wyrzekną. Lecz wstyd go ogarnął ustąpić przed motłochem, gdy wodzowi oddania miecza odmówił. Stał więc milcząc i patrzył jak wilk osaczony przez stado brytanów. Gdzieś w głębi awanturniczej duszy czaiła się nadzieja, że Mieszko zdąży na czas, by miecz odebrać, a życie mu ocalić.

- Nie rozumiecie po ludzku? - rzekł brodacz i sięgnął do Wichmanowego miecza.

Krzyknął i padł przebity. Inni odskoczyli, lecz z tyłu natarli i Wichman ciął znowu. Zakotłowało się w izbie.

Nagle wrzaski rozległy się u wejścia, wśród których wybił się basowy ryk. Przez zbitą ciżbę przeciskał się olbrzymi człek, a wdarłszy się do świetlicy, wyganiał napastników, wyciskając ich kupami przez wąskie drzwi i popychając nogą, gdy zmieścić się nie mogli. Izba opustoszała w mgnieniu oka, a przed Wichmanem stał Dzik. światło zachodzącego słońca padało na jego twarz i Wichman poznał go natychmiast. Jakby uśmiech przeleciał przez jego zsiniałe wargi, gdy szeptał.

- Przybyłeś za późno, już się nie zmierzymy.

Wsparłszy się na mieczu, postąpił ku ławie pod oknem, opadł na nią i głowę złożył na stole, dysząc ciężko. Chwilami grało mu coś w piersiach.

Dzik zdziwiony patrzył na niego. Zaległa cisza, w której wyraźnie słyhać było plusk kropel. Dzik spojrzał, skąd idzie ten głos, i u stóp Wichmana spostrzegł coraz powiększającą się kałużę krwi.

Przystąpił do niego i podnosząc mu głowę, zapytał:

- Co wam jest?

W oczach Wichmana błyszczały łzy. Mrugnął kilka razy i sięgając z wysiłkiem do miecza, podsunął go Dzikowi i mówił szeptem:

- Weź ten miecz i odnieś go swemu panu. Niech go uważa za znak zwycięstwa i niech prześle cesarzowi, przyjacielowi swemu... by się dowiedział, że może wyśmiać zabitego nieprzyjaciela lub oplakiwać krewnego.

Dźwignął się na nogi chwiejnie, oczy zwrócił ku ostatnim promieniom słońca i modlić się zaczął po niemiecku. Ręce wpił kurczowo w deskę stołu, o który się oparł, by ostatnim wysiłkiem woli przebłagać Boga za swe życie zbójckie. Nagle zwałił się z łoskotem na ziemię.

Dzik doskoczył i wraz z Tarłą, który we drzwiach pilnował wejścia, dźwignęli bezwładne ciało. Wichman leciał przez ręce, oczy mu zasły bielmem. Życie awanturnika dobiegało kresu.

Złożyli go na stole. Dzik patrzył jakby z żalem na leżącego olbrzyma, myślał coś i skrobał się po głowie. Po chwili odezwał się zakłopotany:

- Teraz już się nie dowiem, czy on mnie by dał rady, czy ja jemu...

Tętent licznych kopyt rozległ się przed chatą. To przyjeżdżał książę po miecz Wichmana.

Pokój z Redarami

Cesarz bawił w Italii i Mieszkowe poselstwo z wieściami o wypadkach wręczyło mu na polach Kapui pismo Mieszka oraz zbroję Wichmana, znak zwycięstwa.

Wieści wzburzyły Ottona. Mieszko pisał, że płacąc dań z kraju po Wartę, miałby prawo spodziewać się, iż w spokoju nim pod cesarską opieką włądać będzie. Najmniej zaś mógł się spodziewać napaści ze strony cesarskiego krewniaka, którego margraf Herman w posłuszeństwie winien był utrzymać, czego nie tylko nie uczynił, ale wiedząc zapewne, że Weleci wyprawę gotują, nawet go nie ostrzegł, a cały ciężar walki jemu pozostawił. Tłumaczył się też, że żywcem kazał brać Wichmana, by go cesarzowi do ukarania odstawić, a jeno własna pycha i nieostrożność stały się przyczyną jego śmierci.

Cesarz zrozumiał przymówkę i drwinę zuchwałego księcia i wpadł w gniew. Nie mogąc go wyrzucić na Mieszku ni na Hermanie, dobra Wichmanowe klasztorom w Luneburgu i Kemnade rozdał, do Hermana zaś napisał list z surowym nakazem, by zuchwałych Redarów całkowicie wytępić.

I ten żer jednak uszedł paszczy jego gniewu.

Po santockiej klęsce, korzystając z zapadającej nocy, Zubur i Priwina wycofać zdołali niedobitki na bagna nad Wartą, gdzie nad ranem Haldar dołączył się z resztą Wikingów. Wypoczywali przez dzień następny, po czym nocą ruszyli ku Odrze. Nieprzyjaciel, choć odczuwało się go ze wszystkich stron, nie napastował, czemu się nawet dziwili wodzowie, radzi, że choć czas jakiś znękane wojska spokój mają przed najcięższą walką, jaka niewątpliwie czeka ich u przeprawy.

Jakoż, wysławszy zwiady ku obydwóm brodom, otrzymali wieści, że silnie są obsadzone przez konnych i pieszych, łodzie zaś, zabrane widocznie przez Mieszkowych, zniknęły.

Gdy zbliżali się do Odry, gorsze jeszcze otrzymali wieści. Nocą przekradli się posłańcy, z Retry donosząc, że Herman, dowiedziawszy się o wyjściu co najlepszych wojsk, wtargnął do kraju Obodrytów i pustosząc go posuwa się ku redarskim siedzibom.

Zguba wisiała nie tylko nad wojskiem, ale i nad pozostałymi w domu pod niewystarczającą ochroną żonami i dziećmi.

Zebrała się starszyzna na naradę, która nie trwała długo. Muszą przedostać się za rzekę i wracać bronić kraju, czy przejdzie ich połowa, czy ćwierć. A jeżeli nie przejdzie nikt? Ponad trzy tysiące jazdy i kilka tysięcy piechoty stoi dookoła i czeka widocznie, by dopaść ich u przeprawy. Jeśli mogli się spodziewać jakiejś pomocy od swoich to nadzieja ta upaść musiała wobec napadu Hermana. Zubur klął ponuro los, który jego przy życiu pozostawił, a zginąć dał Nakonowi, głównemu podżegaczowi do wyprawy.

I brak żywności gdy juczne zwierzęta w bitwie przeważnie stracili, zmuszał również do szybkiego działania. Zwłoka zbliżała zgubę.

Toteż gdy rankiem piątego dnia po bitwie dotarli do Odry, Zubur natychmiast wojska do bitwy

sprawił i przedstawiwszy im, że ten jeno żyw będzie, kto na drugi brzeg zdoła się przedrzeć, stanął na czele.

Ruszyli w milczeniu, z posępną zaciętością na widoczne już szyki polańskie. Tyły i prawe skrzydło zajął Haldar ze swymi Wikingami, aby Mieszka nie puścić przez rzekę za Weletami. By dać im czas na sprawienie się po przejściu brodu, uderzyć miał na północne skrzydło polańskie i przebiwszy się, w dół rzeki uchodzić. Tam Redarowie przeprawę mieli zgotować lub łodzi dostarczyć dla ucieczki wodą.

Wyszli tedy z lasu na półkolistą, krzami tu i ówdzie porosłą równinę i na płaskim brzegu spostrzegli ustawione szeregi piesze na skrzydłach, a huf potężny jazdy pośrodku.

Serca Weletów, choć mężne, szybciej zabiły w oczekiwaniu natarcia jazdy, po której tak straszne wynieśli z ostatniej bitwy wspomnienia. Zubur jechał na czele z mieczem w ręku, gotowy na wszystko.

Przeszli już połowę równiny, a jazda od czoła stała w miejscu, natomiast od skrzydeł wyjechały na równinę dalsze hufce i stanęły w szyku.

Zubur zacisnął zęby. Wolałby już być w skrzęcie bitewnym, niż patrzeć bezsilnie na zaciskającą się sieć. Rozumiał zamiar nieprzyjaciela, lecz nie widział przeciw niemu rady. Niewielu jego wojów stanie na drugim brzegu widnym jak na dłoni w świetle pogodnego poranka, ale jakże dalekim.

Już miał zamiar rozkaz dać do uderzenia, gdy z gromady konnych, stojącej na czele polańskich szyków, oderwali się trzej jeźdźcy i ruszyli kłusem w jego stronę. Gdy zbliżyli się cokolwiek, w ręku jadącego na przedzie dostrzegł gałąź zieloną. Czyżby Mieszko układow chciał spróbować? Cóż za warunki zaofiarować może wrogowi, trzymanemu w garści, jeśli nie niewolę i okup? Niewolę teraz, gdy każde ramię w kraju potrzebne, a okupu nie będzie płacić miał kto!

- Za mną! Prowadź nas, Swarożycu! - krzyknął i skoczył pędem, nie bacząc, że piesi nie nadążą i sam na całe wojsko uderzy.

Jadący jednak naprzeciw ani nie wstrzymali koni, ani żaden z nich do broni nie sięgnął. Zubur opanował się na tyle, że konia zaczął powściągać i dojeżdżając krzyknął:

- Nie ma poddania, brońcie się!

Jeden z jeźdźców zaśmiał się, lecz jadący na przedzie dłoń podniósł i Zubur, sam nie wiedząc czemu, wstrzymał konia i miecz opuścił. Stali naprzeciw siebie, a przybyły rzekł:

- Szaleństwo was ogarnęło.

- Dobrze i szaleństwo, jeśli siły dodaje. Choćby sam Weles bronił przeprawy, przejdziemy!

- A łacniej, Jeśli bronił nie będzie - rzekł przybyły.

- Co myślicie?

- Książ Mieszko na rozmowę was wzywa, od niego się dowiedziecie.

Wyraz nieufności zjawił się na twarzy Zubura. Obejrzał się dokoła. Jakiś podstęp kryć się może w postępowaniu Mieszka. Lecz wojska stały jak przedtem, a Priwina, widząc go w rozmowie z wysłańcem Mieszka, wstrzymał pochód.

Jakby uprzedzając myśli Zubura, przybyły oświadczył:

- Zostawiam wam zakładników a wy jedźcie ze mną.

Zubur nic nie rzekł, lecz skinął ku swoim, a gdy nadbiegło dwóch wojów, wskazując im towarzyszy Mieszkowego wysłańnika, rozkazał:

- Zatrzymać ich, póki nie wrócę.

To rzekłszy konia skierował ku brzegowi, gdzie stała jazda polańska.

Jeden z zakładników spojrział z wysokości siodła na trzymających wodze Redarów, mówiąc:

- Mało was do trzymania. Jedziemy dalej. Chcę sobie waszych choć obejrzeć, bo nie zdążyłem na bitwę.

I trąciwszy konia piętami, posuwał się ku weleckim szeregom, mówiąc do towarzysza:

- Tęgie chłopcy i bitne. Nie mamy szczęścia w tej wojnie. Na bitwę spóźniliśmy się, a dziś znowu książ widno kręci, żeby bitwy nie było.

Zubur dotarł tymczasem do polańskich szeregów. Poznał księcia, stojącego na czele w otoczeniu starszyzny; zeskoczył z konia i wiodąc go za sobą podszedł i zatrzymał się przed Mieszkiem.

Książę ręką powiódł dokoła, mówiąc:

- Widzicie, że noga z was nie ujdzie.

- Bogowie bitwy rozstrzygają - ozwał się Zubur ponuro.

- Już rozstrzygnęli.

- Czego chcecie od nas?

- Chcę zawrzeć pokój.

Piorun z pogodnego nieba nie byłby bardziej zdziwił Zubura. Patrzył na Mieszka, jakby nie rozumiał lub nie wierzył swemu słuchowi. Opanował się.

- Jakie dajecie warunki? - zapytał czując że przyjmie każde, które mu ten bród, odległy zaledwie o kilkadziesiąt kroków przejść pozwolą.

- Zapłacicie dziesięć grzywien złota i sto koni. Rozejm zaprzysiężecie na pięć lat. Na porękę zostawicie tysiąc zakładników i wszystkie znaki. Prócz tego wydacie Medobora.

- Co z nim będzie?

- Co mi się spodoba.

- A z jomsborską drużyną?

- Z nimi osobno się ułożę.

- To ułożcie się zaraz, bez nich nie zawrzemy pokoju.

- Nie spieszo wam do domu? - zagadnął Mieszko drwiąco.

Zubur zrozumiał: Mieszko wie o napadzie Hermana. Zrozumiał też i resztę. By upewnić się jednak, zapytał:

- Przyjmiecie rannych jako zakładników?

- Przyjmę - odparł Mieszko i uśmiechnął się.

- Tedy poślijcie po Haldara. Gdybym ich samych zostawił, słusznie moglibyście mniemać, że i wam nie dotrzymam słowa.

- Nie słynie wasza wiara, ale zaprzysiężecie ją, jak jest wasz obyczaj, podając mi włosy wasze i garść trawy. Nie dotrzymacie, przekonacie się, że nie tylko u was jeńców się bogom ofiaruje.

- Dotrzymamy - rzekł czerwieniąc się Zubur.

Nim słońce dobiegło połowy drogi, przez przerwę uczynioną w polańskich szykach szli spieszenie Weleci. Szereg za szeregiem wstępował w fale Odry. Przeprawiwszy się, z miejsca ruszyli dalej i za chwilę ostatni zniknął z oczu Polan.

Nim zaś wczesny zmierzch ogarnął świat, na czele licznych łodzi płynął Ścibor do Wolina objąć władzę w Mieszkowym imieniu. Jomsborska drużyna na Mieszkowym żoździe bronić miała ujścia Odry przed naporem Danii.

Mieszko stał na brzegu i oczyma ścigał ginące w oddali łodzie. Spełnił marzenie ojca. Czy jego syn spełni jego marzenia? Utorował mu drogę do ujścia Odry. Zajść nią można wszędzie.

Gdy zniknęły ostatnie już łodzie w mrocznej dali, księżę dosiadł konia i zwracając się do swego orszaku rzekł:

- W drogę! Przenocujemy w Cydzynie. Należy się nam wypoczynek.

- A Bogu podziękowanie - wtrącił obecny w orszaku Prochorus.

- Słusznie mówicie, ojczcie. Zgromadzeniu waszemu w Trzemesznie nadanie uczynię ziemi i ołtarz ufunduję. Bogu podziękować łatwo, jeno nie wiem, jak podziękować mam Zbroźle. Może przecie czym wynagrodzić was można? - zwrócił się do niego. - Ciężko mi zawsze być waszym dłużnikiem.

- Starczy mi za nagrodę, żeście więcej słowiańskiej krwi nie wylali, niż trzeba było, by swoje osiągnąć. A będę czego potrzebował, poproszę.

Ruszyli ku północy i dotarłszy do Cydzyny, zalegli obozem.

Jesień zbliżała się szybkim krokiem. Z pierwszymi deszczami przyszła wiadomość, że Herman, niespodzianie na znaczne siły trafiwszy porażkę poniósł od Weletów i pokój zawarł. Cesarski rozkaz przyszedł za późno.

Domowe ognisko

Listopadowa noc znęcała się nad światem. Wicher targał drzewami, zrywając z nich resztki letniego okrycia, zimnym deszczem zacinał ze wszystkich stron, jakby wypłoszyć chciał z nocnych siedzisk i legowisk wszelkie żywe stworzenia, szukając spokojnego i suchego kąta za pniami drzew i w nierównościach gruntu, by jako tako doczekać do ranka.

Leśni mieszkańcy w otępieniu poddawali się złości jesiennej wichury. Ten i ów jeno bardziej kulił się w sobie, by jak najmniej tracić drogiego ciepła, i czekał cierpliwie na powrót przerwane snu, ucieczki jedynej przed dokuczliwością jesieni i srogością zimy.

Jeno człowiek butny niecierpliwie się śmie, gdy przyrodzie podoba się igrać ze stworzeniem. Z ciemności, po gwałtowniejszym niż inne uderzeniu wichru, ozwało się przekleństwo:

- Do licha z takim schronieniem! Mamy moknąć, to możemy i na koniach. Ni ognia zapalić, ni usnąć.

- Cicho! - ozwał się szeptem drugi głos. - Krzesz śpi, znużyła go droga.

- Nie śpię - odparł wymieniony głucho. - Widno mówiący nakryty był z głową. - Nie da się, bo ziab ciągnie od ziemi.

- Widzisz! - rzekł Dzik. - Żebyśmy dalej jechali, byłibyśmy już w domu. Napalimy w kominie, ściągniemy mokre szmaty, ciepłej strawy zgotuje nam Sofia. Przez miesiąc nie ruszam się z domu, jeno zreć i pić będę. Na licha cała wyprawa!

- Żeby nie wasze żarcie, inaczej by nam poszło. Może i Krzesz nie byłby raniony, a przynajmniej coś by zobaczył. A tak widział jeno stropy w kurnych chałupach, a mało brakło, byłby trawę od spodu obejrzał.

Zbierać się zaczęli, a Dzik niezadowolony mrucał:

- Z takiego podrapania kto by ta pomarł. Miękki jest i tyle.

- Co, miękki! - zaperzył się Tarło za brata. - Nie ubił to jednego, choć go czterech z nagła napadło. Lepiej nie myśleć, bo żeby nie Gon, już by go nie było.

- Gon! - krzyknął nagle Dzik. - Znowu się gdzieś zadział, psiajucha.

W czarnej głębi lasu zamajaczyła po chwili biała plama Gonowego futra i pies przybieżał oblizując się. Widno zawarł znajomość z przycupniętym gdzieś przed ulewą zającem, bo merdał wesoło ogonem, nie biorąc do serca przekleństw Dzika, którymi go ten obsypywał, zły widocznie.

Zjeżdżać zaczęli w dół i po chwili pas jaśniejszego nieba nad głowami wskazał kierunek drogi, na którą wyjechali. W dole, niewidoczny, szumiał jednostajnie potok, wezbrany od długotrwałej ulewy. Hałas ten, zmieszany z wyciem wichru, ledwo pozwalał rozróżnić słowa, więc rozmowa urwała się i jechali w milczeniu.

Znużone konie wlokły się noga za nogą, potykając się często o kamienie i wówczas milczenie przerywało przekleństwo Dzika.

Wreszcie wiatr, znużony całonocnym hulaniem, nacichł, a ciemność czyniła się mniej dotykalna. Szarzało.

- Nim rozednieje, będziemy w domu - rzekł Dzik.

- Bogom chwała, żeśmy wrócili - odparł Tarło.

- Albo co?

- Ano wiecie, co wróżyła wiedźma.

- Ty żeś sobie przybrał do głowy babskie gadanie. Wiadomo, że z którejś wyprawy się nie wróci.

- A taki stara jest wiedząca. Mówił Biezdoch, że Wichmanowi przepowiedziała i ubili go, choć książ oszczędzać kazał.

Wzmianka o Wichmanie zeźliła znowu Dzika.

- Na licha cała wyprawa! Zadek ino odparzyłem na mokrym siodle, tyle do domu przywożę.

- Szmutki nie ma, to i łupy niepotrzebne, bo kraść nie ma komu. Wiecie, że w pośły pojechał do cesarza do Italii?

- Juści, że wiem, bo zbroję Wichmanową powiózł. W sam raz na mnie była i oddać musiałem, bo ubił go kto inny!

Aż podniósł się w siodle ze złości.

- Tym się trapiecie? Przecie i tak książ zakazał zabijać Wichmana. A zbroję se możecie od kupców nabyć. Nie stać was?

- Głupiś! Wichmanową chciałem mieć. Może mi ją cesarz przeda? Co!? A ubili go i tak, to i co? Żeby Krzesz nie był taki miękki tobyśmy na bitwę zdążyli.

- Jak się od Krzesza nie odczepicie, to was kinę i wracam do domu. Na samego siebie się sierdźcie. Ryba za to była ugotowana!

Dzik zamachnął się na Tarłę, lecz ten ani drgnął. Dzik pohamował się i jechali jakiś czas w milczeniu. Po chwili zerknął na towarzysza, a widząc, że zeźlony, poskrobał się po głowie, mówiąc:

- Praw jesteś, nie źlij się. Wilk, jak zły też sam siebie nie kąsa, jeno drugich. A Krzesz mężny pacholek. Choć go czterech opadło i przydusiło, jeszcze jednego ubić zdołał.

Tarło rozpogodził się:

- Pono na tej wyprawie Gon z nas wszystkich był najmężniejszy, bo się sam na wroga rzucił nie oglądając.

- Znowu juchy nie ma! Gon! - wrzasnął Dzik aż echo oddało z lasu. Tym razem nadaremnie wołał, gdyż głos jego, choć potężny, nie doleciał do Grodziska, do którego Gon właśnie dobiegał.

Przesadził ostrokół, pchnął drzwi niewieściego budynku, że rozwarły się z hałasem, i do drzwi sypialni Sofii, skomląc, dobijać się począł.

Sofia przez sen usłyszała znajome odgłosy, lecz zdały jej się dalszym ciągiem snu. Westchnąwszy i odwróciwszy się na drugi bok, zamierzała spać dalej, lecz drapanie do drzwi wzmogło się tak, że ockniona dzwignęła się.

Nie było wątpliwości: skomli Gon. Zerwała się i otworzyła zasuwę, a pies jak burza skoczył na nią, aż usiadła na łożu. Nie bacząc, że ubłocony i cały ocieka wodą, przytuliła łeb jego do twarzy i powtarzała:

- Wróciliście! wrócili!

Pies po chwili wyrwał się z jej objęć i skoczył do stojącej obok kołyski.

- Zostaw! - krzyknęła. - Dziecko obudzisz! - Lecz było już za późno. Gon czerwonym ozorem lizał zawieszicę twarzyczkę Witka, który bronił się przez sen przed pieszczotą, lecz nim Sofia doskoczyć zdołała, zbudził się i usiadł. Malec patrzył przez jakiś czas na Gona, który znów w dzikich podskokach Sofię polizać usiłował, po czym zawołał:

- Tatko przyjechał!

I wyskoczywszy z kołyski, do drzwi się puścił. Ledwo go Sofia schwytać zdołała i mówiła szybko, zdyszczanym głosem:

- Przyjechali! Jeno przybrać się pięknie musimy i ognia napalić, bo pewnie pokostnieli.

Sofia przywołała służbę i ruch się uczynił w całym dworze.

Dzik z towarzyszami wjeżdżał dopiero w bramę swego gródka, gdy w świetlicy ogień już buzował na kominie, na stole dymiła polewka, czekały kołacze i mięsiwa.

Sofia stała w sieni, Witka trzymając za rękę, i palec przykładając do ust, szeptała:

- Cicho! cicho! Nastraszymy ojcusia!

Zbliżały się ciężkie kroki i usłyszała głos Dzika:

- A Sofia i dziecko śpią pewnie jeszcze?

- Nie śpią - odparła służebna - pewnie przyjdą zaraz.

Otworzyły się drzwi i w szarym świetle chmurnego poranka Dzik ujrzał Sofię. Stali chwilę patrząc na siebie, po czym ona wyciągnęła ramiona bez słowa, a Dzik porwał ją z ziemi jak dziecko i do piersi przytulił.

- A ja, tatku! - wołał Witek, co sił targając za nogę Dzika.

Dzik schylił się i rzekłszy:

- I ty nie śpisz, warchlaku? - posadził go na ramieniu i weszli do świetlicy.

Tarło zabrał Krzesza do swoich izb, by ułożyć go zaraz na wypoczynek, po czym udał się do Dzika. Ten siedział już rozparty przed kominem, przebrany w suche szaty z miękkiego sukna. Pod bosymi nogami miał skórę niedźwiedzia, na której leżał Gon i suszył mokre kudły w ciepłe ogniska.

Sofia, powitawszy Tarłę, rzekła:

- Teraz was samych zostawimy, niech się Tarło przebierze i pożywi.

I pogładziwszy doprowadzoną już do ładu grzywę Dzika, zabrała opierającego się Witka i wyszła.

Tarło pożywiał się chciwie, a Dzik siedział rozmarzony ciepłem i sennością.

- Ale ci tu dobrze! - mruknął.

Usiłował jeszcze coś powiedzieć, lecz oczy mu się zamknęły, a głowa przechyliła na oparcie.

Organizacja państwa

I dla Mieszka nastał okres spokoju i wypoczynku. Zwycięstwo nad Weletami i Wichmanem usunęło przyczynę niepokoju i konieczność ciągłej czujności na całej zachodniej granicy. Na Czerwieni Lubor rządził żelazną ręką, zasoby wielkie ze ściągniętych danin w towarach i gotowym pieniądzu nadsyłając. Z Pieczyngami i Rusią radził sobie sam, nigdy nie żądał pomocy i o zwyczajnych walkach pogranicznych dowiadywał się książę zazwyczaj dopiero, gdy nadesłano mu jeńców, których do budowy dróg, sypania wałów i stawiania mostów odsyłał komesom.

I Sobiesław nie gorzej poczynał sobie na Mazowszu. Tyle że nie ustające prawie z Jaćwieżą i Prusakami walki większych sił wymagały i bystrzejszej czujności. Wojowniczy Sobiesław rad był jednak, że pola zalegać nie musi, a do wypraw w nieprzyjacielski kraj, którymi za każdy napad lub nawet graniczne zajście płacił, chętnych nie brakło nigdy ni między Mazurami, ni polańską młodzieżą. Tyle że kraj uboższy, mniej dobytku przysparzał skarbowi książęcemu, jeno bursztyn ceniony z pruskich wypraw przywożono.

Dźwigała się gospodarka w dawno nie zaznanym spokoju. Po starych szlakach handlowych, które książę poprawić kazał, by w każdej porze roku łatwe były do przebycia, ciągnęły karawany kupieckie zwożąc, wywożąc i przewożąc towary ze wszystkich stron świata. Czyszczono drogi ze zbójceckich band, od których roilo się zwłaszcza zachodnie i południowe pogranicze, a wpływające do skarbu od kupców opłaty wzrastać poczęły niemal z każdym miesiącem, dostarczając srebra. W poznańskiej mennicy bito z niego monetę z Mieszkowym imieniem, która rozchodziła się po kraju i daleko w świat, podnosząc nie tylko bezpośrednio książęce dochody i sławę jego imienia, lecz także umożliwiając lepszą gospodarkę i sprawiedliwszy wymiar danin. Wiele z nich w pieniądzech ściągając poczęto miast, jak od przedwiecza, wybierać je w świadчениach, gdy książę czy to sam z dworem, czy też urzędnicy i służba wyjadali na miejscu należną dań, obciążając przeważnie nad miarę osady przy uczęszczanych drogach leżące a latami nieraz pomijając ukryte w niedostępnych borach i bagnach.

I Mieszko też wskutek tego więcej przesiadywać mógł na miejscu, czas na uporządkowanie niezmiernych swych ziem poświęcając. Wszystka ziemia bowiem, która nie nosiła śladów ludzkiej pracy albo przez księcia za zasługi lub jako uposażenie drużynnikom, urzędnikom czy duchowieństwu nie została oddana, stanowiła własność jego, z której jednak, poza łowami, chyba żadnego nie miał pożytku. Ninie przy pomocy kapłanów niewolnymi siłami coraz więcej ziemi pod uprawę i do innego użytku brać poczęto i napełniały się dobrem wszelakim komory i spichrze książęce po gródkach, w różnych miejscach kraju zakładanych, nie tylko jak dawniej do obrony kraju, lecz do prowadzenia gospodarki przeznaczonych.

Dwór, który od Ziemomysłowych czasów rozrósł się nie do poznania, pochłaniał ogromne zasoby. Bez przerwy niemal bawiły poselstwa i goście ze wszystkich stron, których podejmowano i obdarzano po królewsku, jednając sobie życzliwych i zbierając wieści o wszystkim, co się gdzie na świecie dzieje, dając poznać najdalszym potęgę i bogactwo księcia.

Nie mniej kosztowała drużyna. Jeszcze w pierwszych latach Mieszkowego panowania składała się ona przeważnie z młodszych synów wielmożów i panoszków polańskich, którzy dorabiali się łupem wojennym i nadaniami za wyświadczone usługi. Pobierali oni z książęcego skarbu zasiłki i

otrzymywali broń z książęcej zbrojowni, lecz wielu całkowicie, a w znacznej mierze wszyscy nie byli od księcia w swym bycie zależni, posiadając oparcie, jeśli nie we własnych, to w rodowych dobrach. Ubogich władyków w dróżynie prawie nie było, a obcy stanowili rzadkie wyjątki.

W miarę rozrostu jednak Mieszkowych ziem, a zarazem zasobów na utrzymanie drużyny, coraz liczniej zjawiali się w jej szeregach nie tylko polańskich, lecz i innych szczepów wojownicy, którzy w braku własnego majątku wyłącznie zdani byli na księżęce utrzymanie, w zamian przynosząc jeno męzne serce i mocne dłonie. Coraz też gęściej zjawiał się w drużynie obcy, czy to żądzą przygód, czy ciągłym wrzeniem, jakie panowało niemal we wszystkich krajach znanego wówczas świata, z własnego kraju wygnany, którego księżę przyjmował chętnie, bo przynosił często nową bron i umiejętność jej użycia oraz nowe sposoby wojowania.

Książęcy płatnerze kuli jednolitą broń i zbroje, w stadninach hodowały się konie, zdolne nosić roślących i żelazem obciążonych wojów. Znikało różnorodne, zeszlowieczne uzbrojenie i małe leśne koniki, a hufce jednolity przedstawiać zaczęły widok, proste i lśniące jak miecz i jak on ramieniu księcia posłuszne.

Obcy czynnik stapiał się wrychle w jedno w braterskim pożyciu drużyny ze swojakami i wiele późniejszych rodów polskich kołyski swej szukało w dalekich, nieraz zamorskich krajach. Zawołania i znaki jeno obce zostały, serca i krew stały się słowiańskie i z najlepszymi mogły iść o lepsze w wierności i zasłudze.

Gorzej było z drugim wojskiem, które na pokojowy podbój kraju ruszyło. Gdy w pierwszym okresie Mieszko sam niemal każdego sprowadzonego kapłana czy mnicha nadzorował i przepatrywał, po chrzcie kraju sprowadzenie obcego duchowieństwa wzmogło się lawinowo i księżę nie miał już możliwości badać, kogo mu nadesłano, ani nawet odrzucić pomocy najbliższych, zachodnich sąsiadów. Cieszący się Mieszkowym zaufaniem Jordan i pierwsi jego współpracownicy sami ludzi dobierać byli zmuszeni, nie mogąc podołać coraz wzmagającej się pracy, a nie otrzymawszy skądinąd, brali z najbliższych niemieckich klasztorów Św. Piotra w Starej Korbei i Św. Szczepana i Wita w Fuldzie. Ci, w najlepszej nieraz wierze, dawnym swym przełożonym służyli, w mniemaniu, że Kościołowi służą, i sprzyjali uroszczeniom niemieckiego duchowieństwa do kościelnej władzy nad nowo nawróconymi ziemiami Mieszka. Za nią w ślad gotowała się do wtargnięcia władza cesarza, świeckie ramię Kościoła, które właśnie w tym czasie usiłowało wznieść się ponad jego głowę. Świeżo utworzone arcybiskupstwo magdeburskie, któremu akt erekcyjny poddawał pod władzę biskupstwa za Łabą i Salą, opierając się ponadto na uchwale synodu w Rawennie, oraz bulli papieskiej, wyciągało chciwe władzy i dziesięcin dłonie po Mieszkowe ziemie, znajdując w nasłanych mnichach popleczników swych uroszczeń.

Rozum, potęga i przebiegłość Mieszka umiały się jednak roszczeniom tym przeciwstawić. Niejedno poselstwo powiozło Ojcu Świętemu z bogatymi darami zapewnienia synowskiej wierności i gotowości do pomocy w każdej sprawie i niejednen obcy duchowny, który niebacznie wydał się ze swych knowań z magdeburskim arcybiskupem, śmierć znalazł na ziemi, której za zjedzony chleb wdzięcznie zapłacić nie umiał. Potrafił też Mieszko utrzymać duchowieństwo w całkowitej od siebie zależności, hojnym będąc niemal nad miarę, gdy widział postępy wyznaczonej pracy, a do głodu umiejąc doprowadzić, gdy nie po myśli szła działalność.

Na zewnątrz głucha ta walka objawiała się tym jeno, że Jordan, który od samego Ojca Świętego otrzymał już przed dwoma laty biskupie odznaki, nie był dotychczas konsekrowany na skutek żądań magdeburckiego arcybiskupa, by nowo nawrócone kraje przyłączone zostały do jego prowincji kościelnej i by Jordan jemu zaprzysiął posłuszeństwo jako jeden z sufraganów.

Na te żądania Mieszko w ogóle nie raczył odpowiadać i jasnym się stało że raczej w ogóle nie dopuści do konsekracji, niżby miał swego biskupa podać w obcą zależność.

Stałość ta dała mu wreszcie zwycięstwo i nadszedł uroczysty dzień, w którym zjechał do Poznania przez papieża legowany arcybiskup Adalbert z Trewiru. Przybył w świetnym orszaku rycerstwa i duchowieństwa, wśród którego znajdował się apostoł Słowian połabskich, biskup Bozo z Międzyboru. Władał on słowiańskim językiem i pierwszy przełożył nań antyfonę, z małym jednak dla swych owieczek pożytkiem, gdyż na prześmiechy przekręcali greckie wyrażenia i miast Kyrie Elejson, przyspiewywali "u kri wolza", jak psotne dzieci drwiące z pracy czcigodnego pasterza.

Wjazd Jordana, jako misyjnego biskupa Polski, do nowo poświęconej katedry,⁴ odbył się niezwykle uroczyście.

Prócz miejscowego duchowieństwa, mieszkającego w przyległych do niej budynkach, wiodącego na pół klasztorny żywot, zjechali z całego kraju duchowni i co świetniejsze rycerstwo. Tłumy ludu z najbliższych okolic dniami całymi wystawały na ulicach Poznania, przypatrując się przejeżdżającym w pontyfikalnych szatach kościelnym dostojnikom, a w dniu uroczystego wjazdu drużyna Mieszkowa porządek utrzymywać musiała, obstawiwszy szeregami ulicę wiodącą do kościoła, gdyż inaczej świetny orszak nie byłby się mógł precyzyjnie przemieszczać.

Po uroczystości uczte i zabawę dla ludu na błoniach nad Wartą zgotowano, w podworcach - dla urzędników i rycerstwa, w dworskich budynkach - dla kościelnych i świeckich dostojników. Ze szczególnym zapałem witano nowego biskupa, który zdobyć umiał miłość wśród ludu, a przejazd księstwa, którzy po raz pierwszy ludowi okazali młodego Bolka, omal do rozlewu krwi nie doprowadził. Tłumy bowiem przerwały szereg wojaków i rzuciły się szaty księstwa, a nawet nogi ich koni całować. Drużynnicy zaczęli brać się do broni, lecz Mieszko głosem ich wstrzymał i wśród nie milknących okrzyków dopchał się książęcy orszak z trudem do wspaniale ozdobionej i rzeźbiście oświetlonej katedry, po czym z koni zsiadłszy, księstwo, prowadząc Bolka za ręce, między szeregami mnichów i uczniów szkół klasztornych podeszli do głównego ołtarza, gdzie klęczniki purpurą okryte dla nich ustawiono.

W pierwszym szeregu uczniów, tuż koło ołtarza, zauważyła Dobrawka młodego Stoigniewa i powitała go uśmiechem, oczyma dając mu znak, by Bolka odwiedził.

Dopiero jednak po ukończeniu zjazdu, który trwał tydzień, zjawił się Stoigniew u stryjny.

Słyszac zewszad od duchownych nadzwyczajne pochwały dla uzdolnień i pełnej godności postawy Stoigniewa, księżna zdziwiona była nieco smutkiem, widocznym w jego zachowaniu. Dopytywać się zaczęła troskliwie o powodzenie i postępy w naukach. Stoigniew odpowiadał chętnie, lecz czuła, że nie mówi wszystkiego i dopiero gdy żegnając zapytała, czy nie miałby jakiego życzenia, zarumienił się i odparł, że miałby jedno, lecz wypowiedzieć je może jedynie, jeśli pewnym będzie jego

spełnienia.

Dobrawka serdecznie pogładziła głowę chłopca i rzekła:

- Ufam, że o nic zdożnego prosić nie będziesz. Jeśli jeno w mojej mocy, spełnić twej prośby nie omieszkam.

- Pozwólcie mi wrócić do Zbrozły.

Dobrawka, cokolwiek zaskoczona, odparła:

- Mogę jeno kniazia prosić o to, bo na jego rozkaz oddano cię do szkoły. Ale słysząc tyle pochwał od twych przełożonych myślałam, że dobrze ci tam i że nakłaniasz się do duchownego stanu, w którym i zbawienia pewniejszym być możesz i, jak się w duszy spodziewałam, dojść do najwyższych godności.

Stoigniew milczał, więc zapytała:

- Nie cieszy cię nauka i obcowanie z pobożnymi mężami?

- Na pastorał długo bym musiał czekać, a miecz należy mi się już wkrótce, bo dwanaście lat kończę. Czego się u mnichów mogłem nauczyć, to już umiem. A tego, co jeno Zbrozło mnie nauczyć obiecał, nie potrafią mnie nauczyć mnisi.

Dobrawka odparła z pewną przykrością:

- Com przyrzekła, dotrzymam. Ale pomyśl, że wśród duchownych pan nasz swoich wiernych mieć musi. Nie tylko w mieczu jest siła.

- Ale mniej jeszcze w takiej, jak klasztorna, nauce. Świat tam zamknięty, ludzie prawie jednacy, za tydzień wszystkich przejrzyć można. Na sługi się nadają, co rozkazy mają wykonywać.

Dobrawka ze zdziwieniem słuchała niezwyklej mowy chłopca.

- A ty czymże byś chciał być?

- Chciałbym być taki jak Zbrozło.

- Boję się tego człowieka - szepnęła jakby do siebie Dobrawka. - Taki inny niż wszyscy, że wyrozumieć go nie mogę.

- Ja też chcę być inny niż wszyscy.

Księżna spojrzała na chłopca i westchnęła. I jego nie mogła zrozumieć, a to sprawiało jej przykrość. Miłowała bardzo tego ślicznego chłopca, pod którego dziecianną jeszcze powagą kryło się wybuchowe namiętne usposobienie, ujęte już w karby opanowania. Chciała w nim mieć i przeczuwała najlepszego przyjaciela dla syna, a trwożyło ją, iż przejrzyć go nie może. Zapytała

jeszcze niepewnie:

- A może wódcem chciałbyś być jak twój rodzic?

- Nie! - odparł bez namysłu chłopak. - Wódz sam nic nie znaczy, pobić może jeno słabszego. Wojaczki też się muszą nauczyć, ale nie to chciałbym robić.

- A co? - spytała patrząc z coraz większym zdumieniem na chłopca.

- Chciałbym umieć tak działać, żeby wrogowie między sobą się bili, żeby robili to, co nam potrzeba. Żeby się mnie bali ludzie i musieli czynić, co ja zechcę - mówił z wypiekami na twarzy.

- Dziecko! dziecko! Skąd takie myśli w tobie? Kościół się bronić pozwala, ale bliźniego widzieć każe w każdym człowieku. Nie bać się, a miłować winni między sobą.

Stoigniew nie odrzekł nic. Po chwili zapytał niepewnie:

- Poprosicie kniazia, by mnie kazał ze szkoły uwolnić?

- Poproszę - rzekła Dobrawka. - Słaby rozum ludzki nie przejrzy boskich wyroków. One niech pokierują tobą.

Nazajutrz z rana komornik przybieżał do Stoigniewa, wzywając go do stryja. Serce drżało chłopcu z niepokoju, gdy szybko szedł za komornikiem; pozwoli mu ksiązę rzucić szkołę czy nie?

Widząc jednak łaskawie uśmiechniętą twarz stryja, pewny był już swego. Jakoż Mieszko po krótkiej rozmowie, w której widocznie umiejętności chłopca chciał wybadać, rzekł:

- Widzę, żeś czasu w szkole nie stracił. Możesz ją tedy opuścić. Jeśli w duchownym stanie nie chcesz trwać i wolisz zaraz dostać miecz, niż lata czekać na pastorał.

Książę uśmiechnął się i skinąwszy na komornika, coś mu szepnął. Ten po chwili wszedł niosąc miecz w pochwie bogato złotem i kamieniami zdobionej. Wręczając go wzruszonemu chłopcu rzekł:

- Trochę ci i na miecz za wcześnie, ale i ja dwunastu lat nie miałem, gdy na wyprawy zacząłem chodzić. Wcześnie wyjść musi, kto zająć ma daleko. A ramię głowie nie szkodzi, daj Boże, byś miał ojcowe. Nim wódcem zostaniesz, wojakiem być musisz. Wówczas dopiero poznasz, co wódz znaczy i czy jeno słabszych bije. Dawno by nas nie było, gdybyśmy bić nie umieli silniejszych.

Biorąc miecz, zarumienił się Stoigniew, zarówno z radości, jak i z zakłopotania, książę zaś ciągnął dalej:

- Chcesz być inny niż wszyscy. Niełatwa to rzecz, jeśli się lepszym chce być. Ale kto nisko mierzy, nie trafi wysoko. Jedźże w świat, gdy ci w klasztorze za ciasno. Uszy, oczy i serce miej otwarte. Orszak ci daję z sześciu wojów i dwóch pachołków, konie, zbroję, i zapasy. Jedź, dokąd chcesz, ucz się rozkazywać i myśleć nie tylko o sobie, ale i o innych. Jedziesz jako mój wysłannik, wszędzie ci pomoc i utrzymanie dać winni.

Stoigniew rzucił się do nóg stryja, dziękując. Nawet nie zamarzyła mu się swoboda, jaką dawał książę po surowej niewoli, na którą skazał poprzednio.

Mieszko uściskał go za głowę serdecznie i z ciekawością zapytał:

- Nie miałeś jeszcze czasu pomyśleć, co zrobisz. Dokąd jechać zamierzasz?

Stoigniew namyślał się chwilę, aż odparł:

- Pojadę naprzód pożegnać się do mnichów, którzy mnie uczyli. Surowi są, ale sprawiedliwi.

- A potem? - zapytał książę.

- Do matki do domu pojadę, a potem do Tuniego do Trzemeszna. Guncelina też w Miśni chciałbym odwiedzić.

- To przywieźże go tutaj, stryjna się uraduje. Ale samopas tam się nie wybieraj. Odszukaj naprzód Zbrozlę i razem jedźcie do Miśni.

- A Zbrozlę gdzie znajdę? - zapytał Stoigniew.

- Nie wiem. Ale pewnie dowiesz się w Lubuszy. Może i ojca tam zastaniesz. Ucieszy się tobą.

To rzekłszy Mieszko łaskawie pożegnał Stoigniewa, który, ręce stryjowskie z wdzięcznością ucałowawszy, wypadł jak strzała, nie bacząc, że ciemna szata klasztorne kroju płącze mu się między nogami, iż omal nie przewrócił się.

Za niecałą godzinę nikt w świetnie przybranym, młodym wojaku nie poznałby klasztorne ucznia. Wyższy się zdawał, poważna poprzednio twarz płonęła podnieceniem, a głębokie oczy radością.

Na podworcę stał już jego orszak gotowy do drogi, a pacholek konia mu podawał. Stoigniew lekko skoczył w siodło i krzyknawszy: "W drogę!" - konia puścił w cwał. Lecieli przez ulice Poznania, a przechodnie, uskakując, ze zdziwieniem oglądali się, daremnie usiłując odgadnąć przyczynę pośpiechu. Towarzyszący mu stary dziesiętnik Radoch, który pod Ziemomysłem jeszcze odbywał wyprawy, mrucał do siebie pod sumiastym wąsem:

- Najtrudniej nauczyć źrebaka stępa chodzić.

Zburzone gniazdo

Dwa lata po powrocie Dzika z weleckiej wyprawy upłynęły Sofii jak sen. Pomna przestróg Zbrozły, nie pokazywała trwogi po sobie, gdy Dzik, zrazu nieśmiało do zabaw z Witkiem począł wracać. Gdy widział uśmiech Sofii, a nawet gdy sama mu nieraz chłopca przyniosła, ośmielił się. Uważniejszy był natomiast w swych pieśczętach, tak że skrywany, jeszcze wciąż nurtujący Sofię niepokój zniknąć począł, aż zniknął zupełnie.

Chłopak też rósł jak na drożdżach, zdrowy, wesoły, rozhukany, a taki się czynił do Dzika podobny, że śmiejąc się sama Sofia, a za nią inni przezywali go Warchlakiem.

Skończył dopiero pięć lat, lecz silny i rosły ponad wiek - śmiały był do wszystkiego i wszystkiego ciekawy, że w domu go ni chwili utrzymać nie było można. W miarę jak rósł i męźniał, Sofia rada nawet być zaczynała, że Dzik wszędzie go ze sobą zabierał, gdyż nie bała się już, że przez niezręczność krzywdę zrobi dziecku, a upilnować go sama nie mogła. Nie obejrzała się i chłopak zniknął, by konno wrócić z parobkami od wodopoju lub z połowu ryb, a kilka razy dopiero przy pomocy Gona szukać go musiano po lesie, gdzie zawsze coś tak zajmującego go zatrzymało, iż do domu wracać zapominał.

Dzik śmiał się, gdy łajęła chłopca, i nie pozwalał karać go mówiąc, że sam niewiele był większy, gdy poszedł na dobre do lasu i jakoś się uchwycił. Swoją drogą korzystał, że Sofia chętniej już jemu chłopca powierzała ufając, że przynajmniej od zwierza i zbłąkania bezpieczny jest przy ojcu.

Łajęła obu, gdy na porę nakazaną nie wrócili, a Tarło zaśmiewał się wówczas z ich podobieństwa, gdy obaj ze skruszonymi minami, z narzuconą na oczy czupryną zerkali nieśmiało na Sofię, kiedy krzyżeć przestanie i wieczerzę poda, o której, oglądając różne cuda w lesie, zapomnieli. Sofię śmieszyło i rozrzewniało podobieństwo i nieraz sama śmiechem wybuchwała, choć usiłowała go powstrzymać, by resztek powagi nie stracić.

Czasem jak biała chmurka po pogodnym niebie przepłynęło przez ich życie zdarzenie jakieś niecodzienne. Nieraz Dobek przyjechał wieści przywożąc ze świata, gdyż częściej bywał w Krakowie. Raz odwiedził Dzika Sobiesław spełniając obietnicę, i na ucztach i łowach spędził dwie niedziele. Rzadko widywali komorników po daniny zjeżdżających, a raz jedyny niebezpieczeństwo zawisło nad gródkiem gdy morawscy zbójce nad ranem uspionych zaskoczyli. Gon jednak na czas jeszcze zbudził Dzika i zbito napastników straszliwie, że mało który uszedł, a kilku pojmanyh Tarło odwiózł w pętach do ukarania do Krakowa, mimo sprzeciwów Dzika. Uważał że puścić ich trzeba, bynajmniej o napad niegniewny, jako że sposobność mu dał do bitki, za którą tęsknił czasami.

Surowe jednak były przeciw zbójcom zarządzenia księcia i Tarło słusznie mniemał, iż tak znaczny napad ukryć się nie da, a nie chciał Starzy następczą sposobności czepiania się o niewypełnienie rozkazów. Ku wielkiemu żalowi Dzika zbójce powędrowali do Krakowa i tam zawisli na szubienicy.

Często w rozmowie Zbrozłę wspominali i Dzik wiedząc iż pokój jest w kraju, dziwował się, że Zbrozło do Grodziska nie zjedzie. Wybierał się nawet sam odszukać go, lecz tak mu było dobrze, że odwlekał wciąż wyjazd, zwłaszcza że Witek zapowiedział, iż go nie puści samego, Sofia zaś żadną miarą na zabranie chłopca w tak daleką i nie wiada jak długą podróż pozwolić nie chciała. Obydwaj

zapowiedzieli, że niech jeno Witek siedem lat skończy i pod męską przejdzie opiekę, wyjadą zaraz. Przez najbliższych kilka dni Zyńka utrapienie miał z chłopakiem, który wyliczyć mu kazał, ile dni od siedmiu lat go dzieli, a następnie naznosili ze strumienia płaskich kamyków i ułożyli odpowiednią ich ilość na wieży, skąd Witek co dzień zrzucał jeden i martwił się, że kupka tak wolno maleje.

* * *

Nieraz gnany powiewem wiatru puch wierzbowy opadnie na fale bystrego strumienia.

Gna go woda w dół, rzuca nim o kamienie, wciągając go w głąb bełtki, zda się, że nic nie ocali bezbronno nasionka. Aż na zakręcie jakim fala go na wilgotny brzeg wyrzuci lub wiatr zbierze z bryzgu rozbitej o kamień wody i poniesie w spokojne miejsce, gdzie zakorzeni się roślinka i długie lata stoi spokojnie, chowając pokolenie ptasie w swych dziuplach i gałęziach i schronienie dając owadom w zakamarkach swej kory.

Czasem zaś na gładkiej płani nasionko osiadzie i płynie spokojnie po lustrzanej tafli. Gdyby słyszeć jednak mogło, coraz wyraźniejszy grzmot ostrzegłby je, że płań wodospadem się kończy. Bezbronny puszek znika w głębinie, wbijany w kipieli naporem spadającej wody, by nie ukazać się już nigdy. Nie rozwinie z wiosną zielonych listków ku słońcu i nie zaśpiewają ptaszki w jego gałęziach. Lepiej, że grzmotu nie usłyszy; nie oszczędzi go śmierć, ale ominie strach.

Ciepła, łagodna wiosna przechodziła już w gorące lato. Od tygodnia nie padła kropla deszczu. Zasilane zrazu topniejącymi śniegami strumienie chudnąć poczęły. Tu i ówdzie z wody głąz się wyłaniał, który z dawna nie widział powietrza i słońca, a siadające na nim pliszki trzęsły ogonkami, szukając w wilgotnych jeszcze załamaniach pokarmu. Zmartwione pluszcze latały nisko nad wodą. Jeszcze parę dni upałów, a pozbawione zostaną wodnej zasłony gniazda ich, zbudowane pod kaskadami, właśnie teraz, gdy dojrzewające już potomstwo najtroskliwszej wymaga opieki.

Aż jednego dnia upał stał się niebywały. Niebo bez chmurki jeszcze pobielalo od żaru. Bydło paść się nie chciało, a ludzie ruszali się ospale.

Dzik siedział na podcieniu, próżno piwem ochłodzić się usiłując. Gwarzyli leniwie z Tarłą i Krzeszem. Gon leżał u jego stóp i wywaliwszy ozór, dyszał szybko. Burza szła widocznie, choć nie wiada jeszcze, z której strony, bo listek nie poruszał się na drzewach, jakby przyrodzie od skwaru zabrakło oddechu.

Dopiero gdy słońce skłoniło się ku zachodowi, ruszył się wiatr, lecz i on nie przyniósł ulgi znużonym płucom. Żarem powiało od zachodu, jakby zmałałe za oparem, czerwone słońce było otworem pieca. Wschodni skłon wzgórze zaległ już cień, w powietrzu wisiała szara mgiełka, jak śreżoga, która zacierała zarysy przedmiotów, jeno na tle czerwonego nieba odcinała się wyraźnie poszarpana linia górskiego grzbietu okrytego lasem wyniosłych świerków.

Słońce zanurzyło się w las, a równocześnie linia nieboskłonu wyrównała się i wznosić zaczęła ku górze, czarna jak noc, z żarzącą się jedynie opaską, oddzielającą ją od ciemniejszego już nieba. Wreszcie opaska zgasła i wówczas rozróżnić już można było występującą zza gór ławę czarnej jak krucze skrzydło chmury, która ogarniać poczęła cały widnokrąg.

Szum, zrazu daleki i nieuchwytny, szedł od boru. Po chwili zaszumiały pobliskie drzewa i niespokojnie trząść jeły gałęziami. Chmury zajęły już pół nieba, wisały nad głowami, zmieniły kształt i barwę i gnały z zawrotną szybkością. Widno górą wichur szedł niesłychanej siły, w dole zrazu jeno coraz częstszymi uderzeniami się objawiając, które gięły już pnie wyniosłych drzew i rzucały tumany pyłu, zmieszane ze zdartymi z drzew liśćmi.

Dzik dźwignął się leniwie:

- Spać chodźmy, ćma się robi, że wnet własnej ręki nie ujrzy.

Powstali i nakazawszy parobkom, by drzwi i okiennice przed wichurą we wszystkich budynkach zaparli, udali się spać. Pogaszono wszędzie ognie, by wichur pożaru nie zaprószył, i gęsta ciemność zaległa gródek. Majaczyła jeno w mroku jak widmo wieża z białego kamienia.

Uderzenia wichru tymczasem zlały się w jedno. Świst wiatru zmienił się w wycie, potem w ryk nieustanny i coraz się wzmagający. Pochylone, czołami ku ziemi przygięte drzewa daremnie targaly się, by wrócić do swej postawy, coraz częściej nie wytrzymało mniej podatne i w ryk wichury mieszać się zaczynały raz za razem trzaski łamanych pni.

Wreszcie przednia straż burzy uznała widocznie, że czas okazać przerażonemu stworzeniu rozmiar zniszczenia. Czarna jak smoła noc rozbłysnęła nagle tysiącem słońc i nad wyciem wichru i łoskotem walących się drzew zapanował grzmot, jakby niebo całe runąć miało na struchlałą ziemię.

Za pierwszym, jak na dany znak, walić zaczęły następne, błyskawicami wydobywając z mroku świat, by go w głębszy jeszcze pograć. A już krople nadlatującego deszczu siekły i burza przeszła w szaleństwo.

Świat trzął się od grzmotów i płonął od błyskawic, a przez wzgórza szedł już nie deszcz czy ulewa lecz płynęła w powietrzu fala wody, gnana wichrem z szybkością wodospadu. Piorun za piorunem bił po drzewach, które jeszcze stać śmiały, blask i grzmot następowały w tym samym mgnieniu oka. Burza była nad samym gródkiem.

Mało kto spał w Grodzisku, bo budynki trzęsły się, jakby od ziemi chciały się oderwać i popłynąć wraz z lecącymi jak wielkie ptaki całymi stadami konarów i mniejszych drzewek, które raz za razem biły o dach i ściany budynków.

Nagle najsilniejszy z silnych huk zatrzął, zda się, całym wzgórzem, iż co żyło zerwało się na nogi. Piorun uderzył gdzieś w budynki. Zbudził się nawet Dzik i zakławszy, okrycie na głowę nasunął, gdy Tarło wpadł do niego wołając:

- W obejście gdzieś uderzyło, obaczyć by trzeba, czy nie płonie!

- A jak płonie, to co? - rzekł zaspanym głosem Dzik. - Wściekło się lichy, co mu zrobisz?! Więcej wody, niż z nieba idzie, nie wylejesz. A wyjdiesz na dwór, to ci konar łeb rozbije albo piorun ustrzeli. Spać oto idź i mnie daj spać. Burza przejdzie bez ciebie, a jutro pewnie będzie pogoda, to se obejrzymy, co napsociło.

I obróciwszy się na drugi bok, usnął. Nie słyszał już, jak pioruny oddalały się, wichur pognał za nimi, jeno deszcz stateczny już szumiał niemal do świtu, usypiając swym jednostajnym szmerem tych, których wyrwała ze snu burza.

Ranek wstał świetlisty i chłodny. Lekkie mgiełki wznosiły się ku górze, a miliony drobnych strumyków ze szmerem sunęły po stokach, łącząc się w coraz większe, i wszystkimi wąwozami, każdym zagłębieniem biegły do rzeki.

Świat lśnił od blasków słonecznego światła, grającego w kroplach rosy i wilgotnych jeszcze liściach. Ptactwo, jakie ocalało z nocnego pogromu, rozpoczęło swe pienia, obojętne na los tych, których we śnie potłukły walące się drzewa lub wichur rozbił o pnie i głązy.

Las, jakby poorany pługiem olbrzyma, całymi pasami świecił bielą postrzępionych kikutów pni, których korony niejednokrotnie potęgą wichury rzucone zostały na sąsiednie wzgórza. Leśny drobiazg, nawykły, iż starsza brać okradała go ze światła, kąpał się w słońcu bez przeszkód, korzystając z zagłady mocniejszych.

Na gródku spustoszenia okazały się niewielkie. Gonty jeno gdzieniegdzie poleciały z wiatrem, na południowym stoku wał podmyty zjechał w dolinę, a kawałek częstokołu nachylił się w rozmokłej ziemi.

Wieża jedynie poważniej była uszkodzona. Piorun złamał rosnącą obok niej prastarą sosnę, która padając, wgniotła blank muru, iż zawałiła się część górnego sklepienia tam właśnie, gdzie leżała kupka kamieni do liczenia dni Witka. Dzik niezbyt się martwił, gdyż górne piętro wieży służyło przeważnie za mieszkanie sowom, Witek natomiast był niepokieszony i uspokoił się dopiero, gdy mu Zyńka obiecał na nowo zrobić rachunek. Wybierać się też zaczął zaraz nad rzekę po kamienie, a że Dzik, konia osiodławszy, do pasieki chciał jechać na drugi brzeg, by obejrzeć, czy tam szkód nie ma, wprosił się, by go ojciec wziął ze sobą, lecz Sofia już z konia odebrała chłopaka, roztrzęsiona jeszcze po burzy i nie przespanej nocy.

Dzik tedy sam wyruszył i objechawszy gródek, skierował się wąwozem ku strumieniowi, gdy nagle spostrzegł Witka, jak zza krza wyskoczył i roześmiany zbliżał się ku ojcu, a za nim Gon, któremu też Dzik w domu kazał pozostać, by pies nie utonął w wezbranym strumieniu.

Z udanym gniewem Dzik zawołał:

- Obydwo powrozem spiorę!

Ale ni Witek, ni Gon nic sobie widocznie nie robili z nie spełnianych nigdy zapowiedzi. Gon, merdając ogonem, konia obskakiwać począł, a Witek po nodze Dzika w górę się gramolił.

Chwycił go tedy Dzik za pasek i posadził przed sobą, uspokajając się przed obawą gniewu Sofii tym, że Witka w lesie znalazł i samego nie mógł zostawić.

Ruszyli w dół, ku strumieniowi. Wąwozem sączyła się mętna woda, koniowi dochodząca do pęcín, a z dala już słychać było szum strumienia, który zmienił się w potężną rwącą rzekę.

Dojechali do płaskiego, rozjeżdżonego brzegu, gdzie był przejazd, i oczom ich ukazała się wodna płaszczyna. Żółta, niemal gęsta fala z wielką szybkością niosła konary, a czasem i pnie powalonych drzew, iż cała niemal przestrzeń rzeki była nimi pokryta. Miejscami tworzyły się zwały i zatory po to, by po chwili ruszyć dalej pod potężniejszym uderzeniem fali lub pchnięciem ciężkiego pniaka. Przez szum wody przebijało głucho dudnienie toczonych po dnie kamieni i głazów.

W miejscu, gdzie był zjazd, woda utworzyła spokojniejszą zatoczkę i Dzik próbował weprzeć konia w wodę, lecz ten zaparł się i chrapnął niespokojnie.

- Żebyś Ciska wziął, toby poszedł - rzekł Dzik. - Raz my już z nim pływali nie po takiej rzece. Wodnik nas wciągnąć chciał, ale nie uradził.

- A tu Wodnik jest? - spytał Witek.

- Tu mała rzeczka - odparł Dzik. - Wodnik jest wielki, toby się nie miał gdzie schować, chyba pod jazem. Mówił Zyńka, że wiły tu są i brzeginie, ale co by ta sobie z nich kto robił.

To rzekłszy, zawrócił koniem na wysoki brzeg i mówił: - Przejdziemy po płani za tamką. Tam woda wolniej idzie, więc ni głazów nie toczy, ni pniem nie praśnie człeka, tyle że ciżmy zamoczę.

Ruszyli ścieżką przybrzeżną wiodącą pod górę: Na miejscu, gdzie brzeg był najwyższy, stała prastara sosna. Piękna jej korona mocno ucierpiała od burzy, przerzedzona z drobniejszych gałęzi, ku rzece zaś zwisał odłamany olbrzymi konar.

Koń wspinał się mozolnie po stromej ścieżce, wiodącej tuż nad urwistym brzegiem. Za koniem biegł Gon, coraz spoglądając w burzliwą wodę i odsuwając się ostrożnie.

Dojeżdżali już do drzewa, gdy Gon odskoczył w bok, szczekając niespokojnie, a równocześnie rozległo się skądś jakby cmoknięcie lub westchnienie. Koń zatrzymał się i chrapnął.

- Co to? - zapytał Witek, raczej zaciekawiony niż przestraszony.

Zanim Dzik zdążył odpowiedzieć, poczuł dziwny jakiś ruch i spostrzegł szczelinę, równoległą do ścieżki, szeroką na dwa palce, która rozszerzała się w oczach.

Dzik zrozumiał i szarpnął konia w bok, lecz było już za późno. Koń przednimi kopytami uchwycił jeszcze brzeg, lecz zad zapadał mu się wraz z usuwającą się ziemią.

Dzik uchwycił Witka pod pachę i przez głowę konia rzucił się naprzód, a koń wraz z oberwiskiem zjechał ze stromego brzegu. Bryznęła woda, zapieniła się i ni śladu nie zostało po biednym zwierzęciu, przywalonym na dnie masami gliny i żwiru.

Dzik uchwycić się zdołał odkrytego przez obsunięcie się ziemi korzenia i zawisł na jednej ręce. Nad nim stał Gon i szczekał niespokojnie.

Dzik usiłował podciągnąć się, lecz nogi nie znajdowały oparcia w usuwającej się wciąż ziemi, korzeń zaś okryty śliską gliną wymykał mu się z ręki. Raz jeszcze szarpnął się ku górze, korzeń

wyśliznął mu się i Dzik zjechał w dół, wraz z obsuwającą się wciąż ziemią.

Szczeńciem ziemia poprzednio obsunięta utworzyła zwał przy brzegu, przez który przelewała się woda rozplukując go. Dzik zatrzymał się, nogi mając po kolana zanurzone w luźnym piargu, który słabe dawał jedynie oparcie. Ponadto wciąż zsuwał się z góry rozmyty brzeg. Dzik usiłował wykręcić się twarzą do rzeki i zwolnić uwięzłe nogi, gdy nagle Witek zawołał:

- Tatku! trzymaj!

W głosie małego nie było trwogi, lecz pewność, że Dzik sprostą każdemu niebezpieczeństwu.

Dzik obejrzał się i po raz pierwszy w życiu poznał uczucie lęku. Pozbawione oparcia drzewo, trzymane jeszcze u podstawy częścią korzeni, waliło się na nich jak maczuga olbrzyma przybierając na rozmachu. Rzucił się w bok, by uniknąć ciosu, lecz uwięzłe nogi nie puściły. Świat zawirował, i zgasł.

Pracujący przy częstokole Tarło dojrzał z góry pędzącego z największym wysiłkiem Gona: Tknęło go coś i przeskoczywszy częstokół, zabiegł mu drogę. Gon, jak oszalały, skakać począł dokoła niego, skomląc, po czym zawrócił i popędził ku rzece. Tarło spojrział za nim i serce zamarło mu z niepokoju. W miejscu, ku któremu pędził pies, stała jeszcze niedawno wyniosła sosna, obecnie było puste. Pies, dopadłszy brzegu, zniknął.

Tarło, zawoławszy na brata i parobków, by biegli za nim, sam, nie czekając na nikogo, puścił się pędem w dół. Dobiegłszy, z wysokiego brzegu ujrzał zwałone drzewo, koroną wparte w wodę, która kołysała potężnym pniem grożąc, że lada chwila wyszarpnie resztę korzeni i weźmie pień w swoje nurty. Zrazu widział na dole psa, który między konarami coś grzebał skomląc przeraźliwie. Tarło bez namysłu, nie bacząc na usuwającą się wciąż ziemię, i grożący zawaleniem pień, zjechał z góry i zatrzymał się przy psie. Zajrzał pod konary, lecz nie zauważył nikogo. Dopiero gdy Gon znowu doskoczył niespokojnie grzebiąc łapami, w cieniu gałęzi dostrzegł zwałoną gliną twarz Dzika i struchlał.

Głowa Dzika zanurzona była do połowy w wodzie. Kasztanowate włosy falowały z prądem, a spomiędzy nich sączyła się cienka, czerwona smuzka, która, widoczna zrazu, rozplýwała się w żółtym odmęcie.

Tarło, zaparłszy się nogami, ręce wbił w ławicę, by głowę Dzika przynajmniej dźwignąć do góry i wołać począł. Głosy odpowiedziały mu z brzegu i w tej chwili Krzesz znalazł się koło niego. Zobaczywszy, co się dzieje, na parobków krzyknął, by biegli co do czego po drągi, liny i łopaty, sam zaś, doskoczywszy, rękoma odgarniał ziemię i kamienie, którymi Dzik był przykryty. Nim pomoc nadbiegła, wśród grożącego każdej chwili obsunięcia się pnia wraz z dalszymi zwałami ziemi, odgrzebali prawą rękę Dzika i odrzucili brzemień z jego piersi. Tarle zdało się, iż poruszyła się oddechem.

Tymczasem już kto żył w gródki pędził ku rzece i po chwili, ubezpieczwszy drzewo od upadku, a ludzi od porwania przez ziemię i wodę, podważono pień ku górze i za chwilę odrzucono ziemi na tyle, że Tarło z Krzeszem, chwyciwszy Dzika pod pachy, wyciągać go zaczęli: Nagle Tarło krzyknął

przeraźliwie. Pod lewą pachą Dzika poczuł dziecięce ciało. Szarpnął i wy dobył je na wierzch. W zmiętym ociekającym wodą i zwałanym mułem łachmanie poznał Witka.

Już czyjeś ręce pochwyciły dziecko. Przeciągnięto linę pod pachy Dzika i za chwilę znalazł się na wysokim brzegu. Tarło i Krzesz wspięli się również po linie. Tarło roztrącił stojących kręgiem ludzi i spojrzął na Dzika.

Żył widocznie. Od czasu do czasu potężna pierś podnosiła się nierównym oddechem. Na głowie, od skroni przez ucho, którego połowy brakowało, gubiąca się w kasztanowatych włosach ziała rana, krwawiąca coraz silniej. Wkrótce włosy nasiąkły krwią zupełnie i skapywać zaczęła na ziemię. Tarło chustą obwiązał głowę Dzika, po czym zwrócił się do Witka.

Chłopak leżał bez ruchu, zmałały jakby. Tarło otarł mu twarzyczkę powalaną ziemią i piaskiem. Wyżał wilgoć z włosów i sądząc, że da się jeszcze odratować, za nóżki ujął i wodę z niego chciał wytrząść, w nadziei, że mu oddech wróci. Zamiast wody jednak ukazało się w nosie i na wargach trochę krwi. Widocznie zgniotło go uderzenie. Twarzyczkę miał jeszcze różową, jeno nos mu się wyostrzył i pod oczyma leżały cienie. Witek nie żył.

Stali wszyscy milcząc bezradnie, a Tarło szepnął:

- Kto powie o tym Sofii?

Lecz jej nie trzeba było mówić. Gdy jeno zauważyła brak chłopca, a zaraz i biegnących ku rzece od roboty ludzi, pewna już była nieszczęścia. Szła spokojnie naprzeciw wracających. Czas już dla niej nie istniał; nie spieszyła się.

Podeszła do idącego na przedzie z Witkiem na rękę Tarły i bez słowa odebrała dziecko. Przytuliła je do piersi i coś szepcząc zawróciła. Nie pytała o nic. Spojrzała na niesionego na noszach Dzika i odeszła ku domowi.

Tarło oczyma wskazał Krzeszowi, by szedł za nią, a sam do Dzika wrócił i pochód pociągnął do gródka.

Sofia, przyszedłszy do domu, przeszła w milczeniu koło lamentujących niewiast, do których dotarła już wieść o nieszczęściu. Na widok jej uśmiechniętej twarzy umilkły zaskoczone, jakby dziecko spało i bały się je zbudzić.

Sofia weszła do swej komnaty i drzwi zapała za sobą. Niespokojny Krzesz zapukał raz i drugi, posłuchał pode drzwiami krzątania w izbie, wreszcie oddalił się bezradny i przybity. Zyńka jeno krążył jak pies, od okna do drzwi, w nadziei, że go zawoła. Często pomagał je, ubierać chłopaka, gdyż Witek przekomarzał się z nią przy ubieraniu i psocił, że trzymać go było trzeba.

Jakoż na nieśmiałą prośbę Zyńki otworzyły się drzwi. Uśmiechając się do niego, Sofia położyła rękę na jego głowie i rzekła:

-Dziś ci za pomoc dziękuję, spokojne już moje dziecko, psocić nie będzie:

A gdy Zyńka ze ściśniętego gardła głosu nie mogąc dobyć w rękę ją całował, dodała:

-Pożegnasz go, gdy go przybiorę. Teraz pilnuj, by mi nikt nie przeszkadzał.

Pocałowała Zyńkę w czoło i zamknęła drzwi.

Rozpaliła ogień na kominie i w kociołku nastawiła wody, potem wróciła do leżącego na łóżku dziecka i rozbierając je mówiła:

- Widzisz, jakiś grzeczny. Nikogo mi do pomocy nie trzeba Zawsze już taki będziesz.

Wylała zagrzaną wodę na dzieżkę i kąpać poczęła dziecięce ciało, już zimne.

-Zagrzejesz się szeptala - tamta woda, zimna i brudna, mroziła cię i zabrudziła.

Obmyła chłopca starannie, wytarła go ręcznikiem haftowanym całując zwiotczone rączki i nóżki. Potem nalala wody do garnuszka, zasypała ziołami wyjętymi ze skrzyni. Silny zapach rozszedł się po izbie.

Wyjmowała i rozkładała na łożu swoje szaty i stroiki dziecka. Wybierała starannie jak na wielkie święto. Przykładała chłopcu do twarzyczki różne przybrania, wreszcie ubierać go zaczęła. Nałożyła białe giezło z cienkiego płótna, potem sukienkę purpurową, złotem lamowaną naciągnęła na sztywniejące już członki i borykając się z uciekającymi jej rączkami, szeptala:

- Znowu psocić zaczynasz, a tam dziadzio czeka na nas. Razem spać będziemy, nie zbudzi cię burza. Nie uciekniesz mi już ani cię szukać będę po lesie. Będiesz zawsze leżał koło matuli.

Przybrała chłopca i patrzyła na niego, mówiąc: - Tak ci ładnie w tej sukience. Nie zbrukasz jej i nie podrzesz mój ptaszku maleńki.

Potem sama zaczęła się przybierać. Utrefiła włosy, przepasała je złotą opaską, suknię włożyła białą, bez rękawów, złoty łańcuch na szyję, złote obręcze na ramiona, trzewiki purpurowe ze złotymi klamrami. Przejrzała się w lusterku z polerowanego srebra i uśmiechnęła się do siebie:

- Zbrozło prawil, że czas się smucić, gdy przychodzi nieszczęście. Otóż nie czas! Zostawię smutek innym, a sama pójdę z moim syneczkiem. Tak nam tu dobrze było, że i tam źle nie będzie. Aniś dzionka smutnego nie miał z tych niewielu, co ci przeszły. A resztę piorun rozgonił jak stado ptaszków albo jak tę twoją kupkę kamieni, co ci tak wolno malała.

Wylała płyn z garnuszka i ostudziwszy wypila. Potem ułożyła się na łożu i wzięwszy małego, przytuliła go do siebie:

- Śpij, maleńki, ja też zaraz zasnę. Szkoda, że nie zobaczy nas tatko, jak sobie razem śpimy. Może by zamrugał na ciebie, byście mi razem uciekli. Ale ty już nie odejdziesz ode mnie.

Twarz jej pobladła, oczy przymykały się. Jeszcze raz dźwignęła się na łokciu i patrzyła w twarzyczkę dziecka. Szepnęła jeszcze:

- Tatuś biedny, sam tu zostanie. On też miał mamusię, gdy był taki mały jak ty, i stracił ją. Złe mu było bez niej. Ja muszę iść z tobą, byśmy się nie pogubili. Ale tatusia mi żal. Taki był dla nas dobry.

Dwie łzy zawisły na rzęsach Sofii. Chciała je obetrzeć, lecz już ręki podźwignąć nie mogła. Świeciły jeszcze na jej policzkach, gdy Zyńka, zaniepokojony ciszą w izbie, dobijając się począł, a gdy mu nie otworzono, Tarłę zawołał, który drzwi wyważył. Zastali Sofię martwą z Witkiem w ramionach.

Zyńka rzucił się na ziemię z płaczem ogromnym. Tarło przeczekał chwilę, po czym rzekł:

- Nie płacz, nie jesteś dzieckiem. Jej tak lepiej. Kto biedny, to Dzik. On płakać nie umie.

Zamknął cicho drzwi i wyszedł baby zawołać, by zwłok pilnowały, i przygotowania czynić do pogrzebu.

Odejście

Mijały tygodnie, a Dzik leżał nieprzytomny. Zrazu zrzucił wszystko, czym go karmiono, potem pić zaczął chciwie. Rana na głowie, potłuczenia i sińce goiły się, lecz świadomość nie wracała jeszcze, tak iż Tarło, choć widoczne już było, że Dzik wyżyje, niepokoił się, czy pamięci nie straci. Dzik nie jęczał i nie mówił nic, czasem jeno coś mruczał do siebie niezrozumiale. Oczy przeważnie miał zamknięte; czy spał - nie wiadomo, gdyż nieustannie prawie rzucał niespokojnie rękami.

Pilnowali go na zmianę Tarło z Krzeszem, gdyż Zyńka po pogrzebie Sofii i Witka nie był zdolny do niczego. Wybuch rozpaczy nie powtórzył się więcej, lecz chłopiec siedział nad mogiłą lub nad rzekę chodził i godzinami całymi wpatrywał się w wodę, która wróciła już do zwykłego stanu. Płynął strumyk niewinny i nieszkodliwy, aż trudno było uwierzyć, że to on tylu klęsk i żałoby był przyczyną.

Jednej nocy Tarło czuwał przy Dziku. Siedział przy otwartym oknie, przez które wpadała woń skoszonego siana wraz z blaskiem miesiąca. Z chaszczy od rzeki dochodziły pienia słowicze, a ciepły powiew od lasu niósł głosy i szmery nocnego życia puszczy.

Noc jakby stworzona była do marzeń o szczęściu, lecz ciężar leżał na młodym sercu Tarły. Piorun, ugodziwszy w to gniazdo, nie tylko zabrał lub złamał ludzi, do których był gorąco przywiązany, lecz kłodę zwałił na drogę do jego szczęścia własnego. Przed niedawnym czasem Dzika prosić zamierzał, by jechał z nim do Dobka w swaty. W szczęśliwym spokoju Grodziska zapomniał o wróżbie wolińskiej czarownicy, która przygniałała go przez długie miesiące. Młode, gorące serce upominało się o swoje prawa, a wiosna dokonała reszty. Czy na łowy, czy w podróż do Krakowa - zawsze mu droga na Dobkowy dworzec wypadła i zawsze przypadkiem u wylotu wąwozu prowadzącego do dworca znajdowała się Czarnuszka. Poczciwy Dobek śmiał się z tych przypadków i dobrotliwie podrywiwał z naiwnej chytryści młodych. Lubił wszystkich mieszkańców Grodziska. Rad był związać się z nimi i dziecko kochane zachować pod boki. Teraz te zamiary ulec musiały zwłóce, a Tarle znowu dźwięczała w uszach złowroga przepowiednia. Smutek jego nie był smutkiem księżycowej nocy, w której tai się szczęście, lecz smutkiem podróżnego, gdy statek odbije od brzegu, na którym zostawił wszystko, co mu drogie. Zadumę Tarły przerwał nagle głos Dzika, który zawołał:

- Gdzie Witek?

Były to pierwsze wyraźne słowa, jakie wymówił po wypadku. Tarło odwrócił się od światła w mroczną głąb izby i zauważył, że Dzik siedzi na łożu i czegoś szuka koło siebie. Nie był pewny, czy Dzik pyta przytomnie. Podszedł i chciał podać mu wody z winem, lecz Dzik ręką odsunął kubek i powtórzył pytanie. W poblasku padającym od okna Tarło ujrzał jego otwarte, przytomne oczy i serce ścisnęło mu się tak, że słowa nie mógł wymówić. Dzik opadł na posłanie i milczał chwilę. Potem sennym głosem rzekł:

- To już noc się zrobiła. Tak długo mnie zamroczyło. Nie budź Witka, niech śpi. Musiało się dziecko przerazić.

Oczy poczęły mu się mrużyć, westchnienie podniosło pierś i usnął.

Tarło męczył się bezsennie do rana. O świcie przyszedł Krzesz, by go zwolnić. Tarło opowiedział

mu, że Dzik odzyskał przytomność i o syna pytał. Siedzieli obaj zasumowani, wreszcie Krzesz powiedział:

- Spać idź. Powiedzieć trzeba Dzikowi, co zaszło. Będzie, co ma być.

Dzik obudził się koło południa przytomny zupełnie. Siadł na łożu i widząc Krzesza rzekł:

- Jeść dajcie, zgłodniałem od wczoraj.

Nagle spojrzął na swe wychudłe ręce i wyraz zdziwienia odbił się na jego twarzy. Podniósł je, przypatrując się, jakby oczom nie wierzył. Gdy Krzesz wrócił z polewką, zapytał:

- Długo leżałem?

- Więcej jak pół miesiąca - odparł Krzesz.

- A chłopcu... stało się co?

- Nie żyje.

Dzik milczał i milczenie jego stawało się Krzeszowi coraz uciążliwsze. Nie wiedział, jak go zawiadomić o drugim nieszczęściu. Gdyby się dopytywał, byłoby łatwiej. Wstał wreszcie i rzekł:

- Pójdę po Tarłę.

- Sofię mi zawołaj - ozwał się nieswoim głosem Dzik.

Wówczas Krzesz, by pozbyć się tłoczącego go ciężaru, wykrzyknął wprost, jakby w porywie złości:

- Chcecie Tarły, to go zawołam, a z innego świata ludzi sami se wołajcie!

Gdy Dzik nie odpowiadał, wyszedł.

Dzik siedział zadumany.

- Wołała iść za dzieckiem - mruknął.

Odrzucił skórę, którą był nakryty, i opuściwszy nogi, wstać usiłował, zatoczył się jednak, usiadł z powrotem i rzekł do siebie:

- Trzeba na Tarłę poczekać.

Gdy Tarło przybiegł, zastał Dzika siedzącego na łożu w głębokiej zadumie. Nieśmiało rozmowę na wypadki chciał skierować, by Dzikowi dać poznać, że użala się nad nim, lecz Dzik przerwał mu zaraz i ni słowem już nie było mowy o zmarłych. Tarło zły był nawet na Dzika, że nad nieszczęściem przeszedł nie obejrzawszy się, że nie podziękował mu za ocalenie ni opiekę w chorobie, jadł jeno i wylegiwał się na słońcu, siły powoli z każdym dniem odzyskując.

Życie potoczyło się na gródku zwykłym torem, jeno Dzik nie brał się do niczego i o nic nie pytał. Aż jednego dnia, gdy Tarło z Krzeszem wracali wieczorem z lasu, pacholek zabiegł im drogę:

- Pan Ciska osiodłał, Gona kazał przywiązać, by za nim nie pobiegł, pożegnać was zlecił i pojechał.

- Kiedy? Dokąd? - zapytał zaskoczony Tarło.

- Południa jeszcze nie było - odparł pacholek. - A dokąd, nie mówił. Tamtędy pojechał - dodał wskazując ku siniejącym w dali góróm.

* * *

Tarło wahał się, co robić. Zniechęcony i smutny, chciał gródek porzucić i wracać do domu. Trzymała go jednak miłość do Czarnuszki, od której nie chciał się oddalać, a trochę i nadzieja, że Dzik, do którego był bardzo przywiązany i serdecznie go żałował, wydechawszy smutek, wróci. Czas jednak płynął, a o Dziku słyhać nie było, natomiast niespodziewanie przyjechał Zbrozło ze Stoigniewem.

Stoigniew był bardzo zawiedziony, że Dzika nie zastał.

Tarło ciężar spadł z piersi. Wierzył, że Zbrozło coś mu poradzi, a przynajmniej na swoją odpowiedzialność nie musiał brać postanowienia.

Gdy opowiedział Zbrozle wypadki na gródku, Zbrozło po namyśle powiedział:

- Spóźniłem się. Zabralibyśmy Dzika ze sobą, bo i po tośmy przyjechali. Zapomnieć chce widocznie, dlatego uciekł, psa nawet nie wzięwszy. Żeby zajęcie miał, czas by go uleczył. Może by i do gródka wrócił. Póki boli, człek nierad wspomina, a wygoi się, to i żyć można. Odszukać go trzeba, żeby znowu rozbijać mu na myśl nie przyszło, jako dawniej. Wyłapują teraz zbójców, gdzie się da i srogie na nich są kary. Ja do Krakowa muszę jechać, bo kniaź mi zlecił w swoim imieniu sprawy załatwić, gdyż sam przyjechać nie może. Weź psa i pacholka i jedź go szukać. Znajdziesz, to powiedz, że zobaczyć się chcę z nim. Myślę, że go namówisz: W Krakowie jakiś czas pobędę. Długo nie, bo Starza mi krzywy, tym bardziej że zbadać mam, jak gospodarzy i sądzi. Nie zastaniecie nas w Krakowie, to jedźcie za nami do Lubuszy. Stamtąd do Miśni ruszamy.

Tarło rad, że skończyła się niepewność, konia kazał osiodłać, na psa gwizdnął i przed wieczorem już go nie było. Krzesz został na gródku do powrotu Tarły, po czym razem wyjechać mieli, Dobkowi nad gródkiem opiekę powierzając.

Zbrozło pobyl parę dni i do Krakowa się wybierał, gdy nadszedł Zyńka. Poprzednio jeno przywitał się i nie mówił ze Zbrozłą, a Zbrozło również nie tykał chłopaka widząc, że źle z nim jest. Zmienił się, wychudł, twarz mu wpadła, a w wielkich oczach widniała beznadziejna, wyzbyta z łez i nie szukająca współczucia rozpacz. Dźwięczny dawniej, męski już, choć wysoki głos zmienił się w szept wysiłony, gdy odezwał się do Zbrozły:

- Zróbcie coś ze mną, bo ja sam nie wydołę. Myślałem, że można umrzeć, jak się chce, ale żyję. Ani umrzeć, ani żyć.

Zbrozło patrzył na chłopca swymi wszystkowiedzącymi oczyma. Rozumiał go aż nadto dobrze. Gdyby chłopak miał mniej łagodną i serdeczną naturę, wzięłby go do swej służby. Ale to biedne serce, które zbierało jeno cios za ciosem, stwardnieć nie mogąc, trzeba gdzieś schronić. Ten zapomnieć nie potrafi, niech sobie w spokoju rozpamiętuje, aż wspomnienia zblękitnieją za mgiełką czasu. Łagodnie rzekł do Zynki:

- Są takie miejsca, gdzie nie ma ni śmierci, ni życia. Do Trzemeszna cię zawiozę. Stoigniew tam towarzysza ma, którego odwiedzać będzie i ciebie tam czasem odwiedzimy. Idź pożegnać się, z czym tu masz, a potem do drogi się gotuj.

Zynka nic nie odrzekł, jeno pokłonił się i odszedł. Niezadługo, żegnani przez Krzesza, wyjeżdżali z bramy gródka. Stoigniew jechał zasepiony, a na zapytanie Zbrozły odparł:

- Inaczej tu nasz pobyt miał wyglądać. Dzika mi żal. Nie tylko swoich stracił, ale nawet pomścić się nie ma na kim, choć siły mu nie brak. niesprawiedliwa jest śmierć.

- Tylko śmierć jest sprawiedliwa - rzekł Zbrozło - bo wszystkim odmierza jednako. I życie jest więcej srogie niż niesprawiedliwe. niesprawiedliwy może być jeno człowiek.

Stoigniew spojrział na Zbrozłę pytająco, zrozumieć usiłując, a Zbrozło dodał:

- Patrz jeno bystro dookoła siebie, przyjdzie czas, że zrozumiesz. A jak zrozumiesz, nie zapomnij i nie daruj żadnej niesprawiedliwości nikomu.

Stoigniew zamyślony jechał koło Zbrozły. Po chwili rzekł:

- Mnisi uczyli: "Miłujcie nieprzyjacioły swoje".

Uśmiech przeleciał przez twarz Zbrozły, gdy odparł:

- Ale jeno Niebieskie Królestwo za to obiecują. Byłoby ono tu na ziemi, gdyby jeno ludzie złem za dobre nie płacili. Gdym był młody, uwierzyłem w to. Ot, co mi pozostało!

Rozgarnąwszy rękoma włosy, ukazał Stoigniewowi straszliwą bliznę na czaszce. Ciągnął dalej:

- Strach jeno człowieka powstrzymać zdoła. Rozumieją to i oni, gdy piekłem grożą za grzechy. Ale jednym tchem mówią, że winy odkupić można. Nie u tego, przeciwko komu nagrzeszono, jeno u nich. Toteż Gero śpiewa teraz może z aniołami przed tronem Stwórcy. Ale mnie tu zapłacić musiał.

- A jak ktoś słaby jest i sam odpłacić nie może? - zapytał Stoigniew pobladłszy.

- Dobremu za dobre sercem wystarczy odpłacić. A złe czai się wszędzie, jeno je spuścić z łańcucha. Na to i siły nie trzeba, jeno umieć patrzeć nie lękając się niczego.

Stoigniew drżał w dziwnym podnieceniu. Ochrypłym głosem rzekł:

- Nie wiem, czy zdołam się nie lękać.

- Nie wiąż się z niczym, a będziesz wolny. Wolny nie boi się niczego.

* * *

Jako wysłannicy księcia, Zbrozło ze Stoigniewem zajechali na gród i zajęli komnaty w skrzydle budynków gdzie Mieszko zazwyczaj stawał. Stary Topór nie wyszedł witać Zbrozły, jeno Miklusza przysłał w swym imieniu, który ojca słabością tłumaczył i zlecenia odebrał.

Zbrozło nazajutrz przyjść kazał urzędnikom i od rana sprawy z nimi omawiał badając, ile i jakich danin wpłynęło, jaki jest stan dróg, mostów i budowy nowych grodów, jacy kupcy, skąd i z jakim towarem przyjeżdżają i jakich gości zagranicznych w grodzie przyjmowano.

Pracował niemal do wieczora, Stoigniew zaś, korzystając z wolnego czasu, zwiedzał gród, podgrodzia i osady, wszystkiemu się pilnie przyglądając.

Zamierzał wracać już na komnaty od nowo wznoszonej bazyliki, przy której zatrzymał się na dłużej, zaciekawiony pracą kamieniarzy, gdy ruch uczynił się w podworcu. Ludzie biegli do południowej bramy, a zatrzymany przez niego pacholek na zapytanie, co się stało, odrzekł, że prowadzą zbójców, pod Sączem ujętych, których zgraja długi czas bezkarnie kupców rabowała. Zaciekawiony Stoigniew poszedł patrzeć na prowadzonych w powroczach, jednego za drugim powiązanych opryszków.

Szli pokrwawieni i zakurzeni jak bydło na rzeź, twarze pomięte, brodate, wszystko chłopcy rosłe. Patrzyli na gapiów z nienawiścią, przekrwionymi oczyma, a gawiedź, rada z widowiska, jakie im każń obiecywała, obrzucała zbójów przezwiskami i błotem. Prowadzono ich do lochów w południowym skrzydle i przechodzić musieli tuż koło Stoigniewa. Straż i tłum gapiów otaczał ich, tak że Stoigniew nie mógł widzieć twarzy, wstąpił przeto na stertę kamieni, z góry spojrzął na idących i zdrętwiał. W prowadzonym na samym końcu ogromnego wzrostu zbójcu poznał Tarłę. Przetarł oczy, myśląc, że wzrok go myli, lecz oczy ich skrzyżowały się przypadkowo. Bez wątpienia był to Tarło.

Stoigniew, nie dając nic poznać po sobie, zeskoczył na ziemię i rozepchnąwszy tłum, dotarł aż do straży, chcąc z Tarłą choć parę słów zamienić. Jadący jednak na końcu strażnik koniem drogę mu zagroził wołając, że z więźniami mówić nie wolno, Stoigniew stanął przeto na boku i czekał.

Brańców wprowadzono do lochów i tłum rozszedł się, a za nim straż. Stoigniew stał jeszcze czas jakiś namyślając się, co czynić, w końcu zawrócił i szybkim krokiem udał się do Zbrozły.

Zbrozło rozmawiał jeszcze ze skarbnikiem, gdy Stoigniew wszedł. Poznać musiał widocznie z twarzy Stoigniewa, że zaszło coś niezwykłego, gdyż pożegnał zaraz Siegniewa i zapytał chłopca:

- Co się stało?

- Zbójów prowadzili do lochów. Między nimi był Tarło.

Zbrozło milczał chwilę, po czym zapytał:

- Pewny jesteś?

- Bez ochyby go poznałem. I on mnie też.

- Mówiłeś z nim?

- Nie dopuściła straż.

Zbrozło zamyślił się, po czym klasnął w dłonie. Gdy zjawił się pacholek, polecił mu zawołać dowódcę oddziału, który więźniów przywiódł i czekał niecierpliwie chodząc po komnacie. Zmierzech zapadł. Stoigniew przerwał milczenie:

- Co myślicie począć? Musimy Tarłę uwolnić. Macie władzę po temu.

- Książ z bójów do nogi tępić kazał, bez litości. Wiedzieć muszę naprzód, skąd się Tarło wziął między nimi i jak ich ujęto.

Ciężkie kroki rozległy się w sieni i zapukano do drzwi. To przyszedł setnik straży, która bójów przywiodła.

Z opowiadania jego wynikało, że bójców na gorącym śladzie ujęto po napaści na dworzec władyki Szmataki, który leżał przy gościńcu wiodącym z Sącza do Krakowa. Dworzec obrabowali, pobili ludzi, sam Szmataka cudem uszedł, a spotkawszy stróżę, ciągnącą po zmianie z Sącza, bójców dognał. Bronili się silnie i wielu kniaziowych pobito lub poraniono, ale i ze bójców jeden jeno ocalał. Przebił się przez otaczających drużynników, olbrzymiej siły będąc, i zbiegł, bo ścigać go obawiali się.

- Najlepiej - zakończył setnik - władyki zapytajcie, bo ciągnie tu z rannymi na sprawę. Jeśli go jeszcze nie ma, lada chwila nadejdzie. Mówił, że zna kilku z tej zgrai.

Gdy setnik wyszedł, Zbrozło ozwał się:

- Wiesz już, skąd Tarło wziął się między bójami?

- Dzika musiał tam znaleźć. Co teraz będzie?

- Muszą ich skazać, choćby sądził brat rodzony.

Zaległo milczenie.

- Siedzieć będziemy z założonymi rękami i patrzeć, jak Tarłę sprawiać będą!?! - wybuchnął po chwili Stoigniew. - Sami wiecie, skąd się tam znalazł Tarło. On niewinowaty.

Miał odpowiedź Zbrozło wstał i wkładając ciemną opończę, rzekł:

- Chodźmy!

Opowiedzieli się strażom na bramie, gdyż noc już zapadła. Księżyc czerwony dźwignął się zza oparów, wznoszących się z Wisły i bagien, wzbił się ponad nie i białym blaskiem zalał okolicę. Szli

nad Wisłą, po czym skręciwszy na wschód, zmierzali ku stawom za wąwozem, przez który gościniec przechodził. Zbrozło stawał kilka razy i czegoś wypatrywał. Powiew od rzeki rozegnał opary i noc była jasna. Spało już wszystko, jeno z dala słychać było, jak na wałach obwołują się straż.

Milczenie przerwał Stoigniew pytaniem:

- Szukacie czegoś?

- Dzika! - rzekł krótko.

- Myślicie, że tu będzie? - zapytał Stoigniew zdziwiony. - Sam przecie nic nie zdołała, a dopadną go, to zginie.

Zbrozło nic nie odrzekł, lecz szedł wprost w kierunku chaszczów, które czerniały nad stawem. Coś białego przeblyskiwało w świetle księżyca przez gałęzie. Gdy się zbliżyli, Stoigniew posłyszał ciche warczenie i ruszyło się w krzu.

Zbrozło stanął i zawołał cicho:

- Gon!

Pies wstał i zbliżył się do idących. Weszli w gęstwinę i zauważyli konia. Stał przywiązany do gałęzi. Obok leżał łuk i kołczan Dzika. Jego samego nie było. Usiedli i czekali.

Księżyc przebył już więcej niż połowę drogi. Stoigniew zadrzemywał przytulony do psa, gdyż noc była chłodna.

Zbudził go głos Zbrozły, który półgłosem wymówił:

- Dzik!

Stoigniew spostrzegł w świetle księżyca olbrzymią postać, która zbliżyła się do krzewów. Schyliwszy się popod gałęzie, wszedł i spostrzegłszy Stoigniewa, zapytał Zbrozłą:

- Kto z wami?

- Stoigniew - odparł Zbrozło.

- Jakiście mnie znaleźli?

- Psa widać było.

Dzik mrucał coś cicho pod nosem, niezbyt widocznie siebie pewny i w obawie, by Zbrozło go nie wypytywał i nie robił mu wyrzutów. Lecz ten ni słowem nie poruszył ani ucieczki Dzika, ni zbójckiego napadu. Zapytał natomiast:

- Skąd wracasz?

- Tarły szukałem. Wiem, gdzie jest.

- I my wiemy, że w lochu.

- Wiem, w którym lochu. Nad skałką okienko, ostatnie od kraja. Ino wleźć się nie da przez nie, choćby i kratę wyłamał. A jeszcze strażnik wały obchodzi.

- Jakeś go odnalazł?

- Podlażłem na skałkę, gdy strażnik odszedł, i dopytałem się. W czterech siedzą i powiązani w pień.

- Co myślisz robić?

- Przecie go nie ostawię. Nie pójdzie przez okno, to wleżę drzwiami.

- Jego nie ocalisz, a siebie zgubisz. Straże przecie dniem i nocą pilnują. Choćbyś się tam i dostał, nim go rozwiązesz i przez podworcie przebiegniecie, mało stu ludzi was opadnie.

Dzik ramionami wzruszył:

- Zajedno mi. Inaczej Tarło by pomyślał, żem go poniechał. Mamy zdychać, to razem, jak wiedźma przepowiedziała. Ino nie wiem, jak czestny pogrzeb sprawią zbójowi - rzekł gorzko. - Lepiej mu zginąć z żelazem w garści niż od oprawcy.

Zamilkł. Po chwili dodał:

- Wy przecie nam pomoc nie możecie. Do lasu byście iść musieli.

Wstał i rzekł:

- Żegnajcie! Lepiej mi w nocy napaść, może da się uciec. Ciemno i ludzie śpią.

Stoigniew, podniecony, uchwycił Zbrozłę za rękę, mówiąc:

- Nie pomożecie? Tarło przecie niewinny.

Zbrozło odparł zamyślony.

A pomogę, to inni bez winy zginąć mogą. Zaczekaj! - zwrócił się do Dzika.

Siedział i dumał. Po chwili wstał i rzekł:

- Chodźmy!

Stoigniew patrzył pytająco, lecz Zbrozło w milczeniu skierował się do wąwozu.

W dole leżał głęboki cień jeno północny szczyt wału z częstokołem, nie zacieniony budynkami, błyszczał jeszcze w świetle księżyca, który chylił się już ku zachodowi. Odcinały się jeno jaśniej

wapienne skały, w których lochy częściowo były wykute, częściowo ścianę ich stanowiły dębowe bale, poczerniałe ze starości, w których ciemniej jeszcze odcinały się trzy otwory okienek. Pod ostatnie z nich, od północy, do wysokości półtora chłopca, podchodziła stroma skałka.

Przycupnęli i Zbrozło śledził nadejście strażnika. Zabłysnął wreszcie promień na grocie włóczni i posłyszeli wolne kroki. Strażnik zanurzył się w cień rzucany przez budynki i słychać było, jak oddala się ku południowej stronie.

Zbrozło szepnął do Dzika:

- Jutro roki, a każń najwcześniej pojutrze: Jeszcze jedną noc mamy przed sobą. Spróbuj no wspiąć się do okna. Zobaczysz, czy kratę potrafisz wyłamać i czyby Stoigniew zmieścił się przez otwór. Jeśli tak, zawiadom Tarłę, że jutro przed świtem Stoigniew przyjdzie do niego i powie, co dalej robić. Jeśli nie, wprowadzę cię na gródek, żeby cię straż nie ujrzała, i rób sam, co możesz.

Dzik poskrobał się po głowie, mrucząc:

- Jeszczem nie ze wszystkim do sił doszedł, ale na kratę może starczy. Ino jak dostać się do okienka, kiedy na skałce ledwo ustoi, a podskoczyć nie ma jak.

- Ja wejdem pierwszy, a ty po moich barkach:

- Utrzymacie to? Ciężkim jak dobry ciołek - rzekł Dzik z powątpiewaniem. - Może wy po mnie wylezicie. Choć i tak pewnie zlecimy. Byle ino gnatów nie połamać, bo nic ze wszystkiego, tylko was jeszcze w biedę wciągniemy.

- Będiesz czuł, że nie ustoisz, to skacz na stok. Zjedziesz po nim, nie stanie się nic. Byle nie zwalić się ze skały.

Poleciwszy Stoigniewowi uważać, czy strażnik nie nadchodzi, Zbrozło, podsadzony dla prędkości przez Dzika, wspiął się na skałkę i przywarł do ściany, by na wąskim występie miejsce uczynić Dzikowi. Po chwili Dzik stanął za nim, ledwo nogi mając gdzie postawić. Teraz Zbrozło nachylić się musiał opierając o ścianę, gdyż inaczej Dzik nie mógłby się wspiąć na jego barki, z braku miejsca jednak zawisnąć musiał na jego ramionach, po czym z największą ostrożnością dźwigać się począł ku górze, by nogi na barkach Zbrozły postawić. Czepiał się rękoma każdej szczeliny między belami, wreszcie stanął na ramionach Zbrozły i wolno zaczął się rozprostowywać. Już sięgać miał kraty, gdy do uszu jego doszło ostrzegawcze syknięcie Stoigniewa. Zamarli w bezruchu.

Kroki strażnika zbliżały się wolno, coraz wyraźniejsze. Czasem stawały. Po chwili zaczęły się oddalać. Dzik dociągnął się do kraty i wsadziwszy głowę w otwór, coś mówił po cichu, a z głębi głos mu odpowiedział. Chwilę jeszcze Dzik coś przy kracie robił, po czym szepnął:

- Uwaga! Skacze!

Zbrozło zaparł się, by go pchnięcie nie rzuciło ze skały, Dzik skoczył na stok i zjechał do wąwozu po skarpie.

Bezszelestnie odeszli, a gdy wrócili do koni, Zbrozło zapytał:

- Wyłamiesz kratę?

- Siły by starczyło - odparł Dzik - jeno zaprzec się nie ma gdzie. A wyszarpnę, to zlecimy obydwaj. - Skrobał się po głowie. - Chyba muszę z wami iść do grodu i strażę pobić. Będzie, co będzie.

- Na to czas jutro. Teraz wracamy, bo już szarzeje. Jutro, jak jeno zmierzchnie, bądź tutaj. Roki rano się zaczynają, a zbójcka sprawa pierwsza. Przez dzień coś obmyślę.

Rozstali się, a Zbrozło ze Stoigniewem zawrócili do grodu. Promienie słońca ozłociły już szczyty wież, gdy doszli do bramy, którą właśnie otwierano.

Stoigniew na łoże rzucił się, jak stał, znużony bezsennością i wzruszeniem. Zbrozło natomiast, pośniadawszy, przybrał się okazalej i na podworcie wyszedł, które tymczasem roić się poczęły od ludzi. Pod lipą stół już ustawiono, na którym lica czynu do sprawy zbójców leżały; odebrana im broń pokrwawiona, zrabowane w domu Szmatki szaty, pieniądze i klejnoty.

Zbrozło, jako książęcy wysłannik, usiadł na naczelnym miejscu. Inne już przez urzędników były zajęte, jeno po prawej stronie Zbrozły zostawiono miejsce dla starego Topora, który sąd miał odprawić.

Zaraz też głos rogu obwieścił ludowi, że roki rozpoczęte, a od lochów wyszła gromada ludzi, otoczonych strażą, która rozsuwała tłum i doszedłszy przed sądowy stół, ustawiła się z tyłu i po bokach zbójców, a komornik wołać zaczął świadków do sprawy.

Tymczasem od budynków wyszedł stary Topór, przed którym rozstępowano się z uszanowaniem. Gdy doszedł do stołu, Zbrozło powstał witając go, po czym obaj usiedli. Topór, zwracając się do Zbrozły, zapytał zgryźliwie:

- Sami sędzić raczycie jako kniaziowy wysłannik, czy jeno posłuchać chcecie, jak ja zakon będę wymierzał?

- Posłucham - rzucił Zbrozło sucho.

- Może i lepiej - z ukrytą drwiną powiedział Topór - bo pono swojaków waszych sędzić mamy.

- Nie mam ja swojaków - odparł Zbrozło chłodno.

- Tedy zaczynamy sprawę Dzika, Tarły i Krekochy oraz jego zbójców. Dzik, który zbiegł, zaocznie sądzony będzie. Oskarżenie wnosi poszkodowany Szmatka - ogłosił Topór.

Wywołany oskarżyciel wystąpił z gromady świadków i z drwiącym uśmiechem pokłonił się naprzód w pas Zbrozle, a potem Toporowi i urzędnikom.

Zbrozło na pokłon nie odpowiedział, a wzrok jego jakby bezmyślnie błądził po leżących na stole przedmiotach, wreszcie zatrzymał się na kupce srebrnych pieniędzy, świecących w promieniach

słońca, które tymczasem wzbiło się nad budynki.

Szmatka wywiódł oskarżenie krótko, bo i sprawa oczywista była. Dzika poznał bez ochyby w jednym z napastników, wszyscy z bronią w ręku i zrabowanymi rzeczami zostali ujęci w walce, w której pobito i poraniono kilku ze straży. Z innych zbójów znał jeno Tarłę, a na własne oczy widział, jak otoczony, nim go ujęto, ubił jednego, a poranił dwóch wojaków.

Topór wedle zwyczaju zapytał oskarżonych, czy mają co na swoją obronę. Milczeli wszyscy, jeno Tarło ozwał się:

- W napadzie nie brałem udziału, a broniłem się, by mnie razem ze zbójami nie ujęto.

- To wystarczy - rzekł Topór. - Dwa razy umierać nie można.

Zaczął słuchać świadków ze straży. Szło szybko, gdyż wszyscy mówili to samo, a prawdę ich słów potwierdzały rany i guzy w bitce odniesione.

Zbrozło głowę wsparł na rękę i oczu widać mu nie było, a przedmiot za przedmiotem obchodził oczyma. Wreszcie zatrzymał je na kawałku żelaza dziwnego kształtu.

Po ukończeniu przesłuchów Topór zwrócił się do Zbrozły:

- Dla mnie do wyroku starczy. Może wy o co zapytać się chcecie?

- Szmatki jeno chciałem spytać się, czy wszystko, co tu leży, z wyjątkiem zbójceckiej broni, u niego zrabowane zostało?

Szmatka, trochę zdziwiony, wystąpił i potwierdził, że wszystko, na co w razie wątpliwości świadków przedstawić może, jego własność stanowi. Zbrozło skinął ręką, iż nie trzeba, a Topór przystąpił do ogłoszenia wyroku:

- Władyka Dzik z Grodziska za rabunek i opór kniaziowym ludziom skazany zostaje na utratę czci, gardła i mienia. Ponieważ uszedł, imię jego na śmierć zasądzone jest. Nikomu go pod karą wspomnieć nie wolno, chyba temu kto go przed sąd przywiedzie. Kto mu udzieli ognia, wody dachu nad głową lub innej pomocy, staje się jego współnikiem i śmiercią karany będzie. Każdy, kto wyrok słyszy, obowiązek ma, będąc w innym grodzie lub opolu, komesowi, czyli żupanowi, lub starszemu go powtórzyć, by winowajca nigdzie schronienia nie znalazł. Tarło, Krekocha i wszyscy inni zbójce, których imion bezczestnych nie wymieniam, będą ścięci, a ścierwa ich do rzeki wrzucone. Taka jest wola kniazia i moja, który ją głoszę w imieniu jego.

Gdy Topór uroczystym głosem wolno wygłaszał wyrok, wszyscy słuchali go stojąc, z wyjątkiem Zbrozły, który jakby bezmyślnie z kupki pieniędzy, leżącej przed nim, brał jedną sztukę za drugą, wsadzał do ust i przycisnąwszy zębami, odkładał na bok. Mało kto zwracał na niego uwagę, a Topór zerkał złośliwie, biorąc to zachowanie za objaw bezsilnego gniewu. Tylko Szmatka patrzył z niepokojem. Po chwili pobladł i nieznacznie z kręgu otaczających go ludzi zaczął się wycofywać, jakby oczy Zbrozły, które ten wpierał w niego, odpychały go od sędziowskiego stołu. Wydostał się wreszcie na wolniejsze miejsce, a uszedłszy kilkanaście kroków, puścił się pędem i zniknął. Topór

właśnie kończył ogłaszanie wyroku. Wśród panującej ciszy zabrzmiał krótki jak zgrzyt śmiech Zbrozły.

Topór spojrział na Zbrozłę zgorszony i zdziwiony i zapytał z gryzącą układnością: - Czy was śmierć tych ludzi, czy mój wyrok rozśmieszył?

- Wybaczcie! - rzekł Zbrozło jadowitym głosem - myślałem o czym innym.

- To cieszę się, że was ten wyrok nie dotknął, bo wiadomo wszystkim, że Dzik i Tarło wasi to przyjaciele. Ale myślę, że kniaź po to was wysłał, by mu donieść, jak się sądy sprawują, a jako że mu doniesiecie, kiedy myślicie o czym innym?

Obecni milczeli udając, że nie zauważyli starcia. Stali po stronie Topora, lecz obawa przed Zbrozłą nie pozwalała im zdradzać się z tym wyraźnie.

- Mimo to kniaziowi doniosę, żeście już za stary, by sądy sprawować - odrzekł Zbrozło obojętnie. - Zaśmiałem się widząc, jak przestępca sędziemu spod ręki ucieka, a lica czynu leżą mu przed nosem i nie widzi ich. Nie dziwiłbym się, gdyby wam z lochów zbójcy uciekli.

- Jak to?! - krzyknął wzburzony Topór.

Zbrozło odparł sucho:

- Dowody leżą przed nami, jeno ich nie widzicie. A sędzia, który niedowidzi, sędzić nie może. Następne sprawy ja imieniem kniazia poprowadzę. Może i lepiej dla was, bo swojaka waszego sędzić będziemy.

- Jakiego swojaka? - zapytał Topór siadając ciężko i dysząc.

- Szmatkę, który uciekł tymczasem. Tu leżą fałszywe pieniądze, a słyszeliście, jako przyznał, że u niego zrabowane. A tu jest - rzekł wstając i biorąc do ręki kawałek żelaza kształtu podłużnego kowadełka - forma, na której je bił.

Zajrzyjcie do waszej komory, czy swojak wam nabyte ziemie nie z tego skarbca zapłacił.

Topór siedział skurczony.

- Słabo mi! - wyszeptał usiłując powstać.

- Pewnie wam ta słabość wróciła, która przeszkodziła mnie, jako kniaziowego wysłannika, powitać. Czas wam już spocząć. Roki ja dalej poprowadzę.

I zwracając się do komornika, nakazał:

- Następna sprawa władzy Szmutki. Siegniewie, wy jako skarbnik oskarżenie wnieść możecie, gdyż wasz to obowiązek baczyć, by fałszywy pieniądz książęcego skarbu o straty nie przyprawił. Obejrzyjcie monety i formę.

Siegniew wstał z ociąganiem i oglądać począł leżące na stole przedmioty.

- Wnosicie oskarżenie? - zapytał Zbrozło ostro.

- Wnoszę! - rzekł Siegniew niechętnie.

Dowodów innych nie trzeba, gdyż wszyscy słyszeli, jako sprawca przyznał, iż pieniądze i forma są jego własnością. A ucieczką winę potwierdził. Czy bronić kto chce oskarżonego? - zapytał patrząc na dźwigającego się z trudem z miejsca Topora.

Nikt się nie odezwał. Zbrozło ogłosił:

- Tedy sprawa zamknięta i wyrok ogłaszam: władyka Szmątka za naruszenie zastrzeżonego kniaziowi prawa bicia monety skazany zostaje na utratę czci, gardła i mienia; ponieważ uszedł, imię jego na śmierć zasądzone jest. Nikomu go pod karą wspomnieć nie wolno, chyba temu, kto go przed sąd przywiedzie. Kto mu udzieli ognia, wody, dachu nad głową lub innej pomocy, staje się jego współnikiem i na gardle będzie karany; każdy, kto ten wyrok słyszy, obowiązek ma, będąc w innym grodzie lub opolu, komesowi, czyli żupanowi, lub starszemu go powtórzyć, by winowajca nigdzie schronienia nie znalazł. Taka jest wola kniazia i moja, który ją głoszę w imieniu jego.

A zwracając się do Topora, dodał znacząco:

- Dobrze powiedziałem? Słyszeliście?

Topór nic nie odrzekł i opierając się na ramieniu syna zwrócił się do wyjścia.

Zbrozło wstał mówiąc:

- Dalsze roki odkładam, póki kniaź nowego żupana nie wyznaczy. Za zbiegłym Szmatką pogoń Mikłusz zarządzi. Myślę, że gorliwością niedbalstwo okupione zostanie.

Tłum rozchodził się cicho, szeptał między sobą. Straż skazańców do lochów odwiodła, Zbrozło zaś wstał i nie patrząc na nikogo, udał się do swoich komnat.

Stoigniew spał jeszcze. Zbrozło również na łożu legł i oczy przymknął; leżał cicho, nie poznałby - śpi czy nad czymś rozmyśla. Słońce przetoczyło się już na zachodnią stronę nieba, gdy wstał. Tracił śpiącego wciąż jeszcze Stoigniewa, a gdy ten usiadł na łożu, myśli zbierając, Zbrozło rzekł:

- Czas pomyśleć, co robić będziemy. Na śmierć skazani i do dnia tracić ich mają.

Przyjaciel

Z wieczora ruszył się wiatr i pogodne niebo chmurami zaciągać się zaczęło. Księżyc to wyskakiwał zza chmury, zalewając kraj światłem, to chował się za ciemne zwały, to znów światło swe przesiewał przez lżejsze obłoki, że czyniło się szare i niepewne.

Chmury gęstniały. Coraz rzadziej promień księżycy znajdował szczelinę, przez którą zdołał się prześliznąć, lecz jeno musnął uśpioną ziemię, a już nowe zwały chmur zaskakiwały mu drogę, kryjąc zazdrośnie świat przed wścibskim wzrokiem nocnego włóczęgi. Szary, jednostajny cień ogarnął gród i okolicę.

Pod sklepieniem chaszców nad stawem mrok panował zupełny, jeno białe futro Gona odcinało się jaśniejszą plamą. Wiatr szumiał w gałęziach, zacierając wszelkie odgłosy, lecz Dzik zdał się na psa i drzemał podłożwszy pięść pod głowę.

Wreszcie pies poruszył się, pociągnął nosem i nastawił uszu. Dzik dźwignął się i nasłuchiwał. Po chwili rozróżnił ostrożne kroki. Wstał i odchylił zasłonę krzów, pod którą weszli Zbrozło ze Stoigniewem i usiedli.

- Co tam? - zapytał Dzik.

- Każń będzie o świcie. Jako było pewne, na śmierć ich skazali. I ciebie też, póki nie schwycą, imię na zagładę skazane. Pochwycą, to umrzesz.

Dzik zdawał się nie przejmować wiadomością, gdyż rzekł niecierpliwie:

- Co mi zaś prawicie? Pytam, czyście coś wymyślili?

Zbrozło podsunął zawiniątko i powiedział:

- Przyniosłem łom i sznur. Zawiążesz pętlę na kracie, byś stanąć mógł w niej. Jeno uważać musisz, by jej całkiem nie wyszarpnąć; tyle ino, by zmieścił się Stoigniew. Łomem lżej pójdzie, skoro zaprzeć się nie ma gdzie.

- To dobrze! A Tarło jak się wydostanie?

- Konia osiodłanego kazałem sobie przed świtem przyprowadzić. Do Prosza się wybieram. Bielej go będzie trzymał. Gdy będą ich wyprowadzać, Tarło wypadnie na podworzec, konia mu odbierze i puści się ku bramie. Jedno niebezpieczeństwo, że brama może być jeszcze zamknięta. Szczęście, że na deszcz się ma i dłużej będzie ciemno. Gdy Bielej z koniem będzie już czekał, światło zabłyśnie w oknie, które ci pokażę. Wtedy kamieniem rzuć Tarle do okna, na znak, że już czas, a sam ku bramie od Wisły gnaj. Gdyby otwarta nie była, a przeskoczyć zdołał, bierz go na swego konia i groblą zmierzajcie ku Rudawie. Uda się, to drugi koń w dąbrowie za rzeką już czeka. Gnajcie co sił do Lubuszy, grodów unikając. My tam zjedziemy niebawem, obaczę, co dalej z wami począć. Ludziom się na oczy najmniej pokazywać, a imiona zmieniać. Zrozumiałe?

- Juści - burknął Dzik wstając. - Pójdziem?

Dwie ciemne postacie przesuwały się chyłkiem w głębokim cieniu wewnętrznego dziedzińca grodu. Kroki ich głużył szum deszczu, który coraz przybierał na sile, szemrał w liściach rozłożystych drzew otulających budynki i bębnił jednostajnie po gontach dachów.

Dotarłszy w kąt podworca, gdzie cień był największy, jedna z postaci zaskrobała do drzwi, które otworzyły się i zamknęły bezszelestnie. Zbrozło ze Stoigniewem weszli do swej izby.

Zbrozło, chustą zasłoniwszy okno, Bielejowi kazał światła naniecić i przebierali przemoczone szaty. Stoigniew trząsał się, nie tyle z przeziębienia, ile z podniecenia. Zbliżała się chwila, która rozstrzygnąć miała o życiu Tarły, a także i Dzika. Bielej, otrzymawszy jeszcze ostrzeżenie, by nikomu innemu jak Tarle konia sobie wyrwać nie pozwolił, gdyż wszyscy czterej więźniowie z lochu Tarły uciekać mieli, wyszedł konia osiodłać.

Stoigniew po izbie przechadzał się w podnieceniu: Po chwili stanął przed Zbrozłą i rzekł:

- Nie wytrzymam i pobiegnę do bramy.

- Po to, by wiedzieli, żeśmy maczali w tym palce?

- Domyślą się i tak.

- Ale dowodu ni poszlaki mieć nie będą.

- Czego się obawiacie? Książ by nam i tak darował.

- Może! Ale każdy by wiedział, żeśmy prawo złamali.

- Łamiemy je i tak. Czy nie zajedno, wiedzą o tym czy nie?

- Nie, bo powaga prawa zostaje.

- Może czas już dać znak Dzikowi? - zapytał Stoigniew wracając myślami do sprawy.

Zbrozło uchylił rąbek zasłony.

- Jeszcze nie świta - rzekł.

Milczeli chwilę. Stoigniew znowu zaczął się niecierpliwić: Już nie chodził, lecz biegał po izbie. Zbrozło patrzył na niego i po chwili ozwał się:

- Pamiętaj, że w życiu jak na łowach: ten najłacniej zwierza dostanie, kto się ukryć najlepiej umie. Ucz się nad sobą panować, jeśli panować chcesz nad innymi.

Stoigniew usiadł z westchnieniem i odparł:

- Kiedy niełatwo to. Jakbym żar miał w sobie.

- Łatwe każdy potrafi.

Zamilkli znowu, jeno słyhać było głośny oddech Stoigniewa. Zbrozło znów uchylił rąbka zasłony.

- Dnieje - rzekł.

Stoigniew zerwał się. Zbrozło położył mu rękę na ramieniu, mówiąc:

- Z izby się nie ruszysz, póki nie pozwolę. Ucz się cierpliwości - kto za wcześnie strzałę wypuści, chybi.

To rzekłszy wyszedł z izby. Wrócił po chwili i powiedział:

- Ruch już się zaczyna w podworcach, bramę pewnie otwarli i Bielej stoi już z koniem.

Przystąpił do okna i zerwał zasłonę. Snop światła padł w półmrok słotnego poranka. Zbrozło podszedł do drugiego okna i patrzył. Po chwili przez strugi deszczu ujrzał w dole zarys jeźdźca pędem zmierzającego ku Wiśle. Gdy jeździec zniknął za stokiem wzgórza, Zbrozło powiedział:

- Teraz chodź popatrzeć, co będzie.

Zeszli na dół uchyliwszy drzwi, patrzyli przez szparę. Pod okapem ganku widniały zarysy konia. Trzymający go człek schowany był za nim. Na podworcach widać było idących w różnych kierunkach kilku ludzi. Niebo z szarego czyniło się białe, a deszcz zaczynał nacichać.

Nagle krzyk rozległ się pod gankiem u wejścia do lochów. Ktoś dopadł Zbrozłowego konia, który, uderzony, z miejsca w skok popędził przez podworec, a jednocześnie oderwały się z cienia trzy postacie i bieć poczęły ku przejściu między budynkami na zewnętrzny podworec. Krzyki nagle zabrzmiały ze wszystkich stron i ludzie biegli zewsząd. Zbrozło, rzuciwszy okiem za jeźdźcem, ścisnął ramię Stoigniewa. Zza węgła wyłonił się oddział straży, zmierzający ku lochom, widocznie, by więźniów wyprowadzić na kaźń.

Jeździec wpadł między nich; zakotłowało się. Stoigniew wybiec chciał na pole, lecz Zbrozło go wstrzymał, rękę mu ścisnąwszy aż do bólu.

- Stój i patrz! - rozkazał.

Uciekający zbóje, widząc zamkniętą drogę, rzucili się w zwichrzoną kupę ludzi. Nagle ludzie rozbiegli się i kto żyw pędził ku południowej bramie. Na miejscu został jeno koń, leżący na boku, i dwa ciała ludzkie. Krzyki oddalały się, lecz coraz więcej ich brzmiało.

- Chodź! - rzekł Zbrozło. - Jeno spokojnie!

Dzień się już czynił zupełny. Deszcz ustał, a przez oponę chmur przeświecało słońce, szare jeszcze i małe.

Zbrozło ze Stoigniewem skierowali się nie ku bramie, lecz do zachodniego kąta podworca i wstąpiwszy na wał, patrzyli na groblę. Stoigniew omal nie krzyknął. W dole na grobli widać było cisawego konia, a na nim dwóch jeźdźców. Jechali stępa, za koniem biegł pies, ledwo widoczny z tej odległości. Jeden z jeźdźców odwrócił się i ręką kiwał ku grodowi. Dotarli do ujścia Rudawy, koń wszedł w wodę, po czym zniknął w kępie drzew. A już kilku jeźdźców leciało pędem groblą, jeden za drugim dla ciasnoty miejsca.

- Szkoda ich! - mruknął Zbrozło. - Ale każdy ma prawo walczyć o życie.

Zawrócili ku budynkom. Na podworcu gromadki zbrojnych biegały w zamieszaniu na wszystkie strony. Zbrozło podszedł do leżącego konia. Z szerokiej rany na szyi tocząca się struga krwi zdołała już skrzepnąć w chłodnym powietrzu. Gdy stał nad ścierwem, ludzie poczęli wracać do bramy, klnąc i rozprawiając, od budynków zaś biegł Mikłusz, dopiero widać ze snu wybity. Zatrzymał setnika idącego od bramy i o czymś mówili, po czym skierował się ku Zbrozle. Ze źle hamowaną złością Mikłusz przystąpił do niego mówiąc:

- Wiecie już pewnie, że ktoś pomógł ujść zbójcom.

Dziwne, że wasz koń stał właśnie pod lochami:

Zbrozło głową kiwnął i odparł:

- Iście, że dziwne. Jeden łotr omal że nie na moim koniu umknął, drugi na koniu waszego ojca. Ale ja mojego straciłem, a waszego pewnie złowi pogoń razem ze zbiegiem.

Twarz skurczyła mu się w martwym uśmiechu. Mikłusz pobladł, a Zbrozło dorzucił:

Wyjeżdżam. Pożegnajcie ojca ode mnie i powiedzcie, że gdyby nie znalazł się wasz koń, zapłaci mu kniaź za niego.

Skinął głową i skierował się ku budynkom. Szli w milczeniu. Dopiero gdy zbliżali się do wejścia, Stoigniew zapytał cicho:

- Ale powiedzcie, czemuście Szmatce ujść pozwolili?

- Bo jeszcze nie nadszedł jego czas - odparł Zbrozło.

* * *

Pogodna, bezwietrzna noc zaległa nad doliną Wisły. Rzeka wielkim łukiem podchodziła pod wyniosłą skałę, schodzącą prawie prostopadle w wodę. W świetle księżycowym lśniła wapienna ściana jaskrawą bielą, odcinając się ostro od tajemniczej głębi płynącej spokojnie u jej stóp wody i grzebienia prastarego boru na szczycie, który dochodził aż nad urwiska.

Od czasu do czasu lekki powiew poruszył czarną płaszczyznę głębiny i tysiące blasków drgało przez chwilę jak srebrny pył. Czasem ryba rzuciła się nad powierzchnią, błysnęła bielą i sypnęła srebrem rozbitego zwierciadła. Czasem niewidoczna w locie kaczka ze świstem lotek opadła na otwartą

wodę, wlokąc za sobą rozdwojoną smugę światła, która znaczyła ślad jej drogi, nim zginęła w szuwarach przeciwległego, płaskiego, bagnistego brzegu.

Z bagna rozległy się tysięczne odgłosy zamieszkującej je skrzydlatej rzeszy, bór natomiast stał cichy, uroczysty jak świątynia o tysiącach kolumn, których szczyty kapały się w świetle, a stopy tonęły w głębokim mroku.

Głosy jakieś, zrazu niewyraźne, rozległy się z ciemnej głębi. Po chwili można było rozróżnić przytłumione mchami i igliwem stapania dwóch koni i na oświetlony kraj lasu wynurzyło się z cienia dwóch jeźdźców.

- Tu zanocujemy! - rzekł jeden z nich i zeskoczywszy z konia, przywiązał go do pnia. Drugi nie odrzekł nic, lecz poszedł za przykładem pierwszego. Konie chciwie trawę skubać zaczęły, a jeźdźcy rozglądali się, gdzie by się na noc ułożyć.

Szeroka szczelina, widniejąca u brzegu, przechodziła w obszerną półkę skalną, położoną poniżej urwiska. Parę głazów leżało na niej. Porośnięta była mchem i skalnymi roślinami.

- Tu będzie dobrze, nawet ogień rozpalić można i upiec te ciecioriki, com ubił. Nie żarłem od wczoraj wieczora, a i ciebie w lochu nie karmili pewnie na stracenie.

Towarzysz, którym był Tarło, nic nie odrzekł, jeno wziął się do zbierania suszu i gałęzi na ognisko i czas jakiś krzatali się: Po chwili sypnęły się iskry z krzesiwa. Płomyk wyskoczył i dymiąc pożerać zaczął wyschłe trawy, na które nałożono suszu. Gałązki trzeszcząc chwytaly płomień i czerwony, niespokojny blask ognia kłócił się z białym, zimnym światłem księżyca.

Dzik, siadłszy na głazie, wziął się do skubania ptaków, Tarło zaś położył się i wsparłszy głowę na dłoni, patrzył zadumany w ogień. Milczeli dłuższą chwilę, jeno płomień trzeszczał i pryskał, a z góry dochodził miarowy chrobot pracujących szczęk końskich.

- Konie zdałoby się napoić - przerwał milczenie Dzik. Tarło drgnął, jakby przebudzony, i odparł:

- Piły przed wieczorem, do rana wytrzymają - i pogрузzył się znowu w zadumie.

Dzik patrzył na niego, wreszcie zapytał:

- Cóż się tak sumujesz? Nieradeś se tu siedzieć, za - ' miast płynąć bez głowy po rzece?

Tarło spojrzał na Dzika i rzekł głucho:

- Prawda! Nawet wam za ocalenie nie podziękowałem.

- Nie ma za co - rzekł Dzik wzruszając ramionami.

- Zawdy życie stawiliście za moje.

- Nie stoję o życie - mruknął Dzik.

- I ja nie stoję - szepnął Tarło. - Ale zginąć jak zbój od oprawcy! - Wzdrygnął się.

Dzik zdjął na wpół surowe ptaki z gałęzi służącej za różen i wręczając jednego Tarle, rzekł:

- Jedz! Nie chce mi się czekać, aż dojdą. Miej zgryza, jakiego chcesz, a niech ci zaburczy w brzuchu z głodu, to o żarciu się jeno myśli.

- Ja nie mogę jeść - rzekł Tarło.

- Głupiś! - fuknął Dzik. - To powiesz się od razu, bo bez żarcia nie da się żyć, a droga przed nami. Do Lubuszy Zbrozło jechać kazał.

- Do Lubuszy? - spytał Tarło. - Cóż tam po nas?

- A gdzie co po nas? - mruknął Dzik. - Ty byś jeszcze do ojców mógł wrócić, ale ja! - wzruszył ramionami.

- Nie mógłbym! - odburknął Tarło głucho. - Ojciec mi kniaziowi służyć kazał. Dowie się przecie o wyroku. Zresztą kłamać bym nie potrafił. Przez próg by mnie nie puścił. Taka hańba zamiast sławy!

- Jaka hańba? - warknął Dzik zeźlony. - Zresztą nie zbijałeś, tyle że cię z nami dopadli. Matkę zresztą masz - rzekł miękcej. - Matka zawsze z dzieckiem trzyma.

- Alem ludzi kniaziowych pobił - ozwał się Tarło wymijająco - i u Szmatki, i dziś na grodzie.

- A cóżeś się miał dać zarznąć jak cielę?! - wykrzyknął Dzik. - To cię tak gryzie, że jeść nie możesz? Mało kilka razy tyle kniaziowych ludzi pobiłem, a zreć mi się chce, potem się spać uwalę i ani mi to w myśli.

Tarło westchnął, po chwili powiedział z nieśmiałym wyrzutem:

- U Szmatki nie mówię, ale dziś po cośmy tych ludzi pobili? Umknęlibyśmy i tak.

Dzik jakby ze złością gryzł kości ptaka. Po chwili splunął mówiąc:

- Cisek już niemłody, com go miał zegnać? Wiedzieli, kogo gonią, to nie ma im krzywdy.

- Niewinni ludzie byli - rzekł Tarło jakby do siebie.

- Albo to ino winni umierają? Winien był co komu Witek?

Zamilkli. Po chwili Dzik znowu zaczął:

- Jesz? Bo jak nie, to zjem drugiego ptaka. Miejsca mam na całe stado, a ty spać się połóż.

- Nie usnę - rzekł jakby zawstydzony Tarło.

- To nie żryj i nie śpij, i rób, co chcesz. Jak Gon nadleci, kości mu daj, choć on tam nie martwi się

pewnie i żarł po drodze. Ja idę spać, bo już na oczy patrzeć nie mogę, a przed świtaniem ruszamy.

Wyciągnął się na mchu i nasunął opończę na łeb. Tarło dalej patrzył zadumany w żar dogasającego ogniska. Dzik po chwili odchylił opończę i spoglądał z cienia na Tarłę. Odchrząknął:

- A jak ci chodzi o tę Dobkową dziewczynę, to ją porwać możemy, niech jeno sprawa przycichnie.

- Nie takie życie jej się patrzy - rzekł Tarło zdławionym głosem.

Dzik nakrył głowę z powrotem. Po chwili usiadł i zapytał:

- A może ty na mnie żłisz się, że przeze mnie to wszystko?

- Nie! - rzekł Tarło. - Taka dola! Ino wyrozumieć nie mogę, czemuście przedtem na Szmatkę nie powstali, ino teraz, jak Sofia zmarła.

Dzik skrobał się po czuprynie, głowiąc się nad odpowiedzią. Po chwili odparł:

- Bo jeśli prawda, że ona skądś tam patrzy na nas, to ucieszyłaby się, że mu za nią zapłacę.

- Dużoście mu zrobili. Nas wysadził z siodła, a sam byłby został, żeby nie Zbrozło.

- Nie prawil mi Zbrozło nic. Cóże się stało?

Tarło opowiedział pokrótce o ucieczce Szmatki. Dzik wysłuchał w milczeniu, po czym rzekł:

- Żeby nie to, że nie boję się nikogo, tobym Zbrozły się bał.

Kniaziowa siostra

Zbrozło spotkał księcia pod Kaliszem, dokąd Mieszko ciągnął na roki, a stamtąd miał się udać na Czerwień do Lubora. Wieczór był pogodny, obóz więc założono na leśnej polanie; jeno dla księcia stał namiot pod ścianą boru.

Do wieczerzy zasiedli przy ognisku, a Mieszko wypytywał Stoigniewa, co widział i jak z wolności korzystał. Chłopak opowiadał z ożywieniem, dopiero gdy do pobytu u Dzika doszedł, zawahał się i bąkał półsłówkami.

Książę spojrział na bratańca badawczo i przestał wypytywać, a dopiero gdy Stoigniew, pożegnawszy się, spać odszedł, zapytał Zbrozły:

- Co się tam stało u Dzika, że Stoigniew mówić nieskory?

- Młody jeszcze i nie umie tak pół prawdy powiedzieć, by za całe kłamstwo stała - odparł Zbrozło, a na pytające wejrzenie kniazia dodał:

- Dzika nieszczęście pościgło, zbiesił się, do zbójów przystał i na dworzec Szmatki napadli.

Mieszko zmarszczył brwi, a Zbrozło ciągnął:

-Straż ich wracając naszła i bitka była. Dzik umknął, ludzi pobiwszy, ale Tarłę, którego po Dzika wysłał, ze zbójami pochwycili i na gardło zostali skazani, a Dzik na zagładę imienia. Ale Dzik Tarłę wyrwał i umknęli.

Mieszko siedział zadumany. Po namyśle odezwał się:

- Mnie pół prawdy za całą starczy. Mniejsza z tym. Szkoda mi ich, zwłaszcza Dzika, ale widno sprawiedliwie mówią, że gdzie woda była, tam woda będzie. Darować nie mogę, bo surowo wszystkim żupanom zapowiedziałem, że dla zbójów żadnej litości. Inaczej by kupcy jeździć do nas nie chcieli, a wielce to nam potrzebne.

- Gorzej niż rozboje - handel i nie tylko handel psuje zły pieniądz - zauważył Zbrozło.

- Jak to zły pieniądz? - spytał książę zdziwiony. - Nasza próba tak dobra, jeśli nie lepsza, jak w innych krajach.

- Z poznańskiej mennicy - rzekł Zbrozło. - Ale Szmatka swoją założył, skoroście mu tamtej nie dali do ręki.

I opowiedział o wykryciu fałszerstwa. Mieszko słuchał uważnie, a gdy Zbrozło skończył, zapytał:

- A ze Szmatką co?

- Na śmierć sam go zasądziłem, bo Starża mu swojak przez ożenek. Ale umknął. Na najlepszym koniu Topora - dodał.

Książę milczał, lecz na surowe jego oblicze gniew wystąpił.

- Jak się pokazało, u Szmutki czescy rycerze siedzieli. Nie brak u nas nigdy gości, ale dziwno mi było, że w Krakowie nikt o nich nie wiedział. Widno woleli, by o nich cicho było.

Mieszko siedział z zasępionym obliczem. Po chwili rzekł:

- Pokój jest, ale spokoju ni chwili. Przyjaźń niby z Bolkiem i księżna robi, co może, by ją podtrzymać. Ale na piasku to budowane. Czego mogli chcieć u Szmutki?

- Szmotka usidlić potrafił Starzów, a wiadomo, że za wiślańskich kniaziów się mają. Wiadomo też, że Mikłusz siostrę waszą pojąć miał nadzieję. Chybiło mu, to może za innym panem obejrzyć się byli skłonni. A Szmotka, z ich wiedzą czy bez, badać mógł, co by się zrobić dało. Do niego to podobne, a chytrości mu nie brak.

- Wiem, że Bolko o Śląsku zamyśla, może i to być, że krakowska ziemia, która ongiś do Wielkich Moraw należała, przydałaby mu się, by odciąć nas od południa. Oczu nie zamykam, niepewnych ludzi trzymać nie będę. Wojewodę trzeba by na miejsce Topora wyznaczyć. Może wy byście nim zostali?

- Dziękuję wam, panie, ale wiecie, że urzędu żadnego nie przyjmę. Lubor by się nadał, bo ze Starzami nie będzie sprawa łatwa, a on nawykły radzić sobie z wielmożami.

- Nie miałbym kogo na jego miejsce dać na Czerwień, a tam potrzebniejszy. Zresztą może i lepiej nie ruszać Starzów, jeśli dowodów brak, że znoszą się z Czechami. Szmutki nie ma, usunę starego Topora, będą wiedzieć, że oko mam na nich, to przycichną. Jedną ręką uderzę, a drugą pogłaszczę. Mikłusza zrobię wojewodą, zobaczymy, co dalej. Póki Bolko Śląska nie zagarnie, póty mu do Krakowa nijak. Zresztą ubezpieczę się od Węgier, siostrę za Gejzję wydając. Wykręca się ona jak może, ale czas jej za mąż, a przyrzekłem już dawno.

Myśl Mieszka widocznie w inną obróciła się stronę, gdyż uśmiechnął się i rzekł:

- Wstąpicie po nią do Gniezna. Niech z wami jedzie do Poznania i tam na mój powrót czeka. Może się ustatkuje przy księżnie, bo inaczej łańcuch na wiano Gejzie dać by trzeba, żeby ją trzymać miał na czym.

* * *

Książę nie przesadzał mówiąc o łańcuchu, a to jeszcze wątpliwym by było, kto by kogo na nim wodził.

Mieszko mężem był już dojrzałym, gdy Biała, później ochrzczona Adelajdą, przyszła na świat. Matka ją odumarała w niemowlęctwie i chowały ją zrazu niewiasty, ale takie to i było chowanie, jakby w kaczym gnieździe orlicy. Jeny od ziemi odrosła, a już piastunki włosy z głowy sobie darły biadając nad samowolą, gwałtownością i nieposkromioną żywością tego dziecka, któremu ani zakazać czegoś, ani go dopilnować nie było możliwości, a kary jeno przeciwny skutek odnosiły.

Toteż rade były niewiasty, gdy Ziemomysł, na zdrowiu zacząwszy zapadać, więcej po dworach

swych niż na wyprawach i objazdach przebywał i dziewczynę wziął pod własną opiekę. Zresztą więcej ona nim niż on nią się opiekował i dziwiono się nawet, że żywa jak iskra potrafi przy starcu przesiadywać doglądającego wygod i potrzeb i umiając zabawić go lub rozerwać, gdy smutny był lub słabował.

Szkoda też było słowo na nią rzec przed starym, choćby jej się dwór spalić lub człeka ubić spodobało. Szczęściem, że serce miała dobre i życzliwość dla ludzi, byle jej się nie sprzeciwiać, bo w gniewie nie liczyła się z niczym. W ten sposób, dzieckiem jeszcze będąc, opanowała wszystkich, nie wyłączając braci, którzy, widując ją rzadko, rozpieszczali ją, zwłaszcza zaś Ścibor, do którego najbardziej była podobna.

Włosy miała jasne, prawie że białe, ze złotym połyskiem, cerę mleczną, ciemnobłękitne z zielonym odcieniem oczy, bystre, przenikliwe i wesołe. Podrósłszy jeno trochę, do chłopięcych zabaw się wzięła. Lecz choć nie było dla niej milszej rozrywki nad konie, łowy i broń, nie gardziła też i dziewczęcymi, byle jeno w spokoju nie siedzieć.

Wcześniej się za nią mężowie zaczęli oglądać, miała bowiem w urodzie coś, co rwało oczy i mroczyło umysł, zapomnieć jej nie pozwalając. Jak płomień była, ta sama, a wciąż inna.

Jeszcze za życia ojca, choć małą była dziewczynką, zabiegali posły obcych książąt, by wyrozumieć, czy przyrzeczenia jej ręki uzyskać się nie da, lecz stary ani myślał pozbywać się przed czasem promyka.

Śmierć ojca przygięła ją jak wichur brzozę, iż zdało się, że nie wstanie, aliści w niezmiernej swej żywotności odskoczyła w górę w krótkim czasie i niczym już nie hamowana rzuciła się w wir zabaw i rozrywek, jakby pragnąc krótki okres przygnębienia i żałoby nadrobić.

Opiekę objął Mieszko, lecz mało kiedy nawet odwiedzić ją miał czas. Jeździła tedy, dokąd chciała, dwór własny, choć niewielki, prowadząc ze sobą. Gdy Mieszko się ożenił, chciał, by przy Dobrawce siedziała, ale że wołała swobodę, nie nalegał mając do niej słabość. Tedy kilka jeno razy, i to na krótko, obydwie kobiety zetknęły się ze sobą, tak różne, jakby z dwóch światów pochodziły. Jedno tylko wymógł Mieszko, że zgodziła się kapelana wziąć, który w wierze miał ją umacniać i nad wprowadzeniem zachodniego obyczaju pracować. Przyrzekła też, że gdy czas przyjdzie, z zamążpójściem trudności nie będzie robić, gdyż przy całej swej rozhukanej młodości rozumiała, kim jest, i wiedziała, że całego życia nie da się spędzić na zabawie.

Niemniej nie było w Polsce kapłana, któremu by trudniejszą powierzono rolę, a lekko przez księcia rzucone Zbroźle polecenie, by zawieść Adelajdę do Dobrawki, wielu wydałoby się zadaniem nad siły.

Zbroźło, przyjechawszy do Gniezna, Adelajdy nie zastał doma, gdyż na polowanie na bobry wyjechała. Wrócić miała już przed trzema dniami, jednak nie było jej widać.

Kapelan Prokulf, który poprzednio był w Trzemesznie, znał i lubił Stoigniewa, Witał go serdecznie i użalać się zaczął na swą bezsilność. Gdyby, nie to, że w głębi duszy lubił Adelajdę oraz gdyby nie wyraźny rozkaz księcia, byłby rzucił stanowisko, które nie tylko powagę jego kapłańską nieraz na

szwank narażało, lecz wątpliwości i niepokój budziło w jego sumieniu. Mało, że o każdy post i nabożeństwo walczyć musiał z powierzoną mu owieczką, lecz w dodatku podchwytliwymi pytaniami wyłudzała od niego wskazania, co do trafności których jego samego ogarniała wątpliwość, a bał się je zmieniać, by reszty powagi nie stracić.

Przywykły do klasztorного życia, snującego się równo i spokojnie jak nić z kłębka czuł się jak ryba, której by ptaka pilnować kazano. Gdy siedziała na miejscu, drżał, że znowu postawi go przed pytaniem, na które lękał się będzie odpowiedzieć, lub zgorszy go zachowaniem, wobec którego czuł się bezradny. Gdy wyjeżdżała, niepokoił się o nią, gdy zaś wracała, drętwiał na myśl, co znowu przywiezie szalona dziewczyna.

Płakał bez mała, opowiadając strapienia swe Stoigniewowi, gdyż słabo mówiąc po słowiańsku, a obcy obyczajem, nie umiał zbliżyć się do innych dworzan i widoczną ulgę mu przynosiło, iż wyżalić się może choćby przed młodziankiem, który tu jeden jedyny język jego ojczysty i powód strapienia mógł zrozumieć.

Gdyby Stoigniew nie przywykł uczuć swych opanowywać, a nie był przybity niedawnymi przeżyciami, byłby się zaśmiewał z tych strapień, jakich piękna jego stryjenka była przyczyną.

- Słusznie ojcowie Kościoła - mówił Prokulf - niewiast unikać zalecają, a nawet pogańscy mędrcy stworzenie to mają za nieczyste lub zgoła duszy mu odmawiają, bo nie uwierzyłbyś, że często obawiać się muszę, iż zamiast ja jej drogę do zbawienia wskazać, ona mnie na manowce prowadzi, do grzechu nieraz przywodząc. Unikaj niewiast, synu mój, a spokój będzie w twej duszy, jaki ja miałem, nim mnie wydarło spomiędzy braci i tu na łup pokus szatana rzucono.

Nie powiedział, bo sam sobie zdać sprawy nie chciał lub nie umiał, że rozstanie z tym szatanem byłoby najwyższą ofiarą, na jaką by się zdobyć potrafił, i że przywiedłe jego serce, które odżyło w ciepłe promiennej młodości tego najpiękniejszego ze znanych mu szatanów, do śmierci zachowa nieśmiałe i nieświadome uczucie, jakie w nim wzbudzić umiała.

Pokładli się spać późnym wieczorem, lecz nocny spokój niedługo zakłócony został gwarem i ruchem na podworcach, a następnie w starym budynku gródka. Stoigniew obudził się i nasłuchiwał chwilę, po czym klasnął na pachółka, pytając, co się stało.

Pachółek zaśmiał się jeno i odparł, że pewnie zbójcy na dworzec napadli albo wróciła księżniczka.

Stoigniew ubierał się właśnie szybko, by powitać stryjenkę, nasłuchując idących ze świetlicy głosów ludzkich, szczekania psów i hałasu przesuwanych sprzętów i naczyń, gdy pospieszne kroki rozległy się w sieni i do izby jego wpadła Adelajda.

Ubrana była na wpół po męsku, w krótką, ciemną suknię bez żadnych ozdób, odsłaniającą nagie ramiona. Jeno w małych, różowych uszach lśniły kolce z zielonych kamieni. Włosy, splecione w gruby warkocz, związane były w węzeł na tyle głowy i okryte złotą siatką; na czole jeno i skroniach wymykały się spod niej krótkie, faliste, niesforne loczki. Pociągała twarz, o niezwykle białej i przezroczystej cerze, zarumieniona jeszcze była od szybkiej jazdy i nocnego chłodu.

Stoigniew, trochę zawstydzony, zerwał się witać stryjenkę i w rękę chciał ją całować, lecz ona roześmiała się. Przygarnęła chłopca silnym ramieniem, ucałowała go w usta, po czym porwawszy go za rękę, poprowadziła do roznieconego na kominie ognia. Siadając na stołku, postawiła go przed sobą, twarzą do światła, i uśmiechając się oglądała go od stóp do głów.

- Ale się rycerzyk z ciebie zrobił przez ten czas, gdym cię nie widziała. I gładkiś jak dziewczyna. Będą za tobą niewiasty biegały. A bałam się, że w klasztorze zrobią z ciebie taki suszony ser jak z Prokulfa.

Roześmiała się, po czym westchnęła nagle:

- Aleś podobny do matki! Byłam u niej. Przeklęta dola niewiastą być. Puścić mnie nie chciała. Uwidziało jej się, że to ja jestem Białka. Takeście jedną samą ostawili - łzy zaświeciły w oczach Adelajdy, a potem z gniewem znów krzyknęła:

- Nie wróci Ścibor do niej, to mu kudły ze łba powyrywam albo i oczy wydrapię!

Stoigniew zmieszany patrzył na stryjenkę, nie wiedząc, co mówić. Uderzyło go niezmierne podobieństwo do ojca. Widno dlatego Dosza wzięła ją za Białkę, która też do Ścibora zapowiadała podobieństwo.

Adelajda, bez przejścia, zupełnie spokojnie zapytała:

- Czemu nic nie mówisz? Dokąd jedziesz teraz? Widziałeś się ze stryjem?

Zanim zdążył odpowiedzieć, zerwała się i chwytając go za rękę, zawołała:

- Chodź do świetlicy, głodna jestem jak wilk. Gdy będę jadła, opowiesz mi o sobie - i ciągnąc chłopca, wpadła do świetlicy, gdzie tymczasem stoły zastawiono i reszta dworu Adelajdy, również wygodniała, czekała niecierpliwie na jej powrót.

Zasiedli do stołu i Adelajda jeść zaczęła chciwie kołacze i mięso, gdy nagle plasnęła dłonią w czoło, wołając:

- Prędko biegnijcie po ojca Prokulfa; całkiem nie wiem, post dzisiaj czy nie?

Śmiejąc się jadła, nierzadko też popijając, i mówiła do Stoigniewa:

- Niegdzie po dworach wesołków sobie trzymają, a ja mam pośmieszyszcze z Prokulfa. Jak widzę jego twarz stroskaną nad moim grzesznym życiem, to śmiechu strzymać nie mogę.

Nagle z wielką siłą i zręcznością rzuciła kością w psa, który, korzystając z nieuwagi obecnych, wspiał się na stół i cichcem ściągnął z misy barani udziec.

- Pójdiesz, Zabój! - krzyknęła.

Pies uciekł skomląc, Adelajda zaś ziewnęła, przeciągając ramiona, i rzekła:

- Jutro mi opowiesz o sobie, bo spać mi się chce teraz. Cały dzień jechaliśmy, a zeszłą noc przegadałam.

Wstała i skinąwszy dłonią Stoigniewowi, wyszła. U wejścia zetknęła się z Prokulfem, który biegł zaspany na wezwanie.

- Spóźniliście się jak zwykle. Chciałam was zapytać, czy post zaczyna się z rana, czy wieczorem, ale tymczasem głodna byłam i pojadłam mięsa, nie czekając.

Prokulf chciał coś rzec, zmieszany, lecz Adelajda poklepała go z życzliwą poufałością po ramieniu, mówiąc:

- Zapiszcie, jeśli post naruszyłam. Ja bo pisać nie umiem, a pamiętać mi się nie chce.

To rzekłszy odeszła, a Prokulf pozostał z otwartymi ustami i wzniosłszy oczy ku górze, westchnął ciężko.

Nazajutrz dobrze już było z południa, gdy Adelajda posłała po Stoigniewa z prośbą, by ją odwiedził. Przybrał się pospiesznie i podążył do niewieścich budynków stojących w północnej części gródka.

Zastał Adelajdę siedzącą przy oknie i wpatrzoną w przeciwległy brzeg Świętego Jeziora. Gdy odwróciła twarz ku niemu, spostrzegł w jej oczach łzy. Niemal uwierzyć nie mógł, że to ta sama Adelajda, która obudziła go w nocy, zarzuciła pytaniami i spać poszła, swaru narobiwszy w całym dworze.

Zmieniała ją nie tylko długa biała szata z najdelikatniejszego lnianego płótna, z purpurowym obramowaniem, spięta pozłocistym, z przodu nisko opadającym pasem. Długie, lśniące warkocze sięgały jej niemal do kolan, skronie obejmował wianek z jemioly. W całej postaci, ruchach i głosie przebijała powaga i spokojny, głęboki smutek.

Stoigniew patrzył na nią ze zdziwieniem. Spostrzegła je i uśmiechnęła się smętnie:

- Dziwisz się, że niewiastą jestem? Niestety, bogowie tak mnie stworzyli. Z tym walczyć nie można.

- Mówicie: bogowie - rzekł nieśmiało Stoigniew. - Chrzczeni przecie jesteście?

Adelajda uśmiechnęła się znowu.

- Kiedy się rodziłam, oni tu jeszcze panowali. Nasi, słowiańscy, co mieszkają w lesie, w wodzie, w powietrzu, w słońcu! - Dodała ciszej: - Zrozumieć ich łatwo, podobni do nas.

- To wy nowego Boga nie czcicie? - zapytał z niespokojną ciekawością Stoigniew.

Adelajda myślała chwilę, po czym odparła:

- Czczę, ino zrozumieć nie mogę, czemu od nas wymaga rzeczy, których spełnić się nie da, a za niespełnienie grozi strasznymi karami. Czasami, gdy śpiewać zaczną w kościele i dymy unoszą się

przed ołtarzem, to nawet i dla Niego czuję coś w sercu. Tylko znowu nie rozumiem, co mu szkodzi nasi bożeczkowie, że wyganiać ich każe i obiaty dla nich zabrania, wszystko dla siebie, jak Niemce, chcąc zagarnąć. Taki do mojego ojca podobny, że nawet kochać bym Go potrafiła. Ino mój ojciec jaki był dobry!

Łzy zakręciły się w oczach Adelajdy.

- Kto podobny do waszego ojca? - spytał zdziwiony Stoigniew.

- Bóg Ojciec - odparła.

Wstawszy wzięła z klęcznika niedużą książeczkę, oprawną w pergamin, ze srebrnymi klamrami, i otwarszy ją, okazała Stoigniewowi obrazek: Bóg, z siwą brodą i włosami, siedział na pozłocistym tronie z berłem w jednej i jabłkiem w drugiej ręce. U stóp jego klęczeli mali ludkowie.

- A ty dziada pamiętasz? - zapytała.

Zaprzeczył, a Adelajda rzekła:

- Prawda, jakże możesz pamiętać. Przecie ni roku nie miałaś, gdy dziad był u was w Kozim Rogu. Żebyś go znał, tobyś i ty go kochał. Ojcem był dla wszystkich, który miłością trzyma i skłania do posłuszeństwa. Nie tak jak Mieszko! - dodała ciszej.

Podeszła do okna i patrząc na las za jeziorem, rzekła: - Tam leży! I on, i jego ojciec, i dziad, i pradziad. Pójdę ich pożegnać. Wiesz, że jedziemy do Poznania, a stamtąd już pewno na Węgry. By nigdy nie wrócić! - dodała zmienionym głosem. - Pójdiesz ze mną do dziadów? - spytała.

Stoigniew skinął głową. Adelajda klasnęła w dłonie i poleciła służebnej zawołać świętosza.

- Prokulf pilnuje - mówiła - bym zachodniemu Bogu oddawała, co należy. A Świętosz o starych mi opowiada. Kapłanem był dawniej, ale zabrali mu kącinę. W lesie go znalazłam i przystał do mnie za gędlka. Śpiewać umie nasze stare pieśni i o ojcach - jak żyli, jak walczyli i kochali opowiadać. A nowi kapłani spisują jeno to, co ich obchodzi, i w niepamięć pójdą ojcowie, jeśli ich sławy pieśń nie przechowa. Chodźmy - rzekła. - Świętosz za nami nadaży nad jezioro, bo obiatę jeszcze dla dziadów zabrać musi.

Wyszli i spadzistą ścieżką opuścili się na płaski brzeg, trzcina zarosły. Jeno w jednym miejscu wydeptana była i woda dochodziła do brzegu, przy którym stały czółna. Świętosz z obiatą już czekał. Wsiedli do łodzi i Stoigniew za wiosła chciał ująć, lecz Adelajda rzekła:

- Zostaw, sama powiosłuję.

Przy pomocy Świętosza zepchnęła łódź na wodę i wiosła ujęła w dłonie.

Stoigniew patrzył na jej ruchy, szybkie, miękkie a silne. Patrzył i dziwił się, jak bardzo przypominają mu ojca. Tylko u Ścibora potężny wzrost i ogromne kłęby mięśni siły tej od razu kazały się spodziewać; u smukłej zaś Adelajdy, o toczonych ramionach i dłoniach szczupłych, z długimi

ruchliwymi i giętkimi palcami, siła ta była czymś niespodzianym jak wszystko w niej. Budziła w nim niepokój i zamieszanie, połapać się nie mógł we wrażeniach i uczuciach swych dla tej prawie nieznannej stryjenki, całkiem niepodobnej do wszystkich kobiet, jakie znał dotychczas.

Dobili do brzegu. Adelajda narwała wodnych lilii. Wąską, rzadko widać uczęszczaną drożyną przeszli przez łąkę nadbrzeżną i zapuścili się w las. Wkrótce dotarli do niewielkiej polanki, na której stały kopczyki mogił, zarosłe już krzewiną i drzewami.

Świętosz przyniesioną obiatę zostawił, Adelajda zaś, złożony kwiecie na ojcowej mogile, usiadła na głazie mchem porośłym, i twarz zakryła rękoma.

Stoigniew nie wiedział, modli się czy wspomina, i nie przerywał milczenia. Dopiero gdy Adelajda dłonie od twarzy odjęła, zapytał cicho:

- Modlicie się za nich?

Żałosny uśmiech okraślił twarz Adelajdy.

- Przecie to poganie. Im takie modły nie potrzebne.

Świętosz zaśpiewa nam o nich, by pamięć w naszych sercach nie zarosła, jak ta ścieżka, co do ich mogił prowadzi. Świętosz usiadł na mogile, parę razy od niechcienia palcami uderzył po strunach liry, po czym zaczął opowieść. Adelajda dłońmi objęła kolana i zasłuchiwała się.

Wielkie świetliste oczy, wpatrzone w dal, widzieć zdały się śpiewane dzieje. Stoigniew patrzył w nią jak w obraz. Spokój zapadającego letniego wieczoru na leśnej polanie z mogiłami dziadów, biała postać Adelajdy i pieśń o przodkach łącząc się w harmonijną całość, budziły w nim nowe moce i ukazywały piękno, którego istnienia dotychczas się nie domyślał, jakby nowe światło rzucając na rzeczy znane, ale obojętne dotychczas i bezbarwne.

Zadumał się tak, że nie spostrzegł, iż słońce zapadło już za bory i mrok się uczynił. Wzdrygnął się, gdy Adelajda wstała i biorąc go za rękę, skierowała się ku domowi.

Jakiś czas szli w milczeniu nasłuchując głosów leśnych ptaków układających się do snu. Po chwili Adelajda rzekła cicho:

- Przrzecz mi, że nie zapomnisz mogiły ojców odwiedzić, ilekroć tu będziesz. Tam przecie korzenie tkwią rodu naszego, którego ty małą jesteś gałązką, a ja liściem, który wiatr wnet poniesie daleko, by nigdy nie przyznać z powrotem. Dbaj o drzewo, które z nich wyrosło, i nie pozwól, by na nim szczepiono obce odrośle. Przerzekasz mi?

Zmieszany i rozogniony chłopak, niezbyt nawet rozumiejąc, czego żądała, odparł:

- Przrzekam!

Przygarnęła go do siebie i ucałowała w usta, lecz jakoś inaczej niż przy powitaniu. Zarumienił się, rad, że mrok lic jego widzieć nie pozwalał. Adelajda przyspieszyła kroku, puściła rękę chłopca i

półbiegnąc dotarła do jeziora. Wołać poczęła na Świętosza, by pospieszył, po czym roześmiała się nagle:

- Znów Prokulf płakał będzie, że nie była na wieczornym nabożeństwie. I głodna jestem jak wilk.

Przeprawiła szybko łódź. Dobiwszy do brzegu, rzuciła wiosła i pędem pobiegła na górę. Zdziwiony Stoigniew stał patrząc na widoczną w mroku jej białą postać. Zatrzymała go, i zawołała:

- Dobranoc! Spać idź! Ty jeszcze nie potrafisz z gwiazd skoczyć na ziemię, żeby nie rozbić sobie nosa.

Zaśmiała się jeszcze raz i jeno szybkie jej kroki po ścieżce: słyhać było, gdy postać już utonęła w cieniu.

Stoigniew nie miał już ujrzeć jej nigdy. Nazajutrz wczesnym rankiem wyjechał do Trzemeszna, by Tuniego odwiedzić i Zynkę u mnichów zostawić. Potem u matki parę niedziel zabawił w Kozim Rogu. Zbrozło natomiast odwiózł Adelajdę do Poznania i sam dalej za Dzikim pociągnął. Tymczasem zaś posłaniec przybył od Mieszka do siostry, by na spotkanie z nim zjechała do Krakowa, skąd już zabrać ją mieli dziewosłęby Gejzy.

* * *

Wieści jeno przychodziły o Białej Kniegini, gdyż sława zarówno jej urody i bystrości, jak i niepohamowanej, z latami jakby jeszcze rosnącej gwałtowności, która aż do zabójstwa ją przywiodła - szeroko się rozchodziła.

Przeleciała przez życie Stoigniewa jak spadająca gwiazda po sierpniowym niebie, lecz choć sama zaraz znikła, ślad w nim wypaliła na zawsze. Gdy po latach, przejazdem w poselstwie do Rzymu, z siwiejącymi już włosami stał nad jej grobem, zamknąwszy oczy, widział ją jak żywą, siedzącą u mogił ojców, z twarzą zasłuchaną w pieśń o ich czynach i z promiennymi, wpatrzonymi w przeszłość oczyma.

W leśnym ustroniu

Na zachód od Lubuszy, na lekkim wzniesieniu działu wód Odry i Sprewy stała w odwiecznym, nieprzebytym lesie samotna chatka. Płatanina leśnych strumieni, bagien i wykrotów odcinała dostęp do niej ze świata, tak że choć przegnane ze wschodniego brzegu Odry kupy zbójów i wywołańców wszelkich sąsiednich ludów w borach tych szukały schronienia, chata opuszczona przed laty pustką stała, zwierzowi jeno za przygodne służąc schronienie.

Ślepą ścianą przytykała do wykrotu, zwalonego jakąś burzą sprzed lat prastarego dębu, którego korzenie obejmowały ją jak kłęb węzowiska lub macki jakiegoś potwora. Z przodu zasłaniały ją chaszczce wybujające, na kraju powstałego przez obalenie drzewa dołu, tak że o kilkanaście kroków przejść można było koło chaty nie zauważywszy jej. Rzadko jednak kto przechodził tędy, chyba leśny zwierz, od lat nawykły, że żadne nie kryje się w niej niebezpieczeństwo.

Aż jednego jesienno-wieczora opuszczone wnętrze zabrzmiało ludzkimi głosami, a pusty oczodół okienka zamrugał czerwonym światłem. Spłoszeni leśni mieszkańcy, którzy w bliskości chaty nocować zwykli, wynosili się chyłkiem, a niski głos psiego szczekania, wysłanego za nimi w ciemność, przyspieszał ich kroki.

Skrzęt panował koło chaty. Od koni, których miejsce postoju zdradzał tupot kopyt, znoszono do chaty jakieś toboły. Po chwili jednak ruch ustał, przysłonięte okiennicą okienko przymrużyło się, szparami jeno przepuszczając pasemka światła, które jasnymi smugami kładło się na ciemnym listowiu drzew.

Wewnątrz chaty trzej mężowie zasiedli przy stole, w milczeniu spożywając wieczerzę. Gdy podjedli, Dzik pierwszy przerwał milczenie:

- Niczego chałupa i jeszcze trudniej trafić do niej niż do mojej. Gościniec niedaleko, można by kupę zebrać i kupców łuskać.

Tarło zachnął się, a Zbrozło rzucił spokojnie:

- Nie będziecie kupców łuskać. Czekaście, aż przyślę po was, jeśli wyprawa się zdarzy. Usłużycie, to was kniaź do czci i mienia przywróci i wrócić będziecie mogli między ludzi.

- Tyle mi po czci i mieniu, co wilkowi w lesie. A ludzi mi potrzeba, jak mnie ręka zaswędzi.

- Ale mnie nie tyle! - przerwał gwałtownie Tarło.

- Nie sierz się! - ozwał się Dzik dziwnie miękko. - Zapomniałem! Ale co tu robić! Chyba igliwia się nażrę i w barłóg zakopię na zimę jak miś.

- Roboty wam nie zbraknie. Mąki i soli przez Biezdocha czasem przyślę, ale o resztę starać się musicie. Przesieki objeżdżać macie, czy przerębów kto nie robi. A zecni ci się ta robota, to możecie gościniec od Niemczy do Cydzyńny objeżdżać, czy nie rabuje kto i pomoc kupcom dać w razie napaści. Ino brać od nich nie wolno, chyba co sami dadzą.

- Niechby mi spróbował który co dać, to ja mu dam, ale w łeb. Nie będę za nagrody zbójów bił. Może po prośbie chodzić mamy po gościńcu?! - zachnął się Dzik. - Nie wolno łupić, to niech trzymają, co swoje.

- Czas na mnie! - rzekł Zbrozło wstając, jakby nie słyszał odezwania się Dzika.

- Pojedziecie to w taką ciemnicę? Zostańcie na noc.

- Trafię ja o każdej porze, nie pierwszy raz tu jestem - odparł Zbrozło i zbierać się począł.

Tarło odezwał się nieśmiało:

- Może sposobność mieć będziecie, oddajcie to Dobkowej Czarnuszce. Niech lepiej na mnie nie czeka - i podał zdjęty z palca pierścień.

Zbrozło spojrział na niego dziwnie, mówiąc:

- Lepiej czekać, choćby i na darmo, niż nie czekać na nic. Zostaw pierścień. Znać jej dam, że żyjesz. Bardziej się ucieszy niż z pierścienia.

- I jedno jeszcze - mówił Tarło zarumieniony: - Weźcie Krzesza do siebie, niech kniaziowi służy. Przynajmniej z jednego niech doczeka się rodzic pociechy.

- Wezmę - rzekł Zbrozło. - Może doczeka się jeszcze z obydwu. No, ostajcie szczęśliwie.

- Jedźcie szczęśliwie, a przysyłajcie wieści. Niecierpliwie czekać będziemy.

Tarło Zbrozłą wyprowadził do koni, a Dzik rozbierał się mruczając pod nosem:

- Widzisz! Przędzi jeść nie chciał, a ninie już na wieści czeka.

I zagrzebywał się w przywiezione skóry.

Po chwili Tarło, podniecony, wrócił do izby i chodzić począł w kółko po maleńkiej przestrzeni, a Dzik śledził go oczyma. Tarło usiadł i ozwał się jakby do siebie:

- Dobry, ale dziwny człek ze Zbrozły!

- Taki dobry jak ja - odmruknął Dzik - bo też niczego nie potrzebuje. Tylko on coś ci robi po świecie, czego ja wyrozumieć nie mogę, a ja bym ino spał, bo wtedy nic nie myślę i tak mi błogo jak zwierzowi w ciepłej jamie. A ty nie idziesz spać, to drew narąb, bo noce już zimne.

To rzekłszy odwrócił się do ściany i bez przejścia zanurzył się w ukojnej nieświadomości snu.

Tarło zaś siedział długo w noc i karmił ognisko szczapami, a serce nowo obudzoną nadzieją.

* * *

Czas mijał jednak, a upragnione wieści nie nadchodziły. Jesień spędzili na przygotowywaniu zapasów jada i opału, naprawianiu chaty i stawianiu szopy dla koni. Długie wieczory przesiadywał Tarło u ognia marząc samotnie, gdyż Dzik, jeno ściemniało, spać szedł razem z Gonem. Z nastaniem zimy zaczęli na łowy jeździć, przy sposobności przesiękę przeglądając. Parę razy zetknęli się w lesie z ludźmi, których Dzik prał nie pytając, gdyż spokojnych osadników przy szlaku nie znano i małe było prawdopodobieństwo na kogo innego niż na zbójów trafić.

Raz kupiecki poczet z Pragi do Wolina ciągnący przed zasadzką przestrzegli i z ich pomocą wybito kilkunastu zbójów, których trupy Dzik dla postrachu przy gościńcu na drzewach porozwieszał. Od ocalonych zakupili trochę potrzebnych towarów, a choć kupcy przez wdzięczność pieniędzy brać nie chcieli, wzięli jednak w końcu widząc, że kudłaty olbrzym rozsierdził się oporem i zamierza brać się do bicia. Tarło wypytywał, czy nie słyhać o jakiej wyprawie, lecz dowiedział się ku swemu zmartwieniu, że spokój w Polsce panuje i na żadną wojnę się nie zanosi.

Gdy nadeszła wiosna, rozlane wody uwięziły ich w chacie; Dzik jeno czasami taplał się po błotach, strzelając z łuku głuszce i cietrzewie. Tarło, zniechęcony, w chacie przesiadywał, przygnębiony znowu bezczynnością i daremnym czekaniem.

Gdy podeszło trochę, zjawił się niespodziewanie jednego wieczoru Biezdoch przywożąc im zapasy. Tarło, któremu serce zabiło nadzieją, od progu już wypytywał go o wieści. Dowiedział się jedynie, że Krzesz na Pomorzu przy Ściborze bawi, Zbrozło zaś do Miśni pojechał do margrabiego Guntera, gdzie Stoigniew Guncelina chciał odwiedzić. O żadnej wyprawie słyhać nie było.

Tarło zgorzkniał i parę razy Dzika słowem ukąsił. Dzik nie odgryzał się, lecz pomarkotniał i do Tarły przestał się odzywać. Do psa jeno mruczał coś czasami, na co ten mu nieodmiennie kiwaniem ogona odpowiadał.

Ku latu już się miało, a nie działo się nic. Tarło zobojętniał na wszystko i całymi dniami potrafił leżeć na trawie i patrzeć na przesuwające się między gałęziami chmury lub, gdy pogoda była słotna, wylegiwał się na posłaniu, nie wstając nawet do jedzenia.

Dzik wałęsał się bez przerwy po lesie, na noc niejednokrotnie nie wracając do domu gdy wrócił zaś, podjadłszy, zmęczony walił się na legowisko i spał kamieniem. Uciekał pamięcią do przeszłości i gdyby nie świadomość, że z Tarłą jest źle i że z jego to poszło przyczyny czułby się w swoim żywiole, żyjąc z dnia na dzień, bez myśli o tym, co było i co będzie.

Nie wiedząc, jak rozruszać Tarłę, coraz rzadziej pokazywał się w chacie, zmuszając go przez to, by przynajmniej sam o siebie dbał, strawy uwarzył i oporządził konia.

Z końcem wiosny wyjechał konno i nie było go tak długo, że nawet zobojętniały i do nieobecności Dzika nawykły Tarło niepokoić się zaczął, czy Dzika nie spotkało co złego lub czy znowu do zbójców nie przystał.

Dzik jednak lasami dotarł aż do Niemczy, a korzystając że jest w mieście, wstąpił do gospody, by zapasów jakich nabyć. Po długim poście pić zaczął i dobrawszy towarzystwo, pił kilka dni. Nie wiadomo, na czym by się wyprawa skończyła, gdyby nie to, że wybuchła bójka i Dzik, pobiwszy

kilku ludzi, uchodzić musiał. Przespawszy w lesie pijaństwo pod strażą Gona, puścił się gościńcem ku domowi, nie spiesząc się, by konia bez potrzeby nie zgonić. Cichy, bezwietrzny upalny dzień czerwcowy miał się ku schyłkowi, gdy Dzik minął bród na Nysie i wjechał w bory nadodrzańskie. Powietrze aż duszne było od woni rozgrzanej dziennym upałem żywicy i leśnych ziół. Od czasu do czasu chłodniejszy powiew znad rzeki zganiał zapachy lasu, przynosząc wonie tataraków, wędnących w upale nadbrzeżnych łąk i rozgrzanych słońcem bagien.

Dzik, zdrętwiały od długiego siedzenia, zszedł z konia i szedł pieszo, Ciska za grzywę trzymając. Zziajany upałem Gon włókł się za nogą.

Cisza panowała w lesie, jeno od bagien i niedalekiej rzeki dolatywały głosy wodnych i błotnych mieszkańców, którym nie warto było układać się na spoczynek w krótką czerwcową noc, gdy ostatnie blaski zachodu jeszcze leżą na bagnie, a na wschodzie niebo mienić się już zaczyna przedświtem.

Na gościńcu jednak, między wysokimi ścianami boru, które miejscami schodziły się górą tworząc sklepienie, mrok panował głęboki, jeno piaszczysty szlak odcinał się jaśniejszym pasem, zwężającym się i gnącym w mrocznej dali. Jednostajny, zgłuszony na miękkim podłożu odgłos kopyt konia kołysał Dzika, iż chwilami tracił poczucie, gdzie jest i dokąd zmierza. Mógł tak iść w nieskończoność, spokojnie mu było i błogo w tej ciszy, ciemności i samotności, z tymi zwierzętami, do których nawykł jak do członków swego własnego ciała, do których mógł zagadać, gdy mu przyszła ochota, lecz które same milczały, a w ich milczeniu nie czaiła się żadna groźba ni podstęp.

Do ścieżyny, która wiodła z gościńca ku chacie, nie było już daleko, lecz Dzik nie chciał teraz widzieć nikogo. Układł się przy drodze na kępie mchu i zasnął. Gon, zadowolony, że dalej nie musi iść, ułożył się koło jego twarzy, koń zaś paść się począł.

Nagle Gon łeb podniósł i węszył. Ruch ten obudził Dzika. Usiadł na swym posłaniu. Spojrzał na Ciska, który przestał się paść i strzygł uszyna, obejrzał się wkoło i nie zauważywszy nic, chciał się wyciągnąć ponownie, gdy pies warknął cicho. Na jaśniejszym tle gościńca Dzik spostrzegł w oddaleniu szare cienie, jakby zwierz jakiś większy przeskoczył drogę, zmierzając ku rzece. Myślał jeszcze, co to mogło być, gdy znowu pociemniało na gościńcu. Tym razem nie miał Dzik wątpliwości; byli to ludzie, szli z lasów ku rzece. Na zbójów za wielu ich. Stał jeszcze przez chwilę wahając się, co uczynić, gdy gdzieś od tyłu doleciał go bardzo daleki, lecz w ciszy zupełnie wyraźny odgłos licznych siekier: ktoś rąbie przesiekę.

Dzik wiedział już: wojska idą ku Odrze, widocznie kilkoma szlakami. Skoczył na konia i skręcił w las ku chacie.

Zrazu posuwał się ostrożnie, by nie wpaść na nieprzyjaciela, dotarłszy jednak do bagien, które wojska iść nie mogły, podązał, jak mógł najszybciej. Wkrótce stanął przed chaszczami, zakrywającymi wykrot, w którym stała chata.

Zadziwiły go odgłosy dochodzące z wnętrza i światło przeciskające się przez szczeliny okiennicy.

Wpadł do chaty i we drzwiach natknął się na Tarłę, który usłyszał ruch i biegł zobaczyć, kto to taki. Nim jednak o coś zapytać zdążył, z izby doleciał znany Dzikowi głos Zbrozły:

- Dzik przyjechał? Przy ognisku siedział Zbrozło, na posłaniu swym zaś ujrzał Dzik w migotliwym blasku płomienia postać śpiącego chłopca.

Zbrozło, nie pytając o nic, zaczął:

- Margraf Hodo i graf Zygfyrd z Waldeku napaść na nas zamierzają. Późno się dowiedziałem, ale jeszcze zdążymy zawiadomić kniazia Mieszka w Lubuszy, by go z nagłą nie ubiegli. Gorzej z kniazem Ściborem, bo nie wiem, gdzie go szukać, ale może dowiem się w Cydzynie. Zaraz z rana ruszymy, niech jeno Stoigniew wypocznie trochę, bo z Miśni niemal bez wypoczynku jedziemy.

- To zostańcie z nim, a ja z Tarłą do Lubuszy skoczę zaraz, byle już za późno nie było.

Tu Dzik opowiedział, - co widział i słyszał, po czym, spoglądając przez okno na szarzące niebo, dodał:

- Do Lubuszy, choć konie zegnać, nie dojedzie przed wschodem; dnieje! A oni są już tam' przed nami.

Nie czekając, co powie Zbrozło, broń zaczął zgarniać, a Tarło, podniecony, skoczył do koni, by je nakarmić i napoić przed drogą.

Zbrozło tymczasem rzekł do Dzika:

- Ciebie kniaz pewnie pozna, ale to nic. Ostrożność zachowajcie, póki się da. Może zdążycie na czas, bo z tego, co mówisz, widno, że oni się i za Odrę przeprawiają, by tyły odciąć, a przeprawa bez brodu niełatwa. Kniaź, jeśli sił nie ma niech się cofa na północ, by prędzej połączyć się ze Ściborem. Ja pojedę zaraz, bo na każdej chwili może zależeć.

To rzekłszy Zbrozło obudził Stoigniewa, a ten dźwignął się z westchnieniem utrudzenia, mrużąc zaspane oczy. Dzik, który już zbierał się do wyjścia, spojrzał na niego i mruknął:

- Ale ci do matki podobny!

Sięgnął do kołpaka, w którym tkwiło silnie już przyniszczone piórko żoły, i wręczając je Stoigniewowi rzekł:

- Masz tu na szczęście.

W tej chwili wpadł Tarło wołając, że konie gotowe. Dzik porwał kawał kołacza i sarni udziec i mruknąwszy: "żegnajcie!", ruszył ku wyjściu. W drzwiach obejrzał się jeszcze po wnętrzu, skinął ręką pozostałym i gwizdnąwszy na psa, wyszedł a za nim Tarło.

Doskoczyli koni i póki sucho, jechali tak szybko, jak się dało. Dopiero gdy znaleźli się na bagnach, konie zwolniły kroku, a Dzik wyciągnął z torby jedzenie i jał się pożywiać. Tarło zrównał się z nim, rozradowany nadzieją powrotu do ludzi i spełnienia swych marzeń, zda się już pogrzebanych, chciał serdeczniej zagadać do Dzika, z którym prawie nie mówił od miesiący.

- Gdzieście bywali? - zapytał.

- W Niemczy - mruknął Dzik pełną gębą i jadł dalej.

- Coście tam robili?

- Piłem.

Rozmowa urwała się. Po chwili Tarło zagadnął znowu:

- Nareszcieśmy się doczekali. Bić się będziemy, a potem wrócimy do ludzi.

- Mhm! - mruknął Dzik.

- Nie cieszyacie się?

- Mnie ta w lesie dobrze było.

- Możecie na mnie gniewni? Ale wiecie, jak się w człeku wszystko skręca, to choć i niechcący ukąsi.

- Co tam! - burknął Dzik. - Żal mi cię było, bo lubię ciebie.

Tarło, rozradowany i podniecony, objął Dzika ramieniem.

- Wrócimy razem do Grodziska.

- Ja nie wrócę, możesz se je wziąć.

Tarło zrozumiał i umilkł, a już Lubusza była tuż i ostrożność należało zachować, bo wyjechali z bagien i lada chwila na nieprzyjaciela mogli się natknąć. Grunt zaczął się suchszy i jasno już było. Jeno patrzeć, jak pierwsze promienie słońca ozłocą szczyty drzew.

Las wysokopienny przeredzał się, jeno kępy krzów widok zasłaniały. Gdy objechali jedną z nich, ujrzeni obszerne wzniesienie. Słońce zapalało właśnie pierwsze złote światła na szczytach wież widocznego już grodu.

Stanęli, by rozpatrzyć się, gdzie może znajdować się nieprzyjaciel. Lekka, nisko leżąca mgiełka, powstająca z rzeki, utrudniała rozeznanie.

Nagle Dzik ozwał się:

-Zbrozło ci pokaże, gdzie skarby mam zakopane. Możesz se je także wziąć.

Tarło chciał zapytać, dlaczego nie razem wybiorą się po nie, lecz Dzik trącił konia i zawołał:

-Jedziemy!

Do czci przywróceniu

Mieszko późnym wieczorem wrócił z Międzyrzecza i spał jeszcze, natomiast stary Jaksza, który niewiele sypiał, od przedświtku był na nogach i wały obchodził.

Ostatnie lata niewielki na nim ślad zostawiły. Wysechł może trochę i, jeżeli można, jeszcze pobiełał. Trzymał się jednak jak dawniej i stare oczy bystro patrzyły na świat i ludzi.

Wstający spokojny, pogodny letni dzień nie potrafił uspić czujności starego wojaka. Coś wisiało w powietrzu, z czego jeszcze sprawy sobie zdać nie umiał, lecz tym bystrzej patrzył na okolicę i wprawnym okiem przeglądał obronną gotowość grodu. Czekał na powrót wysłanych jak co dnia na objazdy ludzi i z każdą chwilą oczekiwania rosło w nim poczucie, że dzieje się coś niezwykłego. Straże winny powrócić przed świtem, a oto już jaskrawy rąbek słońca wychynał zza puszczy nadodrzańskiej i wstawał dzień. Ruch czynił się na podworcach, dymy podniosły się z kominów i szarymi prostymi kłębami wzbijały się w spokojnym powietrzu poranka ku jaśniejącemu z każdą chwilą niebu.

Gawron wiedział już, że coś grozi, a co, sprawdzić postanowił. Wysłał dziesiętnika ze straży, by wszyscy jezdni, jacy przybyli z Mieszkiem do Lubuszy, w sile dwustu koni, bez zwłoki stanęli w gotowości, sam zaś czekał na strażnicy przy zachodniej bramie, po okolicy się rozglądając.

Ku zachodowi widok dość był otwarty, puszcę bowiem rozmyślnie wycięto, jeno gdzieniegdzie kępy krzów przy drodze, z grodu do gościńca wiodącej, zasłaniały widok. Ściana boru jednak, pod którą wiódł gościniec, dobrze była widoczna i świeciła w blaskach wschodzącego słońca złotem sosnowych pni.

Gawron rzucił okiem w tym kierunku i zdało mu się, że rozróżnia między pniami jakieś postacie. Poruszyły się i rozeznał dwóch konnych, którzy w skok puścili się ku grodowi i zbliżali się z każdą chwilą. Zginęli za zakrętem osłoniętym krzami, wkrótce wynurzyli się jednak znowu i widać ich było wyraźnie. Gawron krzyknął na pachołków, by furtę w bramie otwarli, i patrzył na zbliżających się, za którymi z trudem nadążał duży, biały pies. Obydwaj byli ogromnego wzrostu, jeden olbrzym niemal, i gdy zbliżyli się na kilkadziesiąt kroków, twarz jego wydała się Gawronowi znajoma. Pognął ku bramie, a już przybyli osadzili konie i na ziemię zeskoczyli.

- Co za jedni, skąd i do kogo? - zapytał.

- Bezucha i Niezbój z lasu, od Zbrozły do kniazia - odparł olbrzym i ujawszy konia przy pysku, chciał przejść bramę

- Kniaź śpi, Zbrozło w Miśni, a was inaczej zwali, gdyście tu byli przed laty - ozwał się Gawron podejrziwie.

- Bezucha jestem - rzekł Dzik odkrywając włosy i pokazując oberwane ucho. - Zbrozło ze Stoigniewem ku Cydzynie pojechali za kniazem Ściborem. A kniazia zbudzicie, bo choćbym był bez nosa, napaść idzie i nawet mi dziwno, że spokój tu jeszcze.

- Chodźcie! - powiedział Jaksza i przepuścił przybyłych.

Na setnika krzyknął, by do obrony wszystko było gotowe, i szli ku budynkowi, w którym księżę zamieszkał. Tarło szedł z tyłu i ciekawie rozglądał się, jak sprawnie i szybko, bez wrzawy czyniono przygotowania. Z budynków wysypali się ludzie i biegli na wały, zajmując wyznaczone miejsca.

Z szop wynoszono całe naręcza strzał, wytaczano beczki ze smołą i kadzie z wodą, w której maczano płachty do gaszenia ognia.

Na głównym, zewnętrznym podworcze stało już przy osiodłanych koniach dwustu kopijników, uzbrojonych jak jeden w żelazne hełmy, drucziane koszulki na skórzanych kubrakach i proste miecze. Przy koniach sterczał las zatkniętych oszczepów. Po lewej stronie, za siodłem, wisiały u każdego łuby z łukiem i strzałami, po prawej zaś tarcza żelazem okuta. Chłopy były wszystko potężne, choć niejednemu jeszcze zarost nie okrył twarzy, u innych zaś siwy włos wymykał się spod hełmu.

Groźna siła zdała się drzemać w bezruchu stojących w milczącym oczekiwaniu wojaków, jeno konie hałas czyniły przestępując z nogi na nogę, jakby niecierpliwie, by ponieść tych żelaznych ludzi w skrzęt walki.

Tarle rumieńce wybiły na twarz na widok gotowego do boju oddziału i serce skakać poczęło w piersiach. Zrzuci z siebie brzemię, które go bezwinnie przygniotło, nie da się przewyższyć nikomu. A potem w sławie i łasce księżęcej pojedzie po swoją dziewczynę i do rodzicieli ją zawiezie nad Kamienną, by surowemu ojcu powiedzieć, że dumny może być z pierworodnego. Rozmarzył się w biały dzień, rozsadzała mu pierś siła, iż drzeć począł, by najprędzej w walce ją wyładować. Staął przy wejściu do budynku księcia i zapatrzył się gdzieś w prześwietloną dal.

Gawron z Dzikim weszli do wnętrza.

Mieszko zbudził się właśnie i ubierał się z pomocą szatnego. Odesłał go zaraz i przyjął przybyłych, siedząc na łożu.

Bystry wzrok księcia spoczął przez chwilę na Dzikim, po czym zwracając się do Jaksy, zapytał:

- Co tam nowego, stary?

- Przybyli dwaj ludzie, którzy się Zbrozły posłańcami mienią. Mówią, że margraf Hodo napaść na nas zamierza.

Mieszko zmarszczył się mówiąc:

- Śnią mu się Geronowe poczynania. Ale on nie Gero, a ja już nie pogański kniaź, którego napastować można bezkarnie. Siły od tego czasu zebrałem.

- Ale ich tu nie macie - odparł Gawron - a z tego, co oni prawią, napad grozi tuż. Uda się Hodonowi, to go cesarz nie zgani. Jeno tym, co na wierzchu, on przyjaciel; pokonani - mierzwa dla niego.

Tu opowiedział, co słyszał od Dzika, a ten ciekawie przypatrywał się księciu.

Od weleckiej wyprawy Mieszko postarzał się trochę.

Włosy świeciły mu na skroniach i sieć drobnych zmarszczek rozchodziła się koło oczu. Oczy jednak po dawnemu miał przenikliwe, o władczym spojrzeniu, i spokojną pewność w obliczu, która nie opuściła go ani na chwilę, gdy słuchał sprawozdania Gawrona. Zawołał na pachołka, by ubrać się do boju, a do Dzika rzekł:

- Zaczekajcie na mnie. W gotowości być, bo zaraz jedziemy.

Dzik, pokłoniwszy się, wyszedł i koło Tarły usiadł na progu, głaszcząc w zamyśleniu psa.

- Co tam? - zapytał Tarło. - Poznał was?

- Nie mówił, ale patrzył, jakby sobie przypominał. Kazał jechać za sobą.

- Dokąd?

Dzik wzruszył ramionami, Tarło zaś skoczył konie sprowadzić.

Gawron, zostawszy z księciem, mówił:

- Napaść jest pewna, bo straż nie wróciła z objazdów, widno je ogarnęli. Jeno z wiadomością od Zbrozły niejasne mi, bo choćby z Miśni wrócił, czemu sam tu nie przyjechał, a ich nie wysłał do Ścibora? A tego człeka ja kiedyś widziałem, bo nie pamiętać go trudno, jeno pewny jestem, że inaczej się zwał. Czemu imię swoje ukrywa?

- Ja go znam i rozumiem, czemu Zbrozło ich przysłał do mnie, a sam do Ścibora pojechał - odparł Mieszko. - Żeby wszyscy dwustu, których mam, byli tacy jak on, tobym na Ścibora nie czekając obrzydził Hodonowi na długo, jeśli nie na zawsze, napaść na nas.

- Co zamierzacie uczynić i co mnie robić każecie?

- Uderzą pewnie na Lubuszę. Trzymajcie się, jak możecie. Ja dwór ostawiam, a sam wyjdę z Jazdą ku Ściborowi, bo jedno że zamknąć się nie chcę, a po wtóre, więcej po kopijnikach w polu niż na wale. Nie wiem, jaka siła Hodona i co zamierza, więc tu sami patrzcie, co poczynać trzeba. Doświadczenia wam nie brak ni serca.

Jaksa pochylił głowę, a Mieszko wstał i przypasując miecz, mówił:

- Połączę się ze Ściborem to ku wam ciągnąć będziemy. Każcie jeszcze zapasy w juki załadować, bo liczę, że nie wcześniej jak za trzy dni wrócimy. Do Międzyrzecza i pomniejszych gródków też pchnąć z wieściami i po posiłki. Skoro jeszcze nie nastąpili, to myślę, że nie uderzą przed wieczorem. Do Cydzyny prawym brzegiem mil osiem, przed nocą myślę tam być. Mieszko zwrócił się ku wyjściu i zeszli na podworec. Konia już księciu trzymano, a siedzący na progu Dzik wstał na widok nadchodzących, przejście czyniąc. Mieszko skinął na Dzika i Tarłę:

- Trzymajcie się przy mnie - a uśmiechając się pod wąsem, dodał:

- Miałem ci ja jednego mężnego woja, co nad Włodawką wielkie mi oddał usługi. Myślę, że nie z postaci jeno jesteście do niego podobni.

Dosiadł konia i krzyknął:

- Na koń, za mną!

I ku wschodniej bramie na gościniec ku mostowi się skierował, a za nim z chrzęstem broni cały oddział.

- Poznał was! - szepnął Tarło do Dzika. - Choć brody nie nosicie.

Dzik wzruszył ramionami i odparł:

- I tak by mnie poznał, jeno rękę na kim położę.

Obejrzał się za psem i nie widząc go, warknął:

- Znowu się zadział, sukisyn; wytarmoszę mu kudły, jak wróci!

- Przyleci, nie bójcie się. Zawsze mu ino grozicie po próżnicy.

* * *

Mieszko mylił się mówiąc, że napad nie nastąpi przed wieczorem oraz że przed nocą będzie w Cydzynie.

Hodo szersze miał plany i głębsze zrozumienie sprawy niż inni spadkobiercy Gerona i dlatego siły zebrał większe, niż mógł się spodziewać Mieszko, który przypuszczał, że chodzi jedynie o zwyczajną, choć w większym rozmiarze, graniczną napaść, by złupić i spalić kilka grodów i jeńców nabrać. Z układu Mieszka z cesarzem Hodo niewiele sobie robił wiedząc, że cesarz za pokonanym "przyjacielem" się nie ujmie, a wzrost potęgi Mieszka z roku na rok wskazywał, że niedługo skończy się czas, by pojedynczy margrafowie, zresztą i między sobą ustawicznie się waśniący, mogli państwo Mieszkowe uważać za teren łatwych zdobyczy. Umacnianie się Mieszka u ujścia Odry i na Pomorzu słusznie uważał Hodo za ostatni znak, by dalszemu wzrostowi niemiłego sąsiada zapobiec. Toteż wyprawę przygotował z wielką starannością i dużym nakładem kosztów. Siły zebrał niepoślednie. Prócz własnych wojsk, pieszych i konnych, zaciągnął chmarę awanturników saskich, bawarskich i z innych krajów niemieckich, wynajął marseburski legion, z samych wywołańców i zbrodniarzy złożony, oraz męty duńskie i weleckie, i jakie się jeno dało. Siłę zebrał około półtora tysiąca jazdy i ponad trzy piechoty, która, biorąc pod uwagę zaskoczenie, winna była lekko wystarczyć, by zdobyć i zniszczyć po kolei grody nad Odrą i znieść rozdzielone po nich części Mieszkowej konnej drużyny, niewiele ponad tysiąc ludzi liczącej. Nim ściągnął posiłki z głębi kraju, miał nadzieję zająć Pomorze i na nim się utrzymać, gdyż na przewleklą wojnę Mieszko nie mógł sobie pozwolić, jak również na ogołocenie innych granic. O rozkładzie Mieszkowych sił Hodo dokładnie wiedział i swój plan uderzenia dostosował do niego. Swoje siły rozdzielił na dwie części, z których jedna pod wodzą młodego Zygryda ubiec albo, jeśli się uda, oblec miała Lubuszę i most na Odrze opanować, druga, której sam przewodził, zająć miała oba brody pod Cydzyną i wziąć ją samą. Zygryd po wykonaniu

pierwszego zadania ciągnąć miał następnie z jazdą co ducha na północ, by nadażyć przed przybyciem Ścibora, który ze znaczną częścią swych sił wyjechał z Cydzyny do Pyrzyc i Starogrodu. Gdyby znieść zdołali albo związać te siły, jakie w Lubuszy, Cydzynie i pomniejszych gródkach i strażach stały klęska Ścibora zdała się nieunikniona, a Pomorze stanęłoby otworem przed butnym margrafem.

Lasami podeszli pod Lubuszę, gdzie się rozdzielili. Hodo na północ pociągnął, Zygryd zaś, zostawiwszy oddziały piesze w borach na zachód od Lubuszy, powyżej niej z jazdą i drugą częścią piechoty podszedł ku rzece. Tu znowu oddział pieszych zostawił, który od południa na Lubuszę miał uderzyć, sam zaś z jazdą i resztą piechurów, korzystając z niskiego stanu wody, rozpoczął przeprawę pod osłoną nocy.

Rachubę czasu pomieszało mu jednak spotkanie polańskiego podjazdu, który, zaledwie kilkadziesiąt koni licząc, na południe zaczął uchodzić, drogę do grodu mając odciętą. Nie chcąc dopuścić do przestrzeżenia Jaksy, Zygryd ścigał ich i dopadł dopiero w chwili, gdy na bagnach utknęli. Wycięto wszystkich po uporczywej obronie, by się jeńcami nie obciążać. Na skutek tego jednak stracił parę godzin i słońce wzbilo się już dość wysoko na pogodnym niebie, gdy dociągnął ku mostowi na Odrze. Zygryd, rycerz mężny i bitny, lecz wódz młody i niedoświadczony, kłął w żywy kamień swe pierwsze zwycięstwo i nie umiał postanowić, co począć dalej. Opóźnienie połączenia z Hodonem zagrażało powodzeniu wyprawy, gdyby Hodonowi z tak mężnym i doświadczonym wodzem jak Ścibor prawie w równych siłach spotkać się przyszło. Nie mógł się zaś Zygryd spodziewać, że w jasny dzień starego Jaksę zaskoczy. Wahał się tedy, niepewny, co czynić, gdy z radą mu pospieszył stary zbój, Wigbert, który w obu wyprawach Wichmana i wielu innych brał udział i znał zarówno kraj, jak i sposoby wojowania Polan.

- Zaskoczyć by się stary cap Jaksa i tak pewnie nie dał, choćbyśmy i przed świtem uderzyli - mówił.
- Teraz już czekać nie ma co wieczora, bo skoro podjazd nie wrócił, to szukać go zaczną. A ważniejsze, że Hodo wda się w walkę, licząc na nasze przybycie, i zawodu mu zrobić nie można, by go na niepowodzenie lub na klęskę nawet nie narazić.

- Ale i Lubuszy nie mogę zostawić za plecami. Walter i Geddo stoją z pieszymi i na znak czekają. Zostawić ich, to Jaksa może ich poznać niespodzianie, skoro, jak mówicie, szukać będą zaginionego podjazdu. A ściągnąć ich i tak nie można przed wieczorem; trzeba czekać. Piekło i diabli! - zaklął. - Co by zrobić, źle!

Stary zbój zaśmiał się trochę drwiąco.

- Prorok może naprzód wiedzieć, co będzie, a wódz jeno ma wiedzieć, co zrobić, czy tak się dzieje, jak chciał, czy inaczej.

Zygryd zaklął znowu, złością pokrywając niepewność, i niecierpliwie zakrzyknął:

- Radźcie, miast kazać!

- Mówią Anglowie: "Nie ma chleba, dobre i pół bochenka". Moja rada: połowę jazdy zaraz wysłać pod Cydzynę, nie czekając, bo po prawdzie jezdni nie na wiele przy oblężeniu grodu. A z drugą połową i pieszymi próbować zaskoczyć. Uda się, to dobrze, nie, to pieszych ostawić, niech Lubuszę

zamkną, i zaraz ku Cydzynie ciągnąć. Skończymy ze Ściborem, to wróci całe wojsko i gród weźmiemy.

Rada była dobra, zwłaszcza że nie było innej i zaraz Wigbert na czele blisko czterystu jezdnych ruszył borami ku brodowi u ujścia Noteci, Zygfryd zaś z pozostałą poławą i oddziałem piechoty ku mostowi na Odrze zaczął się posuwać. Gdy most był już na oku i straż na nim widoczna, Zygfryd polecił wielki stos zapalić, co dla innych oddziałów za rzeką miało być znakiem do uderzenia, i nakazawszy pieszym, by co sił za jazdą nadążali i gród od północy obstawili, nie ukrywając się już dłużej, na czele jazdy stanął i w skok popędził ku mostowi. Spostrzeżono go zaraz, lecz wstrzymać uderzenia nie było sposobu. Wypuściwszy kilkadziesiąt strzał, straż uskoczyła na boki przed idącą nawałą, która zwolniwszy jeno trochę na moście, przewaliła się na lewy brzeg Odry i wyciągniętym pędem ku wschodniej bramie grodu pomknęła, a prawie tuż za nią pięciuset pieszych most przebiegło, w prawo ku północy się kierując.

W tej właśnie chwili Mieszko ze swym oddziałem wyjeżdżał z grodu i obie strony spostrzegły się wzajemnie. Zygfryd zawahał się widząc, że nic z zaskoczenia i zaczął pęd hamować, wołając na rozciągniętych po przebyciu mostu, by się koło niego skupili. Doświadczony jednak Mieszko, choć blisko dwukrotnie liczniejszego nieprzyjaciela ujrzał przed sobą, natychmiast wziął pęd największy, by przebić się i za most wydostać. Krzyk podniósł się z obu stron i nim Zygfrydowi w sprawie stanęli, już polańska jazda wbiła się zwartym klinem w bezładną gromadę i przepychać się ją do mostu. Obskoczyli ją zaraz Niemcy ze wszystkich stron, przygniatając przewagą liczby, lecz zamęt przesunął się ku mostowi. Wnet zadudniły belki pod kopytami, lecz tu już Polanom od czoła zaledwie kilkadziesiąt ludzi drogę zagrażało. Zakłębiło się na moście i co chwila trup padał z pluskiem w wodę, której bryzgi tysiącami iskier rozbłysły w świetle słonecznym.

Jeszcze raz Niemcy od czoła opór dać chcieli, lecz Dzik z Tarłą wymietli najbliższych, dalsi zaś odstąpili i pierwsze szeregi polańskie przeszły. Widząc to Niemcy nacisnęli od tyłu i tłok uczynił się tak wielki, że nagle z trzaskiem runęła poręcz pod naporem ludzi i koni i jak wysypany wór kamieni wpadło w nurt kilkadziesiąt Polan i Niemców. Kogo nie przytłukło, ku brzegowi starał się dopłynąć, ale tymczasem Polanie już przebili się i zawróciwszy z miejsca ku północy, wpadli w bory.

Zygfryd wstrzymać się musiał, by swoich do ładu doprowadzić; Mieszko zaś zniknął tymczasem w lesie. Tu rannych oddzieliwszy, do Międzyrzecza odesłał ich lasami, przed nimi zaś gońce pobiegli z wieścią o napadzie i poleceniem ściągnięcia, ilu się da, ludzi i dania natychmiastowej pomocy Lubuszy. Sam zaś Mieszko ruszył ku Noteci, bez szczególnego pośpiechu, by koni nie zegnać, straż jeno wysyłając na wszystkie strony.

Nie wiedział, że Zygfrydowi gońce też gnali na łeb, na szyję, by zawiadomić Wigberta, iż nadąża za nim Mieszko, którego w bitwie poznano.

Gońce drogi nałożyć byli zmuszeni, by na Mieszkowych nie wpaść i dopiero za Notecią dopadli Wigberta.

Stary rozbójnik zmiarkował zaraz, że schwytanie lub ubicie Mieszka nie tylko przeważać może szalę wojny, lecz planom Hodona szerokie pole otworzyć. Po krótkim wahaniu wrócił się i zapadł w

bagnistych zagajnikach na prawym brzegu Noteci, by na Mieszka w czasie przeprawy przez bród uderzyć. Wobec szczupłych sił polańskich zadanie zdało się aż nazbyt łatwe. Bagna wzdłuż Noteci ucieczkę czyniły prawie niemożliwą, tyły zaś zajmował Zygfryd. Sporo jeszcze czasu przed południem winien był Mieszko nadciągnąć, nawet wolno idąc.

Południe jednak minęło, a wieści od wystawionych przy brodzie straży o nadejściu Mieszka nie było.

Zniecierpliwiony Wigbert siadł na koń i ruszył ku brodowi. Nie ujechał jednak ni kilkadziesiąt kroków, gdy nadbiegł goniec donosząc, że w lesie krzyki słysząc i jakby odgłosy niedalekiego walenia drzew, lecz ni nieprzyjaciela, ni Zygfrydowych nie widać. Wigbert wziął tedy trzech ludzi ze straży i na drugą stronę postanowił się przeprowadzić, by sprawdzić, co się dzieje.

Noteć, w tym miejscu zazwyczaj szeroko rozlana, obecnie, przy niskim stanie wody, ściągnęła swe grząskie jednak brzegi. Na wpół wyschłe błoto szerokimi płaciami zalegało obydwie dostępy do wody, w których konie powyżej pęcin zapadały. Wolno też się posuwały, z wysiłkiem wyciągając nogi z błota.

Byli już na środku rzeki i Wigbert wsłuchiwał się w idące z lasu niedalekie odgłosy, pragnąc z nich wymiarkować, co się dzieje. Właśnie chciał zwrócić się do jadącego obok, by o coś zapytać, gdy nagle zwinął się bezwładnie, zsunął z siodła, a woda poczęła go unosić.

Towarzysze zakrzyknęli, a jeden zeskoczywszy z konia, ku Wigbertowi zmierzał. Już sięgał ręką, by ciało Wigberta uchwycić, gdy nagle rzucił się w tył i zanurzył w wodzie.

Tym razem pozostali usłyszeli bzyknięcie strzały i, nim padł, zdążyli zauważyć, iż przeszła przez obie skronie towarzysza. Zawrócili z miejsca i pochyleni, tarcze na plecy zarzuciwszy, ku swemu brzegowi zmierzali prąc konie, jak się dało, by co prędzej ujść niewidocznemu wrogowi.

Nie zdało się to jednak na nic. Nim konie uszły kilka kroków, ryknął jeden z jeźdźców nieludzkim głosem i w tył z konia się zwałił. Trzepał wodę jak ciągniony na wędce łosoś, lecz wraz się uspokoił. Woda jeno nim zakręciła i wówczas pozostały ujrzał, jak mignął bełt strzały, tkwiącej w krzyżach zabitego. Nie czekając na swą kolej, zeskoczył w wodę i osłaniając się tarczą, zmierzał ku brzegowi.

Wybrnął i sądząc, że już jest poza zasięgiem, wyprostowawszy się, szybko na ile jeno pozwalało błoto, cofał się ku swoim, którzy biegli widząc co się dzieje. Przeliczył się jednak, gdyż wypuszczona z drugiego brzegu strzała utkwiała mu pod kolanem. Zwałił się z krzykiem na ziemię i wił się z bólu. Nie tracił jednak przytomności, lecz po chwili, okrywając się tarczą, pełznąć jął ku swoim, którzy nadbiegli. Zawołał, by się cofnęli. Zatrzymali się nie wiedząc, czego chce, lecz dwóch podbiegło nie sądząc, by na tę odległość trafić czy bodaj dostrzelić z łuku było można. Zaraz jednak zapłacili za swą omyłkę, gdyż jeden zwałił się w błoto ze strzałą w karku, drugi, krzyknawszy, z przestrzeloną ręką ku swoim uchodził skulony.

- Diabeł strzela, nie człowiek - szeptał drżącymi wargami.

Tymczasem wieść o wypadkach przy brodzie i śmierci Wigberta dobiegła do wojska i powstało

zamieszanie. Starszyzna zebrała się zaraz, by wybrać wodza i powziąć postanowienie. Dowództwo powierzono bez sprzeciwów doświadczonemu, lecz ospałemu Hilliwardowi, skoro jednak o dalszym postępowaniu postanowić przyszło, zdania się podzieliły. Młodzi i gorętsi chcieli, nie czekając na Mieszka, przez bród uderzyć, bez względu na straty. Ostrożniejsi i bardziej doświadczeni radzili bród opuścić i ku Hodonowi, jak pierwotnie był nakaz, nadażać. Były jeszcze i inne zdania, lecz nim skończyły się obrady, słońce chylić się zaczęło, spory więc przeciął Hilliward postanawiając gońców wysłać do Zygryda, by wspólnie ułożyć plan.

Musieli daleko w górę rzeki bagna objeżdżać. Nim dotarli do przeprawy, spotkali samego Zygryda, który, powierzywszy dowództwo młodemu i bitnemu Hrodegangowi z poleceniem, by całą siłą uderzył, gdy jeno uderzenie z drugiej strony zmiarkuje, jechał, wściekły na siebie i wszystkich, by wyjaśnić beczynność oddziału Wigbertowego i rozpoczęcie walki przyspieszyć.

Z tego, iż Mieszko zapadł u brodu i dalej nie idzie, zmiarkował, iż posłańce do Wigberta dotrzeć musieli i on Mieszkowi w przejściu rzeki przeszkadza. Nie mógł jeno zrozumieć, dlaczego Wigbert nie uderza. Sam nie chciał uderzyć, gdyż lękając się ciągłych zasadzek tylnej straży Mieszka, które go kilkunastu ludzi kosztowały, poległych od strzał z ukrycia puszczonech, szedł za nim w takiej odległości, iż nim dociągnął, Mieszko zdążył przejście przez bagna ku brodowi za sobą przesieką zawalić, któredy z trudem jeno i z dużymi stratami mógłby się Zygryd przerąbać. Mieszka miał w saku, lecz jak go wyciągnąć, nie wiedział. Znużony nie spaną nocą, walką i upałem, jaki nawet w lesie dawał się odczuć, jechał wściekły na Wigberta i całą wyprawę, która w zapowiedziach Hodona miała być łatwym triumfem nad obrzydliwymi Słowianami, a od pierwszego niemal kroku rodziła trudności, przerastające doświadczenie Zygryda.

W końcu wściekłość jego skupiła się na osobie Mieszka i postanowił go dostać za wszelką cenę, choćby połowę ludzi miał wygubić, tym bardziej iż rozumiał, że spóźnienia w połączeniu z Hodonem i tak już nie nadrobi i jedynie dostaniem Mieszka w swe ręce powetować może, i to z nawiązką, szkody, jakie by mogły powstać na skutek spóźnienia.

Zmieszał się i zatrwożył wieścią o śmierci Wigberta na brodzie. Liczył na jego doświadczenie i odpowiedzialność zaciążyła mu nieznośnie. Lecz tym bardziej zaciął się, by dostać Mieszka w swe ręce. Niech raz zacznie się coś dziać zależnego od jego woli, gdyż ciągły bieg wypadków przez niego nie przewidziany wyprowadził go do reszty z cierpliwości, której nie posiadał zbyt wiele.

Zaledwie też dotarł do oddziału Wigberta, natychmiast na koń siadać kazał i na bród uderzać. Ledwo go Hilliward zdołał nakłonić, by wszystkich naraz nie pchał w bagnistą rzekę, gdyż ciżba zwolnić jeszcze musi i tak powolną przeprawę, a po bokach brodu ustawił strzelców, którzy by broniących dostępu strzałami razili.

Podsunęli się tedy chyłkiem, jak się dało najbliższej rzeki, po czym z wielkim krzykiem, by zwrócić uwagę Hrodeganga, puścili się do brodu. Tu dwustu ludzi, zeskoczywszy z koni, rozsypało się wzdłuż brzegów, po obu stronach brodu, i szukając ukrycia, przygotowywało łuki i strzały, by razić nieprzyjaciela, skoro tylko się ukaże. Pięćdziesięciu zaś jezdnych wparło konie w wodę, kładąc się na ich karkach i tarczami zakrywając, by się od pocisków uchronić, bodli rumaki ostrogami, chcąc jak najprędzej znaleźć się na drugim brzegu.

Na polańskiej stronie dał się zauważyć ruch, i wraz zadzwoniły strzały po hełmach i tarczach. Niejeden osunął się z siodła, ranne konie kwiczeć poczęły, lecz przez skrzęt walki i chlupotanie wody, rozbijanej końskimi pierściami, doleciał ich niedaleki krzyk z lasu na tyłach polańskich stanowisk. To Hrodegang uderzył i przesiekę usiłował przejść.

Darli się tedy naprzód, choć w coraz malejącej liczbie. Gdy minęli główny nurt i konie, wynurzając się, szybciej ruszyły, usłyszeli krzyk za sobą. To Zygfryd wparł w wodę drugą pięćdziesiątkę. Pewniej się poczuli, a już na brzeg wychynęli. Tu, zbyt uszczupleni liczbą, by uderzyć, zeskoczyli z koni i chowając się za nimi, z łuków szyc poczęli, gdzie je - no ruch zdradził w krzakach obecność człowieka lub mignęła postać polańskiego wojownika. Ulewa strzał leciała na nich i po chwili konie niemal wszystkie ranne były lub pobite, a z ludzi nie zostało i połowy, lecz życiem swym okupywali przejście następnym, którzy prawie bez strat docierali do brzegu. A już trzeci oddział okrzykiem dawał znać, że podąża za nimi.

Bród był przeparty i Zygfryd, stojąc na brzegu, ręce zacierał. Jeśli Hrodegang, od którego odgłosy walki wciąż dochodziły, zdoła przedrzeć się przez przesiekę, nim zajdzie słońce które już czerwienić i za lasy chylić się zaczynało - nie będzie Mieszka ni jego drużyny. Choćby Hodo porażkę poniósł od Ścibora, wyprawy już nie można uważać za nieudaną. Szczęście zresztą lubi chodzić parami. Skończywszy Mieszka, ruszą zaraz ku Hodonowi; w razie niepowodzenia na Zygfrйда cofać się będzie. Wzmocniony odgryźć się może i za jednym zamachem zgnieść Ścibora.

Podniecony nadzieją zwycięstwa Zygfryd wysłał czwarty oddział za rzekę z nakazem, by zaraz na wroga skoczyli, po czym sam stanąwszy na czele reszty, wparł konia w nurt. Przez nieludzki zgiełk, jaki wszczął się na drugim brzegu, co chwila rozlegał się trzask i szum walonych drzew. Widno nieprzyjaciel cofać się zamierzał i walił nową przesiekę. Sieć, w której utkwiał Mieszko, zacieśniała się, w kącie bowiem, po lewym brzegu przy ujściu, zalegało nieprzebyte, otwarte bagno. Tam już cofać się nie było można.

W podnieceniu walki Zygfryd nie zauważył, że drzewa rzucają cienie coraz dłuższe, które zlewają się ze sobą, gdzieniegdzie jeno pasemka światła pozostawiając na leśnym podłożu. Po chwili i te zniknęły. Czerwone promienie zachodu ślizgały się przez chwilę po pniach, uciekając ku górze. Zażłocły się jeszcze korony, zgasły i zapadł mrok. Szła najkrótsza noc w roku noc świętojańska. Sobótka palą w całym kraju, głosy kupalnych pieśni niosą się po lasach. Kwiat paproci wyrasta gdzieś, by zaświecić jak gwiazda i zginąć ze świtem.

I w tym krwawym lesie zabłysnął płomień i blask jego walczyć począł z resztkami dziennego światła. To Hrodegang podpalić usiłował przesiekę. Wrzawa, która o zachodzie przycichła, jakby spokój pogodnego zachodu i ludziom się udzielił, wybuchła nagle na nowo. Zygfryd, którego ludzie od doby już w walce i pochodzie znużeni byli, postanowił skończyć, nim noc zapadnie, i rzucił się na ukrytych w gęstym podszyciu Polan. Krzyki to cichły, to wybuchały na nowo. Polanie bronili się z śmiertelną zaciekłością, lecz wielokrotnie silniejszy nieprzyjaciel spychał ich ku bagno. Nagle głos rogu rozległ się w zamęcie i Polanie, zawróciwszy, jak jeden tył podali. Nie od razu w mroku między krzami ten ruch zauważono i niewielu jeno Niemców, na plecach ich jadąc, dopadło z nimi do przejścia w przesiece, za którą chronili się, ilu się przecisnąć naraz zdołało, gdy pozostali, zwróciwszy się do nacierających, odcinali się znowu. Wkrótce wszyscy Polanie znaleźli się za przesieką, gdyż liczba ich zmalała znacznie, a Niemcy, dopadłszy, trafili na przeszkodę, zza której już

strzały latać zaczęły. Cisnęli się do przejścia, lecz nagle szum rozległ się w ciemnościach i umiejętnie podcięty olbrzymi jawor z trzaskiem zwałił się zamykając wejście i gniotąc tych, którzy w nim się znajdowali. Kilkunastu napastników zostało odciętych od swoich. Zawrzała krótka walka, po czym nagle cisza zaległa pobożowisko.

Przed wzejściem księżycy ciemność uczyniła się zupełna. Ludzie z obu stron byli tak pomęczeni, że gdzie który stanął lub usiadł, zasypiał, niepomny nawet głodu i pragnienia.

Mieszko jedynie, mimo znużenia, obszedł swych ludzi, by siły policzyć i wydać rozkazy. Lżej rannym straż polecił pełnić, by zdolni do walki mogli choć trochę wypocząć, ciężej rannych na kraj bagna, gdzie konie stały, przenieść kazał, po czym usiadł na wzniesieniu u stóp wielkiego drzewa i zasnąć usiłował.

W nocnej ciszy przytłumiony szmer dolatywał od obozowiska. Niektórzy spośród rannych pojękiwali przez sen. Chrapliwy oddech i rżenie innych zdradzało, że skończywszy walkę z wrogiem, walczą ninie ze śmiercią. Przyciszony ten pogwar mieszał się z odgłosami dolatującymi z bagien i rzeki.

Jak dudnienie bąków w odległym ptasim chórze, wybijał się w odgłosach obozu niski głos, który szeptem miał być, lecz widno ten, który go wydawał, głos miał potężny i nie zwykł go powściągać.

To stary Audun ze Skarbna rozmawiał z synem wyrostkiem; najstarszy i najmłodszy z wojów w drużynie, ulubieńcy księcia, mężni i wierni.

Stary, nie wiadomo po raz który już w swym życiu, z pola został zniesiony. Syn go wyniósł ze skrztetu na własnych barkach, gdy Polanie cofali się za przesiekę, a ninie ojca opatrywał. Do księcia dolatywały poszczególne słowa. Mieszko wiedział, że stary wojak cierpi, nie od ran, bo do tych czas miał nawyknąć, jeno że od walki odpadł, a kłąć nie może na cały potężny głos, bo księżę ciszę nakazał.

Żal Mieszkowi starego towarzysza i żal świetnie się zapowiadającego młodzianka. Lecz żal ten zaraz utonął w trosce nieskończenie większej.

Myśli kłębiły się w głowie księcia jak czarne ptaki, usnąć nie dając. Od dzieciństwa do walki nawykły, nie bał się śmierci dla siebie. Nie zwykł też tracić ducha, gdy położenie było złe lub większe siły miał przeciw sobie. Raczej zuchwały niż ostrożny, nieraz już zwyciężał tam, gdzie nieuchronna klęska zdała się zagrażać. Wspomnieniem przelatywał lata walk; pozwoliły mu one zręby zakreślić budowli, którą, pchany jakąś siłą wewnętrzną, wznosił nie sobie. Własnego szczęścia nie miał. Gdy inni jeszcze igrali, on już walczył; gdy inni kochali, on myślał, gdy inni wypoczywali - pracował. Oto włos ma już siwy i siły nie te co dawniej. A teraz siedzi zamknięty na wąskim skrawku swej ziemi przez wielekroć liczniejszego nieprzyjaciela. Niewielu ponad trzydziestu zdrowych wojów mu pozostało. Ani się przebić, ani obronić. Pierwszy brzask wstającego dnia ujrzy śmierć wszystkich. Ale oni tylko umrą i myśl o tym żadnemu z nich snu nie psuje. A z nim razem zginie jego dzieło, któremu więcej niż życie poświęcił, bo szczęście. Spojrzał po leżących dokoła ciemnych postaciach i w twardym jego sercu drgnęło dla nich jakieś miękkie uczucie. Oto dwustu ich było rano, a ninie już jeno kilkudziesięciu. Tamci pomarli, a ci umrą jutro. Jak jaśniejszy promyk zaświtała mu, nagle uświadomiona, niezłomna wierność tych ludzi. Nawet na myśl im nie

przychodziło, że nie mając żadnej nadziei zwycięstwa, mogliby się poddać wielokrotnie liczniejszemu wrogowi. Umrą do ostatniego wraz z nim i nie ujrzy u żadnego nawet cienia chęci sprzeciwu, nawet żalu za życiem.

A przecie życie jest piękne. Wschodzący księżyc zaczyna przesiewać swe srebrne światło przez wyniosłe korony drzew, pasmo mgły nad bagnem i daleką Odrą pod lekkim powiewem faluje bezgłośnie. Gdzieś w odległych zaroślach spóźniony słowik wyrzuca swą pieśń miłosną. Chóry żab w rozgrzanej dziennym upałem wodzie to mruczą cicho, jakby kołysankę, to rozkrzykują się namiętnie. Głos idzie jak fala, słyszany raz z dali odległej, to z bliska, że zda się do stóp boru dochodzi. W taką noc młodym być i jechać konno przed siebie po miękkich ścieżkach leśnych, marząc o wielkości, lub dziewczynę wieść za rękę i patrzeć w jej oczy, promienne w blaskach księżyca. Ta cisza i spokój, to jest szczęście. I tego się oni wyrzekli, bo taka była jego wola. W druźbie śmierci, w wierności ich niezłomnej poczuł się im bliski jak brat.

Brat! Gdy on tu broni się przed zagładą, Ścibor gdzieś pod Cydzyną walczy z Hodonem. Jeśli się nie dał zaskoczyć, jeśli zły los nie rozproszył sił jego, nie złamie go Hodo. A jeżeli Ścibor na czas się zebrał, rozbić go mógł. W takim razie bez wątpienia Hodo ku swoim cofać się będzie, a Ścibor za nim pójdzie. Jeśli ma się spełnić ta ostatnia nadzieja musi się spełnić już wkrótce. Bo gdy słońce wzbija się nad chmury, będzie za późno. Letnia noc krótka jak młodość.

Zadumę księcia przerwał szelest kroków. Jakaś postać wynurzyła się ze srebrnego mroku i szła od koni ku niemu.

Mieszkowi zdało się, że poznaje Dzika, lecz zapytał cicho:

- Kto tam?

- Bezucha - zabrzmiała przyciszona odpowiedź i Dzik, podszedłszy, poufale usiadł obok księcia.

- Nie możesz spać? - zapytał Mieszko.

- Nie to, ino Ciska musiałem rozsiodłać, by się wytarzał, i obroku mu dać. Konisko już niemłode, do starunku nawykły, a nosić mnie nielekko.

Mieszko patrzył na siedzącego olbrzyma i nagle rzekł:

- Możesz się zwać Dzikim jak nad Włodawką. Wyrok, jaki na ciebie był, za męstwo i usługi dziś oddane uchylam, jakby go nie było. Wracam ci imię, sławę i majątek, a o nagrodzie pomyślę, jeśli stąd wyjdziemy.

Mieszko wpatrywał się w widoczną w poblasku księżyca twarz Dzika i ze zdziwieniem zauważył, że ni na chwilę nie straciła wyrazu jakiegoś zatroskania czy smutku. Dzik milczał chwilę, po czym rzekł obojętnie:

- Za nic mi ta wasze wyroki. Bezucha jestem i bez ucha zostanę. Co zginęło, nie wróci. Chcecie łaskę czynić, to Tarle ją zróbcie. Życ mu się strasznie chce, bo gdzieś ta dziewczynę ma i rodzicielom rad by się pokazać, a nie śmiał. Widzieliście, jak dzisiaj stawał. Będziecie jeszcze z niego mieli

pociechę. Omal tak silny jak ja.

Umilkł. Mieszko patrzył na Dzika. Oczy jego utkwione były gdzieś w dal, zatroskane i przygnębione. Mieszko chciał go zrozumieć i nie mógł. Od Zbrozły wiedział o stracie, jaką poniósł, lecz przed chwilą mówił o niej tak spokojnie, że to nie mogło być przyczyną jego przygnębienia.

Czyżby on, który swoje i cudze życie ważył mniej niż kromkę chleba, dał się pognębić myśli o nadchodzącej szybkim krokiem ostatniej walce? Jakaś ciekawość paliła Mieszka, by przeniknąć tego człowieka, tak różnego od wszystkich, jakich znał. Postanowił zapytać.

- Cóż cię tak gnębi, że siedzisz nastroszony jak puchacz? Śmierci się chyba nie boisz? O Tarłę się nie trap, do czci go przywracam.

- Nie - odparł prosto Dzik. - Ino pies mi zaginał, co z nami z rana wyjść nie pośpiał. Za suką pewnie jucha, jako zawsze, pogonił i boję się, żeby go nie spotkało co złego. A mówiłem mu, że go zgubią te suki.

Mieszko mimo woli parsknął śmiechem. Jego przygniotła troska o dzieło, które wiekom i pokoleniom miało służyć, a tamtego o psa. Widno to jeno ważne, do czego przywiąże się serce. Dzik jednak ozwał się z urazą:

- Śmiać się nie ma z czego.

- Nie myślałem - rzekł Mieszko - by komu pies mógł być miłszy od własnego życia, od przyjaciół i od wszystkiego.

Dzik zadumał się, jakby szukał słów, w które myśli swe mógłby ubrać.

- Każdy ma coś ino dla siebie. Ja mam psa.

- Jakże! - rzekł Mieszko. - Masz przyjaciół: Tarłę, Zbrozlę; miałeś i innych. A pies przecie jeno zwierzę, co mowy nie ma ni rozumu.

- Chciałby każdy wojewoda taki rozum mieć jak on! A mowa na co mu? Bez gadania wiem, czego chce, a mówić do niego, rozumie wszystko. Ubiją mnie dziś, on jeden, co by beze mnie żyć nie chciał. Inni pożałują może i zapomną. Mamy zginąć, to chciałbym razem. I bez to się martwię.

Mieszko nie zdążył odpowiedzieć, gdy nagle Dzik zerwał się na równe nogi. Przez srebrne smugi księżycowego światła w drągowinie śmigą w pędzie jakieś szarobiałe cielsko zbliżając się ku nim. Gon, jakby wyczarowany życzeniem Dzika, dopadł i skomlać skakać mu jął do piersi, a Dzik obejmował stapanego w błocie psa i mruczając wymyślał mu pieszczotliwie najgrubszymi słowami, zapominając zupełnie o obecności księcia.

Mieszko patrzył na nich z uśmiechem, a gdy się uspokoił, rzekł:

- Mniejsze życzenia łatwiej się widno spełniają. Masz już swojego psa, tedy spać idź, bo świt niedługo. I ja spróbuję zasnąć. Sił nam wnet będzie potrzeba więcej, niż mamy - i wyciągnąwszy się

westchnął.

Rozmowa z Dzikim rozegnała czarne myśli i znużony usnął natychmiast.

Dzik długo jeszcze rozmawiał z Gonem, który uszy tulił z pokorą słuchając nauk i wyrzutów, ze zrozumieniem kiwał ogonem, gdy Dzik przebieg wczorajszej walki opowiadał, a oczyma ślubował wierność w życiu i śmierci i prosił o wybaczenie swych słabości, bo któż od nich jest wolny.

Bitwa pod Cydzyną

Zbrozło ze Stoigniewem pognali do Cydzyiny, dokąd ostatnim tchem końskim dotarli niewiele po wschodzie słońca.

Rzuciwszy ostrzeżenie o grożącym tuż napadzie i otrzymawszy wiadomość, że Ścibor zapowiedział swój przyjazd do Pyrzyce, Zbrozło zostawił Stoigniewa, który z konia leciał z senności, i pognął na świeżym rumaku naprzeciw Ścibora.

Żupan Radwan ściągnął natychmiast z podgrodzkich osad wszystkich zdatnych do broni mężów, gdyż słaba załoga niespełna dwustu ludzi liczyła, pozostałej zaś ludności w lasy z dobytkiem kazał uchodzić i poczyniwszy przygotowania, czekał napadu.

Nie czekał długo, gdyż Hodo, znając siłę gródka, nad którą miał kilkakrotną przewagę, przeszedł bez przeszkód w biały już dzień oba brody i ustawiwszy jezdnych od północy, na wypadek, gdyby z sąsiednich grodów szła pomoc, opasał gródek pieszym ludem i przypuścił uderzenie.

Zbrozło gnał leśnym szlakiem na Pyrzyce i dopadł Ścibora tuż pod miastem, jak z częścią swej jazdy ku Cydzyinie wychodził. Zadziwił się Ścibor ujrzawszy niespodziewanie Zbrozłę, który w krótkich słowach położenie mu przedstawił. Ścibor, choć jeno połowę drużyny swej miał ze sobą, gdyż druga została w Pyrzycach i częściowo wyszła na rozjazdy, częściowo konie miała na łąkach, bez namysłu ruszył z kopyta ku Cydzyinie, polecivszy Zbrozle na zgromadzenie się reszty zaczekać i poprowadzić ją za nim. Zbrozło pozostał w grodzie. Ścibor zaś, wysławszy przodem straż, by nie wpaść w zasadzkę, zdążył szybko naprzeciw Hodona.

Jeszcze koło mili drogi było do grodu, gdy z leśnego wzniesienia ujrzał smugi dymów, w spokojnym powietrzu wolno wzbijające się ku pogodnemu niebu. Niepokój o syna ukąsił go i przyspieszając pochód, ile się jeno dało, by nie zegnać koni, pociągnął dalej.

Za chwilę już bór miał się uciąć, by odkryć widok na obszerną równinę, na środku której leżał gród, gdy doszły Ścibora krzyki i odgłosy walki i ze straży goniec przyskoczył mówiąc, że na nieprzyjacielski oddział trafili, zaś pod lasem widać uszykowany do boju hufiec, ponad siedmiuset ludzi liczący.

Ścibor przywołał setnika Żelistryja, któremu wydał rozkazy, po czym nie namyślając się rzucił wojsko naprzód. Sam pędził na czele, nie myśląc już o niczym, jeno o walce.

Świadomość własnej potężnej siły przysłoniła troskę ojca o syna i rozwagę wodza, który silniejszego wroga ma przed sobą. Wojakiem się czuł jeno, który nie znalazł jeszcze równego i dawno nie zaznana, młodzieńcza radość rozsadzała mu pierś. Nie patrzył nawet, jak daleko ściły jego koń wyprzedził idące za nim szyki; upajał się pędem konia i własną, w chciwym oczekiwaniu starcia jak łuk napiętą siłą.

Zawichrzyła się przed nim na drodze grupa jezdnych, którzy cięli się ze sobą. Wpadł w nią, strącił kilku ludzi, pozostali rozpierzchli się na boki, a Ścibor pognął dalej. Za nim skoczyła straż przednia, a tuż nadchodziła ława głównego oddziału.

Wypadł na równinę i wówczas spostrzegł w półksiężyc rozstawiony oddział jazdy Hodona. Widno otoczyć go chcą, gdyż skrzydła pod las prawie podchodzą. Zaśmiał się szerokim młodzieńczym śmiechem i klinem uderzył w środek wrogiego zastępu. Skrzydła zamknęły mu zaraz odwrót i powstał wielki wir. Niemcy parli do środka, Polanie zaś przed siebie, wlokąc siedzących na nich Niemców siłą pędu jak ryś, który, wpadłszy w sieć, zerwie ją i wlecze za sobą.

Za chwilę w słońcu jak grot na polańskim klinie zaświecił Ścibor świetną zbroją na zewnątrz koliska, a za nim przez pękniętą ścianę niemiecką wysunęła się polańska jazda i pognała ku grodowi. Tyły Polan cięły się z następującymi Niemcami, lecz znużone konie niemieckie nadążyć nie mogły i Polanie oderwali się, a Niemcy wyciągniętą, bezładną kupą biegli za nimi z wielkim wrzaskiem.

* * *

Stoigniew, który przybywszy do Cydzyny, zwałił się na łoże jak stał, i usnął kamieniem, zbudził się po paru godzinach. Zrazu nie mógł sobie przypomnieć, skąd się wziął w nieznanym miejscu i rozglądał się po izbie, mrużąc oczy od jaskrawego światła wysoko stojącego już słońca. Przypomniawszy sobie wypadki nocne usiadł na łożu. Uprzytomnił sobie, że zbudził go hałas i krzyki, jakie z pola dochodziły i zawołał na pachółka, lecz nikt się nie zjawił.

Ubrał się co prędzej i wybiegł na podworec. Pusto tu prawie było, na wałach natomiast wrzała walka.

Stoigniew głęboko zaczerpnął powietrza. Mężem już jest, jego miejsce wśród walczących. Skoczył przybrać się do boju, po czym biegiem wypadł na dziedziniec. Chwilę słuchał odgłosów bitwy i skierował się ku wschodniej bramie, skąd hałas dochodził największy. Widno tam nieprzyjaciel najsilniej nacierał. Stoigniew nie czuł już znużenia, krew żywo krążyła w jego żyłach, barwiąc lica rumieńcem.

Pięćdziesiąt osiodłanych koni, wszystkie, jakie w grodzie były, stało tuż pod wałem, dla ochrony przed pociskami, by na wypadek przełamania bramy jazda mogła uderzyć na wpadających. Na wale pod częstokołem kłębili się ludzie. Strzały gwizdały nad głowami. Na lewo od koni, pod osłoną wału leżeli ranni oraz kilka wyciągniętych ciał.

Na podwyższeniu przy bramie stał Radwan i wydawał rozkazy grzmiącym głosem, który wybijał się ponad hałas i wrzaski. Stary wódz kątem oka spojrzał na Stoigniewa, nie przestając dawać baczenie na pole.

Stoigniew pobiegł wzrokiem za wał. Płaszczyzna roiała się od ludzi. Kręcili się między zgliszczami domów, biegli niosąc przed sobą pęki naciętych gałęzi, którymi zarzucali napełniony wodą rów pod wałem. Inni wlekli pod osłoną tarcz naprędce pozbijane drabiny, które z uporem dostawiali do częstokołu. Lecz gdy jeno zdążyli je dostawić, krzepkie ramiona Polan dźwigały ponad częstokół potężne belki, które łamały je z trzaskiem, strącając lub gniojąc wspinających się w górę. O kilkadziesiąt kroków, okryci tarczami, szukając schronienia za krzami, drzewami i zagłębieniami ziemi stali łucznicy rażąc obrońców, gdy jeno cel jakiś się okazał. Z dała pod lasem widoczny był w jaskrawym, czerwcowym słońcu potężny oddział jazdy, w którym bystry wzrok Stoigniewa rozróżnić mógł pojedynczych jeźdźców.

Hodonowi pilno było widocznie skończyć z grodem, gdyż pchał ludzi, nie bacząc na straty. Wiedział, że obrońcom pomdleją w końcu ręce od ustawicznego dźwigania belek i napinania łuków, a już gdzieś pod częstokołem tworzyły się zwały tramów, połamanych drabin, faszyny i ludzkich ciał tak wysokie, że wkrótce częstokół przejść będzie można. Radwan też z troską patrzył na te miejsca. Ludzi mu ubywało z szeregów, a tym, co stali, ubywało sił. Po świeżym poranku upał się zaczynał. Wojom pot lał się z czoła i oblepiał ciało pod skórzanymi kubrakami; ruchy ich stawały się wolniejsze. Jeśli natarcie potrwa bez przerwy do południa, padać zaczną ze zmęczenia. Już coraz to któryś przysiadł, twarz ocierając i łapiąc oddech. Jeno potężny głos Radwana podrywał go znowu do walki i wysiłku. Czy długo poderwać jeszcze zdoła? I jego głos słabnie w wysychającym gardle. Spojrzał na Stoigniewa, nagle podciął mu nogi i obaj padli na ziemię, a nad nimi bżyknęła strzała i zatoczywszy łuk utkwiła w ziemi. Zerwali się, a Radwan powiedział:

- Musicie nauczyć się patrzeć. Wódz musi wszystko naraz widzieć. Młodszy byłem od was, gdym zaczął wojować, czterdzieści godów już wojuję, a jeszcze i ranny nie byłem. Ale ja bez mała widzę, co się za mną dzieje. Aż kiedyś oczy mi zesłabną, to przyjdzie mój czas. Ojca waszego trzeba by wam w walce zobaczyć. Zda się, że idzie jak kamień z góry, a każdej chwili zatrzymać się lub w bok uskoczyć potrafi.

Przerwał i zadumał się, po czym dodał jakby do siebie:

- I nam by się ujrzeć go zdało rychło, bo inaczej zachodu słońca nie zobaczymy.

Stoigniewa dreszcz przeszedł. Czyżby życie, któremu Zbrozło tak szerokie drogi zakreślił, miało skończyć się zaraz u progu? Pewny jest, że tak nie będzie. A ponieważ od rychłego przybycia ojca to zawisło, więc rodzic przybędzie zaraz. Wyteżył wzrok ku lasom. Stamtąd winien się pojawić.

Radwan rzekł:

- Dajcie na chwilę za mnie baczenie. Wody się napić muszę, bo głos mi już z suchego gardła nie chce wychodzić.

I skoczył ku stojącej opodal kadzi, a miast niskiego głosu Radwana rozległ się młodzieńczy, świeży głos Stoigniewa, który wydawał rozkazy. Uśmiechali się starzy woje szepcząc coś między sobą. Obrona szła sprawnie.

Radwan, napiwszy się do syta i obmywszy uznojone czoło, wracał na swe miejsce przy bramie. Nagle zabrzmiał jasny głos Stoigniewa:

- Kłody od bramy odwalać! Jeźdźce do koni!

Radwan doskoczył i spojrzał. Stojący dotychczas spokojnie pod lasem oddział jazdy zbliżał się szybko ku grodowi. Radwan oczy od słońca przysłonił patrząc, co się dzieje, a Stoigniew zawołał:

- To ojciec, poznaję po zbroi! Idzie nam z odsieczą!

Jakoż coraz wyraźniej dochodzący wrzask świadczył, że tam wre walka. Radwan uśmiechnął się z zadowoleniem i podnieconego Stoigniewa zapytał:

- Po coście kazali bramę odwalić? Tu oni przecie nie przyjdą.

- Ale ja chcę w pole do ojca! - odparł Stoigniew i pobiegłszy do koni, dosiadł swego siwka i podsunął się ku bramie.

Tymczasem jazda zbliżyła się tak, że już twarze rozróżnić było można. Na czele jadący Ścibor ręką w prawo pokazywał. Piechota nieprzyjacielska zwróciła się czołem ku nadlatującym i rój strzał posypał się na jazdę, ale już z wałów kto żył szyc zaczął w plecy oblegających.

Hodo zrozumiał zamiar Ścibora, lecz konie mając pomęczzone, nie mógł mu zapobiec, z chwilą gdy go z worka wypuścił. Co prędzej pieszym kazał się cofać na południe ku lasom, zostawiając swemu losowi oblegających od północy, na których siedziała już jazda. Nim Ścibor gród okrążył, ujrzał jeno pomykające ku lasowi gromady, a naprzeciw siebie stojącą już w sprawie jazdę, która z wielkim wrzaskiem na niego uderzyła.

Ścibor coś krzyknął do swoich i ruszyli ławą. Ledwie się starli, Ściborowi zwrócili konie ku południowi i pognali w las, w który tymczasem zasuwała się piechota.

Hodo coraz ku lasom spozierał, czy nie wynurzą się z nich wojska Zygfyryda, którego spodziewał się każdej chwili. Gdy nadejdzie, nic nie ocali Ścibora; już nie porażka czeka go, lecz zniszczenie. Wówczas Cydzyń bez trudu zagarną i Pomorze stanie otworem.

Ta myśl chłodziła gniew Hodona, iż mając Ścibora otoczonego - wypuścić go musiał oraz odstąpić od grodu, który miał już w rękę. Ścibor niewątpliwie ku Lubuszy dostać się zamierza. Po drodze musi natknąć się na Zygfyryda. Nie ma co i tak zmęczonych koni gnać. Hodo hamować zaczął pościg.

Wszedłszy w las Hodo zatrzymał wojsko i połowę dierząc w pogotowiu, pozostałym kazał konie rozsiodłać i przetrzeć, po czym poprowadzić do wodopoju, a ludziom dał wypoczynek, gdyż od północy nie zsiadali z koni.

Sam, również znużony, dowództwo Taginowi powierzył i pożywiwszy się naprędce, zdjął hełm, odpasał miecz i układał się na bujnej murawie nad leśnym strumykiem. Gdzieś z daleka, od strony Odry, dochodziły odgłosy walki. Widocznie Ścibor łowił po borach piechotę Hodona. Nad obozem natomiast leżała cisza letniego południa. Powietrze aż gęste było od zapachów. Czasami lekki powiew przynosił chłodniejsze jego fale od leśnych bagien.

Hodo nie martwił się. W lesie niełatwo jeździe wytępić piechotę. Niech Ścibor na tych łowach siły i ludzi traci, gdy on wypoczywa. Ujść mu i tak nie ujdzie. A że weleckiej, duńskiej i innej zbieraniny mniej przy podziale łupów będzie, o to mniejsza. Razem ze znużeniem przechodziła Hodonowi złość. Wyprawa, choć zrazu kulawo szła, udać się musi. Zwycięzcę cesarz pochwali i nagrodzi, może dukiem zostanie jak Herman. Gdyby Mieszka zgniótł, już pochodu niemczyzny nic nie zahamuje, a na czele tego pochodu on, następca Gerona. Usnął kołysany dumnymi marzeniami.

Spał kamieniem, lecz sny miał nieprzyjemne. Słyszał wrzawę i krzyki, ktoś szarpnął nim. Hodo chciał się obudzić, lecz nie mógł, wreszcie chluśnięcie wody na twarz zerwało go na nogi. Stał nad nim

Tagino i giermek Bernard i coś krzyczeli jeden przez drugiego.

Sen po przemęczeniu, w zbroi i w upalnym powietrzu, nie orzeźwił Hodona. Czuł się jak zbity, bolała go głowa i ledwo rozumiał, co tamci krzyczeli. Gdy zrozumiał jednak, otrzeźwiał natychmiast. Silny oddział jazdy szedł na nich od Cydzyny, za parę chwil spostrzec ich musi idąca przed nim straż.

- Może to Ścibor nawrócił? - rzucił Hodo bez przekonania.

- Ścibora jeszcze niedawno słychać było w lesie - odparł Tagino.

Hodo zaklął i dosiadł podanego mu konia. Część wojska, która wypoczywała, w pośpiechu przypasywała miecze, dociągała popręgi i dosiadała koni wysypując się z lasu na drogę. Pozostali, zgromadzeni na leśnym szlaku czołem ku Cydzynie, stali w gotowości, lecz w znużonych ich twarzach Hodo nie widział żadnej ochoty do walki.

Choć przeto zbliżający się nieprzyjaciel mniej był liczny, Hodo postanowił unikać starcia do Lubuszy. Wprawdzie po drodze spotkać mógł Ścibora, lecz tam przemykała się Hodonowa piechota, a prędzej czy później musi zetknąć się z Zygfydem. Wówczas przewaga będzie po ich stronie.

Tamci też nie są z żelaza i od walki ich nie przybywa.

Rzucił więc rozkaz, by do Lubuszy zawrócić, i stanąwszy na czele, ruszył.

Upał już się zaczął przesilać i w podszytym borze nie doskwierał tak jak na otwartych przestrzeniach. Podjazdy szły ze wszystkich stron, by nagle nieprzyjaciel nie naskoczył. Co jakiś czas Hodo posyłał do tylnej straży po wiadomość, czy nieprzyjaciel się nie zbliża, gdyż oszczędzając koni wolno wojska prowadził. Lecz nieodmiennie donoszono mu, że idą w jednakiej odległości, a później już, że przyzostają nawet.

Hodo uspokoił się zupełnie. Słońce zaczynało się przechylać na zachodnią stronę nieba. Przed wieczorem, byle znalazł miejsce, które by od nocnego napadu zabezpieczało, da wypocząć ludziom i koniom i po wieści wysłał do Zygfyda. W ciągu nocy winien je jeszcze otrzymać, a wedle nich postanowi, co dalej czynić.

Szli w spokoju mil kilka. Niebo już barwić się zaczynało czerwienią. Bór ze szpilkowego przechodził w liściasty, pod kopytami koni od czasu do czasu chlupotać zaczynało bagno, a szlak, wyraźny dotąd, rozlaził się szeroko w pojedyncze, starsze i świeższe ślady. Liczne strumyki leśne, sączące się wśród mchów i paproci, zmierzały w kierunku pochodu, widno zbliżali się do wody.

Bór przechodził coraz wyraźniej w zarośla, kraj stawał się coraz mniej przejrzysty i chłód pociągał miły po upalnym dniu. Szli jeszcze parę chwil, gdy otworzył się widok na łąkę z rzadka jeno krzami porośłą, której środkiem biegł pas trzciny i szuwarów. Byli nad Mieclą, niewielką, lecz bagnistą rzeczką. Stąd już jeno mila niespełna do brodu na Noteci. Lewy brzeg zajmowała również łączka, znacznie węższa i wznosząca się ku górze, po czym zaczynał się znowu bór. Uciekające zewsząd wodne i błotne ptactwo wskazywało, że spokój tu jest, ludzką obecnością nie zakłócony.

Słońce kładło ostatnie czerwone blaski na łące. Krze i kępy trzciny rzucały długie cienie, które

rozlewały się coraz szerzej, łączyły ze sobą, coraz słabiej odcinały od puszystego kobierca traw, wreszcie zlały się w jedno. Jeszcze tylko górą leciały złote pociski słońca po koronach olbrzymów leśnych. Na łące zapanował mrok.

Hodo tu postanowił zanoćować i zostawiwszy silny oddział dla ochrony przeprawy, rozpoczął ją bezzwłocznie, by obóz rozłożyć, nim zapadnie ciemność. Ludzie i konie zmęczeni byli bezsennością i upałem, jednak Hodo nie zaniedbał wysłać podjazdu, który miał donieść, gdzie znajduje się obecnie Ścibor i piechota. Wyszli niechętnie i zanurzywszy się w chaszczce, skierowali się ku Odrze brnąc w bagnistym gruncie.

Ściemniało się już i przeprawa była na ukończeniu, gdy od straży pilnującej brodu nadeszła wieść, że po krzach słyhać stąpania licznych koni. W tej chwili doleciały krzyki i odgłosy walki, a wkrótce na ciemniejszym tle ujrzał Hodo niewyraźne już cienie jezdnych. To straż cofała się ku przeprawie.

Hodo zaklął. Nie obawiał się, by nieprzyjaciel przeszedł rzekę w ciemnościach, gdy w dzień trudna była do przejścia. Niemniej i on, i wojsko znużeni byli, a noc nie zapowiadała się spokojnie.

Ścibor tymczasem zajął się cofającą się piechotą. Ogarnąwszy ją szerokim półkolem, postępował wolno i ostrożnie, by strat uniknąć, lecz parł wytrwale, nie dając jej wypoczynku. Od czasu do czasu krzyk i odgłosy krótkiej walki kłóciły leśną ciszę, po czym znowu jeno stąpania kopyt słyhać było i gdzieś od przodu szelest krzów lub trzaski gałązek, gdy uchodzący przedzierali się przez zagajniki, gęsto podszyte jeżyną i maliniakiem.

Raz, skupiwszy się w przejrzystym lesie, spróbowali przebić się na wschód, widocznie w zamiarze, by się z Hodonem połączyć. Ścibor jednak nacisnął zaraz i Niemcy zawrócili na południe, straciwszy kilkudziesięciu poległych i rannych. I znowu Ścibor postępował wolno jak nagonka, która pędzi zwierza w sieci.

Stoigniew, od chwili gdy wydarł się z grodu, jechał przy boku ojca i z podnieconą ciekawością śledził każde jego poruszenie chcąc podpatrzeć, w czym leży ta umiejętność walki, która szeroko rozniosła imię jego jako wojaka i wodza.

W pierwszym starciu z piechotą niewiele mógł pomiarkować. Ścibor pędził na czele, za nim inni, a nieprzyjaciel prawie się nie bronił patrząc jeno, by głowy wynieść ze skrzętu. Sam Stoigniew obalił i stratował kilku, którzy na czas nie zdołali uskoczyć. Jedno zdążył zauważyć, iż twarz Ścibora, która od czasu nieszczęścia, jakie spadło na niego, nosiła wyraz ukrywanego smutku, a czasem i przygnębienia, obecnie świeciła radością, jaką widywał na niej za swych dziecinnych lat gdy ojciec bawił się z nim i z Białką.

Już jednak przy uderzeniu na jazdę Hodona zmiarkował, że walka jest dla Ścibora czymś więcej niż zabawą. Mimo pozorów rozhulania Ścibor widocznie liczył i miarkował co każdej chwili uczynić można i należy. Wojska trzymał w rękę jak dobry jeździec konia, i wbrew pozorom spokojny był i opanowany.

Znał nie tylko każdego człeka w swym oddziale, lecz niemal każdego konia i wiedział, czego od nich można wymagać i oczekiwać. Każde jego postanowienie przychodziło tak szybko, iż zdało się że nie

myśli zupełnie, lecz wyczuciem działa. Gdy jednak Stoigniew raz i drugi rzucił pytanie, przekonał się, iż ojciec w każdej chwili wie, co i dlaczego czyni.

Jadąc godzinami za ustępującą piechotą, Stoigniew uczył się i myślał. Jednego był już pewien: że sama walka, która widocznie stanowiła treść i cel życia wielu z tych ludzi, nie porywała go. Z początku, oszołomiony nowością wrażeń, nie zdawał sobie sprawy z tego, co mu później na myśl przyszło, że walkę wygrywa silniejszy, zręczniejszy, lepiej uzbrojony lub nawet mniej zmęczony z przeciwników. Mimo iż nie ułomek, wiedział, że nigdy nie osiągnie tej siły, jaką ma ojciec. Nie tędy jego droga.

Bardziej już zajmował go przebieg bitwy. Choć mniej ją rozumiał, czuł w niej jednak pracę myśli, wiedzy i doświadczenia. Cel jej był jasny, lecz zdał mu się za mały, by wojnie życie poświęcić. Na myśl mu przyszedł Zbrozł. Nie całkiem go pojmował, lecz wyczuwał, że ma on większą siłę niż potężni woje, których widział dokoła siebie, że bez władzy i majątku, bez wojsk i bitew większe szkody nieprzyjacielowi wyrządzić potrafi niż najtęższy wojak czy największy wódz. I cele jego, choć niejasne, szersze są widocznie, niż by natłuc nieprzyjaciół i jeńców nabrać, i łupów na to, by, w następnej bitwie własną wolność albo i życie stracić.

Zapragnął Zbrozłę zobaczyć w walce i sposobność nadarzyła się wkrótce. Ścibor bowiem zawołał dziesiętnika Smila i polecił mu z kilku ludźmi odszukać Zbrozłę, który już nadejść musiał, i rozkazy mu zanieść. Stoigniew prosił, by mu razem jechać było wolno.

- Chcesz, to prowadź podjazd - rzekł Ścibor. - Twoja głowa, gdzie znajdziesz Zbrozłę. Masz mu donieść, że ja pieszych wegnam w kąt między Miecłą a Odrą i tam tylu ludzi jeno zostawię, ilu do pilnowania potrzebne, a sam przeprowię się za rzeczkę i jeśli Hodona dopadnę na pasie między Miecłą a Notecią, to nad ranem uderzę na niego. Myślę, że tam będzie nocował, lecz jeśli poszedł dalej, pójdę za nim od razu. Zbrozł sam rozeznać musi, co robić. No, jedź szczęśliwie, uszy i oczy miej otwarte. Nad ranem winniśmy się zobaczyć.

To rzekłszy Ścibor przygarnął chłopaka, a ten oddał mu uścisk i konia trąciwszy piętami, ruszył z miejsca. W ostatniej chwili chęć go ogarnęła, by pozostać przy ojcu, lecz wstydził się powiedzieć i uciekał sam przed sobą. Jeszcze obejrzał się, lecz już Ścibor czym innym był zajęty i zaraz przesłoniły go pnie.. Przyciszony gwar wojska zaczął się oddalać i wkrótce cisza ogarnęła Stoigniewa, jeno przytłumione stapania kopyt idących za nim koni dudniły głucho po igliwiu.

Stary wąsaty wojak przysunął się do Stoigniewa ze słowami:

- Pozwólcie się powitać, nie poznajecie mnie?

- Jakżeby nie?! Przecieście Radoch - rzekł Stoigniew kładąc mu rękę na ramieniu. - Skądście się tu wzięli?

- Przy kniazium Ściborze na wasz powrót czekałem. Ale gadać teraz nie pora. Gadać dobrze po łowach czy po bitwie, a teraz patrzeć jeno i słuchać.

- Gdzie ja Zbrozłę znajdę? - spytał Stoigniew.

- Na drogę wyjedziemy. Tam się zobaczy, czy Zbrozło przeszedł już za Hodonem, czy nie. Obaj z kniazem Ściborem będą do niego ściągali jak osy do miodu, to i znaleźć się nietrudno.

Umilkli i jadąc mijali polanki, wrzosowiska, jeziora leśne, przebywali strumyki, wolno ciekące wśród mchów, miejscami rozlane w bagienka, obramione trzcinkami lub kobiercem puszystych traw i smugami błękitnych niezabudek. Wreszcie Radoch podniósł rękę i stanęli; nasłuchiwał.

- Wojsko na gościńcu! - powiedział. - Hodo już musiał przejść. Pewnie Zbrozło idzie, ale zbadać trzeba. Zaczekajcie tu!

To mówiąc zsiadł z konia i zostawiwszy go przy innych, skradał się cicho i po chwili zniknął między drzewami.

Nie trwało długo, gdy Stoigniew ujrzał wracającego, jak szybko migał między pniami. Podbiegł i rzekł:

- Nie szukając naszliśmy. Hodo przeszedł, a Zbrozło ciągnie, na oczach go trzymając. Dobrze jest! - i klepnął się po udzie.

Za chwilę Stoigniew witał Zbrozłę i przyłączywszy się do jego oddziału, pociągnął za Hodonem.

Przecięta nić

Z niebytu snu przywołało Mieszka do rzeczywistości szarpnięcie; otworzył oczy. Świtało.

Szara mgła wstająca od bagien wznosiła się ku górze. Od zachodu pociągał wiatr pobudzając do szemrania liście drzew. Nad Mieszkiem stał Dzik i wpatrzony gdzieś ku północy nasłuchiwał pilnie. Mieszko wstał, przeciągnął zeszywniałe członki i zapytał:

- Co nowego?

- Coś ci się tam dzieje! - odparł Dzik i wskazując na Gona, który wznosząc łeb chwycił wiatr, rzekł:

- On też coś czuje.

W tej chwili przypadł Tarło z twarzą bladą od bezsenności, lecz radośnie podnieconą, i, półgłosem zawołał:

- Tam bitwa! Pewnie książę Ścibor nadciąga!

Mieszko nasłuchiwał, lecz niosące się w wilgotnym powietrzu poranka odległe głosy utonęły w bliskim gwarze, jaki powstał za przesieką. Słyszeć było stapania, głosy ludzkie i szczęk broni. Widno Niemcy gotowali się do uderzenia.

Dzik z Tarłą poskoczyli budzić ludzi, a Mieszko wyciągnął łuk i strzały, oszczep postawił pod pniem, by mieć go pod ręką. Twarz miał spokojną i stanowczą.

Przyciszona wrzawa po nieprzyjacielskiej stronie bez przejścia zmieniła się we wrzask. Zaszeleściły gałęzie, wróg darł się przez przesiekę. Zaświstały groty, rozległ się szczęk żelaza. Kto jeno z Polan oręż mógł udźwignąć, zgał i rąbał przeciskających się z trudem przez zaporę nieprzyjaciół. Krzyk powstał taki, że słowa własnego słyszeć nie było. Przez chwilę zdało się, że roje napastników, jakie zaczerpiały na grzbiecie przesieki, zaleją szczupłą garstkę obrońców, lecz szal bojowy ogarnął wszystkich. Mało który Niemiec na ziemię zdołał zeskoczyć, lecz jeno po to, by lec zaraz, nim mieczem zamachnął. Książę stał cokolwiek z tyłu, bacząc na walkę i coraz to wypuszczając w tłum nieprzyjaciela. Tuż przed nim walczyli Dzik i Tarło i Mieszko patrząc na nich uśmiechał się. Tarło zdawał się być w kilku miejscach naraz, tak szybkie miał ruchy. Dzik natomiast, spokojny, rękoma chwycił zeskakujących i walił uderzeniem pięści w kark tak nieomylnie, że nie zdarzyło się, by poprawić musiał. Po kilku chwilach gęsto zaczerpiały ciała poległych na przesiece i pod nią i nacisk nagle zelżał. Polanie stali dysząc. Straty ich były prawie żadne. Nagle jeden zwinął się i padł. Strzała utkwiała w jego piersiach, a już w powietrzu rozległo się bzykanie innych. Leciały z góry, spomiędzy gałęzi. Widocznie nieprzyjaciel, nie mogąc się przedrzeć, postanowił wybić obrońców.

Mieszko krzyknął na Dzika, by z dziesięciu ludźmi, ukrywając się za pniami, strzałami odpowiedzieli, Tarle zaś z pozostałymi kazał pochować się, jak można, pod przesieką, gdyby, jak przypuścić należało, nieprzyjaciel ponowił napad.

Trudniej było wyszukać ukrytych strzelców wśród gałęzi, lecz już z polańskiej strony zaświstały

bełty i z wysokich drzew od czasu do czasu walić się począł trup lub ranny, którego polańska strzała strąciła z drzewa.

Znowu rozległ się wrzask i zaczerniały tłumy na przesiece. Mieszko nie łudził się już. Wiedział, że przejdą. Uchwycił miecz i wyskoczyć zamierzał zza pnia, który go ukrywał, gdy bzyknął pocisk i przeszył mu lewe przedramię, tak że grot zaświecił koło łokcia.

Mieszko syknął i z gniewem złamawszy strzałę, wyszarpnął resztę z rany, by skoczyć przed siebie i zginać w walce. Nagle wrzask rozległ się taki, że drzewa zadrżały w borze, a cisnący się dotychczas Niemcy znikali jeden za drugim z przesieki. Mimo to hałas się wzmagał, słychać było tętent licznych koni, kwiki rannych rumaków, szczęk broni i przekleństwa.

Tarło wyskoczył na przesiekę i patrzył. Roje Polan i Niemców szły od brodu i kłębiły się w najokropniejszym zamieszaniu. Konie gryzły się i kopały, jeźdźcy cięli tych, których mieli przed sobą, by paść od ciosu zadanego z tyłu. Część Niemców, porzuciwszy konie, usiłowała przejść pierwszą przesiekę, za którą stał Zygfryd ze swym oddziałem i co prędzej przerąbywali ją, by się dostać do swoich lub przynajmniej otworzyć im drogę odwrotu. Niektórzy uciekali w bagna na wschód, gdzie konie im lgnęły, więc zeskakiwali i pieszo darli się przez moczary, a coraz to który padał z pluskiem, ze strzałą w plecach. Pociski leciały ze wszystkich stron, gdyż Zygfrydowi, którzy do przejścia docisnąć się mogli, a inni, wydobywszy się ze skrzyżtu, szyli w kupę, rażąc i swoich, lecz częściej Polan, których jednak coraz przybywało.

Tarło ustać nie mógł z radości. Oto walczył pod okiem księcia i w jego obronie. Teraz bitwa się kończy widoczną już klęską wroga, a nim słońce stanie na południu, on już będzie w drodze do swoich, z łaską książęcą, ze sławą i łupami. Jeno przejście odwalić, skoczyć na koniu w skrzyżtu, pomóc prędzej skończyć. Obejrzał się za Dzikim, który tą samą myślą wiedziony pobiegł po konie.

Nagle Tarło uczuł pchnięcie w piersi. Postąpił krok w tył i zwałił się prawie pod nogi księcia. W błękitnych jego, rozświeconych zapalem i radością oczach zaświtało zdumienie, a potem żal niezgłębiony. Żal za życiem, które się właśnie miało zacząć. Rozkołysane nadzieją, nabrzmiąle uczuciem młode serce przygwoździła zimna strzała. Drgnęło jeszcze parę razy i bezsilnie stanęło.

Nad ciałem stał Mieszko. Pobladła jego twarz zacięła się. Przyklęknął i szepnął:

- Jeśli jeszcze słyszysz, wiedz, że drogo za ciebie zapłacą.

Obejrzał się, gdyż stanął ktoś nad nim. To Dzik przywiódł swego i Tarły konia. Popatrzył na Tarłę dziwnym wzrokiem, po czym podszedł do leżącego pnia, który przejście zamykał. Dźwignął go i odsunął na bok, mieczem odrąbał parę konarów, jakby to były badyle, po czym, ujawszy konia za uzdę, przecisnął się wraz z nim i gwizdnawszy na psa, który skomląc lizał twarz Tarły, zniknął Mieszkowi z oczu.

Książę obejrzał się za kimś, kto by mu ramię pomógł przewiązać. Nagle na przesiece ukazały się liczne postacie z okrzykami biegnące ku niemu. Byli to Polanie. Mieszko poczuł, że siły go opuszczają. Podparł się ręką i nagle w oczach mu pociemniało i zwałił się na twarz. Lecz już dźwigały go liczne dłonie, poczęto go cucić i poić i opatrzywszy ranę, prowadzono na pobożowisko.

Oglądał się osłabły, jakby kogoś szukał, lecz zęby mu szczękały i nie mógł wydobyć głosu. Chciał zobaczyć brata i Dzika, by im podziękować, lecz nie widział ich nigdzie. Omdlał znowu.

Przysięga Stoigniewa

Kłęska Hodona była zupełna. Kogo nie wycięto u Noteci lub kto broń rzuciwszy, nie poszedł w pęta, za tym łowy szły po lasach i bagnach, aż wyiskano najeźdźców do ostatniego. Lubuszę zwolniono jednym uderzeniem, zamkniętą u Odry piechotę gromadami prowadzono do grodu, gdzie pomału ścigały wojska, także i z innych stron przybyłe. Wieści pobiegły do Poznania i po całej Polsce o zwycięstwie, lecz miast radości budziły żal i nienawiść. Razem z nimi bowiem szła wiadomość o śmierci Ścibora i zranieniu Mieszka zatrutą strzałą, tak iż wątpliwe było, czy księżę wyżyje.

Dobrawka dnie i noce spędzała na kolanach, modląc się żarliwie o życie męża. Zarządzono błagalne nabożeństwa we wszystkich kościołach, rozdawano jałmużny z poleceniem modlitw za księcia, a za poradą Jordana księżna ramię srebrne odlać kazała jako wotum.

Byłaby własne ramię ofiarowała, byle tylko życie męża ocalić. Kochała tego surowego i zamkniętego w sobie człowieka, lecz modląc się o niego, nie tylko o własne modliła się szczęście. W grze był los jej sześciolatniego Bolka i dwuletniej Świętosławy. Gdyby Mieszka nie stało, zewsząd zjawia się drapieżni "opiekunowie", jej własnego brata nie wyłączając, by pod pozorem opieki rozdrapać dziedzictwo, którego wzrost pod ręką Mieszka był solą w oku sąsiadom. I w takiej chwili nie stało Ścibora, jedynego człowieka, któremu ufała, a który mir miał w kraju i rękę dość potężną, by zakusom zapobiec. Nie mogła zgodzić się z myślą, że nie ma już tego dobrotliwego olbrzyma, który przywiózł ją do nowej ojczyzny, pierwszy jej serce okazał i ostoją był mężowi i rodzinie. Jeśli Bóg nieszczęście odwrócić raczy, mąż jej zostanie osamotniony. Teraz, gdy się starzeje, gdy sił swych winien oszczędzać, nie będzie miał już nikogo z bliskich, kim by się mógł z ufnością wyręczyć. Bolko jeszcze taki mały. Lata upłyną, nim będzie mógł ciężar z ojca zdjąć lub w dźwiganiu dopomóc.

Co więcej, z życiem Mieszka wiązały się i losy chrześcijaństwa w tym kraju. Młoda roślina słabo jeszcze zapuściła korzenie i tylko powaga i potęga księcia mogła ją od zguby uchronić. Przedwczesna śmierć Mieszka groziła zagładą wszystkiemu, czym i dla czego żyła Dobrawka.

Na szczęście modlitwy jej zostały widno wysłuchane. Po kilku bowiem dniach przysły wieści, że Mieszko żyje i nawet ma się lepiej, jeno słaby bardzo i rana nieprędko się zgoi.

Zwolnione z najcięższego brzemienia serce Dobrawki nappełniło się żalem za Ściborem i współczuciem dla Stoigniewa. W zaraniu młodości sam pozostał, bo i niespełna zmysłów matka jeno troski dla niego była przyczyną. Zapragnęła go mieć przy sobie, by mu okazać, że są jeszcze serca, które go kochają. Nie mogąc wyjechać, postanowiła posłać po niego. Tymczasem jednak nadjechał Prochorus, a wieści, jakie przywiózł, zaskoczyły księżnę i odwiodły ją od zamiaru.

* * *

Następujące po zwycięstwie dni przedstawiały w Lubuszy, osadach i błoniach okolicznych widok, jakby walna gotowała się wyprawa. Nieliczni zbiegowie z piechoty Hodona, którzy po łożach i trzcinach zdołali się przed pościgiem przytulić, a następnie zbiec do weleckich i niemieckich krajów, roznieśli popłoch i wieść żałobną o klęsce Hodona i gromadzeniu się sił polańskich nad granicą.

Wieść na skrzydłach poleciała aż do Italii, gdzie bawił cesarz. Posły cesarskie, zajeżdżając konie,

gnali do Mieszka z nakazem, by sprawę między nim a Hodonem cesarskiemu sądowi zostawił, sam zaś cesarz; nie wiedząc o śmierci Ścibora i zranieniu Mieszka, co prędzej z wojskiem ruszył do kraju, by powagi dodać swemu rozkazowi, który, wobec огоłocenia granicy z sił przez brandenburskiego margrafa, łatwo mógł zuchwały księżę zlekceważyć.

Mieszko jednak leżał, do żadnych przedsięwzięć niezdolny. Już w drodze do Lubuszy zemdlał kilka razy. Po przybyciu ułożony na łóżku zaraz stracił przytomność. Żar bił od niego, rozszerzone źrenice zdawały się patrzeć w inny świat. Ręka opuchła i szerniała; sine pręgi szły od dłoni aż do łokcia. Zrywał się i wołał Ścibora, by wojska prowadził, to znowu Tarłę i Dzika, z którymi rozmawiał i wydawał rozkazy. Obecnych trwożyło to wołanie, wiadome było bowiem, że Ścibor i Tarło nie żyją. Dzika zaś widziano, jak pognął za gromadą uciekających Niemców, wśród których byli obaj wodzowie nieprzyjacielscy, i nie wrócił do tej chwili, więc i on pewnie poległ. Skoro księżę mówi z umarłymi, sam pewnie też nie wyżyje. Żałość i niepokój ogarnęły wojska, a niepewność przyszłości starszyznę.

Tymczasem gromady ludu przeszukiwały lasy i bagna i zwoziły z pobojuwiska, ciągnącego się od Cydzyny aż po Lubuszę, zwłoki poległych wodzów polańskich, by uczcić ich pogrzebem. Kroczył ten pochód leśnymi ścieżkami w pogodny, letni dzień, a na czele jego, na wysoko jedliną zaścielonych noszach ciągnął swą ostatnią drogą zwycięzca spod Cydzyny.

Za noszami szedł pieszo, z odkrytą głową Stoigniew. Twarz miał szarą i postarzałą, oczy suche, płonące dziwnym ogniem, jeno złote loki świeciły w słońcu. Szedł w milczeniu i wpatrywał się w zmienioną już znamionami śmierci twarz ojca. Patrzył na wpadnięte, czarnymi obwódkami otoczone powieki, na wydłużony, pożółkły nos, na ślady krwi na złotej brodzie, na pokaleczoną rękę i czarną plamę krwi poniżej pasa. Jeszcze jeno śmierć zatrzeć nie zdążyła ostatniego uśmiechu Ścibora.

Jaskrawe słońce sypało na ziemię blask i żar, lecz Stoigniew czuł chłód księżycowej nocy i widział srebrne blaski na łące wśród krzów, gdzie wraz ze Zbrozłą znaleźli ojca. Wśród gwaru walki, z tysiąca wrzasków Zbrozło niezrozumiałym sposobem wyróżnił jeden, odległy, zgubiony. Porwawszy ze sobą Stoigniewa, pognął z nim ku bagnetom. Gdy wyskoczyli na pasemko łąki wśród chaszczów, Stoigniew poznał Ściborowego konia, który, jak ze srebra odlany, stał z pochyloną głową. Gdy dopadli, spostrzegł leżącego w trawie ojca. Oszczep tkwił powyżej jego lędźwi, a grot, wyszedłszy przodem, świecił w księżycowym świetle. Zeskoczyli z koni i przypadli do niego. Leżał na boku, z zaciśniętych jego oczu ciekły łzy, a szczęki gryzły pięść, aż krew spływała na jasną brodę. Nieludzki to musiał być ból, który łzy z oczu tego mocarza wyciskał. Stoigniew czuł, jak łamie się w nim coś. Chciałby tego olbrzyma na ręce wziąć jak dziecko, utulić go, uspić, by cierpieć przestał. Lecz stał bezradny, z opuszczonymi rękoma.

Zbrozło przykląkł przy rannym i patrzył, po czym stanowczym ruchem wyszarpnął pocisk z rany. Przytłumiony krzyk wyrwał się z piersi Ścibora, przekręcił się na plecy i chwilę leżał cicho. Oczy jego zaczęły się pomału otwierać.

Stoigniew patrzył, jak Zbrozło jakieś czary nad ojcem wyczyniał. Wodził rękoma po jego głowie i patrzył szepcząc cicho a przenikliwie. Stoigniew spostrzegł nagle, że oczy ojca w niego są wlepione i cichy, jakby z oddali idący głos zawołał go dziecinnym imieniem:

- Swatek!

Przykląkł i pochylił się nad ojcem. Wówczas ze zdumieniem spostrzegł uśmiech na tej twarzy, wesoły, beztroski, jaki za szczęśliwych lat widywał na niej. Ręka konającego, dźwignęła się i wskazując na pasmo mgły, prześwieczonej księżycowym blaskiem, wyszeptał:

- Białki droga! Doszy powiedz, niech przyjdzie za nami...

Coś jeszcze chciał rzec, lecz ręka mu opadła i krótkie drżenie przebiegło ciało. Stoigniew czekał jeszcze, lecz Zbrozło wstał i rzekł:

- Już!

To, co się działo od tej chwili, przechodziło jakby koło Stoigniewa i nie zostawało w jego pamięci. Z trwożnym zdziwieniem wpatrzony był w siebie widząc, jak pustka powstaje w jego głowie i piersi. Czuł, że albo ją czymś zaraz musi wypełnić, albo zgniecie go napierający zewsząd świat. Po Lubuszy, migiem rozniosła się wieść, że przyniesiono zwłoki Ścibora. Tłumy zbierały się ze wszech stron, zgrzytając zębami i przeżuwając przekleństwa. Stoigniew jakby nic nie słyszał, szedł ku dworcowi, gdzie w kaplicy zwłoki przed pogrzebem miały spocząć.

U wejścia czekał Prochorus wraz z miejscowym kapłanem. Mówił coś do Stoigniewa, lecz ten nie starał się zrozumieć. Drażniła go obecność ludzi. Gdy ojca złożono na wysokich marach, tak że nie mógł już patrzeć w jego twarz, odwrócił się i wyszedł bez słowa. Szedł przed siebie, nie patrząc na nikogo, byle zostać samotnym. Ktoś mu wskazał jakieś drzwi; wszedł do małej, narożnej komnaty, zamknął okiennice i rzuciwszy się na łożo, skórą zakrył głowę. Tak go zastał Zbrozło, gdy przyszedł z wezwaniem, by stawił się u księcia.

Mieszko po zabiegach Zbrozły, który, obejrzawszy obrażenia, poprzecinał mu żyły na ręce, ranę zapchał palącymi jak ogień ziołami, po czym w łaźni parzyć go kazał do zupełnego osłabnięcia - leżał zadrzemując co chwila. Na rozkaz Zbrozły budzono go, by poić winem i miodem.

Pod wieczór jakby trochę otrzeźwiał, przytomniej spojrzął na obecnych i szeptem kazał przywołać Ścibora i wodzów.

Prochorus, który, modląc się, siedział przy księciu z kilkoma dworskimi, oznajmił mu o śmierci brata. Mieszko jakiś czas leżał patrząc w belkowane powały, potem przymknął oczy. Zdawało się, że znów zasypia i Prochorus trącił go, by obudzić, lecz książę, nie otwierając oczu, brwi zmarszczył dając znać, że nie śpi. Może łzy chciał ukryć przed ludźmi, po chwili bowiem podniósł powieki i polecił przywieść Stoigniewa.

Gdy Stoigniew nadszedł ze Zbrozłą, u łoża Mieszka zgromadzeni już byli: stary Jaksa, Radwan, Sulko i Mszczuj. Patrzyli z niepokojem na bladą, zapadniętą twarz księcia, który leżał z zamkniętymi oczyma. Nie spał jednak, gdyż usłyszał wejście Stoigniewa, otworzył oczy i z wysiłkiem dał ręką znak, by się przybliżyli.

Gdy stanęli u łoża, Mieszko, patrząc na Stoigniewa, mówił szybkim, przerywanym szeptem:

- Przysięgnij, że syna mego nie odstępisz i wiary mu dochowasz przeciw każdemu... jak twój ojciec mnie!

- Przysięgam! - rzekł Stoigniew.

- Jesteś pomorskim wojewodą.

Rumieniec wystąpił na szarą twarz Stoigniewa.

Książę przez chwilę zbierał siły, po czym mówił dalej:

- Póki chorzeję lub gdybym zmarł, będziesz strzegł dziedziny i oddasz ją Bolkowi nienaruszoną. Oni ci pomogą - oczyma powiódł po wodzach - radą i czynem. Przysięgacie?

- Przysięgamy na słońce! - odparli wodzowie jak jeden.

- Brata ode mnie pożegnajcie. Nie ujrzę go już!

Znowu książę przymknął oczy. Wodzowie spojrzeli po sobie, nie wiedząc, czy wyjść mają, lecz Mieszko oczy otworzył mówiąc:

- Tarłę razem ze Ściborem pochować, uczcić. Dzik... Wrócił?

- Nie masz go do tej pory - odparł Jaksa.

- Wam dziękuję. Stoigniew łupy podzieli.

Ręką skinął, a wodzowie wyszli cicho. Za nimi wysunął się Prochorus. Szedł za Stoigniewem, którego znał jeszcze z Trzemeszna. Pocieszyć go chciał z dobrego serca, a przypomnieć się z przeczności. Jeśli książę - broń Boże - umrze, losy kraju przez lata spoczywać będą w ręku tego młodzieńca. Był on wprawdzie przez kilka lat przez mnichów chowany, lecz widoczne było, że stoi za nim Zbrozło, w którym nie czuli kapłani przyjaciela.

Stoigniew, milcząc, doszedł do drzwi swojej izby. Staął i zwracając się do Prochorusa zapytał:

- Życzenia jakie macie?

- Pocieszyć cię jeno, synu, chciałem i przypomnieć, że woli Bożej poddawać się należy.

- Ten, co mnie synem zwać miał prawo, leży martwy w kaplicy. Nie jestem wam synem.

- Synem mi jesteś w Chrystusie - odparł stropiony Prochorus.

- A bracia w Chrystusie ubili ojca mego, a kniazia na jego własnej ziemi zatrutą strzałą zranili.

- Bez woli Bożej włos nie spadnie z głowy człowieka. Modlę się, by zdrowie księciu wrócił. Módlcie się i wy.

Zły uśmiech zjawił się na twarzy Stoigniewa. Patrzył na Prochorusa przez chwilę, aż temu nieswojo się zrobiło. Znał żywe młodzieńcze spojrzenie Stoigniewa; teraz patrzył na niego kto inny. Omal nie krzyknął. Było to spojrzenie Zbrozły, a Stoigniew mówić począł syczącym głosem:

- Jutro przypomnę wam wasze słowa. Za księcia modlić się nie będę, ale gdyby zmarł, wyciąć każę wszystkich obcych w kraju i z powrotem naszych bogów wprowadzę, co z nami trzymać będą, nie jak wasz - z wrogiem.

Prochorus cofnął się przerażony.

- Bóg ci wybaczy, bo w żalu bluźnisz - szepnął.

Zapalony stos

Nazajutrz już przed świtem ruch niebywały wszczął się w grodzie i najbliższej okolicy. Na błoni nad Odrą, koło mostu, kopano wielką mogiłę, w której spocząć miało dwustu kilkudziesięciu wojów, poległych w walce. Po drugiej stronie wznoszono ogromny stos, na którym do ojców odejść miał Ścibor.

Nie wiadomo przez kogo i jakimi drogami rozniosła się wieść, że młodszy syn Ziemomysła, którego kochano powszechnie, gdyż ludowi bardziej przypominał dawnych książąt niż zamknięty w sobie i niezrozumiały Mieszko - wedle starego obyczaju ma być chowany. Ciągnęli zewsząd, chcąc cześć oddać ostatniemu Piastowicowi, który im uchodzące dawne czasy uosabiał i w którego sławie się kochali. Ludzie łączyli się w gromady i jak spod ziemi zjawili się pogańscy kapłani w białych szatach, z wieńcami jemioty na głowach, którzy w jasny dzień otwarcie wiedli ten tłum, niosący na obiatę kołaczki, miody, zboże i mięsiwa, śpiewający dawne pieśni, zawodzący w żalu z płaczkami lub w skupionym milczeniu słuchający pieśni gędków, którzy czyny Ścibora sławili.

Zapchały tłumy gród i błonia okoliczne, czekając rozpoczęcia uroczystości i przygotowując stypę, jaka dawnym obyczajem odbyć się miała po pogrzebie. Setki ognisk płonęło na błoniach, na których piekły się całe woły, owce, źrebięta i dziczyzna. Dla starszyny zbijano z tarcic stoły i ławy, prowadzono do wodopoju konie i bydło. Kędy spojrzeć, skupiły się gromady ludu koło kapłanów, a w przyciszonym gwarze tłumy tało się wrzenie.

Prochorus, późno wstawszy po nocy bezsennej, rozmyślał nad wczorajszym zajściem ze Stoigniewem. Zrozumiał, że obdarzywszy go z góry zdawkową pociechą, popełnił błąd. Stoigniew nie był już dzieckiem, by do kierowania jego umysłem wystarczała powaga dawnego nauczyciela i starszego kapłana. Tym bardziej należało się tego spodziewać, że wykształcenie, jakie otrzymał, stawiało go na takim poziomie, z jakim zazwyczaj nie mieli do czynienia kapłani wśród swych owieczek. Dochodził jeszcze wpływ Zbrozły, nowa, wysoka godność, a przede wszystkim wstrząs, jaki musiała w nim wywołać śmierć ojca.

Prochorus postanowił pomówić ze Stoigniewem, lecz nie było kiedy. Od rana bowiem Stoigniew zajęty był przygotowaniem do pogrzebu ojca, liczeniem i podziałem łupów oraz naradami ze starszyna. Prochorus, wyszedłszy z dworca, widział kilkakrotnie Stoigniewa, lecz nie nadarzyła się sposobność spokojnego pomówienia. Natomiast to, co widział, zaniepokoiło go poważnie i przekonało, że rzucone wczoraj przez Stoigniewa w rozdrażnieniu słowa nie były czczą pogroźką, lecz w razie śmierci księcia zmienić się mogą w czyny o nieobliczalnych dla kraju następstwach. Spojrzenia, jakie rzucano na niego, gdy przechodził wśród tłumów, pełne były niechęci, a otwarta obecność pogańskich kapłanów, których istnienia w zwykłym czasie ledwo się można było domyślać, trwożyła Prochorusa. Wszystko wskazywało, że niebezpieczeństwo jest groźne. Przeciw niemu stawał sam jeden i czuł się bezradny.

Prochorus głęboko miał wpojone przekonanie o świętym posłannictwie, powadze i władzy Kościoła i miał odwagę bronić swych przekonań aż do męczeństwa. Żyjąc jednak od lat już w Polsce i stykając się z księciem i jego otoczeniem, umysł mając szerszy, rozumiał, że główną przyczyną wprowadzenia i warunkiem utrzymania i rozwoju chrześcijaństwa w tym kraju było zabezpieczenie od pozorowanych nawracaniem napaści ze strony sąsiadów. Pomału chowano młodzież i

przyzwyczajano starszych do nowych form, a także treści chrześcijaństwa, a oto jedna zdradziecka napaść drapieżnego margrafa mogła zniszczyć pracę całych lat. Będąc zaś człowiekiem rzetelnym i żywiąc pewne przywiązanie do narodu, wśród którego pracował, nie mógł zaprzeczyć przed sobą, że w rozbrajaniu tego ludu chrześcijańskim miłosierdziem tkwiłoby oszustwo, gdy ci, którzy poprzednio pod hasłami nawrócenia zagarniali ziemię i tępilli lud, obecnie, odrzuciwszy wszelki pozór, poczynający się chrystianizować kraj i naród dalej jeno za łup dla silniejszych chcą uważać.

Rozważywszy to, postanowił odnieść się z przedstawieniem do Ojca Świętego, lecz nie mógł tego uczynić bez porozumienia z Jordanem. Poza tym Rzym daleko, a niebezpieczeństwo bliskie.

Trzeba istotnie jeno Boga prosić, by księcia przy życiu zachował, a tymczasem pomówić jeszcze z nim, by zapobiegł zburzeniu własnego dzieła, zagrożonego przez choćby usprawiedliwiony odruch zemsty.

Przyszedłszy jednak do księcia, nie dostał się do niego. Zbrozła pod gardłem zakazał puszczać kogokolwiek, kogo sam Mieszko nie zawezwie. Nie pomogły żadne przedstawienia. Jedną jeno wyniósł Prochorus pociechę, że księżę śpi spokojnie, a Zbrozła ma nadzieję, że wyżyje.

Pozostawało tylko pomówić ze Stoigniewem, a także ze Zbrozłą. Gdy to nie odniesie skutku, jechać musi natychmiast do Jordana. On tu jest pasterzem, może co z księżną uradzi.

Tymczasem gwarny, wietrzny dzień miał się ku końcowi. Słońce szcerwieniało nad zaodrzańskim borem, ogromne, spłaszczone. Różowe od blasków zachodu obłoki sunęły po niebie. Na wschodzie błękit ciemniał, po czym, zrazu nieśmiało, migotać zaczęły gwiazdy. Gasły zorze, natomiast blaski ognisk przeważać zaczęły nad ustępującym światłem dziennym. Wreszcie ogromna luna zakrwawiła pociemniałe już niebo, a czerwony blask płomienia oświecił gród, częstokoły, wały i ścianę boru. Porywisty wiatr chwilami zgarniał różowe kłęby dymu i niósł je nad drzewami. Czasem języki i płachty płomienia odrywały się od stosu i leciały świecąc. To Stoigniew przytknął żagiew do ojcowego stosu i stał teraz w otoczeniu kapłanów i starszyny, patrząc na świecące na szczycie, do koni przywiązane zwłoki Ścibora i Tarły, które to ukazywały się oczom milczących tłumów, to ginęły w obłokach dymu. Rozlegały się lamenty płaczek, a z tłumy szloch dawał się słyszeć.

Stoigniew stał i patrzył suchym okiem, póki widniała jeszcze postać ojca. Gdy stos zaczął się zapadać i żar uczynił się nie do wytrzymania, odwrócił się i szedł ku mostowi na Odrze, koło którego wśród szeregów Ściborowej drużyny, w pełnym uzbrojeniu, stali powiązani jeńcy, wybór Hodonowych wojsk.

Stali patrząc wraz z innymi na pogański obrzęd i szeptem zamieniali pogardliwe uwagi. Niech ich obecność uświetni pogrzeb tego chrześcijańskiego poganina. Nie wątpili o swym uwolnieniu, dość mają słowiańskich psów na zamianę i okup ze zrabowanego mienia zapłacić mogą. Pokpiwać zaczęli półgłosem ze Stoigniewa, który w otoczeniu starszyny zatrzymał się przed nimi. Niech jeno Polanie zostaną z takim wodzem, łatwiejsza będzie robota niż ze Ściborem i Mieszkiem, o którym przypuszczali, że również nie żyje. Jeno wrócić tu jak najprędzej. Na przekorę milczącym, smutnym tłumom wesołość ich zaczęła ogarniać. Warto i więzy mieć na rękach, byle brać udział w takiej uroczystości.

Stoigniew stał i patrzył, jakby chciał coś rzec, więc zaciekawieni milknąć zaczęli i zapanowała cisza, jeno opodał huczał i trzaskał płomień pożerający stos.

Wśród tej ciszy rozległ się czysty i jasny głos Stoigniewa. Zdziwienie ogarnęło lud i jeńców, mówił po niemiecku:

- Był u nas zwyczaj, że na stosie poległego wodza żywcem jeńców palono. My chrześcijanie, więc jeno głowy wam zetniemy, byście tu już nie wrócili. A kto by chciał duszę oczyścić i tego mu nie wzbraniam.

Wskazał na stojącego obok Prochorusa. Pogardliwie ruszył ramionami, gdy posypały się z gromady jeńców złorzeczenia i przekleństwa, i skinąwszy ręką, ruszył na most.

Prochorus przerażony przyskoczył do niego.

- Czego chcecie? - zapytał zimno Stoigniew.

- Mordować każecie bezbronnych?!

- Nie złowiliśmy ich na ich ziemi przy pługach i barciach, lecz z bronią w ręku na naszej.

- Chrystus miłosierdzie nakazuje!

- Czy tylko nam?

- Zostawcie karę Bogu!

- Bez woli Bożej włos nie spadnie z głowy człowieka. Takeście mi wczoraj rzekli. Widno Bóg ich ukarze przez nasze ręce.

Prochorus widząc, że nic nie wskóra, zwrócił się do stojącego obok Zbrozły:

- To wasza nauka! Ale wy pomyślcie, skoro ten młodzik o tym nie myśli, że cesarz mścić się może za nieludzkie wycięcie tyłu najświetniejszego rycerstwa.

Zbrozło patrzył dziwnym wzrokiem na mówiącego, po czym odparł:

- Cesarz potrzebuje pieniędzy na italskie wyprawy, to nam zemstę swą odprzeda. A nauka to cesarska. Nad Rzeknicą wyrznąć kazał wszystkich jeńców słowiańskich na ich własnej ziemi, a kupę ich ścierwa ukoronował żywym Suchosławem, któremu oczy i język wyrwano. Z pała patrzyła na to głowa Stoigniewowego imiennika i czcigodni biskupi z cesarskiego orszaku, z których żaden ni słowem za mordowanymi się nie ujął.

Zmieszany Prochorus nie wiedział, co rzec. Po chwili jękając się zaczął:

- Tak, ale to byli...

- Słowianie! - dokończył Zbrozło i nagle wśród ciszy rozległ się jego przytłumiony, drewniany i zgrzytliwy śmiech, a oczy, świecące czerwonym poblaskiem stosu, utkwili w Prochorusie. Prochorus twarz zasłonił i odwróciwszy się uchodził szybko do grodu. Tłum rozstępował się przed nim w milczeniu.

Księżyc dźwignął się zza borów i białe jego światło walczyć zaczęło z blaskami przygasającego stosu, gdy kończono rznąć jeńców. Kiedy ostatnie ciała z pluskiem rozbijały gładką powierzchnię rzeki, bryzgi wody z czerwonych uczyniły się białe. Lud w milczeniu podążał ku grodowi, by zasiąść do stypy.

Stoigniew czekając, aż popioły na tyle ostygną, by je zebrać można, stał i patrzył w tajemniczą głębię Odry, która dopiero co pochłonęła tyle ciał, a teraz płynęła spokojna i chłodna jak zawsze. Do Stoigniewa przystąpił Zbrozło. Stał obok, spozierając również na rzekę. Po chwili, jakby czytając w myśli Stoigniewa, rzekł:

- To, com ci dziś uczynić pozwolił, to jeno jakbyś palec uciał potworowi, co ma sto rąk. Do serca mu się dobrać trzeba. Przyjdzie czas, że całe to plemię najeźdźców popłynie z powrotem w ciemności, z których wyszło. I kijem nie nauczy wilka trawy jeść.

Stoigniew zwrócił się do odejścia i odparł:

- Będę gryzł palce, póki serca nie potrafię. Żal mi jeno, że nie dostaliśmy Hodona. Czy Dzik z pościgu wrócił?

- Nie wróci on już - odparł Zbrozło.

Śmierć

Stłoczeni w kącie utworzonym przez obydwie przesieki, tłoczący się ku ciasnemu wyjściu, parci przez Polan Niemcy ujrzeli nagle między sobą leśnego potwora, o jakim nianki opowiadały im w dzieciństwie lub jaki w złym śnie mógł się przywidzieć. Wśród zjeżonych, opadających na twarz kasztanowatych kudłów świeciły małe oczy zwierzęcą wściekłością; z zarosłych szczęk szczyrzyły się białe zęby.

W sercu i głowie Dzika nie więcej było człowieczeństwa niż w wyglądzie. Nigdy nie czuł się całkiem dobrze w świecie, w który wszedł od chwili spotkania Ścibora. Od śmierci Witka czuł się w nim źle. Łączyło go jeszcze z tym światem tylko przywiązanie do Tarły.

Gdy spojrział w zgasłe już oczy druha, uczył, jakby ktoś gwałtownie zerwał ostatnią nić wiążącą go z ludźmi. Poczł ból, ale zarazem wolność. Wściekłość, jaka wypełniała całą jego istotę, nie miała źródła jedynie w zemście za Tarłę. Był w niej drapieżny wstręt i obrzydzenie do ludzi, że są, jacy są: chciwi, podstępni, głupi, niezrozumiali w swej złości, podli w swym tchórzostwie i lęku przed śmiercią. Do szału doprowadził Dzika wrzask tych istot, z którymi nie czuł już nic wspólnego, rozjuszały błyski zbroi i oręża w promieniach wschodzącego słońca. Zapomniał, że ma miecz przy boku i oszczep przy siodle; łuk zostawił przy kniaziu. Miażdżył, tłukł, łamał i rozrywał ludzi rękoma. Olbrzymie jego siły, zwielokrotnione wściekłością, czyniły zeń żywioł. Zapomniał, że nieprzyjaciel otacza go zewsząd, darł się ku przejściu w przesiece, gdzie dwóch ludzi, w bardziej błyszczących niż inne zbrojach, krzyczało coś, czego nie rozumiał. Mścił się za las, że miał głosów swej czeredy, gwizdu wilg i sikorek, kucia dzięciołów, odbijać musi obrzydły wrzask mordujących się ludzi. Miał dawać schronienie płowemu jelonkowi, by złocił się w słońcu na szmaragdowej łączce, lub potężnemu odyńcowi pozwalać kąpać się w nagrzanym letnim słońcem bagnie i wycierać rude kudły w chropawą korę drzew, co tu stały dziesiątek wieków - plugawić się musi rudziejącymi szybko kałużami obrzydłej krwi, że połamane są kwiaty leśne, stratowana trawa, że cuchnie obcym smrodem, od którego zwierz ucieka daleko i nieprędko wróci w te skalane miejsca.

Dwaj stojący przy wejściu wodzowie gwałtownie głosem i gestami nawoływać poczęli do pośpiechu, gdyż od Lubuszy nadciąga nowa siła Polan. Przed Dzikim tłoczyło się kilkunastu jezdnych; za nimi pusta przestrzeń pozostawała, gdyż ci, co byli z tyłu, mimo naporu wstrzymywali konie, byle uniknąć zetknięcia z olbrzymem. Nie wierzyli, że można go ubić.

Dzik mordował idących przed nim, prawie nie widząc kogo. Mordowałby też, gdyby to byli Polanie, bo oczy wlepił w świecące zbroje. Darł się, by zgasić ten blask, który go rozjuszał, by uczynić zeń krwawą miazgę.

Hodo i Zygfyrd nie czekali. W wirze walki spostrzegli, co nadchodzi. Wykręciwszy na wschód, by nie wpaść na idące od Lubuszy siły, gdy na zachód drogę mają przez Odrę zamkniętą, pomknęli, by choć życie ocalić, gdy reszta już stracona.

Na karkach kilku ostatnich wypadł za przesiekę Dzik. Pędzili przez olszynowy lasek, za którym otwierała się bagnista łąka.

Konie poczęły zapadać w torf. Stękały z wysiłku, grzęznąc miejscami po brzuchy. Dzik darł za nimi

w milczeniu. Zabrział przeraźliwy krzyk trwogi i zamilkł nagle, jak uciął. To Dzik dopadł pierwszego.

Im dalej, tym głębiej zapadały konie i tym bardziej zmniejszała się odległość między ścigającym a uchodzącymi. Zdało się natomiast, że wszystkich pochłonie bagno. Ale już idące w przodzie konie Hodona i Zygryda dotarły do otwartego, wąskiego płachcia wody i za chwilę chrapiąc zaczęły się wynurzać i wspinać na stromy, lecz niewysoki brzeg bagna. Dalej był suchy las. Skoczyli przed siebie jak oparzeni, dysząc z trwogi. Za nimi rozległo się kilka okrzyków, po czym zamilkło wszystko. Głosy walki zaczęły się oddalać. Mknęli teraz otwartym, starym borem. Hodo wstrzymywać musiał drżącego z wysiłku rumaka, by mu dać oddech. Zygryd obejrzał się w tył. Z dala, między rzadkimi, grubymi pniami migał złotem w słońcu, to znów zanurzał się w cień cisawy koń.

Bez słowa wpili ostrogi w boki końskie i gnali znowu. Zaczynały się zjawiać krzewy, las stawał się mniej przejrzysty. Wpadli w gąszcz leszczyny i darli się przed siebie; może wróg zgubi ślad. Lecz gdy na chwilę przystanęli, z dala na miękkim podłożu słychać było tętent konia. Pomknęli dalej.

Znowu woda zachlupotała pod kopytami i konie zwolniły biegu. Zjeżdżali w bagno. Konie, mimo iż boki ich krwawiły od ostróg, przeszły w stępa, a coraz bliżej słychać było trzaski gałęzi. Wparli rumaki w moczar; lepiej utonąć, niż dać się doścignąć temu potworowi. Ale znów konie trafiły na twardszy grunt i poszły raźniej, jeno coraz dalej słychać było, jak prześladowca taple się przez błoto.

Przy trwodze, jaka im nieomal mowę odejmowała, Hodo dziwić się zaczął, jak ścigający może tak podążać ich tropem. Coś nieludzkiego było w tym uporze i nieomyślności pościgu. Mijały godziny, niebo zaczynało zawlekać się chmurami, a pościg trwał i trwał. Gdy wjechali na obszerną polanę, nim schowali się w przeciwległą ścianę lasu, Zygryd obejrzał się i zaklął. Dzik właśnie wychylił się z lasu, a przed nim z nosem przy ziemi biegł biały, ogromny pies. Nie było zatem nadziei, że zgubią wroga, natomiast posuwając się coraz dalej w polańskie ziemie należało się liczyć z tym, że trafią na ludzi. Konie już ustają, padnie który, to choćby uszli olbrzymowi, zguba pewna. Ale nie ujdą. Dąży za nimi jak przeznaczenie.

Musiało już być z południa. Przerywane obłokami błyski słońca stawały się coraz rzadsze, potem niebo pokryło się chmurami. W leśnych głębinach zapanował mrok.

W beznadziejności położenia żądza życia przemogła w Zygrydzie trwogę. Chwycił Hodonowego konia za uzdę i zatrzymał.

- Co robisz?! - krzyknął Hodo.

- Nie ujdziemy! Dwóch nas jest. Spróbujmy walczyć.

- Walcz sam! - krzyknął i wydarłszy wodze, popędził konia.

Nie ujechał i stajania, gdy koń potknął się i omal nie upadł. Włosy stanęły dęba na głowie margrafa. Zygryd dojechał i syknął:

- Będziemy walczyć obaj lub ty będziesz walczył sam.

- Zasadzkę trzeba by zgotować - rzekł Hodo hamując złość.

- Dobrze, jeno prędko. I pamiętajmy, że ma psa.

Ruszyli stępa, lecz zapewne i koń ścigającego zaczynał ustawać, gdyż widać go nie było. Pies jedynie raz dobiegł na pół strzelenia z łuku, lecz przystanął i wyszczerzywszy zęby, zawarczał groźnie i wrócił.

Zeskoczyli z koni i szli, poganiani strachem, byle koniom dać wypocząć. Ściemniało się, zbliżał się chmurny wieczór. Wiatr chwilami pociągał po drzewach i szum szedł lasem. Zaczynało się podszycie. Darli się przez krzewy, po chwili trafili jakby na dróżkę wiodącą przez gąszcz. Dosiedli koni i pognali. Gdy na chwilę zamilkł pomruk lasu, Zygryd zatrzymał konia i nasłuchiwał. Za nimi słychać było tętent.

W jednym miejscu dróżka wyskakiwała na niewysoki, lecz stromy próg leśny. Gdy konie wspięły się nań, Zygryd zatrzymał Hodonowego konia i sam zeskoczywszy szepnął:

- Tutaj!

Z pętli przy siodle wyciągnął maczugę żelazną, nabijaną kolcami, na trzonku z łańcuchem. Hodo wyjął miecz. Konie odstawili w gąszcz i przycupnęli za cisowymi krzami tuż koło drogi.

Szum znowu poszedł po lesie, lecz mimo niego słyszeli tętent idącego kłusem konia, a wśród krzewów zamajaczyła w coraz głębszym cieniu postać jeźdźca. Na szczęście uciekających znużony widocznie pies biegł za koniem.

Coraz bliżej dudnią kopyta. Słychać już oddech, gdy koń z wysiłkiem drze się na stromiznę; jest tuż, zrównał się z nimi. Już!

Hodo z zamachem, oczy z trwogi przymknąwszy, ciął. Trafił konia w nasadę szyi. Rzygnęła krew i biedne zwierzę zważyło się z przeciętym kręgiem. Dzik nogi poderwał, lecz koń, wywracając się, przygniótł mu kolano. Wsparł się na rękach i rzucił do przodu, lecz w tej chwili potworne uderzenie Zygrydowej maczugi dosięgło go pod łopatkę. Wyprężył się w tył, przewalił na plecy i pozostał bez ruchu. Zabójcy skoczyli do koni, gdy dopadł ich pies i ułapiwszy za nogę siadającego już na koń Zygryda, wpił kły. Zygryd krzyknął, lecz Hodo mieczem pchnął uwieszonoego u nogi psa, który trzymał charcząc, a Hodo porwał go za zadnie łapy i oderwawszy rzucił. Dorskoczyli koni i pognali. Jeszcze nie opuścił ich strach. Odgłosy kopyt zaczęły się oddalać i umilkły. Cisza zapanowała w borze, jeno szumiały od czasu do czasu wyniosłe korony drzew. Zapadała noc.

Wstający dzień z trudem przedzierać się zaczął przez zbity gąszcz leśnego podszycia. Mgła osiadać poczęła obficie skapując rosą z liści krzewów i drzew. Kilka kropel spadło na zsiniałą i pożółkłą twarz Dzika i drgnienie przebiegło przez olbrzymie ciało.

Z szarego mroku iskierka życia dobijać się jęła do świadomości leżącego. Pierś poruszyła się lekko raz i drugi, oczy otwarły się. Dzik leżał patrząc półprzytomnym wzrokiem na sklepienie gałęzi nad

głową. Kropla po kropli świadomość nabrzmiewała i przesuwać się zaczęły wspomnienia wczorajszego dnia; nieosobowe jakieś, dalekie, jakby nie jedną nocą, ale latami całymi oddzielone od chwili obecnej. Nie chwili nawet, bo czas jakby stanął. Dzik pamięta wyraźnie śmierć Tarły i wie, że sam został zabity, bo świadomość ta, wraz ze wspomnieniami przeraźliwego bólu, który rozluźnił wszystkie członki ciała i oddech wyssał z piersi, tkwi w nim. Leniwa, jakby zastygła myśl zebrać się usiłuje, by wyjaśnić nowy stan, gdy czas już nie płynie, ciała się nie czuje a wszystko, co było i jest, stało się całkowicie obojętne. Pewnie jest już trupem, nie pogrzebanym i jako upiór bez ciała wałęsać się będzie po świecie. Ktoś kiedyś mówił, że tak się dzieje. Trzeba wstawać wobec tego i rozpocząć pośmiertną wędrówkę.

Zebrał się w sobie, by dźwignąć się i życie krzyknęło w nim bólem. Czarne pląty zawirowały mu przed oczyma i zimny pot wystąpił na czoło. Leżał znów bez ruchu, lecz wiedział już, że żyje i świadomość ta przepajała go dziwną niechęcią. Zamknął oczy w nadziei, że może świadomość rozplynie się znów w nicości, lecz nadaremnie. Czuł znowu bicie serca, krótki, lecz równy oddech poruszać zaczął piersią i po kolei uprzytomnił sobie obecność całego ciała. Otworzył znów niechętnie oczy i próbował odetchnąć głębiej. Znów przeraźliwy ból przeniknął go, tym razem uświadomił sobie już miejsce i przyczynę. Tkwił w plecach, poniżej lewej łopatki i drażył się do środka ciała.

- Nie miał mi kto pleców pilnować - chciał mruknąć, lecz jeno szept jakiś wydobył się z posiniałych ust.

Z największą ostrożnością, by nie budzić tkwiącego w nim wroga, obracać się począł na bok, po czym pracowicie dźwigać na kolana. Ukląkł wreszcie i dyszał ostrożnie, gdyż każde usiłowanie wypełnienia piersi powietrzem poranka jakby pchnięciem tępego noża wierciło mu płuca.

Kłęczał mrugając, by spędzić czarno - czerwoną mgłę sprzed oczu i zebrać siły do wstania. Gdy rozjaśniło mu się przed oczyma, ujrzał leżące obok ścierwo Ciska. Sierść pociemniała od osiadłej na niej rosy, kosmyki jasnej grzywy zlepione były posoką z przerąbanego karku, już szerniały. Obok leżał odłamek włóczni. Dzik ujął go oburącz, próbując wstać. Wstawał długo, z wypoczynkami, wreszcie dźwignął się na nogi.

Świat w tej postawie wydał mu się bardziej zwyczajny. Obejrzał się i ujrzał Gona. Białe jego futro złane było posoką, leżał na boku i przekrwionymi oczyma patrzył na swego pana. Usiłował podnieść głowę, lecz opadła mu zaraz, jeno jakby skomlenie wezbrało w gardle, pierś jeszcze raz poruszyła się oddechem, wyprężył się i znieruchomiał.

Dzik patrzył na wiernego zwierza przez chwilę.

- Głupi Szmątka mówił, żeś niewart grzywny srebra! - pomyślał.

Ucziwszy w ten sposób pamięć przyjaciela, ruszył pomału przed siebie. Nie wiedział, dokąd idzie. Między trupami tych zwierząt, które mu dotrzymały służby do ostatniego tchnienia, poczuł się dziwnie samotny, a w najgłębszej podświadomości wstało uczucie, że ktoś gdzieś czeka na niego. Szedł wolno, zwracając jeno uwagę, by głębszym oddechem bólu nie zbudzić i oddalał się coraz bardziej od miejsca ostatniej walki. Czasami wypoczywał. Myśli krążyły to bezładną chmurą, to znów

wracała przytomność. Nie zdawał sobie sprawy, ani z czasu, ani z kierunku. Gdzieś go coś ciągnęło, więc szedł. Usypiał czasami. Na jak długo, nie wiedział. Raz było ciemno, raz jasno; tu wody się napił z krynicy, tam jagody jakieś jadł i szedł jak chore zwierzę, instynktem omijając ludzkie osady. Raz drwali usłyszał w lesie, lecz minął prędko te odgłosy. Nie chciał ludzi spotkać, nie należał już do nich. Należał do tego lasu i ziemi, i bagien, które płachciami stawały mu w drodze, zwalniając i tak wolny jego pochód.

Przytomność coraz rzadziej rozjaśniała jego umysł; pił natomiast wodę coraz częściej i coraz ciężiej odczuwał brzemię tkwiącego mu w plecach wroga, który czał się na każdy głębszy oddech, by szponami rozdzierać jego ciało, twarde jeszcze i uparte w swej walce ze śmiercią.

Aż jednego pogodnego wieczoru, wyszedłszy z lasu, ujrzał przed sobą z rzadka krzami porośniętą płaszczyznę. Po gorącym dniu, w czasie którego pot zalewał jego oczy, chłodny powiew, wstający od bagien, pieszczotą musnął Dzikową twarz. Dzik poczuł w udręczonym ciele jakąś ulgę. Stał chwilę, oparty o pień, i patrzył na czerwieniejącą w promieniach zachodu ścianę lasu. Las i bagno nie różne od innych, ale znane mu jakby. Czuł, że już dalej iść nie ma po co. Tutaj szedł.

Zapścił się w coraz bardziej grząski grunt, mozolnie wyciągał nogę za nogą i zmierzał ku kępie obrosłej krzami. Wiedział już, że to jego kępa i chata tam stać powinna. Zbliżał się krok za krokiem, jeszcze trochę i spocznie. Dalej nie ma drogi przed nim.

Mrok już był, gdy nogi Dzika oparły się na suchym gruncie. Szary cień szustnął przez krzaki.

- Pewnie wilk - pomyślał i rozchyliwszy krze ujrzał chatę.

Stała, niższa jeszcze niż dawniej. Wichury pozrywały poszycie, zmurszałe ściany przychyliły się ku ziemi. Wszedł i usiadł na pieńku, przy kamiennym palenisku, z którego hulające wiatry dawno wydmuchały resztki popiołów. Przez pozrywaną strzechę gwiazdy letniego nieba zagładają do wnętrza, a wstający od bagien wilgotny chłód przenikać zaczyna Dzikowe ciało.

Jest znowu u siebie. Siedzi spokojnie, odpręża się z ostatniego wysiłku. Tutaj żyć można jak te drzewa w boru, którym jedno miejsce na całe, by i najdłuższe życie wystarczy. Odetchnął zuchwale i zdziwił się. Zagrało coś w piersiach, poczuł w ustach słodkawosłony smak, lecz żadnego bólu. Teraz wypocznie naprawdę. Pozbył się wroga, którego dźwigał tak długo. Za chwilę rozпали ognisko, bo ziębną mu coraz bardziej ręce i nogi.

Zadrzemywał chwilami i budził się znowu. Jakieś światełka widać; może to żar leży pod popiołem? Sięgnął ręką, lecz jeno próchna kawał poczuł pod palcami.

Myśl pracuje coraz leniwiej. Zmęczony jest i spać zaraz pójdzie na swe posłanie pod ścianą; tylko chwilę jeszcze posiedzi. Może przyjdzie któryś z towarzyszy i roznieci ogień.

Przyjemniej się usypia, gdy płomień trzaska wesoło, a ciepło rozchodzi się po zgrabiających członkach.

Przypomina sobie jednak, że towarzysze nie żyją. Wspomnienie zimowej nocy, w której spotkał się ze Ściborem, wraca uporczywie. Czy on pojechał wtedy z obcymi, czy nie? Nalatuja go

wspomnienia, widzi sam siebie jak kogoś obcego, jak podróżuje, walczy. Potem widzi siebie z Sofią i Witkiem i coś ściska bijące coraz wolniej serce i nikną wspomnienia, by wynurzyć się znowu.

Kto mówił, że Witek nie żyje? Przecie to on sam jest Witkiem. Siedzi mały i skulony na pogorzeliśku domu. Ogląda się, czy nie ma kogo, i płacze. Tyle razy wołał matkę i nie przyszła. Osłabł już od płaczu. Co ma począć, mały i bezradny, zostawiony sam na sam z tym światem, który tak mocno pobudzał ciekawość, gdy czuł za sobą matczyne oparcie, a taki się zdaje pusty i okrutny opuszczonemu dziecku.

Zawoła jeszcze raz, a potem pójdzie przed siebie.

- Matko! - brzmi słaby głos, stłumiony przelewającą się do gardła krwią. Ale kto by to usłyszał...

Szumi coś dokoła, lecz przez szum ten czuje raczej, niż słyszy, że ktoś idzie. Oczy otwiera szeroko, ale nie widzi już nic. Ciemno, ale ktoś idzie na pewno. Lekki, cichy krok. Jakieś miękkie ramiona obejmują głowę i głos, przechowany w najgłębszej otchłani wspomnień, mówi cichutko:

- Śpij, syneczku.

Krótką, lipcową noc uciekała przed świtem wstającego dnia, gdy szelest skradających się kroków rozległ się w chaszczach koło chaty. W jasnym prostokącie wejścia ukazała się spiczasta morda terażniejszego gospodarza chaty. Stał, przezornie zaglądając do wnętrza i pociągając badawczo nosem. Wrogi zapach, który go wczoraj wypłoszył, wisiał jeszcze w powietrzu, lecz bezsilny już. Wilk przystąpił do leżącego ciała i począł je obwąchiwać. Było zimne. Wczorajsze niebezpieczeństwo było łupem dzisiaj. I to łupem niemałym. Wilk usiadł na zadzie i wznosił głowę, zawył. Ponury głos poniósł się daleko w wilgotnym powietrzu, dając znak samce, że uczta czeka. Nie spłoszył jednak dziecinnego uśmiechu z półotwartych ust Dzika.

Dzikowy skarb

Dwóch jeźdźców podążało podmokłym lasem do Dzikowego bagna. Wyjechawszy na kraj, zsiadli, a starszy z nich rzekł:

- To tutaj, panie!

- Pewny jesteś?

- Pewny! Ino jak przejść przez bagno - nie bardzo pomnę. Do tej kępy trzeba dotrzeć.

- Ścieżka, choć zarosła, musi się dać odnaleźć. Będziemy próbować, aż znajdziemy. Czasu nam nie brak.

- Wolałbym ja porwać, co trzeba, i uciekać stąd. Boję się Zbrozły. Niesamowity on i tak strasznie mi zagroził, jeśli wam to miejsce pokażę, że na sam wspominek łydki mi się trzęsą.

- Głupiś! - zaśmiał się Szmątka. - Mnie też groził, nawet na śmierć skazał, i nic mi. A przyjdzie czas, że ja jego w swoje ręce dostanę, ale mi do tego skarb potrzebny. Inaczej przyjmą pana, co złotem sypie, a inaczej biedotę. Wrócę ja na swoje, nie przeszkodzi mi nie tylko Zbrozło, ale sam kniaź.

Zsiadli z koni i przywiązali je do krzów. Pacholek Czelej, odwiązując z juków przywiezione łopaty i miechy, mówił:

- A pamiętacie swoją przysięgę, że połowa skarbu moja? I ze sobą mnie wziąć musicie; nie wracać mi już do kniazia.

- Głupiś! - powtórzył Szmątka. - Kto będzie wiedział, gdzie jeździł? Jak mówisz zresztą, Dzik zaginał pod Cydżyną, to się i nikt nie dowie, że skarb zabrany.

- Zbrozło będzie wiedział! - rzekł szeptem pacholek, jakby się bał, że może go ten dosłyszeć.

Szmątka machnął ręką pogardliwie mówiąc:

- Tacy jak ty nigdy na panów nie wyjdą. Czasu szkoda. Szukajmy przejścia.

Chodzili krajem lasu patrząc pilnie, czy śladu ścieżki nie znajdą. Parę razy zdało im się, że znaleźli, lecz zapuściwszy się kilkanaście kroków, wracali, gdy bagno, coraz głębsze, groziło pochłonięciem.

Słońce wzbiło się już wysoko i Szmątka zaczynał się niecierpliwić, gdy Czelej, który zapuścił się dalej niż poprzednio, zawołał na niego, że jest na twardym gruncie. Szmątka podążył za nim i istotnie po krótszej trawie poznali ślad jakiejś zapomnianej ścieżki, która prosto prawie wiodła do kępy chaszczów, większej i wyższej niż inne. Parę razy zapadali się jeszcze po pas, lecz szli teraz śmiało, gdyż wszędzie pod kozuchem czuli twardy grunt i nie było jeszcze południa, gdy stanęli na kępie.

Zmęczeni usiedli na chwilę, lecz bliskość upragnionego celu nie dała Szmątce spoczywać długo. Czelej natomiast trząśł się z zabobonnego strachu i zdradzał niekłamaną ochotę powrotu.

- Nie chcę skarbów - mówił trzęsącym się głosem - ino wyjść stąd prędzej. Zbrozło mówił, że zająć tu mogę, ale nie wrócę.

Szmatka, wściekły, krzyknął:

- Głupcze! Za darmo skarbów nie dają! Szukać chodź lub nic nie dostaniesz. A ma ci co Zbrozło zrobić, to robi i tak, skoroś miejsce pokazał.

Pachołek opanował się trochę. Przedarłszy się przez chaszczę, ujrzeni chatę. Szmatka rozglądał się po kępie, namyślając się, gdzie rozpocząć poszukiwania. Czelej zaś wszedł do chaty.

Szmatka nagle usłyszał przeraźliwy krzyk i Czelej pędem wypadł z wnętrza i biegł ku przejściu.

Podniecenie Szmatki zmieniło się we wściekłość. Puścił się za pachółkiem wrzeszcząc:

- Stój, bo ubiję!

Pachołek jednak w ślepych strachu nie zważał na nic, byle jeno jak najprędzej wydostać się z tego miejsca.

Czelej, a za nim Szmatka, wypadli na bagno, gdzie biec się nie dało, lecz darli się po błocie jeden za drugim. Nagle Czelej zapadł się po pas, a Szmatka, dopadłszy go, zdzielił toporkiem w tył głowy. Pacholek, rozłożywszy ręce, padł na twarz, a krew zabarwiła wnet rdzawą wodę bagienną.

Szmatka zawrócił nie obejrzawszy się. Dokonane zabójstwo uśmierzyło trochę jego podniecenie. Dotarłszy do chaty, zajrzał do wnętrza, chcąc zbadać, co przeraziło Czeleja. Porozrzucane po chacie leżały olbrzymie kości ludzkie, a pośrodku, twarzą ku wejściu, szczyrzyła białe zęby czaszka w niesamowitym uśmiechu.

Szmatce uczyniło się nieswojo i cofnął się, opanowawszy się jednak zaraz śmiałym krokiem wszedł do chaty. Obejrzał czaszkę, na której zwisało jeszcze parę kosmyków kasztanowatych włosów, spojrzął na niezwykle białe zęby i przeglądać zaczął kość za kością. Znalazłszy lewą łopatkę, podniósł ją do światła. Widniała na niej wyraźna szrama ze zgrubiałymi brzegami. Szmatka zaśmiał się jakoś szczególnie, i cisnął kość na palenisko.

- Aż tutaj znalazł - mruknął do siebie - a margraf prawil, że go ubili. Twarde miał życie!

Jakieś wspomnienia nalatywać go zaczęły, lecz otrząsnął się i wzięwszy łopatę, odszedł. Pamiętał, że Dzik mówił, iż miejsce zakopania krzami zarosło, lecz te rosły niemal na całej kępie. Obszedł ją uważnie patrząc, czy jaki kopczyk lub nierówność gruntu nie wskaże, gdzie przed laty ziemia była wyrzucona. Obchodził krzak za krzakiem. Parę razy zdało mu się, że znalazł ślad, lecz po chwili szedł dalej. Jeśli nie trafi szczęśliwie, kopać trzeba będzie miejsce za miejscem. Zajmie to kilka dni, choć kępa nie była wielka. Nadrabiał odwagą sam przed sobą, lecz dłuższe pozostawanie w tym miejscu nie uśmiechało mu się zgoła.

Już miał się wziąć do kopania, gdy uwagę jego zwrócił stary krzak leszczyny, dookoła którego ziemia jakby osiadła. Nie namyślał się więcej i zabrał się do roboty. Zrzucił kubrak gdyż choć już z południa

było, upał dolegał. Kopał wąski, lecz głęboki rowek dookoła krza, by następnie z bryłą go obalić. Po dłuższej pracy pewny był prawie, że szczęście mu sprzyja, natrafił bowiem na parę zmurszałych już kłoców, którymi jakiś dół zakryto.

Pracował dalej ze zdwojonym zapalem, a gdy skończył kopanie rowu, wyciął młode, dość spore drzewko i ogołociwszy je z gałęzi, zastrzył na jednym końcu. Toporkiem wbił je między korzenie i zaparłszy się z całych sił podrywać zaczął podkopany krzew i wreszcie ostatnim wysiłkiem obalił go na bok. Przetarł zalane potem oczy i serce stanęło mu w piersiach z wrażenia.

Wśród próchna, zgniłych kłoców i osypującej się z korzeni ziemi błysnęło w promieniach słońca złoto. Szmątka usiadł gdyż z wysiłku i wzruszenia nogi zatrzęsły się pod nim. Zerwał się jednak zaraz i rękoma odrzucał ziemię i próchno, aż skarb wynurzył się przed nim w całej okazałości.

Drżącymi rękami wyjmował i kładł na murawie przedmiot za przedmiotem: garście monet, sztaby srebrne i złote, zmurszałe już drogocenne materie oraz kosztowną, lecz rdzą przeżartą bron. Kupa rosła i rosła, słońce miało się już ku zachodowi, gdy opróżnił dół.

Teraz dopiero uprzytomnił sobie, że sam wszystkiego zabrać nie zdoła i pożałował zabójstwa. Ubić mógł towarzysza już przy koniach, do których wracać trzeba, by ich wilki nocą nie zjadły. Mimo zaś całego zuchwalstwa czuł, że nie wróci tu więcej.

Przerzucać jął skarby z gorączkowym pośpiechem. Jeno złoto i kamienie na bok odkładał, resztę wrzucał do dołu. Skończywszy, krzak z powrotem postawił i obsypał ziemią. Może kiedyś wróci po to, jeśli mu było potrzeba. Ale pewnie nie będzie. Najcenniejsza część, którą zabierze, stanowi ogromny majątek. Coraz bardziej gorączkowo zsypywał do skórzanego miecha skradziony skarb. Próbował dźwignąć. Dla dwóch byłoby co nieść, choć nie był ułomkiem.

Rozsądek mu doradzał, by połowę zostawić i wrócić nazajutrz lub kiedyś przyjść tu z ludźmi. Lecz do białości rozzarzona widokiem skarbów chciwość - z jednej strony, a zabobonny strach z drugiej - kazały mu zabierać wszystko i uciekać z tego miejsca.

Słońce już poczerwieniało i na bagnie kłaść się zaczęły cienie od krzów, coraz dłuższe. Nie było czasu do namysłu, jeśli za widoku dotrzeć ma do koni. Szmątka założył pasy od miecha na ramiona i rozpaczliwym wysiłkiem dźwignął brzemię. Gdy stał już na nogach, ciężar jakby się zmniejszył, ruszył więc co prędzej ku przejściu. Po twardej ziemi posuwał się dość szybko, lecz gdy wyszedł na bagienną ścieżkę, każdy krok zdał mu się nad siły. Wbijane ciężarem w błoto nogi grzęzły tak, że każde wyciągnięcie uwięzłej stopy trwało długi czas, a zarazem groziło utratą równowagi, gdy cały ciężar ciała i brzemienia musiał spoczywać na jednej nodze. Tymczasem słońce dotykało już tarczą swą ściany boru i zimny pot oblewał Szmatkę na myśl, że w ciemnościach zostanie z ciężarem na bagnie. Zebrał wszystkie siły i darł się przed siebie, pochylony pod brzemieniem i wpatrzony pod nogi, zapominając o przeszkodzie, którą musiał jeszcze ominąć.

Nagle tuż pod nogami ujrzał zwłoki Czeleja. Leżał, jak padł, twarzą w błocie, z rękoma rozłożonymi, jakby dalszą drogę Szmątce zagrządzając. Szmątka zadrzał, lecz nie na widok ubitego przez siebie człowieka, lecz na przypomnienie, iż zgubiło go zapadnięcie się po kolana w błocie. Jeśli on bez ciężaru ulgnał, dla Szmátky przejście stokroć będzie trudniejsze. Chyba że przejdzie po trupie.

Postawił nogę na grzbiecie zabitego i z wolna drugą z błota wyciągnął. Zwłoki zanurzały się pomału w bagnie i już Szmątka zwolnioną z błota drugą nogę postawić miał na grzbiecie Czeleja, gdy nagle trup, na którego widocznie nierówno nastąpił, obracać się począł na bok, a z wody wynurzyła się sztywna, cała pijawkami okryta ręka. Szmątka krzyknął. Chwilę jeszcze chwycił równowagę, lecz niepewne oparcie usunęło się spod nóg i padł na plecy w grzęziel.

Nieludzki ryk przerażenia zbudził echa stojącego w purpurze zachodu lasu. Wór złota grzął szybko w bagnie, ciągnąc przywiązane doń Szmatkę w głąb. Tłusta, rdzawa woda bagienna zalewała już pierś leżącego i pomału podchodziła pod brodę, którą, rycząc, wznosił coraz wyżej, by choć ułamek chwili jeszcze móc patrzeć w zarumienione od blasków zachodu niebo wytrzeszczonymi z przerażenia oczyma. Za wszystko złoto świata chciałby jeszcze raz móc spojrzeć na słońce.

Ryk urwał się nagle, jeno woda zabulgotała nad twarzą Szmątki i zniknęło wszystko. Po chwili kilka baniek ukazało się na powierzchni, lecz pryskały jedna po drugiej. Ostatnia chwilę jeszcze stała, a promień słońca tęczowymi blaskami grał na niej. Zgasł i jednocześnie zniknął ten ostatni ślad Dzikowego skarbu.